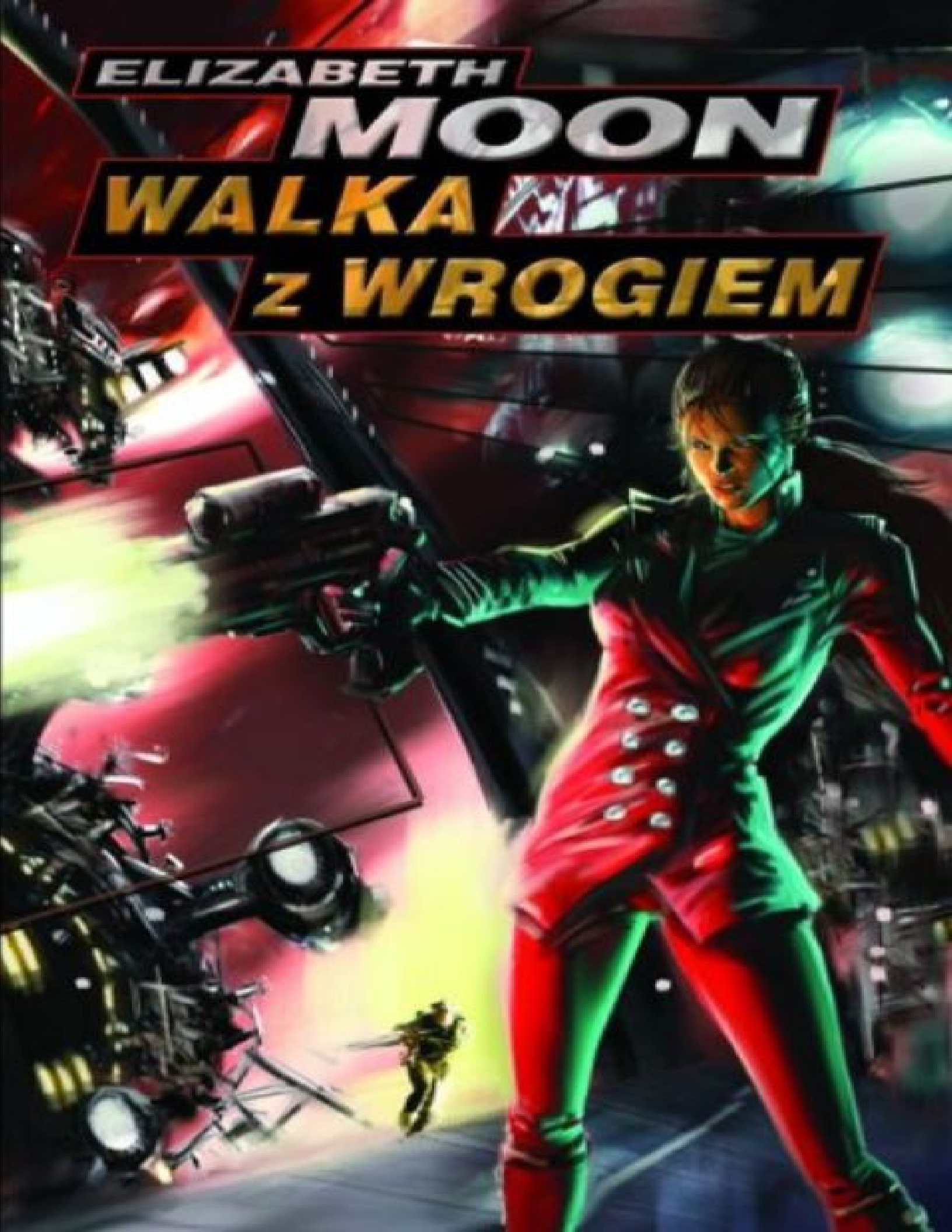


ELIZABETH

MOON

WALKA

Z WROGIEM



Elizabeth Moon

Walka z wrogiem
(Engaging the enemy)

Tłumaczenie Jerzy Marcinkowski

Pamięci Eda Tatom, 1958-2005, który bronił słabych i bez rozgłosu pomagał potrzebującym, z całego serca wierząc w porzekadło o „starości i zdradzie...”

Podziękowania dla personelu Szkoły Wyższej we Florence, który zapewnił naszemu synowi cudowne, szkolne doświadczenia.

Podziękowania

Jak zwykle, zamieszani byli zwyczajowo podejrzani z grupy szermierczej... znają się nie tylko na ostrej stali. Pomocni weterynarze z Town&Country Veterinary Hospital z chęcią odpowiadali na pytania o płodność psów. Czytelnikami testowymi wczesnych wersji byli: Karen Shull, David Watson, Richard Moon oraz ci wystarczająco cierpliwi, by wysłuchać fragmentów odczytywanych przeze mnie w czwartkowe wieczory. Za późniejsze poprawki dziękuję Shelly Shapiro, która wyłapała mnóstwo niezgodności (pozostałości po wcześniejszych wersjach) i upominała mnie, że nie każdy ma ochotę dowiadywać się aż tyle o wędkarstwie muchowym. Wszystkie błędy popełniłam samodzielnie — nie wińcie za nie tych wspaniałych ludzi.

Rozdział 1

Pod niebem popołudnia przez szum morskiej bryzy przebiło się jednostajne brzęczenie nadlatującego statku. Nie było nic widać... nie, tam był; niewielki, jak na taki hałas... Wtem implant załóż ją potopem danych: żaden statek — nie było nikogo na pokładzie — tylko broń wymierzona w latarnię nawigacyjną lotniska. Dane wizualne zniknęły, przeładowane żarem i światłem, a dane audio zamieniły się w niezrozumiały hałas, pospiesznie posortowany na kanały, zapisany i przeanalizowany: pierwsza eksplozja, zniszczenia strukturalne, druga eksplozja, szybkie mignięcie planów architektonicznych zabudowań, odzyskane pierwsze dane wizualne...

Ky Vatta zerwała się ze snu z łomoczącym sercem, ciężko chwytając powietrze. Nie było jej tam; była tutaj, w ciemnej kajucie kapitańskiej *Pięknej Kaleen*, której mrok rozświetlały jedynie zielone kontrolki ważniejszych funkcji okrętu. Przez puls w uszach słyszała zwyczajne odgłosy jednostki lecącej w nadprzestrzeni. Żadnych eksplozji. Żadnych pękających cegieł, ani tłuczonego szkła. Żadnego ogłuszającego grzmotu, odbijającego się po paru minutach echem od wzgórz.

— Lampka zagłówka — poleciała kajucie i ścianę za nią rozświetliła łagodna poświata, wydobywając z ciemności skotłowaną pościel i jej trzęsące się dłonie. Zmierzyła je groźnym spojrzeniem, nakazując znieruchomieć. Głęboki wdech. Jeszcze jeden.

Chronometr poinformował ją, że była połowa trzeciej wachty. Tym razem przespała dwie godziny i czternaście minut. Poszła do łazienki i spojrziała w lustro: wyglądała dokładnie tak fatalnie, jak się czuła. Prysznic powinien pomóc. Jeden już wzięła; brała prysznic za prysznicem, tak samo, jak spędzała godzinę za godziną na okrętowej salce gimnastycznej, w nadziei na wyczerpanie się lub odprężenie, które pozwoliłoby jej przespać całą noc.

Była kapitanem. Musiała sobie z tym poradzić.

Tym razem zaprogramowała zimny prysznic, po którym — przemarznięta — ubrała się pospiesznie i ruszyła na obchód okrętu. Zawsze mogła to nazwać inspekcją międzywachtową. Piekły ją oczy. Poczowała burczenie w żołądku i skierowała się do mesy. Może gorąca zupa...

W mesie Rafe otwierał właśnie rację żywnościową.

— Nasz sumienny kapitan — mruknął, nie podnosząc wzroku. — Kolejna inspekcja międzywachtowa? Nie ufasz nam? — W lekko ironicznym tonie kryła się zjadliwość.

Nie potrzebowała tego.

— Nie chodzi o to, że nie ufam załodze. Nadal nie jestem pewna tego okrętu.

— Och. Jestem pewien, że pamiętasz, iż objąłem trzecią wachtę, a to jest mój wachtowy posiłek. Chcesz coś?

Chciała snu. Prawdziwego snu, którego nie przerywałyby majaki, wizje, ani nic innego...

– Pierwsze, co wpadnie ci w rękę – poprosiła.

Nie patrząc, sięgnął w głąb szafki i wyciągnął jakiś pakiet.

– „Tradycyjny krem Waskie” – odczytał z etykiety. – Na obrazku jest coś w dziwnym odcieniu żółci. Jesteś pewna, że chcesz to zjeść?

– Spróbuję – odparła.

Wsadził swój posiłek do piecyka. Jej podał mały, zapieczętowany pojemnik i łyżkę. Przyjrzała się krzykliwej etykietce – wyglądała... nieapetycznie. W środku znajdowała się potrawa, przypominająca zwykły krem jajeczny. Ky zanurzyła w nim łyżkę. Powinien mieć kojące działanie.

– Wybacz, że mówię to kapitanowi – zaczął Rafe, siadając naprzeciwko niej przy stole – ale wyglądasz, jakby dziesięć minut temu ktoś podbił ci oczy. Obiecuję nienagannie wywiązać się ze swych obowiązków, jeżeli wrócisz do łóżka, by wyglądać rano jak człowiek.

Ky chciała powiedzieć coś o obowiązkowości, lecz nie wykrztusiła ani słowa.

– Nie mogę spać – wyznała w zamian.

– Ach. Przeżywasz walkę? Musiało być ciężko...

Ta próba pop-terapii omal nie wywołała w niej ataku śmiechu. Omal.

– Nie – odrzekła. – Koszmary po zabiciu ludzi miałam drugiej nocy. To coś innego.

– Mnie możesz powiedzieć – wymruczał. Kiedy nie odpowiedziała, wyprostował się i dodał: – Wiedząc o wewnętrznych ansiblach masz na mnie wystarczająco dużo haków, by nie obawiać się, że odważyłbym się ujawnić jakiegokolwiek twoje tajemnice.

Może rozmowa z nim faktycznie była bezpieczna? Prędzej popełniłby samobójstwo, niż pozwolił obcym dowiedzieć się, że miał w głowie zainstalowaną nieznaną szerzej technologię – osobisty, natychmiastowy komunikator.

– To nie... to nie jest... nie jestem pewna, co to jest. – Ky złożyła dłonie nad kremem, który nie okazał się taki kojący, jak miała nadzieję. W jego teksturze było coś mdlącego. – Wydaje mi się, że... w jakiś sposób... widzę, co wydarzyło się w domu.

– Co... atak?

– Tak. Wiem, że to niemożliwe. Nie mam pojęcia, czy implant taty cokolwiek nagrał, poza tym nie próbowałam dotrzeć do tych danych. Ale wciąż o tym śnię, albo... o czymś podobnym.

– Wysokiej klasy implant mógł to wszystko zarejestrować – uznał Rafe. – O ile twój ojciec chciał mieć nagranie, na przykład na potrzeby sądu. Jesteś pewna, że dane nie przeciekają? Mam na myśli to, że jeżeli nadał im atrybut „Pilne do wysłania”...

– Nie mogłoby to przewyższyć priorytetów nadanych przeze mnie, prawda? Wszystko, co zdefiniuje użytkownik...

– To prawda, lecz ten implant miał dwóch użytkowników. Może nie wiedzieć, że nie jesteś swoim ojcem.

— To... — *Śmieszne*, zamierzała powiedzieć, ale może wcale takie nie było. Włożono jej implant w stanie zagrożenia, nie dając czasu na adaptację ani urządzeniu, ani mózgowi. Natychmiast włączyła się do bitwy, a potem bezpośrednie połączenie z implantem Rafe'a dokonało zmian w jej urządzeniu, które w ich wyniku przekształciło się w coś w rodzaju ansibla czaszkowego. To mogło uszkodzić lub zmienić funkcje kontrolne. Poza tym, nigdy przedtem nie miała cudzego implantu. Zastanowiło ją, dlaczego cioteczka Grace nie wgrała danych do nowego urządzenia? Może nie było to możliwe. — Nie pomyślałam o tym — przyznała. — Co wiesz o przekazywanych implantach?

— Niewiele — odparł Rafe. — Wiem, że można ich używać, ale nie mam pojęcia, do jakiego stopnia na użytkowanie wpływa kontrola rezydualna. To jest implant dowódczy twojego ojca, prawda? Spodziewam się, że wyposażono go w funkcje specjalne.

— Prawdopodobnie — zgodziła się Ky. — Z pewnością ma je teraz, po połączeniu z twoim. — Zerknęła na kubek kremu i odsunęła go. — Chyba powinnam zbadać to dokładniej.

— Owszem, o ile nie chcesz zwariować z braku snu i od nocnych koszmarów — przytaknął Rafe, wyciągając posiłek z kuchenki mikrofalowej. — Prawdziwe jedzenie również nie zaszkodzi. Może kurczak z makaronem? Zrobię sobie drugie.

Pachniało apetycznie. Ky skinęła głową. Rafe pchnął do niej tacę, zabrał pojemnik z kremem, powąchał go, zmarszczył nos i wrzucił do odzyskiwacza. Wyciągnął drugi pakiet i umieścił go w kuchence, po czym ponownie usiadł. Ky nabrała porcję makaronu z sosem — z łatwością przeszła jej przez gardło.

— Sprawdź, czy implant ma aktywator cyklu snu — poradził jej Rafe. — Implanty dziecięce nie są w niego wyposażone, lecz wysokiej klasy urządzenia dla dorosłych często mają coś takiego, razem z minutnikiem. Powinien znajdować się w menu ustawień osobistych.

Ky zapytała implant i znalazła tryb wspomaganie snu, który można było ustawić na maksymalnie osiem godzin. Monitorował i „regulował” aktywność mózgu oraz tłumił bodźce sensoryczne. Użytkowników informowano, że nie powinni używać tej funkcji więcej niż pięć razy pod rząd, chyba że pod opieką lekarza...

Pojawiło się okienko: „Pilne: Polecenie autoryzowanego użytkownika: przejrzeć zabezpieczone pliki”. Ky sprawdziła priorytet wspomaganie snu wobec Pilnych Wiadomości, ustawiła go tak, że wspomaganie snu znalazło się wyżej i ustawiła warunki przebudzenia. Po czym dokończyła makaron z kurczakiem.

— Wracam do łóżka — oznajmiła. — Powiedz pierwszej wachcie, że mogę być później.

Aktywacja trybu wspomaganie snu była niczym krok ze stromego klifu w zapomnienie. Obudziła się wypoczęta, po raz pierwszy, odkąd włożyła sobie implant... ospała i odprężona. Po prysznicu i przebraniu się udała się na mostek.

— Pani kapitan wypoczęta? — zapytał Lee.

— Bardzo — odpowiedziała Ky. — Ale zamierzam spędzić większość dnia na badaniu danych zachowanych w implancie. Podejrzewam, że czeka mnie

intensywna praca. Dlatego też powiedz mi od razu, czego ci trzeba na tę wachtę.

— Radzimy sobie dobrze — odrzekł Lee. — Wszystkie systemy w porządku — to znakomity okręt, pomimo tego, do czego był wykorzystywany. Osman był, jaki był, ale jednostkę utrzymywał w doskonałym stanie.

— W razie potrzeby dzwoń — zarządziła Ky. — Będę w kajucie.

Zakrzętnęła się w kabinie, ścieląc koję i wrzucając powłoczki do odświeżacza. Zwlekała ze stawieniem czoła temu, co ją czekało. Dopiero, kiedy to sobie uświadomiła, usiadła przy biurku i uaktywniła zabezpieczone pliki.

Pod niebem popołudnia przez szum morskiej bryzy przebiło się jednostajne brzęczenie nadlatującego statku... lecz tym razem nie spała i przeglądała dane audiowizualne z zewnątrz, a nie jako uczestniczka. Emocje ojca nie zalały jej świadomości — rozpoznała sylwetki dwóch pocisków, zanim implant je zidentyfikował.

Mimo wszystko gwałtowność wybuchów pozostała wstrząsająca. Jej oddech przyspieszył. Ky świadomie zwolniła odtwarzanie, wciąż na nowo powracając do tego samego ujęcia: czy były to pojazdy bojowe z bombami lub raketami, czy też same były bronią? Nadleciały nisko i szybko. Implant nie zarejestrował — jej ojciec nie pomyślał o poszukaniu ich — odczytów, które mogłyby zdradzić ich naturę.

Ky zaznaczyła najlepsze ujęcia i nakazała implantowi odszukanie podobnych obiektów po eksplozjach, lecz jej ojciec ewidentnie nie szukał potem pojazdów, ani nie ściągnął danych ze skanerów lotniska.

Z powrotem do początku. Implant nie zdradził jej, o czym ojciec myślał tamtego popołudnia, zachował jednak jego plan podróży — lot z Corleigh z powrotem na kontynent — oraz harmonogram spotkań: ze starszymi managerami w siedzibie głównej Vattów (agenda zawierała zapoznanie się z kwartalnymi raportami finansowymi oraz obiad z bratem i jego żoną), a przez kolejne dwa dni ze Związkiem Hodowców Tiku Slotter Key, Komisją Rolną Slotter Key oraz Komisją Doradcą ds. Transportu Slotter Key. Adres ostatniego roku Szkoły Biznesu Nandinii — Ky zignorowała odnośnik do tekstu. Zwyczajna rutyna: sześć dni na dziesięć spędzał na kontynencie; jej matka preferowała łagodniejszy klimat Corleigh, z wyjątkiem szczytu sezonu towarzyskiego.

Plan lotu był ułożony znacznie wcześniej — każdy mógł ustalić, kiedy będzie przebywał na niewielkim, prywatnym lądowisku, a jednak nie doszło tam do żadnej eksplozji.

Odnutowała tę osobliwość i powróciła do nagrań wizualnych.

Lokalne biura eksplodowały — z nieba posypał się deszcz szczątków. Kolejny wybuch... Wizja pociemniała. Na marginesach pojawiły się kolumny czerwonych cyfr, przekazując ojcu najistotniejsze dane. Próbowwała uspokoić oddech — czy właśnie wtedy zginął?

Ale nie. Wizja powróciła, jak gdyby ktoś wydobył go z ruin. Rozpoznała twarze: stary George, ich pilot Gaspard, ktoś znany jej z biura... Marin Sanlin, wypowiedział jej implant. Ojciec spojrzał w stronę domu, zamienionego w wieżę ognia i dymu...

Nawet widząc to, nie była w stanie do końca uwierzyć. Ich rozległy i wygodny dom z wysokimi oknami, łapiącymi morską bryzę i chłodną terakotą na podłogach nie mógł zniknąć tak szybko i całkowicie. Część ścian nadal stała, a w środku szalały płomienie, pożerając jej przeszłość... Długi, wypolerowany stół w jadalni, bibliotekę z półkami infokostek i starych książek, obrazy, pokoje rodzinne...

Na powierzchni basenu unosiły się odłamki drewna i popiół. Ujrzała przerażoną twarz matki...

Ky wyłączyła odtwarzanie, zacisnęła powieki i uniosła je po chwili, by wbić wzrok w pusty ekran wyświetlacza na biurku. Mama. Piękna, inteligentna, pełna gracji i złości na córkę, która nigdy nie była równie piękna, inteligentna i zwinna... Tak często odczuwała złość i bunt, odrzucała rady matki, a teraz... Już nigdy nie powie mamie, jak bardzo podziwiała i kochała kobietę, która ją urodziła.

Odepchnęła się od biurka. To było prawdziwe, to naprawdę się wydarzyło. Jej matka nie żyła — nie było cienia wątpliwości — a ona będzie musiała znaleźć sposób, żeby sobie z tym poradzić, ale nie w tej chwili.

Udała się do pokładowej salki gimnastycznej. Osman nie dowodził rozlazłą jednostką i *Piękna Kaleen* szczyła się znakomitymi urządzeniami do utrzymywania pirackiej załogi w gotowości do walki: od standardowych przyrządów do ćwiczeń po strzelnicę. Wypróbuje część z nich, spalając te wszystkie wysokokaloryczne racje żywnościowe.

Gordon Martin pojawił się tam przed nią. Zatrzymała się na chwilę, obserwując, jak wykonuje całą serię ćwiczeń. Podniósł się twarzą do włazu i uklonił.

— Dzień dobry, pani kapitan.

— Masz ochotę na sparring ze mną? — zapytała.

Uniósł brwi.

— Oczywiście, pani kapitan, ale... wydaje się pani zdenerwowana.

Nie miała ochoty na wyjaśnienia, tylko na zadanie czemuś paru ciosów. Albo komuś.

— Ćwiczenia powinny pomóc — mruknęła.

— Musi się pani najpierw rozgrzać — zauważył.

Skinęła głową i wykonała wszystkie ćwiczenia rozgrzewające tak szybko, jak tylko mogła. Potem przykucnęła na macie. Ky zmusiła się do wolnego rozpoczęcia od podstaw. Gordon dostosował się do niej. Ćwiczyli według tego samego systemu i walczyli ze sobą wystarczająco często, by wyczuć styl przeciwnika. Zanim skończyli, była spocona i obolała, lecz mimo to czuła się znacznie lepiej.

Powrót do przeglądania implantu był trudny. Miała ochotę przeskoczyć część danych, lecz wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić. Oblicze matki — zniekształcone ranami, wysmarowane mokrym popiołem i w oczywisty sposób martwe — ożywiały jedynie odczyty na skraju ekranu. Ojciec patrzył na matkę przez długi czas, zanim ktoś nie zabrał jej ciała, a jego stan nie pogorszył się. Spadek ciśnienia krwi, ciepłoty głębokiej ciała, zawartości tlenu we krwi tętniczej... implant zawieszał nieużywane funkcje ograniczając się w końcu jedynie do zapisu, który teraz przeglądała. Oczyma

ojca ujrzała twarz cioci Grace — pełnej energii staruszki, a nie zblizowanej i marudnej primadonny, jak ją zawsze postrzegala. W tamtej chwili Cioteczka Grace wygladala jak dowodca w krytycznym momencie bitwy. Dobry dowodca.

Implant wyłączyl się podczas ewakuowania ojca, najpewniej dlatego, iż jego stan pogorszył się do tego stopnia, że urządzenie przestało czerpać wystarczającą ilość energii do dalszego nagrywania. Był jeszcze jeden plik z atrybutem „Pilne” o spotkaniu rodzinnym — nie miała pojęcia: gdzie, ani kiedy — po czym implant ponownie się wyłączył.

Stella powiedziała, że ojciec kazal ciotce Grace zabrac jego implant. Czy Grace odczytala te pliki i oznaczyła do pilnego odzyskania? Czy uczynil to jej ojciec? Łatwiej jej bylo rozwazac tę kwestię, niż rozmyslac nad obrazami, które zobaczyła.

Następną godzinę spędzila na badaniu pojemności implantu, choć krótki okres nie wystarczył, by dotrzeć do wszystkich szczegółów organizacji. Implant dowodczy miał znacznie więcej funkcji niż ten, którego używała przed wstąpieniem na Akademię.

Nowa funkcja ansibla, jaką uzyskała dzięki zewnętrznemu połączeniu z Rafem, była zamknięta we własnym jądrze i nosila logo ISC. Będzie musiała zapytać o to Rafe'a, ale nie w tej chwili. Funkcje związane z okrętem były znacznie szersze, niż podejrzewala; gdyby chciala, mogła uchylić polecenie każdego członka załogi. Choć *Pięknej Kaleen* nie modyfikowano od paru dekad — dłużej, niż żyła Ky — stary zestaw komend Vattów, wbudowany głęboko w SI okrętu, słuzył Osmanowi dobrze i pirat nigdy nie zadal sobie trudu wykasowania go. Jej implant polączyl się już z SI, by dostosowac ją do aktualnych standardów Vattów. W kwestiach finansowych zdobyła dostęp do pełnej wiedzy ojca, od typów polis zawartych przez każdego w ich organizacji i na co, po wielkość międzygwiazdowego rynku tiku. Większość tych danych pozostawala poza jej zasięgiem — nigdy nie dbala o zagadnienia inwestycji. Przystudiuje je później lub znajdzie kogoś, kto zrozumie złożone dane. Może Stella.

— Kapitanie... chcialaby pani coś zjeść? — To był Toby, delikatnie stukający do jej drzwi.

— Tak, dziękuję. — Wstala sztywno, czując w kościach poranne ćwiczenia. Powinna jeść. Powinna spać. Implant poinformowal ją, że pracowala od sześciu godzin. Sześć godzin? Już przegapila jeden posiłek.

Mesa *Pięknej Kaleen* miała dwadzieścia miejsc. Załoga Ky skupila się przy jednym końcu długiego stołu. Ostatni posiłek pierwszej wachty był jednocześnie pierwszym posiłkiem trzeciej wachty, więc — oprócz pilnującego mostka Mitta — w mesie znaleźli się wszyscy. Ky usiadła pomiędzy Alene i Lee.

— Skończyłem inwentaryzację zawartości wszystkich przedziałów wypełnionych powietrzem — poinformowal ją Gordon. — Wiem, co mówi SI na temat zawartości pozostałych przedziałów, lecz nie mam pewności, czy to prawda.

— Dysponujemy czymkolwiek, co można jednoznacznie określić jako posiadane legalnie? — zapytala Ky.

— Większość dóbr znajduje się w nieoznakowanych lub standardowych kontenerach, lecz bez listów przewozowych. Osman nie prowadzil listy

okradzionych statków — przynajmniej jeszcze takowej nie znalazłem.

Implant ojca zawierał przepisy prawne dotyczące kaperstwa. Kaper brał w posiadanie nieprzyjacielski statek wraz z ładunkiem i żył z jego sprzedaży. Otwarte pojemniki uznawano za należące do statku, który je przewoził i te bezdyskusyjnie przechodziły na własność kapra, lecz zapieczętowane kontenery z listami przewozowymi należało oddzielić i przekazać do kontroli wyznaczonemu przez sąd biegłemu w następnym porcie zawinięcia. Jeśli okazało się, że stanowiły przesyłkę, dostarczano je odbiorcy za wyznaczoną przez sąd nagrodą dla kapra za „odzyskanie skradzionych dóbr”. Zapieczętowane kontenery bez listów przewozowych były zdradliwe. Technicznie rzecz biorąc, powinny zostać poddane ocenie, lecz kaprzy otwierali zamknięte, ale pozbawione oznakowań kontenery, by zamienić je w pojemniki prywatnego użytku.

Połączyła się z pokładową SI i ściągnęła aktualny stan magazynowy. Nawet więcej, niż się spodziewała. Co miała z tym zrobić? Bogactwo nie wskrzesi martwych. Nawet jeśli odbuduje dom w Corleigh, rodzice nie zamieszkają w nim na powrót... Wujek już nigdy nie zasiądzie na szczycie stołu w sali konferencyjnej Transportu Vattów.

Chciała powrócić do chwili przed tym wszystkim, do domu, do tak doskonale znanego sobie pokoju, do miejsca, gdzie każdy krok, który zrobiła i każdy głos, który usłyszała, były znajome.

To już nigdy nie nastąpi.

Zmusiła się do powrotu do teraźniejszości.

— Czy sprawdzona przez ciebie wersja stanów magazynowych Osmana zgadzała się z rzeczywistością?

— Tak. Zaskoczyło mnie to, lecz przypuszczam, że nigdy nie spodziewał się, iż ktoś uzyska dostęp do danych tego okrętu.

— Wobec tego zakładam, że w pozbawionych powietrza przedziałach jest to, co widnieje na liście. Nie, żebyśmy tego wszystkiego potrzebowali. — Mówiąc to, wiedziała, że palnęła głupstwo. Potrzebowali znacznie więcej, jeżeli miała odbudować firmę Vattów, a co dopiero zaatakować zamachowców.

Po posiłku usiadła w kajucie, żeby zastanowić się, co dalej. Rok temu — to już naprawdę tak długo? — była szczęśliwą i ambitną kadetką czwartego roku Akademii Marynarki Wojennej Slotter Key, planującą karierę oficera Sił Kosmicznych i związek z kolegą z roku, Halem. Od tamtej pory została wyrzucona z Akademii i porzucona przez ukochanego. Jej późniejszą karierę kupca w rodzinnym interesie — która według oczekiwań Ky miała być okropnie nudna — naznaczyły wojna, bunt, próby zamachów, a wreszcie zdobycie tego okrętu, posiadanego wcześniej przez wyrodnego Vattę. Jej rodzinę i kwitnący na międzygwiazdnej skale interes niemal zniszczono. Rząd rodzinnego świata przesłał jej tajny list kaperski, uprawniający do działania w jego imieniu na chwilę przed odmową obrony lub wsparcia jej rodziny, kiedy zaatakował nieznany nieprzyjaciel. Teraz oczekiwano od niej, że ocali resztki rodziny i biznesu, nie mając sojuszników i dysponując bardzo niewielkimi zasobami.

Zbyt wiele zmian w zbyt krótkim czasie. Skupiła się z powrotem na okręcie, za pomocą implantu czaszkowego sprawdzając system po systemie. Wszystko w normie, a zmysły podpowiadały jej, że wszystko smakowało, pachniało i brzmiało normalnie. Nie miała pretekstu, by nie zabrać się za poważniejsze kwestie. Co teraz? Skąd nadejdzie kolejny atak?

Przynajmniej nie podczas lotu w nadprzestrzeni. Po raz drugi włączyła tryb wspomagania snu i obudziła się osiem godzin później wypoczęta na tyle, by przyznać, że pierwsza dawka snu była niewystarczająca. Teraz czuła się gotowa do pracy. Rozważyła kolejną sesję w salce gimnastycznej, lecz postanowiła raczej zająć się tym, czego pragnęła najmniej: przejrzaniem listy cargo Osmana i oszacowania wszystkich pozycji. Dzięki implantowi ojca część zadania okazała się łatwiejsza, niż przypuszczała. Pewnych pozycji oszacować się nie dało — skąd miała wiedzieć, ile ktoś jest skłonny zapłacić za zakazaną technologię, o której istnieniu większość ludzi nawet nie wiedziała?

Zaburczało jej w brzuchu, przypominając, że od dwóch godzin była na nogach, a jeszcze nic nie zjadła. W kambuzie zignorowała kuszący Złoty Pakiet Śniadaniowy Premium — czuła się obżarta tym całym pysznym jedzeniem — zadowolając się batonem proteinowym i kubkiem soku. Ktoś zostawił w zlewie lepki kubek i miskę; umyła je automatycznie, rozważając dostępne opcje. Miała teraz dwie jednostki: *Gary'ego Tobai*, statek stary i wolny, oraz ten okręt: większy, szybszy i — co najbardziej użyteczne — bardzo dobrze uzbrojony. Zaczątek floty, choćby bardzo niewielkiej. Jeżeli zamierzała dowodzić flotą, potrzebowała personelu. A przedtem pełnych, doświadczonych załóg na obu jednostkach... A jeszcze wcześniej musiała ustalić, ile miała pieniędzy na ich obsadzenie i wyposażenie...

— Dzień dobry, pani kapitan. — Gordon Martin sięgnął ponad nią po miskę, którą napełnił skromną porcją suchych płatków. Jak zawsze, wyglądał na żołnierza-weterana, którym był, zanim dołączył do jej załogi. — Skończyłem przegląd systemów bezpieczeństwa. Żli chłopcy Osmana nie mieli czasu na zostawienie zbyt wielu pułapek. Wszystkie rozbroiłem.

— To dobrze — pochwaliła Ky.

— Miałaby pani coś przeciwko temu, żebym przeprowadził dzisiaj ćwiczenia ze strzelania? — zapytał. — Sprawdziłem wzmocnienia ram celu. Są całkowicie bezpieczne.

— W porządku — odpowiedziała. Jej również przydałyby się ćwiczenia. — Martin, chciałabym porozmawiać z tobą o strukturze dowodzenia teraz, kiedy mam dwie jednostki...

— Uważa pani, że może zatrzymać ten okręt? — zapytał, zalewając płatki mlekiem.

— Zamierzam go zatrzymać — odparła. — To okręt Vattów. Przywróciłam go pierwotnemu właścicielowi.

— Dobrze. Chodzi o strukturę organizacyjną?

Nie mówiło się: *Tak przypuszczam* do weteranów pokroju Martina, niezależnie, co stwierdzały jego papiery.

— Tak — odpowiedziała Ky. — Prosta, ale z możliwością rozbudowy.

— Bazującą na tradycji Vattów, czy... — zawiesił głos, patrząc na nią i mieszając płatki.

Ky pokręciła głową.

— Nie przydadzą nam się stare protokoły, dopóki nie uporamy się z tymi, którzy atakują Vattów. Pewnie, że nasze statki handlowe muszą wrócić do przewożenia cargo i zarabiania pieniędzy, lecz nie możemy liczyć na to, póki nas wysadzają, jesteśmy ostrzeliwani i tak dalej. Myślę o niewielkiej flotylli. Obecnie mam dwie jednostki. Jestem pewna, że nie wszystkie statki Vattów zniszczono. Możemy włączać je do planu w miarę ich odnajdywania.

— My? Ma pani na myśli siebie?

— My to ja, moja kuzynka Stella i ty, Martinie. Oraz reszta załogi.

— Lecz z tobą w roli głównodowodzącej. — W jego głosie nie było cienia wątpliwości.

— Tak — potwierdziła. — O ile wiem, pozostałam jedyną z Vattów z odpowiednim przeszkoleniem.

— Taaa. Widzę... — Zjadł dwie łyżki płatków, po czym odłożył sztućce. — Musi pani coś zrozumieć, pani kapitan: mam doświadczenie w zaopatrzeniu i bezpieczeństwie związanym z zapewnieniem dostaw i kontrolą stanów magazynowych. Przebywałem na okręcie w trakcie walki w systemie Slotter Key, ale nie wiem o broni i taktyce tyle, ile pani ode mnie oczekuje.

— A co z tą organizacją? — zapytała Ky.

Kolejna łyżka płatków i zamyślane spojrzenie. Pokiwał głową.

— Wiele z tego rozumiem.

— Martinie, odkąd objęłam dowodzenie na *Garym Tobai*, który jeszcze wtedy nazywał się *Glennys Jones*, najbardziej martwi mnie brak przejrzystej struktury dowodzenia na cywilnych jednostkach kupieckich. Jasne, że kapitan jest szefem, ale kto znajduje się poniżej? Na mniejszych statkach to istna magma. A podczas wojny w bałaganie giną ludzie.

— Czego pani ode mnie oczekuje?

— Przejęcia szkolenia nowych członków załogi i sformowania z nich załóg gotowych do walki. Znalezienia mi specjalistów od uzbrojenia — jeżeli nie znasz się na broni, to założę się, iż znasz odpowiednich ludzi i potrafisz ich wyszukać. Pomóż mi przeorganizować ten okręt i przygotować go na wszelkie okoliczności.

Potakiwał jej słowom.

— Tak, madame, z pewnością mogę to zrobić. Mogę też spędzić to przejście z głową w czytniku kostek, ucząc się instrukcji uzbrojenia tego okrętu. Po prostu wcześniej nigdy nie miałem ku temu okazji.

— Wiem, że potrzebuję zastępcy. Zastanawiałam się, czy ty...

Tym razem pokręcił głową.

— Nie, madame. Nie jestem odpowiednią osobą. Mógłbym być dobrym starszym oficerem, nawet sierżantem sztabowym, lecz jestem praktycznym, twardo

stapającym po ziemi człowiekiem. Atmosfera wokół oficerów jest dla mnie zbyt gęsta.

— Przynajmniej na razie — podsumowała Ky. — Później sam możesz być zaskoczony. Jak oceniasz resztę personelu na pokładzie?

— Pilot jest dobry — odparł. — Powinien jeszcze odrobinę popracować nad formą... nie przypuszczam, żeby nakazała pani wszystkim codzienne wizyty w salce gimnastycznej i ćwiczenia fizyczne?

— Oczywiście — podchwyciła Ky. — Dobry pomysł.

— Ten dzieciak, Toby, jest bardzo młody, za to bystry i pracowity. Nie zawsze można tak powiedzieć o jego rówieśnikach.

— Mam nadzieję posłać go z powrotem do szkoły, jak tylko znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce — powiedziała Ky. Obecnie żadne nie przychodziło jej do głowy, lecz z pewnością znajdzie coś lepszego od oczywistego celu, w jakim przebywali.

— Jim robi postępy...

— Dzięki tobie — zauważyła Ky.

Martin wzruszył ramionami.

— Typowy młodziak — orzekł. — Potrzebuje dyscypliny i szkolenia. Przeważnie wykazuje prawidłowe instynkty, choć ten głupi pies mocno mnie zastanawia. Ale nie jest materiałem na oficera. Alene bardziej nadaje się do pracy cywilnej niż wojskowej, lecz w ciągu najbliższych sześciu miesięcy może mnie jeszcze zaskoczyć. Sheryl... miła kobieta, ale zdecydowanie nie jest typem żołnierza. — Zamilkł.

— A Rafe? — ponagliła go. Rafe musiał stać się częścią jej planu. Nadal nie była pewna swych odczuć wobec niego, lecz dzięki samym powiązaniom był dla niej bardzo cenny.

Oblicze Martina stwardniało.

— Rafe? Przepraszam panią kapitan, lecz nie wiedziałem, że należy do załogi. — Aż się zjeżył z dezaprobaty.

Ky nie wiedziała, czy powinno ją to rozbawić, czy raczej zirytować.

— Robię swoje — oświadczył Rafe, z właściwym sobie instynktem zjawiając się w krytycznym momencie. Jakby chcąc to udowodnić, wziął od Martina pustą miskę z łyżką oraz kubek po soku Ky i ruszył z nimi do zlewu. — Niemniej, Martin, głęboko wierzę, iż masz inne powody, dla których pomijasz mnie w swych fascynujących analizach.

— Znowu podsłuchiwałaś — skarciła go Ky.

— Nie przerywałem najwyraźniej ważnej rozmowy — sprostował Rafe. — Musiałem pozostawać w zasięgu słuchu, żeby wiedzieć, kiedy będę mógł wejść, nie uchybiając grzeczności. Jeśli nazywasz to...

— Podsłuchiwaniami — dokończyła Ky. — Owszem.

— Jak rozumiem, jesteś winny lojalność ISC — powiedział Martin. — Nie Vattom, ani pani kapitan.

Rafe skrzywił się.

— W tej chwili moja lojalność jest nieco zagmatwana. Owszem, przede wszystkim powinienem być lojalny wobec ISC. Lecz to nasza kapitan wyratowała

mnie z sytuacji, z której najbardziej honorowym wyjściem byłoby popełnienie samobójstwa. — Wlał do miski i kubka odrobinę płynu do mycia i wyszorował je. — W związku z czym jestem winien lojalność także naszej pani kapitan, co szczerze mówiąc przyprawia mnie o lekki ból głowy.

— Wyobrażam sobie — mruknął Martin.

— Wątpię — skontrował Rafe. Ky uśmiechnęła się do siebie. Część tego bólu głowy była dosłowna: Rafe przekonał się boleśnie, że w reakcjach na zaloty pani kapitan różniła się znacznie od swej kuzynki Stelli. Jeśli nawet reszta załogi wiedziała, że rozłożyła Rafe'a na łopatki, wszyscy udawali, że do niczego nie doszło. — Są jeszcze... inne okoliczności. — Spojrzenie, jakim ją obrzucił, miało siłę fizycznego ciosu.

— W tej chwili — Ky wyjaśniła Martinowi — Rafe stanowi część równania. Ustaliliśmy, że nasze interesy są zbieżne, jako iż zarówno Transport Vattów, jak i ISC zostały zaatakowane, prawdopodobnie przez tę samą organizację. — Następnie zwróciła się do Rafe'a: — Odniosłeś jakieś sukcesy w przekopywaniu się przez pliki Osmana?

Zapytany skrzywił się.

— Facet ma najlepsze zabezpieczenia, jakie widziałem poza laboratoriami ISC, może nawet lepsze od tamtych. Pracuję nad tym. Na razie udało mi się zapobiec autokasacji bazy danych po wślizgnięciu się do niej, ale to wszystko. Znalazłem parę ciekawych odnośników — przesłałem je na twoje biurko, kapitanie. Nie jestem pewny ich znaczenia, uznałem jednak, że chciałabyś rzucić na nie okiem.

— Stanowczo — przytaknęła Ky. — Ale od dwóch godzin przeglądam cyferki. Potrzebuję nieco ćwiczeń, zanim zmuszę mózg do ponownego wysiłku. Planowałam godzinkę na sali gimnastycznej.

— Sparring ze mną? — zapytał Rafe z niemal niezauważalną nutką złośliwości. Martin drgnął, lecz nie odezwał się.

— Świetnie — zgodziła się Ky. — Zapewne znasz kilka obcych mi sztuczek... — Mówiła lekkim tonem, lecz powieki jej zadrżały. Wiedział i ona wiedziała. Wtedy zaskoczyła go; to już się nie powtórzy.

Rozgrzała się i rozciągnęła, odnotowując, że Rafe miał własny zestaw ćwiczeń, nie całkiem przypominający jej. Następnie rozłożyli maty i stanęli naprzeciwko siebie.

— Połowa prędkości — zasugerował Rafe.

Skinęła głową. Serce jej waliło; zawsze lubiła walkę wręcz i trudno jej było walczyć inaczej niż na całego, ale nie robiła tego od... zbyt dawna. Przykucnięcie Rafe'a z luźno opuszczonymi ramionami sprawiało wrażenie zbyt niedbałego, lecz wiedziała, że to pozór. Skupiła się. Miał nad nią przewagę wzrostu i zasięgu...

Poruszał się płynnie i gładko, zwodniczo powoli. Ky przesunęła się na czas, by zablokować cios i wyprowadzić kontrę. Próbował zahaczyć stopą o jej kostkę... Zmusiła się do poruszania z taką samą powolnością... Przez kilka minut wyprowadzali całe serie ataków i bloków, wszystkie w bardzo wolnym tempie. Ky

szybko zauważyła, że był przebiegłym wojownikiem — jego ataki zawsze były skoordynowane i wielorakie. Nie mogła reagować instynktownym, prostym blokiem, gdyż tym samym wystawiała się na kolejny atak. Jej własne kombinacje ciosów również były złożone, lecz zamykały się w trzech uderzeniach, z którymi Rafe z łatwością sobie radził.

— Jesteś całkiem niezła — przyznał, uchylając się przed kopnięciem. — Myślę, że mam lepszą technikę, ale możesz być szybsza, co równoważy przewagę... — Następny kopniak dotarł do celu. — Chyba nie powinienem czuć zbyt wielkiego wstydu, że pokonałaś mnie ostatnim razem.

— Powinieneś jedynie wstydzić się tego, co próbowałeś — orzekła, przykucając i unikając kolejnej serii ciosów.

— Nadal sądzę, że okłamałaś najemników — oznajmił Rafe. — Wcale nie uważasz mnie za takiego odpychającego.

— Odpychającego? Nie — odparła Ky. — Jesteś przystojny w... — Spróbowała nawałnicy ciosów; bezskutecznie. — ... pewien sposób.

— Kiepska pochwała — uznał. Następne kopnięcie było powolne i zbyt oczywiste; odsunęła się na bok, nie podejmując zaproszenia. — Do licha, za bystra jesteś. To zazwyczaj działa. Proszę o przerwę. — Wycofał się na skraj maty, Ky udała się na przeciwny koniec. — Muszę poważnie z tobą porozmawiać — oznajmił. — To wymaga zbyt wielkiej koncentracji. Możemy zająć się czymś innym?

— Sparring był twoim pomysłem — zauważyła. — Chyba wypróbuję te urządzenia.

— Dobrze. Chodzi o wewnętrzny...

— Ansibl — dokończyła Ky. — Oczywiście. Pozwól, że postawię sprawę jasno. Nie chciałam tego, a teraz, kiedy to mam, nie zamierzam z niego korzystać, ani nikomu o tym mówić. Istnieje jakiś sposób, żeby to usunąć?

— O ile wiem, nie. Dla twojego bezpieczeństwa jest nadzwyczaj istotne, aby nikt o tym nie wiedział.

— Nikt się nie dowie, chyba że ty komuś powiesz — zapewniła go Ky.

Pokręcił głową.

— Jeżeli ktoś się dowie, może chcieć próbować go dostać, albo uruchomić. Powiedziano mi, że skończyłoby się to fatalnie.

Rozdział 2

Wrócili do jej biura i już miała ponownie otworzyć spis ładunku, kiedy Rafe zapytał:

— Zamierzasz wystąpić o nagrodę za uratowanie mienia? Czy tylko o procent od wartości? — Wyjątkowo, w jego głosie nie kryła się żadna kpina.

— To okręt Vattów — odparła Ky. — Uznaję go za skradzione mienie i nie potrzebuję żadnego sądu...

Rafe wyduł wargi.

— Nie należysz do organów ścigania; nie masz prawa tak po prostu zabierać sobie, co twoje.

Ky przypomniała sobie, że prawo kosmiczne było bardziej zawile i tajemnicze od teorii n-przestrzeni.

— To chyba zależy od jurysdykcji, w której wylądujemy... Ciekawe, czy Osman ma gdzieś w bazach danych bibliotekę prawniczą. — Poprzez implant przeszukała pokładową bazę danych, po czym zagłębiła się w odpowiednich sekcjach. Uratowanie mienia nie wchodziło w grę — byli świadkowie, że *Piękna Kaleen* nie była wrakiem, ani porzucona. Odzyskanie skradzionego mienia... nie, Rafe miał rację. Bardzo niewiele systemów prawnych na to zezwalało. Prawdę mówiąc, jedyną podstawę prawną jej działania dawało kaperstwo.

A ona do dzisiaj nie zdradziła Rafe'owi, że ma list kaperski. Jeżeli postanowi dalej kroczyć tą drogą, w końcu kiedyś mu powie, na razie jednak miała na pokładzie osobę, którą darzyła większym zaufaniem.

— Wybacz — oznajmiła Rafe'owi. — Naprawdę muszę to dokończyć. — Uniósł brwi, ale wyszedł w milczeniu.

Gdyby była żołnierzem, a Gordon Martin jej sierżantem, wiedziałaby, czy miała szczęście. Teraz zastanawiała się, czy zostanie z nią po tym, jak się dowiedział.

Spojrzał na nią ze słabym uśmiechem.

— Kaper, co? Cóż, tym razem dokonali właściwego wyboru.

— Słucham?

Poruszył się na krześle.

— Madame, służyłem na okręcie liniowym. Wiedzieliśmy... nieoficjalnie, jak przypuszczam, o programie kaperskim. Przekłeta głupota — tak przeważnie uważałem — choć chciałem być przydzielony na taki okręt.

— A więc zostaniesz?

— Dopóki mnie pani nie wyrzuci, madame. Nie mam z tym problemu. Kaprzy działają nieoficjalnie, ale robią to, co trzeba zrobić.

— Zdajesz sobie sprawę, iż obecnie rząd wydaje się nie być zbyt uszczęśliwiony sprawą rodziny Vattów.

Wzruszył ramionami.

— To polityka, pani kapitan. Zmieni się, jak zawsze. Pani rodzina ma dobrą reputację. Poza tym, znam panią.

To rozwiązało jeden problem, lecz miała jeszcze całą furę innych, prawnych i praktycznych. Dopóki miała zajęcie, nie musiała myśleć o tamtych scenach, aż zanadto uwiecznionych przez implant. Chciała wrócić do domu, natychmiast. Odszukać ocalałych członków rodziny i dowiedzieć się, dlaczego Slotter Key odwróciło się do nich plecami. Nie wierzyła, że rządowi chodziło o Osmana.

Slotter Key

Pomiędzy północą a świtem w pałacu prezydenckim panowały ciemności, z wyjątkiem pomieszczeń służbowych łączności i ochrony. Prezydent zasnął w końcu w swym wygodnym łóżku. W sąsiedniej sypialni chrapała donośnie żona, lecz grube mury i drzwi tłumiły denerwujący bulgot i sapanie.

Obudził go dzwonek komunikatora. Serce przyspieszyło bicie. Kto dzwonił o takiej porze? Żadna rozmowa nie powinna zostać połączona; powinien obudzić go służący... Szukał po omacku konsoli przy łóżku, ale zdał sobie sprawę, że to dzwonił jego telefon czaszkowy.

— Zajrzyj pod poduszkę — wyszeptał głos. Połączenie urwało się.

Podniosły mu się wszystkie włosy na ciele; tonął w zimnym pocie. Pod poduszką nie powinno być niczego — zawsze obracał ją przed snem — nie mógł jednak zignorować tego głosu. Zapalił światło i uniósł poduszkę.

Chip z danymi, nie większy od paznokcia kciuka, nie dawał żadnych wskazówek. Był tam, w miejscu, gdzie nie powinno go być. Jego maleńka, lśniąca obecność przerażała. Oczywiście, miał w sypialni czytnik chipów, czuł jednak opory przed użyciem go. Co będzie, jeżeli to nie był chip z danymi, tylko coś innego, wybuchowego? A może był toksyczny i już go otrul? Spływający po żebrach pot śmierdział... z pewnością nie mógł tak pachnieć przez cały czas.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, lecz cała reszta była na miejscu. Nie słyszał żadnych niezwykłych dźwięków, ale serce waliło mu tak, że nie mógł być tego do końca pewny.

Musiał wziąć się w garść. Uspokoić się i pomyśleć. Jeżeli wezwie ochronę, pobudzą wszystkich, narobią potwornego zamieszania i prawdopodobnie nie odkryją nic pożytecznego. Wiedział, kto za tym stał, niezależnie od tego, czy uda się to udowodnić, czy nie: Grace Vatta. Ta stara wiedźma była szalona; wylądowała raz w szpitalu wariatów i nie powinni byli jej stamtąd wypuszczać. Po prostu musiał znaleźć sposób na zneutralizowanie tej baby.

Gracie Lane Vatta uśmiechnęła się do siebie, obserwując pot spływający po twarzy, żebrach i plecach prezydenta. Już wiele lat temu ochrona powinna odkryć furtkę w ich własnym systemie monitorowania, lecz nie uczyniła tego. Włoży ten chip do czytnika, czy nie? Wezwie ochroniarzy? Miała plan na każdą ewentualność, a wszystkie były równie niepokojące, jak obecność chipu pod poduszką. Jak już się uspokoi, to bez wątplenia ułoży własne plany. Wiedziała, że był wystarczająco

cwany, by ją podejrzewać, była jednak pewna, iż jej plany są lepsze od jego. Miała więcej czasu, żeby nad nimi popracować.

Na konsoli roboczej rozjarzyła się kontrolka. Nie spuszczać oka z ukazującego prezydenta ekranu, Gracie przełączyła kanał na nagrywanie i przyjęła rozmowę.

— Coś znalazłem — oznajmił męski głos. Gracie przeszukała pliki głosowe i wykrzywiła usta. Starszy sierżant MacRobert z Akademii Marynarki Wojennej Slotter Key. Czy powinna użyć jego nazwiska i zaskoczyć go?

— Proszę się przedstawić — poleciła.

— Akademia Marynarki Wojennej — odparł. — Myślę, że wie pani, kim jestem i wolałbym, aby moje nazwisko nie było używane. Słyszałem, że bada pani ostatnie nieprzyjemne wydarzenia. Szczegółowo.

— Tak.

— Ten dzieciak Miznarii, który wpędził pani bratanicę w kłopoty...

Stłumiła sapnięcie.

— Tak?

— Kontaktował się z nim ktoś utrzymujący, że jest Vattą. Słyszała pani o jakimś Osmanie?

— Osman Vatta, owszem. — Pamiętała Osmana aż nazbyt dobrze. Próbowwała przekonać starszyznę Vattów, że trzeba go zabić, lecz było to zaraz po wypuszczeniu jej z azyłu i usłyszała groźby, że zostanie tam odesłana. Udział Osmana wiele wyjaśniał. Na przykład wiedział o bunkrach pod siedzibą główną korporacji.

— Jest Vattą? — W głosie MacRoberta zabrzmiała niepewność.

— Niestety tak. Nieprzyjemny typ, dawno temu wyrzucony z rodziny, niemniej, to nadal Vatta. A więc Osman zapłacił temu studentowi, żeby narobił Ky kłopotów?

— Powiedział, że sympatyzuje z uczuciami Miznarii odnośnie biomodyfikacji i zasugerował, iż Ky — jako Vatta — chętnie pomoże mu skontaktować się z kapłanem, aby mógł opowiedzieć swoją historię.

— A co on, głupi? Mam na myśli tego chłopaka.

— Nie jest najbystrzejszym z naszych kadetów, ale nie jest głupi. Raczej niedoświadczony. Prawdziwie religijny. Osman powiedział mu także, że Ky nie będzie miała kłopotów, ponieważ jest Vattą.

— Czyli chłopiec nie miał złych intencji?

— Przynajmniej nie wobec Ky. Był wstrząśnięty jej zniknięciem. Twierdził, że była jedyną osobą na Akademii, która zaprzyjaźniła się z nim i była dla niego miła.

— Jak pan to ustalił?

— On... eee... nie zdał. — Głos MacRoberta stał się ponury. — Niezależnie od wszystkiego, Ky była bardzo popularnym kadetem i nikt nie chciał poświęcić czasu chłopakowi, którego uczyła. Stroniono od niego. On... eee... popełnił samobójstwo.

— Po opowiedzeniu panu tego wszystkiego?

— Nie, po opisanu tego w liście, co traktował jako obowiązek religijny. Na szczęście znalazłem go przed kapłanem Miznarii. Ja... eee... trochę go przeredagowałem, ale zrobiłem kopię. Pomyślałem, że mogłaby pani zechcieć otrzymać te informacje.

— Przede wszystkim chcę wiedzieć, dlaczego pan to robi — oświadczyła Grace. — Podejrzewam, że właśnie łamie pan kilka istotnych punktów regulaminu...

— Marynarka Wojenna nie wykonuje swojej pracy — odparł MacRobert. — Ktoś dotarł do kogoś, a ja chcę wiedzieć, kto i jak. Myślę, że pani prędzej to odkryje.

— Powinniśmy się spotkać — zaproponowała Grace.

— Nie.

Spodziewała się tego i miała gotową odpowiedź.

— Musimy porozmawiać dłużej i bardziej otwarcie niż przez choćby najlepiej zabezpieczone łącze komunikacyjne. Albo mi pan ufa, albo nie.

Długie milczenie, po czym:

— Czemu miałbym pani ufać?

— Z tych samych powodów, dla których ja powinnam zaufać panu — odrzekła. — Potrzebujemy siebie. Zaszkodzenie drugiej stronie nie posłużyłoby żadnemu z nas. Zależy panu na Marynarce Wojennej...

— ... i Slotter Key — dopowiedział szybko.

— Świetnie. Mnie również. Na Vattach i Slotter Key.

— Figuruje pani na liście zakazanych kontaktów — poinformował ją MacRobert.

— Pan także: Vattom zakazano kontaktów z personelem Akademii Marynarki Wojennej — odparowała Grace. — Jaka decyzja? Musimy się spotkać. Dostaje pan jakieś urlopy?

— Za siedemnaście dni — odparł. — Po promocji mamy tutaj sprzątanie, więc dostaję dziesięć dni przed przybyciem nowego rocznika.

— Jaki sport? — zapytała Grace.

— Sport?

Pozwoliła sobie na pełne irytacji syknięcie.

— Proszę wybrać sport — wyjaśniła. — Uprawiany przez pana.

— Och. Eee... wędkarstwo. Na Wzgórzach Samplin. Zwykle wynajmuję domek nad jednym ze strumieni w okolicach jeziora Tera.

— Świetnie — orzekła Grace. — Teraz też proszę tak zrobić. Preferuję suche muchy.

— Ja łowię na mokre — odparł.

— Znakomicie. Wobec tego, do zobaczenia. — Przerwała połączenie.

Na ekranie prezydent wstał, poszedł do łazienki, wrócił ze szklanką wody, poszperał w szufladzie i rozpakował pomarańczową pigułkę.

— Błąd — mruknęła Grace. — Rano będziesz senny... — Zostawił chip pod poduszką. Kolejny błąd. Jeżeli pod wpływem lekarstwa o nim zapomni i znajdą go służące... Uśmiechnęła się, wyobrażając sobie furorę, do jakiej dojdzie, gdy chip znajdzie się w rękach ochrony. Odczekała, aż prezydent uśnie i zachrapie, po czym zabawiła się ze sprzętem obserwacyjnym w pokoju, wklejając w podgląd mroczną postać, która wymknęła się z szafy, podeszła do poduszki prezydenta i uciekła. Znajdą to podczas codziennego przeglądu nagrań i ktokolwiek nadzorował nocną wartę, wpadnie w wielkie kłopoty.

Następnie przejrzała rejestry wynajmu wakacyjnych domków nad rybnymi strumieniami wokół jeziora Tera i odkryła, że od dwunastu lat MacRobert dokonywał rezerwacji poprzez Murrian Holiday Rentals. Zgodnie z ich zapisami preferował Greyfalls, następnie Overbrook, a na trzecim miejscu plasowało się Zielone Wzgórze. Wszystkie nad Środkowym Biegiem. Miał rezerwację na Greyfalls; pozostałe dwa miejsca były już zajęte. Najbliższym wolnym domkiem był Brookings Manor — „prawdziwa farma z dużym domem, przystosowanym do wizyt typu 'nocleg ze śniadaniem'. W cenę pobytu wliczone prawo do łowienia ryb w Środkowym Biegu w niewielkiej odległości od posiadłości. Możliwość krótkiego i dłuższego wynajmu oraz zakupu.” Całkiem niezłe miejsce, które mogłoby służyć bezdomnej rodzinie Vattów jako tymczasowa siedziba.

Po krótkich targach z sekcją większych nieruchomości Murrian Real Estate Grace wynajęła posiadłość na rok na nazwisko wdowy po Stavrosie, która — co zupełnie zrozumiałe — wróciła do swojego panieńskiego nazwiska. Wdowa przenosząca się z krewnymi do wiejskiej rezydencji nie wywoła żadnego zdziwienia. W tej chwili Helen mieszkała w jednym z domów Stamarkosa. Poza tym, to i tak nie mogło zbyt długo potrwać.

Poradzenie sobie z kilkoma problemami za jednym zamachem było takie satysfakcjonujące. Grace przeciągnęła się i pozwoliła sobie na krótką drzemkę. Jedną z zalet starości było to, że nie przejmowała się brakiem snu w nocy.

Garth-Lindheimer

Ky Vatta rozejrzała się po mostku *Pięknej Kaleen* na krótko przed powrotem do normalnej przestrzeni Systemu Gartha-Lindheimera. Załoga usunęła wszystkie świadectwa pirackiej działalności, z wyjątkiem przedmiotów trzymany pod kluczem na wypadek, gdyby potrzebne były dowody. Tygodnie w nadprzestrzeni zapewniły im mnóstwo czasu na inwentaryzację ładunku, oczyszczenie i reinstalację komputerów i uczynienie z *Kaleen* zdrowego okrętu dla porządnej załogi. Po odmalowaniu jednostka mogła zostać okrętem flagowym nowej floty Vattów i dowodem, że Transport Vattów pozostawał funkcjonującym koncernem.

Mogła też zostać kaprem i dowodem na to, że Transport Vattów pozostawał funkcjonującym koncernem z zębami.

Po wynurzeniu się w Systemie Gartha-Lindheimera doskonale skanery jej okrętu nie wykryły niczego podejrzanego, poza nie funkcjonującym ansiblem. Bez niego nie mieli łączności w czasie rzeczywistym z centrum ruchu Gartha-Lindheimera, wobec czego Ky wprowadziła dane jednostki w odpowiedzi na zapytanie automatycznej latarni. Zgodnie z oczekiwaniami konwój wynurzył się daleko przed nimi z eskortą Mackensee na flankach. Ruch był mniejszy, niż przewidywała i — poza dwoma wyjątkami — tworzyły go lokalne jednostki. Oba statki miały standardowe latarnie identyfikacyjne; jeden skoczył w nadprzestrzeń, nim dotarł do nich jego sygnał.

Wywołała eskortę.

— Po zadokowaniu reszta statków jest mi winna procent za bezpieczny przelot. W obecnej sytuacji mogę scedować to na was, jeśli chcecie. A może dokonaliście z

nimi własnych uzgodnień?

Podpułkownik Johannson pokręcił głową.

— Nie, kapitanie Vatta. Nadal mają umowę z panią, nie z nami. W tej chwili od strony prawnej to prawdziwe bagno. Nie komplikujmy sytuacji. Zapłacą pani zgodnie z ustaleniami. Pani zapłaci nam zgodnie z ustaleniami. Potem rozstaniemy się. — *Na zawsze*, sugerował jego ton.

— Jeśli to pomoże, to z przyjemnością dostarczę opinię o pańskim dowodzeniu — oznajmiła Ky.

— Obawiam się, że nie pomoże — odparł Johannson. — Każda pani opinia jest toksyczna. Po prostu, kiedy wreszcie wrócimy do domu, zbierzemy należne nam cięgi.

— Przykro mi, że sprawiliśmy wam takie problemy — powiedziała Ky. Podczas długiego przelotu miała wystarczająco dużo czasu, by uświadomić sobie, jaką była idiotką jak bardzo najemnicy nagieśli swoje zasady, by uratować ją i statek. Czy powinna to przyznać? — Miał pan rację — oświadczyła. — W sprawie pułapki i... wszystkiego. Nie żałuję wyeliminowania Osmana, lecz zapewne istniał mniej ryzykowny sposób, żeby to osiągnąć...

— Mam nadzieję, że będzie pani o tym pamiętać w następnej trudnej sytuacji — odparł Johannson. Jego głos ocieplił się o ułamek stopnia.

— Będę — zapewniła go Ky. — I doceniam, że uratowaliście nam tyłki.

— Pewne tyłki są warte ratowania — rzucił Johannson i przerwał połączenie.

Ky wpatrywała się przez moment w pusty ekran. O czym mówił? O jej skórze? Czy Transportu Vattów? Potrząsnęła głową i wywołała Stellę na *Garym Tobai*.

— Jak podoba ci się rola kapitana?

— Jak dotąd, nie popełniłam żadnego fatalnego błędu — odrzekła Stella. — Myślę, że Quincy mogłaby poprowadzić ten statek sama, choć pilnie się uczyłam. Ale jak wylądujemy bez pilota? Nie jestem w stanie go sprowadzić, a Quincy mówi, że nie może. Nie jest licencjonowanym pilotem, a poza tym, nie wie, jak.

Ky nie pomyślała o tym problemie. Z prawnego punktu widzenia, bez licencjonowanego pilota na pokładzie nie powinni zbliżać się na odległość mniejszą niż dwa kilometry do jakichkolwiek obiektów. Z prawnego punktu widzenia na każdym statku powinien znajdować się licencjonowany pilot, niemniej, większość stacji orbitalnych wynajmowała pilotów tym jednostkom, których piloci byli z różnych przyczyn niezdolni do wykonywania zadań. Było to jednak kosztowne, poza tym, umożliwiało obcym wtargnięcie na pokład. Woląca nie ufać pilotowi, którego nie znała.

Obejrzała się na własnego pilota.

— Lee, co byś powiedział na transfer w skafandrze z powrotem na *Gary'ego Tobai*, żeby sprowadzić go do doku?

Skrzywił się.

— Mogę... jeżeli nie ma innego sposobu. A może dopisze nam szczęście i na stacji mają pilotów do wynajęcia.

— Mają jednego — odparła Ky. — Ale po tym, jak próbował mnie zabić licencjonowany strażnik z agencji ochrony, jakoś nie mam zaufania do komercyjnych usług.

— W ładowni numer trzy jest skuter — odezwał się Rafe.

— To lepsze od pływania — mruknął Lee. — Ale będziecie musieli poczekać tutaj na mój powrót, żebym sprowadził was na dół — zakładając, że *Gary'ego* posyłamy przodem.

— Taki miałam plan — potwierdziła Ky. — Nie powinni wpaść w kłopoty, mając nas nad sobą uzbrojonych po zęby. Mam nadzieję.

Potem Ky porozmawiała z kapitanami w konwoju, wyjaśniając im, że jej kontrakt z Mackensee zakończy się po zadokowaniu.

— Jak tylko znajdziemy się wystarczająco blisko, otworzę nowy rachunek, na który będziecie mogli przelać należność.

— Ale my chcemy lecieć dalej — powiedział kapitan Sindarin z *Pięknej Bel*.

— W takim razie musicie sami zawrzeć umowę z Mackensee — odparła Ky. — Zgodzą się.

— Dlaczego zatrzymaliśmy się i tkwiliśmy w tamtym miejscu przez tyle dni? — spytała kapitan Tendel z *Siatkoskrzydłego*. — Mackensee powiedzieli nam tylko, że tak było bezpieczniej.

— W systemie, przez który przelatywaliśmy, czaił się pirat — wyjaśniła Ky. — Ze sprzymierzeńcami. Mackensee wyskoczyli z systemu, wrócili i rozprawili się z nimi.

— Och. Ale nie było was na skanerach... gdzie byliście? — To był kapitan Harper z *Mojej Bess*.

— Zostałam przynęta — odparła Ky. — Z własnego wyboru. Stąd wziął się ten okręt.

— Och. Myśleliśmy, że przyjęła pani kolejny statek do konwoju. Latarnia nadaje sygnał Vattów. — Jak zwykle, kapitan Tendel robiła taką minę, jakby o coś ją podejrzewała.

— Pirat ukradł statek Vattów — wyjaśniła Ky. — Działali nielegalnie pod naszym szyldem.

— Zabiera więc pani ten statek do oszacowania?

— Zgłaszam odzyskanie skradzionej własności — sprostowała Ky. — Jeśli chcecie, możemy to przedyskutować po zadokowaniu.

Harper pokiwał głową, Tendel tylko wpatrywała się w Kylarę, dopóki ekran nie pociemniał.

— To było interesujące — odezwał się Rafe ponad jej ramieniem. — Ciekawe, co Tendel ma przeciwko tobie. Masz może większy statek?

— Może. Dopóki płaci, to naprawdę bez znaczenia. — Tak naprawdę ładunek na *Pięknej Kaleen* miał wystarczającą wartość, by pokryć opłaty, gdyby któryś z członków konwoju odmówił zapłaty. O ile ktoś kupi podejrzone cargo z dawnego okrętu pirackiego... Oczywiście, że kupią. Osman prowadził takie życie, w dodatku całkiem wygodnie.

Okolo minuty świetlnej od głównej stacji otrzymali ostrzeżenie.

— *Wszystkie zbliżające się statki. Wszystkie zbliżające się statki.* Proszę o identyfikację na kanale osiemnastym z podaniem nazwy statku, rejestru, właściciela, organizacji, nazwiska kapitana i liczebności załogi. Nie schodźcie z dotychczasowego kursu — jesteście na celowniku.

— Przyjacielska gromadka — uznał Lee.

— Są lepsi od tego, co słyszeliśmy o Leonorze — zauważyła Ky. Wprowadziła dane *Pięknej Kaleen* tak, jakby zawsze była jedynie statkiem Transportu Vattów. Przynajmniej chip nadajnika potwierdzał podawaną nazwę. Zarejestrowana na Slotter Key, właściciel: Przedsiębiorstwo Vattów. Organizacja: Transport Vattów. Kapitan: K. Vatta, załoga: sześć osób.

Bardzo szybko otrzymali głosową wiadomość zwrotną. Ky nie była pewna, czy wypowiadał ją człowiek, czy została wygenerowana przez komputer.

— Właściciel i kapitan nie pasują do zapisów z ostatniego kontaktu. Ten okręt i kapitan z zapisu nie mają prawa wstępu do naszego systemu. Proszę o wyjaśnienie.

Nie chciała składać wyjaśnień na ogólnie dostępnym kanale.

— Proszę o zabezpieczone połączenie.

— Zabezpieczone połączenie udostępnione... — Rozbłysło światełko potwierdzenia: opóźnienie minuty świetlnej plus jedna — dwie minuty.

— Proszę mówić, kapitanie Vatta — rozległ się inny głos. — Tutaj ochrona portu, jestem Edvarrin, szefowa wydziału. — Rozmyty obraz ustabilizował się, ukazując kobietę o surowej twarzy, ubraną w zielony mundur z niebieskimi wyłogami. Przędz dobiły dwa rzędy srebrnych guzików.

— Osoba dowodząca tą jednostką nie była pracownikiem Vattów — oznajmiła Ky. — Jak rozumiem, mieliście z nim jakąś sprawę? — Zawiesiła głos, obserwując odczyty chronometru. Pięćdziesiąt dziewięć sekund na dotarcie wiadomości... pięćdziesiąt dziewięć na powrót... plus czas potrzebny na ułożenie odpowiedzi.

Na pytanie odpowiedziano pytaniem.

— Należał do rodziny Vattów, czy posługiwał się fałszywą tożsamością?

— Z urodzenia był Vattą, tak — potwierdziła Ky. — Wiele lat temu wykluczono go z rodziny. Ukradł ten statek i przedstawiał się jako część Transportu Vattów, ale tak nie było. Cokolwiek uczynił, zrobił to na własny rachunek, bez żadnej autoryzacji z naszej strony. — Kolejne oczekiwanie. Próbowwała przewidzieć następne pytanie, by móc szybko na nie odpowiedzieć.

— A pani związek ze strukturą korporacyjną Transportu Vattów?

Kolejna niewygodna kwestia. Jak daleko dotarły wieści o kłopotach Vattów?

— Mój ojciec był szefem finansów — odparła. — Do śmierci.

— Nie możemy tego zweryfikować w związku z awarią ansibli...

— Powinniście mieć jakieś dane o Transporcie Vattów — powiedziała Ky. — Jest u was jakiś nasz statek?

— Nie. Statek Vattów odleciał dziesięć dni przed awarią ansibli. Jeżeli naprawdę jest pani Vattą, to powinna wiedzieć, jakie statki latały na tej linii.

— Chwileczkę — rzuciła Ky. Zapytała implant i pojawiły się dane ojca. Garth-Lindheimer leżał na lukratywnym szlaku handlowym, Vattowie mieli dwa statki,

które na stałe obsługiwały tę trasę. — *Connie R.* pod dowództwem Casamira Vatty oraz *Tregallat* z kapitanem Bentonem Gallatem. — Przerwała. — Jeżeli nic nie zakłóciło ich rozkładów lotów, statkiem, który odleciał przed awarią ansibli, powinna być *Connie R.* Czasami zastępują siebie nawzajem.

— Zgadza się. Mamy jeszcze inny statek Vattów w tej grupie: *Gary'ego Tobai*. Znajduje się na naszej liście z kapitanem K. Vattą.

— Tak. To był mój statek. Obecnie kapitanem jest moja kuzynka Stella. Przejęła go ode mnie, kiedy... pozyskałam ten okręt.

— To kolejna sprawa, kapitanie Vatta. Jak dokładnie pozyskała pani okręt, którym obecnie dowodzi?

— Osman Vatta zastawił na mnie pułapkę — odparła Ky. Zastanawiała się, jak najlepiej to przedstawić. — Nienawidził mojego ojca, ponieważ to właśnie on i mój wujek usunęli go z rodziny. Statek miał nadajnik identyfikacyjny Transportu Vattów, więc początkowo zaufałam mu...

— Ale z pewnością została pani przed nim ostrzeżona. Czy wy, Vattowie, nie używacie implantów?

— Został wygnany wiele lat temu — wyjaśniła Ky. — Przypuszczam, iż tata uznał go za martwego lub przebywającego tak daleko, że spotkanie z nim miało być wysoce nieprawdopodobne. W każdym razie, początkowo niczego nie podejrzewałam. Podróżowaliśmy w konwoju pod zbrojną eskortą Korporacji Pomocy Wojskowej Mackensee i to oni właśnie stwierdzili, że mogła to być pułapka. Nie uwierzyłam im i zostałam z tyłu, oni zaś polecili dalej z konwojem. To była pułapka: Osman próbował wdrzeć się na statek i pozabijać nas. Miał sojuszników: dwa okręty pirackie. Zaimprovizowaliśmy obronę... Zdołałam wysłać prośbę o pomoc i po paru godzinach — po śmierci Osmana — Mackensee udało się wrócić i zająć pozostałymi okrętami, zanim zbliżyły się do nas.

— Nie widzieli więc, co się stało? Nie ma pani potwierdzenia swojej wersji?

— Mogą potwierdzić, że go podejrzewali. Że opuściłam konwój, żeby go sprawdzić. Że wezwałam pomoc. Że były tam dwa okręty, które po wywołaniu rozpoczęły walkę. Ale co się stało, kiedy wdarł się na pokład *Gary'ego Tobai* — nie.

— Nastąpiła standardowa przerwa, podczas której Ky zastanawiała się, czy pomogłyby zapisy bezpieczeństwa z *Gary'ego Tobai*. Czy bez niej, Gordona Martina i Rafe'a na pokładzie Stella zdoła je odszukać i skopiować?

— Bardziej prawdopodobne jest to, że udawała pani przynętę w zasadzce zorganizowanej przez pani konwój — orzekła Edvarrin. — Mały, pozornie nieuzbrojony stateczek, jak *Gary Tobai*, za to mający wsparcie wojskowych, zdobywa okręt, którym obecnie pani dowodzi? Mackensee nie słynie z tego typu akcji, lecz zdarzało się już, że najemnicy wdawali się w różne awantury. Kupcom zwyczajnie brakuje umiejętności i sprzętu, by poradzić sobie z piratem, a co dopiero z całą grupą. — Krótka przerwa, po czym: — Mackensee informuje nas, że ma pani list kaperski ze Slotter Key. Oraz eksperta ISC na pokładzie, który naprawiał uszkodzone ansible. Szczerze, kapitanie, nie mamy podstaw, by wierzyć, iż jest pani uczciwym kupcem lub profesjonalnym przewoźnikiem.

Ky nie wiedziała, co powiedzieć. Przewidywała, że napotka opór przed przyznaniem jej tytułu prawnego do posiadania okrętu, nie sądziła jednak, iż ktoś mógłby uznać ją za pirata.

— Faktycznie mam list kaperski — przyznała. — Ale faktem jest, że Osman Vatta — któremu sami zakazaliście wstępu do systemu — napadł na mój statek z zamiarem zabicia mnie.

— O tym zadecyduje sąd — odpowiedziała Edvarrin po przerwie dłuższej niż zazwyczaj. — Pani eskorta wojskowa potwierdza pani opowieść, twierdzi jednak również, iż nalegała pani, aby zabrać okręt Osmana w charakterze łupu. W tej sytuacji, w obliczu braku łączności z siedzibą korporacji Vattów i rządem Slotter Key, a także brakiem dyplomatycznego przedstawicielstwa Slotter Key, które mogłoby potwierdzić lub zaprzeczyć ważności pani listu kaperskiego, nie zgadzamy się na lądowanie tego okrętu u nas pod pani dowództwem. Zajmie pani pozycję w odległości co najmniej dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów od stacji orbitalnej pod strażą naszej systemowej służby bezpieczeństwa i dotrze na stację promem. Może pani pojawić się w sądzie zgodnie z sekcją 82, paragraf 32 b Zunifikowanego Kodeksu Handlowego. Sąd zbierze się po pani przybyciu i określi legalność jej działań oraz kwestię własności *Pięknej Kaleen*. Jeżeli postanowi pani nie poddawać się tej procedurze, nie wolno jej będzie zbliżyć się na więcej niż pięćdziesiąt tysięcy kilometrów. Przy waszym obecnym kursie punkt ten osiągniecie za około szesnaście godzin.

Ky rozejrzała się po mostku i napotkała spojrzenia równie zbaraniałe, jak jej własne.

— To jest... nie tego oczekiwałam — oznajmiła. — Wyjaśnienie wszystkiego może zabrać wiele dni.

— Jeżeli tam polecisz, wylądujesz w więzieniu — powiedział Rafe. — Pamiętaj to: *sąd określi legalność działań!* Jeżeli sąd cywilny postanowi, że postąpiłaś źle, zabijając Osmana i jego załogę, zostaną ci postawione zarzuty kryminalne w systemie, w którym nawet nie ma twojego przedstawicielstwa dyplomatycznego.

— To jedyny sposób, żeby dowieść, kim naprawdę jestem — zaprotestowała Ky. — Muszę zdobyć prawne podstawy do użytkowania tego okrętu.

— To sposób na utknięcie za kratkami bez żadnej szansy udowodnienia, kim naprawdę jesteś.

Martin obrzucił Rafe'a przeciągłym spojrzeniem, po czym skinął głową.

— Ma rację, pani kapitan. Chcą, żeby poleciała pani sama tam, gdzie nikogo nie zna, ani nie ma sprzymierzeńców. Nawet nie może pani zadzwonić do ambasady Slotter Key, o ile jakaś tam jest.

— Nie ma — oznajmiła Ky. — Sprawdziłam. Reprezentuje nas Konsorcjum Fiella.

— Sama pani widzi. Żadnych sojuszników, wsparcia — czyste szaleństwo.

— Ale jeśli tam nie polecę, uznają mnie za pirata. Co stanie się ze Stellą i *Garym Tobai*? — Stella sobie poradzi — orzekł Rafe. — Wstawią się za nią Mackensee i pozostali kapitanowie. To nie ona podejmowała decyzje. Jako twoja oficjalna przedstawicielka może przyjąć należności od reszty konwoju i zapłacić Mackensee.

— Muszę jeszcze raz porozmawiać z Johannsonem — powiedziała Ky. — I Stellą. Ale najpierw muszę im coś odpowiedzieć.

— Wcale nie musisz. Masz parę godzin. A przy okazji, *partnerko*, doprawdy doceniam, że nie powiedziałaś mi o liście kaperskim. Miałaś zamiar powiadomić mnie o nim?

— Owszem — odrzekła Ky. — We właściwym czasie.

Obrzucił ją nieprzyjemnym spojrzeniem.

— Cóż, ten czas wybrał ktoś inny. Mam nadzieję, że nie ukrywasz w zanadrzu więcej niespodzianek dla mnie. Knucie wychodzi mi najlepiej, kiedy znam wszystkie fakty.

— O niczym więcej nie wiem — zapewniła go Ky. — Jeśli ma to znaczenie, to nie zamierzałam korzystać z tego listu kaperskiego, jako iż od chwili, w której trafił w moje ręce wiedziałam, że rząd Slotter Key zwrócił się przeciwko naszej rodzinie. Jestem pewna, że gdyby ansible działały, natychmiast by go anulowali lub wyparli się jego istnienia.

Rafe zamrugął.

— Nie zamierzałaś z niego korzystać? A cóż to za idiotyzm? To przecież wspaniała okazja odbudowania floty Vattów. Nie każdym systemem rządzi równie skostniały rząd, jak tutaj; wszystko jest w porządku, dopóki nie napadasz na ich obywateli i wydajesz pieniądze w ich portach.

— Jeśli jednak Slotter Key...

— Co cię obchodzi ich opinia? Zwrócili się przeciwko twojej rodzinie, tak? Niech sobie wyją. Masz dobry, szybki okręt i list kaperski. Byłabyś szalona, nie wykorzystując go. — Ky rozejrzała się dokoła i zauważyła, że wszyscy patrzyli na Rafe'a, jak gdyby wyrosła mu dodatkowa para kończyn. On też rozejrzał się, po czym wrócił do niej spojrzeniem wyzywającym, jak błysk miecza. — Co, nie jesteście chyba przeczuleni, ani nie dręczą was wyrzuty sumienia? Po tym, jak zabiliście Osmana?

Pokręciła głową.

— Nie... nie mam wyrzutów sumienia. Osmana trzeba było zabić. Chodzi o to...

Przerwał jej.

— Chodzi o to, że zawsze byłaś grzeczną dziewczynką, jak mawiała Stella. Przestrzegająca prawa i zasad. Cóż, zobacz, dokąd doprowadziło to twoją rodzinę. Większość z nich nie żyje. Nie mówię, że masz zamienić się w mściwego korsarza, jak Osman, jeśli jednak chcesz przydać się ocalałym, to nie możesz martwić się zbyt opinią innych.

Ky była świadoma napiętej ciszy — uwaga załogi mostka była wręcz namacalna. Zaschło jej w ustach. Czowała się tak, jakby miała zaraz wyskoczyć ze statku w próżnię i swobodnie spadać. Pojawiła się iskierka humoru — już tak robiła. Z linką do bungee. I nie była już miłą, przestrzegającą zasad dziewczyną... o ile kiedykolwiek była. Zabijała już i spodobało jej się to... Miała nadzieję, że nikt tego nie podejrzewał.

— Zakładam, że jeśli łączność zostanie przywrócona — zaczęła powoli — i Slotter Key spróbuje cofnąć mój list kaperski, to... poradzę sobie z tym.

Wrażenie lekkiego odprężenia. Wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze z płuc.

— W porządku. Nie włożę głowy w pętlę tylko po to, żeby przekonać się, jak mocno może się zacisnąć. Niemniej, muszę porozmawiać ze Stellą, eskortą Mackensee oraz możliwie największą liczbą kapitanów.

Nie odezwał się nikt, za to wszyscy odetchnęli z ulgą.

— Jesteśmy wystarczająco zaopatrzeni na dalszą podróż — kontynuowała, jakby do siebie. — Nie możemy jeszcze wypełnić powietrzem całego okrętu, mamy jednak mnóstwo tlenu dla nas oraz mocy do podtrzymywania środowiska. Zbiorniki mogą zacząć produkcję. Mamy też mnóstwo wody, prawda, Mirt?

— Tak jest, mnóstwo. Jeśli pani chce, możemy zacząć elektrolizę, bezpieczniej jednak działać powoli.

— Świetnie. Musimy znaleźć port docelowy, który byłby odległy o dwa skoki i miał łagodniejsze podejście do regulacji operacyjnych.

Rozdział 3

Ky połączyła się z *Garym Tobai* i ujrzała na ekranie rozszerzone oczy Stelli.

— Zamierzasz mnie zostawić? A jeśli mnie zamkną? — zapytała. — Bo niby czemu nie?

— Nie dowodziłaś, kiedy zaatakował nas Osman, nie ty podejmowałaś decyzje, ani nie brałaś udziału w samych wydarzeniach.

— Miałam worek na głowie i byłam związana... — przypomniała Stella. — Jeżeli to nie jest współudział...

— Ja to wiem i ty to wiesz, ale oni nie. I nie muszą. Jesteś moją kuzynką. Jesteś Vattą — albo Constantin, nie dbam o to, jakiego nazwiska tutaj używasz — i wykonywałaś moje rozkazy. Mogę mianować cię swą przedstawicielką do spraw finansowych — zbierzesz należności od uczestników konwoju i zapłacisz Mackensee. Wstawią się za tobą. Powinno wystarczyć ci na dalszą podróż...

— O ile nie wsadzą mnie do więzienia — mruknęła ponuro Stella. — Nie byłby to pierwszy raz, gdy sąd karze niewinnego, nie mogąc schwytać winowajcy. — Po czym dodała innym tonem: — Przepraszam. Oczywiście, wcale nie miałam na myśli, że ty jesteś winna. Chodziło o to, co myślą lub mogą pomyśleć oni.

— W porządku — odparła Ky. — Niemniej, potrzebuję tutaj kogoś, kto zajmie się kwestiami finansowymi, a obecnie to ty reprezentujesz finanse naszej rodziny.

— Quincy mówi, że potrzebujemy pilota — oznajmiła Stella. — Albo będziemy musieli wziąć kogoś od nich.

— Weź jednego z nich. To zmniejszy podejrzania. Przynajmniej wobec ciebie. Pogadam z Mackensee i pozostałymi.

— Mam nadzieję, iż nie miała pani nic przeciwko temu, że powiadomiliśmy ich o liście kaperskim — powiedział Johannson, kiedy połączyła się z okrętem Mackensee. — Tutejsi myśleli, że jest pani Osmanem, próbującym nowej sztuczki, względnie kimś z załogi, bądź jego krewnym. Próbowałem przekonać ich, że prawo jest po pani stronie, ale zaczęli podejrzewać nas. — Miał minę, jakby trzymał zdechłego szczura za ogon. — Sądziłem, że list kaperski przyda pani wiarygodności, lecz najwyraźniej tak się nie stało.

— Rozumiem — odparła Ky. Naprawdę rozumiała, ale to wcale nie poprawiało jej humoru. — *Był* krewnym — dalekim i niepożądanym. Przynajmniej nie miał dzieci. — O których by wiedzieli, pomyślała nagle. A co, jeśli miał? Jakież monstrum wychowałby ktoś pokroju Osmana? Czy będzie ścigana przez jego dzieci? Odepchnęła te myśli, by zająć się bardziej palącym problemem. — Obecnie bardziej martwię się o Stellę. Czy posłanie jej na dół jest bezpieczne, czy może wtrąca ją do więzienia?

— Wątpię, aby ją zatrzymali — odrzekł Johannson. — Zdołałem wydobyć od nich, że nie są uprzedzeni do Vattów w całości, a *Gary'ego Tobai* nie uznają za zagrożenie.

Figuruje w ich rejestrach jako pełnoprawny statek Vattów. Może dokonają bardziej szczegółowej inspekcji niż zwykle. Mam nadzieję, że usunęła pani te miny...

Zapomniała o nich. Ktokolwiek wejdzie na pokład — a już zwłaszcza każdy dokonujący inspekcji ładowni — zobaczy zarówno miny, jak i ślady, że jedna z nich wybuchła w środku.

— Nie — przyznała się. — Nie miałam szansy.

Skubnął dolną wargę.

— Hmm. To może być problem. A statek potrzebuje napraw, prawda? Jeśli pani — to jest: pani kuzynka — zdoła dotrzeć do następnego portu, to być może byłoby to najrozsądniejsze rozwiązanie.

— Musimy odebrać należności od reszty konwoju, żeby wam zapłacić — przypomniała mu Ky. — Umowę zawarli Vattowie, więc Stella może to zrobić — na przykład zakładając konto. Poza tym, potrzebują zapasów.

— Aha. Ale czy napraw trzeba dokonać przed kolejnym transferem?

— Zapytam naszego inżyniera, ale prawdopodobnie nie. Lecz Stella będzie potrzebowała liczniejszej załogi. Teraz brakuje jej ludzi; nie ma nawet pilota na pokładzie.

Johannson wydał z siebie westchnienie — coś pomiędzy rezygnacją a irytacją.

— Możemy wypożyczyć jej jednego, żeby wylądował, niemniej, ma pani rację — będzie kogoś potrzebować. — Żadne władze portowe nie wpuszczą statku bez licencjonowanego pilota na pokładzie.

— Legalne wprowadzenie jej do doku byłoby wielką pomocą — uznała Ky. A pilot Mackensee nie wałęsałby się po statku, odkrywając miny, których nie miała szansy usunąć.

— Przypuszczam, że moglibyśmy potwierdzić, iż wypożyczyliśmy pani te miny — oznajmił Johannson. — Choć nie wyjaśnia to zniszczeń...

— Może ich nie zauważą — odparła Ky. — Gdyby zdołała wylądować i załatwić sprawy finansowe... Na statku panuje bałagan, lecz żadna z napraw nie jest niezbędna.

— Nie może sprzedać nic podejrzanego — doradził Johannson. — To wywołałoby żądanie przeprowadzenia kontroli ładowni. Załadunek... cóż, może posłużyć się do tego własną załogą, jeśli jednak wymagać to będzie udziału nowych ludzi, których nie jest pewna... — Westchnął ponownie. — Chciałbym zaoferować pomoc w sprawdzeniu kandydatów, ale nie mogę. Już przekroczyłem nasze regulacje. Naprawdę stawia ją pani w bardzo trudnej sytuacji.

Ky zastanawiała się, czy byłby choć w połowie tak współczujący, gdyby to ona była na miejscu ślicznej Stelli.

— Przykro mi — powiedziała, pomimo wrażenia, że ostatnimi dniami nie robiła niczego innego, prócz przepraszenia.

Stella Vatta udała się na poszukiwanie Quincy; starsza inżynier grzebała przy panelach kontrolnych. Stella nie miała pojęcia, co tamta robiła, ani o to nie dbała.

— Myślę, że Ky zwariowała — oznajmiła.

Quincy podniosła wzrok.

— Wątpię, ale co tak cię niepokoi?

— Nie zamierza tutaj lądować. Nalegają na osądzenie przejęcia okrętu Osmana, a Ky upiera się, że to własność Vattów, skradziona i odzyskana jako łup. Uważa, że czyni to okręt jej własnością w dwójnasób. Oni nie zgadzają się, a ona mówi, że zamierza stąd odlecieć. To szaleństwo. Zostawianie mnie tutaj ze statkiem, o którym nic nie wiem...

Quincy obrzuciła ją twardym spojrzeniem, bynajmniej nie współczującym, na jakie liczyła.

— Od jak dawna jesteś na pokładzie? Mianowała cię kapitanem dziesiątki dni temu...

Stella potrząsnęła głową.

— Próbowалам, ale brakuje mi wiedzy o statkach. Poza tym, nawet gdybym wiedziała wszystko o tej jednostce, to nadal nie daje jej prawa do czmychnięcia stąd i zostawienia mnie...

— Możemy polecieć z nią — zauważyła Quincy.

— Nie pozwala. Twierdzi, że mamy zostać tutaj i zająć się rozliczeniami z konwojem i Mackensee.

Quincy uniosła brwi. Stella pokiwała głową.

— Teraz rozumiesz, o czym mówię? Wyobrażam sobie, co powie reszta kapitanów. I Mackensee. Zostawia mnie, żebym posprzątała po bałaganie, jakiego narobiła...

— Masz wykształcenie finansisty, prawda? — zapytała Quincy.

— No cóż, tak, ale...

— Naprawdę uważasz, że temu nie podolasz?

— No cóż, nie, ale...

— Czyli wie, że poradzisz sobie z tym i zleca ci zadanie, które możesz wykonać. Niefortunnie się składa, że musi odlecieć i przyznaję, iż czułabym się lepiej, gdyby była w okolicy... — Jej ton sugerował absolutny brak przekonania do kompetencji Stelli. — ...ale nie uważam sytuacji za tak złą, jak ją przedstawiasz.

Stella zagapiła się na starszą kobietę.

— Ty... zgadzasz się z nią?

— Nie ma znaczenia, czy zgadzam się z jej decyzjami, czy nie. Ważne, że uratowała nas — i statek — dwa razy, co według mnie jest godne szacunku. Poprosiła cię o zrobienie czegoś, co jesteś w stanie zrobić...

— Już to zrobiłam — wtrąciła Stella.

— To dobrze. Ponieważ właśnie to jest ważne. Gdyby poprosiła cię o stoczenie bitwy w kosmosie, uznałabym ją za szaloną. Gdyby kazała ci własnoręcznie wprowadzić statek do doku, wiedziałabym, że zwariowała. Ale poproszenie cię o porozmawianie z kapitanami statków i zajęcie się finansami? Dla kogoś takiego, jak ty, to powinna być bułka z masłem. — Spojrzenie, jakim obrzuciła ją Quincy, wyraźnie wskazywało, jakich walorów — zdaniem starszej kobiety — Stella użyje wobec kapitanów. Dziewczyna poczuła, jak gotuje się w niej krew.

— Nawet nie mamy pilota — zauważyła, starając się utrzymać spokojny ton głosu. — To niezgodne z prawem. Musimy mieć pilota, żeby wylądować.

— I wystartować — przypomniała jej Quincy. — Lecz w większych portach, takich jak ten, zawsze są jacyś piloci do wynajęcia. Możemy poprosić o takowego, żeby zadokować, a byłabym wielce zdumiona, gdybyś nie zdołała potem wynająć załogi, jaka tylko ci się zamarzy.

— Myślisz, że nie będą zadawać pytań? — rzuciła Stella. Quincy popatrzyła na nią bez zrozumienia. — O uszkodzenia — ciągnęła dziewczyna. — Genialna Ky omal nie wywaliła dziury w statku, prawie wyrzucając nas w próżnię.

— Uszkodzenia nawet nie zbliżyły się do kadłuba — zauważyła Quincy. — Poza tym, nie ma powodów, dla których wynajęty pilot miałby łązić po ładowniach.

— Miejmy nadzieję, że nie mają wrażliwego nosa — mruknęła Stella. Według niej w korytarzu awaryjnym nadal unosił się swąd mięsa, choć inni twierdzili, że wielokrotnie go czyścili i nie została najmniejsza plamka po krwawym końcu Osmana. Ona jednak była pewna, że wciąż znajdowały się tam śladowe ilości krwi, które biegli sądowi z łatwością wykryją. Nie wspominając już o pewnym makabrycznym pakuneczku w lodówce — Ky chciała zachować próbkę tkanki, by w razie potrzeby móc udowodnić tożsamość.

Quincy oparła się o gródź i splotła ramiona.

— Widzę, że jesteś zaniepokojona, Stello, lecz dla dobra Vattów musisz się z tym uporać. Ty i Ky musicie działać razem — to nasza jedyna nadzieja.

— Chciałam z nią współpracować — oznajmiła Stella. — Ale ona nie współpracuje ze mną: robi, co chce i oczekuje, że będę za nią szła, jak... jak ten idiotyczny szczeniak. — Quincy otworzyła usta, lecz Stella nie zwróciła na nią uwagi, dając upust długo wstrzymywanej złości. — Nie jestem jej zwierzątkiem, ani nawet młodszą siostrą. Jestem starsza od niej i dłużej podróżowałam po wszechświecie, a ona traktuje mnie jak szeregowego pracownika, a nie jak koleżankę, czy członka rodziny!

— To nie fair...

— Masz rację: to nie fair. — Stella wiedziała, o co chodziło Quincy, niemniej, pokręciła głową i ciągnęła: — Wszystkim, co robi, wpędza nas tylko w jeszcze większe kłopoty. Zupełnie, jakby chciała tych kłopotów, pragnęła zagrożenia. Podejrzewam, że to lubi; prawdopodobnie dlatego właśnie poszła na Akademię. Lecz nie jest to metoda na odbudowywanie interesu!

— Ocaliła ci życie — powiedziała Quincy równie głośno, jak Stella. — Ocaliła życie nam wszystkim. Mogłabyś przynajmniej okazać jej odrobinę wdzięczności!

— Wdzięczności za zostawienie mnie bezradną z workiem na głowie, a potem za usmażenie implantu impulsem elektromagnetycznym? Nie sądzę. Gdyby miała wystarczająco dużo rozumu, by posłuchać tamtego dowódcy Mackensee i zostawić Osmana w spokoju...

— To byłby tam nadal i ścigał nas — wycedziła Quincy. — Naprawdę myślisz, że nie doniósłby o naszym przelocie przez tamten system swoim sojusznikom?

Naprawdę myślisz, że byłoby lepiej, gdyby to Osman pozostał na tamtym okręcie, a nie Ky? Rusz głową, Stello! Jesteś za mądra na coś takiego.

Gniew opadł, lecz nie całkowicie.

— Jest jeszcze Rafe — rzuciła. — Weszła z nim w jakąś relację; czuję to. A on jest niebezpieczny; Ky nie ma bladego pojęcia, jak bardzo.

— A ty masz — mruknęła Quincy z przekąsem. — Nie próbuj mnie oszukać, młódko — widziałam w życiu zbyt wiele zazdrości, by nie rozpoznać jej, stojącej przede mną z zaczerwienioną twarzą. Wolałabyś, żeby Rafe był z nami z twojego powodu, a nie Ky. Twoje serce przyspiesza o piętnaście procent, kiedy na ciebie patrzy.

— Nieprawda — zaprzeczyła bez przekonania Stella. — Odeszłam od Rafe'a wiele lat temu...

— A teraz znowu na niego wpadłaś. Zgadzam się, że jest niebezpiecznym mężczyzną, lecz nie doceniasz Ky, jeśli uważasz, iż robi jakieś głupstwo, zaślepiona jego osobą. To nie ona...

— Och, na litość boską, nie wywlekaj *tego* znowu — wybuchła Stella. — To było ponad dziesięć lat temu i nigdy więcej tak nie postąpiłam.

— Przepraszam — mruknęła Quincy i zaczerwieniła się.

— A martwię się dlatego, że ma mniej doświadczenia ode mnie — dodała Stella, starając się odzyskać pozycję.

— Cóż, nie musisz. Przynajmniej nie w tej kwestii. Lepiej pomyśl, co zrobi, jeśli odwrócisz się do niej plecami, nie umiejąc z nią współpracować.

— Nie mam pojęcia, jak mamy współpracować, skoro nawet jej tu nie ma. — Stella wiedziała, że zabrzmiało to żałośnie, lecz nadal tak się czuła. Co więcej, wciąż wyczuwała w sobie tę lodowatą, przepastną pustkę i olbrzymi strach, jaki ogarnął ją, kiedy podczas ataku Osmana leżała związana z omotaną głową w kabinie Ky. Owszem, zgłosiła się na ochotnika, żeby Ky mogła swobodnie działać, nie spodziewała się jednak tego wrażenia bezradności i bezbronności. Inni wiedzieli, co się działo; mogli coś *zrobić*, a ją zostawili bez żadnych wskazówek. Nie wiedziała nawet, kto wszedł do kabiny, zanim jej nie uwolniono.

W jej umyśle ten strach zlał się z kolejnym, kiedy Ky rozkazała nagle wszystkim założyć skafandry, a sama udała się rozprawić z Osmanem. Nikt nie wiedział, co się działo, dopóki Ky nie zrobiła czegoś — lub rozkazała komuś — odpalić jedną z min elektromagnetycznych. Impuls powalił wszystkich. Znow była bezradna, tym razem na unieszkodliwionym statku, podczas gdy Ky — jedyna przytomna i pełnosprawna osoba na pokładzie — zabiła Osmana.

Nie mogła zapomnieć — nigdy nie zapomni — krwi i smrodu, który towarzyszył Ky. Kylara, jej młodsza kuzyneczka, chluba rodziny, marzycielka... po starciu z Osmanem wyglądała jak ohydne monstrum. Nawet po wzięciu prysznic i przebraniu się, coś do niej przylgnęło, jakaś esencja zabójcy. Zupełnie, jakby wchłonęła część Osmana, jego brutalność, rozkosz czerpaną z dominowania i sprawiania bólu innym... Nie mogła w to jednak do końca uwierzyć. Nie Ky. A jednak...

— Ona się zmieniła, Quincy — powiedziała. — Zanim zdobyła tamten okręt, była ucieleśnieniem Vattów: nad wszystko stawiała rodzinę i firmę. Nie interesował jej list kaperski; wierzę, iż wcale nie zamierzała go użyć. Zmieniło ją wejście w posiadanie takiego okrętu, z tą całą bronią i wyposażeniem.

— Uważasz, że nie dba o rodzinę? Po tym, jak chroniła ciebie i Toby'ego?

— Po uprzednim wpędzeniu nas w niebezpieczeństwo — zauważyła Stella, lecz już bez poprzedniego żaru. — Boję się, że poleci za piratami w jakiejś szalonej próbie zemsty. I zabierze Toby'ego. Zginą oboje.

— Nie wydaje mi się — odrzekła Quincy. — Byłam z nią dłużej niż ty. Nie zabiera się za coś, z czym mogłaby sobie nie poradzić i nie uważa, że jednym okrętem może pokonać całą flotę.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — mruknęła Stella. Po wybuchu czuła się wyczerpana i skłonna do łez. Nie rozplacze się przy tej kobiecie. Była pewna, że Quincy uznałaby to za próbę manipulowania nią. — Lepiej pójde powiadomić resztę...

— Przynajmniej tych, którzy nie usłyszeli twoich krzyków — rzuciła cierpko Quincy.

— Tak. Cóż, muszę porozmawiać z Mackensee i kapitanami z konwoju oraz stacją, rzecz jasna i z załogą.

Stella przyjrzała się swej nielicznej załodze, zgromadzonej w salce rekreacyjnej, wzruszyła ramionami i przekazała im słowa Ky.

— Nie mamy wielkiego wyboru — zakończyła. — Ky nie może wylądować na stacji, bo utknie na długi czas w prawniczych procedurach; uważają ją za piratkę.

— To śmieszne — wyrwało się Alene.

— Może brzmieć śmiesznie, lecz oni traktują to bardzo poważnie. Dla naszego dobra musimy wydawać się tak bezbarwni i nieinteresujący, jak to tylko możliwe. Czysty biznes. Chłodny profesjonalizm. Nie wiemy, na przykład, czy ktoś nadal poluje na statki Vattów i członków rodziny, musimy więc zachować ostrożność. Nie szukamy kłopotów. — Po czym dodała, nim ktoś zdążył zadać jakieś niewygodne pytanie. — Potrzebujemy pilota, żeby zadokować; sprawdzę, czy uda się kogoś wynająć. Na stacji uzupełnimy załogę, również o pilota na stałe. Jeśli któreś z was chciałoby opuścić tutaj statek, proszę o poinformowanie mnie o tym na co najmniej jeden dzień standardowy naprzód, żebym zdążyła przygotować dokumenty. Alene, zacznij przeglądać listy ładunków, żeby sprawdzić, czy mamy coś, co dałoby się tutaj sprzedać.

— Co z tymi rzeczami w ładowni? — zapytała Alene.

— Jakimi rzeczami? — Nie wieźli przecież żadnej kontrabandy, o której Stella by wiedziała.

— Minami — sprecyzowała Alene. — Tymi, które przyszły na pokład jako środki czystości. Nie możemy pozwolić, żeby zobaczyli je celnicy, bo nas zapuszkują.

Stella omal o nich zapomniała. Na samą myśl o nich zrobiło się jej niedobrze. Paskudztwa, groźne nawet, kiedy tak sobie leżały na pokładzie.

— Schowajcie je do kontenerów i umieśćcie w ładowni numer dwa, razem z ładunkami o określonym porcie przeznaczenia. Resztę towarów możemy prehandlować.

— Kapitan... kapitan Vatta... coś z nimi zrobiła po wypakowaniu, pamiętasz? Myślisz, że ruszanie ich jest bezpieczne?

Kolejna nie zakończona sprawa, jaką Ky jej zostawiła. Stella zastanawiała się, jak ma zapytać Ky o miny, nie ujawniając podsłuchującym uszom, że to *były* miny.

— Porozmawiam z Ky — oznajmiła. — Chyba, że ty wiesz, Quincy? — Lecz kobieta tylko pokręciła głową. — W takim razie — ciągnęła Stella — czy jest coś jeszcze, o co powinniśmy zapytać Ky? Zmieniła kurs i za parę godzin komunikacja będzie utrudniona.

Stella uznała, że niemożliwym było zapytać, czy miny należało rozbroić i jak to zrobić, bez dawania postronnym do zrozumienia, że coś ukrywały.

— Muszę zapytać cię o ten ładunek, który... eee... był wykorzystany podczas ataku. Jak pamiętasz, otworzyliśmy część skrzyń, kiedy próbowaliśmy... zbudować jakieś barykady i... część z tych przedmiotów może być teraz niebezpieczna.

— Masz na myśli... och — mruknęła Ky. Na jej obliczu pojawiły się jakieś emocje — konsternacja lub skupienie. — Eee... nikt ich nie ruszał, prawda?

— Nie. Pytanie brzmi...

— Cóż, oczywiście, chcesz sprawdzić i usunąć wszystko... eee... co zostało uszkodzone podczas ataku Osmana i przygotować teren pod naprawy. Rozumiem.

— Przypominam, że nikt z mojej obecnej załogi nie zna się na tym szczególnym typie...

— Tak, tak — przerwała jej Ky. — Quincy byłaby chyba najlepsza, biorąc pod uwagę techniczny charakter części z tych przedmiotów. Jest dostępna?

— Siedzi w ładowni. Przełączę rozmowę — zaproponowała Stella. Typowe dla Ky: nawet nie pozwalała jej dokończyć zdania. Wywołała Quincy na sąsiedni ekran i włączyła ją do rozmowy.

— Quincy — zaczęła Ky — martwią cię przedmioty, które zabraliśmy na pokład w Lastway od tamtej firmy zaopatrzeniowej — środki czyszczące, dezodoranty i inne?

Quincy uniosła brwi, po czym zrobiła opanowaną minę.

— Tak jest, kapitanie. Jak sobie pani przypomina, podtrzymanie środowiska uznało, że część kanistrów mogłaby przydać się do obrony statku. Zastanawiam się jednak, czy substancje żrące nie spowodują wycieku lub skażenia powietrza.

— Słusznie. I nie masz już Mitta; chyba on się tym zajmował. Zapytam go. — Odcięła dźwięk, lecz Stella widziała, jak obraca się ku innemu urządzeniu, prawdopodobnie połączonemu z sekcją podtrzymania środowiska *Pięknej Kaleen*. Czy ktoś mógłby naprawdę uwierzyć, że próbowali wykorzystać kanistry z dezodorantem jako broń?

Ky przywróciła fonię.

— Mitt mówi, że to jedynie kwestia upewnienia się, czy wieczka są mocno zakręcone. Jest tam zatrzask... urządzenie zamykające znajduje się z boku.

– Widziałam – potwierdziła Quincy. – Jest tam jakiś znacznik stanu?

– Tak... Gdzieś powinny być instrukcje. Powinien być ciemny lub zielony, nie pomarańczowy.

– Myśli pani, że Mitt mógł przypadkowo zabrać te instrukcje ze sobą? Czego mam szukać?

– Znajdź oryginalną skrzynię, jest tam drukowana wersja...

Stella słuchała bez komentarza. Z pewnością każdy podsłuchujący natychmiast domyśli się, o czym naprawdę mówiły.

Quincy i Ky wymieniały się uwagami, dopóki ta pierwsza nie wydała z siebie pełnego satysfakcji chrząknięcia.

– Aha. Teraz już widzę. Dzięki, kapitanie... Widzę znaczniki i jestem pewna, że żaden z... uch... kanistrów nie przecieka. Zawartość wydaje się być stabilna.

– Jeżeli skrzynia jest jeszcze w jednym kawałku, przepakuj je do niej. – Ky była spokojna, jak gdyby rozprawiła o tubach uszczelniacza. – Stello, sugerowałabym przeniesienie tej skrzyni oraz przesyłek do jednej ładowni i przesunięcie towarów, które chciałabyś sprzedać, do innej...

– Już o tym pomyślałam – odparła Stella.

– Świetnie – pochwaliła ją Ky. – Coś jeszcze?

Było coś jeszcze, lecz Stella nie chciała poruszać tego tematu na otwartym kanale.

– Chciałabym wiedzieć, dokąd lecisz – powiedziała – żebyś mogła potem do ciebie dołączyć.

– Och. Oczywiście. – Po czym zamilkła na chwilę, wpatrując się przed siebie pustym wzrokiem kogoś, kto właśnie pobiera skomplikowane dane z implantu. Następnie ponownie skupiła wzrok na Stelli. – Stello, czy masz w implancie informacje o trasach Vattów?

– Tylko o głównych szlakach – odrzekła. – Może Quincy ma je w swoim.

– Mam – potwierdziła Quincy.

– Znakomicie. Sekcja szósta, standardowa trasa, trzeci przystanek alternatywny. Nic nie mów.

– Mam go – zameldowała Quincy. – Nie jest rekomendowany, prawda?

– Zgadza się. Kod Vattów powinien zaczynać się od VXR...

– Tak jest – potwierdziła Quincy.

– Przekaż go Stelli, ale nie tutaj – poleciła Ky.

„Śmieszne” – chciała rzucić Stella, lecz może wcale takie nie było.

– Mam prawo skompletować sobie tutaj załogę, prawda? – zapytała.

– Oczywiście – potwierdziła Ky. – Jesteś szefową finansów; wiesz najlepiej, na co nas stać.

– Do zobaczenia za parę tygodni – rzuciła Stella z nadzieją, że tak właśnie się stanie.

– Poradzisz sobie – co rzekłszy, Ky rozłączyła się.

Przez kilka sekund Stella wpatrywała się w pusty ekran, po czym wywołała okręt Mackensee. Gdyby mogła, posłałaby za Ky wiązkę przekleństw. Utknęła tutaj bez

kapitana z prawdziwego zdarzenia, bez pilota i ze zdekompletowaną załogą, a tamta leciała sobie dokądś, żeby zrobić... coś, co pewnie jak zwykle wpakuje ją w kłopoty. Jak niby miała w takiej sytuacji zatrudnić odpowiednią załogę?

Oparła się na starych doświadczeniach i wypróbowała na podpułkowniku Johannsonie swój najlepszy uśmiech. Ludzie władzy lubili zazwyczaj być proszeni o pomoc.

— Jak mogę znaleźć godną zaufania załogę? — zapytała. — Kuzynka zostawiła mnie w trudnej sytuacji...

Odpowiedział jej nieco ponurym uśmiechem.

— Wy, Vattowie, macie talent do pakowania się w trudne sytuacje. Gdyby nie doświadczenia z pani kuzynką, kuśliby mnie, żeby zawrzeć z panią dodatkową umowę. Jednakże, za dodatkową opłatą mogę pozwolić pani skorzystać z usług naszej wywiadowni celem sprawdzenia kandydatów.

— Byłoby to niezmiernie pomocne — uznała Stella. — Przykro mi, że Ky sprawiła wam kłopoty.

— Nie miała takiego zamiaru — przyznał Johannson. — Podejrzewam jednak, że należy do osób, którą kłopoty przyciągają — lub to ona przyciąga je. Pani może należeć do spokojniejszych Vattów... o ile tacy istnieją.

— Uważaliśmy się za takich — oznajmiła Stella. — Większość mojej rodziny jest... była... zwykłymi ludźmi interesu. Nosili garnitury, pracowali w biurach, wracali do domów, a po godzinach oddawali się prywatnym hobby. A ci na statkach wypełniali swoje obowiązki.

— Hmm. Brzmi wystarczająco spokojnie.

— Poza konkurencją z innymi firmami — dodała Stella. — W interesach mój ojciec mógł być prawdziwym zbrojcem, lecz prywatnie widziałam w nim tylko szanowanego biznesmena. Wręcz nudnego, jak uważałam za młodu, ale zdążyłam z tego wyrosnąć. — Po śmierci ojca jedyną pociechę czerpała z tego, że zdążyła zdobyć jego zaufanie i uznanie jako dorosła.

— Dziwne, że na waszą firmę przypuszczono tak zmasowany atak — przyznał Johannson. — Wiem — tak przynajmniej twierdziła pani kuzynka — że nie macie pojęcia, kto to zrobił, ani dlaczego; była przekonana, iż miało to związek z atakami na ansible, choć trudno mi wymyślić jakieś przekonujące powiązanie.

— Mnie również, naprawdę. Mam nadzieję, że to Osman stał za tym wszystkim — z pewnością źle nam życzył, a jego wpływy w MilMartcie sugerują spore możliwości...

— Proszę zaczekać — o tym nie słyszałem. Jakie wpływy w MilMartcie?

— Szydził z nas. Powiedział, że nasz system obronny nie sprawdzi się przeciwko prawdziwym pociskom...

— Ale sami go sprawdzaliśmy... Nasi technicy orzekli, że był sprawny...

— Cóż, nie był — odparła Stella. — Nie mam pojęcia, jak to zrobiono, ale choć podczas sprawdzania wszystko było w porządku, miał wbudowane wadliwe komponenty. Osman przechwalał się, że miał agenta w MilMartcie i kazał mu sprzedać nam niesprawny system. Ky nie powiedziała panu o tym?

– Nie. Przypuszczam, że mogło to wylecieć jej z głowy...

– Naprawiliśmy go – ciągnęła Stella – a dokładniej, dokonała tego Quincy z technikami. Wymienili uszkodzone elementy.

– Kupujemy od MilMartu – mruknął ponuro Johannson. – Cieszę się dobrą reputacją, jeśli jednak mają wewnątrz kogoś, kto oszukuje klientów, to nasza kwatera główna powinna o tym wiedzieć. Uczciwa wymiana: to wystarczy za naszą pomoc w sprawdzeniu potencjalnych kandydatów na członków pani załogi.

– Dziękuję – wyjąkała zdumiona Stella.

Nie bawiąc się w dalsze wyjaśnienia, polecił jej:

– Proszę przesłać listę członków załogi, których chce pani wynająć, a ja sprawdzę w naszych agencjach doradztwa personalnego.

Przyglądając się lokalnym wiadomościom i depešom agencyjnym, Stella zastanawiała się, jaki wygląd najlepiej posłuży jej celom. Nieliczni ludzie i człomodele, jakich ujrzała, byli niscy i ciemnowłosi. Za to programy rozrywkowe obfitowały w wysokie blondynki. Choć raz przyda się jej uroda; skoro nie mogła upodobnić się do nich, stanie się obiektem ich podziwu.

– Nie martwisz się bezpieczeństwem? – zapytała Quincy, gdy Stella przygotowywała się do przejścia na stację celem zajęcia się finansami.

– Żaden problem – odparła. – Naprawdę uważam, że główny ciężar ataku na Vattów spoczywał na Osmanie. Nie wydaje mi się, aby był odpowiedzialny za wszystko – nie zdołałby w pojedynkę uszkodzić tych wszystkich ansibli – nie sądzę jednak, żeby coś mi groziło.

– Obyś miała rację – westchnęła Quincy.

– Mam taką nadzieję – odparła Stella. Założyła niebieski przydymiany kostium, starannie ułożyła włosy i wyszła na spotkanie z urzędnikami z kontroli celnej i imigracyjnej. Sami mężczyźni, niscy i ciemnowłosi. Wszyscy wytrzeszczyli na nią oczy, kiedy zeszła na pokład stacji.

– Eee... kapitan Vatta?

– Tak, jestem Stella Vatta – odrzekła. Po ich minach widziała, że osiągnęła zamierzony efekt. – Nie mam munduru – dodała z najsmutniejszym uśmiechem, jaki miała na podorędziu. – Kapitanem była moja kuzynka, lecz po opuszczeniu statku kazała mi zająć swoje miejsce.

– A pani doświadczenie... – odezwał się zwalisty, starszy mężczyzna z pierwszą siwizną w ciemnych włosach. Na plakietce z nazwiskiem widniało: NIMON KNAE.

Stella spuściła wzrok i pozwoliła policzkom na rumieniec.

– Prawdę mówiąc... jestem bardziej księgową niż oficerem. Ale zostawiła mi bardzo sprawną załogę.

– Przekazała statek osobie, która nie jest nawet oficerem? – Brwi niemal komicznie skoczyły mu w górę.

Stella przytaknęła.

– Rozumie pan, należę do rodziny. Powiedziała, że statek Vattów musi mieć Vattę za kapitana.

— To niezbyt uczciwe wobec pani. Skądma pani wiedzieć, co powinna robić? Co będzie, jeśli wydarzy się coś złego? — Przybrał protekcyjny ton, tak doskonale znany jej u ojca. Oczy nieumyślnie zasły jej łzami; zrozumiała, że znalazła punkt zaczepienia.

— Bardzo mnie to martwi — wyznała, mruganiem przepędzając łzy. — Ale czytałam podręczniki i mam bardzo doświadczonego głównego inżyniera. Oczywiście, zamierzam zatrudnić tutaj więcej załogi. Poza tym, może podczas mojego pobytu przyleci jakiś regularny statek Vattów.

— Nie powinna była tak postąpić — oznajmił Knae. — Stawia panią w bardzo niebezpiecznej sytuacji.

— Wiem — przyznała Stella. — Przez większość czasu byłam przerażona. Ale co innego mogliśmy zrobić? Tamten okropny człowiek próbował nas zabić... — Niemal za prosto przychodziło jej granie dla tego mężczyzny bezradnej, niedojrzałej ślicznotki; była zła na siebie, że z taką łatwością wpadła w tę rolę.

W miarę, jak Knae kontynuował wypytywanie jej o podróż, Ky, Osmana i najemników, Stella coraz mocniej walczyła z własnymi odczuciami. Rozmawiała z Ky o katastrofie, jaka dotknęła ich rodzinę, jedynie w przelocie, wymieniając czyste informacje. Po raz pierwszy opowiadała całą historię, od ataku na Slotter Key po Osmana. Miała wrażenie, jakby była dwiema Stellami: jedną doskonale opanowaną, uważnie manipulującą tonem głosu i wyrazem twarzy, by wyrzeć jak najlepszy efekt na przesłuchujących ją urzędnikach oraz drugą, miotaną falami emocji, których nie miała jeszcze czasu uporządkować. Ta pierwsza reagowała i działała tak, jak mówiła jej ciotka Grace, Rafe i Ky.

Z przerażającą intensywnością wróciły do niej minuty — naprawdę tylko minuty? — kiedy leżała na koi z workiem na głowie. Nawet teraz trudno jej było oddychać; dominujący nad wszystkim strach... Kiedy przyjdzie? Czy Ky zdoła go powstrzymać?

Knae wciąż zadawał szczegółowe pytania, na których część nie była w stanie odpowiedzieć, a były one z różnych względów ważne. Lecz w tym krótkim czasie pomiędzy przebudzeniem się z wywołanego uszkodzeniem implantu stuporu a opuszczeniem statku przez Ky nie zdążyła zadać wszystkich ważnych lub właściwych pytań. Ky powinna jej była dokładnie opowiedzieć, co się stało. Powinna była rozumieć, że Stellę nazbyt oszołomił rozwój wydarzeń, by mogła natychmiast wszystko przyswoić.

Straciła panowanie nad sobą; czuła spływające po twarzy łzy i wiedziała, że zaczęła się trząść.

Oblicze Knae złagodniało.

— Czy ktoś może to wszystko potwierdzić? — zapytał delikatnym tonem. — Choćby pani załoga?

— Quincy. Quincy Robin. Jest tak stara, jak ten statek. Przez całe życie pracowała dla Vattów. — Wzięła głęboki wdech i uspokoiła głos. — Nasza eskorta z pewnością wie o atakach na statki i personel Vattów — byli świadkami napaści na nas na

Lastway. Podpułkownik Johannson potwierdzi wydarzenia, jakie miały miejsce od opuszczenia Lastway do przybycia tutaj.

Wreszcie skończyły im się pytania. Knae zerknął na pozostałych, którzy odpowiedzieli wzruszeniem ramion.

— Muszę udać się do banku — oznajmiła Stella. — Jeśli nie macie panowie nic przeciwko temu...?

— Proszę bardzo... Tylko nie opuszczajcie stacji bez pozwolenia.

— Nawet nie wiedziałabym, jak — odparła z uśmiechem Stella. Ciekawe, jak poradziłyby sobie Ky, skoro nawet jej uroda tylko nieznacznie złagodziła ich podejście.

Rozdział 4

Jestem przekonana, iż nie chce pan, aby ktoś, kogo pan nigdy wcześniej nie widział, próbował uzyskać dostęp do kont korporacji — oznajmiła Stella, wkładając w ton głosu cały swój wdzięk. Opiekun konta The Crown&Spears przytaknął, nie spuszczając z niej czujnego wzroku. — Choć znam numery kont i hasła — ale nawet przy najlepszych zabezpieczeniach takie informacje można wykraść. Ja jednak chciałabym otworzyć nowe konto. Oczekujemy transferów należności, jakie są nam winni członkowie konwoju, który właśnie przybył. Chcę tych samych warunków, na jakich funkcjonują inne konta Vattów.

— Eee... to wydaje się być rozsądne — uznał urzędnik. — A gdyby naprawdę pani czegoś potrzebowała... Możemy zaaranżować...

— Nie trzeba — odparła Stella, uśmiechając się do niego i odnotowując taką samą reakcję, jaką na ten uśmiech wykazywała większość mężczyzn. Z pewnością był bardziej podatny niż inspektor celny i imigracyjny Knae. — Ale nie chcę płacić wyższych opłat bankowych niż za zwykłe konto; to rozgniewałoby moich ludzi i zarobiłabym czarne punkty.

— Na pewno nie — zareagował urzędnik. — W tak nadzwyczajnej sytuacji...

— Nie zna pan mojej cioci Grace — powiedziała ze smutkiem Stella. — Nie wierzy w usprawiedliwienia.

— Firma rodzinna — uśmiechnął się bankowiec. — W każdej rodzinie jest jakiś smok, prawda? W mojej była nim moja babcia. Dopóki nie umarła, przynajmniej raz na dziesięć dni stawaliśmy do raportu. — Pokręcił głową. — Wobec tego, rzućmy okiem. W obecnej sytuacji, kiedy nie działają ansible finansowe, nie przyjmujemy żadnych transferów kredytowych od instytucji pozaukładowych, akceptujemy jednak twardą walutę i towary od przylatujących załóg.

— Oczywiście — przytaknęła Stella.

— Istniejące konta Vattów należą u nas do kategorii Preferowanych; wierzę, iż uzna pani opłaty za możliwe do przyjęcia. — Podsunął jej wydrukowaną umowę, którą Stella szybko przejrzała.

— Tak, jestem w stanie je przyjąć. A teraz, gdyby mógł mi pan polecić jakiegoś rzeczoznawcę...

— Oczywiście. Mamy na liście Wyceny Ballarda; cieszą się całkiem dobrą reputacją. Tak samo Oceny Aktuariałne...

Stella rzuciła w myślach monetą i wypadło na Ballarda. Dwa diamenty ciotki Grace zapewniły jej pokaźny depozyt na nowym koncie. Stella przesłała niezbędne informacje kapitanom konwoju wraz z instrukcją, aby szybko przelali należności, po czym powiadomiła o tym Mackensee.

Właśnie wróciła na statek z Crown&Spears, kiedy zadzwonił do niej szef ochrony stacji.

— Zweryfikowaliśmy pani opowieść u dowódcy Mackensee i członków pani załogi. Upewniliśmy się, że nie jest pani piratem i ma prawo dowodzić tym statkiem,

choć brak pani odpowiednich kwalifikacji... ale to nie pani wina. Zgadza się, że w sytuacji wyjątkowej zrobiła pani to, co musiała. Mimo to, wymagamy, aby przed odlotem zatrudniła pani doświadczonego kapitana oraz niezbędnych członków załogi.

— Dziękuję — odparła Stella. — Bezwzględnie zamierzam zatrudnić kogoś, kto wie więcej ode mnie.

— Nie jesteśmy jednakże jeszcze przekonani, że pani kuzynka jest taka niewinna, jak pani sądzi. Nie poddała się naszemu śledztwu.

— Ky jest... czasami impulsywna — mruknęła Stella. — Ale zawsze była bardzo praworządna.

— Możliwe, lecz obecnie lata uzbrojonym okrętem, do którego nie ma tytułu prawnego i utrzymuje, że ma list kaperski, a to jest jej łup...

— Ma list kaperski — potwierdziła Stella. — Widziałam go na własne oczy.

— Jest jeszcze kwestia towarzyszącej jej osoby, która według pani pracuje dla ISC. Nie naprawił *naszych* ansibli tak, jak pani zeznała, że uruchamiał inne.

— A poprosiliście go o to? — zapytała Stella.

— Cóż... nie. — Przedłużająca się pauza, po której nastąpiło niechętnie skiniecie głową. — W porządku. Rozumiem pani punkt widzenia. Nie prosiliśmy o pomoc i nie okazaliśmy szczególnej gościnności pani kuzynce. Przypuszczam, że gdyby uznała, iż powinna opuścić nasz system, to raczej nie wyskoczyłby w próżnię.

— Dokładnie — uśmiechnęła się Stella. — A teraz, proszę o pozwolenie na rozładunek towarów i zajęcie się interesami.

— Proszę bardzo. Ma pani zielone światło.

Trzy wachty później pierwszy statek z konwoju zdeponował należność na jej nowym koncie i dokonała przelewu dla Mackensee za usługi eskortowe. Niewielki ładunek sprzedała za dobrą cenę. Miała na koncie wystarczającą sumę, żeby zabrać się za zatrudnianie załogi.

Balthazar Orem stracił statek wskutek opłat portowych — nie mając kredytu i konkurencyjnego na rynku ładunku nie był w stanie ich uiścić i stacja przejęła jednostkę.

— Z przyjemnością podejmę pracę dla takiej firmy, jak Transport Vattów — deklarował w nagranej rozmowie. — Wiem, że Vattowie mają kłopoty, ale wyjdą z nich. Zawsze byli szanowanym przewoźnikiem. Może zaoszczędzę na rozpoczęcie własnego interesu, ale patrząc realnie... — Przeczesał lewą dłonią rzadniejące, siwe włosy. — Lubię to. Być w kosmosie, mieć statek — tego właśnie chcę. Moje papiery są w porządku; nie ciąży na mnie żaden wyrok.

— Najlepszy, jakiego znaleźliśmy — oznajmił Johannson. — Zarobił na statek jako operator ładunkowy; zna się na robocie i ma dobrą opinię, tyle tylko, że był za mały, by skutecznie konkurować na rynku.

— Wezmę go — postanowiła Stella. — Tak sądzę, lecz najpierw chciałabym spotkać się z nim.

— Bardziej poszczęściło się nam z pilotami — powiedział Johannson. — Znaleźliśmy pani osobę, którą uważamy za najlepszego specjalistę na stacji, ma jednak swoistą reputację. Oto jej interview. — Włączył ekran. Ruda dziewczyna o zaciętym wyrazie twarzy siedziała wyprostowana, sprawiając wrażenie, jakby zaraz miała eksplodować.

— Jestem pilotem — oznajmiła. — Nie nawigatorem, nie inżynierem, a już z pewnością nie ładowaczem. Pilotem. Najlepszym w okolicy i dlatego właśnie podkreślam, że jestem tylko pilotem, nikim innym.

Stella próbowała wyobrazić sobie taką osobowość w załodze i omal jej nie odrzuciła.

— Nie wdaję się w awantury, nie sprawiam kłopotów, wypełniam zwykłe, pokładowe obowiązki w mesie i tak dalej. Lecz jestem specjalistką, rozumiecie? Mówicie o małym statku, a na takich czasami sądzą, że każdy może robić wszystko. Nie może. Muszę codziennie ćwiczyć na symulatorze, żeby utrzymywać moje umiejętności w jak najwyższej formie.

Nie brzmiało to źle.

— Jest zgryźliwa — powiedział Johannson — ale przeszła nasze testy, uzyskując bardzo wysokie noty.

— Wezmę ją — oznajmiła Stella. Potrzebowała umiejętności bardziej niż słodkiego charakteru.

Orem zjawił się na rozmowie w kilka minut po jej telefonie; musiał czekać przy dokach. Stella rozpoznała cichy profesjonalizm, cechujący wielu kapitanów Vattów. Z trudem przychodziło jej zadawanie kolejnych pytań, więc w końcu tylko potrząsnęła głową.

— To śmieszne — z całą pewnością ma pan wszelkie kwalifikacje, kapitanie Orem i mam nadzieję, że przyjmie pan naszą propozycję.

— Dziękuję, madame; z przyjemnością.

— Proszę dać mi chwilę na wyniesienie rzeczy z kajuty kapitańskiej...

— Nie musi pani tego robić, madame; mogę zająć dowolną koję.

— Oczywiście, że otrzyma pan tę kajutę — oznajmiła Stella. — Ma łączność z mostkiem. — Wcale nie miała ochoty przenosić się do kabin załogi, lecz była zbyt mądra, by próbować wyrolować nowego kapitana.

Pod koniec pracowitego dnia zatrudniła także znakomitego technika od podtrzymywania środowiska, a Orem prawie skończył harmonogram wacht dla starej i nowej załogi.

— Podoba mi się — Quincy oświadczyła Stelli w salce rekreacyjnej. — Sprawia wrażenie solidnego. A ona jest drażliwa, lecz kompetentna. — Nie było wątpliwości, kim była owa *ona*... ich nową pilotką.

Przez kilka następnych dni Orem obejmował dowodzenie na *Garym Tobai*, a Stella kończyła przyjmować przelewy od konwoju na nowe konto Vattów. Było to nużące, gdyż nie wszyscy kapitanowie konwoju mieli rachunki w Crown&Spears, a dwaj z nich musieli zaczekać, aż sprzedadzą ładunek, by móc uiścić należność. Stella

podejrzewała, że Ky zabrakłoby cierpliwości, by czekać na poszczególnych kapitanów bez niepotrzebnego złoszczenia ich.

Wcześniej nakazała Quincy sporządzenie listy priorytetowych napraw; teraz powiadomiła Orema, ile mogli wydać. Ekipy naprawcze wprowadziły się do ładowni i zabrały za odbudowę okablowania. Stella przyjrzała się ich bilansowi — był znacznie zdrowszy, niż oczekiwała, nawet pomimo kosztów napraw — i udała się na poszukiwanie towarów na handel. Czego potrzebował rynek Rosvirein po zamarcu ruchu kupieckiego? Albo Sallyon, będący następnym logicznym portem, choć w przypadku Ky nie mogła zakładać wyboru racjonalnego kursu.

Jeżeli Vattowie mieli się odbudować, potrzebowali jak najwięcej kontaktów na możliwie największej liczbie stacji. Od dłuższego czasu Garth-Lindheimer był dobrze prosperującą i szanowaną stacją handlową. W systemie znajdowało się kilka zamieszkałych planet i handel wewnątrzukładowy podtrzymywał rozwój gospodarki pomimo awarii ansibli. Nie rezydowali tutaj żadni międzygwiazdni kupcy, odwiedziła jednak filie przedsiębiorstw, które utrzymywały regularne połączenia przez Gartha-Lindheimera. Interesy wszystkich ucierpiały, piractwo kwitło i nikt nie chciał wiązać się z Vattami, nawet na krótki okres. Opłaciła wstęp do Gildii Kapitańskiej, w jadalni której spodziewała się usłyszeć plotki z nawiązką rekompensujące wydatek. Początkowo nie dowiedziała się niczego nowego: zwykle narzekania na czas potrzebny ISC do naprawy ansibli, zwiększenie się ilości pirackich napaści, utracone zyski i pazerność firm ubezpieczeniowych.

— Jak jest na Slotter Key? — zapytał kapitan Parks z *Bursztynowego Snu*. Podczas jej trzeciej wizyty zaprosił ją na obiad. Zgodziła się.

Wzruszyła ramionami, pozwalając opaść ramięczku lekkiej, dzianinowej sukienki. Wyglądał na raptem kilka lat starszego od niej; miał piaskowej barwy włosy i bladoniebieskie oczy. Zauważyła, jak obserwował ją wcześniej; może okaże się mniej ostrożny od pozostałych kapitanów.

— To mój ojczysty świat; uważam go za przepiękny. Bardzo standardowy typ, niezmodyfikowany przez kolonizację ludzi. Może ma więcej oceanów.

— A skąd wzięła się pani tutaj? — zapytał, błędząc wzrokiem w okolicach rowku między jej piersiami.

Wzięła starannie obliczony wdech. Od tego gatunku najłatwiej było pozyskać informacje. Krótko i bardzo emocjonalnie opowiedziała o ataku na jej dom i rodzinę.

— I wtedy moja kuzynka odleciała na innym statku, każąc mi zająć się wszystkim tutaj.

— Nie wygląda mi to na sprawiedliwe — uznał, pochylając się.

Odsunęła się na oparcie krzesła.

— Nie jest, ale co mogę zrobić? Musiałam znaleźć kogoś, kto pomógłby mi ze statkiem. Jak pan wie, nie jestem licencjonowanym kapitanem.

— Trzeba było poprosić mnie — rzucił.

To już było śmieszne.

— Ma pan własny statek — zauważyła z cierpką nutką w głosie. — Teraz jednak proszę pana o radę. Jaki ładunek, pańskim zdaniem, przyniósłby mi największy zysk, gdybym udawała się, na przykład, na Bissonet? I czy najlepiej polecieć tam przez Rosvirein, czy może raczej powinnam skierować się na Topazowy Klaster? — Wybrała Bissonet jako najbardziej oczywisty, zamieszkanym światem poza Rosvirein i Sallyonem.

— Bissonet? To największe centrum produkcyjne, a pani statek jest za mały, żeby zawieźć im surowce, których mogliby oczekiwać. — Parks przesunął o centymetr kieliszek z winem. — Spróbowałbym dodatków kulinarnych i szkła artystycznego, ale to nieco ryzykowne, jeżeli nie była tam pani wcześniej.

— Muszę coś zrobić — oznajmiła, wzruszając ramionami. — Trzeba od czegoś zacząć, jeżeli mam odbudować potęgę Vattów.

— Trudne zadanie — mruknął. Pochylił się naprzód, z łokciami na stole, opierając wydatną szczękę na dłoniach. — Jest pani bardzo młoda, jak na takie dzieło, lecz dla młodości i urody łatwe jest to, co innym wydaje się niemożliwe.

On był niemożliwy. Jeśli pochylił się jeszcze bardziej, cała zastawa zjedzie jej na kolana.

— Pochlebia mi pan — powiedziała. Zazwyczaj bawiło ją flirtowanie, teraz jednak wydało jej się to równie dziecinne, jak bieganie za kółkiem. Chciała informacji, użytecznych informacji, a nie pełnych podziwu spojrzeń i niemal nieskrywanego pożądania. Przyznawała, że sama była sobie winna — ubrała się wyzywająco — nadal jednak czuła znużenie.

— Wyśmienita ryba — pochwaliła, zajmując się różowym filetem, leżącym przed nią na talerzu. Był smaczny; Ky twierdziła, że jedzenie w Gildii Kapitańskiej niemal zawsze było dobre.

— Zgadza się — przytaknął mężczyzna, zabierając się za kotlety. — O ile ktoś lubi rybę — dodał.

Uśmiechnęła się słodko, nie przerywając jedzenia. Po zakończonym posiłku podziękowała mu i pożegnała się.

— Przykro mi, ale statek powiadomił mnie właśnie, że oczekuje mnie ważna rozmowa. Posiłek był cudowny, a pan okazał się nadzwyczaj hojny.

Twarz rozjaśnił mu uśmiech.

— Może zobaczymy się wieczorem, gdyby zechciała pani pojawić się w barze...

— Zależy, jak pójdą interesy — odparła. Jeśli nie możesz pozostawić ich uśmiechniętymi, przynajmniej daj im nadzieję. Nie miała ochoty podsycać nadziei Parksa, nie było jednak potrzeby wywoływać w nim wrażenia, że został wykorzystany.

W ciągu następnych dni ekipy naprawcze skończyły prace, a Stella wybrała niewielką ilość starannie dobranych towarów. Znała się na tym lepiej, niż na zawiadywaniu statkiem. Zawsze miała dar rozpoznawania nadchodzących trendów, a jakość towarów oceniała tak bezbłędnie, jakby była wypisana wytłuszczonymi literami na froncie opakowania. Tym razem wybrała bele ręcznie tkanych materiałów, kilka skrzyń szkła artystycznego, trochę części zamiennych do

systemów podtrzymywania środowiska w większych statkach, dwie skrzynie porcelanowych zastaw i 250 sedesów Kospar Infini, największego hitu galaktyki. Kapitan Orem powiedział jej o nich, kiedy udali się razem na aukcję.

— Myślałam, że sedesy to sedesy — wyznała Stella. — Dojrzała technologia, mająca tysiące lat... Znam tę markę, są bardzo ładne, ale przewozić je statkiem kosmicznym?

— Wszystkie produkty Kospara są pierwszej klasy — odparł Orem. — Lecz model Infini wybierany jest do domów i biur przez najbogatszych i najślawniejszych. Kospar co roku ogranicza produkcję i podaż nie dorównuje popytowi. Projektanci wewnątrz błagają o nie. Co znajdowało się w pani domu?

— Kospar — przyznała Stella. — Benites na górze, a Infini w głównej łazience dla domowników oraz drugiej dla gości, ale ja nigdy z nich nie korzystałam. W czym tkwi różnica?

Wzruszył ramionami.

— A czym różni się jedwab syntetyczny od naturalnego? Sok winogronowy od wina? Każdy ma nieco inny kolor, strukturę zewnętrzną, wtręty...

— Wtręty?

— Elementy dekoracyjne zawarte w strukturze materiału. Widziałem egzemplarz z wtopioną paprocią... To było dzieło sztuki, a nie urządzenie do zaspokajania najbardziej podstawowej z ludzkich potrzeb. Poza tym, nie niszczą się. Nie trzeba ich czyścić. Nie wymagają napraw, ani poprawek. Gdyby coś miało je uszkodzić, zniszczyłoby przy okazji cały dom. Spełniają wiele wymogów zdrowotnych. I mają niesamowicie wygodne siedziska. Oczywiście, kosztują, a osiągnięcie na ich sprzedaży zysk jest bardzo przyzwoity, nawet dla przewoźnika.

— Uważa pan więc, że powinniśmy je wziąć.

— Gdyby były dostępne, powinniśmy wziąć dwa razy tyle. Nie sądzę, aby sprzedała pani zbyt wiele na Rosvirein — choć przestępcy nigdy nie słynęli ze skąpstwa — jeśli jednak faktycznie udamy się potem na Bissonet i Sallyon, to spodziewałbym się całkiem ładnego zysku.

Sedesy znalazły się na pokładzie wraz z ręcznie tkanymi szalami z wełny miejscowych dzikich zwierząt, kolorowymi ikonami religijnymi, pakietami suszonej i mrożonej „dziczyzny” oraz innymi towarami, które przyciągnęły wzrok Stelli oraz znalazły uznanie kapitana Orema i jego wyczucia handlowego.

Ky ostrożnie wprowadziła *Piękną Kaleen* do systemu Rosvirein. Według implantu ojca i wspomnień Rafe'a Rosvirein cieszył się sławą dzikiego miejsca, gdzie zadawano niewiele pytań. Latarnia automatyczna zażądała od nich potwierdzenia, że nadajnik identyfikacyjny nadawał właściwą tożsamość, to wszystko. Ky sprawdziła skanery. Dwadzieścia osiem statków w systemie, z czego dwadzieścia z nadajnikami kupieckimi, a osiem uzbrojonych po zęby z logo Sił Pokojowych Rosvirein. Dwunastu z dwudziestu kupców znajdowało się w przestrzeni, reszta dokowała.

Na ekranie pojawiła się lista zasad panujących w systemie. Uzbrojone okręty były mile widziane, lecz jeśli aktywują broń, zostaną zestrzelone przez Siły Pokojowe Rosvirein. Personel bojowy musi podać organizację i aktualne kontrakty, o ile takowe ma. Kaprzy muszą przedstawić list kaperski oraz dostarczyć jego kopię. Piratów informowano, że jakikolwiek akt piractwa wewnątrz systemu zostanie surowo ukarany. Goście mogli nosić na stacji broń osobistą, poniosą jednak odpowiedzialność za straty wyrządzone na terenie stacji lub poszczególnym osobom. Zarejestrowani łowcy nagród mogli lokalizować i identyfikować uciekinierów, ale nie chwytać ich, ani zabijać.

Ostatnia linijka brzmiała: „Informujemy, że wyrok śmierci jest często wydawany i nie istnieją żadne instancje odwoławcze.”

— To może nie utrzymać nas przy życiu, lecz każdy, kto nas zaatakuje, zostanie zdjęty — stwierdził Rafe, czytając to. — Słaba pociecha. Zauważyłaś, że ich ansible są sprawne? Były tutaj czarne charaktery, o ile nie ma ich nadal.

— Czyli możemy oczekiwać ataków. — W razie opuszczenia okrętu będzie potrzebowała ochrony, czyli Martina albo Rafe'a.

— Może nie. Jeżeli to faktycznie Osman stał za napaściami na Vattów, pozostali mogą się nie odważyć. A jeśli swym zachowaniem będziesz sugerować, że to jego uważasz za główną przyczynę, oni zaś nie mają innych powodów, to z radością pozostawią sprawy swemu biegowi.

— To takie pocieszające — mruknęła Ky. Poczula strużkę potu na plecach.

— Możliwe — skwitował Rafe i obrzucił ją spojrzeniem. — Zdenerwowana?

— Troszkę — przyznała. — Możesz poprzez tutejsze ansible sprawdzić, które nadal działają?

— O ile mają aktualną listę — odrzekł. Zasiadł za konsolą i wywołał lokalny ansibl. — Ach. Naprawiono trzydzieści siedem procent uszkodzonych ansibli, lecz części z nich nie uważa się za stabilne. Slotter Key nadal milczy. Garth-Lindheimer jest sprawny od około ośmiu dni. Nie jestem pewny, czy to dobrze.

— Czemu nie? Mogę połączyć się ze Stellą, jeśli nadal tam jest.

— Moje podejrzenia budzi fakt, że ansibl ożył tuż po naszym odlocie... a ja nie miałem z tym nic wspólnego. Albo pojawiła się tam oficjalna ekipa naprawcza ISC, albo... ktoś inny.

Ky poczuła chłód. Nie chciała zostawiać Stelli na Garth-Lindheimerze. Jeżeli coś stanie się jej kuzynce lub statkowi, to nie będzie jej wina.

— Stella jest sprytna — oznajmił Rafe, odpowiadając na jej niewypowiedzianą obawę. — Bywała już w trudnych sytuacjach. Poza tym, nie jest tak nastawiona na konfrontację jak ty.

— Konfrontacja...

— Podejrzewam, że to wina szkolenia wojskowego. Uprzedzaj problemy i tak dalej.

Ky rozważała wyjaśnienie mu, że rozsądne teorie wojskowe były przeciwne bezpośredniej konfrontacji, o ile możliwe były bardziej przebiegłe manewry, lecz dała sobie spokój. Jej historia faktycznie wskazywała na konfrontacyjność, choć nie

planowała obrać takiego kursu. A doświadczenie uczyło ją, że wchodzenie w dyskusję z Rafem rzadko kończyło się czymś więcej niż przyspieszeniem akcji jej serca.

Urzędnik celno-imigracyjny Rosvirein ze znużeniem oglądał kopię listu kaperskiego Ky.

— Slotter Key, zgadza się. Oto zasady obowiązujące kaprów. Nie wolno pani zdobywać statków w systemie, chyba że przed podjęciem próby zgodzi się pani przekazać nam połowę łupu. Jeżeli nie uda się pani zdobyć wskazanego wcześniej statku, nadal jest nam pani winna połowę szacunkowego łupu. Jednakże ma pani pełne prawo zbierać informacje i określać, dokąd udadzą się pani cele, by je tam później zaatakować. Nie chcemy kłopotów na stacji. Przynajmniej takich, które mogłyby niekorzystnie wpłynąć na wymianę towarową. Jesteśmy systemem wolnego handlu. Żadnych ograniczeń kategorii towarowych.

— Przyleciałam tutaj handlować — oświadczyła Ky. — Nie mam na oku żadnych celów i również nie chcę kłopotów.

— Wszyscy tak mówią — uśmiechnął się oficer. — Handel ożywił się ostatnimi czasy, mamy jednak raporty o niezidentyfikowanych jednostkach, wlatujących i opuszczających system, co przy tylu zepsutych ansiblach skłania część kupców do podróżowania w konwojach. Nie jestem żadnym pośrednikiem, jeśli jednak pracuje pani także w ochronie, to prawdopodobnie znajdzie tutaj zainteresowanych.

— Zastanowię się nad tym — obiecała. Tylko tyle mogła zrobić, dopóki nie napełni powietrzem całego okrętu i nie zatrudni obsady strzeleckiej do obsługi uzbrojenia. Najpierw musiała sprzedać część ładunku, żeby móc zatrudnić ludzi, a jeszcze wcześniej musiała uniknąć prób ukatrupienia jej. Choć uznanie śmierci Osmana za koniec zagrożenia dla Vattów było kuszące, to jednak przyjęcie takiego założenia mogłoby okazać się fatalne w skutkach. Zwłaszcza na stacji o reputacji Rosvirein.

Wyruszyła do Gildii Kapitańskiej w towarzystwie Martina i Rafe'a oraz z osobistą bronią w kaburze.

Hala huczała; było tutaj równie gwarnie, jak na Lastway, jedynie w nieco bardziej zróżnicowany sposób. Rozpiętość strojów sięgała od prostych kombinezonów po wyrafinowane kostiumy, jakich Ky spodziewałaby się prędzej na raucie dyplomatycznym. Widoczna broń obejmowała miecze, pistolety i pałki szokowe. Ochrona miała na sobie pełne skafandry bojowe z uniesionymi przyłbicami, uzbrojona była w broń wojskową i chodziła dwójkami.

Ky przyglądała się grupce kobiet w luksusowych kostiumach z niebieskiego aksamitu, koronkowych kryzach przy rękawach i szyi oraz koronkowych czepkach, przechadzających się wzdłuż sklepowych witryn. Zatrzymały się wreszcie przy sklepie z elektroniką. Z zieleniaka wyszła kobieta w błękitnym mundurze i białej czapce, czuwająca nad grupką dzieci, z których każde ścisnęło w rączce jakiś owoc. Czwororęki człomodel trzymał w dwóch rękach książki, a w trzeciej aktówkę, w

której grzebał czwartą ręką... Innemu wyrastał z ramienia pęk zwiniętych obecnie macek; drugie ramię wyglądało normalnie.

Gildia Kapitańska wyglądała jak dowolny bar wyższej klasy dla astronautów strzeżony przez wykidajkę. Ky wpisała się podając, że *Piękna Kaleen* miała cargo na sprzedaż i wakaty wśród załogi, za to żadnego określonego portu przeznaczenia.

— Tablice stanów są tam, bar tam, a gdybyście potrzebowali, dysponujemy trzema salkami spotkań — oznajmił pracownik, wskazując po kolei w różnych kierunkach, kiedy Ky zakończyła rejestrację. — Nie widzimy tutaj zbyt często kapitanów Vattów.

— Kłopoty z ansiblami wytrąciły z kursu wielu ludzi — odrzekła Ky.

— Słyszeliśmy. Na szczęście mamy własnych techników. ISC wścieka się, że nie wzywamy ich za każdym razem, kiedy coś piknie, ale przynajmniej nie wpadliśmy w bagno, jak w przypadku reszty baranów, którzy uzależnili się od nich całkowicie. Macie siedzibę na Slotter Key, prawda? Tamtejszy ansibl nadal nie działa. Domyślam się, że jesteście teraz zdani na samych sobie; nikt nie powie wam, co zrobić.

— Coś w tym rodzaju — przyznała Ky. Nie patrzyła na Rafe'a; wyobrażała sobie, co myślał. Obrzuciła wzrokiem tablice stanów. Dziesięć statków w dokach, w tym ich. Wszystkie, które cumowały przy stacji, kiedy zjawili się w systemie, odleciały, z wyjątkiem dwóch. Zdążyła już zauważyć, że *Tygrys Bala* i *Katany* tkwiły tutaj od dłuższego czasu. Kapitanowie R. Taylor i G. Pinwin. Według tablic w Gildii Kapitańskiej czekali na ładunki. Inni przylatywali i odlatywali, znajdując cargo. Bez wątpienia należało mieć się na baczności. Z drugiej strony, potrzebowała więcej załogi, a marynarze ze statków, które zbyt długo stały w porcie, często chcieli zmienić przydział.

— Tutejszy rynek potrzebuje przede wszystkim wyspecjalizowanej elektroniki — ciągnął mężczyzna. — Wełniane tkaniny są niechodliwe — w systemie produkuje się i eksportuje znakomite materiały z naturalnych włókien. To samo z jedzeniem, chyba że macie coś naprawdę egzotycznego. Dzieła sztuki — to zależy. Wszystkie ekskluzywne meble są takie same.

— Dziękuję — powiedziała Ky.

— Jeśli szukacie załogi lub macie jakieś specjalne zamiary, to mógłbym uruchomić znajomości...

— Muszę zastanowić się nad naszym ładunkiem, biorąc pod uwagę, co nam powiedziałaś — oznajmiła Ky. Nie zamierzała udzielić mu żadnej informacji, którą mógłby potem sprzedać.

Najważniejsze było uzupełnienie zapasów, co oznaczało, że potrzebowała gotówki. Mizerny pokładowy system hydroponiczny nie zaczął jeszcze zastępować powietrza utraconego w przestrzeni, kiedy wysadzili służę, a chciała wypełnić nim wszystkie ładownie, by móc przejrzeć ładunki i zastąpić rezerwy. Na Rosvirein opłaty za powietrze były wysokie, lecz nie zawyżone. Najpierw skontaktuje się z Crown&Spears i sprawdzi dostęp do kont korporacji, a jeśli okaże się to niemożliwe, sprzeda coś — cokolwiek — żeby zapłacić za powietrze.

Rozdział 5

Slotter Key

Mężczyzna przydzielony do obserwacji pewnych konkretnych pozostałości rodu Vattów żałował, że zamachowcy nie spieszyli się. Powiedziano mu, że praktycznie udaje się na wakacje w miłej, pełnej wzniesień okolicy. Słodkie, letnie wietrzyki, wszędzie zatrząsienie przepięknych kwiatów, istny raj. Powiedziano mu, że pewni ludzie zapłacą niezłe pieniądze za spędzenie części tego lata na wzgórzach.

Wariaci. Jeszcze nigdy nie był równie znudzony i zrozpaczony. Dom i ogrody wyposażone były w profesjonalny system alarmowy — po atakach na Vattów niezwykle czuły — musiał więc trzymać się z daleka i kryć między skałami. Wypożyczony w mieście sprzęt kempingowy okazał się bezużyteczny: nie odważył się używać jaskrawego namiotu, przenośna ubikacja chemiczna zapchała się drugiego dnia, a racje żywnościowe smakowały jak siano i trociny. Przemoczył go deszcz, spaliło słońce, pokąsało więcej złośliwych żyjątek, niż według niego istniało, a wszystko po to, żeby obserwować wdowę w żałobie, jej osieroczone wnuki i zbikowaną staruchę.

Grace Lane Vatta mogła sobie kiedyś być bohaterką wojenną — znalazł opis jej działalności w partyzantce — teraz jednak była tylko zwariowaną staruszką, która wychodziła na dwór dopiero po kolacji, by przejść się po ogrodzie i sadzie w typowym dla starych ludzi stroju: ogromnym kapeluszu, spódnicy po kostki, bluzce z długimi rękawami, mechatym szalu na ramionach i praktycznych butach. Wdowa w średnim wieku wyglądała niemal równie staromodnie, drepcząc za dwójką młodszych dzieci. Prawdopodobnie wnuków. Dzieci jak dzieci — tłuste pulpety.

Zachowywały niezmienną rutynę. Rano dzieci bawiły się na dworze, czasami jeździły w kółko na dwóch niemrawych kucykach po padoku za ogrodem. Ich babcia zawsze trzymała się w pobliżu. Popołudnia wszyscy spędzali w domu, podobnie wieczory, z wyjątkiem poobiedniego spaceru; światła gasły wkrótce po zmroku. Nie odwiedzał ich nikt, oprócz furgonetki ze sklepu spożywczego. Przez zbyt długich dziesięć dni obserwacji ani razu nie wybrały się na wycieczkę. Po co być bogatym, skoro oznaczało to prowadzenie równie nudnego życia? Przynajmniej będą łatwym celem dla zabójców, o ile takowi kiedykolwiek tutaj zawitają.

Wkrótce odprawił pomocnika, który pełnił straż nocną, ponieważ ci ludzie szli do łóżek zaraz po zmroku i spali całą noc. Wykorzystał dodatkowe pieniądze na poprawę swych żalonych warunków pracy i wynajem twardego łóżka w hostelu, skoro nie mógł korzystać z namiotu.

Bolała go głowa, a światło boleśnie kłuło w oczy. Był cały rozbity. Na pewno brała go jakaś choroba. Na prawej nodze odkrył dużą, różową opuchliznę, a drugą, taką samą, na prawym boku, tuż nad paskiem. Z obu miejsc oderwał obrzydliwe, małe robaki; trzymały się mocno. Zapewne wysysały mu krew. Swędziały go plecy. Potrzebował lekarza.

Próbował skontaktować się ze wsparciem, lecz nie otrzymał odpowiedzi. Ze zleceniodawcą również nie mógł się połączyć. Bez trudu wyobrażał sobie, jak tamten wypoczywał w nadmorskiej kawiarence w stolicy, w chłodzie i wygodzie, z dala od gryzących robali i cudów natury, prawdopodobnie spędzając długie, poobiednie godziny z jakąś piękną dziewczyną.

Późnym rankiem poddał się ze wstrętem po znalezieniu na ubraniu kolejnych trzech płaskich pijawek o niebieskich grzbietach. Staruszka nigdzie nie pójdzie, a on musiał kupić jakiś repelent, żeby trzymać je z daleka oraz proszki na ból głowy. Podźwignął się bardziej zeszywniały i obolały niż kiedykolwiek i poszedł w kierunku drogi, starając się nie rzucać w oczy z okien domu w oddali. Nie zauważył kucyków o czujnie nadstawionych uszach, ani sępów, które zerwały się ze skały i udały na poszukiwanie innej padliny. Złapał okazję do miasteczka i zapytał o drogę do kliniki.

Planował wrócić po kilku godzinach, lecz kiedy dyżurująca lekarka zobaczyła czerwone kręgi i usłyszała o wysysających krew robakach, natychmiast zapakowała go do łóżka. Usunęła mu kolejne dwa insekty z pleców.

— Nigdzie pan nie pójdzie — oświadczyła mu stanowczo. — Ma pan gorączkę niebieskich kleszczy, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Nie mogę uwierzyć, że nie przyszedł pan po pierwszym ukąszeniu. Nie słyszał pan ostrzeżeń przed niebieskimi kleszczami? Leżał pan na ziemi, prawda? Każdego lata to samo: wy, mieszkańcy, przyjeżdżacie tutaj i nie zważacie na ostrzeżenia, a potem chorujecie i chcecie lekarstwo, które natychmiast postawi was na nogi.

Od jej głosu jeszcze bardziej rozboleła go głowa.

— Muszę wracać... — powiedział.

— Cóż, młody człowieku, nie ma błyskawicznego lekarstwa na gorączkę niebieskich kleszczy — oznajmiła. — Czekaj pan osiem do dziesięciu bardzo nieprzyjemnych dni, ale przynajmniej nie skończy się śmiercią. Gdyby nie przyszedł pan dzisiaj... — Pokręciła głową i wyszła. Chciał wstać i wyjść, lecz ból głowy odezwał się z podwójną siłą i nie był w stanie się ruszyć.

Wczesnopopołudniowa burza z piorunami przetoczyła się nad wzgórzem za rzeką, przesłaniając słońce i chłodząc parne powietrze. Grace Lane Vatta, odziana w wysłużony, acz nienagannie skrojony strój wędkarski, z wędziskiem i koszem w ręce oraz waderami przewieszonymi przez ramię, zatrzymała się w bramie padoku, przyglądając się burzy i ładnemu terenowi pomiędzy domem a podmokłymi łąkami poniżej. Wyżej, na drodze, panował zwykły dla tej pory ruch. Za jej plecami dom spał w ciszy, gdyż Helen zmusiła wnuki — sieroty po Jo — do drzemki, żeby mogła trochę odpocząć.

W kołysanej wiatrem trawie nic się nie poruszało. Sprawdziła to z okna na piętrze, nie zwykła jednak przyjmować pochopnych założeń. Kucyki dzieci pasły się w cieniu drzewa, leniwie machając ogonami, co stanowiło dowód, że nikt nie czaił się przy padoku. Te obzartuchy natychmiast zasygnalizowałyby zagrożenie, gdyby tylko ktoś pojawił się w pobliżu. Krążące codziennie nad skałami sępy tym razem

szybowały wysoko, unoszone ciepłymi prądami powietrznymi. Zerwały się do lotu późnym rankiem. Cokolwiek przyciągało ich uwagę przez cały tydzień, teraz odeszło. Grace nie zawracała sobie głowy sprawdzaniem tego; zwierzęta ciągle chorowały i zdychały, a padlinożercy zawsze je znajdowali. W okolicach skał pełno było niebieskich kleszczy, zwłaszcza po tym, jak zebrała cały słoik z psa sąsiadów i rozsypała je w najlepszym miejscu dla szpiega, który chciałby na leżąco obserwować ich dom.

Burza przesuwiała się w kierunku jeziora i wzgórz za nim. Grace po raz ostatni omiotła wzrokiem okolicę i ruszyła przez padok. Oba kuce uniosły łby — *jedzenie?* — a jeden obrócił się, zrobił kilka kroków, lecz nie opuścił cienia, widząc, że nie zatrzymała się. Pokonała przełaz na krańcu padoka i zeszła stromym zboczem, porośniętym sięgającymi nad głowę jeżynami i kolcolistem, korzystając z jednej z licznych owczych ścieżek. Obserwujący ją z powietrza dostrzegłby logikę w zawilej marszrucie — nikt nie miałby ochoty przebijać się przez gęste, cierniste krzaki. Jak zwykle uzbrojona w liczne przydatne narzędzia Grace mogłaby tego dokonać w razie potrzeby, lecz póki co niewyraźna ścieżka dobrze jej służyła. Nikt jej raczej nie zauważy, nawet gdyby wiedział, gdzie patrzeć.

Po dotarciu do brzegu spędziła chwilę na skraju kępy wierzb, omiatając wzrokiem górę i dół rzeki. Po kilkudniowej obserwacji wiedziała, że MacRobert wolał rankiem łowić ryby w dolnym, a po południu — w górnym biegu odcinka rzeki, objętego zezwoleniem przypadającym na jego domek. Przyglądała mu się z drugiego brzegu z samodzielnie przygotowanej kryjówki, w której codziennie chowała się przed świtem, a opuszczała po zmroku. Wieloletnie doświadczenie w działaniach w terenie zaowocowało skutecznym repelentem, niewielką, lecz wydajną toaletą i kompaktowym pojemnikiem do podgrzewania żywności na energię słoneczną. Ze złośliwą radością wyobrażała sobie obserwatora przydzielonego do ich domu, jak leżał pod skałami, kąsany przez niebieskie kleszcze, podczas gdy ona siedziała sobie wygodnie. Nie miała pojęcia, czy MacRobert wiedział, że tam była — jeżeli był taki dobry, jak miała nadzieję, to wiedział — chciała jednak upewnić się, że nie obserwował go nikt inny. Jak dotąd, wyglądało to dobrze.

Usiadła na płaskim kamieniu, by naciągnąć wadery — wyprodukowane specjalnie dla niej i regularnie naprawiane — po czym spojrzała na rzekę. Poziom wody nie zmienił się od wczoraj. W górnym, węższym i dzikszym biegu woda rozpryskiwała się na głazach, lecz tutaj, przy płaskiej skale, rzeka była zwodniczo spokojna; szklista powierzchnia ukrywała prawdziwą prędkość nurtu. Dolny odcinek zakręcał w lewo, omijając kępę wiekowych, wysokich drzew, a tuż przed zakrętem stary pień tworzył idealne schronienie dla ryb.

Grace wstała, tupnęła nogami w waderach, upewniając się, że są prawidłowo naciągnięte, po czym podniosła kosz i zaczęła go na zwisającym z ramienia pasku. Ostatnie poklepanie się po kieszeniach, by upewnić się, że kryły wszystko, co powinny, rzut oka na wodę i unoszącą się nad nią chmurę insektów, ocena kąta padania światła i... pora wybrać pierwszą muchę. W trudnych latach po wojnie, kiedy zmagiała się ze wspomnieniami i emocjami, które musiała ukrywać pod groźbą

dożywnego zamknięcia w azylu, nauczyła się samodzielnie przywiązywać własne muchy, co wymagało skupienia się na chwili bieżącej i wyglądało na bardzo niegroźne zadanie.

Wybrała ulubioną — starą i postrzępioną — przymocowała ją i ruszyła do wody, poddając się nurtowi. Czuła żwir pod stopami, nacisk prądu na łydki i siłę wody, przyciskającą wadery do nóg. Powierzchnia rzeki, gładka lub wzburzona, bulgocąca tutaj, a wkleśła tam, zdradzała ukształtowanie dna. Zarzuciła i przyczepiona do wędziska żyłka poszybowała łukiem z lekką jak powietrze muchą, która osiadła na wodzie i popłynęła z nią we właściwe miejsce.

Zawirowanie, coś błysnęło i mucha znikła. Poczowała pierwszy słaby opór, stłumiła pokusę szarpnięcia, za to zaczęła delikatnie nawijać żyłkę... Po czym jednym, szybkim ruchem wbiła haczyk. Ryba skoczyła naprzód, orząc wodę. Grace uśmiechnęła się. Zgodnie z jej oczekiwaniami zdobycz popłynęła w dół rzeki; popuściła linkę. Ryba wyskoczyła z wody, kreśląc srebrzysty łuk znaczony czerwonymi pasami, po czym zawróciła pod prąd. Grace sprzeciwiła się tym zamiarom. *Nie tamtędy... tędy.* Zdobycz zawróciła, a Grace dała jej więcej swobody, idąc za nią wzdłuż brzegu.

Wiedziała, że był tam, gdzie się spodziewała, tak jak on spodziewał się jej. Mimo to bawiła się z rybą, a on udawał uprzejmego wędkarza, wykrzykującego zachęty do kogoś, kto właśnie coś złowił. Była pewna, że nikt ich nie podglądał, lecz nawet, gdyby byli jacyś obserwatorzy, ujrzeliby obrazek, jakiego każdy mógłby oczekiwać. W końcu doprowadziła zdobycz na płyciznę, niemal w zasięg jej siatki — spory pstrąg, jak na te wody, co najmniej pięćdziesiąt centymetrów długości.

— Potrzebuje pani pomocy? — zapytał.

— Chętnie — zgodziła się Grace.

Minął ją z podbierakiem i wprawnie wsunął go pod rybę, nie wyrządzając jej krzywdy.

— Wolność czy kolacja?

Rozważała to przez chwilę. Lubiła pstrągi, lecz pomimo swoich rozmiarów, nie wystarczyłyby dla całej rodziny.

— Uwolnię go — postanowiła.

— Pani czy ja?

— Ja. — Odłożyła wędkę. Trzymał rybę prawidłowo, mocno, lecz bez uszkodzania jej, ze złożonymi skrzelami. Wyjęła haczyk z kościstej szczęki i zatknęła w kurtce. — Wypuszczam ją.

— Oczywiście.

Przytrzymał pstrąga, dopóki nie przejęła siatki, po czym wycofał się. Grace przeniosła rybę — ciężką, ale nie zamierzała jej ważyć — na głębszą wodę. Uwielbiała ten moment — dotyk zdobyczy, szarpiącej się niecierpliwie ku wolności. Pstrąg łapał powietrze pyszczkiem, pracowicie poruszając skrzelami, po czym naprężył się, a ona wypuściła go. Pomknął w górę rzeki, do domu pod kłodą.

— Dobra robota — orzekł mężczyzna. — Pięknie rozegrane i to gładkim haczykiem.

— Dziękuję za pomoc — odparła i skinęła na jego sprzęt kilka jardów dalej. — Widzę, że łowi pan na mokre muchy.

— A pani na suche... Wymagają lekkiego dotyku. — Po krótkiej przerwie dodał: — Zdaje sobie pani sprawę, że to wody prywatne?

— Wynajmujemy Brookings Manor na tamtym wzgórzu; nasze zezwolenie obejmuje odcinek rzeki od jeziora po Most Bendera.

— Przepraszam, nie wiedziałem... Ja wynajmuję Greyfalls Cottage; przypuszczam, że moje prawa biegną stąd — skinął głową — przez jakiś kilometr w dół rzeki. A przy okazji, nazywam się Anders MacRobert.

— Grace Lane Vatta — przedstawiła się. — Może kanapkę? Mam kilka w koszyku.

— Dziękuję, chętnie — odparł.

Usiedli na granitowym głazie nad rzeką, gdzie szum przepływającej wody unieszkodliwi każde urządzenie podsluchowe, umieszczone wśród drzew dwadzieścia metrów dalej. Grace podała mu zapakowaną kanapkę i odwinęła z papieru drugą. Odwdzięczył się butelką z własnego koszyka.

— Mamy problem w Siłach Kosmicznych — zaczął, patrząc na drugi brzeg i ledwo poruszając ustami.

Grace powstrzymała się przed rozejrzeniem dokoła i ugryzła kanapkę.

— Zgadza się. Wie pan, jaki?

— Jest związany z programem kaperskim — odrzekł. — Wie pani o nim?

— Że Slotter Key wykorzystuje kaprów, zamiast regularnej floty — tak. Że pewni oficerowie Sił Kosmicznych są jednocześnie doradcami na okrętach kaperskich — również.

— Pani bratanica Ky otrzymała list kaperski — oznajmił MacRobert.

Grace poczuła, jak krew odpływa jej z twarzy.

— Że co?

— Ma list kaperski. Jak najbardziej oficjalny, choć nieco... niezwykły.

— Ja... nigdy bym nie przypuszczała. — Grace nie spodziewała się, że zaskoczą ją rewelacje MacRoberta, lecz musiała przyznać, że to było dla niej całkowitą niespodzianką. — Rząd zwrócił się przeciwko nam...

— List pochodzi sprzed tego okresu — wyjaśnił MacRobert. — Został wystawiony przed atakami na Vattów, których, swoją drogą, z pewnością nie przewidywałem.

— Czy jej ojciec wiedział? Albo wuj? — Miała na myśli, czy wiedzieli oficjalnie. — Przyjmowanie listów kaperskich stoi w sprzeczności z naszą polityką.

— Wiem — odrzekł MacRobert. Bez słowa dojadł kanapkę. Grace czekała. — Rzecz w tym — podjął w końcu — że wiedziałem, iż z tą przygodą Ky na Akademii coś było nie tak. Kadet, który wywołał kłopoty, nie należał do ludzi tego typu. Ktoś musiał go namówić. Miałem takie wrażenie — nikt inny nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo coś tutaj było nie w porządku — i wiedziałem, że Ky przebywała gdzieś w kosmosie, na niewielkim, bezbronnym stateczku, nie wiedząc, co się stało, ani dlaczego. Mogła potrzebować pomocy. Więc... zaaranżowałem to.

— Nie powiedział pan żadnemu z Vattów — domyśliła się Grace.

— Nie. Jak również przemilczałem to wobec paru innych osób.

— Ale rząd musiał wiedzieć... ktoś to podpisuje. Unieważnią go...

— Nie sędzę. — Pociągnął długi łyk z butelki. — Ky nie figuruje w ich dokumentacjach... No, przynajmniej nie we *wszystkich*. Posiada ważny list kaperski. Podpisany przez odpowiednie osoby. — Znowu przerwał. Grace miała ochotę wydusić z niego resztę, ale podejrzewała, że nie udałoby się jej. Napiała się ze swojej butelki. — Są różne listy kaperskie — kontynuował MacRobert. — Niektóre mają ograniczenia, limitujące kapitanów. Inne są bardziej ogólne. Jeszcze inne są... specjalne. Jej jest specjalny.

— Jak pan jej go dostarczył?

— Kurierem na Lastway. Wiedziałem, że tam leciała. Wysłałem jej także list i jeśli wypełniła moje instrukcje, to zdobyła trochę przydatnej broni.

Nieoczekiwanie Grace poczuła, jak ogarnia ją wściekłość.

— Tylko jeszcze bardziej wystawił ją pan na cel — powiedziała. — Nie ma możliwości, żeby efektywnie walczyła tym gruchotem, na którym lata, a teraz dostarczył pan naszym wrogom kolejnych powodów, żeby ją ścigać.

Nie zareagował na jej gniew; równie dobrze mógłby być granitowym głazem, na którym siedzieli.

— Będzie lepszym kaprem niż wielu oficerów — oznajmił. — Moim zdaniem, nawet lepiej, że odeszła z floty.

— Zupełnie, jakby to pan miał prawo podjąć taką decyzję — sarknęła Grace. — Nie należy do pańskiej rodziny.

— Nie. Ale obserwowałem ją przez cały pobyt na Akademii. Jest inteligentna, szybka, zdolna i — o ile się nie mylę — ma instynkt zabójcy.

Grace poczuła, jak coś ściska ją w żołądku.

— Mam nadzieję, że nie — odparła.

Odwrócił się ku niej.

— Dlaczego? — Po czym zmienił minę, widząc wyraz jej twarzy. — Och. Pani... oczywiście, wiem coś niecoś o pani przeszłości.

— Jest sama — rzuciła Grace, nienawidząc emocji, które przydały jej głosowi chropowatości. — Odkrycie w sobie... *tego* będzie dla niej wstrząsem. Stella go nie posiada: potrafi zabić, ale nienawidzi tego tak, że nigdy nie poczuje pokusy. Jeżeli Ky...

— Jest po czterech latach szkolenia wojskowego — zauważył Mac Robert. — Pomoże jej to bardziej, niż się pani wydaje.

— Tak przypuszczam. — Grace złożyła opakowanie kanapki w twardą kostkę, którą schowała do koszyka. — Więc... czego oczekiwał pan od niej, jako od kapra?

MacRobert zmarszczył brwi, wpatrując się w rzekę.

— Ponieważ ma większą wiedzę wojskową od innych kapitanów, pomyślałem, że mogłaby zbierać dla nas informacje w miejscach, gdzie bardziej znani kaprzy nie usłyszą niczego. Byłem pewny, że coś się szykuje, coś poważnego i miałem nadzieję, że dowie się, co to takiego.

— Mógłby pan zwyczajnie poprosić ją o szpiegowanie bez kuszenia kaperstwem.

— Owszem, mógłbym. Ale wymagałoby to stworzenia metod komunikacji właściwych szpiegostwu. Kaprzy mogą składać meldunki bezpośrednio lokalnym konsulom, a ja... mam wgląd w te raporty.

— Czemu odnoszę wrażenie, że jest pan kimś więcej niż starszym sierżantem kadetów? — Grace zapytała w niebo.

— Powinniśmy wrócić do łowienia ryb — uznał MacRobert. — Na wszelki wypadek.

— Ma pan rację — przytaknęła Grace. — Spotkamy się na rzece jutro?

— Oczywiście. Jestem pewny, że zna pani moje przyzwyczajenia. Przynajmniej mam nadzieję, że to pani obozowała na drugim brzegu rzeki. Bardzo dyskretnie. Jestem przekonany, że obozowała tam pani od paru dni, zanim udało mi się ją zauważyć.

— Ja również mam taką nadzieję — odrzekła Grace. — Udanych połowów.

— Nawzajem.

Walcząc z nurtem, Grace przebrnęła na drugi brzeg, powstrzymując się od wypłoszenia wielkiego pstrąga spod pnia i udając na znacznie mniejsze okazy w górnym odcinku, swawolące w chmurach muszek.

Kiedy wróciła do domu, zastała furgonetkę ze spożywczego. Dostawca przywiózł kolejne opowieści o głupich turystach. Ktoś przewrócił łódkę na jeziorze w szczególnie idiotyczny sposób, odnotowano też nowy przypadek gorączki niebieskich kleszczy u mężczyzny, który przyszedł do kliniki myśląc, że miał ból głowy.

— Co z dziećmi? — zaniepokoiła się Helen. — Całe ranki bawią się na dworze...

— Używacie repelentu, tak? — zapytał kierowca. — Tego dobrego, w niebieskich butelkach? — Helen przytaknęła. — Nic im nie będzie. Sprawdzajcie je co wieczór...

— Robimy to — włączyła się Grace. — Podczas kąpieli.

— Wobec tego nie powinno być kłopotów. Gdyby jednak któreś z nich zaczęło narzekać na ból głowy, natychmiast przywieźcie je do kliniki. Tamten turysta musiał nie używać repelentu i leżeć w miejscu, gdzie wcześniej przebywały owce. Lekarz — mój szwagier — mówił, że był cały pokąsany przez kleszcze, a dwa miał ciągle przyczepione do pleców.

— Wyjdzie z tego? — zapytała Helen.

— Prawdopodobnie — odparł kierowca. — Ale Sam powiedział, że nie wyjdzie z kliniki przez co najmniej dziesięć dni.

— Jaka szkoda — mruknęła Grace.

Helen obrzuciła ją ostrym spojrzeniem; staruszka nie odezwała się więcej.

Grace leżała w łóżku i czytała jedną ze starych książek, które były w tym domu, kiedy się wprowadziły, gdy Helen zastukała do drzwi. Książka była kryminałem, a Grace zwykle ich nie lubiła, jako że najdalej po piętnastu stronach wiedziała już, kto popełnił zbrodnię, ta jednak była na tyle stara, że okazała się interesująca ze względu na detale historyczne.

— Proszę — powiedziała.

– Ty umieściłaś tam kleszcze — oskarżyła ją Helen.
– Gdzie? — zapytała Grace.
– Gdziekolwiek... skąd wiedziałaś, że on tam będzie?
– Są cztery dobre miejsca do obserwacji domu, pozostając niewidocznym zarówno stąd, jak i z drogi — odparła Grace, nie podnosząc głowy znad książki. — Owszem, w każdym z nich rozsypałam duży słoik kleszczy.

– A więc doprowadziłaś do jego choroby.

– Mam nadzieję.

– I nie przejmujesz się tym?

Grace położyła książkę grzbietem do góry na piersiach i spojrzała na Helen.

– Czy przejmuję się zarażeniem gorączką niebieskich kleszczy kogoś, kto pracuje dla ludzi, którzy zabili twojego męża, Jo, Gerry'ego i Myris oraz setki innych? Ani trochę.

– Wiedziałaś, że ktoś będzie nas obserwował... Domyśliłaś się, skąd... Jest ich więcej?

– Nic o tym nie wiem. Tamten facet miał przez kilka dni zmiennika na noc, lecz od pewnego czasu został tylko on, podczas dnia.

– Wiedziałaś o tym i nie powiedziałaś mi? Dzieci...

– Nie chodziło mu o dzieci, Helen, w przeciwnym wypadku bym go zdjęła. Obserwował nas i składał raporty komuś innemu, kto mógłby coś zrobić — na przykład przysłać zabójców. Ale dowiedziałabym się o tym na czas, by was ochronić.

Usta Helen nadal były lekko otwarte.

– Ty... Stavros zawsze mówił, że nie należy cię nie doceniać. Skąd ty to wszystko wiesz?

Grace uśmiechnęła się.

– Ludzie chętnie rozmawiają ze starszami. Bardzo uważnie słucham. I choć córki twoja i Gerry'ego uważały mnie za sztywną i fałszywie skromną starą wiedźmę, to Stella szybko odkryła mój sekret.

– Czyli? — zapytała Helen.

– Nie mam zasad moralnych — odrzekła Grace.

Wyraz twarzy Helen uległ zmianie. Grace założyła się sama ze sobą, co tamta zaraz powie.

– Nie chcesz chyba powiedzieć... dokładnie to miałaś na myśli — ton głosu Helen zmienił się w połowie zdania.

– Tak. Kiedyś je posiadałam, a przynajmniej coś, co je przypominało. Jako dziewczyna byłam całkiem konwencjonalna, co dla większości ludzi uchodzi za moralność.

– Czemu mi o tym mówisz? — zapytała Helen, całym ciałem zdradzając odczuwane napięcie.

– Z kilku przyczyn. — Grace usiadła na łóżku i odłożyła książkę na bok. — Nasza rodzina została zaatakowana. Mieszkamy razem, w związku z czym wzajemnie od siebie zależyśmy. Musisz wiedzieć, do czego jestem zdolna.

— Wiem, że potrafisz zabijać — powiedziała Helen. — Nie martwi mnie to, ale nie uważam, aby oznaczało to, że nie masz zasad moralnych.

— Słusznie — zgodziła się Grace. — Ale wstrząsnęło tobą, że podłożyłam kleszcze, żeby szpieg zachorował i nie obchodzi mnie, czy przeżyje. Zgadza się?

— Tak... — Helen odpowiadała wolno, intensywnie myśląc. — Teraz, kiedy usłyszałam o powodach, zgadzam się, że postąpiłaś słusznie...

— I to jest kolejna sprawa, którą musisz zrozumieć, Helen. Naprawdę nie dbam o to, czy się zgadzasz, czy nie. Niezależnie od wszystkiego, zamierzam robić to, co uważam za słuszne. I nie zawsze będę podawać powody. Nie zawsze muszę je znać — czasami działam instynktownie.

Helen otworzyła i zamknęła usta.

— Chyba powinnam się cieszyć, że jesteś po naszej stronie.

— Owszem, powinnaś — potwierdziła Grace. — Moje umiejętności będą niezbędne, jeżeli mamy przez to przejść. Prawdę mówiąc, jest kilka rzeczy, których muszę ciebie nauczyć.

Helen zeszywniała i zadarła brodę.

— Na przykład? — zapytała.

— Jak upiec ciasto z owocami — powiedziała Grace, biorąc książkę. — I dlaczego — dodała, zagłębiając się w lekturze. — Dobranoc, Helen.

Nie podniosła głowy, by sprawdzić jej minę. Odczekała, aż usłyszy delikatne stuknięcie zamykanych drzwi, po czym odłożyła książkę i wyłączyła światło. Kiedy zgasł odbłask światła Helen na liściach bluszczu za oknem, Grace odczekała jeszcze pół godziny, po czym podeszła boso do parapetu i skierowała wąsy mikrofonu na okno wdowy. Usłyszała jedynie odgłosy charakterystyczne dla śpiącej — Helen nie chrapała, lecz wydawała ciche dźwięki, które u cięższej osoby prawdopodobnie przerodziłyby się w chrapanie.

Nie zapalając światła, Grace wydobyła ubranie spod poduszki i przebrała się w czarny kombinezon do wspinaczki. Cienkie, elastyczne buty wspinaczkowe na stopy, lampka na opasce na głowę. Upierała się przy pokoju z treliazem... Prześlizgnęła się po parapecie i zeszła po treliazu na szczyt okna na pierwszym piętrze, gdzie zostawiła otwarty lufcik w bibliotece. Dla wentylacji, jak wyjaśniła Helen, pokazując jej czujnik alarmowy, reagujący na wszystko o rozmiarach kota, co zdołałoby znaleźć drogę do środka.

Teraz nacisnęła panel kontrolny, którego Helen nie widziała, a położony na szerokość dłoni od obramowania okna i ukryty wśród bluszczu. Uspiała system alarmowy. Przedostała się przez lufcik i z łatwością zeszła po półkach z książkami na podłogę. Prześledziła tę drogę, oglądając nieruchomość przed wydzierzawieniem. Stanąwszy na podłodze, ustawiła system alarmowy tak, by ją ignorował, reagując jednocześnie na wszystko inne. To było proste; nie pierwszy raz schodziła z góry, by kontynuować swoją misję — znajdować winnych i uprzykrzać im życie.

Prawdziwą trudnością było ustanowienie niewykrywalnego połączenia z jej wtyczkami w pałacu prezydenckim. Nie miała czasu, ani pieniędzy, by przygotować ten dom do takich działań, a poprzedni właściciele byli nudni i prostolinijni. Za

rzędami starych ksiąg prawniczych krył się jej strój polowy, który teraz wyciągnęła, wciąż kierując się jedynie dotykiem.

Biblioteka składała się z trzech pomieszczeń: dwóch z oknami i jednego wewnętrznego. Pozbawiona okien salka była najwyraźniej przeznaczona na rzadsze okazy — starodruki — i do prac rachunkowych. Znajdowało się tam biurko, kilka prymitywnych sejfów i konsola komunikacyjna, jak również zamknięte, kurzoodporne biblioteczki. Grace weszła do pomieszczenia, zamknęła drzwi i włączyła lampkę na głowie. Mogła włączyć konsolę i zabrać się za mylenie tropów.

Tego wieczoru miała dwa zadania. Chciała złożyć prezydentowi kolejną wizytę i ustalić, jaki dokładnie „specjalny” list kaperski otrzymała Ky. Zaczęła jednak od drugiej sprawy, to jest skontaktowania się z agentami rozsianymi po całej planecie. Jak dotąd, nie zdołali ustalić, z którego okręgu dzwoniła, niemniej, zawsze zaczynała od sprawdzenia tego.

Rozdział 6

Stacja Rosvirein

Z godnie z Kodeksem Handlowym zawartość ładowni kapra należała do niego. Jednakże zazwyczaj na importowane przez kapra towary nakładano specjalne cła, a łatwo identyfikowalne wyroby mogły wywołać roszczenia prawne ze strony adresatów lub ich ubezpieczycieli. Ky przejrzała ładunki — na ile mogła, gdyż część ładowni nadal pozbawiona była powietrza — starając się oszacować, co przyniosłoby jej największe zyski, wzbudzając jednocześnie najmniej podejrzeń.

— Dwie ryzy waluty z Engen... To ma jakąś wartość? — zapytała Rafe'a.

Ten uniósł brwi, zerkając na listę ładunków, a potem na przyniesioną przez Lee próbkę.

— Ciekawe, skąd je wziął. Są prawdziwe — to żadna podróbka — nie zależą od ansibli finansowych i nikt, oprócz ciebie, nie może udowodnić, do kogo wcześniej należały.

— Ale nie byliśmy na Engen, ani nawet w pobliżu...

— Nie, ale to powszechnie uznawana waluta. Zakładałbym, że większość handlarzy walutą dałoby ci siedemdziesiąt procent wartości nominalnej.

Ky chciała oponować, że to niesprawiedliwe, pomyślała jednak, że to i tak znalezione pieniądze.

— Oszacowałeś wartość?

— Ryzy oznaczone są jako dziesięćmilionowe. Czy naprawdę tyle zawierają... — Wzruszył ramionami.

Czternaście milionów. Być może. Z pewnością to jest jakiś początek, wystarczy co najmniej na napełnienie okrętu powietrzem.

— Połączę się z Crown&Spears — postanowiła. W kilka minut ustaliła, że bank faktycznie przyjmie depozyt w walucie Engen w wysokości 72,1 procenta nominalnej wartości. — Dostarczymy osobiście — powiedziała — a potem odwiedzimy tutejsze biuro ISC.

— Zbyt rzucające się w oczy — orzekł Rafe. — Skorzystaj z licencjonowanego kuriera; bank powinien przetrzymać to do wglądu, zanim tam dotrzemy.

Martin skinął głową.

— Ma rację, pani kapitan. Nie martwi mnie rabunek, tylko napaść. Lepiej zdecydować się na inne towary i wynająć przewoźnika, żeby zabrał wszystko. Tak będzie bezpieczniej.

Kilka godzin zabrało ustalenie adresatów innych charakterystycznych towarów Osmana: błamu drugiej jakości futer z Hurrigana oraz trzech pięćsetlitrowych skrzynek mleka w proszku dla osieroconych cieląt, a następnie zorganizowanie przewozu jedną z licencjonowanych firm spedycyjnych.

Do tego czasu Martin wykrył, że pierwsza próba penetracji ich systemu bezpieczeństwa nastąpiła po pięciu godzinach od wylądowania.

— Można było się tego spodziewać — zauważył, pokazując jej log. — Zwłaszcza w takich miejscach. Pewni ludzie będą chcieli włamać się do naszego systemu tylko po to, żeby wydostać informacje, uzyskać dostęp do okrętu lub personelu.

— Ci, którzy zaatakowali Vattów?

— Niekoniecznie. Jestem pewny, że tacy również czają się w okolicy, spodziewałbym się jednak innych, próbujących rutynowo infiltrować system każdego statku.

Ky zuła przez chwilę wargę.

— Musimy wiedzieć, czy to zwyczajni złodzieje i awanturnicy, czy poważne zagrożenie...

— Pracuję nad tym — oznajmił Martin. — Potrzebujemy jednak liczniejszej załogi.

— Sporządzę listę wakatów — jak uważasz, kogo potrzebujemy?

— Osman miał zbyt liczną załogę, ale potrzebował mięśni. My także, jeśli postanowi pani zostać kaprem. Potrzebujemy zastępców do każdego wydziału: pilota, nawigatora, inżyniera, środowiskowca. Wystarczającą ilość rąk do pracy przy ładunkach, jeśli chce pani handlować. Oraz obsadę broni. Proszę pomyśleć o okręcie Sił Kosmicznych.

— Ludzie znający się na broni są najprawdopodobniej źli — zauważyła.

Martin potarł nos.

— Niekoniecznie. Na przykład ja — są różne powody, dla których ktoś nie pasuje do armii, nie tylko brak kompetencji lub zdrada. Ale owszem, musi pani być ostrożna. — Ściszył głos. — Co z Tobym? Zamierza pani zostawić go w załodze? Chłopak ma smykałkę, ale...

— Ale jest za młody na okręt bojowy. Masz rację, Martin, lecz nie wiem, dokąd go posłać — ani jak — gdzie byłby bezpieczniejszy niż z nami. Niemniej, dzięki za przypomnienie. Jestem przekonana, że tutaj znajdziemy dla niego więcej modułów edukacyjnych. A może i nauczyciela.

— Nie potrzebuje nauczyciela, żeby się uczył — oznajmił Martin. — Wystarczą moduły; jest samoukiem. Pomogłoby towarzystwo kogoś w jego wieku, ale nie sugeruję zabierania na pokład kolejnego dzieciaka. — Zmarszczył czoło. — A co... hm... z Rafem?

— Nie należy do załogi — odparła Ky. — Niemniej, uważam go za sprzymierzeńca.

— Może — mruknął Martin. — A może nie. Nadal wiąże was umowa partnerska?

— Coś w tym rodzaju — przytaknęła Ky. Miała nadzieję, że wiedza o jego ansiblu czaszkowym dawała jej większą przewagę niż zobowiązania partnerskie, lecz nie zamierzała mówić o tym Martinowi.

— Cóż... Raczej nie ufałbym mu przy zatrudnianiu ludzi.

— Nie — odparła Ky. — Nie zamierzam. Jeśli jednak uzna kogoś za niewiarygodnego, warto to będzie rozważyć.

Kiedy opuściła okręt, by udać się do banku i oddziału ISC, zaskoczył ją widok zgromadzonego przy doku *Pięknej Kaleen* niewielkiego tłumu ludzi, oferujących jej swe usługi jako członkowie załogi, partnerzy handlowi lub przewodnicy.

— Nigdy nie byłam taka popularna — mruknęła do Rafe'a po drodze do biura ISC. Idący za nimi Martin i Lee tworzyli tylną straż; cieszyła ją dodatkowa siła. Mrowiła ją skóra; zmuszała się do wolnego oddychania. Do ataku dojdzie, albo nie.

— Przyzwyczajaj się — odrzekł Rafe. — To ta aura dowódcy, jaką roztaczasz.

— Wcale nie.

— Właśnie, że tak. W dodatku, nie rozwinęłaś jej jeszcze w pełni, co lekko mnie przeraża. Oczywiście, możliwe także, iż podejrzewają, ile jest wart twój ładunek.

— Myślisz, że ktoś z nich wie o... hm... *przedmiotach*?

— O... — Rafe obrzucił ją wystraszonym spojrzeniem. — Masz na myśli... eee... elementy okrętu? — Wyraźnie nie zamierzał nazywać rzeczy po imieniu. — Ky — kapitanie — nie wolno ci ich sprzedawać! To mogłoby zdestabilizować...

— Nie podjęłam decyzji o sprzedaży — uspokoiła go. — Ale bazy danych... — Nielegalne cargo Osmana przyniosłoby większy zysk niż mleko w proszku.

— Może pozwoliłabyś mi rozejrzeć się po okolicy — zaproponował Rafe. — Bardziej prawdopodobne, że to ja nawiążę jakieś pożyteczne znajomości, a nie ty.

— Byłeś już tutaj?

— Nie, lecz część mojego importu z Allray przechodziła przez Rosvirein. Kiedyś znałem tutaj kogoś, ale nie wiem, czy jeszcze tu przebywa.

— Dowiedz się — poleciała Ky. — Nie mam doświadczenia w sprzedawaniu tego typu rzeczy.

Przeliczenie waluty Engen zabrało liczącym maszynom w Crown&Spears tylko chwilę; Ky podpisała dokumenty i zdeponowała pełną kwotę na koncie okrętu. Następnie zapłaciła za powietrze; za jakieś dwanaście godzin do wszystkich pomieszczeń wróci właściwe ciśnienie. Crown&Spears dzieliła od ISC krótka przechadzka.

Wejście do ISC ozdobione było logo kompanii, ułożonym ze złotych, szarych i niebieskich płytek. Po obu stronach drzwi tkwili strażnicy w szarych uniformach. Jeden z nich wyszedł na powitanie nadchodzącej grupy Ky.

— Macie umówione spotkanie? — zapytał.

— Nie — odparła Ky. — Chciałam porozmawiać z tutejszym menedżerem — czy to wymaga wcześniejszego umawiania się?

— W obecnych warunkach — owszem — potwierdził strażnik. — Większość spraw może zostać załatwiona przez kabel, a jak wiemy, tutejszy ansibl działa bez zarzutu.

— Posiadam informacje istotne dla waszych interesów — oznajmiła, pieczołowicie omijając wzrokiem Rafe'a.

— Mogę poprosić o pani nazwisko? — zapytał strażnik. — Zapytam...

Ky podała mu identyfikator.

— Jest pani tą samą Vattą, która była na Sabine? — zapytał nieco cieplejszym tonem.

— Tak — potwierdziła.

— Chwileczkę. — Wrócił do drzwi i odwrócił się plecami, podczas gdy drugi wartownik patrzył nad nimi ze znudzoną miną, która — Ky była tego pewna — maskowała czujność.

Wkrótce zostali wpuszczeni do środka, gdzie spotkali poważną starszą panią, niższą od Ky; jej czarne włosy przecinały pasemka siwizny.

— Jakaż to przyjemność, kapitanie Vatta! Słyszeliśmy o pani wyczynach w systemie Sabine. — Kobieta wyciągnęła rękę. — Jestem Selkirk, menedżer stacji.

— Dziękuję — odrzekła Ky, ściskając jej dłoń. — Moim zdaniem, mam informacje ważne dla ISC, a dotyczące awarii ansibli.

— Ach. Powinnyśmy udać się do mojego biura... Może pani... ludzie... zaczekaliby tutaj; przyślę kogoś z napojami.

— Chciałabym, żeby towarzyszył mi Rafe — oznajmiła Ky. — Ma większą wiedzę techniczną ode mnie.

— Doprawdy? — mruknęła Selkirk. — W takim razie, jak najbardziej... — Rozejrzała się dokoła. — Potrzebujemy w lobby dwóch krzeseł i napojów. — Ky nie dostrzegła żadnego urządzenia, lecz niemal natychmiast na końcu recepcji otworzyły się drzwi, zza których wyszedł mężczyzna, pchający wózek z dwoma krzesłami. W drzwiach po drugiej stronie lady pojawił się inny pracownik z tacą. Krzesła zostały rozstawione, kwiaty ze stoliczka przeniesione na sąsiedni, a taca ustawiona przed gośćmi. Na znak Ky Martin i Lee usiedli, choć ten pierwszy nie wyglądał bynajmniej na uszczęśliwionego.

— Tędy — rzuciła Selkirk. W ścianie po prawej otworzyły się drzwi, wpuszczając Selkirk, Ky i Rafe'a do wyłożonego wykładziną korytarza; przejścia pilnował kolejny wartownik. Ky zamrowiła skóra. Biuro Selkirk okazało się pomieszczeniem narożnym z oknem wychodzącym na ogród. — To część systemu bezpieczeństwa — wyjaśniła, wskazując na okno. — Potrzebujemy przestrzeni pomiędzy nami a sąsiedztwem. Mój szef ochrony chciał zalać wszystko gładkim cerroplastem, lecz dzięki temu otrzymujemy kredyt tlenowy, co obniża nam koszty, nawet doliczając pensję ogrodnika.

— Jest piękny — powiedziała Ky. W ogrodzie rosły prawdziwe drzewa, zasłaniające mury sąsiadów, oraz płynęła sztuczna rzeczka z mostkiem i wodospadem.

— Owszem — przyznała Selkirk. — Lecz dość o tym. Co sprowadza panią do nas i jakimi informacjami pani dysponuje?

— Byłam na Belincie, kiedy zepsuły się ansible — zaczęła Ky. — Prawdę mówiąc, wydarzyło się to podczas rozmowy z siedzibą mojej firmy na Slotter Key. Początkowo nie wiedziałam, czy problem tkwił w sprzęcie po którejś ze stron, czy dotyczył ansibla. — Przerwała, lecz Selkirk tylko skinęła głową. — Wkrótce okazało się, że ansibl Belinty uległ awarii; zanim dotarłam na Lastway, przekonałam się, że to samo przydarzyło się kilku innym. Znaleźliśmy pozbawione załóg ansible z przepelnionymi skrzynkami pocztowymi, skąd nie wychodziły żadne wiadomości.

— Och... — Twarz Selkirk pojaśniała. — Cały ten sektor nadal jest wyłączony. Mieliśmy tam tylko jeden statek naprawczy, skąd zameldowano nam, że miną miesiąc, zanim naprawią wszystkie urządzenia.

— Na Lastway — ciągnęła Ky — natknęliśmy się na coś innego. Tamtejszy ansibl pozornie działał...

— Nie jest zepsuty — oświadczyła Selkirk. — Nie otrzymujemy stamtąd zbyt wiele bezpośrednich wiadomości, ale odbieramy retransmisje.

— Menedżer stacji został przekupiony — powiedziała Ky. — Jedne wiadomości przekazywał, a inne zatrzymywał...

— Jest pani pewna?

— Tak — odezwał się po raz pierwszy Rafe. — Kapitanie, czy mogę rozmawiać otwarcie z menedżer Selkirk?

— Oczywiście — zgodziła się Ky.

Wstał — Ky zauważyła, że kobieta spięła się, gdy podszedł do jej biurka.

— Proszę się nie obawiać, madame; po prostu chcę pokazać pani pewien kod, którego kapitan Vatta nie zna. — Napisał coś na notatniku ekranowym na jej biurku, po czym wycofał się i usiadł, unikając wzroku Ky.

Selkirk wpatrywała się w zapis; Ky żałowała, że nie potrafiła patrzeć z sufitu. Głowa Selkirk uniosła się. Twarz była wyraźnie bledsza.

— Jest pan...

— Pewnie chce pani to sprawdzić — przerwał jej Rafe — w swoich książkach.

Palce kobiety przebiegły po płytce w blacie biurka. Zmarszczyła brwi, wpatrując się w ekran, którego Ky nie widziała. Kiedy ponownie podniosła wzrok, sprawiała wrażenie bardziej zaniepokojonej niż zachwyconej.

— Pasuje. To... prawdziwa niespodzianka. Czy pańska... czy kapitan wie?

— Zdaje sobie sprawę, że jestem tajnym agentem ISC — potwierdził Rafe. — O czym jeszcze wie lub podejrzewa, musi ją pani sama zapytać. Zawdzięczam jej życie. Byłem na Allray, kiedy to się zaczęło i tylko dzięki niej znalazłem się tak blisko kwatery głównej.

Selkirk przeniosła wzrok na Kylarę.

— Zadziwia mnie pani, kapitanie.

— Wracając do sprawy — kontynuował Rafe. — Posiadam potrzebne wam dane techniczne, w tym raport o sytuacji na Lastway, gdy stamtąd odlatywaliśmy. Może rzucić światło na związek pomiędzy atakami na nasz system ansibli oraz na rodzinę kapitan Vatty i jej świat ojczysty. — Zerknął na Ky. — Część tych danych powinna zostać jak najszybciej przesłana na Nexusa Dwa. Czy pani połączenie z bazą jest pewne?

— Tak — odrzekła Selkirk. — Utraciliśmy tutejsze ansible jedynie na sześć dni. Przedtem zdążyliśmy skontaktować się z siedzibą ISC, a połączenie wznowiono natychmiast po naprawach.

— Tutejsi twierdzą, że to oni naprawili ansible, a nie technicy ISC — odezwała się Ky. — Czy to prawda?

Selkirk zaczerwieniła się.

— Musi pani zrozumieć kulturę Rosvirein, kapitanie Vatta. To bardzo dumni i niecierpliwi ludzie, na dodatek świetni technicy. Kiedy przydzielono mi tę placówkę, usłyszałam sugestię, że w razie trudności technicznych powinnam pozwolić ich ekipom towarzyszyć naszym ludziom, zanim wezwę zespół remontowy.

— Co oznacza „tak” — skwitował Rafe. — Czy wykryty problem tkwił w obwodach interfejsu w... eee... obszarze przestrzennym? — Zerknął na Ky i odwrócił wzrok.

— Tak — potwierdziła Selkirk, składając dłonie.

— Sugeruję ponowne rozważenie udzielania ekipom Rosvirein zezwolenia na nie nadzorowany dostęp do ansibli. W tej chwili nie jestem przygotowany do zarekomendowania akcji przeciwko nim, lecz czasami konflikt emocjonalny jest lepszy od niedoskonałej komunikacji.

— Rozumiem — mruknęła Selkirk. Spojrzała na Ky. — Bez obrazy, kapitanie, ale czy mogłabym przedyskutować pewne ważne kwestie z pani załogantem na osobności?

— Nie należy do mojej załogi — odparła Ky. — To wasz agent. Woli pani, żebym wyszła natychmiast — prawdę mówiąc, z mojej strony nie mam już nic więcej do dodania — czy Rafe ma przyjść tutaj później?

— Te sprawy mogą okazać się pilne.

— Wobec tego wychodzę — oznajmiła Ky. Nie mogła nic poradzić na odczuwaną lekką irytację, lecz nie okazywała jej. Poza tym, miała mnóstwo innych spraw do załatwienia. — Spotkamy się później, Rafe — dodała. — Mam zostawić ci eskortę?

Skrzywił się.

— Myślę, że sobie poradzę, kapitanie, niemniej, dziękuję za propozycję.

Ky zastanawiała się, czy powie Selkirk o ansiblach pokładowych. Miała nadzieję, że nie. Nie chciała oddawać ich ISC.

— Rafe zostaje? — zapytał zaniepokojony Martin.

— Przecież jest agentem ISC — zauważyła Ky. Na otwartej przestrzeni wciąż mrowiła ją skóra, mimo iż nie dostrzegała nic groźniejszego od zwyczajnie ubranej kobiety, pilnującej grupki dzieci, których głosiki przebiłyby pancierz.

— Sprawi nam kłopoty — powiedział Martin. — Pani kapitan zna moje zdanie na temat ufania mu.

— Tylko połowę, jak długo mogę go wyrzucić — odrzekła Ky. — Ale zachowujemy przyzwoity dystans.

Martin prychnął i pokręcił głową.

— Czasami jest pani zabawna, pani kapitan. Rozumiem, że wraca?

— Mam nadzieję — powiedziała Ky. — Twierdzi, że dysponuje lokalnym kontaktem, dzięki któremu sprzedamy część mniej legalnego cargo Osmana. W międzyczasie rozejrzyjmy się za załogą. W tej chwili wszyscy mamy za dużo zajęć. Z całym szacunkiem należnym Lee, potrzebujemy drugiego pilota, a może nawet dwóch. Musimy też zastąpić Toby'ego — niech idzie do szkoły... — O ile znajdą mu jakieś bezpieczne miejsce.

— Obsada uzbrojenia — przypomniał Martin, kiedy wracali do wejścia do doków.

— Nigdy takich nie zatrudniałam — wyznała Ky. — Nawet nie wiem, kogo szukać. Moglibyśmy zatrudnić zwykłych marynarzy — może nauczyliby się...

— Moglibyśmy, ale jesteśmy uzbrojonym okrętem — przypomniał Martin. — Bezbronny statek może zostać napadnięty lub nie, ale zbrojny okręt, który nie może korzystać z broni pokładowej, staje się wyjątkową zdobyczą dla zdolnych do zaatakowania go. Jak dotąd, mieliśmy szczęście, ale nie możemy wiecznie na nie liczyć.

— Szczęście idzie w parze z przygotowaniem — oznajmiła Ky, cytując wykład z Akademii. — Wiem, ale...

— Nie może pani wiecznie blefować — powiedział Martin i zmarszczył brwi. — Pani kapitan, co innego, jeśli chce pani rozbroić okręt, ale...

— Rozumiem, o co ci chodzi — zapewniła go Ky. — Mamy broń, więc potrzebujemy obsługi do niej. Ja tylko... gdybym była piratem, właśnie w ten sposób wprowadziłabym agentów na okręt, który chciałabym zaatakować.

— Z pewnością, musi więc pani być ostrożna. Nie jestem ekspertem od uzbrojenia, pani kapitan, ale mówiła pani wcześniej, że jej zdaniem potrafie wypatrzeć zgniłe jabłka. Może mi pani zaufać w tym względzie.

Ky skinęła głową.

— Ufam ci, Martinie. Masz niezbędne doświadczenie. Może zajmiesz się tym wspólnie z Rafem?

Jak zwykle, na wzmiankę o Rafie Martin zrobił kwaśną minę.

— Cóż, na pewno ma doświadczenie ze zgniłymi jabłkami. Ale jak właśnie powiedziałem...

— Wiem. Lecz w tej kwestii uważam, że można mu zaufać. Jeśli zostanie z nami, nie będzie chciał zginąć wskutek wyboru niewłaściwej załogi. Masz jakieś pojęcie, ilu ludzi potrzebujemy, żeby móc walczyć z innymi jednostkami? — Ile będzie to kosztować oraz jakiej kubatury potrzebowali dla takiej ilości ludzi?

— Mamy osiem baterii wyrzutni pocisków — potrzebujemy obsady do każdej z nich. W Siłach Kosmicznych tworzy się ośmioosobowe zespoły dla każdych dwóch baterii. Wobec czego potrzebne są nam cztery drużyny ośmioosobowe, czyli trzydzieści dwie osoby. Dwa lasery, którymi można sterować z mostka. Potrzebuje pani specjalisty od tego oraz jednego, bądź dwóch starszych ogniomistrzów koordynujących działania. W sumie trzydzieści sześć osób.

— Plus uzupełnienie regularnej załogi. — Ky potrząsnęła głową. — Lepiej sprzedajmy jak najwięcej ładunków; domyślam się, że wykwalifikowana obsługa broni nie jest tania, a ja chcę dobrych fachowców.

Rafe pojawił się kilka godzin później z wiadomością, że odszukał swój dawny kontakt.

— Będziemy musieli pójść razem — powiedział. — Nie będzie robiła interesów ze mną chce spotkać się z tobą. Ale wezmę broń. Jeśli chcesz, możesz zabrać ze sobą jeszcze kogoś. Sugerowałbym tylko, aby nie był to Martin — jego wojskowe doświadczenie za bardzo rzuca się w oczy.

— Lee? — Ky zapytała pilota. — Chcesz pójść z nami?

Uśmiechnął się radośnie.

— Pewnie, pani kapitan; w porcie nie mam nic lepszego do roboty. — Jak poprzednio, wyposażył się w zbrojowni Osmana, aż wręcz jeżył się od oręza. Wyraźnie rozbawiony Rafe przekrzywił głowę; jego broń, podobnie jak Ky, była starannie ukryta.

Kontakt Rafe'a spotkał się z nimi w obskurnym sklepiku ćwierć obwodu stacji od doków. Kobieta miała twarde rysy twarzy i siwe włosy z burgundowymi i zielonymi pasemkami. Wokół lewego rękawa szarej kurtki zawiązała żółtą wstążkę, a wokół prawego — dwie zielone. Ky była pewna, że coś oznaczały.

— Robiłam interesy z Osmanem — oznajmiła po przedstawieniu ich sobie. — Masz towar tego samego typu?

— Mam ten sam towar — uściśliła Ky. — Osman nie żyje. Przejęłam jego okręt.

— Tak mi powiedział. — Kiwnęła głową w stronę Rafe'a, po czym zmierzyła Ky wzrokiem od góry do dołu. — Raczej nie wyglądasz na wystarczająco twardą, żeby pobić Osmana.

— Oboje jesteśmy z Vattów — mruknęła Ky, co wywołało cierpki uśmiech. Targowały się krótko — kobieta chciała towaru Osmana i zgodziła się w końcu dać tyle, ile zapłaciłaby jemu.

Ky powtarzała sobie, że towar, który kupowała Amy — zawartość ansibli czaszkowych zgranych na inne nośniki — już wcześniej został odebrany właścicielom, a ci nie żyli. Powtarzała to sobie non stop, lecz mimo to ścisnęła ją w żołądku przez całą drogę powrotną na okręt.

Przez następne dni Ky cieszyła się, że Martin wziął na siebie werbowanie zespołów bojowych. Miała wystarczająco dużo pracy z resztą ładunków — decydowała, co sprzedać i gdzie — oraz przesłuchiowaniem kandydatów na członków regularnej załogi. W miarę zapełniania się listy zdała sobie sprawę, że ekipa Osmana wcale nie była zbyt liczna, jak na okręt bojowy. Nie czuła się dobrze z tak liczną grupą obcych na pokładzie, ale nie było innego wyjścia.

Na cywilnym statku handlowym starszy inżynier często był zastępcą kapitana, ale to nie zadziałałoby w przypadku okrętu kaperskiego. Na jednostkach Sił Kosmicznych różnica pomiędzy oficerem a szeregowcem była jasna, tak samo jak łańcuch dowodzenia, nie miała jednak pojęcia, w jaki sposób inni kaprzy rozwiązywali interesujący problem łączenia dwóch funkcji.

Zastanawiała się nad tym, kiedy Martin przyszedł do niej po akceptację swego pierwszego osiągnięcia: pełnej obsady ogniowej.

— Byli częścią niewielkiej kompanii najemników — Kompanii Calverta — ale ich dowódca zginął. Następca nie spodobał im się, więc odeszli. Są rodziną i chcą być zatrudnieni razem. Sprawdziłem Calverta — jest czysty. Kompania mała, ale dobra. Po śmierci Bena Calverta młodszy dowódca — bratanek i wieloletni przyjaciel — pokłócili się o sukcesję i jeden z nich zginął „przypadkowo” podczas treningu. Ten zespół odszedł, wraz z jedną trzecią kompanii.

— Jacy są?

— Rzekłbym: solidni. Utrzymują, że u Calverta zdobyli doświadczenie bojowe oraz zaznajomili się z uzbrojeniem, które posiadamy. Chce pani ich zobaczyć?

— Oczywiście. — Ciekawe, co takiego mogłaby dostrzec, co przeoczył Martin. Przejrzała ich akta, czekając na powrót Martina z zespołem. Najstarszy z nich, Jon, miał ponad pięćdziesiątkę; najmłodszy był dwudziestolatkiem. Pięcioro z nich to rodzeństwo, pozostała trójka — bliscy kuzyni. Przypominało jej to Vattów.

Weszli do środka, ubrani w mundury z ciemniejszymi prostokątami po odznakach oddziału lub stopniach, po czym wyprężyli się przed nią na baczność: pięciu mężczyzn i trzy kobiety. Z ich twarzy nie potrafiła wyczytać nic, ponad to, że byli ze sobą biologicznie spokrewnieni.

— Spocznij — poleciła im z nadzieją, że wydała właściwą komendę. Sprawnie wykonali paradne „spocznij”.

— To jest Jon Gannett — Martin kiwnął głową w stronę mężczyzny w środku linii. — Ich dowódca.

— Byłem bosmanem artylerzystą — oświadczył mężczyzna. Mógł być wyrzeźbiony z kłosa drewna tikowego; lata w kosmosie nie rozjaśniły mu skóry.

— Bosmanie Gannett — zaczęła Ky. — Jak rozumiem, komendant Martin wyjaśnił, kogo szukamy? — Kątem oka zauważyła lekkie zaskoczenie Martina tytułem, jakiego użyła wobec niego.

— Tak jest, pani kapitan. Potrzebuje pani zespołów bojowych do obsługi baterii pocisków i zamierza walczyć z piratami.

— Zgadza się. Według dokumentów macie odpowiednie kwalifikacje, ale przyzwyczajeni jesteście do służby wojskowej. Technicznie rzecz ujmując, kaprzy są jednostkami cywilnymi. Muszę być pewna, że rozumiecie różnicę.

— Czy będzie oczekiwać się od nas wykonywania cywilnych obowiązków? — W pytaniu pojawiła się nutka niesmaku.

Ky uniosła brwi.

— Będzie się od was oczekiwać wykonywania moich rozkazów — odparła. — Mało prawdopodobne, aby jakiegokolwiek obowiązki na tym okręcie można było uznać za czysto cywilne, poza sprzedażą i zakupami ładunków... do czego nie macie odpowiednich kwalifikacji. Za to obowiązki pokładowe — jak najbardziej.

Wykrzywił usta.

— Rozumiem, pani kapitan. Pani... komendant Martin twierdzi, że posiada pani kompetencje niezbędne do dowodzenia okrętem bojowym...

Ky zerknęła na Martina, starając się nie okazywać zdumienia.

— Bez obrazy, kapitanie Vatta, ale musimy wiedzieć, czy nie będzie nami dowodzić... — Widziała, jak walczył, żeby znaleźć synonim słowa *idiotka* i czekała na rezultat. — ... ktoś pozbawiony doświadczenia — dokończył wreszcie.

— Jestem pewna, że komendant przekazał wam oficjalną wersję — powiedziała. — Jestem młoda, lecz niebezpieczeństwo i przemoc nie są mi obce. — Uśmiechnęła się, pozwalając, aby w tym grymasie odbiło się trochę mrocznej strony jej natury.

Gannett gwałtownie kiwnął głową.

— Czy mogę przedstawić mój zespół, pani kapitan?

— Bardzo proszę — zgodziła się Ky.

Przedstawiani występowali przed szereg.

— Arnold, Podtal, Rory, Hera, Gus, Ted. Arnie i Pod są moimi zastępcami. Rozumiem, że pani sama o tym postanowi, lecz są naprawdę dobrzy. Wszyscy dorastaliśmy w tym fachu; Gus i Ted są najmłodszy, ale zaciągnęli się w wieku piętnastu lat; teraz mają po dwadzieścia lat standardowych.

Ky pomyślała o Tobym, który za chwilę skończy piętnaście lat. Czy ci mężczyźni o twardych obliczach byli kiedykolwiek równie młodzi, jak on?

— Opuściliście Calverta, ponieważ nie spodobał się wam nowy dowódca, zgadza się?

— Tak. — Beznamiętny ton nie zachęcał do zadawania dalszych pytań.

— Aby to zrobić, zerwaliście dziesięcioletni kontrakt — ciągnęła Ky. — Czy oznacza to, że wolelibyście zawrzeć ze mną umowę krótkoterminową?

Pytanie zaskoczyło Jona; dostrzegła zmianę wyrazu twarzy.

— Nie zamierzamy nikogo opuszczać, madame — odrzekł wolno. — Wolelibyśmy stałe miejsce, lecz w tej chwili bardzo potrzebujemy pracy.

Ky przyszedł na myśl tuzin rzeczy, które mogła powiedzieć lub o które mogła zapytać, lecz instynkt podpowiadał jej, że ta rodzinna grupa była ucziwa. Zerknęła na Martina i kiwnęła mu lekko głową.

— W takim razie dobrze. Wasze akta są w porządku. Oferuję wam pozycję zespołu ogniowego numer jeden. Zgodnie z naszą tradycją oznacza to dziobową baterię bakburty.

— Dziękuję, kapitanie — odrzekł ich dowódca. Słowem nie wspomniał, czy mieli taką samą tradycję, co znaczyło, że zrozumiał, iż tutaj sprawy wyglądały dokładnie tak, jak wyglądały.

— Komendant Martin pokaże wam wasze koje i miejsce na rzeczy — powiedziała Ky. — Dostarczymy wam również naszywki na mundury. — Jak tylko zleci ich wykonanie; kolejny szczegół, o którym nie pomyślała.

Po dziesięciu dniach od wylądowania na Rosvirein *Piękna Kaleen* o wiele bardziej przypominała okręt wojenny. Nowa śluza sterburty, wszystkie przedziały napełnione powietrzem, uzupełnione zapasy do podtrzymania środowiska, a nowi członkowie załogi trudzili się nad przydzielonymi im zadaniami. Gannettowie zajęli koje przeznaczone dla obsady pierwszej i drugiej baterii bakburty. Sprawdzili wszystkie wyrzutnie i magazyny uzbrojenia, po czym zameldowali Martinowi, że wszystko znajdowało się w zadowalającym stanie, z wyjątkiem niepełnych stojaków na pociski.

Ky ciekawiło, gdzie Osman zużył te pociski, lecz nie próbowała tego ustalić, wydając w zamian zgodę na uzupełnienie stanu uzbrojenia. W międzyczasie baterie sterburty obsadził drugi zespół ogniowy, tym razem złożony z dwóch drużyn, a Martin nie ustawał w poszukiwaniach dalszych kandydatów. W podtrzymaniu środowiska zapełniły się wszystkie wakaty, zaś podczas zakupów na stacji Lee natknął się na dobrego pilota.

Podczas codziennego obchodu okrętu implant podsuwał jej nazwiska dopasowywane do widzianych twarzy: Barton, technik środowiskowy trzeciej klasy, człomodel z Cantabu, wyposażony w macki wykrywające zanieczyszczenia powietrza; Leman, inżynier drugiej klasy z Allray. Pierwotna załoga, początkowo ostrożna wobec obcych, szybko zbratała się z nowymi i Ky co i rusz natykała się na niewielkie zgromadzenia w części mieszkalnej. Nawet Hultaj, który początkowo warczał i chciał gryźć, oswoił się na tyle, że przewracał się na grzbiet i pozwalał nowicjuszom drapać się po brzuchu.

Najważniejsze, że znalazła dwoje kompetentnych oficerów z przyzwoitymi papierami, zwolnionych przez kapitana, którego nie stać już było na opłacanie kejowego i kompletu załogi. Człowiek ten osobiście zarekomendował ich Ky.

— Hugh to najlepszy pierwszy oficer, jakiego mogłaby sobie pani wymarzyć — oświadczył. — Jest uczciwy, pracowity i dobrze dogaduje się z załogą. Według tablicy ogłoszeniowej jest pani kaprem, a on spędził pięć lat w kompanii najemników, dopóki nie stracił ramienia. Wówczas odszedł do cywila, co w zupełności rozumiem. Jeśli chodzi o Laurie, to jest czystej wody geniuszem techniki. Silniki, podtrzymanie środowiska, łączność... wie o tym wszystko...

Ky spotkała się z nimi po południu.

— Rozumiesz, że jestem kaprem — powiedziała do Hugh Pritanga. — To nie statek kupiecki; prawdopodobnie będziemy walczyć. — Starła się nie patrzeć na jego lewe ramię na wypadek, gdyby uważał to za obraźliwe; pęk wyrostków na końcu nie przypominał palców.

— W porządku, pani kapitan — odrzekł. — Po opuszczeniu Rangersów wydawało mi się, że chcę bezpieczeństwa, ale prawdę mówiąc, osiem lat na statku Janoceka mocno mnie znudziło. Jak ożyją ansible, uzyska pani dostęp do moich akt bojowych...

— Jak długo zdajesz sobie z tego sprawę, że jestem kaprem, to wszystko będzie w porządku — przerwała mu Ky. — Mam nadzieję, że dasz sobie radę ze służbą na okręcie.

— To ramię jest bardzo praktyczne — odpowiedział Pritanga, unosząc je. — Wiem, że wygląda dziwnie, ale mogę nim robić rzeczy, których nie dokonałbym starym ramieniem. Nie jestem niepełnosprawny. Niemniej, moja żona nie mogła tego znieść.

Oczywiste wyzwanie. Ky zmusiła się do spojrzenia: te grube grzebienie na przedramieniu musiały być wzmocnieniami mięśni; wyrostki składały się z trzech niby-palców i dwóch macek, z których jedna przypominała przyssawkę, a druga musiała być wejściem do gniazd baz danych.

— Nigdy takiego nie widziałam — przyznała.

— Ale nie przeszkadza pani. — Było to bardziej oświadczenie niż pytanie.

— Nie — odparła Ky. — Nie przeszkadza. Chcesz tę robotę?

— Tak — potwierdził.

— W takim razie witaj na pokładzie; mamy mnóstwo pracy. — Przedstawiła go załodze. Od razu zauważyła, że przypadli sobie z Martinem do gustu.

Laurie Sutton wyglądała i zachowywała się jak każdy dobry inżynier — była praktyczna i skupiona. Zadawała właściwe pytania dotyczące systemu okrętu i dokonała szybkiego obchodu. Choć była znacznie młodsza od Quincy, Ky wyczuwała w niej tę samą pewność. Przed końcem wachty oboje zaciągnęli się do jej załogi i wnieśli na pokład swoje rzeczy. Gdyby jeszcze udało jej się znaleźć wykwalifikowanego ogniomistrza; naprawdę potrzebowała kogoś na tym stanowisku na mostku.

Kiedy przyleci Stella? Połączyła się przez ansibl z Garthem-Lindheimerem, lecz *Gary Tobai* opuścił system kilka dni wcześniej. Ky próbowała stłumić niecierpliwość i opracować plany na przyszłość. Wciąż nie miała pojęcia, jak ma odbudować imperium Vattów i wyeliminować napastników — i to jednocześnie — zaczęła jednak przygotowywać sekwencje działań w obu tych kierunkach.

Rzadko opuszczała okręt. Hugh szybko przejął od niej wiele rutynowych obowiązków, lecz inne sprawy na pokładzie nadal wymagały jej uwagi. Starła się co kilka dni odwiedzać Gildię Kapitańską, by sprawdzić wiadomości przeznaczone tylko do osobistego odczytu. W końcu jednak, kiedy nabrała pewności, że okręt poradzi sobie przez kilka godzin bez niej, postanowiła, że może pozwolić sobie na odpoczynek.

Choć nikt z jej załogi nie został zaatakowany, nie zamierzała wychodzić bez powzięcia konkretnych środków ostrożności. Miała ze sobą pełne magazynki i załadowanego Rossi-Smitha w kaburze. Na towarzyszy wybrała sobie Rafe'a i Jima, zostawiając Hugh zadanie uzupełnienia zapasów okrętu. Rzekomym celem jej wyprawy był dostawca okrętowy — chciała zobaczyć dostępne zastawy stołowe. Zasoby Osmana nie wystarczały dla pełnej załogi. Na właściwie utrzymanym okręcie Vattów korzystało się z prawdziwej zastawy i sztucców, a nie jednorazówek, w jakie Osman wyposażał większość swej załogi. Była zdecydowana karmić swoich ludzi z przyzwoitych talerzy, świadczących o klasie okrętu.

Rozdział 7

W Dostawach Okrętowych Bendicka, u pierwszego dostawcy, jakiego odwiedzili, mieli wyłącznie jednorazówki.

— W pełni przetwarzalne — zachwalał sprzedawca. — Nie trzeba ich zmywać.

Ky obróciła się na pięcie. Recykling wymagał energii i w większości przypadków dawał niepożądane produkty uboczne.

Trzej kolejni dostawcy w tej części stacji również oferowali wyłącznie jednorazówki. Była już prawie połowa wachty i Ky postanowiła poszukać miejsca, gdzie mogliby zjeść lunch.

— Jakies kłopoty? — zapytała Rafe'a.

— Nic, co wpadłoby mi w oko — odparł. — Zgadzałoby się to z przypuszczeniem, że czarne charaktery nie mają agenta na Rosvirein. Jak dotąd nie zauważyłem niczego podejrzanego, co samo w sobie budzi moją podejrzliwość. Niemniej, lunch nie powinien nam zaszkodzić, chyba że wybierzesz najgorszą spelunkę w okolicy.

— Bywałeś na tej stacji częściej ode mnie — powiedziała Ky. — Co polecasz?

— W pobliżu są trzy przyzwoite kawiarnie — odrzekł. — „Mama Jo” serwuje głównie algańskie jedzenie: krojone mięso i warzywa w chlebie, dość pikantne. W porze lunchu całkiem tłoczno; ludzie lubią tam jeść, a jest tylko dziesięć stolików. „Piekarnia Sekcji Trzy” specjalizuje się w wypiekach z farszem. Dla mnie trochę mdłe, jeśli jednak lubisz pasztecik z kurczaka, to miejsce dla ciebie. Mają też dobre jableczniki. W większości sprzedają na wynos, więc nie ma tam zbyt wielu ludzi. „Tony” oferuje pieczone z rożna i grilla; mają fantastyczny chleb. Mnóstwo stolików, o ile udamy się tam zaraz.

— Preferencje? — zapytała Ky.

— „Piekarnia” — rzucił pospiesznie Jim, niemal równocześnie ze stanowczym „Tony” Rafe'a.

— „Tony” — postanowiła Ky. Nie interesował jej mdły farsz z kurczaka. Ślinka napłynęła jej za to do ust na wspomnienie o „pieczystym z rożna”.

— Jaka szkoda — mruknął Rafe do Jima. Ten powstrzymał się od skrzywienia.

Po drodze do „Tony'ego” mijali „Cesarskie Hafty”, gdzie wytwarzano naszywki okrętowe. Ky z zaskoczeniem ujrzała ich własną odznakę, wystawioną wraz z tuzinem innych jako „przykłady naszych prac”. Rafe zauważył jej spojrzenie i potrząsnął głową.

— Musimy wynieść się stąd jak najszybciej — powiedział. — Wszyscy i tak wiedzą o twoim okręcie, lecz ta naszywka zdradza każdemu zainteresowanemu, że coś jest na rzeczy. Przypuszczam, że nie masz pojęcia, jak długo jeszcze będziemy czekać na Stellę?

— Zielonego. I bardzo tego żałuję.

— Nie rozumiem, dlaczego nowe naszywki miałyby sprawić problem — wyznał Jim. Szedł niedbale, z rękoma w kieszeniach, dopóki Ky nie obejrzała się na niego; dopiero wtedy wyciągnął ręce i wyprostował się.

– Miecz – oznajmił Rafe. – To coś nowego dla Vattów. Wyzwanie.

– Nie pomyślałam o tym – powiedziała Ky. – Ale potrzebowaliśmy czegoś...

– Nie mówię, że to źle. Ale przyciąga wzrok. Nie tylko „Cesarskie Hafty” wystawiły ją w witrynie; każda wizyta twoich ludzi na stacji zwraca na siebie uwagę.

„Tony” wyglądał, jak gdyby ktoś próbował przemienić standardową przestrzeń komercyjną stacji w na wpół zrujnowany zamek, nie posiadając ku temu odpowiednich środków. Gołym okiem było widać, że sztuczny kamień wokół wejścia był sztuczny, a kule z fałszywego bursztynu poczerniały w miejscach, gdzie utlenił się plastik. Lecz dochodzące ze środka zapachy były nadzwyczaj smakowite – Ky odprowadzała wzrokiem talerz z szaszłykami, hamując się, żeby ich nie porwać. Właściciel, wesoly, łysiejący mężczyzna w białym fartuchu, zaprosił ich do jednej z bogato zdobionych alków.

– Menu znajduje się na stoliku – powiedział. – Wystarczy nacisnąć. Przyszliście przed szczytem, więc podamy szybko.

Było szybko i smacznie. Ky od dawna nie jadła świeżego, nie przetworzonego posiłku. Podniosła wzrok dopiero w połowie pierwszego szaszłyka z jagnięciny, grzybów i warzyw. Jim wsuwał zamówiony gulasz, za to Rafe spoglądał w stronę wejścia, łamiąc serowego palucha, jakby ten czymś go rozzłościł.

– Co? – zapytała cicho Ky. Miała nadzieję, że nic nie przeszkodzi im w posiłku. W wejściu stało dwóch dobrze ubranych mężczyzn. Tony podbiegł do nich, zamienił z nimi kilka słów i zaprowadził ich do stolika po drugiej stronie.

– Nic – burknął Rafe, lekko potrząsając głową. Ugryzł palucha. Ky wróciła do szaszłyka i obrała rozen ze wszystkiego, z wyjątkiem jednego grzyba, który dał jej pretekst do powtórnego podniesienia patyka. Ponownie zerknęła na wejście. Mężczyźni siedzieli spokojnie przy swoim stoliku. Nie zauważyła, żeby któryś z nich spoglądał w jej stronę.

Drugi szaszłyk ją pokonał. Miała nadzieję, że w „Tonym” mają torby na wynos i zajęła się kawałkiem surowej marchewki.

– W twoim przypadku „nic” nie istnieje – powiedziała do Rafe'a.

– Jeszcze nic – uściślił. – Jeden z mężczyzn, którzy przed chwilą weszli, to Bonie Difano. Zwykle jada po drugiej stronie stacji, w „Owocach Morza Luki”. Możliwe, że nabrał nagle apetytu na jagnięcinę.

– Zmiana wzoru?

– Można tak to nazwać. Nie znam jego towarzysza. Bonie nie jest mięśniakiem, ale ma takich na swoich usługach. – Zerknął na nią, upewniając się, że zrozumiała. Pokiwała głową. – Jego teren jest tam. Tutaj wszedł na terytorium Damiena.

– Damiena?

– Są sobie równi w hierarchii tutejszych nieprzepisowych transakcji.

– Przestępcy?

– Chyba tak można ich określić. Lecz na Rosvirein definicje są szersze niż tam, gdzie dorastałaś.

– Oszczędź sobie – mruknęła Ky. – Jeżeli coś nam grozi, to wolałabym, żeby nie rozpraszała mnie twoja potrzeba popisywania się wyrafinowaniem. – Opuściła

lewą dłoń, sprawdzając zamknięcie kabury.

— Uch. — Rafe upił łyk napoju. — Drażliwa dzisiaj jesteś, co? W porządku. Nie masz co tam gmerać — twoja broń jest dokładnie tam, gdzie ją włożyłaś. A Bonie nie jest cynglem; twierdzi, że nie lubi być zamieszany.

Jim podniósł głowę i popatrzył na Rafe'a, a zaraz potem na Ky.

— Czy on...?

— Nie — zaprzeczyli unisono Rafe i Ky. Rafe wzruszył ramionami, a Ky dokończyła: — Dojedz swoje danie, Jim. Czeka nas robota.

Jim pokiwał głową, nabrał na łyżkę resztkę gulaszu, po czym wyciągnął z koszyka bułkę i wpakował sobie do ust. Ky postanowiła zapamiętać, żeby zlecić Martinowi popracowanie nad manierami marynarza przy stole.

Do środka weszła grupka ludzi, a po chwili druga; zapełniało się. Na stoliku rozbłysło: rachunek?

— Powinniśmy już pójść — powiedział Rafe. — Będą potrzebowali naszego stolika.

Ky wbiła swój lokalny kod kredytowy; na wyświetlaczu pojawiło się potwierdzenie zapłaty i pytanie: na wynos? Ky wcisnęła tak i po chwili podeszła do nich dziewczyna z pojemnikiem izotermicznym. Ky włożyła weń resztę szaszłyka, a dziewczyna zabrała się za przenoszenie talerzy na tacę.

Kiedy wstali, zauważyła, że jeden z mężczyzn po drugiej stronie sali wyszedł, a przynajmniej nie było go już przy stoliku. Przecisnęli się przez tłum oczekujących na miejsca. Ky zaswedziła skóra na plecach, lecz nic się nie stało. Na zewnątrz co chwilę rozglądała się dokoła, ale nikt ich nie śledził.

— To nie w ich stylu — powiedział Rafe po tym, jak trzeci raz obejrzała się za siebie. — Poza tym, ja też się rozglądam. Zaczynamy wyglądać na takich, którzy myślą, że są śledzeni, a to może zainteresować jakiegoś wolnego strzelca. Jesteśmy z Jimem twoją obstawaj powinnaś nam ufać.

— Przepraszam — mruknęła Ky. — Chyba zatrzymam się i wykonam kilka telefonów. Ktoś musi sprzedawać prawdziwe zastawy stołowe, a nie to przetwarzane badziewie.

— Dobry pomysł — zgodził się Rafe.

Ky znalazła budkę telefoniczną, a mężczyźni ustawili się tak, aby ją chronić. Znalazła dostawcę z taką ofertą, jakiej chciała, lecz mieścił się na drugim końcu stacji. Podała adres Rafe'owi. Pokiwał głową.

— Wiem, gdzie to jest. Powinniśmy pojechać tramwajem, bo w przeciwnym razie uchodzimy sobie nogi i dotrzemy tam w środku nocnej wachty. A nie chcielibyśmy znajdować się w tamtej okolicy po zmierzchu.

— Może wybierzemy się tam innego dnia?

— Nie... nie wydaje mi się. Lepiej jednak pojedźmy.

Tramwaj obwiózł ich wokół stacji w niecałą godzinę, a przystanek znajdował się raptem kilka minut drogi od Braci Carson.

— Oczywiście, pani kapitan: oferujemy wszelkiego typu zastawy i utensylia. — Szczupły i przygarbiony starszy mężczyzna, przedstawiający się jako Lemuel Carson,

miał dwie bulwy na głowie i sztuczne oko, którego mechanizm powiększający brzęczał podczas zmiany ogniskowej. Ky zastanawiała się, jak to znosił. — Wszystko, od delikatnej porcelany Delian i pełnych, odświętnych zastaw ze złota i platyny po zwyczajną, białą ceramikę i sztucce ze stali nierdzewnej. Wszystko importowane, choć część pochodzi z drugiej ręki, mamy również kilka antyków, gdyby podobał się pani delikatny, roślinny wzór wykańczany srebrem...

— Nie, szukam dobrej jakości zastawy okrętowej — odrzekła Ky. — Nie wiem, czy zna pan logo Transportu Vattów...

Twarz sprzedawcy rozjaśniła się.

— Prawdę mówiąc, mamy kilka zestawów; proszę pozwolić mi sprawdzić w magazynie... — Po chwili — jak zakładała Ky, potrzebnej mu na pracę z implantem — pokiwał głową. — Statek o nazwie *Nokturn* przywiózł serwis na sto osób z logo Vattów, ale bez nazwy jednostki. Zgodnie z dokumentami, zamieniono go na analogiczny z nazwą statku.

Sto kompletów... Więcej niż wystarczająco nawet na większym statku handlowym z pełną załogą... Nie musieliby zmywać częściej niż raz dziennie.

— Chciałabym rzucić okiem — oznajmiła.

— Oczywiście — zgodził się Carson. — Tędy...

Skrzynie były przezrocyste i ukazywały każde naczynie i przedzielające je wyściełanie. Robot magazynowy Carsona zestawiał pojemnik na podłogę, żeby Ky mogła obejrzeć logo na środku talerzy i misek. Niebieskie T z czerwonym V wyglądały na autentyczne.

— Osiem talerzy jest wyszczerbionych — poinformował Carson. — Jedenaście misek na płatki również. Mówiłem o setce, lecz w rzeczywistości jest tylko osiemdziesiąt siedem kubków. Naturalnie, zapłaci pani jedynie za egzemplarze, które są tutaj, ze zniżką za gorszy stan niektórych z nich.

— Naturalnie — mruknęła Ky. Skąd wzięło się to na jakimś statku? Jaki kapitan chciałby zastąpić dostarczany przez firmę serwis na inny, za który musiał zapłacić? W dodatku w takiej ilości? Osiągający sukcesy kapitanowie często zamawiali zastawy z nazwą statku, zwykle jednak w małych ilościach, by serwować na nich obiady dla ważnych gości na pokładzie. Czy był to łup z ataku na flotę Vattów? Czy mogłaby jeść z talerza wydartego martwym? A jednak chciała ich dotknąć, przywrócić rodzinie, zupełnie jakby to był zdobyty statek. Były częścią dawnego porządku rzeczy...

— Czy to jedyny zestaw? — zapytała, gdy otworzył skrzynię, a ona ujęła naczynie w dłoń. Było mocne w dotyku i podnosiło na duchu prostotą i wytrzymałością. Czerwono-niebieskie logo było wyraźne, kolory nie zblakły.

— Nie, są jeszcze dwa inne, ale mniejsze. Mamy dziesięcioosobowy serwis ze starym logo w formie VTL, nie znam jednak źródła jego pochodzenia. Leży u nas od lat. Posiadamy również pięć kompletów z nowym logo i nazwą *Dzika Róża*, lecz nadruk jest rozmyty, co według papierów było przyczyną sprzedaży naczyń. Chciałaby pani zerknąć na któryś z tych zestawów?

— Rzucę okiem na ten ze starym logo — postanowiła Ky. Pamiętała jedwabny szal matki ze złotym logo na szarym tle, który bez wątplenia poszedł z dymem w ich domu. Jeden ze starych serwisów domowych również nosił takie logo, tyle że wszystkie litery były niebieskie ze złotą obwódką i szarym cieniem. Nie stosowano go od dobrych trzydziestu lat.

Robot magazynowy oddalił się na poszukiwanie. Carson przekrzywił głowę.

— Jeśli wybawi mnie pani od tego — powiedział — sprzedam go poniżej kosztów magazynowania. Nikt tego nie chce; zalega u nas od lat. Wciąż zabierałem się za oddanie tych naczyń do recyklingu, ale... to przecież towar.

Robot wrócił ze skrzynką. Carson dotknął wieka kciukiem, po czym przeciągnął palcem po zamku; pokrywa odskoczyła. Wyciągnął jeden ze starych talerzy i podał go Ky. W dotyku był inny, lżejszy; granatowe litery miały od góry i z lewej strony złotą obwódkę, a od dołu i z prawej strony ciemnoszarą. Logo okalała wąska, czerwona linia. Miała wrażenie, że po plecach spłynęła jej lodowata woda; zapiekły ją oczy. Był taki sam; musiał być. Stuknęła talerzyk paznokciem i Carson skinął lekko głową, gdy porcelana cichutko zadźwięczała.

— To dobry towar i do tego stary — oznajmił. — Dostałbym za niego dobrą cenę, gdyby nie to bardzo dobrze znane logo. Rzadko widuje się taką jakość na pokładzie statku.

Była pewna, że zastawa nie pochodziła ze statku. Logo owszem, ale nigdy nie kupowano takiej porcelany, by służyła do wydawania posiłków na pokładzie. Pochodziła z domu Vattów. Została *skradziona* z domu Vattów.

— Ile za to i tamten większy zestaw? — zapytała. — Minus cena wyszczerbionych naczyń, rzecz jasna.

Podał rozsądną cenę; zapłaciłaby więcej. Obejrzała każdą część zastawy, odrzucając wyszczerbione i porysowane, po czym podpisała przelew i zapytała o dostawę.

— Dowiozę to pani — zaofiarował się Carson. — Jest koniec wachty. Jeżeli zaczeka pani do jutra, dostarczę towar bezpłatnie, gdyby jednak dostawa miała odbyć się po głównej wachcie, będę musiał panią obciążyć. Trzeba kogoś wynająć.

Stella z pewnością nie pojawi się w ciągu najbliższych dwunastu godzin, a nawet jeśli, będzie potrzebowała czasu na uzupełnienie zapasów. Mimo to Ky chciała, żeby ta porcelana — zwłaszcza stara — znalazła się bezpiecznie w jej posiadaniu.

— Ile kosztowałby dowóz? — zapytała.

— Pięćdziesiąt kredytów.

— Proszę to przysłać — poleciła. — Wolałabym jak najszybciej zorganizować jadalnię. — Po spełnieniu obowiązku połączyła się z okrętem. Odebrał Martin, którego powiadomiła o dostawie serwisu w ciągu najbliższych dwóch godzin.

— Kiedy pani wróci? — zapytał. — System Kontroli Rosvirein podał właśnie informację o trzech ciężko uzbrojonych okrętach, które pojawiły się w układzie, przestrzegając jednocześnie wszystkie statki, że mogą to być piraci. Obrona Rosvirein została postawiona w stan pełnej gotowości. Okręty są kilka dni drogi stąd, ale...

— Wracam natychmiast — oznajmiła Ky. — Powinnam być za godzinę, o ile złapiemy tramwaj. Jest zmiana wachty. — Serce biło jej jak oszalałe; wyraźnie przypominała sobie ostatni raz, kiedy w systemie planetarnym pojawili się piraci, a ona stała w doku. — Zamierzam porozmawiać z zarządcą stacji i ustawić nas w kolejce do odlotu. Jeśli przyleci tutaj Stella na *Garym Tobai*, to chcę być w przestrzeni, gdzie będę mogła ją chronić.

Menedżer stacji sprawiał wrażenie zabieganego. Bez sprzeciwu wydał im pozwolenie na start za sześć godzin.

— Powiedzcie od razu, jeżeli nie zdążycie. Jestem pewny, że znajdzie się chętny na wasze miejsce.

Zanim wrócili do doków, korytarze zapełniła schodząca wachta. Ky przedzierała się przez tłum z ręką na pistolecie oraz z Jimem i Rafem u boku. Brama do ich doku stała otworem, widziała czyjeś plecy oraz wózek ze skrzyniami. W pobliżu kręciło się paru Gannettów, Martin i jakiś człowiek w uniformie firmy przewozowej.

Pietro Duran przyjął rozkazy w milczeniu. Nienawidził takiej roboty: duże ryzyko i mały zarobek. W końcu coś pójdzie źle i umrze, czym uszczęśliwi szefa, który go nie lubił. Bez powodu, naprawdę; nie było jego winą, że po zapoznaniu się z diagnozą o nieuleczalnej chorobie niszczącej mózg, piekarz Gustaf postanowił wydać resztę oszczędności na wyzerkę, zamiast zapłacić Organizacji za ochronę.

Ale szef nie chciał tego zrozumieć i uważał, że Pietro powinien być bardziej przekonujący. Do tego czasu Gustaf popełnił samobójstwo i co gorsza pozostawił całą historię płatności za ochronę w nie zaszyfowanym pliku, który tutejsze węże zaraz wyniuchały. Oczywiście, zażądali potrójnej stawki za zignorowanie lub zagubienie materiału dowodowego; Duran wiedział, że właśnie to doprowadziło szefa do szału. Udało mu się przeżyć cały szereg bardzo ryzykownych zleceń, lecz szef nie składał broni.

Przechwycenie przesyłki nie było problemem. Organizacja miała wtyki w każdej firmie dostawczej na stacji. Nie kradli bezpośrednio, za to był to wygodny sposób przewożenia zakazanych dóbr z jednego miejsca w inne pod przykrywką legalnych paczek. Wszystko, co Pietro musiał zrobić, to wspomnieć Giffowi, że interesowały go przesyłki do określonego miejsca przeznaczenia i wolałby dostawę osobistą, a ten powiadamiał go o najbliższej dostawie.

— Pilna sprawa — powiedział Giff. — Chcą natychmiastowej dostawy; tego samego dnia. Poradzisz sobie? Mamy dzisiaj mało ludzi — dwoje wzięło wolne z przyczyn osobistych.

Podał właściwe słowa-klucze.

— Pewnie, Giff — odrzekł Pietro. — Jestem po robocie. Zaraz będę. Którą ciężarówką?

Pogadali jeszcze chwilę na stałe tematy — hasła rozpoznawcze i tak dalej — po czym Pietro podjechał do bazy załadowczej w odpowiednim uniformie i z aktualnym ID służby dostawczej. Były dwie paczki zamiast jednej: duże skrzynie oznakowane KRUCHE i GÓRA TUTAJ. Pietro sprawdził paleciaka, przymocował przyssawki do

paczek i przeniósł je na wózek, wprowadzając odpowiedni kod miejsca przeznaczenia do panelu kontrolnego. Słyszał, że na niektórych stacjach dostawy paczek były w pełni zautomatyzowane; ciekawe, co robiły tamtejsze odpowiedniki Organizacji, kiedy chcieli przechwycić przesyłkę. Był pewny, że coś wymyślili.

Tutaj paczkom zbyt ciężkim, by można je było dostarczyć ręcznie, musiał towarzyszyć człowiek, nawet jeśli robot-paleciak potrafiłby samodzielnie znaleźć drogę do właściwego doku. Bardzo wygodne. Podobnie, jak wymóg obejrzenia przez człowieka każdej dostarczonej paczki w miejscu przeznaczenia. Miał pretekst do otwarcia przesyłki za pomocą licencjonowanych narzędzi służby dostawczej, co pozostawiało na plombie właściwy kod, kiedy ją zastępował.

Wprowadzony do plomby manifest głosił, że była to „zastawa stołowa, używana, cła i podatki opłacone”, podając przy okazji ilość talerzyków, kubków, filiżanek i tak dalej w każdej paczce. Zastawa stołowa. Łatwizna. Celem przeprowadzenia inspekcji musiał otworzyć obie skrzynie. Wpuścił do pierwszej paczki sondę: żadnych uszkodzeń. Zapieczętował ją i otworzył drugą. Tutaj również bez uszkodzeń. A gdzie umieścić znacznik? Musi być łatwo dostępny dla agenta na statku, ale nie znał jego stanowiska, tylko nazwisko i zdjęcie twarzy. Mógłby umieścić zakodowany chip na talerzu, ale część załóg używała ich tylko do jedzenia. Mógłby umieścić go na paczce, gdyby to agent zajmował się ładunkiem. Wcześniej czy później robił to każdy członek załogi, ale czy agent znajdzie znacznik, zanim opakowania zostaną zdjęte i zutylizowane?

I tu, i tu, postanowił. Przykleił jedną z kilku kropek kodowych na dnie leżącego na wierzchu talerza z drugiej skrzyni, a drugą od środka wieka, po czym zapieczętował przesyłkę oficjalnym narzędziem. Następnie ruszył koło paleciaka, który potoczył się wolno korytarzem wzdłuż linii kontrolnej w podłodze i skręcił w lewo ku dokom.

W rojnym centrum załadunkowym Pietro rozpoznał paru innych członków Organizacji; znali się wszyscy i zakładał, że pozostali również wykonywali przydzielone im zadania. Pozostały personel ignorował; centrum załadunkowe było zawsze pełne członków załóg i tubylców, którzy nadawali lub odbierali paczki na tyle małe, by można było wykorzystać wewnętrzne linie przesyłowe stacji. Pewnie nie rozpoznawał naszywek wszystkich statków, lecz znał większość mundurów na stacji.

Nie dostrzegł dwóch ludzi, którzy zauważyli jego, a ich umiejętnie, nie rzucające się w oczy poruszanie się w tłumie sprawiło, iż nie był świadomy tego, że był śledzony.

— Ciekawe — mruknął Jon Gannett. — Właśnie umieścił znacznik na skrzyni.

— Dwa — poprawiła go Hera Gannett.

Jon nie wątpił w to. Hera wyposażona była w kilka nie rzucających się w oczy modyfikacji, w tym teleobiektyw wyglądający jak zwykła gałka oczna. Nie potrafiłaby odczytać etykiety z odległości kilometra, ale z pewnością widziała z oddali lepiej od niego.

— Miejsce przeznaczenia? — zapytał.

— Nasz okręt — odparła. — Ma oryginalną plaketkę oraz oficjalne narzędzia licencjonowanego przewoźnika.

— Coś tu nie gra — orzekł Jon.

— Numer jeden osiem dwa — ogłosił urzędnik.

— Odbiorę. — Hera ruszyła naprzód. Trzy dni temu Jon zamówił niespodziankę dla baterii numer jeden i postanowili odebrać ją osobiście, zamiast skorzystać z dostawy na miejsce. Stare tradycje na nowym okręcie, kontynuacja przeszłości i uczczenie przyszłości. Jon nie spuszczał wzroku z mężczyzny oddalającego się powoli z paleciakiem.

Hera wróciła z przesyłką.

— Wraca — powiedział Jon. Ruszyli do wyjścia z centrum załadunkowego. — Śledzimy go?

— Może powinniśmy ostrzec wartę w doku?

— Za małe na materiał wybuchowy... Chyba pójdziemy za nim i unieszkodlimy go. — Nie powinni mieć z tym żadnego problemu, nawet jeśli tamten był uzbrojony... a Jon zakładał, że był.

Niepozorny mężczyzna w kombinezonie kuriera wybrał najkrótszą drogę bez przystanków i zbaczania: paleciak jechał wzdłuż zatopionej w podłodze linii, a on kroczył obok niego. Jon i Hera wmieszali się w tłum zmieniających się wacht i szli spokojnie, w żaden sposób nie sugerując, że obserwują paleciaka lub jego eskortę.

— Uwaga — odezwał się głos w implancie Jona. — Przebywająca na terenie stacji załoga ma natychmiast wracać na pokład. Potwierdzić.

Jon włączył komunikator i wystukał kod oznaczający: „Jestem w drodze”. Pani kapitan musiała mieć już na pokładzie niemal wszystko, co chciała. Przesyłka, którą śledzili, była pewnie ostatnim ładunkiem do zabrania. Przed sobą widzieli już grube, świecące cyfry oznaczające poszczególne doki oraz numer ich okrętu. Paleciak skrzył do ich doku i zatrzymał się.

Jon i Hera podeszli do wejścia. Pod pełnił służbę wartowniczą; właśnie sprawdzał dostawę. Podniósł wzrok, przesuwając różdżką diagnostyczną wzdłuż boku skrzyń.

— Cała załoga ma zameldować się u pierwszego oficera Pritanga — powiedział. *Cała załoga* była rodzinnym hasłem, oznaczającym: „Coś nie tak?”.

— Idź, Hero — poprosił Jon. — Powiedz mu, że wróciliśmy, ja zostanę tutaj z Podem. — Kolejny przykład rodzinnego kodu. Imię Hery w połączeniu z *tutaj* w jednym zdaniu znaczyło: „mamy tutaj problem”.

Pod nie przerywał sprawdzania paleciaka i przesyłki. Jon dał mu znak gestem zza pleców kuriera i chwilę później różdżka Poda pisnęła przeszywająco.

— Głupie urządzenie! — zawołał Pod, potrząsając nią. — Robi tak co chwilę, a przecież nie jest zepsuta...

Jon zauważył, że mężczyzna zeszywniał, kiedy różdżka pisnęła. Lewą rękę przesunął do boku... Leworęczny strzelec? Pod wciąż potrząsał różdżką i narzekał na jej częste awarie — kurier rozluźnił się.

— Założę się, że tym razem nie zareaguje — rzucił Pod, przesuając różdżką wzdłuż skrzyni. Jon był pewny, że zapiszczy. Ale mężczyzna uspokoił się. Pewnie zastanawiał się, jak wytłumaczyć obecność znaczników, jeśli zostaną odkryte, choć nikt nie powinien ich zauważyć. Różdżka znowu pisnęła.

— Nienawidzę tego — włączył się Jon, przesuając się lekko w bok. Kurier zerknął na niego, ale nie wyglądał na zaniepokojonego. Powinien rozpoznać pozycję Jona, jeśli jednak był tym, za kogo miał go Gannett, to pewnie uważał, że sobie poradzi. — Daj Pod, ja spróbuję. Może w moich rękach zachowa się lepiej.

Pod podał mu urządzenie.

— Mam nadzieję. Martin kazał otwierać wszystko, jak zapiszczy, ale to przecież tylko naczynia. Kilka godzin temu zadzwonili, że je przywiozą. Pakowano je na oczach pani kapitan, więc wszystko powinno być w porządku.

Jon pogmerał przy kontrolkach różdżki.

— Teraz powinno być lepiej. Zresztą, nie mam pojęcia, po co tego używamy. Mamy skanery obszarowe... — Podszedł do mężczyzny, by sprawdzić różdżką bok skrzyni. Kurier odsunął się albo z grzeczności, albo z chęci utrzymania Jona na dystans. Sprawiał wrażenie, jakby rozglądał się po doku.

— Służy u was Julio Calixo? — zapytał nagle.

— Julie? — upewnił się Pod. — Jasne. Jest ładowaczem.

— Słuchaj, znam jego siostrę Beę. Myślisz, że mógłbym z nim pogadać?

Jon z dwóch metrów wyczuł wzrost czujności Poda. Miał nadzieję, że kurier nie.

— Pewnie, zawołam go — rzucił Pod. Skorzystał z zewnętrznego łącza, a nie implantu, i nie używając rodzinnego kodu — rozmówca musiał nie być jednym z nich — przekazał, że na Julia czekał gość w doku, który twierdził, że zna jego siostrę.

— Jego siostrę Beę — powtórzył dostawca, a Pod posłusznie to dodał.

Ciekawe. Jon natychmiast rozpoznał hasło.

— Już idzie — powiedział Pod.

Korzystając z tego, że uwaga mężczyzny była podzielona pomiędzy Poda i trap, Jon nacisnął guzik i różdżka znowu zapiszczała.

— Do licha! Myślałem, że ją naprawiłem. — Kurier tylko przelotnie rzucił okiem w stronę potrząsającego różdżką mężczyzny. A więc najważniejsze było dla niego spotkanie z tamtym i przekazanie wiadomości? Powiadomienie go, gdzie umieścić znacznik? Jon zerknął na trap i ujrzał wychodzących z okrętu Martina Gordona z Herą.

— Nadciągają kłopoty — burknął. — Hera i ten wielkolud. — Kurier spojrzał na niego. — Przykro mi, ale muszę otworzyć te skrzynie — usłyszał różdżkę, a ma swoje zasady.

— To kapitan? — zapytał posłaniec.

— Nie. Szef ochrony. Kapitan jest kobietą.

— Mamy pizczka, co? — Jon widział, że Martin przestraszył kuriera. — Otwórzmy je i zajrzyjmy do środka. Ty, dostawca, pokazuj swój identyfikator.

— Jestem czysty — zapewnił go kurier. — Ładunek jest w porządku. To ta różdżka. Osobiście sprawdziłem zawartość w punkcie załadowniczym — wszystko całe

i legalne.

— Wygląda na prawdziwy — orzekł Martin po pobieżnym sprawdzeniu. Jona nie oszukał — Hera miała czas, żeby opowiedzieć mu, co widzieli. Komendant grał na zwłokę.

— To różdzka — włączył się Pod. — Mówilem panu, że jest zepsuta.

— Moja nowa zastawa? — Jon obrócił się i zobaczył w wejściu panią kapitan, tajemniczego Rafe'a i Jima zakutą pałą. Martin nie lubił Rafe'a — to było widać od pierwszego dnia — a Jon na tyle szanował Gordona, by podzielać jego opinię o tamtym. Jednak w tej chwili zarówno Rafe, jak i Jim zajmowali prawidłowe pozycje ochronne. Dostrzegli, że coś tutaj nie grało?

— Tak jest, madame — potwierdził.

— No to na pokład z nią; wkrótce startujemy — powiedziała.

— Nie sprawdziliśmy jej jeszcze, madame — włączył się Martin. — Pracujemy nad tym.

— Stoimy w kolejce do odlotu — oznajmiła. To coś nowego; musiała skontaktować się z władzami stacji w drodze powrotnej na okręt. Ciekawe, skąd ten pośpiech, zastanawiał się Jon.

— Tak jest, madame. Poradzimy sobie — zapewnił ją Martin. — Po prostu nie chcemy żadnych niemiłych niespodzianek. Obejrzenie dostawy nie zajmie zbyt wiele czasu.

— Zgoda — mruknęła i ruszyła w stronę okrętu, schodząc z potencjalnych linii ognia. Jon pokiwał głową. Nie zamierzała indagować swojego szefa ochrony, ani próbować angażować się w sprawę... niemniej, rozpoznała zagrożenie. Rafe przesunął się, by ją osłonić, lecz Jim zwlekał, przyglądając się skrzyniom, jakby zawierały węże.

Jon nie znał Julia Calixo — jak większości nowo wynajętych członków załogi — był jednak całkiem pewny, że młodzieniec, który pojawił się na trapie i pospieszył w ich stronę, był kontaktem, który dostawca chciał nawiązać.

— Gdzie *jest* Bea? — zawołał Calixo. — Nie przyszła na urodziny babci. Nikt nic o niej nie wie.

— Nic jej nie jest — zapewnił go kurier. — Była tutaj w zeszłym miesiącu. Pracuje na jachcie jakiejś staruszki i poprosiła mnie, żebym dał ci znać, jak cię spotkam. Przez tę awarię ansibli nie mogła powiadomić was o tym sama. Wyobrażasz sobie Beę zmywającą talerze u jakiejś bogaczki? Rozpakowującą skrzynie z dostawami?

Kod był żałośnie oczywisty. Naczynia, skrzynie, rozpakowywanie. Jon nie miał zbyt wysokiego mniemania o przebiegłości kuriera, chociaż, gdyby nie wiedział o znacznikach na talerzu i w skrzyni, mogłoby to zabrzmieć całkiem niewinnie.

— Skoro już tutaj jesteś, Calixo — odezwał się Martin — to pomożesz przy sprawdzaniu przesyłki — pani kapitan się spieszy. Musimy wnieść to na pokład.

— Och, pewnie... pewnie — odparł Calixo. Kurier poruszył się, jakby chciał im pomóc, lecz Martin pokręcił głową.

— Ty nie. Znasz zasady. Nie możemy potwierdzić odbioru, dopóki nie upewnimy się, że dostawa jest zgodna z zamówieniem, ale dokonamy sprawdzenia na miejscu.

Nie potrwa długo. Jeśli musisz, możesz zadzwonić do swojej firmy. — Dostawca pokręcił głową. — Calixo, ty zajmij się tamtą skrzynią, ja przejrzę tę. — Nie musiał dodawać: *A wy, Gannettowie, bądźcie czujni.*

Jon przesunął się, tym razem stając pod kątem do Calixo. Pod cofnął się, markując powrót do swych obowiązków strażnika doku, a Hera trzymała w rękach standardowy infobord, a przynajmniej coś, co go przypominało.

Martin otworzył skrzynię ze znacznikami i odezwał się do Julia, który właśnie rozpakowywał drugą paczkę.

— Nie wiedziałem, że znasz kogoś na stacji — powiedział. — Nie ma o tym ani słowa w zapisie z twojej rozmowy kwalifikacyjnej.

Calixo znieruchomiał na chwilę, po czym wrócił do przetrząsania wypełnienia w skrzyni.

— Cóż, to nie tak... — Urwał na moment. — To znaczy, nie jesteśmy jakimiś bliskimi przyjaciółmi. On tylko zna moją siostrę Beę i dzięki temu ja znam jego.

— Uhm. — Martin uniósł leżący na wierzchu talerz i obrócił go w dłoniach. — A więc... jak ma na imię?

— Uch... — Calixo obrzucił kuriera szybkim spojrzeniem, zamrugał i odpowiedział: — Pete... to jest: Pietro, ale nie lubi, żebym zwracał się do niego tak oficjalnie.

— Rozumiem — mruknął Martin. Przyglądał się spodowi talerza. Jon dostrzegł połysk potu na karku dostawcy. — Więc... ten niewielki znacznik tutaj nie jest zaszyfrowanym chipem z danymi, który chciał ci przekazać, a wywołanie cię na zewnątrz nie miało na celu poinformowania cię, gdzie go znaleźć?

— Nie! — Zaprzeczenie było zbyt szybkie i ostre, niemal paniczne. Kurier drgnął, ale opanował się.

— Ponieważ — ciągnął Martin — jeżeli ta kropka kodowa — albo druga, na wewnętrznej stronie wieka skrzyni — jest tajną wiadomością od niego dla ciebie, to będę bardzo niezadowolony i zmuszony dowiedzieć się, o co w tym wszystkim chodzi.

— O niczym nie wiem — oświadczył Calixo. Jon nie patrzył na niego, obserwując w zamian dostawcę, który to spinał się, to rozluźniał, a skóra na jego karku co i rusz zmieniała kolor.

— To dobrze — odparł Martin. — Cieszy mnie to ze względu na twoje dobro, ale... — Kątem oka Jon dostrzegł, jak Gordon odwraca się ku posłańcowi. — ...to pozostawia cię. Jesteś jedyną osobą, która mogła otworzyć przesyłkę, odkąd opuściła sklep.

Jon wiedział, że Calixo musiał poruszyć się gwałtownie, ponieważ broń Poda wydała cichy, acz charakterystyczny dźwięk, po którym nastąpił odgłos uderzenia ciała Julia o pokład.

— No, popatrzcie sami — wyjąkał Pod. — Przypadkowe wyładowanie... jak z tą różdżką — dzisiaj wszystko działa nie tak, jak powinno. — Przyciśnięciem kontrolki odgrodził dok od korytarza.

— Cóż? — zwrócił się Martin do kuriera. — Jak brzmi twoja opowieść?

Jon dobył broni; Hera również. Kurier był przygwożdżony i doskonale o tym wiedział.

— Ja... wszystko wam powiem — obiecał. — Naprawdę... Tylko mnie nie zabijajcie.

— To zależy — oznajmił Martin. — Jestem pewny, że masz broń. Rozłóż ramiona na boki. Jon, przeszukaj go.

Posłaniec miał przy sobie więcej uzbrojenia, niż mógłby potrzebować, plus mechaniczne i elektroniczne wytrychy oraz zwój plastycznego materiału wybuchowego R-387 okręcony wokół lewej nogi.

— Nie jesteś aby zanadto zajęty? — zapytał Martin, mierząc wzrokiem rozłożony na pokładzie arsenał. — No to zaczynaj gadać.

— Tutaj nie mogę — odparł kurier. — Dowie się. Dopadnie mnie. Ale mogę powiedzieć wam to, co powinniście wiedzieć. Proszę, zabierzcie mnie ze sobą. To moja jedyna szansa.

Gordon zmarszczył brwi. Spojrzał na Jona, ten zrozumiał spojrzenie.

— Naprawdę się boi, sir — orzekł. — Może coś mieć.

— Jeśli nie, wyrzucimy cię za burtę — zapowiedział Martin. — No dobrze. Ty i Pod: skujcie go i zabierzcie na pokład. Powiem kapitanowi i przyślę kogoś, żeby tu posprzątał.

— Czy on... nie żyje? — zapytał posłaniec, zerkając na bezwładne ciało Calixo na pokładzie.

— To nie twoje zmartwienie — odparł Martin. Jon zatrzasnął kajdanki na nadgarstkach przyzwyczajonych do krępowania — mężczyzna wiedział, jak ustawić ręce, Jon dokonał jedynie niezbędnych poprawek — i szturchnął kuriera, kierując go ku trapowi.

W wejściu do okrętu spotkali Hugh Pritanga.

— Kapitan chce mieć pełny raport — obwieścił Martinowi. — Zajmę się dokiem. — Jon zastanawiał się, co to oznaczało. Co powiedzą siły porządkowe stacji? Technicznie rzecz biorąc, dok należał do statku, którego kapitan stanowił tutaj prawo, lecz na większości stacji interesowano się zgonami na obszarze doków, a ten młodziak z całą pewnością wyglądał na martwego.

Teraz jednak jego zadaniem był więzień, toteż ruszył naprzód, nie oglądając się za siebie.

Rozdział 8

Nie potrzebowaliśmy takiej sytuacji — powiedziała Ky. — Trup i więzień... Już sobie wyobrażam reakcję lokalnych władz. — A na dokładkę potencjalni piraci w systemie i Stella gdzieś pomiędzy Garthem-Lindheimerem a nami, być może wskakująca właśnie w sam środek kłopotów. Przesłane przez Stację Rosvirein do wszystkich statków w układzie ostrzeżenie jasno świadczyło, że Siły Pokojowe Rosvirein uważały tamte jednostki za niebezpieczne.

— Na razie nie ma żadnej — zauważył Rafe.

— Ktoś musiał usłyszeć wystrzał — upierała się.

— Z całym szacunkiem, pani kapitan, ale mocno w to wątpię — włączył się Hugh. Jak zawsze, wyglądał jednocześnie na zupełnie zrelaksowanego i absolutnie kompetentnego. — Strzał padł w naszym doku, a — jak pani pamięta — nawet przy otwartych wrotach mamy standardową barierę akustyczną. Obniża hałas o co najmniej trzydzieści decybeli. A Pod — strzelec — użył broni z tłumikiem. Ofiara należy do pani załogi i ewidentnie spiskowała przeciwko pani, próbując wyprowadzić w pole ochronę okrętu.

— Uhm. — Ky zastanowiła się nad tym. Nie kazała nikogo zabijać, niemniej, dała jasno do zrozumienia, że okręt ma być zabezpieczony. Co czyniło ją odpowiedzialną.

— Byłoby gorzej, gdyby to on zastrzelił Poda — dodał Rafe.

— Rozumiem to — burknęła z rozdrażnieniem Ky. — Nie zamierzam dublować mojej własnej ochrony. Po prostu próbuję wymyślić, co teraz zrobić. Jakby nie patrzeć, wynajęliśmy tutaj trupa. Pewnie ma inne kontakty...

— Które nie będą zadawać pytań, skoro się zdekonspirował — powiedział Hugh. — To jest Rosvirein, co znacznie pomaga. Spędziłem tutaj pięć standardowych miesięcy, podczas których kapitan Janocek próbował związać koniec z końcem. Nie przewiduję żadnych kłopotów.

— Usunęliśmy z pokładu całą krew? — zapytała Ky.

— Kompletnie czyszczenie biochemiczne — odrzekł Hugh. — Wysprzątaaliśmy cały dok, a potem przypomniałem tutejszej ekipie podtrzymywania środowiska, że należy się nam zwrot depozytu, który złożyła pani zaraz po przylocie, za tak dokładne wyczyszczenie ich brudnego doku, dzięki czemu nie musieli dokonywać pełnej dekontaminacji. Sprzeczali się, ale przysłali inspektora i wkrótce powinna pani znaleźć na swoim koncie zwrot depozytu.

Rafe uśmiechnął się do niego.

— Hugh, mam wrażenie, że jesteś niemal równie przebiegły, jak ja.

— W żadnym razie — zaprzeczył z kamienną twarzą Pritang, choć oczy mu rozbłysły. — Ja tylko wykonuję swoją pracę i staram się dopilnować, żebyśmy odlecieli stąd bez problemów, jak przystało na każdego dobrego pierwszego oficera.

— Co pozostawia nam kwestię więźnia — oznajmiła Ky. — Jak rozumiem, zadeklarował, że powie nam, dlaczego umieścił te znaczniki?

— Tak. Moim zdaniem powinnaś pozwolić mnie i Martinowi przeprosić go — powiedział Rafe.

— Chyba powinnam przy tym być — postanowiła Ky.

— Słusznie — poparł ją Hugh, gdy Rafe otworzył usta. — Musi być przy tym ktoś z dowodzenia, a kapitan ponosi pełną odpowiedzialność. Dopilnuję procedur odlotu; kapitan musi być na mostku dopiero w ostatniej fazie.

— Rozniosło się. Koniec z zabijaniem Vattów. — Głowa mężczyzny odchyliła się bezwładnie do tyłu, patrzył w pustkę. Nie utrudniał przesłuchania. Sam zasugerował użycie serum prawdy, jeśli takowe posiadali.

Ky wahała się. Z całą pewnością więzienie kogoś i przesłuchiwanie na własną rękę było niezgodne z prawem — wiedziała, że było tak na Slotter Key — lecz prawo Rosvirein było bardzo pobłażliwe, jak długo nic złego nie spotykało jego obywateli. A przesłuchanie z użyciem środków chemicznych nie wywoływało fizycznego bólu. Naprawdę potrzebowała wiedzy, którą prawdopodobnie posiadał ten mężczyzna. Mimo to czuła się niepewnie, jakby przekraczała granicę, której nigdy nie naruszyła, a którą Osman złamałby bez chwili namysłu. Może już ją przekroczyła, nie zgłaszając awantury w doku...

— To pewne? — zapytała cicho.

Martin wzruszył ramionami.

— Może tak, może nie. Środki chemiczne bywają zwodnicze, a nie możemy przeskanować go enzymatycznie.

— Mówiłem, to głupota — mamrotał kurier. — Vatta tutaj, dajcie, ja to zrobię, nieźła kasa. Żadnej kasy, powiedzieli. Koniec z zabijaniem Vattów. Wystarczy. Zwalić na to ścierwo Osmana. Włóż znacznik do skrzyni i powiadom Calixo.

Ky uniosła brwi.

— Nie lubili go nawet sprzymierzeńcy?

— Nikt nie lubi Osmana — oznajmił mężczyzna jednocześnie z potrząśnięciem głowy Martina. — Osman to zły kontakt. Ga... szef zadowolony, że zdechł. — Obrócił głowę, uniósł ją lekko i skupił zamglony wzrok na Ky. — Śliczniutka jesteś, kotku. Zabawimy się?

Ky zauważyła, jak kostki Martina pobielały, lecz przemówił cicho i spokojnie.

— Nie czas na zabawy, synu. Co z szefem?

— Nie lubi Osmana. Nie lubi, jak ktoś robi więcej, niż ma przykazane. On... — Kark mężczyzny nagle poczerwieniał.

— Do licha — mruknął cicho Martin. Złapał strzykawkę i wbił igłę w ramię przesłuchiwanego. Lecz rumieniec pogłębiał się z różu w czerwień, a wreszcie w purpurę. — Ma samobójcze sprzężenie. Z szefem, kimkolwiek tamten jest. Stracimy go, jeśli okaże się, że to niewłaściwe antidotum... — Po czym głośniej do mężczyzny: — Nazwisko szefa... Kto to?

— Szef? — Oddech mężczyzny przyspieszył do łapczywego chwywania powietrza.

— Szef nie lubi... to... Ga... Gammisssss. — Sykowi towarzyszyły konwulsje; ciało naparło na więzy, a skóra z purpurowej zrobiła się błękitno-szara.

Martin przyłożył mu maskę tlenową do twarzy, a Rafe pomógł odpiąć go i ułożyć płasko. Nic nie pomogło. Mężczyzna był martwy.

— Co to było? — zapytała Ky.

— Samobójczy obwód, prawdopodobnie w implancie. Jedne uruchamiają się po wykryciu serum prawdy, inne na zaprogramowane słowa-klucze. Wykorzystują najróżniejsze substancje: kardiotoksyny, obojętne rozpuszczalniki. Ten tutaj najwyraźniej rozkładał tlen. — Martin pokręcił głową. — Błyskawicznie rozprzestrzenia się w układzie krwionośnym i jest niemal niemożliwy do zatrzymania. Czasami można kogoś uratować, jeżeli ma się pod ręką sprzęt do wymiany hemoglobiny i sporo innych urządzeń; inaczej nic z tego. A zawartość implantu zawsze ulega kasacji.

— Słowem-kluczem był jego szef lub nazwisko — powiedział Rafe. Razem z Martinem rozbierał ciało. Ky zastanawiała się, co z nim zrobić.

— Gammis coś tam — powtórzył Martin.

— Gammis... — Rafe zamilkł. — Jakieś pięć lat temu w okolicach Woosten działała banda piratów i ktoś mówił mi, że ich hersztem był jakiś Gammis. Chyba Turek. Prawdopodobnie miał jakiś układ z władzami systemu i lokalnymi statkami. Ale zostawiał ISC w spokoju, więc nie interesował mnie zbyt.

— Za ile wylot, pani kapitan? — zapytał Martin.

— Za kilka godzin — odparła. — Co chcecie z nim zrobić?

— Skoro startujemy tak szybko, to jedynie możemy go wsadzić do chłodni i wyrzucić w przestrzeni później. Jego przyjaciele raczej nie będą dopytywać się o niego na policji. — Rafe przyniósł worek i rozłożył go. Razem z Martinem przeturlali ciało na folię.

— Nie możemy tak po prostu... — zaczęła Ky i urwała. Mogli. To było złe i z pewnością bezprawne, lecz nie gorsze od zabicia kogoś podczas przesłuchania. Znowu poczuła na barkach ciężar spowodowanych przez siebie śmierci.

— Ktoś mógłby zauważyć, gdybyśmy spróbowali pozbyć się ciała na stacji — dodał Martin. — Nawet gdybyśmy zdołali stąd odlecieć, zszargalibyśmy sobie opinię. Jeżeli ten człowiek wyparuje, będą coś podejrzewać, ale niczego nie będą wiedzieć na pewno. Kogo obchodzi zniknięcie kolejnej szumowiny z bogatą kartoteką?

To miało sens, ale było nieprzyjemnie bliskie szacowania wartości cudzej śmierci.

— Zaczekajcie chwilę — Ky powstrzymała ich przed zasłonięciem plastikiem twarzy trupa. Nie zwracając uwagi na Martina i Rafe'a uklękła przy zwłokach i zapytała: — Jakie ma nazwisko na identyfikatorze?

— Pietro Duran — odrzekł Martin. — Na pewno fałszywe.

— Ale jedyne, jakie mamy — stwierdziła Ky. Nie modliła się nad pierwszymi ludźmi, których pozbawiła życia. Próbowali ją zabić i nie miała ochoty na wypowiedanie żadnych słów nad nimi. Lecz ten Pietro, choćby nawet był zły, nie wyrządził jej żadnej krzywdy, choć z jego własnych słów wynikało, że nie zawahałby się, gdyby szef mu za to zapłacił. Zmówienie modlitwy nad jego ciałem było właściwe i rzeczywiste. Przyjrzała się szaro-błękitnej twarzy o wyostrzonych

śmiercią rysach. — Odejdź w spokoju, Pietro Duranie — powiedziała. — Jeśli ktoś cię kochał, niech odnajdzie spokój bez ciebie, a jeżeli istnieje życie pozagrobowe, obyś doznał lepszego, niż miałeś tutaj.

Wstała i poczuła się lepiej, bardziej pewna swojej osoby. Martin i Rafe wyglądali na dezorientowanych — nic dziwnego.

— Nie wiedziałem, że jesteś taka religijna — mruknął Rafe.

— Przez jakiś czas nie praktykowałam — odparła Ky. — Ale musiałam to zrobić.

— Martwi panią jego śmierć? — zapytał Martin.

— Niespecjalnie — odrzekła. — Choć pomysł samobójczego obwodu w implancie wydaje mi się niesmaczny. — Potrząsnęła głową. — Schowajcie go do chłodni i posprzątajcie tutaj. Będę na mostku, zajmę się pożegnaniem. — To oznaczało *dwa* ciała w chłodni. Nawet względnie pobłażliwa policja Rosvirein zatrzymałaby ich za zabicie dwóch ludzi, gdyby tylko powzięli jakieś podejrzenia.

Ky wykonała całą serię rozmów, starając się zostawić Stelli możliwie najlepsze ustalenia z bankiem, Gildią Kapitańską, kupcami i władzami stacji. Zauważyła, że inni kapitanowie także zareagowali na pojawienie się uzbrojonej trójcy.

— Wolne — oznajmił w końcu oficer dyżurny stacji. — Wszystkie rachunki uregulowane, żadnych nieodebranych depozytów, ani skarg. Przyjęliśmy dyspozycje odnośnie pani kuzynki. Udanej podróży, kapitanie Vatta. Czy chciała pani zostawić wiadomość o miejscu przeznaczenia?

— Nie — odparła Ky. — Jedynie o opuszczeniu systemu.

— Bardzo dobrze. Ma pani wolną drogę najmniej zatłoczonym kursem do punktu skoku gamma. Przy tym poziomie alertu musi pani otrzymać pozwolenie od Pokojowych Sił Rosvirein na zmianę tego kursu.

Ky skrzywiła się.

— Zamierzałam polecić okrężną trasą, żeby przekonać się, czy aby nie pojawi się moja kuzynka.

— Nie. Chcemy, żeby wszystkie jednostki w układzie albo zadokowały, albo odleciały bez zbędnego wałęsania się po okolicy, co mogłoby wpłynąć na nasz system obronny. Proszę pamiętać, iż podejmiemy kroki odwetowe, jeżeli zaatakuje pani jakiś statek wewnątrz systemu.

— Nawet, jeśli mnie ostrzelają? — zapytała Ky.

— Tak. Proszę zabezpieczyć uzbrojenie, nasze siły ostrzelają każdą jednostkę, która je uaktywni. Czy to jest jasne?

— Nadzwyczaj — zapewniła. Miała nadzieję, że siły obronne Rosvirein były tak dobre, za jakie same siebie uważały.

Odcumowanie przebiegło gładko; za ich rufą kolejne statki odczepiały się od Stacji Rosvirein jak paciorki z nitki. *Piękna Kaleen* prowadziła całą procesję. Ky obserwowała skanery systemowe, ozdabiające nadlatujące okręty ikonkami zagrożenia. Przez kolejne godziny nic się nie wydarzyło. Czy to w ogóle byli piraci? Czyżby opuściła stację bez powodu? Jak mocno rozżłości się Stella, kiedy jej tutaj nie zastanie? Wpatrywała się w ekrany, próbując życzeniami wywołać pojawienie się *Gary'ego Tobai*, lecz bezowocnie.

Po pierwszym, pozbawionym wydarzeń dniu lotu na silnikach wewnątrzukładowych odwołała Martina i Rafe'a na bok.

— Musimy ustalić, kto za tym wszystkim stoi — oznajmiła. — Ten Gammis Turek, czy jak mu tam — czego szuka? Czego może chcieć?

— Jedna banda piratów nie dokonałaby tego wszystkiego — ocenił Martin. — Do tego potrzebna byłaby co najmniej flota kosmiczna.

— Współpracował z Osmanem — zauważyła Ky. — Może również z innymi bandami piratów? Nakłonił ich do współpracy?

Martin prychnął.

— Do współpracy? Piratów? Są na to zbyt niezależni.

— Może — mruknął Rafe. — A może wcale nie. To miałoby sens — przestępczość zorganizowana jest dalece bardziej dochodowa i bezpieczniejsza niż działalność prowadzona na własną rękę przez tych samych przestępców.

Martin rzucił mu wymowne spojrzenie: *Pewnie wiesz, co mówisz*. Rafe odpowiedział markowanym salutem.

— Oczywiście, że wiem, o czym mówię — zapewnił. — I mam rację. Odpowiednia ilość piratów korzystająca z połączeń ansiblowych jest w stanie pokonać obronę każdego systemu, zwłaszcza, jeżeli zostanie on odcięty od innych przez awarię przekaźników. Nie ma regularnych sił kosmicznych. Okolicę przemierza paru kaprów, którzy nie współdziałają ze sobą, nawet jeśli latają pod banderą tego samego rządu. — Przerwał i zamyślił się na moment. — A, tak przy okazji, ilu właściwie kaprów ma Slotter Key?

— Nie mam pojęcia — odparła Ky. Dostrzegła załazek pewnego pomysłu, lecz nie zdołała go skonkretyzować. — Martin?

— Nic o tym nie słyszałem — przyznał. — Przypuszczam, że... ze dwudziestu? Trzydziestu? A rząd Slotter Key nie jest jedynym, który z nich korzysta. Pomyślmy... Mannhai. Cirvalos. Bissonet.

— Swego czasu wszyscy pierwotni sygnatariusze Kodeksu Handlowego mieli swoich kaprów — powiedział Rafe. — Teraz jednak została ich zaledwie garstka. Nie warto szargać sobie opinii.

— Na to akurat Slotter Key nie zważa — mruknął Martin. — Mówi się, że kosztuje nas to w kategoriach dyplomatycznych.

— Co czyni Slotter Key logicznym celem dla grupy piratów, pragnących rozszerzyć swoje wpływy — podsumowała Ky. Niemal przejrzała plan korsarzy. — Gdyby udało się wykazać, iż kaprzy nie zapewniają skutecznej opieki — w tym celu trzeba byłoby zaatakować statki kupieckie — to można by przekonać rządy i spedytorów, że potrzebują lepszej ochrony...

— Udało się to na Woosten — oznajmił Rafe. — Przynajmniej z tą ochroną. Tamci chyba nigdy nie mieli kaprów. Niegorszy system do przetestowania metody... Woosten jest za biedny, by interesować większość dużych korporacji.

— A więc przerwali łączność i uderzyli w konkretnego przewoźnika. Prawdopodobnie wybrali Vattów ze względu na Osmana...

— Albo ponieważ Vattowie są duzi, dobrze znani i nigdy nie stanowili części kaperskiej floty Slotter Key — powiedział Martin. — Dużo medialnego zgiełku, mniej ryzyka — żaden statek Vattów nie był uzbrojony. — Zamilkł i zmarszczył brwi. — Ale żeby dokonać ataku na samym Slotter Key, musieli jakoś wywrzeć nacisk na rząd. Z tego, co mówiła Stella, wynika, że ktoś wiedział o bunkrach pod waszą siedzibą i umieścił ładunki pod ziemią. Nie można tego dokonać z kosmosu.

— Za to, jeżeli sytuacja faktycznie tak wygląda i zdobędziemy więcej dowodów, możemy powiedzieć ludziom... — zaczęła Ky.

— O czym? — zapytał Rafe. — O niebezpieczeństwie? Wiedzą o nim. Nie pomoże samo podanie nazwiska.

— Myślałam o innych kaprach. Musimy ich znaleźć i nakłonić do współpracy z nami.

— Do współpracy? Żeby znaleźć kolejnych?

— Żeby stworzyć... flotę — wyjaśniła Ky, nareszcie nadając kształt wykluwającemu się pomysłowi. — Skoro Slotter Key ma trzydziestu kaprów, a inne układy równie wielu, to dysponowalibyśmy liczniejszą flotą od piratów.

— Po pierwsze, nie wiemy, jak wielka jest naprawdę ich flota — zauważył Rafe. — Z tego, co wiemy, mogą mieć setki, tysiące okrętów. Po drugie, nigdy nie przekonasz pięćdziesięciu czy stu niezależnych kaprów, żeby walczyli razem jako flota.

— Nawet, gdyby nauczono ich manewrów floty — przytaknął Martin. — Czego nie potrafią.

— Nikogo nie stać na utrzymywanie flotylli tysiąca jednostek — sprzeciwiła się Ky. — Potrzebne byłyby środki gromadzone przez kilka lat. Setki, możliwe. Slotter Key jest bogatym światem, a mamy mniej niż dwieście prawdziwych okrętów wojennych oraz jednostek wsparcia. — Sprawdziła liczby w implancie — miała rację. Gospodarka nie udźwignęłaby więcej bez przestawienia się, które nie miało miejsca. A co do szkolenia — ciągnęła — to Slotter Key umieszcza na pokładzie jednostek kaperskich oficerów Sił Kosmicznych, którzy znają się na manewrowaniu w zgrupowaniu okrętów. Może inni postępują tak samo, albo moglibyśmy wynająć oficerów marynarki.

Martin spojrział na Rafe'a. Ten otworzył usta. Uniosła dłoń.

— Nie. Nie mów mi, dlaczego miałoby się nie udać. Pomóż mi znaleźć sposób, żeby to się powiodło.

— Ale...

— Pani kapitan nie rozumie trudności...

Przez głowę przeleciała jej istna kaskada możliwości, błyszczących niczym wypolerowane monety.

— Rozumiem — oznajmiła ostro. — Rozumiem, że jesteśmy jednym okrętem. Że Vatta ma — o ile wiem — tylko dwie jednostki, z których jedna jest starą, wolną i bezzębną krypą. Rozumiem, że nieprzyjaciół ma wiele okrętów, wydajny system łączności i przewagę inicjatywy. Ale rozumiem także — i lepiej, żebyście wy to zrozumieli — że tej rodziny, *mojej* rodziny, nikt nie wykończył. Mnie nikt nie

wykończył. Mojej ciotki Grace nikt nie wykończył. Nie myślę o przetrwaniu, tylko o zwycięstwie.

Słyszając własne słowa, uznała je za aroganckie i nieprawdopodobne do spełnienia, lecz Rafe i Martin wyglądali, jakby właśnie usłyszeli fanfary.

Co takiego zrobiła? Czyżby naprawdę miała aurę dowódcy? Odegnęła tę kwestię i ciągnęła szybko.

— Piraci dysponują obecnie połączoną flotą. Nawet, jeśli się rozproszy, zaszkodzi handlowi i komunikacji. Środki zaradcze są na wyciągnięcie ręki, trzeba je tylko zebrać razem.

Rafe odzyskał oddech.

— I uważasz, że potrafisz tego dokonać.

— Lepiej, żeby tak było — rzuciła. — Nikt inny tego nie robi.

Martin pokiwał powoli głową.

— Pospolite ruszenie kaprów może się powieść. A co z flotami poszczególnych systemów? Nie byłyby bardziej przydatne?

— Okazałyby się wielką pomocą — zgodziła się Ky — o ile ich rządy pozwoliłyby im odlecieć. Ale większość z nich działa wyłącznie w obrębie swojego układu. Część nie ma nawet możliwości lotu w nadprzestrzeni, są niczym policja miejska. My potrzebujemy sił kosmicznych z prawdziwego zdarzenia.

— Co z łącznością?

Ky uśmiechnęła się.

— Ansible pokładowe — odparła. — Dysponujemy ilością wystarczającą przynajmniej do wyposażenia sił uderzeniowych, dzięki czemu dorównamy piratom. Poza tym, możemy zlecić zbudowanie dalszych.

— Nie — Rafe zbladł. — Nie możesz tego zrobić. Nie wolno ci.

— Owszem — oznajmiła. — Rafe, ta technologia już wyciekła w świat. Nie powstrzymasz tego. Możliwe, że jacyś renegaci z waszego działu rozwoju właśnie konstruują je dla innych. Przeglądałeś listę ładunków Osmana. Ile według ciebie ich było?

— Co najmniej sześćdziesiąt — odrzekł Rafe, zwieszając ramiona. — Nie rozumiem jednak, czemu nie mielibyśmy spróbować zniszczyć ich wraz ze statkami...

Sześćdziesiąt okrętów wyposażonych w system natychmiastowej łączności niezależnej od ansibli systemowych... Ky zadrzała. Miała nadzieję, że było ich mniej. Będzie potrzebowała wielu sojuszników, żeby poradzić sobie z taką liczbą — albo większą.

— Nie pobijemy ich bez własnej komunikacji — oznajmiła. — Z taktycznego punktu widzenia natychmiastowa łączność między statkami na odległość skanowania daje im niewiarygodną przewagę w dowodzeniu! koordynacji.

— Możemy korzystać z ansibli systemowych, jak już zostaną uruchomione.

— A jeśli nie? Biorąc pod uwagę ich podatność na atak? Nie, Rafe. Jedyne możliwości podjęcia walki z nimi to użycie tych ansibli przez nas. W milczeniu pokręcił głową. Zadzwoił interkom.

— Kapitanie! — To był Hugh Pritang. — Pojawiają się nowe statki.

— Już idę — odparła. Miała nadzieję, że jednym z nich będzie *Gary Tobai*, być może w konwoju. Na mostku zastała atmosferę napięcia równie gęstą, jak ciasto owocowe ciotki Grace.

— Cztery uzbrojone okręty — powiadomił ją Hugh, pokazując je na skanerze. — Ani śladu pani kuzynki. Stacja Rosvirein nie... ach, właśnie nadają.

Automatyczne centrum nadawcze stacji wyświetliło na dole ekranu nawigacyjnego pasek z wiadomością: uwaga wszystkie statki, poziom ALARMU XENO. UTRZYMAĆ KURS POD GROŻBĄ OSTRZELANIA. ZABEZPIECZYĆ UZBROJENIE POD GROŻBĄ OSTRZELANIA. STATKI MOGĄ JEDYNIEM UAKTYWNIĆ TARCZE. POZIOM ALARMU XENO. ANSIBL SYSTEMOWY NIEDOSTĘPNY DLA CELÓW PRYWATNYCH.

— Tarcze w górę — zarządziła Ky. — Lee, policz czas do zanurzenia, gdybyśmy nie zaczekali na punkt skoku.

— Przy obecnym przyspieszeniu za dwadzieścia dwie minuty — odrzekł. — Zapuściłem obliczenia z przewidywaną wariancją skoku.

— Dobrze — pochwaliła go Ky — Inżynierowie: trzymać nadprzestrzenny w gotowości na wypadek skoku awaryjnego. — Niezależnie od konsekwencji, nie zamierzała dać się złapać, tak jak na Belincie.

Na skanerze systemy obronne Rosvirein ukazane były jako czerwone punkciki, tak samo, jak przebywające w układzie jednostki. Ky przyjrzała się trajektoriom statków. Trzy okręty, będące źródłem początkowych kłopotów, zmierzające na Stację Rosvirein... odlatujący kupcy, z których część była bez wątpienia kaprami, tak samo, jak *Piękna Kaleen*... okręty Sił Pokojowych Rosvirein... oraz czterech przybyszów, którzy wynurzyli się z wielką prędkością i nie widać było, żeby mieli hamować.

Ky ścisnęło w żołądku. Śledzące pierwotną trójkę statków osiem okrętów Rosvirein znalazło się w kleszczach pomiędzy nimi a nowoprzybyłymi.

— Niedobrze — wymamrotał Hugh, gdy tylko o tym pomyślała. — No dalej, zabierajcie się stamtąd.

— Opóźnienie skanerów wynosi niemal godzinę — powiedział Lee. — Co się stało, to się stało.

Ky była w stanie myśleć wyłącznie o Stelli, tkwiącej w małym, powolnym i bezbronnym stateczku... Minuty wlokły się niczym godziny, kiedy tak obserwowała nieaktualny obraz, na którym nowe jednostki rozproszyły się i wdały w wymianę ognia z okrętami Rosvirein i platformami obronnymi.

Gdy rozbłysły tarcze, trudno było pamiętać, że wydarzenia te miały miejsce niemal godzinę temu.

— Nie chodzi im o okręty — zauważyła Ky — tylko o obronę systemu — instalacje defensywne. — Tarcze napastników jarzyły się od ognia Pokojowych Sił Rosvirein, lecz jak dotąd, żadna nie zawiodła.

— Tylko spójrzcie! — wskazał Lee. Ky zdążyła już zauważyć, że jeden z lecących za nimi statków zbacza z wyznaczonego kursu. — Uzbrojony statek kupiecki *Żelazne*

Wrota, przyspiesza. — Był znacznie bliżej nich niż tamtych siedmiu napastników. Obserwowali go niemal w czasie rzeczywistym.

— Przewidywany kurs? — zapytała Ky.

— Daleko od nas. Wygląda na to, że zmierza po najszybszej trajektorii do... — urwał. Na ekranie nawigacyjnym szeroki grot kursu *Żelaznych Wrót* zwał się, w miarę jak przyspieszenie eliminowało kolejne możliwości. — ... systemowego ansibla finansowego.

— Pozorowany atak — zrozumiała Ky. — Pozostałe jedynie odwracają uwagę od ataku na ansibl. Muszą wiedzieć, że ich broń pokładowa nie... — Lecząc rozbłysk na ekranie zaprzeczył jej słowom; jedna z baterii zamilkła. — Przygotować się do przejścia — rozkazała. W tej samej chwili na ekranie pojawił się kolejny pasek z wiadomością.

DO WSZYSTKICH STATKÓW DO WSZYSTKICH STATKÓW PRZYGOTOWAĆ SIĘ DO PRZEJŚCIA. WSZYSTKIE STATKI SKACZĄ W KOLEJNOŚCI ODLOTU W 30-SEKUNDOWYCH ODSTĘPACH PIĘKNA KALEEN PIERWSZA. STATKI, KTÓRE NIE WYKONAJĄ SKOKU ZOSTANĄ UZNANE ZA WROGIE.

— Chcą, żebyśmy się stąd zabrali — powiedział Hugh. — Jeśli jest ich więcej, to systemy obronne Rosvirein będą mieć kłopoty.

— My też — odparła Ky. — Lee?

— Pięćdziesiąt sekund.

Zdawało się, że minęło raczej pięćdziesiąt minut, nim *Piękna Kaleen* dokonała przejścia z gładkością charakterystyczną dla doskonałego ustawienia.

— To było... interesujące — oznajmił Rafe. — Mam nadzieję, że skończą, zanim pojawi się tam Stella.

Po raz pierwszy wyraził niepokój o Stellę. Ky z zadumą zerknęła na jego nieprzeniknioną twarz.

— Mam nadzieję, że wygra właściwa strona — powiedziała.

— Powinni — ocenił Pritang. — Siły Pokojowe Rosvirein mają wystarczającą siłę ognia, by poradzić sobie z tymi piratami, chyba że za szpicą nadleci cała flota. Raczej odczytuję to jako przetestowanie ich obrony systemowej...

— Wyszadzili jedną z platform obronnych — zauważyła Ky.

— Założę się, że była to peryferyjna stacja automatyczna — powiedział Hugh. — Po zabezpieczeniu okrętu na czas przelotu nadprzestrzennego przyjrzymy się nagraniu...

— Najpierw ułożymy harmonogram ćwiczeń — postanowiła Ky. — Najwyraźniej możemy oczekiwać kłopotów wszędzie, poza nadprzestrzenią. Obejmę wachtę na mostku, pan z Martinem przygotujecie dla mnie wstępny harmonogram.

— To już prawie zmiana wachty — mruknął Rafe.

— I tak miałam następną służbę — rzuciła Ky. — Jeśli jesteś zmęczony, możesz udać się na odpoczynek. — Za pomocą implantu sprawdziła po kolei wszystkie funkcje okrętu. Żadnych problemów: *Piękna Kaleen* wisiała w nieokreśloności.

— Miałem na myśli, że minęło dużo czasu od ostatniego posiłku pani kapitan — sprecyzował Rafe. — Nie ma żadnych zasad odnośnie tej kwestii?

Ky już chciała powiedzieć, że nie jest głodna, ale teraz, gdy minęło bezpośrednio zagrożenie, zgłodniała. A pełna obsada okrętu oznaczała, że miała obsługę kuchni. Zadzwoiła na dół i zamówiła posiłek.

— Zadowolony? — zapytała Rafe'a.

Złożył dłonie i uklonił się lekko.

— Chodzi mi jedynie o dobro pani kapitan.

— Nie wątpię — mruknęła, starając się utrzymać równie lekki ton.

Po trzech godzinach nowej wachty pojawili się Martin i Rafe z harmonogramem ćwiczeń i kolejnymi pytaniami o jej plany.

— Skąd statki kupieckie będą wiedzieć, że nie jesteśmy piratami? Jak zareagują władze systemów? I najemnicy?

— Rozpracujemy to — odparła Ky. — Kupcy... Cóż, Vattowie nadal cieszą się dobrą reputacją, pominąwszy Osmana. Mogę z nimi porozmawiać. Jeśli nikt nie rzucił najemników przeciwko piratom, nie będą mieli powodów, by nas atakować. Przecież zarabiają na konfliktach wewnątrzsystemowych. Władze...

— Rządy, które nie lubią lub nie ufają Slotter Key — przypomniał jej Rafe.

— Wiem, wiem. Zaczniemy od najważniejszego. Szukamy innych kaprów. Jednego po drugim, jeśli będziemy musieli, choć założę się, że już gromadzą siły, jeżeli nadziali się na bandy piratów.

Dwa dni po Rosvirein Ky zawołała Rafe'a do swojego biura.

— Powiedziałeś tamtej menedżer ISC o ansiblach pokładowych?

Wyglądał na zaszokowanego.

— Wielkie nieba, nie! Nie miała takiego poziomu uprawnień. Dlaczego?

— Czy istnieje jakiś sposób, by podłączyć te pokładowe ansible do lokalnego systemu łączności?

— Raczej nie — odparł Rafe. Złożył palce w piramidkę. — Trudność z zintegrowaniem ansibli okrętowych z lokalnymi urządzeniami to jeden z największych problemów przy ich używaniu. Łatwiej połączyć się z innym statkiem poprzez lokalny system, niż podpiąć się do takiego systemu. Ten typ łączności zwyczajnie nie jest do tego przeznaczony.

— To bez sensu — orzekła Ky. — Tak jest bliżej...

— Fizycznie tak, ale nie w tym rzecz. — Rafe zmarszczył brwi. — Ocieramy się o tajemnice handlowe, ale przynajmniej częściowo musisz to zrozumieć. Ansible systemowe łączą się z lokalną siecią łączności dzięki urządzeniom i oprogramowaniu, które zapewniają wzajemną identyfikację. Same ansible są zabezpieczone poprzez żądanie, aby każda przychodząca wiadomość miała właściwy początek i kod przeznaczenia, co — z wyjątkiem komunikatorów pokładowych, które znajdują się w oddzielnej bazie danych — jest wgrywane do urządzenia na etapie produkcji. Każdy ansibl systemowy jest wytwarzany na zamówienie, by odpowiadać na sygnały miejsca przeznaczenia. Łapiesz?

— Tak przypuszczam. Kosztowne podejście...

— Fakt. Ale dzięki temu ansibli nie można przejąć, jak to się kiedyś zdarzało z planetarnymi lub wewnątrzukładowymi sieciami komunikacyjnymi. Jednocześnie ISC ustawia parametry systemu opartego na prędkości światła, by utworzyć unikalne połączenie z ansiblem. Częścią naszego monopolistycznego porozumienia jest żądanie, aby układowe systemy łączności nie komunikowały się z innymi ansiblami. Oczywiście, możliwe jest komunikowanie się ansibli, lecz dostęp do sieci komunikacji nadświetlnej ograniczamy do jednego ansibla.

— Ale niektóre systemy mają więcej ansibli — w wielu znajdują się zarówno przekaźniki komercyjne, jak i finansowe...

— Oczywiście, my — ISC — produkujemy więcej ansibli z tym samym kodem wewnętrznym. Lecz każdy układ, będący naszym klientem, ma tylko jeden kod dostępu, a umowa serwisowa z nami gwarantuje, iż klient nie połączy się z żadnym innym ansiblem. Gdyby ISC udostępniło systemy klientów ansiblom pokładowym, to powstałaby olbrzymia wyrwa w systemie bezpieczeństwa.

— Musi być jakieś obejście — upierała się Ky. — Nie wierzę, że Osman i jego sprzymierzeńcy nie kontaktowali się z lokalnymi sieciami łączności przez swoje ansible. To zapewniłoby im bezpieczeństwo przed inwigilacją, jaką ISC prowadziło poprzez przekaźniki systemowe.

— Gdyby dokonali czegoś takiego, to musieliby dysponować technologią, której nie znamy — odparł Rafe. — Co nie jest niemożliwe. Część wydziału rozwoju ISC była niezadowolona z prowadzonej od dekad polityki powstrzymywania rozprzestrzeniania się. Zarząd podejrzewał, że wykorzystywali fundusze ISC na prowadzenie badań, których wyników nigdy nie ujrzeliśmy.

— Załóżmy, że mieli taką technologię — powiedziała Ky. — Tak jest bezpieczniej. Następnie załóżmy, że ją rozpracujesz i stworzysz ekwiwalent.

Rafe zagapił się na nią.

— Ja? Nie jestem projektantem, ani inżynierem. Prawdopodobnie nie mógłbym...

— Rafe, jesteś jedynym człowiekiem, jakim dysponujemy, który zna się na sprzęcie ISC. Chyba, że znajdziemy inżyniera, bądź projektanta, który zechce z nami współpracować. Jestem pewna, że Osman miał gdzieś tutaj informacje na ten temat. Znajdź je.

— Ale potrzebujesz mnie, żebym pomógł w nawiązywaniu kontaktów...

— Owszem. Poradzisz sobie z obiema sprawami. Choć może zmniejszy to tempo działań.

— Aż do całkowitego ich zatrzymania — mruknął Rafe.

— Nie sądzę. Gdybyś chociaż określił, czego musimy się dowiedzieć, moglibyśmy zacząć szukać pomocy ekspertów.

— Zbliżam się do granicy tego, co mogę zrobić — ostrzegł Rafe. — Nadal jestem winny lojalność przede wszystkim ISC. Prosisz mnie o pomoc w zmianie tego układu.

— Jestem przekonana, że aby pomóc ISC, musimy mieć działający system łączności — oznajmiła Ky. — Wrogowie ISC dysponują już technologią, o

wynalezienie której proszę ciebie, więc nie pogarszamy sytuacji. Korzystamy z nowej technologii, żeby pomóc.

Skrzywił się.

— Może. A może nie. Muszę to przemyśleć.

— Byle nie za długo. Nieprzyjaciele wiedzą już, kim jesteśmy.

— Co ze Stellą? Skąd będzie wiedziała, dokąd się udałaś?

— Zostawiłam jej wiadomość w Gildii Kapitańskiej.

— Nie będzie szczęśliwa.

— Wiem — powiedziała Ky. — Ale nie mieliśmy wyboru. Po drodze możemy się zatrzymać i... eee... wypróbować parę rzeczy.

— Ćwiczenia — mruknął z niesmakiem Rafe.

— Zupełnie, jakbyś sam nie ćwiczył — docięła mu.

Ky rozkazała, żeby okręt zatrzymał się na kilka dni w następnym punkcie skoku. Podleciała wystarczająco blisko masywnej planety, by szczątki po ostrzeliwaniu jej pierścienia pozostały w pobliżu, nie przeszkadzając innym statkom w skokach. Oba trupy zniknęły po pierwszej salwie.

Obserwowanie wybuchających skał było mniej zabawne od nielegalnych fajerwerków, które odpaliła raz z plaży z kuzynami, lecz po trzech dniach wiedziała już na pewno, że Gannettowie byli znakomitym zespołem strzeleckim, a druga obsada w niczym nie ustępowała temu, co pokazywano jej w Siłach Kosmicznych Slotter Key. Osman utrzymywał uzbrojenie i elektronikę w wyśmienitym stanie, dzięki czemu potrzebne były jedynie drobne poprawki. Czwartego i piątego dnia ułożyła z Hugh symulacje dla załogi.

— Nie chciałbym być piratem, który spróbowałby na nas napaść — oznajmił Pritang po pierwszej serii symulacji. — Kiedy ruszamy na polowanie?

— Musimy zrobić więcej, niż wyłapywać ich pojedynczo — odparła. — Życia by nam nie starczyło. Może być nawet sześćdziesiąt okrętów z przenośnymi ansiblami. Według Rafe'a tyle właśnie urządzeń upłynął Osman.

— Uch. Ma pani rację: potrzebujemy floty. Ale zebranie jej...

— Nie będzie łatwe, zwłaszcza, jeśli wdam się w rozmowy z rządami. Mam jednak nadzieję znaleźć paru kaprów w Sallyonie. Z pewnością chętniej mnie wysłuchają. — Pokiwał głową bez entuzjazmu, ona zaś ciągnęła: — Potrzebujemy jednak czegoś więcej niż ćwiczeń ze strzelania, Hugh. Ostatni alarm ogniowy był żalony, a reakcja zbyt wolna. Nie daj nam spać po nocach, jeśli musisz, ale chcę przylecieć na Sallyon z załogą obeznaną z każdym kątem okrętu i każdą procedurą.

— Z każdym odłazającym kawałkiem farby — obiecał jej Pritang. Ky wybuchnęła śmiechem.

Podczas następnego lotu w nadprzestrzeni zaczęła żałować tego *nie dali nam spać po nocach*, ponieważ ćwiczenia, które opracował, regularnie przerywały wszystkim sen. Utrata mocy, przecieki, szczeliny w kadłubie, pożar mesy, uzbrojeni pasażerowie na gapę w ładowni, awaria sztucznej grawitacji... A kapitan miał swoją rolę do odegrania w alarmie każdego typu, zazwyczaj wymagającą obecności na mostku. Zastanawiała się, gdzie znalazł tak różnorodne, wspomagające ćwiczenia

obiekty i materiały, które dymiły, śmierdziały, płonęły i wydawały przerażające odgłosy uciekającego powietrza, trzaskających płomieni, wystrzałów i bulgoczących płynów. Albo zestaw do charakteryzacji, dzięki któremu zamienił część załogi w rozsianych po okręcie „rannych” lub „zabitych”, a innych w obcych — pasażerów na gapę, zamachowców, nieprzyjaciół.

— Przynajmniej nie jest nudno — uznał pewnego dnia Rafe, kiedy garbili się wokół stołu, pochłaniając w pośpiechu posiłek po dwugodzinnych zmaganiach z pozorowaną powodzią. — Muszę mu przyznać, że wykazuje się prawdziwą inwencją w podejściu do ćwiczeń.

— Dziękuję — powiedział Hugh, podchodząc do nich od tyłu. — Mam przyjemność zameldować pani kapitan, że sprawność ulega stałej poprawie, od trzech ćwiczeń osiągając chwalebny poziom. Za pozwoleniem pani kapitan, chciałbym im już odpuścić. Uważam, że zasłużyli na nagrodę za dobrą pracę.

— Ma pan zgodę kapitana — odrzekła Ky. — Kapitan chciałby także przespać całą noc — lub przynajmniej wachtę — ponieważ nie chcę dotrzeć do Sallyonu i tak wyglądać... — Wskazała na siebie.

— Pani kapitan zawsze wygląda nienagannie — oświadczył Hugh. Obrzuciła go spojrzeniem. — I jest pracowita — dodał. — Wielu kapitanów kazałoby mi skończyć kilka dni temu. Doceniam pani wolę wciągnięcia tej załogi na wyższy poziom.

— Nie ma problemu — odparła Ky. — Doceniam wysiłek, jaki pan w to wszystko włożył.

— Wzajemny podziw — wymamrotał Rafe i przewrócił oczami.

Hugh spojrział na niego łagodnie, lecz chyba przekazał mu coś znacznie mniej łagodnego, gdyż Rafe nagle poczerwieniał i wstał pospiesznie od stołu.

— Interesujący młody człowiek — powiedział Hugh, gdy Rafe wyszedł.

— Bardzo — przyznała Ky. — Moja kuzynka Stella знаła go kiedyś. Odnalazł ją na Lastway.

— Jest... eee... związany z nią?

— Nie. Przynajmniej nie wydaje mi się. Prowadzili razem interesy. Sama weszłam z nim w spółkę, ponieważ Stella powiedziała mi, że będzie honorował umowę.

— Jest aktualna?

— Nie, wygasła dawno temu. Zapomniałam ją przedłużyć.

— A mimo to postanowił zostać na tym okręcie z panią. Ciekawe.

— Zna się na systemach łączności — wyjaśniła. — Potrzebuje go.

— Aha. — Teraz to na nią padł jego łagodny wzrok. — Jest dość przystojny.

— Tylko nie ty — jęknęła Ky. Milczał, więc dodała: — Martin zamartwia się przez cały czas, że zakochałam się w Rafie. Ale tak nie jest. Nie jest w moim typie. — Po zdradzie Hala nie była pewna, czy miała jakikolwiek typ. — Idę do łóżka — oznajmiła. — Docenię brak niespodziewanych alarmów ćwiczebnych przez co najmniej osiem najbliższych godzin.

— Z pewnością pani kapitan — rzucił Hugh. Miała nadzieję, że błysk w jego oku tylko się jej przywidział.

Trzy dni później wynurzyli się w systemie Sallyon i polecili w stronę Głównej Stacji Sallyonu.

Rozdział 9

System Sallyon

Sallyon umieścił zdalną stację kontrolną zaledwie piętnaście sekund świetlnych od punktu skoku. Ledwo *Piękna Kaleen* wyszła z turbulencji powynurzeniowych, a na ekranie Ky już pojawiła się Kontrola Imigracyjna Sallyonu.

— Wejściowa stacja celna Sallyonu do nadlatującego statku. Potwierdźcie identyfikację nadajnika, ID właściciela jednostki, nazwisko oficera dowodzącego, ostatni port zawinięcia i stan ansibla w tymże porcie. Wszystkie statki muszą uzyskać tutaj zezwolenie na dalszy lot w stronę Głównej Stacji Sallyonu. — Oświadczeniu towarzyszył strumień danych dla pilota, zawierający tempo hamowania i kurs.

— Nazwa okrętu to *Piękna Kaleen* — odrzekła Ky. — Właściciel: Transport Vattów. Kapitan: Kylara Vatta...

— Według naszych zapisów kapitanem tej jednostki powinien być Osman Vatta. Proszę wyjaśnić niezgodność.

— Osman Vatta był piratem — odparła Ky. — Ukradł ten statek Transportowi Vattów. Powinniście byli otrzymać ostrzeżenie od prawowitych właścicieli Vattów i informację o odpowiedzialności Osmana Vatty...

— Otrzymaliśmy.

— Osman Vatta nie żyje — oznajmiła Ky. — Powinnam figurować na waszej liście jako kapitan *Glennys Jones* lub *Gary'ego Tobai*, w zależności od tego, kiedy po raz ostatni aktualizowaliście dane przed kłopotami z ansiblami.

— Eee... tak.

— Ten okręt, *Piękna Kaleen*, został z powrotem wpisany na listę jednostek Transportu Vattów. Aby uniknąć dalszych nieporozumień, zamierzam przerejestrować go i nadać nową nazwę.

Na twarzy na ekranie malowały się dezorientacja i złość.

— Ale kim pani jest? Jakie ma pani uprawnienia?

— Jestem Kylara Vatta — powtórzyła. — Moim ojcem był Gerard Vatta, dyrektor finansowy Vatta Enterprises, do którego należy Transport Vattów. Lista personelu Vattów powinna zawierać krótką notkę biograficzną i zdjęcie...

— No cóż... owszem... ale co pani robi na tym statku? Jak go pani zdobyła?

— Moja kuzynka Stella i ja zostałyśmy zobligowane przez siedzibę Vattów... — O ile takowa nadal istniała. — ...do odbudowy połączeń obsługiwanych przez Vattów i odzyskania wszystkich jednostek Vattów, jakie zdołamy zlokalizować. Posiadam również list kaperski Slotter-Key, uprawniający mnie do przyzów. Osman nie żyje; zanim ją ukradł, jednostka ta należała do Vattów, wobec czego przywróciłam ją prawowitym właścicielom.

— To uzbrojony okręt — zauważył urzędnik.

— Oczywiście — przytaknęła Ky. — Osman był piratem.

— Nie rozbroiła go pani.

- Nie. Jak mówiłam, posiadam list kaperski...
- Wasza broń musi zostać zabezpieczona i zaplombowana; dokonamy inspekcji plomb. Inspektorzy wejdą na pokład, zanim zacumujecie do stacji.
- Oczywiście — zgodziła się Ky.
- Proszę teraz powiedzieć, jak wygląda sytuacja z ansiblami w Rosvirein, kiedy stamtąd odlatywaliście?
- Podczas naszego pobytu ansible działały, ale opuściliśmy Rosvirein po informacji ze strony tamtejszych władz o pojawieniu się zagrożenia. Tuż przed skokiem widzieliśmy także statek wyraźnie zmierzający w stronę ansibla finansowego.
- Macie jakieś nagrania, które to potwierdzą?
- Mogę wykonać kopię logu naszych skanerów — zaoferowała Ky. — Doszło do wymiany ognia...
- Ilu najeźdźców?
- Trzy okręty w formacji — to po ich pojawieniu się Rosvirein nakazało wszystkim statkom spoza systemu albo odlot, albo pozostanie na stacji niezależnie od dalszego rozwoju wydarzeń. Postanowiłam odlecieć. Wcześniej, na Sabine, wpadłam w ten sposób w kłopoty. Jednostki Rosvirein śledziły tamte trzy, a pozostałe statki miały zabezpieczyć broń i nie wchodzić w drogę. Znajdowaliśmy się ponad dzień drogi od Głównej Stacji Rosvirein, kiedy w układzie wynurzyły się kolejne cztery okręty i zaczęły ostrzał baterii obronnych. Wówczas jeden z odlatujących statków zmienił kurs i ruszył w stronę ansibla finansowego. To wszystko, co wiem.

Mężczyzna skrzywił się.

– Wątpię. Ktoś taki, jak pani, do tego z takim okrętem... W porządku, daję pani tymczasowe zezwolenie na lot do stacji głównej. Będzie pani musiała zatrzymać się w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów od niej i poczekać na inspekcję uzbrojenia. Nie wpuszczenie inspektorów na pokład zostanie potraktowane jako demonstracja wrogich zamiarów i spotka się z surowymi konsekwencjami... Czy to jasne?

– Nie zamierzam utrudniać inspekcji uzbrojenia — oznajmiła Ky. — Już to panu powiedziałam.

– W takim razie otrzyma pani zezwolenie na cumowanie, lecz ostrzegam, żebyście trzymali się z dala od kłopotów. Nie tolerujemy wywrotowców.

– Wywrotowców?

– Mamy problemy z połową hałastry, jaka przylatuje tutaj z Rosvirein — oświadczył urzędnik. — Tam szerzy się zorganizowana przestępczość. Piraci przylatują i odlatują bez najmniejszych przeszkód. Twierdzi pani, że działa legalnie, lecz pani pozycja jest mocno wątpliwa, kapitanie Vatta.

– Nie jestem waszym wrogiem — zapewniła go. — Moimi wrogami są piraci, zabili mi rodziców i próbują obrócić rodzinny interes w ruinę.

Kontynuował, nie zważając na jej oświadczenie:

– Wasz komputer nawigacyjny otrzymał dane kursu. Proszę wykonać.

Zgodnie z poleceniem, *Piękna Kaleen* zwolniła i w końcu z zerową prędkością względną zaparkowała przy promie z inspektorami uzbrojenia. Ky rozwinęła nowy rękaw dokujący, który wymieniła razem ze służą, i napełniła go powietrzem. Na pokład wkroczyła ósemka inspektorów. Plombowanie uzbrojenia zabrało prawie dwie godziny, lecz w odróżnieniu od celnika inspektorzy nie demonstrowali nadmiernej podejrzliwości.

— Witamy na Sallyonie — oznajmił ich dowódca przed powrotem na prom. — Poprowadzi was lokalna kontrola lotów.

Po zadokowaniu formalności przebiegły gładko. Handel najwyraźniej zamarł. Na stacji nie było zbyt wiele statków i przydzielono im dok normalnie przeznaczony dla liniowców pasażerskich „dla zrównoważenia masy”, jak wyjaśnił zarządca stacji. Ky przejrzała listę dokujących jednostek i z zaskoczeniem znalazła na niej jedną zarejestrowaną na Slotter Key: *Dar Sharry*, dowodzony przez N. W. Argelosa. Może będzie miał jakieś wiadomości z domu.

Oficer przy trapie wyglądał na wojskowego, a załoga sprawiała wrażenie energicznej i zapracowanej.

Ky podeszła do wejścia do doku, podała nazwisko i poprosiła o rozmowę z kapitanem.

Młoda kobieta z kompadem obejrzała ją od góry do dołu i zawołała do mężczyzny przy trapie.

— Gość do kapitana.

Podszedł bliżej.

— W jakiej sprawie?

Wyprostowała się.

— Nazywam się Ky Vatta. Właśnie przylecieliśmy z Rosvirein. Jestem ze Slotter Key. Zobaczyłam, że wasz statek również tam zarejestrowano. Chciałabym spotkać się z waszym kapitanem i wymienić informacje ważne dla naszego systemu.

— Vatta, hę? Jak dawno nie było pani na Slotter Key?

— Opuściłam dom siedemnastego beritha zeszłego roku — odparła. — Wiem o atakach na siedzibę i pracowników Vattów; mój ojciec — Gerard Vatta, dyrektor finansowy — zginął z matką podczas zniszczenia naszego domu.

— Rozumiem. Proszę zaczekać, połączę się z kapitanem. — Dotknął skroni, sugerując połączenie implantowe. Ky przyglądała się dokowi. Na *Dar Sharry* ładowano zapieczętowane palety, wyglądające na broń. — Może pani wejść na pokład — oznajmił oficer. — Kapitan Argelos przyjmie panią, lecz może poświęcić jej tylko pół godziny.

— Dziękuję — rzuciła Ky. Ukłoniła się fladze Slotter Key, wymalowanej przy władze. W środku czekała na nią młoda kobieta, by zaprowadzić ją na mostek.

Kapitan Argelos był krępyim mężczyzną w wieku jej ojca, czarne włosy gęsto przetykała siwizna.

— Więc jest pani córką Gerry'ego — powitał ją, potrząsając głową. — Kiepska sprawa z tym atakiem na pani rodzinę. Proszę przyjąć kondolencje, kapitanie.

Zapiekły ją oczy. Odpędziła łyzy mruganiem. Po raz pierwszy ktoś przekazał jej zwyczajowe wyrazy współczucia.

— Dziękuję — powiedziała.

Siedział przez chwilę w milczeniu, patrząc w bok. Następnie pokiwał głową, jakby doszedł do jakichś wniosków.

— Wszystkich nas to zaniepokoiło — ciągnął. — Sama myśl, że Siły Kosmiczne nie ochroniły obywateli naszej planety...

— Wyobrażam sobie — mruknęła.

— Nie wiem, Vattowie nigdy w tym nie uczestniczyli, ale czy wie pani o programie kaperskim Slotter Key?

— Tak — potwierdziła, natychmiast podając mu wyjaśnienie, które powinien uznać za sensowne. — Zanim podjęłam pracę w rodzinnym biznesie, uczyłam się w Akademii Sił Kosmicznych.

— Aha — mruknął. — Wobec tego wie pani, iż kaprzy Slotter Key działają przeważnie jako zwyczajni kupcy lub przewoźnicy. Piraci nigdy nie wiedzą, gdzie jesteśmy, ani ilu nas jest, ani które z jednostek to my. Mamy szerokie uprawnienia i uzbrojenie wystarczające, by stawić czoła większości korsarzy. Teraz jednak... wyraźnie widać, że coś się zmieniło i piraci działają w większych grupach.

— Chce pan powiedzieć, że jest kaprem? — upewniła się Ky.

— Owszem — potwierdził. — Powierzam pani tę informację, by wyjaśnić, dlaczego — mimo iż latamy pod tą samą banderą — nie mogę pozwolić sobie, by w tych trudnych czasach kojarzono nas ze sobą. — Westchnął i przecesał dłonią włosy. — Kiedy zaczęły się kłopoty, chciałem zaoferować pomoc każdemu napotkanemu statkowi Vattów, w charakterze eskorty lub wynajmując personel dla celów bezpieczeństwa, lecz mój doradca z Sił Kosmicznych sprzeciwił się temu. Stanowczo. Powiedziałem mu, że naszym zadaniem jest ochrona przewozów Slotter Key, ale odparł, że to byłaby niewłaściwa droga.

— A jaka byłaby właściwa? — zapytała Ky, starając się mówić niedbałym tonem. Czyżby przedstawiciel Sił Kosmicznych działał w porozumieniu z nieprzyjacielem?

— Polowanie na piratów — odparł Argelos. — Co robiliśmy. Znaleźliśmy paru, lecz nie dalibyśmy rady przy ich przewadze liczebnej. Pani też nie, kapitanie Vatta. Próba oznaczałaby samobójstwo. Nawet, gdybyśmy wszyscy — to jest wszyscy kaprzy Slotter Key — utworzyli jedną flotę, takie przedsięwzięcie byłoby wielce ryzykowne.

— Wojna w kosmosie zawsze jest *ryzykowna* — oznajmiła Ky przez zaschnięte usta. — Ale czasami niezbędna. — Zaczerpnęła tchu. — Czyli wie pan już, jak obecnie działają piraci?

— Tak. Niestety, nie mam możliwości przekazania tych informacji na Slotter Key. Musiałbym tam polecieć. Bez wytycznych ze strony rządu moje możliwości są ograniczone...

— Co z innymi kaprami? Wie pan, gdzie przebywają? Co wiedzą? — Wbrew sobie, dosłyszała we własnym głosie rosnące podniecenie.

— Nie... Porozumiewamy się poprzez komercyjne ansible, tak samo, jak inni. Dwa porty temu natknąłem się na jednego z naszych, ale nie wiedział więcej ode mnie.

— Nie myśleliście o wspólnych działaniach, połączeniu sił?

— My dwaj przeciwko flotom piratów, które mogą liczyć nawet piętnaście — dwadzieścia okrętów? Co dobrego by z tego przyszło? Gdybyśmy odzyskali łączność ze Slotter Key... kiedy ożyją ansible... o ile ISC uda się tego dokonać... — Ponownie przejechał dłonią po włosach w geście człowieka, który właśnie dochodzi do ściany.

— Kto jest pańskim doradcą? — zapytała Ky. — Może go znam...

— Nie wiem, czy powinienem pani mówić. Muszę z nim porozmawiać. Chyba zwyczajnie wrócę do domu i przekonam się, co do powiedzenia ma rząd. Jeżeli będą chcieli, żebyśmy się połączyli...

— O ile nie zostali przekupieni — rzuciła Ky.

— Przekupieni? — Uniósł brwi.

— Sam pan powiedział, że zmartwiła pana okazana niemożność ochrony mieszkańców planety. Moim zdaniem znaczy to, że ktoś dotarł do rządu na odpowiednio wysokim szczeblu. Ktoś nie wywiązał się ze swych zadań. Może wcale nie chciał.

Skrzywił się.

— To jest... Chce pani, żebym uwierzył, iż rząd *chciał* ataku na Vattów?

— Nie oficjalnie, nie. Ale mogła zostać wywarta presja. A co, jeżeli ktoś wiedział o zmianie taktyki piratów, że obrona Slotter Key nie oprze się korsarskiej floty i zaoferowano mu wybór: poświęcenie jednej rodziny lub utrata wszystkiego...

— To nie mogłoby... — Urwał i spuścił wzrok. Gdy ponownie podniósł głowę, w jego oczach widać było zmartwienie. — Czy nasza obrona naprawdę jest taka słaba?

— Proszę zapytać swojego doradcę — odrzekła. — Lecz nie jest to problem wyłącznie Slotter Key. Wszędzie doszło do awarii ansibli; inne rządy również mogą działać pod presją. — Przerwała, zmieniając w duchu bieg. — Słyszał pan o piracie nazwiskiem Gammis?

Mina kapitana uległa zmianie.

— Gammis? Gammis Turek? Paskudny typ. Dziesięć — dwanaście lat temu niemal go dorwaliśmy, ale uciekł. Na następnej stacji, do której zawinęliśmy, zostawił nam wiadomość z najgorszymi pogrozkami. Nie przejąłem się tym — wszak zwyciężyliśmy — ale zaczęły dochodzić mnie różne wieści od innych kapitanów. Dwa lata później zniknął członek mojej załogi. Cztery dni później policja stacji odnalazła ciało. Obdarte ze skóry. Z wetkniętym w usta nagraniem tego, co mu zrobiono. Po starciach z nim innych spotykały podobne przygody.

— Uważam, że to on za tym stoi — oświadczyła Ky. — Mieliśmy wśród nas renegata — dalekiego kuzyna, wykluczonego z rodziny. Ukradł nam statek...

— Osman Vatta — pokiwał głową Argelos. — Wiemy o nim, wiele lat temu pani rodzina wydała o nim specjalny biuletyn.

— Ścigał mnie — powiedziała Ky. — Z zemsty na moim ojcu i wuju. Myślę, że to on jest inicjatorem ataków na Vattów — mam na myśli przyczynę wyboru właśnie

nas. Ale nie działał sam. Służył komuś innemu i wydaje mi się, że ten ktoś nazywa się Gammis.

— To możliwe — uznał Argelos. — Czemu podejrzewa pani Gammisa?

— Po śmierci Osmana — zaczęła Ky — zabrałam się za poszukiwanie jego mocodawców...

— Osman nie żyje? Jak to się stało?

— Zabiłam go — oznajmiła. — Z pewnością rozpoznał pan okręt, którym przyleciałam.

Policzki Argelosa zaczerwieniły się.

— Tak, ale...

— Pewnie zastanawiał się pan, czy nie zdradził następny Vatta, gdybym była na przykład jego córką...

— Nie po tym, jak dowiedziałem się, że jest pani córką Gerry'ego — odparł. — Ale... tak. Na pewno tak właśnie uważał mój doradca.

— Nie wyobrażam sobie innej przyczyny ataku wyłącznie na Vattów — i to tak zmasowanego, w tak wielu miejscach — niż osobista uraza. W każdym razie, kiedy spotkaliśmy się z Osmanem, udało mi się go zabić i przejąć okręt.

Skinał głową.

— Gdzie zalegalizowała pani przejęcie? Nie było problemów w sądzie?

— Potraktowałam go jako przyz — wyjaśniła. Wytrzeszczył oczy. Uśmiechnęła się, zadowolona z jego zdumienia. — Ja także posiadam list kaperski, kapitanie Argelos. Nie wiem, dlaczego, ani jak, ale czekał na mnie na Lastway.

— Ale Vattowie nigdy nie zostawali kaprami...

— Wiem. Niemniej, mam go, więc wzięłam *Piękną Kaleen* jako przyz.

— I nikt nie robił pani problemów?

Nie zamierzała wspominać o Garth-Lindheimerze.

— Na Rosvirein nie byli zbyt szczęśliwi, ale zgodzili się, że wszystko odbyło się legalnie. A interesy to interesy.

— Nastaly niebezpieczne czasy, kapitanie Vatta — powiedział Argelos. — Nie sądzę, aby wystarczył dotychczasowy model prowadzenia interesów. Skonsultuję się z moim doradcą i będę z panią w kontakcie, proszę jednak zbyt wiele nie oczekiwać. Przypuszczam, że podda w wątpliwość ważność pani listu kaperskiego. Zresztą, szczerze mówiąc, sam w nią wątpię. — Jego mina wyraźnie wskazywała, że tracił resztę cierpliwości.

— Może pan przyjść do mnie na pokład i samemu go obejrzyć — zaproponowała Ky. — Dziękuję za poświęcony mi czas, kapitanie Argelos. Mam nadzieję, że wkrótce się usłyszymy.

Kilka godzin później Argelos skontaktował się z nią i poprosił o pozwolenie na przybycie na jej okręt. Ky zgodziła się z ochotą w nadziei, że oznaczało to pozytywną odpowiedź. Kiedy zjawił się na pokładzie, na jego obliczu nie było śladu ciepła.

— Mój doradca z Sił Kosmicznych uważa, że pani zwariowała — oznajmił. — Z żądy zemsty za śmierć rodziców. Powtórzyłem mu to, co pani powiedziała, a on

zaklinał się, że pani list kaperski musiał zostać sfalszowany. Powtórzył to samo, co ja: Vattowie nigdy nie byli kaprami.

Ky kiwnęła głową w stronę wiszącej na ścianie ramki.

— Jest tam. Proszę obejrzyć go samemu.

— Za pozwoleniem...

— Oczywiście.

— Rzućmy okiem... — Argelos pilnie wpatrywał się w list. W dłoni trzymał walec, który, jak domyślała się Ky, był jakimś urządzeniem sprawdzającym autentyczność dokumentu. — Dowiadywała się pani o systemie kaperskim? Jak funkcjonuje w praktyce?

— Nie. Kaprów określano piratami pogranicza. Z pewnością nie uczono nas, iż są integralną częścią systemu obronnego Slotter Key. Ta wiedza zupełnie mnie zaskoczyła.

— Uhm. Wygląda identycznie, jak mój. Przynajmniej po powierzchownej analizie. Suche pieczęcie właściwej głębokości; odpowiedni papier i atrament. Jeśli to podróbka, to genialna. Zastanawia mnie jednak, dlaczego rząd obdarował panią listem kaperskim, pozbawiając jednocześnie ochrony pani rodzinę.

— Szczerze mówiąc, mnie również to dziwi — oznajmiła Ky. — Podejrzewałam, że to fałszywka, mająca na celu wpędzenie Vattów w jeszcze większe kłopoty, lecz otrzymałam go z wiarygodnego źródła.

— Może mi pani powiedzieć, skąd?

— Z Sił Kosmicznych — odparła. — Od osoby znanej mi osobiście.

Uniósł brwi.

— Z Sił Kosmicznych? Jest pani pewna?

— Tak. Źródło jest... nieskazitelne.

— Chyba nic z tego nie rozumiem — przyznał. — Może ktoś czuł się winny. Zna pani dokładnie prawa rządzące kaperstwem?

— Nie, nie bardziej niż zasady, na jakich to funkcjonuje. Miałam nadzieję znaleźć rodaka, który mi pomoże. Pan jest pierwszym, którego spotkałam.

— Hmm. Chyba nie zaszkodzi przesłać pani kopię właściwych regulacji i przepisów. Co do współpracy...

— Być może, gdybym mogła porozmawiać z pana doradcą...

— On nie chce mieć z panią nic wspólnego. W tej kwestii był nieugięty — najwyraźniej uważa, że wasze wcześniejsze kontakty mogłyby... eee... zaszkodzić dalszej współpracy, jak to ujął.

— Zna mnie? — zdziwiła się Ky. — Był w Akademii?

— Lub na którymś okręcie szkoleniowym. Nie jestem pewny nazwy, a on odmówił podania szczegółów. Uważa panią za kompetentną, lecz niebezpieczną. Przesadnie entuzjastyczną i niezbyt uczciwą. Został mi przydzielony w zeszłym roku; mój poprzedni doradca podupał na zdrowiu i musiał wziąć urlop zdrowotny.

Ky natychmiast przyszedł na myśl kadet, przez którego kłamstwa wyleciała z Akademii, ale nie powinien on jeszcze ukończyć uczelni. W takim razie kto?

— Ja tego nie stwierdzam — orzekł Argelos. — A młodość dojrzeła i mądrzeje. Sam za młodu byłem nieco porywczy. Mimo to... nie jestem gotowy postąpić wbrew jego radom.

Ky spróbowała ponownie.

— Sir, moim zdaniem powinniśmy działać razem — wszyscy kaprzy — i zająć się tymi piratami. Uważam to za najważniejsze...

— To się prawdopodobnie nie uda.

— Dlaczego?

— Cóż... jak mówiłem, jest nas zbyt mało. Przynajmniej z samego Slotter Key. Nie dysponujemy środkami łączności. A kaprzy z innych systemów raczej nie będą skłonni współpracować...

Ky zastanawiała się, czy nadeszła właściwa chwila, by zagrać najmocniejszą kartą. Nie powinno zaszkodzić.

— Możemy rozwiązać problem komunikacji.

Uniósł brwi.

— Naprawdę? Jak?

— Kapitanie Argelos, czy słyszał pan o ansiblach pokładowych?

Skrzywił się.

— Ansible na statkach? To nie jest technologia ISC. Ma pani pojęcie, w jakie kłopoty byśmy wpadli... ?

— Mają je piraci — oznajmiła. — Jak inaczej koordynowaliby swoje ataki? Poza tym, znaleźliśmy sporą ich liczbę na okręcie Osmana.

— Ale ISC wykłęboby nasz ojczysty układ, gdybyśmy zaczęli używać innego systemu łączności...

— Wcale nie — sprzeciwiła się Ky. — Nie byli w stanie zapewnić ochrony ansiblom systemowym. To było źródło ich monopolu — możliwość dostawy, ochrony i serwisu — serce całego systemu. Teraz zawiedli i to nie tylko w jednym układzie i nie na krótki okres czasu. Minęło już pół roku standardowego, odkąd pół tuzina układów utraciło łączność. Systemy muszą bronić się samodzielnie. Mają gdzieś, co powie ISC, jeżeli posiadają alternatywną metodę komunikacji.

— Czy... czy to działa tak samo, jak ansible systemowe? — Był wyraźnie zainteresowany; pochylił się naprzód z błyszczącymi oczami.

— Niedokładnie — odparła. — ISC tak zorganizowało system łączności, że komunikacja nadświatlna może współpracować tylko z zainstalowanymi przez nich ansiblami, w które na etapie produkcji wgrywa się kody rozpoznawcze specyficzne dla danego klienta.

— Wobec tego są bezużyteczne...

— Nie. Oznacza to jedynie, że nie możemy połączyć się bezpośrednio z systemem komunikacyjnym, za to łączność między okrętami jest jak najbardziej możliwa, tak samo, jak łączność statku z ansiblami systemowymi, gdyby te działały. To system równoległy.

— Jak trudno je zainstalować? I obsługiwać?

— Na okręcie Osmana jest jeden — odrzekła. — Nie musieliśmy go instalować, ale mam instrukcje montażu i użytkowania.

— Martwi mnie możliwość wykrycia — powiedział. — Skąd pani wie, że to urządzenie nie wysyła pani koordynatów piratom? Ansible systemowe posiadają wbudowane lokalizatory.

— Wciąż żyjemy — zauważyła. — Gdyby piraci wiedzieli, gdzie znajduje się mój okręt, już by mnie zaatakowali.

— Tyle, że zabiła pani Osmana. To mogło ich powstrzymać.

— Nie, jeżeli są tak silni, jak pan twierdzi — odrzekła. — Według pana mogą zebrać dziesięć, a nawet piętnaście jednostek; żaden okręt nie wyszedłby cało ze starcia przy takim układzie sił.

— Jaka byłaby różnica pomiędzy haraczem dla nich, a tym, co pani proponuje?

— Prawdziwą gwiazdą marynarką podległą cywilnym władzom? Olbrzymia. Piraci mówią: zapłać nam, albo cię zaatakujemy. Ja mówię: Wystawcie kosmiczną marynarkę, która rozprawi się z piratami lub innymi zagrożeniami.

— Oba rozwiązania stanowią koszt dla cywilów.

— Z pewnością. Ale w tym przypadku to cywile decydują, kto ma ich bronić i jak. Zgadzają się na cenę z góry.

— To ma sens, kapitanie Vatta, lecz nadal... — Zamilkł. — Nadal zobligowany jestem do posłuszeństwa wobec mojego doradcy. Spróbuję go przekonać, ale... sam nie wiem.

Ky wyczuła, że przycisnęła go najmocniej, jak mogła. Miała nadzieję, że po jakimś czasie zgodzi się z jej argumentami.

— Dziękuję za wizytę, kapitanie Argelos — powiedziała. — Rozumiem pana obawy i mam nadzieję, że znajdziemy okazję, by dokończyć tę rozmowę.

Na twarzy mężczyzny odmalowała się ulga. Przed wyjściem uścisnął jej dłoń.

Kilka dni później Ky kończyła właśnie codzienną inspekcję sekcji podtrzymywania środowiska, gdy usłyszała alarm.

— Co się stało? — zapytała, wchodząc na mostek.

— Właśnie przyleciała *Księżniczka Philomena* Cesarskich Linii, wyjąć niczym banshee — poinformował ją Rafe. — Piraci napadli na Bissonet i przejęli tam władzę — zdmuchnęli planetarną milicję, jakby jej w ogóle nie było. Zagrozili spalaniem miast, gdyby rząd nie chciał się poddać. Nałożyli opłaty i niszczą statki, które nie są skłonne współpracować. Tak samo, jak Vattów, powtarzają.

— Zgodnie z naszymi oczekiwaniami — powiedziała Ky. — Nazywają się jakoś?

— Kosmiczny Związek Dobroczynny. Dowodzony przez — znowu bez niespodzianek — niejakiego Gammisa Turka. — Skinął głową w stronę ekranu. — Tak według nich wygląda.

Był wysoki, ciemnowłosy, niemal przystojny.

— Pewnie jest czarujący — orzekła Ky. — Często u typów spod ciemnej gwiazdy.

— Uch — stęknął Rafe, zerkając na nią i zaraz odwracając wzrok. — Prawdę mówiąc, uważają go za przerażającego. W ciągu nanosekundy przechodzi od spokoju

do hysterii i potrafi zabić dla kaprysu.

— Uhm. — Ky wpatrywała się w zdjęcie. Wyglądał na starszego od niej, lecz młodszego od Osmana lub jej ojca. Nosił kombinezon ze skóry lub dobrego syntetyku i ciemnoburgundową kurtkę przyozdobioną podłużnymi blaszkami. Prawdopodobnie część osobistej zbroi. Nogawki niemal czarnych spodni zdobiły burgundowe lampasy. Oczywiście, czarne buty. Na jednej ręce nosił rękawicę wzmocnioną metalowymi paskami, co pewnie bywało wielce użyteczne podczas walki. Druga dłoń odsłonięta i wytatuowana, ale wzór pozostawał na wpół zakryty.

— Ubiera się odpowiednio, prawda? Wielki, zły herszt piratów.

— Tak przypuszczam. Owszem. Brakuje tylko kapelusza z piórkiem.

— Na pewno przykleił je sobie do hełmu — domyślała się Ky. — Ekstrawagancja popłaca.

— Zgadza się. Jest tylko jedno nagranie wideo z jego ludźmi... — Rafe wywołał następny plik. Turek stał z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, podczas gdy dwóch jego podwładnych w burgundowych kombinezonach szukało kogoś, a trzeci odczytywał jakiś dokument.

— Ten sam kolor, inna tkanina — zauważyła Ky.

— Nie wiedziałem, że tak interesujesz się ubraniami — rzucił Rafe.

— Ubrania to informacja — odparła. — Wybrał je nie bez powodu. Jeśli go poznamy, dowiemy się czegoś o nim. Widzimy, na przykład, że woli stroje z lepszego materiału, niż noszą jego ludzie. Powiedziałabym, że nie ma kłopotu z przywilejami. Kolor... to trudniejsze. Pomogłoby nam, gdybyśmy wiedzieli, skąd pochodzi i znali jego historię. Kolory mają znaczenie, choć jest ono różne dla różnych ludzi.

— Czerwień bez afiszowania się? — zasugerował Hugh.

— Nie przejmuje się efekciarstwem — zaprzeczyła Ky. — Rzekłabym, że jest próżny jak paw. Nie, ten burgund ma swoje znaczenie. Czerwony plus coś. Ogień i dym? Nie, byłby bardziej pomarańczowy. Może czerwony i czarny... Niebezpieczeństwo i śmierć. Ciekawe.

— Nie rozumiem, jaką różnicę czyni jego ubiór — wtrącił Martin. — Jest tym, kim mówi, że jest.

— Strój zdradza, kim jest według niego — wyjaśniła Ky. — Zajęcia z psychologii wojskowej: zrozum punkt widzenia przeciwnika.

— Dajcie mi wystarczająco dużo broni, a nie będę musiał rozumieć moich wrogów — oznajmił Martin. — Po prostu ich rozwalę.

— Zrozum ich, a sami wystawią się na strzał — oponowała Ky. — Znacznie skuteczniejsze.

— Tak przypuszczam — zgodził się z uśmiechem Martin.

— Nie podejrzewałbym pani o subtelność, kapitanie — przyznał Rafe.

Pozostali obrzucili go ostrymi spojrzeniami, lecz Ky wybuchnęła śmiechem.

— To nie to, Rafe, tylko prosta, dobra, bezpośrednia analiza wojskowa.

— Nieważne, powiedz raczej, co zamierzasz z nim zrobić?

— Zabić go — odparła wesoło Ky. — Przynajmniej, kiedy będziemy mogli.

W Gildii Kapitańskiej szumiało, jak w kopniętym ulu. Kapitanowie układowi i długodystansowi przekrzykiwali hałas. Ky wpisała się na listę u recepcjonisty.

— Mam szansę na jednoosobowy stolik w sali jadalnej?

— Za godzinę, kapitanie Vatta.

— Znakomicie. Proszę wpisać mnie na listę. — Rozejrzała się. Przy barze tłoczno — bez szans na znalezienie tam miejsca.

— Kapitanie Vatta! — Po drugiej stronie holu ujrzała kapitana Argelosa. — Na słówko, jeśli można.

Ruszając ku niemu zauważyła, że otwiera się przed nią wygodne przejście. Nikt nie odezwał się do niej, lecz w oczywisty sposób byli świadomi jej obecności. Nic dziwnego — zawołał ją naprawdę głośno.

— Rzecz jasna, słyszała pani o *Philomenie*... — zaczął.

— Tak. Cały system Bissonet zaatakowany, rząd obalony...

— Mówiła pani wtedy... poważnie?

— O kaprach jednoczących się dla wspólnego dobra? Tak, absolutnie. — Rozmowy wokół nich ucichły; była tego świadoma, zupełnie jakby mogła usłyszeć nadstawianie uszu.

— Kapitan Bisdin mówi, że piraci mieli całą flotę. Co najmniej czternaście okrętów. Niemożliwe, żeby ktoś z nas mógł samotnie stawić im czoła i przetrwać.

— Uhm — chrząknęła Ky, zachęcając go do mówienia.

— Trzeba nas więcej... nie tylko mnie i pani.

— Zgadza się — przytaknęła.

— Nie wiem, jak... Nie wiemy nawet, gdzie są inni. Poza tym, nie znam się na dowodzeniu flotą.

— A ja tak — oznajmiła Ky.

Wytrzeszczył oczy.

— Pani? Chciałaby pani objąć dowodzenie?

Otoczył ich krąg ciszy. W całym pomieszczeniu dały się usłyszeć uciszające innych posykiwania. Nie była to najlepsza chwila, by rozpowiadać wszem i wobec o swych planach.

— Może omówimy to gdzie indziej — rzuciła.

Argelos poczerwieniał i zacisnął usta.

— W porządku. Gdzie?

— Zamierzam tutaj zjeść, jak tylko zwolni się stolik. Potem zapraszam pana na mój okręt.

— Moglibyśmy zjeść razem — zaproponował.

Czy nie było to zbyt natarczywe? Może był kimś więcej niż kaprem? Mimo to, uśmiechnęła się do niego.

— Mam zasadę, że przy jedzeniu nie rozmawiam o interesach — oświadczyła. — Niemniej, możemy zjeść razem.

— Przepraszam — wtrąciła się kobieta, stojąca kilka stóp od nich. — Należy pani do rodziny Vattów?

— Tak — potwierdziła Ky, zadowolona z jej wtrętu.

— Czy pani statek zaatakowano tak samo, jak inne jednostki Vattów?
— Owszem — odrzekła. — I to nie raz, lecz bezskutecznie.
— Wzięła okręt Osmana jako przyz — wtrącił Argelos.
— Osman był czarną owcą — wyjaśniła Ky, nie czekając na pytanie. — Najwidoczniej przyłączył się do tej samej grupy, która napadła na Bissonet. Podejrzewamy, że to on podsunął rodzinę Vattów jako pierwszy cel z zemsty za wykluczenie go z niej. — Głowy pokiwały. Rodzinne konflikty i zemsta były dość powszechnymi doświadczeniami. — Więc zaatakował, a mnie udało się go pokonać i zdobyć jego okręt.

— Co ze statkiem, który miała pani wcześniej? — padło pytanie z tyłu otaczającego ich kręgu.

— Przejęła go moja kuzynka — odparła Ky. — Miała kontrakt do wypełnienia.

— Uważa pani, że Vattowie nie są już celem? — spytała kobieta.

— Uważam, że wszyscy jesteśmy celami — odrzekła Ky. — Wszyscy. Ci piraci chcą zaprowadzić własne porządki, żeby wszyscy płacili im haracz. Nasze rządy nie będą ze sobą współpracować i nie stworzą marynarki kosmicznej, nie będzie więc międzygwiazdnej floty zdolnej do rozprawienia się z nimi.

— Nie ma więc nadziei — uznał postawny, starszy mężczyzna. — Nie możemy z nimi walczyć, toteż równie dobrze możemy zacząć płacić im tyle, ile żądają.

— Nie powiedziałam, że nie ma nadziei — zaprzeczyła Ky. Nie tak planowała przedstawić swoją propozycję, ale nadarzał się sposobny moment.

— Ja tak mówię — oznajmił mężczyzna. Głowy obróciły się ku niemu. Wzruszył ramionami. — Mają więcej okrętów i broni. Jest wystarczająco kiepsko, kiedy spotykamy ich w głębokiej przestrzeni, z dala od portów. Jeśli jednak mogą zastępować rządy i niszczyć tę odrobinę ochrony, jakiej mogliśmy spodziewać się wewnątrz układów, to nie ma sposobu przewożenia ładunków bez narażenia się na przejęcie i rabunek.

— Jeden rząd to nie cały sektor — zauważyła Ky. — Te same względy, które powstrzymują nas przed stworzeniem regularnej marynarki kosmicznej, utrudniają życie im — muszą zdobywać systemy po kolei...

— Co nie będzie problemem — upierał się mężczyzna. — Mój rząd zmartwiły same ataki na Vattów. Teraz, na wieść o zdobyciu całego systemu, będą szukać sposobu jak najszybszego osiągnięcia porozumienia.

— Nie mój rząd — oznajmiła kobieta, która odezwała się pierwsza. — Kassel-Tinian nie wchodzi z nikim w układy. — Zmierzyła mężczyznę palącym spojrzeniem, który odpowiedział jej tym samym.

— Chce pani powiedzieć, że mój rząd...

— Dostyc — zawołała Ky. Ku jej niejakiemu zdziwieniu wszyscy zamilkli i spojrzeli na nią. — Nie rozwiążemy tego problemu kłócąc się ze sobą, albo poddając... Ani czekając, aż nasze rządy zrobią to za nas. Dopóki nie działają ansible, nie mogą nawet kontaktować się ze sobą.

— Cóż, z pewnością nie uważa pani, że *my* możemy coś zrobić? — zapytał wysoki mężczyzna. — Jesteśmy zwykłymi cywilami; nasze statki są nieuzbrojone...

— Są kupcy dysponujący uzbrojonymi okrętami — zauważyła Ky. — Pomyślcie o tym.

— Kaprzy! — zawołał jej rozmówca. — Moim zdaniem, nie lepsi od piratów. Pewnie są z nimi w zмовie.

— Nie wszyscy — sprzeciwiła się Ky. — Sama jestem kaprem, a nie trzymam ich strony.

Zapadła cisza.

— Pani?

— Ja.

— Czyli... Slotter Key wydało wojnę piratom? Więc jak to się stało, że zaatakowano Vattów?

— Slotter Key ma kaprów — wszyscy o tym wiecie. Może dlatego właśnie zaatakowano rodzinę z tego układu. Bissonet nie wydaje listów kaperskich, nie wiemy więc, co piraci chcieli osiągnąć, podbijając ich.

— Ale jak, według pani, mielibyśmy z nimi walczyć? Bez broni i wsparcia naszych rządów?

— Tak... czy naprawdę jest jakaś nadzieja?

Ky rozejrzała się dokoła. Sposób, w jaki przyglądali się jej, był absurdalny, zupełnie, jakby oczekiwali, że na jej czole pojawi się jakaś cudowna recepta.

— Oczywiście, że jest nadzieja — odparła. — Lecz nie będzie to łatwe...

— Ma pani plan?

— Mam parę pomysłów — odrzekła. — Nie zamierzam ich tutaj ujawniać. Ktoś z was może współpracować z piratami.

Odgłos gwałtownie wciąganych oddechów. Tłum wokół niej zafalował, twarze obracały się, mierząc spojrzeniami sąsiadów.

— Myśli pani, że któreś z nas mogłoby im pomagać? — zapytał ze złością łysy kapitan.

Ky wzruszyła ramionami.

— Mogli komuś zagrozić, a potem zaoferować nietykalność za szpiegowanie innych kapitanów... A gdzie lepiej zbierać plotki niż w Gildii Kapitańskiej? Wszak nie jesteśmy aniołami, prawda? — Rozległy się chichoty. — Moim zdaniem jest nadzieja: piraci nie są jeszcze tacy silni, choć jeśli zaczekamy, aż zmuszą więcej systemów do wspierania ich, damy im czas na wzmocnienie się. Nie powiem nic na temat moich planów w takim miejscu. Jeśli jednak ktoś chciałby dowiedzieć się więcej, proszę dać mi po cichu znać. — Uśmiechnęła się, po czym dodała: — A teraz, proszę o wybaczenie.

Następnego ranka otrzymała wezwanie do zarządu stacji.

— Kapitanie Vatta, mamy problem. — Wokół stołu w niewielkiej salce konferencyjnej siedział zarządca stacji, dwóch mężczyzn w cywilnych ubraniach oraz kobieta w mundurze policji. — Proszę usiąść.

— Problem?

— Tak. Jak rozumiemy, rozmawia pani z kapitanami o uformowaniu sił bojowych.

Ky w milczeniu uniosła brwi.

— Te pogłoski o pirackiej flocie — jestem pewny, że są przesadzone — oznajmił zarządca.

— Ma pan na to dowody? — zapytała Ky.

— Cóż... nigdy nie widzieliśmy większej grupy pirackich okrętów niż dwa, góra trzy. Nasze układowe patrolowce w zupełności na nich wystarczą. Od dekad nie doszło tutaj do udanego ataku piratów.

— Uważa pan, że kapitan *Philomeny* kłamie? Według mnie wygląda na uczciwego człowieka — stwierdziła Ky.

— Nie kłamie — zaprzeczył zarządca — tylko brakuje mu pani przeszkolenia wojskowego. Do czegokolwiek tam doszło, jestem przekonany, że strach wyolbrzymił zagrożenie. Nie zauważyła pani, jak często się to zdarza?

— Nie docenienie zagrożenia prowadzi do równie wielkich problemów — odparła Ky. — Czy zapoznał się pan z danymi ze skanerów kapitana Bisdina?

— Nie. To tylko cywilny statek, którego skanery nie są tak dokładne...

— Ja tak — powiedziała Ky. Zapadła cisza. Popatrzyli po sobie. — W ataku faktycznie wzięło udział czternaście okrętów. W tym czasie w układzie przebywało pięć innych jednostek. Trzy z tych niewinnych statków zostały zniszczone, znajdując się w zasięgu skanerów *Philomeny*. Kapitanowi Bisdinowi udało się dotrzeć tutaj. Nie wie, co stało się z piątym statkiem. — Potoczyła wzrokiem wokół stołu. Zbledli.

— Ale... Może tylko tego chcieli, bezpiecznej bazy... — przemówił jeden z mężczyzn.

Oficer policji odwróciła się ku niemu.

— Wszystko, czego chcieli? Oczywiście, że to nie wszystko, czego chcieli. Nie możesz zakładać, że przestaną...

— Mamy taką nadzieję — upierał się mężczyzna. — Chcę powiedzieć, że szkoda Bissonetu, czemu jednak mieliby chcieć więcej niż jednego systemu?

Ky i oficer policji skrzyżowały na moment spojrzenia. Vatta pokręciła głową.

— Mógłby pan zapytać ogólnie o motyw ludzkości. Ale wracając do tematu: jeśli ich celem jest przejęcie kontroli nad międzygwiazdowym handlem — czyli nadzwyczaj zyskownym biznesem — to przejmowanie po kolei pojedynczych systemów jest właściwą drogą ku temu, zwłaszcza w obliczu awarii łączności ansiblowej. Dysponując środkami z handlu, mogą zawładnąć całym znanym wszechświatem.

— Ale z pewnością... — zaczął mężczyzna. Zarządca uniósł dłoń i tamten zamilkł.

— Kapitanie Vatta, nawet, jeśli ma pani rację i istnieją dowody na współpracę między piratami... to przestępcy. Nie wytrzymają razem zbyt długo. Nie ma potrzeby, żeby cywile przedsięwzięli jakieś nielegalne akcje militarne...

— Zdecydowanie jest taka potrzeba — sprzeciwiła się Ky. — Międzygwiazdny handel opiera się na bezpiecznych portach przeznaczenia, dobrej łączności i jak najmniejszej skali piractwa w przestrzeni kosmicznej. Jesteśmy pozbawieni łączności przez dni i tygodnie spędzane w nadprzestrzeni, więc nawet przy

funkcjonujących ansiblach musimy wiedzieć, czy przestrzeń, którą przemierzamy, jest wolna od piratów. Nie wiecie — nikt z nas nie wie — jaki będzie następny cel ataku pirackiej floty. Nie wiemy, ilu agentów mogą mieć na różnych światach, ani kto z nimi współpracuje. Jeśli wybiorą sobie najpopularniejsze porty i przejmą kontrolę nad tamtejszymi rządami, handel międzygwiazdny upadnie, a wraz z nim wasze linie zaopatrzenia. A kiedy piraci zdobędą kontrolę nad waszym zaopatrzeniem, zdobędą kontrolę nad wami.

— Przerażający scenariusz — ocenił zarządca stacji. — I mało prawdopodobny. Bardziej martwią mnie cywile, próbujący przejmować funkcje wojskowe. To zbyt niebezpieczne — horda cywilów, zbrojących swoje statki i wyruszających na polowanie na piratów. Moim zdaniem, doprowadzi to do mnóstwa kłopotów i śmierci wielu niewinnych ludzi. Przemawiając w imieniu rady układu, żądam, aby położyć temu kres.

Ky zdusiła gniewną odpowiedź, oceniając w zamian reakcje innych.

— Dysponujemy patrolami układowymi — powiedziała powoli oficer policji. — Nie mieliśmy dotąd problemów z piratami, którzy przekonają się, że jesteśmy twardym orzechem do zgryzienia. Przyznaję, że flotylla czternastu okrętów może wystawić nasze siły na trudną próbę, jestem jednak przekonana, że poradzimy sobie z tym.

— Przy uszkodzonych ansiblach jesteście skazani na komunikację między statkami z prędkością światła — zauważyła Ky. — Piraci mają ansible pokładowe.

— To kolejna sprawa — powiedział zarządca. — Mówiła pani o tym innym, lecz nikt o czymś takim nie słyszał. Czemu uważa pani, że one istnieją?

— Zdobyty przeze mnie okręt posiada takowy — odrzekła. — Sprawny i wyposażony w instrukcję obsługi. Osman był piratem, a w jego danych odkryłam dowody, że pracował dla grupy dowodzonej przez tego samego człowieka, którego Bisdin uznał za komandora pirackiej floty.

— To absurd — zaproponował jeden z cywilów. — Ansible są ogromne, ciężkie — nie ma sposobu, żeby zainstalować je na pokładzie statku. Samo zasilanie...

— A jednak na moim okręcie znajduje się ansibl — upierała się Ky.

— Nieważne — wtrącił się zarządca, kładąc dłonie płasko na stole. — To naruszające spokój zachowanie musi się zmienić, kapitanie Vatta. Nawet, jeśli zagrożenie ze strony piratów jest prawdziwe, pani droga nie jest właściwa. Straszy pani ludzi na stacji; zalała nas powódź skarg i żądań. Możemy wzmocnić naszą obronę, zatrudnić najemników. Nie potrzebujemy — i nie pogodzimy się z obecnością w układzie — udającej wojsko bandy kupców-awanturników. Jeżeli w dalszym ciągu będzie pani próbowała agitować i organizować innych kapitanów, to będę nalegał, aby opuściła pani nasz system... pod groźbą aresztowania.

— Rozumiem — odparła Ky.

— Koniec ze spotkaniami i podejrzanymi wizytami na pani okręcie...

— Podejrzanymi? — zdziwiła się Ky. — To żadna tajemnica. Nikt nie zabraniał mi spotkań...

— W porządku... Jednak od tej pory będą one uznawane za podejrzane. Jeżeli nie zajmie się pani aktywnie handlem — i to wyrobami cywilnymi — zażądam, aby odleciała pani stąd w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin. W tym czasie nie wolno pani wywoływać więcej zamieszania, rozumiemy się?

— Absolutnie — odparła Ky. Klębił się w niej gniew. Jak mogli być tacy głupi? Jak mogli nie rozumieć punktu widzenia kupców, tak bardzo zależąc od handlu?

— Będzie pani towarzyszył policjant, który upewni się, że przestrzega pani tych ograniczeń. — Zarządca spojrział na oficer policji, która nie wyglądała już na tak szczęśliwą, jak na początku spotkania, niemniej, potulnie pokiwała głową.

Tak zakończyło się spotkanie. Ky zdołała zachować panowanie nad sobą, dopóki nie zamknęły się za nią drzwi.

Rozdział 10

Przydzielony jej policyjny szpicel — jak myślała o nim Ky — był postawnym, małowymnym młodzianem. Szedł tuż za nią przez całą drogę powrotną do doków. Jednak kiedy skręciła do wejścia do Gildii Kapitańskiej, położył jej rękę na ramieniu.

— Nie powinna pani z nimi rozmawiać.

— W związku z wyjazdem mam tutaj rachunki do zapłacenia — odparła. — Wejdz ze mną i przekonaj się sam.

— Jeżeli będzie pani rozmawiała z innymi kapitanami...

— Nikt nie zabronił mi rozmów z nimi — zauważyła Ky. Traciła resztki cierpliwości. — Jedyne poruszania pewnych tematów.

Zatrzymała się przy recepcji, sprawdziła rachunek i zapłaciła.

— Opłacenie dodatkowych należności zlecę mojemu bankowi — oświadczyła.

— W porządku — odrzekł urzędnik. — Mam dla pani cały stos wiadomości... — Przetrzęsnał przegródki. Po chwili wydobyl naręcze infokostek i kartek.

— Wezmę to. — Policjant wyciągnął rękę.

— W żadnym razie — oznajmiła Ky, kurczowo ściskając wiadomości. — Zarządca nie wspomniał o ograniczaniu dostępu do poczty.

— Muszę zapytać...

— Pytaj pan. — Ky schowała wiadomości do teczki i zamknęła ją. Policjant patrzył pustym wzrokiem. Zakładała, że łączył się przez telefon czaszkowy. Postanowiła również wykonać telefon. Dodzwoniła się do asystentki zarządcy stacji.

— Muszę rozmawiać z zarządcą.

— Kto mówi... och. Kapitan Vatta. Jakiś problem?

— Moja eskorta próbowała zabrać mi korespondencję. Nie uważam, aby było to stosowne czy konieczne.

Asystentkę zastąpił głos zarządcy.

— Nie powinna pani komunikować się z innymi kapitanami...

— W kwestiach wymienionych przez pana, owszem. Nie mówił pan, że nie wolno mi odbierać poczty, czy przesyłek od innych.

— Mówiłem o spiskowaniu...

— To żadne spiskowanie — przypuszczam, że wiadomości te dotyczą spraw handlowych. Prowadziłam interesy z paroma kupcami na stacji.

— Chciałbym upewnić się co do tego.

— Sir. — Zacisnęła na chwilę powieki. — Próbuję zastosować się do pańskiego żądania opuszczenia stacji. Oznacza to pozamykanie rachunków, sfinalizowanie transakcji i tak dalej. Zgodziłam się zaprzestać organizowania skutecznej obrony przed piratami, ale nie zaniechać robienia interesów z moimi klientami. Niech pański człowiek wykonuje swoją pracę, a mnie pozwoli zająć się moją.

— Jak długo chodzi o interesy...

— Wyłącznie o interesy.

Teatralne westchnięcie, po czym:

— Bardzo dobrze, kapitanie Vatta. Nie będę upierał się przy sprawdzaniu pani korespondencji, co nie oznacza, że może pani robić to, co do tej pory...

— Rozumiem — powiedziała Ky.

— Świetnie. Powiadomię policję.

Po chwili funkcjonariusz obrócił się do Ky.

— W porządku. Mówią, że może pani zatrzymać wiadomości.

— Dziękuję — mruknęła. Przez ten czas przy recepcji pojawiło się kilkoro znanych jej z widzenia kapitanów, lecz na widok policjanta woleli trzymać się z daleka. Ky nie próbowała nawiązywać z nimi rozmowy. W zamian przemówiła do recepcjonisty: — Proszę zgłosić *Piękną Kaleen* do odlotu w ciągu trzydziestu sześciu — czterdziestu ośmiu godzin.

— Miejsce przeznaczenia?

— Jeszcze nie wybrałam, ale tutaj zarobiliśmy już tyle, ile mogliśmy. Dam panu znać, jak postanowię.

— Wolna przestrzeń ładunkowa?

— Tak, cztery metry sześciennie. Proszę to ogłosić. Wolałabym lecieć z pełnymi ładownikami.

Po powrocie na okręt kazała policjantowi zostać w doku.

— Ale powiedzieli...

— Mogą sprawdzać moją łączność z innymi statkami — powiedziała Ky. — Nie mam nic przeciwko temu. — Miała, ale wiedziała, że protesty na nic się nie zdadzą. — Jednakże mój pokład to terytorium obcego państwa; pana władza tam nie sięga.

— Będę musiał zadzwonić.

— Proszę bardzo. — Ky weszła do środka, nakazała ochronie zamknąć wewnętrzny właz i udała się prosto na mostek, skąd obdzwoniła Argelosa i innych kapitanów, którzy okazali zainteresowanie. — Zostałam poproszona o opuszczenie systemu — oznajmiła. — Nie mogę rozmawiać z państwem na ten temat. Postanowię, dokąd polecę i zostawię wiadomość w Gildii Kapitańskiej. Mam cztery metry sześciennie wolnej przestrzeni ładunkowej, gdyby ktoś chciał coś wysłać do portu, który wybiorę.

Implant zasygnalizował przychodzącą rozmowę priorytetową. Była pewna, że to zarządca stacji. Miała rację.

— Mówiłem pani... — zaczął.

— Powiadomiłam innych kapitanów, że odlatuję. Jestem pewna, że przysłuchiwał się pan transmisji...

— Powiedziała pani, że poproszono ją o opuszczenie systemu.

— Owszem, ponieważ tak właśnie było. Powiedziałam prawdę.

— Stara się pani wzbudzić współczucie...

— W żadnym wypadku. Sami wyciągną wnioski; nie są głupcami, zarządco. Poproszono mnie o odlecenie, więc odlatuję. Mam trochę wolnej przestrzeni, gdyby ktoś chciał nadać wysyłkę tam, dokąd leczę.

— Czyli?

— Podejmę decyzję w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Prawdopodobnie krócej. Ogłoszę to. Niezależnie od pana opinii, nie jestem zaangażowana w żaden spisek.

— Tak pani twierdzi — mruknął, kończąc rozmowę.

— Czy słusznie się domyślam, iż zdenerwowało ich, że powiedziałaś prawdę? — zapytał Rafe.

— Coś w tym rodzaju — przyznała Ky. Poczula nagły, wilczy głód. — Lee, poprosisz kogoś, żeby przyniósł mi z kuchni coś do jedzenia?

— Pewnie, kapitanie.

— Która prawda ich wkurzyła? — drążył Rafe.

— Nie chcą dać wiary, że piracka flota jest prawdziwym zagrożeniem. Zaczęli od tego, że bardzo chcieli wierzyć, iż kapitan *Philomeny* wpadł w panikę i piratów wcale nie było tak wielu. Zwróciłam im uwagę, że zapisy skanerów całkiem wyraźnie ukazywały liczbę napastników. Wobec czego przerwali się na nadzieję, że piratów nasyci połknięcie jednego systemu. Albo, że ich sojusz rozpadnie się, ponieważ wszyscy wiedzą, że korsarze nie potrafią współpracować. Lecz tak naprawdę, to nie zagrożenie ze strony piratów tak ich rozwścieczyło, lecz pomysł, że cywilni kupcy ośmielają się działać razem, tworząc uzbrojoną flotę do walki z piratami.

— To nie sprawdzona teoria — odezwał się Hugh. Ky spojrzała na niego. — Nie mówię, że to się nie uda — zastrzegł. — Tylko, że rozumiem, czemu tak ich to zdenerwowało.

— Nie tylko zdenerwowało. Wywołało wrogość. Nie rozumiem, czemu nie są w stanie pojąć, iż siedzenie z założonymi rękoma jest jeszcze groźniejsze. Chyba, że są w zмовie z piratami...

— Prawdopodobnie nie — mruknął Rafe. — Bowiem w przeciwnym razie piraci już by tutaj byli, a my zginęlibyśmy. Przypuszczam, że są raczej zaniepokojeni i nie wiedzą, co robić.

— Jak więc mamy ich przekonać?

Rafe wzruszył ramionami.

— Nie możemy. Piraci zrobią to za nas.

— Wtedy będzie za późno — zauważyła Ky.

— Może tak. A może nie. W każdym razie, tutaj zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Przynajmniej część kapitanów zaczęła rozważać taką możliwość. Jeśli postąpi tak wystarczająco wielu, opinia lokalnych rządów przestanie mieć znaczenie. Oczywiście, zapewne tak właśnie myśleli piraci. To kopiowanie ich strategii.

— Przez co zostajemy w tyle, prawda?

— Nie bardzo. Ich jedyną przewagą jest czas reakcji; jest ich mniej...

— Tak uważamy. — Ky niechętnie zastosowała przeciwko Rafe'owi jego własny argument.

— Niemal na pewno. Byłbym skłonny założyć się, że co najmniej połowa ich floty — a zapewne niemal cała — poleciała na Bissonet. Są setki statków kupieckich, kilka tuzinów kaprów, o których wiemy, a pozostają jeszcze najemnicy.

— Którzy byliby bardzo kosztowni — zauważył Rafe. — Kogo stać na ich usługi?

— To właśnie próby prowadzenia wojny tanio doprowadziły nas do tego bałaganu — stwierdziła Ky. — Koszty są powodem, dla którego nie mamy marynarki międzygwiazdnej, będącej w stanie kontrolować, jeżeli nie całkowicie wyeliminować piractwo. Skoro jednak nasze rządy nie widzą tego w ten sposób, będziemy musieli je przekonać. — Przeciągnęła się. — Najpierw jednak musimy wybrać port przeznaczenia. Chcę wracać na Slotter Key i sprawdzić, co się tam dzieje.

— Nie wydaje mi się, aby było to mądre posunięcie — oznajmili jednocześnie Rafe i Hugh, a Martin im przytaknął. Popatrzyli po sobie, a potem na Ky.

— Muszę dowiedzieć się, czemu dostałam ten list kaperski — wyjaśniła Ky. — I dlaczego rząd odstrzelił naszą rodzinę. Kto został przekupiony?

— Zawiść? — podsunął Rafe.

— Nie sądzę — odparła Ky. — Owszem, byliśmy bogaci i potężni, lecz nie stanowiliśmy zagrożenia dla rządu.

— Teraz nim jesteście — mruknął Rafe. — Poważnie. Odwrócili się do was plecami. Wasza rodzina otarła się o kompletną zagładę. Teraz wracasz, a oni zobaczą w twoich oczach zemstę.

— Nie... — Ky urwała. — Przypuszczam... Faktycznie chcę zemścić się za to, co zrobili. O ile zrobili to oni. Przede wszystkim jednak chcę odpowiedzi. Muszę wiedzieć, dlaczego.

— Z całym należnym szacunkiem, pani kapitan — zaczął Martin. Ky skinęła głową. — Najpierw proszę wygrać wojnę, a potem zadawać pytania. Jeżeli pani wróci i aresztują panią — albo anulują list kaperski — kto podejmie walkę z piratami?

Rafe przytaknął. Ky wpatrywała się dłuższą chwilę w stół.

— Naprawdę myślicie, że potrafię...

— Według mnie nikt inny nie mógłby tego zrobić — oznajmił Rafe. — Gdyby ISC miało takie możliwości, ansible dawno już zaczęłyby z powrotem funkcjonować. A my — oni — zawsze ignorowali wszystko, prócz własności ISC. Pewnie, że częściowo po to, by zdobyć polityczne poparcie dla utrzymywania monopolu, ale trzymało to nasze koszty w ryzach. Nie tylko dostrzegłaś, czego nam potrzeba — co widziało mnóstwo ludzi — lecz także podjęłaś konkretne kroki, by to zainicjować.

— Na razie bez większych efektów — zauważyła.

— Wystarczająco efektywnie, by wyrzuciono nas z systemu — powiedział Rafe. — To dopiero początek. Trzymaj się z daleka od Slotter Key, dopóki nie będziesz mogła powrócić tam z liczącą się siłą.

— Wobec tego, dokąd? — zapytała. Włożyła do czytnika kostkę z Almanachem Kupców i wywołała go na ekran. — Dokąd udadzą się piraci i dokąd powinniśmy polecieć my? — Wszyscy milczeli, więc po kilku chwilach sama sobie odpowiedziała: — Gdyby zdołali przejąć kluczowe systemy, opanowałyby siedemdziesiąt procent handlu... Założę się więc, że nie przeskoczą więcej niż jeden układ... Może zwyczajnie zaatakują sąsiedni. Zobaczmy... Spis punktów skoków... — Na wyświetlaczu pojawiła się grafika ukazująca płataninę oznakowanych szlaków. — Nie mamy środków, by strzec wszystkich kluczowych systemów, lecz oni również nie mają możliwości zaatakować ich wszystkich. Gdybyśmy wiedzieli, dokąd

polecą... — Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Spojrzała na Rafe'a. — Rafe, czy za pomocą naszego ansibla możemy wyśledzić inne ansible pokładowe? Czy możemy określić, gdzie się znajdują w momencie nawiązania kontaktu?

Wydął wargi.

— Moglibyśmy... Ale w ten sposób ujawnimy im, gdzie jesteśmy. Poza tym, potrzebowalibyśmy sprzętu.

— Och. Czyli tak tego nie zrobimy.

— Moglibyśmy zrobić, pod warunkiem, że uda nam się znaleźć sposób na zafałszowanie informacji zwrotnej. Chociaż, rzecz jasna, oni również mogli na to wpaść. Do tej pory musieli już dowiedzieć się o śmierci Osmana i przejęciu okrętu przez ciebie. Wiedzieli, że miał ansibl pokładowy. Mogą wiedzieć o innych.

— Czyli nie jest to dobry pomysł — podsumowała Ky.

— Chyba, że wymyślę, jak zabezpieczyć naszą stronę. Pomyślę o tym.

— Wracając do kwestii podstawowych — rzuciła Ky, wpatrując się w linie. — Co teraz zrobi nieprzyjaciel, gdzie i co możemy zrobić my, żeby pokrzyżować mu plany?

— Jeżeli dysponuje wystarczającymi środkami, żeby przejąć więcej niż jeden system na raz, to myślę, że zajmie się najpierw wielkimi skrzyżowaniami szlaków. Cascadar. Konfederacja Moskiewska. Obuch. Allray. Świat Parry'ego. Pierwsza liga — w każdym zbiega się po kilka szlaków.

— Okażmy trochę ekstrawagancji i przyjmijmy, że nieprzyjaciel ma setkę okrętów — odezwał się Hugh. — Więcej, niż uważamy, wolę go jednak raczej przecenić, niż nie docenić. Dwadzieścia okrętów na system... to daje pięć układów. Musi zatrzymać kilka w Bissonecie. Mógłby zaatakować cztery...

— Co z siedzibą główną ISC? — zapytała Ky. — Nexus Dwa, zgadza się?

— Nie zrobiliby... och. — Rafe patrzył przez chwilę przed siebie pustym wzrokiem. — Przypuszczam, że mogliby spróbować. Nexus Dwa jest naszym węzłem handlowym i mamy — mają — bardzo dobry system obrony układowej.

— Bissonet również — przypomniała Ky. — A nagroda byłaby znacznie wyższa, gdyby mogli zdobyć kontrolę nad ansiblami u źródła. Zademonstrowali już kontrolę negatywną — potrafią go wyłączyć — gdyby jednak potrafili przywrócić system do życia, to znaleźliby się tacy, którzy będą uważać, iż nieważne, kto nim steruje, byleby system działał. Ostatnie miesiące mocno nadszarpnęły reputacją ISC.

Rafe wolno pokiwał głową.

— W takim razie muszę się zgodzić, że interesy ISC są zbieżne z twoimi, kapitanie, a moje zobowiązania wobec ISC nie wywołają raczej konfliktu. Nie sądzę jednak, abyśmy powinni lecieć na Nexusa Dwa, zwłaszcza ze skrzykniętą bandą kaprów. Obrona ISC najpierw strzela, a potem zadaje pytania.

— Dokąd więc powinniśmy się udać, żeby nawiązać łączność z ISC bez narażania się na rozwalenie na kawałki?

— Jestem pewny, że naprawili swoje ansible, o ile w ogóle zostały wcześniej uszkodzone — powiedział Rafe. — Najbliższym węzłem jest Maricana. — Pokazał na ekranie. — Cztery skoki stąd. System leży w ślepych zaułku, a jedyne drogi w tamtą

stronę prowadzą przez Konfederację Moskiewską, dokąd powinniśmy się udać, oraz przez Nexus.

— Jak wspomniałeś, Konfederacja Moskiewska jest prawdopodobnym celem napaści piratów. Jeżeli tam polecą, to... odetną Nexusa.

— Nie, z punktów skoków Nexusa — są dwa, choć drugi leży dość daleko — wytyczono pięć czy sześć szlaków.

Ky ponownie przyjrzała się mapie.

— Polecimy na Moskwę — postanowiła. — Nie jestem taka pewna tej Maricany. Może ansible Moskwy będą działać. Ogłoś port przeznaczenia, Lee. Jest wystarczająco daleko, by uszczęśliwić tych idiotów.

W ciągu następnych czterech godzin zgłosiło się dwóch kapitanów z przesyłkami do Konfederacji Moskiewskiej. Ky przyjęła oba ładunki pod warunkiem zrzeczenia się przez przewoźnika ubezpieczenia. Zgodnie z przewidywaniem, policja nalegała na zbadanie przesyłek.

— Już mam uzbrojenie na pokładzie — powiedziała Ky. — Czym się martwicie? — Kazała jednak załozie otworzyć kontenery. Sama chciała upewnić się, co jest w środku. Jeden był pełen protez kończyn w oddzielnych, zapieczętowanych torbach z płynem odżywczym. Odbiorcą było Centrum Rehabilitacyjne Zachodniej Cascadii. W drugim znajdowały się komponenty bioelektroniczne dla tego samego nabywcy. — Nie miałam pojęcia, że wasza wiedza stoi na tak wysokim poziomie — zagadnęła spedytora.

— Nie stoi — zaprzeczył. — Ta przesyłka czeka tutaj od siedemdziesięciu dni. Statek, który miał ją zabrać, nigdy nie przyleciał. Jest pani naszą pierwszą okazją.

Mieli sześć godzin do odlotu, kiedy na ekranie skanera pojawił się *Gary Tobai*. Choć bardzo niepokoiła się o Stellę i statek, przybyli w wyjątkowo nieodpowiednim momencie. Musiała porozmawiać ze Stellą. Przeklinała siebie, że nie kazała zainstalować ansibla na mniejszym statku. Jak Stella poradzi sobie z podejrzeniami, które ona sama wzbudzała?

Połączył się z nią zarządca stacji.

— Czy to pani współpracownik?

— To moja *kuzynka* — sprostowała. — Jak pan widzi, leci nieuzbrojonym statkiem kupieckim.

— Niemniej, jest powiązana z panią. Nie wolno jej podjąć pani zabiegów.

— Jestem pewna, że tego nie uczyni — zapewniła Ky. — Jakże by mogła? *Gary Tobai* nie ma broni.

Musiała odcumować, zanim przyleciała Stella. Była pewna, że nie uszczęśliwi tym kuzynki. Dwa dni później znalazła się na tyle blisko, by móc nawiązać z nią bezpieczną łączność krótkodystansową. Na ekranie pojawiła się twarz obcego mężczyzny, który jednak skinął głową i szybko sprowadził Stellę.

— Znowu odlatujesz — zaczęła, nim Ky zdążyła się odezwać. Była bardzo opanowana, co u młodszej Stelli mogło oznaczać zarówno spokój, jak i złość.

— Mamy niebezpieczną sytuację — powiedziała Ky. — Stello, masz zasoby do wykonania następnego skoku?

— Obawiam się, że nie — odparła Stella w niezwykle zwięzły, jak na nią, sposób. Ky skrzywiła się w duchu. Nie potrzebowała teraz przeprawy ze wściekłą Stellą. — Mam nową załogę, co w pewnym sensie ogranicza mój zasięg. Dlaczego?

— Ten system nie jest do końca przyjazny. Byłoby dobrze, gdybyś mogła załadować na pokład wszystko, czego potrzebujesz i odleciała. Lecę do Konfederacji Moskiewskiej. Zdobyłam nowe informacje o interesujących nas ludziach. W tym układzie może być niebezpiecznie, więc zbliżaj się ostrożnie.

— Wygląda na to, że w każdym systemie, do którego zawitałaś, może być niebezpiecznie. Rosvirein nie był wymarzonym miejscem na wakacje.

— Przepraszam. Chciałam poczekać na ciebie, ale nalegali, żebym odleciała...

— Widocznie wiesz, jak zostać osobą niepożądaną — skwitowała Stella. — Kiedy tam dolecieliśmy, część statków nadal cumowała; *twierdzili*, że odlot był dobrowolny.

Stelli nie było z nią na Sabine; nie rozumiała przymusu powrotu w kosmos celem uzyskania manewrowości.

— Przepraszam — powtórzyła Ky.

— Nieźle zarobiliśmy — pochwaliła się Stella. — Sprzedałam ponad połowę sedesów. — Sedesy? O czym ona mówiła? — Nie sądzę, abyś miała czas na handel...

— Owszem, miałam — odparła dotknięta Ky. — Nie widziałaś stanu rachunków na Rosvirein? Zostawiłam ci je.

— I pewnie źródłem twych zarobków była ta okropna kobieta, która zjawiała się u mnie z pytaniem, czy nie mam na sprzedaż jakichś danych? — Stella zrobiła minę kogoś, kto właśnie zobaczył kota wymiotującego mu do butów.

— Okropna kobieta? — Przez chwilę Ky nie miała pojęcia, o czym Stella mogła mówić. Potem przypomniała sobie kontakt Rafe'a. — Och... Amy? Czemu do ciebie przyszła?

— Ponieważ, jak powiedziała, mogą nas łączyć pewne cechy rodzinne. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, co jej sprzedawałaś, ale... Mówiła, że ktoś zniknął wkrótce po twoim odlocie. Była pewna, że właśnie dlatego uciekłaś.

— Nie uciekłam, Stello! Odleciałam, ponieważ nie chciałam być uwięziona na stacji na wypadek, gdybyś wynurzyła się w samym środku awantury i potrzebowała mnie...

— I dlatego, gdybym cię potrzebowała, przebywałaś tutaj, na Sallyonie, zamiast tam, gdzie byłam ja. Zupełnie jak teraz, kiedy mogłabym potrzebować cię na Sallyonie, a ty właśnie odlatywałaś... Dokąd, tym razem?

— Do Konfederacji Moskiewskiej. — Ky wzięła głęboki wdech. — I zanim powiesz coś więcej, musisz dowiedzieć się, co się stało. — Stella otworzyła usta, lecz Ky uniosła dłoń. — Nie, wysłuchaj mnie. Piraci zdobyli Bissonet.

— Co?!

— Uciekł stamtąd jeden z szybkich statków pasażerskich Linii Cesarskich i przywiózł tę wiadomość. Uważamy, że ich następnym celem mogą być co bardziej

ruchliwe szlaki handlowe.

— Ile okrętów pirackich?

Może Stella zaczęła z powrotem myśleć.

— Pasażer uznał, że na Bissonecie było czternaście jednostek, lecz na podstawie numerów seryjnych Rafe wywnioskował, że sprzedano ponad sześćdziesiąt ansibli pokładowych, a ja nie jestem pewna dokładności odczytów skanerów tamtego statku.

— O Boże — wykrztusiła Stella. — Cieszę się, że jest nas wystarczająco mało, aby pozostać trudnym celem.

Ky nie wiedziała, co odpowiedzieć. Po chwili, Stella dodała:

— Mam dla ciebie wiadomość od Quincy.

— Jaką?

— Kazała ci przekazać, że jako kapitan jestem znacznie spokojniejsza od ciebie, podobnie jak zatrudniony przeze mnie kapitan, w związku z czym może nie odejdzie jeszcze na emeryturę.

— Jestem tego pewna — mruknęła Ky.

— Co u Rafe'a? — zapytała Stella głosem tak bezbarwnym, że niemal krzyżącym napięciem.

— Wszystko w porządku — uspokoiła ją Ky. — Wciąż kombinuje, rzecz jasna.

— Czy ty i on... uch... ?

— Nie — odparła stanowczo Ky. — Czemu nie opowiesz mi, co słyhać u ciebie?

Stella złożyła jej zwięzły i konkretny raport, zdaniem Ky, przygotowany wcześniej. Pieniądze otrzymane od kapitanów z konwoju, zapłata dla Mackensee za eskortę, sprzedane towary, nabyte cargo, zatrudnienie nowej załogi.

— Brzmi dobrze, Stello. Potrafisz powiedzieć, jakie było nastawienie dowódców Mackensee?

— Masz na myśli: jak bardzo wściekli byli na ciebie? Sądzę, że była to złość pół na pół z podziwem. Dla mnie byli mili. Na przykład, pomogli mi w werbunku nowej załogi.

— To dobrze. Posłuchaj, Stello, wolałabym, żebyś nie leciała do systemów wysokiego ryzyka. Albo leć za mną na Moskwę, albo wracaj do Slotter-Key.

— Nie — oznajmiła Stella. — Nie wrócę, dopóki nie będziemy miały czegoś więcej. Ciotka Grace dobrałaby mi się do skóry. Polecę z tobą do Konfederacji Moskiewskiej, ale muszę uzupełnić tutaj zapasy.

— W porządku. Bądź spokojna i potulna. Każdą związaną ze mną osobę uważają tutaj za wichrzyciela.

— Z tobą? Coś tu narozrabiała?

— Nic. Próbowалам jedynie odwołać się do zdrowego rozsądku. Nie pasowało. Na twoim miejscu przyleciałabym i zaraz się wynosiła. Nie rozmawiaj zbyt dużo z innymi kapitanami.

— Dobrze. Do zobaczenia. — Stella rozłączyła się. Ky nie potrafiła powiedzieć, czy Stella wciąż była na nią zła, ani czy uspokoiła ją ta wymiana informacji.

Skoki pośrednie i tranzyt pomiędzy Sallyonem a Konfederacją Moskiewską przebiegły bez zakłóceń. W żadnym systemie nie funkcjonowały ansible, a Ky nie zatrzymywała się, żeby Rafe mógł odczynić na nich swoje magiczne obrzędy. W bezludnym systemie napotkali statek ISC — nie zwracał uwagi na ich wynurzenie się i ponowne zanurzenie.

— Przynajmniej się starają — zauważył Rafe.

— Owszem, ale usługa została zakłócona dawno temu. Ludzie są gotowi na alternatywy, które kiedyś nikomu nie przyszłyby do głowy.

— Cóż, a nie powinni. My — ISC — ma ogromną sieć i dostarczał solidną usługę przez bardzo długi czas. Powielenie tego wymagałoby olbrzymich nakładów środków. — Jak na buntownika, Rafe był strasznie konwencjonalny, pomyślała Ky, obserwując jego twarz. Zarumienił się. — Chyba zdradzam swoje korzenie.

— Owszem, troszkę. Rzecz w tym... Kto jest waszym potencjalnym rywalem? Wspominałeś o rozłamie w waszym dziale badawczym, o ludziach, którzy chcieli rozpowszechnić nowe technologie. Czy byliby zdolni do stworzenia konkurencyjnego systemu?

— Nie wiem. Może. Nie w całym sektorze, ale w paru układach... — Westchnął. — Po prostu nie podoba mi się to.

— Jak nikomu o zdrowych zmysłach — powiedziała Ky, rozmyślając o swojej rodzinie, zabijanej i rozproszonej po całym kosmosie.

Przejście do Konfederacji Moskiewskiej przebiegło gładko, a konsole łączności natychmiast ożyły.

— Działający ansibl — rzucił Rafe. — Tutejsze władze żądają identyfikacji i chcą z tobą rozmawiać.

— Ciekawe — mruknęła Ky. — W takim razie, połącz mnie. — Kiedy nawiązał łączność, wprowadziła dane okrętu i własne nazwisko, po czym czekała na odpowiedź. Nadeszła tak szybko, że domyśliła się, iż tutaj również musieli mieć stację w głębokiej przestrzeni kosmicznej, podobnie jak w Sallyonie. Na ekranie pojawiła się twarz łysiejącego, brodatego mężczyzny w zielono-niebieskim mundurze.

— Według naszych danych okręt o nazwie *Piękna Kaleen* dowodzony jest przez Osmana Vattę, a nie Kylarę Vattę. Wyjaśnić. — Żadnego *proszę*, zauważyła Ky.

— Dziesiątki lat temu Osman Vatta ukradł ten okręt Transportowi Vattów — powiedziała. Zauważyła, że za każdym razem coraz łatwiej opowiada się jej całą historię, którą zakończyła: — Więc przejęłam okręt jako przyz zgodnie z przepisami UKH oraz jako reprezentant prawowitych właścicieli.

— Tylko kaprzy mogą brać przyzy — nadeszła odpowiedź. — Statki Vattów nigdy nie były jednostkami kaperskimi.

— Posiadam list kaperski Slotter Key — oznajmiła Ky, przesyłając jego skan. — Oczywiście, wasza kontrola imigracyjna może zbadać oryginał.

— Uczyni to — oświadczył brodac. — Przewozi pani jakiś ładunek, czy jedynie przyleciała tutaj w poszukiwaniu łupu?

— Mam przesyłki przeznaczone dla tutejszego centrum rehabilitacyjnego — odrzekła. — Z Goskone przez Sallyon, skąd do tej pory nie odlatywały żadne statki w tym kierunku.

— Aha... — Opuścił na moment wzrok, po czym pokiwał głową. — Tak. Mamy opóźnioną przesyłkę protez i bioelektroniki. — Głos ocieplił mu się lekko. — Może pani lecieć dalej obecnym kursem. Kontrola Lotów pokieruje was przy podchodzeniu do bazy. Na ich polecenie zabezpieczycie broń. Wyraża pani zgodę?

— Tak — odparła Ky. — Zauważyłam, że wasz ansibl działa. Macie listę sprawnych przekaźników?

— Owszem, ale może nie być aktualna. Slotter Key ciągle milczy, jeżeli chciała pani złożyć meldunek kwaterze głównej.

— Słyszeliście o Bissonecie... — zaczęła Ky.

— Tak. Jesteśmy czujni — oznajmił. — Jeśli te ścierwa spróbują czegoś z nami, gorzko tego pożałują. Skąd pani wie?

— Statek pasażerski Linii Cesarskich uciekł przed masakrą i przyleciał z wrzaskiem do mojego poprzedniego portu, Sallyonu.

— Uciekł, czy został przysłany? — zapytał.

— Przepraszam? — O tym Ky nie pomyślała.

— Czyż nieco wcześniej statek Linii Cesarskich nie znajdował się na Sabine, kiedy doszło tam do kłopotów?

— Tak, ale...

— I — zaraz, zaraz — czy pani też tam aby nie była? Wiem, że był tam jakiś Vatta, a imię zaczynało się na K...

— To byłam ja — przyznała. — Zgadza się. A kapitan i para oficerów liniowca faktycznie było w zмовie z piratami. Ale nie wierzę, że całe Linie Cesarskie...

— Szybkie statki, dobra reputacja. Niemal tak dobra, jak Transportu Vattów, zanim to wszystko się zaczęło. Nie twierdzę, że zarząd firmy ma z tym coś wspólnego, ale para przekupionych kapitanów...

— Ale dlaczego?

— Proszę rozwiązać tę zagadkę samemu, kapitanie Vatta. Ja mam swoją robotę. — Co rzekłszy, rozłączył się.

Ky rozejrzała się po mostku.

— Cóż, ktoś jeszcze uważa to za paranoję, czy może jednak facet miał rację?

Martin wydał wargi.

— Pracując w ochronie w Siłach Kosmicznych nauczyłem się, że jeśli tylko ktoś znajdował się poza wszelkimi podejrzeniami, to była to najwyższa pora, żeby zacząć go podejrzewać. Tacy właśnie potrafią wyrządzić najwięcej szkód. Zawsze mamy na oku nicponi i staramy się trzymać ich krótko na smyczy. Jeżeli z piratami współpracuje wystarczająco wielu oficerów Linii Cesarskich, to zyskaliby szybkich i bezpiecznych kurierów.

— Czyli... możliwe, że Bissonet wcale nie został zaatakowany i zdobyty?

— Albo został, a chodziło o jak najszerze rozprzestrzenienie przerażających wieści. Albo było tam więcej okrętów... te, istnienia których jesteśmy pewni. A może

wszystko odbyło się tak, jak zeznawał tamten człowiek i naprawdę mieliśmy do czynienia ze szczęśliwą ucieczką.

Ky potrząsnęła głową.

— Potrzebuję wiarygodnych danych. Słyszałam o mgle wojny, ale to jest naprawdę śmieszne. Jak dawno zaczęłam szukać odpowiedzi, a jedyne, co mam, to martwy Osman i nazwisko potencjalnego herszta piratów. To za mało!

— Za pozwoleniem pani kapitan — zaczął Martin — mamy trochę więcej. Jeśli wyrazi pani zgodę, pójdę zająć się czymś, co już dawno powinienem był zrobić, to jest zestawieniem dla pani kilku informacji.

— Zrób to — zgodziła się Ky — ja zaś zastanowię się, dokąd mamy polecieć dalej i co zrobić, kiedy na ogonie siądzie mi dziesięć tysięcy piratów.

Implant ojca podał jej wszystkie informacje o Konfederacji Moskiewskiej, jakimi dysponował Transport Vattów. Trzy zamieszkane światy, z czego jednym był drugi co do wielkości księżyc gazowego olbrzyma. Kontrola Lotów skierowała ich na Cascadię, najgęściej zaludniony świat, gdzie znajdowało się centrum rehabilitacyjne. Oznaczało to długi lot przez system, gdyż Cascadia znajdowała się po drugiej stronie słońca.

Zanim tam dolecieli, Ky poznała wszystkich oficerów Kontroli Lotów na trasie na Cascadię. Wszyscy wykazywali rodzinne podobieństwo, choć nie wyglądali na klony. Wysocy grubokościści, muskularni, jasnoskórzy, o oczach brązowych przez piwne po błękitne i włosach od brązowych przez rude po blond, atrakcyjni na sposób ludzi otwartych przestrzeni, choć część z nich ewidentnie spędziła całe życie na stacji. Implant ojca nie zawierał żadnych odpowiedzi.

— Zaczynij od ograniczonej puli genów — doradził Rafe. — Zdziwiająca, że nie są kretynami.

— Nic dziwnego, przy przyzwoitym poziomie medycyny — odparowała Ky. — Wiesz, że wcale nie jest tak trudno wyselekcjonować konkretne charakterystyki. Zastanawia mnie tylko, że wybrali akurat tę. Przy spektrum ich słońca powinni raczej postawić na większą zawartość melaniny w skórze.

— Nie są brzydzy — uznał Rafe.

— Nie... jedynie zastanawiający — powiedziała Ky. — Może praca w Kontroli Lotów jest dziedziczna. Słyszałam o dziwniejszych rzeczach.

Ekran rozjaśnił się.

— Cześć, kapitanie — powitała ją oficer dyżurna, która prosiła Ky, żeby mówiła jej Terri. — Dzięki, jesteście dokładnie na kursie. Cumujecie za sześć godzin. Potwierdźcie zabezpieczenie broni, proszę.

— Broń zabezpieczona — zameldowała Ky. — Oto podgląd. — Nagrała zapieczętowne stojaki z bronią.

— Bardzo dobrze — pochwaliła Terri. — Na mój znak, dajcie osiem sekund na wstecznym... Trzy, dwa, jeden, teraz.

Lee wypełnił polecenie, a Terri pokiwała głową, widząc odczyty.

— Znakomicie — oceniła. Ky zaczęła czuć się jak dziecko, które nauczyciel stara się przeprowadzić przez jakieś dziecięce lęki. — Poproszę jeszcze o trzy hamowania

— za jakieś czterdzieści pięć minut, a potem za kilka godzin, ostatnie zaś na podejściu do stacji. Na wypadek, gdybyście zastanawiali się nad poprzednimi: chodzi o przepuszczenie innych jednostek.

Ky rozważała powiedzenie jej, że doskonale o tym wiedziała; na skanerze bliskiego zasięgu widziała inne statki. Postanowiła jednak, że najlepiej będzie pozwolić Kontroli Lotów zająć się swoimi zadaniami.

Sześć godzin zdawało się trwać dwanaście, lecz planeta na skanerze ciągle rosła, a opis wskazywał na zwyczajny, zamieszkały przez ludzi świat z mnóstwem otwartych zbiorników wodnych i tlenowo-azotową atmosferą. Kontynenty były rozleglejsze niż na Slotter Key, oceany upstrzone mniejszą ilością wysepek, a czapy polarne zdecydowanie większe. W końcu zbliżyli się na tyle, by zobaczyć stację orbitalną. Ky zamruła. Choć wiele małych stacji miało niezwykłą geometrię, to te, przez które przechodził handel międzygwiazdny, z czysto komercyjnych przyczyn wyglądały standardowo: jak gigantyczne koła lub dyski, toczące się wolno w przestrzeni. Duże stacje zwyczajnie „nakładały” dyski na centralną oś.

— Ummm... Terri? — wyjąkała Ky.

Kobieta wybuchnęła śmiechem.

— Widziałaś? Wiesz, co to jest?

— Nie bardzo — przyznała Ky.

— To jest drzewo. Choinka ze Starej Ziemi: nasz symbol. Stary Mick, nasz założyciel, powiedział, że teraz, kiedy wszyscy mają generatory sztucznej grawitacji, nie ma powodów, dla których stacje powinny wyglądać jak koła. Twierdził, że wzór wziął ze świątecznej ozdoby.

Ky przyjrzała się ponownie. Dwa trójkąty równoramienne przecinały się pod kątem prostym; zakładała, że to właśnie było drzewo. Ich podstawy skierowane były ku planecie, a czubki mierzyły w kosmos. Z podstawy trójkątów wystawał cylinder, którego oś przecinała jej trajektorię lotu, stopniowo przesłaniając widok. Zbliżywszy się spostrzegła, że poszarpane „gałęzie” to doki; niezwykły kształt zapewniał miejsca do cumowania dla setki statków, które mogły dotrzeć do nich bez zakłócania ruchu innych jednostek.

— Całkiem zgrabne, co? — zapytała Terri, po czym, nie czekając na odpowiedź, dodała: — Wasz holownik zbliża się od sterburty. Podziel ekran, to cię przedstawię.

Ky uczyniła tak i ujrzała uderzająco przystojnego kapitana holownika. Miał brązową skórę, czarne włosy i zielone oczy. To tyle, jeśli chodzi o ograniczoną pulę genetyczną.

— Cześć, kapitanie Vatta — przemówił. — Jestem holomistrz Stanish Madera. Przydzielono wam Północny-trzy-cztery. Krótka lekcja orientacji w topografii Drzewa. Gałęzie wyrastają w czterech kierunkach. Używamy nazw: północ, południe, wschód i zachód.

— Jestem do tego przyzwyczajona — oznajmiła Ky.

— Świetnie. Tak więc będziecie na Północy, na trzeciej gałęzi od dołu, w czwartym miejscu cumowniczym, przyznanym wam na podstawie zgłoszonej masy,

by zrównoważyć Drzewo, jeśli więc masz jakiegokolwiek wątpliwości, czy podana masa jest prawidłowa, lepiej zgłoś to natychmiast.

— O ile wiem, jest prawidłowa — zapewniła go Ky.

— Wyśmienicie. Terri, jesteśmy gotowi na wyłączenie napędu.

— Kapitanie, proszę wyłączyć napęd.

— Potwierdzam wyłączenie napędu — powiedziała Ky.

— Łapię za pięć... — oznajmił Madera. — ... cztery, trzy, dwa, jeden, kontakt...

— Potwierdzam kontakt — zameldowała Ky, gdy tylko zgłosiły go sensory powłoki okrętu.

— Nie powinniście nic poczuć — zapowiedział Madera. Ky przyglądała się ogromniejszej stacji, dopóki nie zawiśli w bezruchu metr od niej.

— Cumy stacji rozwinięte — powiedział Madera.

— Kontakt — przemówił inny głos. — Stacja Cascadia wita kapitana Vattę i *Piękną Kaleen*. Proszę nic nie robić, dopóki nie potwierdzimy zakończenia cumowania. — Po dłuższej przerwie: — Kapitanie Vatta, cumowanie zakończone. Możecie wyciągnąć przewody podtrzymania życia i energetyczne. Następne połączenie odbędzie się poprzez zabezpieczoną linię.

— Zrozumiałam — potwierdziła Ky. Ekran zamigotał i zgasł, by po chwili rozbłysnąć, gdy obsługa doku podłączyła „pępowiny” *Pięknej Kaleen* do systemów stacji.

— Witam ponownie — przemówił głos, tym razem z ust żeńskiej wersji kapitana holownika. — Proszę o wpuszczenie na pokład oficerów imigracyjnych celem inspekcji uzbrojenia i potwierdzenia tożsamości załogi.

Rozdział 11

Ky była ciekawa, czy celnicy również okażą się podobni do siebie, czy może będą bardziej zróżnicowani. Wszyscy czekający w doku oficerowie byli rudzi, choć początkowo nie zauważyła tego, gdyż najwyższy z nich miał jakby srebrzyste rogi, wyrastające z czoła i zachodzące za uszy. Zamrugła i dopiero teraz zrozumiała, czym były — wzmocnionymi wszczepami, prawdopodobnie ruchomymi sensorami.

— Kapitan Vatta? Jestem starszy inspektor Vaughn.

— Tak, jestem kapitan Vatta.

— Możemy wejść na pokład?

— Tak. Proszę za mną. — Powiodła ich ku przedziałom z uzbrojeniem. Po minach załogi sądząc, większość z nich również nie widziała takich implantów. Tak jak oczekiwała, „rogi” wysokiego mężczyzny rozwinęły się, ujawniając zamontowane na końcach sensory, które przesunęły się nad stojakami z pociskami oraz widocznymi częściami zamków wyrzutni.

— Bardzo dobrze, kapitanie Vatta — oznajmił. — Założymy plomby, które muszą pozostać nienaruszone przez cały okres pobytu tutaj. Sprawdzimy je tuż przed waszym odlotem. Jak rozumiem, ma pani tutaj jakąś dostawę?

— Zgadza się — potwierdziła Ky. — Tędy. — Zaprowadziła go do kontenerów dla centrum rehabilitacyjnego. Otworzył je i zapuścił do środka przypominające macki wszczepy.

— Wszystko w porządku — oświadczył, chowając je. — Teraz chciałbym zobaczyć dokumenty identyfikacyjne członków załogi, którzy zamierzają opuścić okręt. Nie interesują nas pozostający na pokładzie. Och, a jeżeli ma pani jakiś żywy inwentarz...

— Nie mam inwentarza, tylko psa — odparła. — Z pewnością nie wypuścimy go z okrętu.

— Ma pani psa? — Brwi powędrowały mu prawie do rogów. — Jakiej rasy?

— Powiedziano nam, że to terier. Osobiście nie znam się za bardzo na psach.

— Psy są tutaj bardzo popularne. Gdyby był na sprzedaż...

— Nie jest — odrzekła Ky. — To własność mojego młodszego krewnego.

— Wielka szkoda. Byłby wart co najmniej tyle, co to... — wskazał ręką na kontener z protezami. — Mamy bardzo ograniczony materiał genetyczny psów, a teriery są szczególnie popularne i trudno dostępne. Pani krewny mógłby zbić na nim majątek.

Ky od dziecka wiedziała o dziwactwach handlu — coś pozbawionego wartości w jednym miejscu mogło być wysoko cenione gdzie indziej. Niemniej, nigdy nie przyszło jej do głowy, że z tego żalostnego szczeniaka Hultaja mógłby być większy pożytek niż zabawianie Toby'ego.

— Powiem mu — obiecała. — Choć jestem pewna, że będzie chciał zachować psa.

— Może próbka DNA... To również osiągnęłoby wysoką cenę — podsunął Vaughn. — A jeszcze wyższą gdyby był samcem i mógł dostarczyć próbkę spermy.

Ky nie chciała tego dłużej roztrząsać.

— Powiem mu — powtórzyła. — A wracając do załogi: z wyjątkiem trzech osób wszyscy chcą zejść na ląd. Na waszej stacji jest chyba wystarczająco dużo atrakcji.

— Faktycznie — potwierdził Vaughn. — Znakomite sklepy, lokalne rękodzieło, pyszne jedzenie...

— W takim razie proszę powiedzieć, czego potrzebuje pan do identyfikacji. Mogę zgromadzić załogę.

— Och, wystarczą mi zeskanowane dokumenty. Musi pani tylko potwierdzić, że każdy z nich przeczytał i zrozumiał tutejsze przepisy. Traktujemy je bardzo poważnie i rygorystycznie egzekwujemy. To jedyna metoda radzenia sobie z cudzoziemcami.

— Rozumiem. — Ky podniosła nieco głos: — Jameel, możesz przynieść dossier załogi?

— Tak jest, kapitanie — rozległa się odpowiedź z interkomu. Po chwili Jameel pojawił się ze stertą wydruków. Vaughn wziął je i szybko przeskanował jednym ze wszczepów. Ky z rozbawieniem zauważyła, jak na ten widok marynarz wytrzeszczył oczy. Ona sama zaczęła traktować to normalnie.

— Podajcie przepisy — polecił Vaughn towarzyszom, cały czas skanując akta. Sięgnęli do toreb naramiennych i każdy podał Ky pakiecik folderów w jasnozielono-srebrnych okładkach. — Posiadamy również infokostkę, ale to oszczędzi pani drukowania. Każdy cudzoziemiec, który wkracza na teren stacji, musi mieć ze sobą kopię przepisów. W razie ich złamania nie ma wymówki.

— Rozumiem — mruknęła Ky. Odchyliła kciukiem okładkę folderu na górze pakietu. Ujrzała spis treści z bardzo schludnie poukładanymi nagłówkami o nieco dziwnej treści. Zakupy. Sprzedaż. Konsumpcja. Wydalanie. Nocowanie. Rozmowy (nie związane z zakupami, sprzedażą, jedzeniem i wydalaniem). Pomoc. Cudzołóstwo. Obstrukcja. Szkody. Przekartkowała folder w poszukiwaniu *szkody* i przepisów za jej wyrządzenie, nie pociągających za sobą kary śmierci. — Sprawiają wrażenie bardzo... dokładnych... — powiedziała, przebiegając wzrokiem po przepisach dotyczących wyrządzania szkód, ponoszenia szkód i szacowania szkód.

— Nie bardziej, niż uznaliśmy to za potrzebne — oznajmił Vaughn. Schował wszczepy i wyrównał stos dokumentów. — Czy to są kopie, które mogę zabrać i zachować, czy oryginały?

— Kopie — odparła Ky. — Proszę je zabrać.

— Jest pani bardzo uprzejma, pani kapitan. Doceniamy uprzejmość. Zauważy to pani, zapoznając się z przepisami.

Zauważyła. Jeden z ustępów dotyczących wyrządzania szkody głosił, że osoba zamierzająca uszkodzić coś lub kogoś, winna uprzedzić o tym „cichym i kulturalnym głosem; przemawianie zbyt głośno i posługiwanie się wulgarnym językiem jest obraźliwe”.

— Naprawdę proszę poinformować krewnego o rynkowej wartości jego psa — powtórzył Vaughn. — Proszę także powiadomić urząd imigracyjny o gotowości potwierdzenia, iż cała załoga przeczytała i zrozumiała przepisy.

— Zrobię to — obiecała Ky. — Dziękuję. — Nie była pewna, za co mu dziękowała, jeśli jednak pragnął uprzejmości, to mu ją okaże.

— Cała przyjemność po mojej stronie, pani kapitan — odwzajemnił się Vaughn i poprowadził swoją grupę do luku i na zewnątrz.

Ky zamknęła wewnętrzny właz i poszła na mostek. Nie była pewna, jak ma to wszystko wytłumaczyć załodze.

— Sporo uwagi przykładają do uprzejmości, jak na społeczeństwo założone przez bandę prowincjonalnych renegatów — skomentował Rafe, dobrnąwszy do połowy folderu.

— I mają własną, specyficzną definicję uprzejmości — dorzucił Martin. — Dotarłeś już do cudzołóstwa?

— Nie — odparł Rafe. — Byłem już tutaj. — Ky spojrzała na niego z zaskoczeniem. — Zwróćcie uwagę na kary — poradził. — Zabijają ludzi za mnóstwo przewinień. Za to uprzejmie. „Kat zawsze zapewni skazanemu odpowiednią ilość czasu na usunięcie skutków zawstydzających reakcji, dzięki czemu skazańcy nie muszą obawiać się szyderstw ze strony publiczności, będących rezultatem niemożności zapanowania nad odruchami fizjologicznymi.

— Czysta groteska — podsumował Lee. — Dostarczanie świeżych gaci człowiekowi, którego za chwilę zabiją?

— Uważają to za minimum kurtuazji — wyjaśnił Rafe.

— W takim razie dziwne, że przeżyłeś wizytę tutaj — dociał mu Martin.

— Zawsze jestem uprzejmy — odrzekł Rafe. — To jedna z moich nielicznych zalet.

Martin i Lee jednocześnie chcieli coś powiedzieć, lecz Ky uciszyła ich spojrzaniem.

— „Cudzołóstwo jest legalne pomiędzy osobami wszystkich klas, cudzoziemcami i tubylcami pod warunkiem, że przekazano wcześniej rzetelne oświadczenie na temat wszelkich przebytych chorób i stanu oraz że strona inicjująca nie proponuje zapłaty, a płatność wymagana przez drugą stronę zostanie wniesiona z góry” — zacytował Martin. — Co to znaczy: mają tutaj prostytutki, czy nie?

— To znaczy, że jeśli twoja wybranka chce za to pieniędzy, to musisz jej zapłacić — objaśnił Rafe. — Bardzo podobny system panuje na Allray. Nie ma tam za to ani słowa o pisemnych oświadczeniach, odpowiedzialności rodzicielskiej, ani niedopuszczalnym języku używanym w trakcie samego aktu.

— Powiedziałabym, że bardzo to bezpośrednie — podsumowała Ky, z fascynacją zagłębiając się w lekturze.

Nim skończyła zapoznawać się z osobliwościami systemu prawnego Cascadii, dotyczącego gości tranzytowych, skontaktowali się z nią przedstawiciele Centrum Rehabilitacyjnego Zachodniej Cascadii w sprawie protez i bioelektroniki.

— Najistotniejsza jest data ważności; przesyłka jest opóźniona. Czy może pani potwierdzić, że data ważności nie została przekroczona? W takim przypadku należy się nam odszkodowanie...

— Nie jestem pierwszym przewoźnikiem — oświadczyła Ky. — Towar został zatrzymany ze względu na powszechne załamanie się handlu. Z pewnością o tym słyszeliście.

— Owszem, ale teraz to pani jest odpowiedzialna za przesyłkę...

— Przyleciałam tutaj w ciągu dwunastu godzin od zabrania przesyłki — powiedziała Ky. — Zwłoka nie nastąpiła z mojej winy.

— Ale data ważności...

— Nie została jeszcze przekroczona, o ile data na kontenerze jest prawidłowa. Jednakże, nastąpi to za pięć dni.

— Natychmiast kogoś przyślemy. Mamy prawo pierwszeństwa do powierzchni ładunkowej promów. Jak szybko może pani przeprowadzić rozładunek?

— Jak tylko otrzymam pieniądze — odparła Ky. — Ponieważ była to przesyłka poza harmonogramem, a oryginalny konsygnant pozostawał poza zasięgiem ansibli, zgodziłam się przyjąć tę przesyłkę jako płatną przy odbiorze. Biorąc pod uwagę jej aspekt humanitarny, opłata wyniesie jedynie siedemdziesiąt procent ceny przewozu cargo o takiej samej masie. — Podawała cenę.

— Skąd podjęła pani przesyłkę?

Ky ponownie podała nazwę portu.

— Chwileczkę. — Rozmówca pojawił się po chwili z powrotem na ekranie. — Podana cena mieści się w zwyczajowych ramach i jest całkiem zadowalająca. Dziękujemy, kapitanie Vatta. Na jakie konto mamy przelać należność?

— Dopiero co przyleciałam, otworzę konto statku w Crown&Spears na własne nazwisko. — Przeliterowała je.

— W takim razie uruchomimy przelew w ciągu godziny — obiecał rozmówca. — Nie za szybko?

— Nie, w porządku — odparła Ky. — Wasi przedstawiciele będą mogli odebrać przesyłkę, jak tylko otrzymam potwierdzenie wpływu płatności na konto. Kontenery to standardowe pojemniki o objętości jednego metra sześciennego każdy.

Następnie połączyła się z lokalnym przedstawicielstwem Crown&Spears.

— Zgadza się. Widzieliśmy, że nadlatuje statek Vattów — oznajmiła kobieta na ekranie. — Chce pani sprawdzić stan konta Transportu Vattów? Dysponuje pani numerami kont i hasłami?

— Tak, ale chciałabym otworzyć osobne konto do prowadzenia własnej działalności — oświadczyła Ky. — Na moje nazwisko: Kylary Vatta. Wkrótce powinien nadejść przelew z Centrum Rehabilitacyjnego Zachodniej Cascadii...

— Och, przywiozła pani protezy? — Nie czekając na odpowiedź, kobieta roztrajkotała się: — Wie pani, naprawdę ich potrzebujemy. Ale chyba pani nie wie. Kilka miesięcy temu mieliśmy poważny wypadek przemysłowy i czeka na nie mnóstwo ludzi. Mój brat stracił lewe ramię.

— Przykro mi.

— Nie pani wina — odrzekła kobieta. — Oczywiście, jeżeli potrzebuje pani konta do przyjęcia tego przelewu, będzie pani musiała przyjść do biura celem poddania się osobistym procedurom identyfikacyjnym.

— Jak dotrzeć do was najkrótszą drogą? — W książce telefonicznej stacji znalazła adres, ale nie mapkę.

— Proszę pobrać kierunkowskaz — odpowiedziała kobieta. — Dla przyjezdnych są bezpłatne. Zaraz po wejściu do korytarza natrafi pani na budkę. Proszę wpisać naszą nazwę, a kierunkowskaz podpowie pani najlepszą drogę.

— Dziękuję — powiedziała Ky, myśląc jednocześnie, że mapa byłaby dużo prostsza.

— Ludzie często się gubią — wyjaśniła kobieta. — Kierunkowskazy pozwalają uniknąć zamieszania.

W kiosku z kierunkowskazami znajdowała się klawiatura oraz urządzenie rozpoznające komendy głosowe, które przyjęło hasło „Crown&Spears” i wypluło zieloną przywieszkę w kształcie drzewka. Ky wyjęła je z podajnika.

— Proszę trzymać czubek kierunkowskazu w pozycji od siebie — rozległ się cieniutki głosik.

Ky obracała przywieszkę w dłoni tak, że czubek skierowany był do przodu.

— Proszę obrócić się o pięćdziesiąt osiem stopni w prawo.

Omam nie parsknęła śmiechem, ale obracała się z drzewkiem, dopóki nie poleciało jej:

— Proszę iść przed siebie.

Zanim dotarła do biura Crown&Spears, była serdecznie znużona głosem urządzenia. Nie było regulacji głośności, więc wszyscy dookoła słyszeli pedantyczne ostrzeżenia. „Proszę omijać kosze na śmieci... Proszę skrócić trzydzieści stopni w prawo... Teraz trzydzieści stopni w lewo...”. Kiedy zbliżyła się do wejścia do biura, drzewko oznajmiło:

— Jesteś na miejscu. Jesteś na miejscu. Jesteś na miejscu. — Po czym: — Zadanie wykonane. Celem reaktywacji, proszę włożyć urządzenie do podajnika w kiosku z kierunkowskazami. Jeżeli nie zostanie zwrócone w ciągu godziny, rozlegnie się sygnał alarmowy.

Ky weszła do Crown&Spears, gdzie powitał ją znajomy i uspokajający wystrój w srebrze, szarościach i błękitach.

— W czym mogę pani pomóc? — powitał ją elegancki młodzieniec w czarnym garniturze i białej koszuli.

— Przepraszam... Gdzie mogę odłożyć ten kierunkowskaz?

— Och, mamy własny kiosk. Jak większość biur tutaj. — Zabrał jej urządzenie i włożył do mniejszej wersji kiosku, ukrytego pomiędzy dwiema kolumnami. — Czy mogę pomóc w czymś jeszcze?

— Jestem kapitan Kylara Vatta. Otwieram tutaj nowe konto.

— Momencik. — Po chwili puste spojrzenie urzędnika odzyskało ostrość. — Tak, oczywiście. Rozmawiała pani z naszą przełożoną. O ile nie ma pani nic przeciwko temu z przyjemnością spotka się z panią.

— Chętnie — zgodziła się Ky. — Dziękuję. — Podążyła za nim po lśniącej, ciemnej podłodze, mijając duże biurka z pracownikami, by wyłożonym wykładziną korytarzem dojść do sporego gabinetu po prawej.

– Mellie, to jest kapitan Vatta. Kapitanie Vatta, Melanda Torrin.

– Miło mi panią poznać, kapitanie Vatta. – Widziana przez nią wcześniej na ekranie kobieta wyglądała starzej i nie tak bujnie. Czarny kostium podkreślał jej figurę. Do tego nosiła białą koszulę z koronką u szyi i złote kolczyki. Gęste, kasztanowo-złociste loki sięgały do ramion. Miała uderzająco błękitne oczy.

– Cała przyjemność po mojej stronie – zrewanżowała się Ky.

– Nasze prawo wymaga, abyśmy osobiście spotykali się z właścicielami nowych kont celem potwierdzenia tożsamości. W obliczu awarii tak wielu ansibli jest to dosyć trudne, ale ufam, iż posiadamy próbki DNA rodziny Vattów. Nie ma pani nic przeciwko testom porównawczym?

– Eee... nie. – Nie przewidywała czegoś takiego. – Czy nie zajmie to jednak zbyt wiele czasu?

– Nie jeżeli określamy tylko rodzinne podobieństwo. Zobaczmy. Dwa lata temu zawitała tutaj inna kapitan Vatta – Josephine lola Grace. Czy orientuje się pani, jak bliska to rodzina?

– Jeżeli jako ojca podała Stavrosa, to jest... była... moją najbliższą kuzynką. Nasi ojcowie byli braćmi. Ona... oni... wszyscy nie żyją.

– Słyszę o tym z zaskoczeniem. Była dość młoda – zauważyła kobieta.

– Jej statek został wysadzony w powietrze – wyjaśniła Ky.

– Powiedziała pani, że wszyscy nie żyją... Ma pani na myśli swego ojca?

– Tak. Ojca, matkę, braci... oraz wujka Stavrosa i większość jego rodziny. O niczym pani nie słyszała?

– Nie. Przykro mi, kapitanie Vatta. Nie chciałam pani urazić.

– Nie uraziła mnie pani – odparła Ky. – Nie wiedziała pani.

– Wobec tego nikt pani nie pozostał?

– Część przeżyła – odrzekła Ky. – Siostra Jo, Stella. Jej matka, żona Stavrosa, Helen. Nie wiem, co z jej dziećmi. – Nigdy nie poznała dzieci Jo; urodziły się, kiedy była w szkole, a potem w Akademii.

– Mam nadzieję, że są bezpieczne – powiedziała kobieta.

– Ja również – odparła Ky. – Ale nic nie wiem... Ansibl Slotter Key milczy.

Przed świtem Grace wyjrzała przez okno. Nie musiała w nim stawać – skorzystała z zainstalowanych przez siebie doskonałych urządzeń optycznych, którymi sprawdziła wszystko po tej stronie domu, metodycznie omiatając nimi okolicę od fantazyjnie ułożonego chodnika poniżej przez pas trawy, róże pod murem, sam mur, aż po narożnik, gdzie przykucnął pręgowany kocur szykujący się do skoku na królika, ogryzającego jagody kilka jardów dalej. Dalej rozciągała się dziksza trawa, sięgająca aż po ogrodzenie. Para kicających królików. Zalecających się do siebie. Kopulujących. Cóż, były królikami. Życzyła powodzenia kotu. Za płotem lekko nachylone pole rozciągało się aż po wzgórze i drogę. Masyw wzniesienia przesłaniał resztę doliny na wschodzie; droga okrążała je.

A na niej... tak... pierwszy pojazd tego dnia – ciężarówka, której silnik piszczał i warkotał przy zmianie biegów tak samo, jak każdego ranka od dnia ich przyjazdu

tutaj. Było za wcześnie, żeby ptaki zasygnalizowały czyjaś obecność wśród skał. Jej wzrok przyciągnęło jakieś poruszenie. Przyjrzała się czubkowi skały... mały, czujny, ale nie zainteresowany jamą poniżej, z nadstawionymi uszami. Wstał i omiół skały okazała kita, znikając nad rzeką. Lis. Co go spłoszyło?

Dobiegło ją łagodne pobrzękiwanie dzwonek owiec. Dopiero teraz dojrzała schodzące z drogi stado pod opieką dwóch pasterzy i czterech psów. Owce i psy ominęły skały — jeden czworonóg wskoczył na wierzchołek i zaczął węszyć, szaleńczo merdając ogonem, lecz po chwili zeskoczył na dół, wezwany przez pastucha.

Nie ruszając się z wygodnego łóżka, Grace sprawdziła pozostałe strony budynku. Nic. W najbliższej domostwa części padoku kuce czekały na dzieci, żeby je wypuściły i nakarmiły. Caitlyn, dziewczyna z miasteczka, jechała na rowerze ścieżką, zamiast pod drodze, pozostawiając ciemny ślad na srebrzystej rosie.

Grace wyłączyła system i zdrzemnęła się. W pokoju robiło się coraz jaśniej. Nie spała od czwartej nad ranem, zakłócając sen nikiem i denerwując ich do tego stopnia, że wydzwaniali do siebie, używając ich zdaniem bezpiecznych linii, które — jak wiedziała — wcale takie nie były. Miała nagrania; skopiowała je i przeniosła w różne miejsca. Musiała przemyśleć to, co powiedzieli, zrozumieć i opracować plany... Ale była zmęczona i nienawidziła starości, która skradła jej umiejętność trzymania się na nogach przez dwie noce z rzędu.

Obudził ją krzyk. W mgnieniu oka odzyskała czujność. Była już w połowie pokoju z bronią w rękę, gdy pomyślała o wzięciu pilota systemu bezpieczeństwa i podłączeniu do implantu.

Padok. Kuc leżał na ziemi, wierzgając nogami. Justin, starsze dziecko Jo, leżał bezwładnie na trawie. Nadbiegała Helen. Drugi kuc stał sztywno z zadartym łbem i uszami na sztorc — młodsza Shar wczepiła mu się w grzywę.

Miały jeździć dopiero po śniadaniu. *Było* już po śniadaniu; zasnęła, a Helen jej nie obudziła. Włączyła skanery na pełną moc. Tam. Błysk w krzakach. Nie było czasu, żeby wybiec na zewnątrz...

Wypadła na balkon na drugim piętrze i wyjrzała przez bujne, kwitnące pnącze. Zamachowiec właśnie wstał, chcąc zapewnić sobie lepszy strzał w drugiego kuca lub jego jeźdźca. Albo w Helen, która — ignorując oczywiste zagrożenie — biegła prosto do leżącego dziecka. Nie zważając na pszczoły, krzyki Helen i nagły skok drugiego konia, Grace skupiła się na wywierceniu dziury w zabójcy.

Upadł. Grace zlustrowała otoczenie w poszukiwaniu innych niebezpieczeństw. Nic. Samotny zamachowiec? Głupota z ich strony — nie była pewna, czy w nią wierzyła. Jej uwagę zwrócił ruch na pobliskim polu. Królik uciekał z miejsca, gdzie cichutko skubał trawę. Podążyła wzrokiem za jego śladem ku innym zaroślom. Tam... wzmocniła wzrok wysokowydajnymi procesorami implantu... wykryła promieniowanie cieplne. Wspomagana zaawansowaną bioelektroniką, tam właśnie skierowała następną strzał.

Helen dopadła Justina i zasłoniła go własnym ciałem. Najlepsze, co mogła zrobić — pomyślała Grace. *Leż na ziemi, Helen* — chciała krzyknąć. Kuc przestał wierzgać.

Dziecko wciąż tkwiło wczepione w jego grzywę, całe i zdrowe, otwierając szeroko oczy i układając usta w duże O. Konik zastrzygł uszami i nieoczekiwanie pochylił łeb, zabierając się za skubanie trawy. Wytrącone z równowagi dziecko zsunęło się na ziemię. Wyraźnie nic jej nie było. Shar zarzuciła nóżkę na końską szyję i szarpnęła za grzywę, próbując sztuczki, której nauczyli zwierzę dwa tygodnie temu: powinno podnieść łeb, podsadzając dziecko na grzbiet.

Grace nie chciała porzucać okna, skąd miała najlepszy widok... ale musiała. Z dołu dobiegały głosy, okrzyki, tupot nóg. Wciąż miała na sobie nocny strój: obcisły, czarny kostium wywatowany na łokciach i kolanach, w którym o północy wyszła przez okno i wróciła o czwartej nad ranem. Kiedy zeszła na dół, Caitlyn westchnęła na jej widok i wsadziła sobie pięść w usta. Grace domyśliła się, co ujrzała dziewczynka: szczupłą, czarną postać z bardzo paskudnie wyglądającą bronią w ręku. Jednego z *nich*.

— W porządku, Caitlyn. To tylko ja...

— Ale... Ale... panno Grace...

— Caitlyn, idź do kuchni i zostań tam.

— Policja...

— Nie wzywaj ich. Zrobię to ja albo Helen.

— Doktor?

— Jedna z nas zadzwoni po niego, jeśli będzie trzeba. Zostań w kuchni, dopóki cię nie zawołamy, w porządku? — Błada ponad wszelką możliwość Caitlyn tylko kiwnęła głową.

Grace poszła na tyły domu. Widziany z góry ogród był jasno rozplanowany, lecz z poziomu gruntu było w nim zbyt wiele przeszkód i zaułków. Powinna się pospieszyć — mogli jej potrzebować. Lecz pośpiech skierowałby ją na ścieżki i otwartą przestrzeń. Jeśli krył się tam ktoś jeszcze, oczekiwał łatwego do przewidzenia wyjścia na główną alejkę ogrodu, wystarczająco szeroką dla małego traktora z osprzętem. Grace wybrała wolniejszą trasę, lecz nie za wolną dla kogoś właściwie przygotowanego, kto dostrzegał przerwy i dziury w pozornie jednolitych murach i żywopłotach i był gotowy je wykorzystać. Ona była.

Poszła do padoku, gdzie ranny kuc wciąż wydawał z siebie zupełnie nie końskie odgłosy, choć już znacznie ciszej. Nie miał jednej nogi — kończyła się kikutem, z którego wciąż tryskała krew. Pozostałe kończyny wierzgały znacznie wolniej. Powinna dobić go z czystego humanitaryzmu, wpierw jednak musiała sprawdzić ludzi.

— Helen — powiedziała na tyle głośno, by było ją słychać pomimo końskich kwików. — Żle z nim?

— Nic sobie nie zrobił — odparła Helen. — Jest oszołomiony. Shar?

Obie wiedziały, że takie oszołomienie mogło zabić.

— Nic jej nie jest — uspokoiła ją Grace. Shar siedziała okrakiem na drugim kucu i kopała go zawzięcie, lecz zwierzę za nic nie chciało do nich podejść.

— Idą tutaj? — zapytała Helen.

— Nie tamci dwaj — odrzekła Grace. — Pójdę po Shar.

— Chodziło mi o policję — wyjaśniła Helen.

— Na razie nie — odparła Grace. — Przynajmniej dopóki ich nie wezwiemy, więc nie rób tego.

— Mam nie dzwonić... ?

— Nie. — Podeszła do leżącego kuca, który z trudem wodził za nią zaszklonymi oczami, przykucnęła i uważnie wymierzyła w X utworzone przez linie biegnące od prawego ucha do lewego oka i od lewego ucha do prawego oka. — Przepraszam — przemówiła do zwierzęcia i strzeliła. Kuc szarpnął się i znieruchomiał.

— Coś ty zrobiła? — zawołała Helen.

— Skróciłam męczarnie — odrzekła Grace. — Jeśli możesz, zabierz Justina do środka. Wezmę Shar. — Poszła w głąb padoku. Mrowiło ją z napięcia, stanowiła łatwy cel. W narożniku zagrody kuc nerwowo skubał trawę. Siedząca na jego grzbiecie, sztywno wyprostowana Shar przyglądała się Grace jak obcej. Możliwe, że dziecko jej nie poznawało. Ona czuła się sobą bardziej niż przez kilka ostatnich dekad — opadła pieczołowicie skonstruowana przykrywka lekko stukniętej i pruderyjnej starszej pani, odsłaniając doskonale znajome wnętrze Grace, czującej się znakomicie w czarnym kostiumie do wspinaczki i z bronią w ręce.

— Spokojnie, Jaskier — przemówiła do kuca. A do dziecka: — Shar, mama cię woła. Pora do domu.

— *Nie pójdzie* — odparła Shar. Jej podobieństwo do Jo w tym samym wieku замуrowało Grace.

— Jest przerażony — wyjaśniła. — Ty też troszkę się przestraszyłaś.

— Co się stało Róży? — zapytała Shar. — Zastrzeliłaś ją?

— Róża złamała nogę. Paskudne złamanie. Nie zrosłoby się. Zejdź już, proszę. — Sięgnęła po nią, lecz kuc odsunął się, a ona miała tylko jedną rękę wolną, w drugiej wciąż ścisnęła broń. Shar przechyliła się ku niej, straciła równowagę i spadła na ziemię w tej samej chwili, w której coś trzepnęło Grace w lewe ramię, okręcając ją w miejscu. Przewróciła się, wściekła na siebie. Natychmiast zrozumiała, co to było i że było ich więcej niż dwóch. Kucyk uciekł, a tętent kopyt był tylko nieco szybszy od bicia jej serca.

Została na ziemi. Leżąc na brzuchu Shar podniosła głowę i popatrzyła na nią.

— Głowa nisko — poleciała dziecku. — Leż cicho i nie ruszaj się, choćby nie wiem co. — Przetoczyła się przez nią fala bólu i nudności. Obróciła głowę i bez zaskoczenia ujrzała nienaturalnie złożone lewe ramię w rosnącej kałuży krwi. — Cholera — mruknęła.

— Brzydkie słowo — odezwała się Shar. — Babcia mówi...

— Cicho — skarciła ją Grace. — Zamień się w małego oposa, jak w bajce. — Musiała coś zrobić z krwawieniem, albo umrze, jak tata opos w bajce. Lecz oznaczałoby to wypuszczenie broni. Była pewna, że zabójca ujrzałby to z przyjemnością.

Usłyszała trzask w krzakach za padokiem i kroki. Nakazała sobie pozostać przytomną do chwili, w której będzie mogła strzelić gównojadowi w brzuch... Pojawiła się ciemna postać w kostiumie podobnym do jej, tyle że z kapturem i

maską. Próbowwała unieść broń... Wtem postać zachwiała się i upadła na twarz, a zza niej wyłonił się ktoś, w kim stanowczo zbyt wolno rozpoznała MacRoberta z zakrwawionym nożem do patroszenia ryb w ręku.

— Pan... — wymamrotała.

— Ma pani interesujący poranek — powitał ją. Podszedł do niej, złapał za lewe ramię i dźgnął czymś — miała wrażenie, że wbił jej włócznię prosto w kość. Wiedziała, że był to kciuk, którym uciskał arterię, lecz odczucie było zgoła odmienne.

— Dorwałam dwóch — powiedziała, zastanawiając się, czemu się przed nim usprawiedliwia.

— To dobrze — odparł — ponieważ nie sądzę, żebym zdołał zakraść się do następnych. Czy w razie potrzeby będę mógł wziąć pani broń?

— Proszę bardzo — odparła, rozluźniając dłoń.

— Usłyszałem ich strzały, ale żadnej odpowiedzi — wyjaśnił. — Zabrało mi chwilę dotarcie tutaj znad rzeki...

— Cieszę się, że pan zdążył — mruknęła. Widziała coraz słabiej, w wydłużającym się, ciemnym tunelu dostrzegła jakiś jaskrawy punkt.

— Zostań ze mną — rzucił. Poczula dłoń przy swoich ustach, a potem coś małego i twardego na języku. Miało gorzki smak. — Rozgryź to.

Rozgryzła. Znała ten smak — wojskowe tabletki stymulujące nie zmieniły się aż tak bardzo. Tunel skrócił się, potem zniknął. Wzrok wyostrzył się, choć wszystko otaczała lekka, jasna poświata.

— Może pani stracić ramię.

— Tak myślałam — przyznała.

— Ciociu Grace... — rozległ się szept Shar.

— To przyjaciel, Shar — uspokoiła ją Grace. A może nie, choć w tej chwili i tak nie byłaby w stanie zmierzyć się z ewentualnością, że był jednym z tamtych.

— Mogę wstać?

— Jeszcze nie — odpowiedział za nią MacRobert. — Po prostu leż cichutko i pozwól mi pomóc twojej cioci.

Załoczył jej opaskę uciskową jedną ręką ze sprawnością wskazującą na wcześniejsze doświadczenie. Grace przyszło do głowy, żeby zaproponować mu zastąpienie uciskającego arterię kciuka własną ręką, lecz kolejna fala nudności przekonała ją, że powinna raczej leżeć i pozwolić mu robić swoje.

Stymulant i jej własna biochemia osiągnęły w końcu stan równowagi. W samą porę, bo właśnie zacisnął opaskę i zabrał się za prostowanie jej ramienia. Przekreśliła głowę, żeby widzieć.

— Lepiej nie patrzeć — ostrzegł.

I tak spojrzała. W miejscu łokcia wisiała na strzępie skóry istna krwawa miazga. Poniżej, nieuszkodzona lewa dłoń wyglądała jak martwa. Taka była. Bezkrwista.

— Równie dobrze może pan to wszystko uciąć — zauważyła.

Podniósł brwi.

— Nie jestem chirurgiem.

— W tej chwili to nie jest ręka — upierała się. Czuła tylko nieznaczny żal, lecz wiedziała, że to połączony efekt narkotyku i szoku. Mimo wszystko, dwoje żywych dzieci za jedno ramię to całkiem niezła wymiana.

— Jak sobie pani życzy. — Dokładnie oczyścił nóż do ryb, co doceniła dużo później, po czym odciął przedramię. Fizycznie Grace nie poczuła niczego, jednak pomimo postanowienia, że pogodzi się ze stratą, w jej ramieniu — jej ramieniu — było coś głęboko niewłaściwego, kiedy tak sobie leżało na ziemi bez żadnego połączenia z nią. To nie było jej ramię, nie mogło być... To musiało być ramię kogoś innego. Co za obrzydliwy pomysł, porzucić coś takiego w padoku, gdzie mogą to znaleźć dzieci...

Jak przez mgłę pamiętała pomoc MacRoberta w dotarciu do domu, jego głos zapewniający ją, że dzieci były bezpieczne, Helen była bezpieczna, wszyscy byli bezpieczni, kiedy otworzyła oczy i okazało się, że leżała w łóżku, unosząc się nad materacem w różowej chmurze. Było to tak nieprawdopodobne, że znowu zamknęła oczy, chcąc prawidłowo zasnąć i obudzić się całkowicie. Przy drugim podejściu rozpoznała we wrażeniu unoszenia się skutek narkotyku. Wydarzenia poranka — tego poranka? — napływały do niej fragmentami, podsuwane przez zapisy implantu.

— ...natychmiastowy transfer do regionalnego ośrodka urazowego... — usłyszała czyjś głos. Chciała się sprzeciwić, lecz usta miała pełne bardzo suchej waty. — Powinniście natychmiast wezwać...

— Powiedziała... — rozległ się głos Helen.

— *Powiedziała!* — Napuszony głos ociekał pogardą. Grace poczuła gniew. — Dlaczego posłuchała pani kobiety, która straciła przedramię, kobiety w szoku? Ludzie w szoku wygadują wszelkiego rodzaju głupoty.

Język Grace przedarł się przez watę.

— Nieuuooty — wybelkotała. Sama by tego nie zrozumiała.

Po jednej jej stronie pojawiła się obca twarz, po drugiej oblicze Helen.

— Grace! — zawołała Helen. — Obudziłaś się.

Nie do końca — chciała powiedzieć. Była zbyt nafaszerowana narkotykami, by rozbudzić się całkowicie. Lecz ta druga twarz denerwowała ją — była równie pełna pogardy i przekonania o własnej słuszności, co głos.

— Kto ty?

— Jestem tutejszym lekarzem. Proszę leżeć spokojnie. Została pani raczej poważnie zraniona. Wypadek przy polowaniu. Ci idioci nigdy nie myślą, jak daleko niosą się ich strzały... pewnie któryś chybił królika.

I to on nazwały ją głupią. Trzech myśliwych, strzelających i nie trafiających w trzy króliki?

— Gdzie Mac... — Nie mogła wymówić reszty nazwiska.

— Mak? — Nie rozumiała Helen. — Rybak, który ci pomógł? Poszedł pomagać policji w poszukiwaniu tych... myśliwych.

A więc to było źródło tych głupot o myśliwych. Żałowała, że nie domyśliła się wcześniej.

Rozdział 12

Sufit sali amputacyjnej regionalnego centrum pourazowego został zaprojektowany dla rozrywki tych, którzy nie mogli ruszać się z łóżek. Grace miała pełny wybór programów do wyświetlania: gry, wiadomości, sport. Żaden z nich nie odpowiadał jej potrzebom. Dostała się we władzę lekarzy, psychologów i — co najgorsze — Helen, a wszyscy oni byli przekonani, że kobieta w jej wieku wymagała specjalnej opieki tutaj, a nie wizyt specjalistów *tam*.

Ukradkiem podciągnęła się na łóżku tak, że za pomocą zagłówek mogła pochylić głowę i obejrzeć sobie całą salę. Przez rozsuwane, szklane drzwi widziała siedzącego przy wyjściu mężczyznę w mundurze. Historyjka o nieuważnych myśliwych legła w gruzach; lokalne władze dowiedziały się, że strzelanina była próbą zabójstwa. Oznajmili, że jej życie mogło być w niebezpieczeństwie. Nie byli zbyt zadowoleni z posiadania przez nią broni, choć nie postawiono jej zarzutów za zranienie (niestety, nie zabicie) zamachowców. Uświadomiono jej, iż używanie bez pozwolenia broni promieniowej stanowiło poważne wykroczenie. Nie wiedziała o tym? Wyjaśnienia przyjęli w milczeniu i bez komentarzy.

Bolał ją kikut. Nie, nazywanie tego bólem było eufemizmem. Pielęgniarki używali eufemizmów. *Czujemy lekki dyskomfort, kochanie?* To nie był dyskomfort, ani ból. To było okropne cierpienie. Przycisk podajnika leków znajdował się dokładnie pod jej prawym palcem wskazującym. Nie nacisnęła go. Od bólu jeszcze nikt nie umarł, a ona musiała pomyśleć. Oczyszczili kikut, a bulwiasty opatrunek uciskał jej żebra. Chciała dostać klonowaną protezę. Mówili, że jest za stara, a ona musiała wymyślić, jak ich przekonać, że nie jest.

Za pomocą pięty, bioder i prawego ramienia przesunęła się o kolejnych parę centymetrów do przodu. Nigdy nie należało zbyt długo leżeć nieruchomo. Nie mogła przekręcić się na bok; przeszkadzało jej boczne oparcie łóżka i przymocowany do prawego ramienia wenflon z wężykiem, a nie zamierzała leżeć na kikucie. Lecz według zegara miała osiemnaście minut do najbliższego obchodu.

Coś zwróciło uwagę mężczyzny przy drzwiach — poderwał głowę i opuścił rękę do boku. Ścisnęło ją w piersiach. Potem rozluźnił się, uśmiechnął i wstał. Helen? Tak szybko? Miała ją odwiedzić dopiero jutro. Grace zmusiła się do zwolnienia oddechu. Nie było potrzeby budzić paniki wśród dyżurnych.

Przez drzwi zajrzał MacRobert, puścił do niej oko, powiedział coś do mężczyzny w mundurze i wszedł do środka. W ręce trzymał bukiet kwiatów owiniętych w zielony papier.

— Lepiej pani wygląda — powitał ją.

— Dziękuję — odrzekła Grace, mając na myśli więcej niż jego słowa, czy kwiaty.

— Nie ma za co. — Rozejrzał się za czymś do włożenia bukietu i wybrał stojący na stoliku nocnym dzbanek. — Chwileczkę. — Zabrał dzbanek i kwiaty do malutkiej, przyległej łazienki — do której Grace nie miała jeszcze wstępu — i po chwili z nimi

wrócił. — Proszę. Tak naprawdę, nic nie jest w stanie rozweselić szpitalnej izolatki, ale kwiaty nigdy nie zaszkodzą.

— Są piękne — powiedziała Grace. Nawet przez chwilę nie wierzyła, że przyniósł kwiaty, aby wprawić ją w lepszy nastrój. Ale jak mieli się porozumiewać, skoro tkwiła w pokoju z pełnym monitoringiem stanu pacjenta?

Uśmiechnął się do niej słodko, co tak rażąco kłóciło się z jej opinią o nim, że aż się skrzywiła.

— Boli coś panią? — zapytał. — Marszczy pani brwi. — Po czym dodał, jakby uspokoiony: — Poprosiłem o przedłużenie urlopu i udzielono mi go, więc pomyślałem sobie, że zostanę w okolicy, dopóki nie wyjdzie pani ze szpitala. Okres wynajmu domku skończył się, ale — pani bratanica, tak? — była uprzejma zaprosić mnie do zamieszkania w waszej posiadłości wraz z nią i dziećmi. Są smutne z powodu kucyka.

Grace zamrugnęła.

— To... bardzo miło z jej strony. I z pańskiej. Oczywiście, mamy prawo połowu ryb na całym terenie. Mam nadzieję, że wystraszył pan kilka.

— Owszem. — Przyciągnął sobie krzesło, żeby usiąść naprzeciwko niej. — Nie chciałaby pani mieć podniesionego łóżka?

— Chciałabym, ale oni nie, a gdybym to zrobiła, łóżko powiadomiłoby dyżurkę pielęgniarzką. Zaraz przyszliby wielce profesjonalni pielęgniarze, żeby opuścić je z powrotem i upomnieć mnie, abym więcej nie naciskała przypadkowo guzika.

— Miłośnicy pełnej kontroli, co? — mruknął MacRobert. — Helen mówi, że sprzeciwiają się sklonowanej protezie zamiast bioelektronicznej?

— Uważają, że klon nie przyjmie się, jest nieopłacalny i tak dalej.

— Ile czasu to wymaga?

— Wyhodowanie ramienia? Minimum osiem miesięcy. Cztery na fazę wstępną potem wszczepienie i kolejne cztery do ośmiu miesięcy przyspieszonego wzrostu oraz mnóstwo fizykoterapii.

— Mmm.

— A ja znienawidzę każdy z tych dni. Wiedziałam, że nie był sam i że mogło ich być więcej niż dwóch. Ale musiałam dostać się do Shar...

— Oczywiście — przytaknął MacRobert. — Niemniej, z protezą bioelektroniczną poszłoby szybciej, nieprawdaż?

— Tak przypuszczam — odparła. — Podłączenie do nerwów, przymocowanie samej protezy i czterdzieści do sześćdziesięciu dni ćwiczeń. Lecz nie byłoby to *moje* ramię.

— Mogliby nadać mu wygląd...

— Nie dbam o wygląd! — warknęła z większą złością, niż zamierzała. — Chodzi o funkcjonalność — dodała ciszej. — Łatwiej zakłócić działanie nie sklonowanej protezy. Jest mniej niezawodna. Nie mogę pozwolić sobie na zamartwianie się, kto mógłby programować działanie mojej protezy.

— Och. — Wyglądał na zaskoczonego.

— Wystarczająco źle, że jestem wyłączona z akcji, kiedy Helen mnie potrzebuje. Krótsza bezczynność wydawałaby się lepsza, tyle że... nie wiem kiedy, ani kto, ani ile.

— Być może podjęłaby pani tę decyzję, wracając do zdrowia w posiadłości? — podsunął MacRobert.

— Wydostać się stąd? Wszyscy wydają się być przekonani, że powinnam tkwić tutaj.

— Dopóki znajdowała się pani w niebezpieczeństwie, owszem. Ale teraz? Czy nie potrzebuje pani trochę czasu na podleczenie się, zanim zaczną z którymś typem protezy?

— Chyba... tak.

— Będzie pani równie bezpieczna w domu, jak tutaj. Potrzebuje pani znacznie zmniejszonej opieki medycznej... Ostatnio, kiedy do pani zajrzałem, była pani dosłownie opleciona kablami i rurkami. — Uśmiechnął się.

— Nie pamiętam. — Nie przypominała sobie żadnej wizyty tego człowieka. Jak długo była nieprzytomna?

— Szok i utrata krwi — orzekł. — Szybko pani zdrowieje. — Nie dodał: *jak na pani wiek*, o czym wciąż wspominali lekarze. Poczowała absurdalną wdzięczność.

— Zamierzam całkowicie wyzdrowieć — oznajmiła. — Mam coś do zrobienia. — Jednym z najbardziej frustrujących aspektów przebywania tutaj była konieczność zostawienia winnych w spokoju.

— Jestem tego pewny — przytaknął. — Jeśli jednak czuje się pani na siłach, by powrócić na wieś, to razem możemy wywrzeć nacisk na personel.

— Chwileczkę — rzuciła. Pomacała dokoła w poszukiwaniu panelu z przyciskami. Jest. Sterowanie łóżkiem. Silnik zajęczał niegłośnie i górna część materaca uniosła się. — Trudno się sprzeczać, leżąc płasko na plecach.

Jego uśmiech poszerzył się.

— W rzeczy samej. Czy mam zabarykadować drzwi, żeby pielęgniarze nie mogli wejść, czy też...

Nie czuła żadnych zawrotów głowy.

— Nie, pomoże mi pan opuścić łóżko i dostać się do łazienki.

— Ja?

— Tak, pan. Proszę podać mi ramię... — Wyciągnął zgięte w łokciu ramię. Złapała za nie i podciągnęła się. Przez chwilę kręciło się jej w głowie, ale zaraz przeszło. Czuła się lepiej siedząc na łóżku, niż leżąc na nim. Zwisające poza krawędź bose stopy były blade i wyglądały dziwnie nienaturalnie.

— Zamierzam wstać — oznajmiła. — Będę musiała zabrać ze sobą ten przeklęty stojak z kroplówką...

— Jest pani pewna? Nieważne. Pani zawsze jest pewna. — Przesunął się tak, żeby ułatwić jej zejście z łóżka, z drugim ramieniem w pogotowiu, by podtrzymać ją, gdyby tego potrzebowała. Bez lewego ramienia czuła się koślawą, lecz stabilną. Sięgnęła po stojak, a on położył silną dłoń na jej plecach i razem powolutku ruszyli przez pokój.

Byli już w połowie drogi do łazienki, gdy do środka wpadł zaaferowany pielęgniarz.

— No, już, już, kochaniutka, nie wolno tak bawić się guzikami od łóżka... Co pani wyprawia?!... A pan... kimkolwiek pan jest... proszę zostawić ją w spokoju...

— Nie — przemówiła Grace. — Potrzebuję jego pomocy. Idę do łazienki.

— Nie może pani!

— Z całą pewnością mogę i idę. — Spiorunowała go wzrokiem. — To wstyd, że ten dżentelmen jest bardziej pomocny od pana, ale nic się na to nie poradzi. Z pewnością nie zamierzałam korzystać przy nim z basenu.

— Powinna była pani zadzwonić!

— Powinien pan przestać traktować mnie jak idiotkę — odcięła się Grace, z każdym krokiem czując się coraz lepiej. — Jeśli chce pan pomóc, proszę odpiąć mnie od tego cholernego stojaka. Albo pomóc go nieść.

— Muszę zadzwonić do lekarza — oświadczył pielęgniarz.

— A ja muszę skorzystać z toalety — odparła Grace. — Pomoże mi pan, czy nie? — Im dłużej stała, tym bardziej zastanawiała się, czy to naprawdę był dobry pomysł i tym pilniej potrzebowała udać się do łazienki. Wreszcie pielęgniarz chwycił za stojak, pomrukując pod nosem. Grace złapała MacRoberta za ramię i zrobiła kolejny krok. Lepiej.

Pielęgniarz nie chciał zostawić jej samej w łazience, ale MacRobert odciągnął go i zamknął drzwi. Grace usiadła, czując się słabiej, niżby chciała, niemniej, triumfowała. Wyobraziła sobie wypływające z niej leki uspokajające i kiedy skończyła, wstała o własnych siłach — mocno trzymając się stojaka. Znalazła się naprzeciwko lustra. Odpowiadająca spojrzeniem osoba była jej tylko częściowo znana. Nie martwił jej brak ramienia, lecz przygarbiona sylwetka i obwisła, opuchnięta twarz o zamglonych oczach. Na śmieszną, szpitalną koszulę nie zwróciła uwagi, jako na nieistotny szczegół.

Zmusiła się do wyprostowania. Lepiej. Zgromiła spojrzeniem opuchniętą twarz. Jeszcze lepiej. Robiła miny do lustra, dopóki do drzwi nie zapukał pielęgniarz.

— Wszystko w porządku?

— Tak — odparła. — Już wychodzę.

Po drodze do łóżka, która wydawała się znacznie dłuższa niż do toalety, obwieściła:

— Jutro wracam do domu.

— Nie może pani! — zawołał pielęgniarz.

— W świetle prawa z całą pewnością mogę — odrzekła. — Jestem dorosłą osobą w pełni władz umysłowych, co sprawia, że wolno mi w każdej chwili wypisać się z dowolnego obiektu szpitalnego, nawet gdyby zagroziłoby to memu życiu. — Usiadła na łóżku, drżąc ze zmęczenia. — A ponieważ jestem dorosła, to nie nastąpi. W domu będę miała opiekę medyczną.

— Ale...

— Naprawdę nie chce pan batalii prawnej ze mną — zapewniła go Grace.

— Ma rację — wtrącił MacRobert.

Pielęgniarka zerknęła na niego, po czym spojrzała z powrotem na Grace i westchnęła ciężko.

— Muszę porozmawiać z lekarzem — rzucił i wyszedł w pośpiechu.

— Idiota — mruknęła Grace. Siedziała na skraju łóżka i nie miała pojęcia, jak się położyć bez urażenia kikuta. Bolał ją wystarczająco mocno, nie chciała o nic nim uderzyć.

— Proszę — powiedział MacRobert. Wsunął jedno ramię za nią, a drugie trzymał tak, żeby mogła chwycić się go zdrową ręką. Spiorunowałyby go wzrokiem, gdyby nie to, że bez zbędnego zamieszania robił dokładnie to, co powinien. Pozwoliła mu opuścić się na łóżko, zdołała jednak samodzielnie umieścić na nim nogi, zanim po nie sięgnął. Przykrył ją delikatnie. — Naprawdę, w lot chwyta pani pomysły, co? — rzucił. — Kiedy sugerowałem rekonwalescencję w posiadłości, nie miałem na myśli jutra.

— Tam lepiej odpocznę — odparła. — I będę w razie...

— W razie niczego. Ja tam jestem. Pani jest wyłączona z akcji. — Przekrzywił głowę. — Jest pani bardzo zdeterminowaną kobietą.

Grace wróciła do posiadłości w oznakowanym ambulansie. Była wściekła za tak oczywiste zasygnalizowanie drugiej stronie jej bezradności, lecz personel medyczny upierał się, że transport bez właściwej opieki byłby niebezpieczny, a Helen w pełni ich poparła. Przez całą drogę leżała spięta, czując się jak oczywisty cel, lecz podróż przebiegła bez zakłóceń. Możliwe, że MacRobert zorganizował ochronę; była skłonna w to uwierzyć.

Pozwoliła przetransportować się przez dom na fotelu na poduszce powietrznej, przysięgając sobie w duchu, że stanie na nogi natychmiast, jak tylko pozbędzie się tych wszystkich czarnowidzów. Nade wszystko chciała zobaczyć się z dziećmi, lecz Helen obawiała się, że ją zdenerwują.

— Ciociu Grace? — To była ta młodsza, Shar. Obróciła głowę.

— Tak, Shar.

— Babcia powiedziała, że to brzydkie słowo, ale dorosłym czasami wolno mówić brzydkie słowa.

— Przepraszam? Co takiego, Shar?

— Tamto słowo, które powiedziałaś, kiedy upadłaś i było tyle krwi. Powiedziałam babci, że je powiedziałaś i odpadło ci ramię, i było tyle krwi. Myślałam, że ramię odpadło ci, bo powiedziałaś tamto brzydkie słowo, ale babcia powiedziała, że nie.

Ten czysty absurd sprawił, że oczy zaszły jej łzami, a jednocześnie parsknęła śmiechem. Shar przyjrzała się jej z troską. Grace mruganiem przegnała łzy.

— Przepraszam, Shar. Nic mi nie jest, ale strasznie mnie to rozbawiło.

— Płaczesz, kiedy coś jest śmieszne?

— Czasami. — Jak to wyjaśnić pięciolatce?... Nie zamierzała nawet próbować. — Shar, tamtego dnia byłaś bardzo dzielna.

Dolna warga dziecka drżała.

– Było strasznie. Jaskier zrzucił mnie *dwa razy*, Justin leżał, babcia krzyczała, a ty...

– Tak, było strasznie – przytaknęła Grace. – Ale poradziłaś sobie świetnie. Nie płakałaś. Robiłaś to, co ci mówiłam.

– Chciałam...

– Ale nie zrobiłaś tego. Nadal masz ochotę krzyczeć?

Shar wbiła wzrok w ziemię.

– Czasami. Ale to źle – denerwuje babcię.

– Nie we właściwym czasie. Kiedy coś jest naprawdę okropne i nie możesz krzyczeć, to czasami trzeba pokrzyczeć później.

– Naprawdę?

– O tak – potwierdziła Grace. – Ja czasami krzyczę. – Shar uśmiechnęła się przez łzy i poszła sobie. Grace ciekawiło, kiedy zjawi się MacRobert. Miała nadzieję, że wkrótce.

Lecz jej następnym gościem była Helen. Zamknęła za sobą drzwi i stanęła przy nich.

– Nie podziękowałam ci jeszcze za uratowanie dzieci. – Mówiła przez ściśnięte gardło, niczym przez blok lodu.

– Helen... powiedz, co chcesz powiedzieć.

– To jest... nie mogę... – Helen, zawsze tak zdystansowana i chłodna, osunęła się gwałtownie na fotel; dygotały jej ramiona. Grace przeklinała własną słabość. – Stav i Jo, a teraz o mały włos dzieci...

– Ale nie dostali dzieci – powiedziała Grace.

– Mało brakowało. Gdyby cię tam nie było...

– Gdybym nie zasnęła, wiedziałabym, że tam byli, nim dzieci wyszły na dwór – rzuciła Grace. – Co z Justinem?

– Och, nic mu nie jest. Guz na głowie, to wszystko. Oczywiście, jest przybity z powodu Róży. – Helen pociągnęła nosem. – Muszę z tym przestać... z tym całym płaczem.

– Masz powody do płaczu – powiedziała Grace. – Dzieci również.

– Ty nie płaczesz – zauważyła Helen. – Chociaż to ty straciłaś ramię.

– Ale nie męża, ani dzieci – odparła Grace. – Możemy dać sobie spokój z tym porównywaniem smutków? Z pewnością nie tracisz w moich oczach z powodu odczuwanej rozpacz.

– Och. Tak. – Helen wydmuchała nos, otarła twarz i wzięła głęboki wdech. – Trafia mnie w najdziwniejszych momentach. I naprawdę chciałam ci podziękować.

– Nie ma za co. Co stało się z zamachowcami?

– Nie wiem. Policja w kółko powtarzała, żebym zajęła się dziećmi i niczym się nie martwiła. Wiem jednak, że zabrali twoją broń.

– Tylko tę, którą miałam przy sobie?

– A masz inną? – Helen uniosła brwi. – Tutaj?

– Mam nadzieję – odparła Grace. – Nie jestem, co prawda, w stanie jej używać, ale za nic nie chciałabym jej stracić. Inne kłopoty?

— Żadnych. Oczywiście, była tutaj policja i ten twój znajomy rybak — MacRobert.

— Najmilszych ludzi spotyka się na rzece — oznajmiła Grace. — Prawdziwy z niego dżentelmen.

— Wiedziałaś, że służy w Siłach Kosmicznych? — zapytała Helen.

— Naprawdę? — Grace przymknęła oczy.

— Grace. Nie rób tak. Wiem, że wiedziałaś. Wiesz wszystko o wszystkich na pięć minut przed spotkaniem z nimi.

Grace otworzyła oczy.

— Czyżby? No dobrze, wiedziałam, że MacRobert jest z Sił Kosmicznych. Wynajmując to miejsce sprawdziłam najemców domków nad rzeką. To oczywista metoda zdobycia przez kogoś dostępu do nas. Ale kiedy spotkaliśmy się na rzece, był w porządku. Obserwowałam go przez kilka dni. Łowi na mokrą przynętę. Wędkował jak inni.

MacRobert przyszedł kilka godzin później, kiedy spała. Zapukał do drzwi. Ocknęła się, wymamrotała coś i wszedł do środka.

— Ma pani tutaj niezły system — ocenił, rozglądając się po pokoju i lokalizując poszczególne elementy.

— Dziękuję — odrzekła Grace. — Czemu tak się pan martwił, żeby wyciągnąć mnie ze szpitala?

— Wydarzenia. Zechciałaby pani sprawdzić system, czy wciąż działa?

— Tak. — Grace uruchomiła podprogramy implantu, podłączone do systemu domu. Jak dotąd, wszystko było w porządku. — Gdyby mógł pan podać mi pilota z szuflady stolika nocnego... — Przypominał pilota do telewizora; Mac Robert podał go jej. Uruchomiła diagnostykę, czego nie mogła dokonać poprzez implant. Wszystko działało prawidłowo. System działał na najwyższym poziomie bezpieczeństwa, tak jak powinien. — W porządku — orzekła.

— To dobrze. — MacRobert usiadł na krześle koło łóżka. — Otrzymała pani informacje o działaniach wysoko postawionych osób. Przekazała pani te informacje pewnym innym osobom... zgadza się?

— Tak — potwierdziła Grace.

— Chciałbym poznać te informacje. Uważamy, że w obecnej sytuacji te osoby nie są właściwymi adresatami.

— My?

Obrzucił ją spokojnym spojrzeniem.

— Mamy wspólny cel. Mamy wspólnego wroga.

— Doprawdy?

— Tak. — Oświadczenie nie pozostawiało cienia wątpliwości. — Ktokolwiek zaatakował Vattów, uczynił to nie tylko po to, żeby was zniszczyć, lecz także zastraszyć rząd. A przypuszczam, że nie tylko ten rząd. Nie zdziwiłbym się, gdyby inne ansible również nie działały, a do podobnych potworności doszło także w innych systemach, co miałoby na celu osłabienie, bądź obalenie tamtejszych

rządów. Wiemy, że tutaj, w jedynym systemie, gdzie udało się nam zdobyć twarde dowody, zamieszane są najwyższe czynniki rządowe.

— Kim są my? — zapytała Grace. Tak naprawdę, chciała zapytać: *Kim pan jest?* lecz odpowiedź na pierwsze pytanie mogłaby wystarczająco wiele wyjaśnić.

— Zadaniem Sił Kosmicznych jest zapewnienie bezpieczeństwa zewnętrznego — odparł MacRobert. — Co powszechnie wiadomo. Zostaliśmy celowo wprowadzeni w błąd i trzymani z dala od przedsięwzięć, które umożliwiły transfer broni z obcej floty na tę planetę i uaktywnienie jej przez co najmniej jeden okręt wojenny. Ataku na biura Vattów na wyspie Corleigh dokonano za pomocą wysokiej klasy uzbrojenia sterowanego z kosmosu. Zanim to ustaliliśmy, zamieszany w to okręt znajdował się już poza naszymi granicami, a nam zakazano pościgu. Potem wysiadły ansible i rozkazano nam zmniejszyć perymetr do dwóch minut świetlnych. — Przerwał, Grace kiwnięciem głowy potwierdziła, że zrozumiała. — To nas zaniepokoiło. Nas, odpowiedzialnych w Siłach Kosmicznych za sprawy bezpieczeństwa.

— Rozumiem.

— Nie wszystko, a mnie nie wolno przekazać pani pełnej wiedzy, jaką dysponujemy. Choć podejrzewam, że bezwiednie przynajmniej częściowo korzystamy z tych samych źródeł. W każdym razie, choć oficjalnie jestem oficerem niższego stopnia w koszarach kadetów Akademii Sił Kosmicznych, to w rzeczywistości, jak zapewne pani podejrzewa, pracuję w departamencie bezpieczeństwa. Po prostu łatwiej mi wyciągnąć pewne informacje od stęsknionych za domem kadetów niż innym, stosującym standardowe metody operacyjne.

— Czegóż więc chce pan ode mnie? — zapytała Grace.

— Aby podzieliła się pani ze mną swoją wiedzą i pozwoliła nam wykorzystać te informacje do obalenia prezydenta — odrzekł. — Wysłała pani za nim niewłaściwe psy. Jeżeli zabije go pani na swój sposób, zostanie męczennikiem.

— Chcę widzieć go martwego — oznajmiła.

— W porządku. — Przemawiał opanowanym głosem. Grace zauważyła, że nie okazał szoku, ani dezaprobaty. Zaskoczyło ją to. Nabierał zwyczaju zaskakiwania jej, a ona, ku swemu zdumieniu, nie miała nic przeciwko temu. — *My* zaś chcemy go zdyskredytować — kontynuował MacRobert. — Jeżeli pani tego nie chce, to po co poświęciła tyle czasu na gromadzenie dowodów? Jeśli będziemy współpracować, osiągniemy oba cele.

— Musiałabym panu zaufać — mruknęła. Na jego korzyść przemawiało to, że nie wykorzystał *Uratowałem pani życie*, żeby ją przekonać, tylko siedział w milczeniu, czekając. Zamknęła oczy. Nie odzywał się. Chciała mu zaufać. Niczego tak nie pragnęła, jak ujrzeć prezydenta martwego i zhańbionego. Ale czy nawet Siły Kosmiczne są w stanie tego dokonać? Co ważniejsze: czy zechcą?

Otworzyła oczy.

— Czy mam pana słowo, MacRobert jakikolwiek-jest-pana-prawdziwy-stopień, że nie pozwolicie tej łasicy uciec?

— Tak. Jeżeli to pomoże, mogę sprawić, iż zjawi się tutaj i porozmawia z panią wysoki stopniem oficer.

Grace miała nadzieję, że jej mina w wystarczającym stopniu oddawała odczuwany niesmak.

— Admirałowie i generałowie to waga piórkowa, MacRobert. Postanowiłam zaufać panu. Dobrze. Muszę zejść na dół, do biblioteki i dostać się do mojej zabezpieczonej linii. Która godzina? Do licha. Lepiej chodźmy na dół natychmiast.

Spociała się z bólu, a dłonie i stopy miała lodowate, zanim umieścił ją w fotelu i pomógł uruchomić zmontowany przez nią system łączności zewnętrznej. Z nieskazitelną grzecznością wycofał się do właściwej biblioteki, podczas gdy ona rozsyłała zakodowaną wiadomość: „stop, przerwać akcję i czekać na dalsze rozkazy”. Przyjmowanie zwrotów zabrało jej kilka godzin. Śmiertelnie wyczerpała ją walka z bólem i słabością, prostowanie się w fotelu i potwierdzanie każdej odpowiedzi w odpowiednich odstępach czasu za pomocą właściwego, unikalnego kodu.

Wreszcie skończyła. MacRobert odprowadził ją na górę do łóżka.

— Lepiej, żebyście to zrobili — powiedziała ostatkiem sił. — Albo osobiście pana dopadnę.

— Wierzę — odparł. — Obiecuję, że zakończymy sprawę.

Prezydent zasiadł za wypolerowanym biurkiem i ziewnął. Choć przez ostatnich kilkanaście nocy spał znacznie lepiej, wciąż nie mógł przestać ziewać. Na biurku leżał Rozkaz Unieważnienia, który anulował wszystkie wydane przez Slotter Key listy kaperskie i nakazywał kaprom zaprzestanie działań. Próżny gest, biorąc pod uwagę brak czynnego ansibla, przez co w rzeczywistości nie mogli odwołać walczących kaprów, miał jednak nadzieję, że udobrucha hordę piratów. Po wyeliminowaniu tej staruchy miał przynajmniej tylko jednego wroga, z którym musiał sobie radzić.

Drzwi otworzyły się nieoczekiwanie. Podniósł wzrok i ujrzał osobistego asystenta, a za jego plecami jakąś umundurowaną postać.

— Panie prezydencie, komendant Akademii Sił Kosmicznych.

Prezydent spojrział prosto w spokojne oczy człowieka, którym gardził od dziesięcioleci. Asystent wycofał się i zamknął drzwi.

— Komendancie — przemówił, niezdolny do prawdziwego powitania. — Co pana tutaj sprowadza tak...

— Nieoczekiwanie? To. — Komendant kiwnął głową w stronę prezydenckiego biurka.

— Słucham?

— Panie prezydencie, nie bawmy się w gierki. Proponuje pan — nie: postanowił pan — cofnąć wszystkie listy kaperskie bez zasięgnięcia opinii, ani uzyskania zgody Rady. Chce pan podpisać Rozkaz Unieważnienia.

— Skąd pan o tym wie? Szpiegował mnie pan?

— Niech pan nie będzie naiwny. — Komendant usiadł bez zaproszenia. — Wszyscy szpiegują wszystkich. Po to właśnie mamy zabezpieczenia. — Postawił na biurku cylinder szyfratora i uruchomił go. — Znaleźliby się tacy, którzy przełamaliby nawet to, co jednak wymagałoby sporych umiejętności. Panie prezydencie, Siły

Kosmiczne — jako odpowiedzialne za obronę zewnętrzną tego systemu — badały ataki na biura i domy rodziny Vattów...

— To nie było zagrożenie zewnętrzne — zawołał prezydent. Pot spływał mu po plecach. Nie mogli wiedzieć...

— Owszem, źródło zagrożenia było zewnętrzne. I stanowiło poważną groźbę dla integralności naszego systemu, co umieszcza je w zakresie naszych zadań.

— Co to ma wspólnego z Akademią? — zapytał prezydent. — Jest pan szefem uczelni, a nie Sił Kosmicznych.

— To prawda. Komendantem Sił Kosmicznych mianował pan Cairę Tlibiego, prawda?

To było powszechnie wiadome, obaj o tym wiedzieli. Dokąd zmierzała ta rozmowa?

— Owszem, mianowałem go. Co z tego?

— Poważany oficer o znakomitym przebiegu kariery — stwierdził komendant. — Czy zaskoczy pana wiadomość, że oferował i przyjmował łapówki?

Prezydent zdawał sobie sprawę, że twarz błyszczą mu od nerwowego potu, nie ośmielił się jednak jej otrzeć. Skrzywił się.

— Nie wierzę w to — powiedział. — To atak polityczny na człowieka honoru...

— Raczej nie — zaprzeczył komendant. — Wie pan, przyznał się. Łapówkarstwo, wymuszenia i kolaboracja z zewnętrznym wrogiem.

Prezydentowi zrobiło się słabo. Nie Tlibi, nie ten szorstki w obyciu, a jednocześnie rubaszny mężczyzna, który zawsze był najbardziej przystępnym i życzliwym wojskowym, jakiego znał.

— Muszę wspomnieć, panie prezydencie, iż wymienił on — naprawdę przykro mi, że muszę to powiedzieć — pańską osobę wśród tych, z którymi łączyły go korupcyjne układy. Biorąc pod uwagę jego reputację, nie uwierzyliśmy mu, rzecz jasna, na słowo, obawiam się jednak, iż będzie musiało dojść do śledztwa...

Wstrząs i wściekłość przegnały rozwagę.

— Jak tego dokonała? — Prezydent usłyszał własne słowa.

— Ona? — To jedno słowo przestrzęło go i przywróciło mu kontrolę nad sobą.

— Nieważne. — Zaczerpnął tchu. — Nie muszę chyba mówić, że zaprzeczam wszystkiemu, co pan powiedział. Nie wiem, jakimi sposobami zmusiliście niewinnego człowieka do przyznania się do zbrodni, których nie popełnił, lecz nie uwierzę, by Tlibi był zdolny do tak niecznych postępów i oczywiście zaprzeczam, abym to ja takowe popełnił.

— Rozumiem, panie prezydencie — powiedział komendant.

— A teraz muszę poprosić pana o opuszczenie tego gabinetu — dodał prezydent. — Jestem zajęty, lecz natychmiast zasięgnę rady moich służb prawnych odnośnie tej... tej obrzydliwości.

— Nie — zaprzeczył komendant. — Nie zamierzam stąd wyjść.

— Ale pan... — Prezydent dźgnął przycisk alarmowy w poręczy fotela. Nic się nie stało.

— Panie prezydencie, w tej chwili jest pan... odcięty. Rada rozważa, co powinna uczynić, a ja jestem tutaj, aby dopilnować, by nie kontaktował się pan z nikim, ani nie podejmował żadnych działań związanych ze sprawowanym przez pana urzędem.

— Jak pan śmie!

— Na rozkaz Rady, panie prezydencie. Zostali powiadomieni o istotnych faktach i to na ich prośbę — nie: polecenie — ma pan być strzeżony przez wprowadzonego już w sytuację wysokiej rangi oficera Sił Kosmicznych. — Gwałtownie zmienił ton. — Sir, na pana miejscu nie sięgałbym do tej szuflady.

Prezydent odsunął rękę od schowka, w którym trzymał broń osobistą.

— Myli się pan — oznajmił. — Całkowicie się pan myli i zostanie oczyszczony przez sąd. A potem pańska kariera legnie w gruzach.

— To ryzyko każdego zawodowego wojskowego — powiedział komendant, wzruszając lekko ramionami. — Słuszne postępowanie niesie ze sobą zagrożenia, które akceptujemy.

— Mógłbym pana zabić.

— Wątpię. — Komendant uśmiechnął się i wcale nie był to miły i życzliwy uśmiech Tlibiego, tylko grymas, który zmroził prezydentowi serce.

Rozpaczliwie pragnął dowiedzieć się, jak to odkryli. Czy to Graciela Vatta, to okropne, stare pudło? Powinna już nie żyć, a przynajmniej być bliska śmierci. Odstrzelili jej ramię; leżała na sali amputacyjnej. Z pewnością ktoś tkwiący na sali amputacyjnej nie byłby w stanie tego zorganizować, nawet gdyby dysponowała wiedzą... A nie istniał sposób, żeby się dowiedziała...

— Chcę wiedzieć... — zaczął.

— Jestem pewny, że ma pan wiele pytań, panie prezydencie — przerwał mu komendant — ale nie zezwolono mi na nie odpowiadać.

— To oburzające — rzucił prezydent. To właśnie mówiło się w takich sytuacjach, przekonał się jednak, że jeśli nie słuchał tego nikt, komu zależało, brzmiało to żałośnie, jak bezsilny wybuch wściekłości, którym w istocie był.

— Z wyjątkiem — dodał powoli komendant, wyciągając z zanadrza niewielkie pudełko — tego. — Otworzył pojemniczek i postawił go na biurku prezydenta, w zasięgu jego ręki. Wyglądał jak — i był nim — pudełko na lekarstwa. W środku znajdowała się niewielka pastylka.

Prezydent poczuł, jak wnętrzności skręcają mu się ze strachu. Nie może być. Nie mogło być niczym innym.

— Taki postępek pozbawiłby nas niestety istotnych dla sprawy informacji — powiedział komendant. — Zostałbym surowo ukarany, że nie przewidziałem takiego działania i nie zapobiegłem mu. Z drugiej strony, z punktu widzenia człowieka, którego czeka intensywne przesłuchanie w sprawie sprzeniewierzenia się obowiązkowi urzędnika państwowego i zdrady stanu, takie rozwiązanie mogłoby być pożądane, choć, rzecz jasna, stanowiłoby jednocześnie przyznanie się do winy.

Niewielka pastylka zdawała się puchnąć, przesłaniając przyszłość. Usta prezydenta wypełniła kwaśna ciecz; przełknął.

— Czy to... czy to jest.. jest... bezbolesne?

— Nie — odrzekł komendant. — Za to szybko.

Przez głowę przebiegały mu tysiące myśli, malutkie obrazki. Elekcja, inauguracja, liczne przemowy, konferencje, rozmowy z liderami partii, prominentnymi biznesmenami, te wszystkie poufne ustalenia, znaczące spojrzenia i rzucanie jednego — dwóch słówek w odpowiednich miejscach. Wiedział — na tym polegała jego praca — jak skutecznie wyciągało się informacje od więźniów. Jego sprzymierzeńcy i przyjaciele oczekiwali od niego, że będzie ich chronił. Czy na pewno? Może właśnie teraz obmyślali, jak zaprzeczyć swojemu współudziałowi? Może zostali już aresztowani i właśnie ujawniają wszystko, żeby ratować własne skóry?

Głosik w głowie zawodził, że wcale nie był złym prezydentem. Nie zrobił niczego, czego nie robiliby inni, przynajmniej dopóki nie pojawiło się zagrożenie dla jego rządów... *Ciebie i rodzinę też mamy na celowniku...* dla niego. A wówczas nie mógł postąpić inaczej, nikt nie mógłby. Rząd go potrzebował, potrzebował jego dobrze znanej twarzy i głosu, które dodawały im otuchy w czasie kryzysu. Jeżeli jedna rodzina musiała niesprawiedliwie ucierpieć — o ile w ogóle cierpienie to było niesprawiedliwe — to dla dobra ogółu...

Rozmyślania przerwał mu wzrok komendanta; mężczyźnie opadała jedna powieka, jakby właśnie zaczynał drzemkę, ale i tak badawcze spojrzenie przypominało reflektor. Prezydent wiedział, że ten człowiek nie wysłucha, a nawet jeśli, to nie przyzna racji jęklivemu głosikowi.

Prezydentowi zaschło w ustach; przemówił chropawym głosem.

— Myśli pan, że powinienem...

— Nie mam zdania — odrzekł komendant. — Albo raczej: mam swoje zdanie, lecz wygłoszenie go nie byłoby właściwe.

— Ja... potrzebuję czasu do namysłu...

Komendant zerknął na zegar na ścianie; zadrgał mu lewy kącik ust.

— Naprawdę? To może okazać się niefortunne.

— Mógł pan powiedzieć, że to bezbolesne! — Ten wybuch nagromadzonej w nim skargi nawet jemu wydał się dziecinny.

Komendant pokręcił głową.

— Ja nigdy nie kłamię — oznajmił. Inni też tak mówili i kłamali. Prezydent miał olbrzymie doświadczenie z łgarzami, małymi i wielkimi. Lecz tym razem, w przypadku tego człowieka, wrodzona uczciwość była równie oczywista, jak wrodzona nieuczciwość u innych. To nie była przechwałka. Ani próba przekonywania go. To było proste stwierdzenie faktu: on nie kłamał.

Niech go szlag trafi. Niech szlag trafi jego arogancką, sztywną, pełną przekonania o własnej słuszności fałszywą pokorę. Czemu chociaż nie triumfował, nie cieszył się, nie zachowywał podle, do czego mógłby się przyczepić i czerpać poczucie własnej, moralnej wyższości?

Prezydent poczuł piekące łzy i zamknął oczy. Nie rozplacze się przy tym człowieku. Nie będzie błagał o litość, bo jej nie zazna. Drżały mu schowane pod biurkiem dłonie, lecz był przekonany, że komendant to zauważył.

— Moja żona... — zaczął, zadowolony z opanowanego tonu. — Z całą pewnością nie jest w nic zamieszana.

Komendant skinął głową.

— Panie prezydencie, nikt nie podejrzewa pańskiej żony.

— Ja zaś kategorycznie zaprzeczam, abym uczynił coś nielegalnego... lub niewłaściwego.

— Rozumiem, panie prezydencie.

— Dowody, które ujrziała Rada, są sfalszowane. To podły spisek przeciwko mnie.

— Rozumiem, panie prezydencie. — Po dłuższej chwili: — Czas ucieka, panie prezydencie.

Gdzieś poza jego gabinetem, pewni ludzie przeszukiwali już pliki i szafki, przepytывali urzędników i sekretarki, sprzątaczkę i kucharkę. Wyobraźnia, która czyniła z niego tak świetnego polityka, umożliwiając mu dostrzeżenie punktu widzenia innych i przechytrzenie ich, teraz podsunęła mu korowód obrazów: wciśnięci w kąty biur, mamroczący do siebie pracownicy o wytrzeszczonych oczach, siedzące przy śniadaniach, zaniepokojone rodziny, płaczące dzieci, oburzeni i wystraszeni małżonkowie, okropny bałagan, jaki pozostawiało po sobie każde oficjalne dochodzenie.

Pastyłka w pudełku zdawała się pulsować w rytmie tych obrazów, wabiąc i przerażając. Zawsze uważał się za odważnego — co zrobiłby człowiek odważny? Stawił czoła śledztwu i nieuniknionemu procesowi? Wciągnął za sobą w bagno żonę, krewnych i przyjaciół? Zakończył życie z workiem na głowie, żeby oficjalni świadkowie egzekucji nie musieli oglądać jego twarzy, tak jak nie muszą czuć nieprzyjemnych zapachów nagłej śmierci dzięki odgradzającej ich szklanej ścianie? Czy umrzeć natychmiast, szybko, skoro już nie bezboleśnie, w nadziei, że taka śmierć odbierze zapach śledczym? Że zadowolą się jego zgonem?

Chciał zapytać, jak bardzo będzie bolało, jak wielkie było to cierpienie, lecz pomimo targających nim emocji wiedział, że komendant mu nie odpowie. Jeżeli w tej małej pigułce faktycznie kryła się śmierć, to nikt nie przeżył, by opowiedzieć, jak okropna była. Ani jak szybka.

Nigdy nie uważał siebie za niepewnego. Zawsze wygłaszał zdecydowane opinie, a zajmowane przez niego stanowisko w jakiejś sprawie mogły zachwiać jedynie praktyki sprawowanego urzędu. Teraz jednak wahał się i nienawidził się za to.

Przez zamknięte drzwi usłyszał hałas na korytarzu.

Nie namyślając się więcej, porwał pudełko z blatu, wytrząsnął pastylkę na dłoń i wrzucił sobie w usta. Gorzka trucizna rozpuściła się i sekundę później ból skrzył jego ciało, rozpalając kości żywym ogniem.

— Dobrze pan zrobił — podsumował komendant. Usłyszał go, pomimo ogromu cierpienia i szumu w uszach. Poczł przelotną wdzięczność za tę drobną pochwałę. A potem dźwięk i ból spotkały się i stały nie do zniesienia. Zagubił się w chaosie.

Rozdział 13

Konfederacja Moskiewska

Po założeniu konta okrętu, Ky poprosiła o dostęp do pozostałych rachunków Vattów.

— Oczywiście — odpowiedziała szefowa oddziału. — Została pani zidentyfikowana jako uprawniona, kapitanie okrętu Vattów. Co chce pani zrobić?

— Przelać niewielką sumę na konto okrętu, którą zwrócę po otrzymaniu zapłaty z Centrum Rehabilitacyjnego Zachodniej Cascadii. Musimy zapłacić za postój, powietrze i takie tam.

— W takim razie potrzebuje pani około tysiąca — oceniła. — Oto wyciągi z różnych kont Vattów. Utworzono rachunek ogólny oraz osobne konta dla poszczególnych statków...

— Dokonam przelewu z rachunku ogólnego — postanowiła Ky. — Ile czasu idą pieniądze z planety?

— Z jednostki takiej, jak Centrum Rehabilitacji, około czterech godzin. Musimy zweryfikować transfer z oddziału, to wszystko.

Ky zsumowała w myślach poniesione do tej pory opłaty.

— Ma pani rację, tysiąc powinien wystarczyć. — Przelew zajął sekundę. Ky autoryzowała płatność zaległych rachunków w kwocie 978 kredytów i wróciła na okręt z nowo zaprogramowanym kierunkowskazem. Była w stanie przewidzieć większość wyćwierkiwanych wskazówek i z radością cisnęła go do kosza przed wejściem do doku.

Wyświetlacz statusu przy okręcie jarzył się na zielono — wszystkie opłaty uiszczono. W okolicy nie widać było lokalnej policji, która kręciła się tutaj, gdy wychodziła. Pomyślała, że to bardzo praktyczny sposób zapobiegania odlotom przed uregulowaniem rachunków. Niewielki, niebieski pasek u dołu ekranu zaskoczył ją, lecz kiedy go dotknęła, pojawiło się wyjaśnienie: przyznano 48-godzinny limit kredytowy. Nie będzie musiała dokonywać ponownych transferów, nawet jeśli opóźni się płatność z centrum rehabilitacyjnego... świetnie.

Po wejściu na pokład spotkała Toby'ego. Choć raz nie kręcił się przy nim pies.

— Nie każesz mi sprzedać Hultaja, prawda?

— Co? Oczywiście, że nie. Skąd ten pomysł?

— Przychodzą oferty. To jedyny ładunek, którym są zainteresowani i proponują mnóstwo pieniędzy... A on sprawił tyle kłopotów... — Toby był bliski łez.

Ky położyła mu rękę na ramieniu.

— Posłuchaj, Toby. Hultaj nie jest ładunkiem. Należy do załogi. Owszem, jest hałaśliwy, brudny, śmierdzący i wredny, ale oficjalnie to *nasz* pies, a w rzeczywistości *twój*.

— To całe mnóstwo pieniędzy — powtórzył Toby, najwyraźniej nie wierząc jej. — Martin powiedział, że możesz ich potrzebować.

— A to mnóstwo pieniędzy to dokładnie ile? — zaciekawiała się.

– Ekhm... Hmm... trzydzieści siedem tysięcy.

– Za psa? – To chyba niemożliwe. Do czego przydawały się psy, oprócz bałaganienia i pocieszania sierot?

– Tak. A Martin uważa, że jeszcze podbiją cenę... Nie daliśmy nawet ogłoszenia.

– Cóż, nie sprzedalabym *ciebie* za trzydzieści siedem tysięcy, ani za trzydzieści siedem milionów – oznajmiła Ky. – I nie sprzedam twojego psa. – Ale cyfry i tak tańczyły jej w głowie. – Jeśli jednak nie miałbyś nic przeciwko temu, może sprzedamy jego spermę.

– Ufasz im?

– Nie. Ale jeśli wynajmiemy weterynarza, to jestem pewna, że znajdzie się sposób, aby zrobić to na pokładzie okrętu w sposób, który mu nie zaszkodzi, a ty mógłbyś rozpocząć swoją kupiecką karierę. – I zapłacić za edukację, gdyby okazało się, że jego rodzice nie żyli.

– To tylko szczeniak...

– Urósł od Lastway, Toby, tak samo, jak ty. Rzućmy okiem... Skoro psy są tutaj tak rzadkie i cenne, mogą nie mieć weterynarza na stacji, lecz na planecie powinien znaleźć się choć jeden specjalista od sztucznego zapłodnienia. Sprawdźmy to.

Książka teleadresowa stacji zawierała jedynie adresy dwóch weterynarzy, posiadających uprawnienia w zakresie „procedur kwarantanny i certyfikacji zdrowotnej importowanego/eksportowanego żywego inwentarza”. Jeden z nich wymienił gatunki, w których się specjalizował, w tym takie, o jakich Ky nigdy nie słyszała, lecz nie było wśród nich psów. Ogłoszenie drugiego stwierdzało: „certyfikacja ograniczona do bydła kopytnego”.

Baza adresowa Cascadii wymieniała tylko pięciu „specjalistów od psów”, z czego jeden zajmował się „usługami reprodukcyjnymi”. Ky porównała strefy czasowe z podanymi godzinami przyjęć. Siedem godzin do otwarcia. Zerknęła na Toby'ego.

– Gdzie go schowałeś?

Zarumienił się.

– W... skrzynce za sprzętami w salce gimnastycznej.

– Nie wydaje ci się, że powinieneś go wypuścić?

– Tak. Po prostu martwiłem się...

– Cóż, niepotrzebnie. Nie stracisz swojego pieska. Idź i uwolnij go, zanim rozwali skrzynkę. – Zdołała powstrzymać się przed zwyczajowym: *i trzymaj go z dala od kłopotów*. W tej chwili Toby nie potrzebował takich uwag.

– Tak jest. – Toby zerwał się do biegu, gładko omijając Rafe'a, który właśnie wchodził na mostek.

– Chłopiec i jego pies – odezwał się, gdy Toby wybiegł. – Przypuszczam, że powiedziałaś mu, iż nie zamierzasz sprzedać Hultaja?

– Tak – potwierdziła Ky. – Chociaż wynajmiemy weterynarza. Skoro są tacy zainteresowani tym psiakiem, to zamrożona sperma też będzie chyba miała swoją wartość.

– Wy, Vattowie, jesteście zupełnie jak najemnicy – rzucił Rafe, choć bez szczególnej złośliwości. – Zauważyłem, że zniknął nasz stróż. Zakładam, iż oznacza

to, że przyszedł przelew?

— Kiedy byłam w banku, pieniądze jeszcze nie pojawiły się na koncie, więc przelałam trochę z innego rachunku Vattów, by uiścić opłaty portowe.

Zadzwoił jej telefon czaszkowy. Gestem odprawiła Rafe'a i odebrała połączenie.

— Właśnie otrzymaliśmy przelew z centrum rehabilitacyjnego, którego pani oczekuje. — Implant wyświetlił jej numer i nazwisko rozmówcy, chociaż sama rozpoznała głos przedstawicielki Crown&Spears. — Powinniśmy otrzymać potwierdzenie pod koniec zmiany. Chciałaby pani, żebyśmy potem przelali tamten tysiąc z powrotem na konto korporacyjne Vattów?

Ky zapytała implant o historyczne związki Konfederacji Moskiewskiej z Transportem Vattów. Pod odpowiednim nagłówkiem jej ojciec zanotował „...wymaga opanowanych, dojrzałych kapitanów o nadzwyczajnych umiejętnościach interpersonalnych. Ci ludzie są wściekle uprzejmi, lecz czasami kapryśni. Załoga statku nie może pod żadnym pozorem ujawnić faktu posiadania zwierzątek domowych, zwłaszcza psów. W tym społeczeństwie panuje powszechne przekonanie, że ich własne psy zostały im ukradzione przez statki kupieckie, w związku z czym będą się upierać, że każdy pies jest jednym z tych ukradzionych, bądź ich potomkiem. Mają niewiele psów, co wynika z problemu, pojawiającego się także na wielu innych terraformowanych światach, gdzie lokalna zwierzyna jest wysoce toksyczna dla psów.”

Niemal słyszała głos ojca, opadający w znajomych kadencjach. Tak właśnie wyjaśniał jej różne rzeczy lub rozmyślał na głos, wyczerpująco i precyzyjnie przedstawiając każdą ideę. Ogarnął ją smutek. Nie mogła uwierzyć, że już nigdy go nie zobaczy, że nie powita jej na Slotter Key, gdyby tam wróciła. Wiedziała — uwierzyła w opowieść Stelli — ale zdawało się jej to nierealną fantasmagorią.

Chciała wrócić do domu. W szkole, ani na Akademii, ani nawet podczas pierwszej podróży — nigdy nie tęskniła za domem. Wspomnienia pocieszały ją, a nie przygnębiały. Teraz odczuwała zew Slotter Key, znanych widoków i zapachów, znajomych konstelacji na znajomym, nocnym niebie, szczególnego odcienia zieleni plantacji tiku, dotyku deszczu na twarzy, chłodnej terakoty holu pod jej bosymi stopami, kolorów kwiatów. Nie wydawała się jej możliwa sytuacja, że już nigdy nie przejdzie tym holem, nigdy nie rzuci się na to łóżko, nigdy więcej nie obejrzy ukrytych w szafce dziecięcych skarbów, nigdy nie zobaczy, ani nie usłyszy... pozwoliła sobie na chwilę rozmyślań o tym ... jej ojca, matki, braci. Zachowane w implancie ojca nagrania ukazywały moment zniszczenia, to, co widział ojciec, lecz nie to, co wydarzyło się potem... Czy coś w ogóle ocalało?

Przegnała łzy mruganiem i zmusiła się do skupienia na obecnej sytuacji. Czyli nie powinna była pozwolić, aby tubylcy dowiedzieli się, że mieli psa... Jak bardzo zły będzie rezultat? Czy powinna ostrzec Toby'ego? Znalezienie dobrej kryjówki dla psa zdawało się być rozsądnym posunięciem, tak samo, jak upewnienie się, że uzupełnili zapasy na wypadek, gdyby musieli zamknąć okręt i pośpiesznie odlecieć.

Powinna również sprawdzić w prawniczej bazie danych lokalne przepisy dotyczące psów.

Sallyon

Stella Vatta Constantin wysłuchiwała litanii skarg na zachowanie swej kuzynki Ky i zastanawiała się, co też tamta wyprawiała. Na Lastway jej cele wydawały się proste: przetrwać ataki, odszukać i połączyć się z innymi ocalałymi Vattami, spróbować przeorganizować struktury komercyjne Vattów. Przy tych założeniach wynajęcie najemników do ochrony miało sens, tak samo, jak uformowanie konwoju celem redukcji kosztów. Lecz po rozprawie z Osmanem zachowanie Ky zmieniło się i Stella nie była już pewna, czy Kylara nadal stawiała Vattów — rodzinę i interesy — na pierwszym miejscu.

Stella walczyła ze wspomnieniami o Ky, jako o upartym i apodyktycznym dziecku, próbując zrozumieć osobę, w jaką tamta przekształciła się przez te wszystkie lata, przez które się nie widziały. Schludna, zwięzła, zdecydowana, młoda pani kapitan z doku w Lastway ewidentnie zmieniła się, dojrzała. Stella nie wiedziała, czy był to wpływ Akademii Sił Kosmicznych, czy czegoś innego, ale zaczynała lubić i ufać tamtej Ky oraz wierzyć, że Grace miała rację mówiąc, iż to Kylara powinna przeprowadzić rodzinę przez obecny kryzys. Doceniała, że Ky toczyła taką samą walkę, by widzieć w niej terażniejszą Stellę, a nie tamtą Stellę-idiotkę.

Teraz nie była już tego taka pewna. Dlaczego Ky odmawiała wszczepienia sobie implantu ojca aż do sytuacji kryzysowej, czyli najbardziej niebezpiecznej chwili na podejmowanie próby wymiany sprzętu? Dlaczego nie przyjęła oferty pomocy najemników, skoro nie ufała Rafe'owi? Dlaczego nie posłuchała rady najemników, by opuścić system, zamiast nawiązywać kontakt z podejrzanym dogodnie pojawiającym się „statkiem” Vattów, który okazał się jednostką dowodzoną przez Osmana? Ky tak bardzo ryzykowała — życiem ich wszystkich, nie tylko swoim. Chłopca Toby'ego, którego powinna ochraniać w pierwszym rzędzie. Rozmawiała z Tobym o samobójstwie, co Stella uznała za okropne, biorąc pod uwagę doświadczenia chłopca z przeszłości.

A co do samej bitwy... Walczyła, by nie okazać Ky, jak bardzo wstrząsnął nią sposób, w jaki Kylara ją przeprowadziła. Tamten feralny uśmiech triumfu, tak różny od wywołującego mdłości poczucia winy, jakie odczuwała Stella, gdy musiała kogoś zabić... Miała paskudne wrażenie, że Ky spodobało się ukatrupienie Osmana i że nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia.

Poczuła ulgę, że Ky zostawiła ją na *Garym Tobai*, a jednocześnie przeraziło ją to. Jak Ky mogła powierzyć dowodzenie statkiem kompletnej nowicjuszcze, nawet zostawiając jej doświadczoną załogę? Co więcej, jak Ky mogła pomyśleć, że Stella będzie latać uszkodzonym statkiem — którego nie знаła — ze zredukowaną do minimum załogą?

Równie wielkim szokiem była dla niej decyzja Ky, że pozostawi ją na *Garth-Lindheimerze*, zamiast poddać pod osąd prawny swoje roszczenia do okrętu

Osmana. Odmowa poddania się przewodowi sądowemu ocierała się o bezprawie. To było niepodobne do Ky; zawsze była do bólu praworządny dzieciakiem.

A teraz poznała nowe dowody, że Ky nie była tym, na kogo wyglądała na Lastway, lecz raczej kimś podobnym do młodego Osmana: błyskotliwym, acz nieobliczalnym i pozbawionym sumienia liderem o wygórowanych ambicjach. Zabójcą.

Uśmiechnęła się miło do przesłuchujących ją urzędników o surowych twarzach.

— Mnie naprawdę interesują wyłącznie dostawy i handel — powtórzyła po raz czwarty, czy piąty. — Przykro mi, że moja kuzynka tak was rozgniewała, lecz sami widzicie, że ten statek jest nieuzbrojony, mały i powolny. Koncentruję się na przywróceniu Vattom reputacji solidnego przewoźnika, a nie jakichś planach oczyszczenia wszechświata z piratów. — Pozwoliła sobie na nutkę humoru, jaki mogłaby okazać starsza osoba młodszej, niesfornej krewniaczce.

— Uważa ją pani za niebezpieczną? — zapytał jeden z oficjeli.

Trudne pytanie; Stella żałowała, że nie znała na nie odpowiedzi.

— Z pewnością nie dla kogoś, kto nie współpracuje z piratami — odrzekła w końcu. — Nie wiem, czy opowiedziała panom o atakach na naszą rodzinę?

— Tak — odparł mężczyzna. — Nie byliśmy jednak pewni, czy jej wierzyć.

— To prawda — potwierdziła Stella. — Jej rodzice zostali zabici; mój ojciec także. Obie straciłyśmy rodzeństwo i wielu krewnych. W różnych portach zaatakowano statki Vattów; na przykład na Allray straciliśmy cały statek z załogą, z wyjątkiem jednego chłopca, który załatwiał coś na mieście. Ja sama zostałam napadnięta, a mój statek i załogę zaatakowano na Lastway. Jestem pewna, że gdyby miała okazję, wyrządziłaby jak najwięcej szkód tym, którzy to zrobili.

— Powiedziała to samo. Utrzymywała również, że posiada list kaperski od swojego rządu...

— Zgadza się. Widziałam go na własne oczy. Nie znam się na listach kaperskich — do tej pory zajmowałam się raczej robieniem interesów na planetach, nie w kosmosie.

— A mimo to zostawiła pani dowodzenie statkiem...

— W sytuacji zagrożenia, dając mi doświadczoną załogę. — Stella nie zamierzała pomagać w oczernianiu Ky, nawet jeśli sama żywiła wątpliwości. — Oczywiście, w najbliższym porcie wynajęłam doświadczonego kapitana i uzupełniłam załogę.

Zagapili się na nią, a ona odpowiedziała uśmiechem. Wreszcie jeden z nich pokręcił głową.

— Cóż. Trudno mi uwierzyć, że jest pani zamieszana w jej knowania, jeśli jednak ją pani spotka, proszę przekazać, że ani ona, ani jej okręt nie są w tym systemie mile widziani. Może pani handlować, ale wolelibyśmy, aby pani załoga nie opuszczała statku, a wszystkie transakcje muszą zostać zatwierdzone przez nasze służby bezpieczeństwa. Jasne?

— Tak — potwierdziła Stella. Będzie to utrudnieniem, ale nie uniemożliwi prowadzenia interesów.

— Może udać się pani do Gildii Kapitańskiej, lecz tylko w towarzystwie naszego funkcjonariusza.

— Wspaniale — rzuciła Stella. — Chciałam wynająć ochronę na wypadek, gdyby nadal ktoś czyhał na członków rodziny Vattów, ale oficjalna eskorta powinna być znacznie bardziej skuteczna.

Po ich minach sądząc, nie spodziewali się takiej odpowiedzi. Co ta Ky narobiła, albo nagadała? Stella poczuła ponowne ukłucie urazy. To nie w porządku, że musiała po niej sprzątać.

Gdy Stella zjawiała się w Gildii Kapitańskiej, poczuła intensywne zainteresowanie wszystkich, od recepcjonisty po pochłoniętych rozmową w kącie kapitanów, z których jeden natychmiast wstał i ruszył w stronę baru. Była przyzwyczajona do gapienia się na nią i ubrała się tak, by podkreślić swe walory, czuła jednak pewność, że tym razem to nie jej uroda przyciąga spojrzenia. Towarzysząca jej policjantka szturchnęła ją w bok.

— Proszę pamiętać: żadnych gadek o sojuszach i spiskach.

— Wiem — odrzekła Stella, zmuszając się do spokoju. — A jeśli ktoś inny poruszy te tematy, mam uciąć rozmowę.

— Oby tak było — rzuciła kwaśno funkcjonariuszka. Była niską, krępą kobietą o szerokiej, pospolitej twarzy. Stella natychmiast zorientowała się, że tamta ma do niej żal za jej wzrost i piękno, choć sama nigdy by tego nie przyznała, nawet przed sobą. Przez całe życie znosiła taką zawiść.

Od baru oderwał się wysoki, siwowłosy kapitan i podszedł do niej.

— Kapitan Vatta?

— Tak — odparła Stella.

— Miło panią poznać. Jestem Rogier Sanlin z Porodin Shipping. Mój statek to *Miasto Curry*.

Stella sprawdziła w implancie. Porodin Shipping był firmą operującą w czterech systemach i obsługującą jedną trasę, którą latało osiem statków. Pomniejszy konkurent w czasach potęgi Vattów.

— Miło mi, kapitanie Sanlin — odpowiedziała. Obejrzał ją sobie tak, jak większość mężczyzn, lecz uczynił to w uprzejmy sposób. — Co mogę dla pana zrobić?

Zerknął szybko na jej obstawę.

— Proszę się nie martwić, zapowiedziano nam, o czym z panią nie rozmawiać, a ja i tak nie zamierzałem poruszać takowych tematów. Porodin interesuje się jedynie przewozami, niczym innym. Byłem ciekaw, czy ma pani jakiś ładunek do któregoś z naszych portów lub taki, który okazałby się interesujący dla nas.

— Możliwe — powiedziała Stella. — Porozmawiajmy. — Po paru minutach ustalili, że mógłby kupić od niej tekstylia, lecz tylko pod warunkiem, że przyjmie w zamian miejsce pod załadunek.

— W obliczu awarii tak wielu ansibli finansowych na rynku nie ma zbyt dużo pieniędzy — wyjaśnił Sanlin.

Była to dopiero pierwsza z całego cyklu takich rozmów. Stella szybko połapała się w zawiłościach handlu „ładunek za przestrzeń” i do lunchu zarobiła osiemset

kredytów w twardej walucie.

— Ciocia Grace zawsze powtarzała, że urodziłam się do drukowania pieniędzy — oznajmiła swojej eskorcie — ale przypuszczam, że chodziło jej o zamążpójście. — Kobieta spiorunowała ją wzrokiem.

Stella przeciągnęła przez czytnik kostki z umowami sprzedaży, aby policjantka mogła sprawdzić, czy dotyczyły legalnych towarów. Kobieta wyglądała na rozłoszczoną, że nie znalazła nic, do czego mogłaby się przyczepić.

Była już niemal pora obiadu. Rozważała dalsze rozwścieczanie funkcjonariuszki zjedzeniem posiłku w restauracji Gildii Kapitańskiej, ale tak pewnie postąpiłaby Ky. Z drugiej strony, miała już dość okrętowej kuchni. Załoga nie miała nic przeciwko pozostaniu na pokładzie, ale byli wszak profesjonalnymi astronautami. Ona nie. Spojrzała na towarzyszkę.

— Może pani polecić jakieś dobre miejsce do zjedzenia lunchu?

— Może pani jeść tutaj — odrzekła kobieta. — Ale pójdę z panią.

— Oczywiście — zgodziła się Stella. — Lecz bardzo prawdopodobne, że przysiedliby się do mnie inni kapitanowie, a ja nie chciałabym pani martwić.

— Nie przeszkadza mi to. Po prostu pani przerwę.

Stella zdołała powstrzymać się od przewrócenia oczami. Podeszła do lady recepcyjnej i odezwała się do stojącego tam pracownika:

— Długo tkwiłam na pokładzie bardzo małego statku. Chciałabym znaleźć miejsce, gdzie mają dobre jedzenie i przez co najmniej godzinę nikt nie będzie zawracał mi głowy interesami. Może pan coś polecić?

— „Melandra” — odparł. — Będzie potrzebna rezerwacja. Dla jednej osoby? — Spojrzał na obstawę. — Dwóch?

— Dwóch — potwierdziła Stella i uśmiechnęła się.

Zadzwoił i podał jej wskazówki.

— Tam jest bardzo drogo — powiedziała policjantka, gdy wyszły na korytarz stacji.

— Jestem tego pewna — odparła Stella. — Miejsca, które zapewniają spokój, zwykle takie są. Przeszkadza to pani?

— Nie — zaprzeczyła kobieta. — Nigdy tam nie byłam. Słyszałam, że mają wyłącznie naturalną żywność, nic wyhodowanego w kadzi.

Do „Melandry” prowadziły proste, szare drzwi z nazwą wypisaną złotymi literami. Stella zatrzymała się.

— Stella Vatta — powiedziała. Drzwi otworzyły się na wyłożony chodnikiem hol o szaro-burgundowych ścianach, po czym zamknęły się, gdy weszły do środka, oddzielając je od hałasów korytarza. Skądś dobiegały łagodne dźwięki jakiegoś strunowego instrumentu.

— Tędy, proszę — dobiegł ich przyjemny głos z poziomu podłogi. Stella opuściła wzrok. Szmaragdowymi oczami zamrugał do nich sięgający kolan artibod o metaliczno-burgundowym korpusie. Pojechał przodem, skręcił w lewo i poprowadził do miejsca, które wyglądało jak wiejska altana w wiosenno-letnim sadzie. Pomiedzy wyścielanymi ławkami stał nakryty na biało stół. Po treliazu pięła się winorośl. Pod

murem rosło drzewo obsypane białym kwieciami, a obok drugie, uginające się pod ciężarem błyszczących, czerwonych owoców. Lekki wietrzyk poruszał liśćmi; powietrze pachniało różami, trawą i ziemią. — Proszę usiąść — przemówił artibod. Stella zajęła jedną ławkę, a policjantka drugą. Poczuli, jak siedzisko dostosowuje się do jej ciała, a oparcie wybrzusza, by zapewnić plecom idealny komfort. Funkcjonariuszka zrobiła zaskoczoną minę, ale nie odezwała się.

— Porę roku można zaprogramować — poinformował je artibod. — Kontrolki znajdują się na stole; wkrótce pojawi się tam menu. Czy panie życzą sobie obsługę artiboda, czy człowieka?

— Artiboda — odparła Stella równocześnie z kobietą, która powiedziała: — Człowieka. — Popatrzyły po sobie i policjantka wzruszyła ramionami. — Artiboda — powtórzyła Stella.

— Proszę wprowadzić do stołu zamówienie, kiedy będą panie gotowe — oznajmił artibod i odjechał.

— Nie wiedziałam — odezwała się policjantka. — Czy tu naprawdę jest tylko jeden stolik?

— Przynajmniej w tej salce — odparła Stella. — Jestem pewna, że mają inne. — Przyjrzała się panelowi kontrolnemu na stole. Faktycznie, ustawiona była pora roku pomiędzy wiosną a latem; było chłodno w cieniu, a ciepło w blasku sztucznego słońca. — Wygodnie pani?

— Tak. — Kobieta rozglądała się dokoła. Stella odprężyła się na ławce, która dostosowała się do zmiany ciężaru. — Nie przekupi mnie pani.

— Słucham?

— Zabierając mnie do takiego wytwornego miejsca. Nie uda się pani mnie przekupić, żebym pozwoliła na rozmowy z innymi kapitanami o konspiracji.

— Nie chcę rozmawiać z kapitanami o konspiracji — zaprzeczyła Stella. — Chcę zjeść miły lunch, w którym nikt mi nie przeszkodzi, ani nie będzie mówił o zakazanych przez was sprawach. — Funkcjonariuszka zrobiła głupią minę. — Co by pani pomyślała — ciągnęła Stella — gdyby ktoś podszedł i zaczął wypytywać o działania Ky?

— Kazałabym pani zakończyć rozmowę.

— Mimo, że to nie ja ją zaczęłam. Zgadza się. Wobec czego wolałam zjeść lunch w spokoju w miejscu, gdzie nikt mi nie przeszkodzi. To jest miłe miejsce. Co pani je?

Wyświetlane na obrusie menu zawierało zarówno standardowe dania, jak i egzotyczne z opisem dostępnym po dotknięciu. Stella wybrała pieczonego kurczaka z warzywami oraz zieloną sałatę. Jej towarzyszka skrzywiła się, przeglądając menu.

— Nie mają zwykłych kanapek.

— Mogą mieć, jeśli o nie poprosimy — powiedziała Stella. — Jakiś szczególny rodzaj?

— Zazwyczaj jadam w kiosku na pokładzie B. Smażone kostki sojowe z cebulą zawijane w placek.

— Aha. Przypuszczam, że najbliższa temu będzie Grillowana Kieszeń. Ja biorę kurczaka.

— Jest droższy.

— Proszę się tym nie martwić — ja płacę.

— To... też poprosiłabym kurczaka.

Stella skinęła głową i wprowadziła zamówienie. Podjechał inny artibod z drinkami, a po paru minutach wrócił z posiłkiem, podnosząc się do poziomemu stołu, by umieścić dania na blacie. Początkowo jadły w milczeniu. Stella czekała, chcąc przekonać się, czy potrawa zmiękczy jej towarzyszkę. Kiedy zaproponowała deser, policjantka powiedziała:

— Nie przypomina pani swojej kuzynki.

— Słucham? Biorę tort. A pani?

— Co to jest tort?

Stella wytłumaczyła jej, po czym wprowadziła zamówienie i wróciła do poprzedniego tematu.

— Co miała pani na myśli mówiąc, że nie jestem podobna do kuzynki? To znaczy, zdaję sobie sprawę, że nie wyglądam, jak ona.

— Chodzi o coś więcej. — Kobieta pochyliła się ku niej. — Ona sprawia kłopoty.

— Naprawdę? Co takiego zrobiła?

— Bierze udział w spisku, mającym na celu obalenie rządu — oznajmiła policjantka. — Próbowwała przekonać kupców, żeby do niej dołączyli.

— Obalić rząd? Z pewnością nie... Tak mówiła?

— Tak powiedział mi mój przełożony. Klóciła się z zarządcą stacji. Bardzo głośno. Powiedzieli jej, żeby się zabierała i więcej nie wracała.

— Wie pani, co dokładnie mówiła? — dopytywała się Stella. — Z tego, co ja wiem, chciała odbudować firmę Vattów...

— Nie mówiła o Vattach — odparła kobieta. — Mówiła o wojnie.

Quincy spotkała ją przy głównym włączu.

— Co się stało? — spytała. — Wyglądasz na wściekłą.

— Nie jestem pewna, czy chcę o tym rozmawiać — odrzekła Stella. — Dobra wiadomość jest taka, że mamy kupca na tekstylia. Zła, że Ky postradała rozum.

— Mmm. — Quincy rozejrzała się. — Może w twojej kajucie?

— Słusznie. — Stella poszła przodem, starając się nie patrzeć wściekle na napotykanych członków załogi. Gdy znalazły się w jej kabinie, a właz został zamknięty, Quincy usiadła na koi, a Stella robiła cztery kroki wzdłuż pomieszczenia i zawracała. — Ky to idiotka — oznajmiła w końcu. — W porządku, wiem, że jest odważna i wcale nie głupia, ale... Jak dotąd, zraziła do nas co najmniej dwa systemy i z tego, co wiem, jest zajęta robieniem nam wrogów tam, gdzie przebywa obecnie. Nie mam pojęcia, jak według niej rozwścieczanie ludzi ma pomóc naszej rodzinie odzyskać siły...

— Co ich tak złości? — zapytała Quincy.

— Uczępiła się tego idiotycznego pomysłu, że wszyscy kaprzy Slotter Key, jak również każdy, kogo zdoła skaptować, powinni utworzyć kosmiczną flotę do walki z... sama nie wiem, z kim. — Usiadła przy biurku i przeczesła włosy palcami. — Przypuszczam, że z tymi, którzy napadli na Bissonet — dodała. — Najwyraźniej jest przekonana, że wszystko łączy się ze sobą: ataki na Vattów, awarie ansibli, wzrost aktywności piratów, a teraz ta inwazja na cały system... Owszem, wiem, że mówiła o tym wcześniej, ale miała priorytet: Vattów. Teraz... nie wydaje mi się, żeby zwracała sobie głowę reputacją naszej rodziny. Nie jesteśmy organizacją militarną. Przewozimy i handlujemy. Nie wiem, co ona chce osiągnąć. Przecież nie ma żadnego doświadczenia. Tamten oficer Mackensee, Johannson, miał rację: to beczka prochu, od której ucierpimy my.

Poczuła się lepiej, wyrzucając to z siebie. Siedząca w drugim kącie kabiny Quincy pokiwała głową.

— Faktycznie, zmierza do celu okreśną drogą. Sama martwiłam się o nią. Ale wyniki ma dobre. Nie każdy wyciągnąłby nas z tego bałaganu z Osmanem.

— Nie każdy *wpakowałby* nas w ten bałagan z Osmanem — sprostowała Stella. — Wystarczyło posłuchać rady zatrudnionych przez nas profesjonalistów i lecieć w swoją stronę. — Może tym razem Quincy zrozumie, o co jej chodziło.

— A Osman dalej knułby przeciwko nam — powiedziała Quincy. — To nie byłoby dobre.

— Nie... ale teraz też dobrze nie jest. Czy wydarzyło się coś, co zbierze Vattów z powrotem?

— Naprawdę myślisz, że to możliwe, Stello? — Quincy pochyliła się naprzód. — Tyle straciliśmy... te wszystkie statki, ci wszyscy ludzie.

— Nie wiem, czy to jest możliwe, czy nie, ale to właśnie postanowiłyśmy zrobić. Jeszcze nie pora, żeby się poddać. A z nią jest Toby...

— Zadba o niego — oznajmiła Quincy.

— Nie jestem tego taka pewna — odparowała Stella. — Bardziej prawdopodobne, że doprowadzi do jego śmierci, albo przemieni go na swoje podobieństwo.

— Jesteś pewna, że tu chodzi o nią, a nie o ciebie? — zapytała Quincy. — Może rzecz w tym, że Grace posłała jej implant ojca, wykorzystując ciebie w roli dziewczynki na posyłki?

Stella prychnęła.

— Od wielu lat ciocia Grace wykorzystywała mnie jako posłańca i nie tylko. Nie zazdroszczę Ky. Nie chciałam implantu jej ojca — ani mojego, jeśli już o tym mowa. Lecz Ky nie nadaje się do prowadzenia interesów Vattów bardziej ode mnie, jeżeli nie potrafi skupić się na handlu i zarabianiu pieniędzy dla rodziny. Dowodzi tego to całe efekciarskie, pseudo-militarne zachowanie. Jest taka sama, jak Osman...

Quincy opadła szcęką.

— Nie, wcale taka nie jest! — oznajmiła z mocą. — W żadnym wypadku. Stello, służyłam pod Ky, odkąd opuściła Slotter Key. Spędziłam ponad rok na jednym statku z Osmanem, kiedy był młody. W *niczym* nie przypomina tamtego człowieka. Jest uczciwa, uprzejma, dba o ludzi...

Stella zamrugała, zaskoczona gwałtownością repliki Quincy.

— Ależ, Quincy, jest także lekkomyślna i impulsywna...

— To nie to samo, co nieuczciwość i okrucieństwo. Na litość boską, Stello, najlepsi handlarze są do pewnego stopnia ryzykantami. Strategia unikania ryzyka przynosi niewielkie zyski. Przyznaję, że Ky jest odważniejsza i szybciej podejmuje decyzje od każdego innego kapitana, pod którym służyłam, lecz w dzisiejszych czasach to może zadecydować o naszym przetrwaniu. Nie wstydzę się przyznać, że odchodziłam od zmysłów ze strachu, kiedy szepiliśmy się z Osmanem, nie wydaje mi się jednak, żeby ktokolwiek inny wyciągnął nas z tego z tak niewielkimi stratami.

— Uważasz więc, że nie mam odpowiednich kwalifikacji? — Stella natychmiast pożałowała, że to powiedziała; nawet w jej uszach zabrzmiało to niedojrzale i płacziwie.

— Nie. Uważam, że masz odmienne kwalifikacje. — Quincy westchnęła i przeczesła dłonią gęste, siwe włosy. — Stello, służę rodzinie Vattów od prawie siedemdziesięciu lat. Jedno, co wiem o Vattach — wliczając w to ciebie, niezależnie od tego, co sama o sobie myślisz — to że jesteście pełni niespodzianek. Żadne z was nie jest przewidywalne. Różnicie się między sobą: jedni z was ewidentnie lepiej czują się na statkach, inni za biurkiem. Według twojego ojca ciotka Frances była geniuszem naukowym, która nigdy nie wyściubiła nosa z laboratorium, podczas gdy jej brat Ismail majsterkował, nie tworząc niczego praktycznego. Za to jest słynny wśród muzyków, gdyż wynalazł trzy nowe instrumenty. Wszyscy macie silne charaktery. Twój talent różni się od Ky, ale z pewnością go masz.

— Są niespodzianki miłe i niemiłe — upierała się Stella. Wiedziała, że przegrywa, ale nie poddawała się. — Ky jest nieodpowiedzialna, przynajmniej, jeśli chodzi o rodzinę.

— Nie uważam tak. Za to, według mnie, nieodpowiedzialne byłoby wszczynanie sporu w łonie rodziny. — Spojrzenie Quincy przekazywało jasne ostrzeżenie. — Rodzina potrzebuje ciebie, Stello oraz Ky. Was obie. Nie przekreślaj jej.

Stella próbowała przekonać siebie, że Quincy była za stara, żeby zrozumieć, i zaślepiona służbą pod Ky. Nie udało się jej do końca; Quincy słynęła z praktycznej mądrości, a Ky, jak na razie, odnosiła sukcesy.

— Nie przekreślam jej — zapewniła staruszkę. Mówiła prawdę, a teraz otrzymała nauczkę, żeby swoich opinii o Ky nie wyrażać tak otwarcie.

Rozdział 14

Cascadia

Ky była ciekawa, gdzie przebywała Stella. Jeżeli posłuchała jej sugestii, szybko uzupełniła zapasy i poleciała za nimi, powinna pojawić się w tutejszym systemie około dziesięć dni po Ky... Powinna już przylecieć. Przyłot od punktu wynurzenia zabrałby temu przestarzałemu statkowi więcej czasu, ale nowy napęd nadprzestrzenny, zainstalowany przez Ky na Sabine, poważnie skrócił czas skoku. Czy coś się jej stało?

— Wątpię, żeby ją zatrzymali — powiedział Rafe, kiedy wspomniała mu o swoich obawach. — Nic nie zrobiła... W najgorszym razie odeślą ją, ponieważ jest spokrewniona z tobą.

— W takim przypadku powinna już tutaj być. Szkoda, że nie wiem więcej o tym kapitanie, którego wynajęła.

— Poradzi sobie. — Rafe poklepał ją po ramieniu.

Ky spiorunowała go wzrokiem.

— Nie próbuj uspokajać mnie jak dziecka, Rafe. Wiesz równie dobrze, jak ja, że istnieje niebezpieczeństwo, a ona nie ma żadnej broni...

— A tamte miny? — podsunął Rafe.

— Nie ma pojęcia, jak ich używać — odparła Ky.

— Wiesz, że pomimo urody nie jest głupia — rzucił Rafe, opierając się biodrem o stół.

— Nigdy nie twierdziłam...

Wszedł Martin z raportem dziennym z ćwiczeń i obrzucił Rafe'a ciężkim spojrzeniem. Ten wzruszył ramionami.

— Ja tylko próbuję uspokoić panią kapitan, Martin. Zamartwia się o słodką Stellę.

— Nie bez powodu, jak mniemam — odparł Martin. — Żadnych wiadomości, kapitanie?

— Nic. — Ky przełożyła infokostki z jednego stosiku na drugi. — Wiem, że jest zła; to było widać. Nie mogę jej za to obwiniać: musiała tropić mnie przez trzy systemy i radzić sobie z tym, co tam zostawiłam.

— Przecież nie jest tak, że nigdy nie podróżowała — wtrącił Rafe.

— Wiem o tym. Ale co innego, kiedy to twój statek, a ty nie jesteś tylko pasażerem. — Westchnęła. — Mam jedynie nadzieję, że nie sprawiali jej zbyt wiele kłopotów na Sallyonie.

— Nawet jeśli, to nic z tym nie możesz zrobić — powiedział Rafe.

— W tym problem — mruknęła Ky.

Zamartwianie się o Stellę było tylko odrobinę lepsze od martwienia się o rozwój wydarzeń na Slotter Key. Oderwała umysł od obu problemów i skupiła się na psie. Powinna skontaktować się z tą kliniką weterynaryjną na planecie, czy nie? Było za

późno, aby ukryć istnienie psa, uparła się jednak, żeby nie publikować żadnych zdjęć.

Wzruszyła ramionami i wybrała numer.

— Klinika Weterynaryjna Eglin, specjalizacja w małych zwierzętach, zwłaszcza psowatych. W czym możemy pomóc? — Przekaz ograniczony do fonii dawał niewiele wskazówek co do mówiącego, lecz wysokość głosu sugerowała młodą kobietę.

— Mówi kapitan Vatta; dokujemy przy waszej stacji. Chciałabym zasięgnąć informacji o świadczonych przez was usługach reprodukcyjnych.

— Jaki gatunek?

— Pies — odpowiedziała Ky, krzyżując w duchu palce.

— Och. — Głos ucichł, by po chwili powrócić. — To *wy* Macie psa na pokładzie! Czy jest na sprzedaż? Skąd go macie?

— Uratowaliśmy go na stacji Lastway — odparła Ky. — Chcieli go zabić.

— Zabić! Tam zabijają psy?

— Dokładnie. Interweniowaliśmy. Jak rozumiem, psy są tutaj bardzo cennym towarem, lecz nie jesteśmy zainteresowani jego sprzedażą. Z drugiej strony, to samiec i zakładam, że gamety także mogłyby okazać się wartościowe.

— Może pani tego nie wiedzieć, kapitanie Vatta, ale kiedyś mieliśmy mnóstwo psów. Zostały skradzione przez pozbawionych skrupułów astronautów. Dlatego właśnie psy są tutaj takie cenne. — Ton głosu zmienił się z afektowanego na urażony. — Będziemy musieli wykonać testy sprawdzające, czy wasz pies nie wywodzi się od skradzionych przodków. Jeśli tak, nasz rząd zażąda jego zwrotu.

— Wie pani, jak daleko stąd leży Lastway? — zapytała Ky. — Mają tam mnóstwo psów; nie potrzebują ich kraść.

— Pokonaliście tę odległość — upierał się głos — więc mógł tego dokonać ktoś przemycający psy.

— Nie przemycam psów — oznajmiła Ky — pomimo horrendalnych cen oferowanych przez pani rodaków. Pies nie jest na sprzedaż i nigdy nie był.

— Może pani czekać na lepszą ofertę. — Zostało to powiedziane tonem głębokiego podejrzenia.

Ky zdołała powstrzymać się przed rzuceniem: *To śmieszne*. Opanowała się.

— Chciałam tylko dowiedzieć się, czy bylibyście w stanie pozyskać od tego psa spermę bez wywoływania bólu lub stresu oraz czy miałaby ona jakąś wartość rynkową. Rozumiem jednak, że byłoby to zbyt drogie i skomplikowane, przepraszam więc, że zabrałam pani tyle czasu. — Rozłączyła się.

— To było dziwne — uznał Rafe.

— Powinna była sprawdzić implant, zanim powiedziałam im, że mamy psa na pokładzie — powiedziała Ky. — Nie przyszło mi to do głowy.

— Myślisz, że możemy mieć przez to kłopoty?

— Możliwe. Jak przez wszystko, co zrobiłam lub czego nie zrobiłam — mruknęła. — Najwidoczniej to, co dla mnie jest proste i oczywiste, okazuje się błędem.

— W systemie pojawiła się ikona Vattów, kapitanie — zameldował Hugh. — Ale to nie jest Stella.

— Nie Stella... wobec tego, kto? — zdziwiła się Ky. Spojrzała na ekran.

— Jeden z naszych większych statków... Do diabła. To ten dureń.

— Który? — zapytał z uśmiechem Hugh.

— To *Katrine Lamont* — oznajmiła Ky. — A jeżeli nadal mam pecha, statkiem wciąż dowodzi kapitan Furman.

— Ten, który...

— Sprawił mi tyle kłopotów na Sabine, owszem. Mój pierwszy kapitan, kiedy jeszcze odbywałam podróż nowicjuszowską. Bardzo mnie nie lubi.

— Aha. Czy ma broń, żeby nas zestrzelić? — zapytał Rafe.

— Nie, ale nie możemy użyć naszej — odrzekła Ky. — Ciekawe, co robi w tej części sektora. Miał naprawdę wygodną trasę... Pamiętasz, był wściekły, że odwołano go, aby poleciał na Sabine.

— Nie powiedziałaś ojcu, żeby wysłał go na kraniec wszechświata? — zdziwił się Rafe.

— Nie zrobiłabym tego — odparła Ky. Rafe przewrócił oczami. Pokręciła głową. — Nie. Poza tym, sąsiedztwo Nexusa to nie kraniec wszechświata. Ludzkie osiedla na Cascadii są starsze niż na Slotter Key.

— Owszem, ale trasa może okazać się mniej zyskowna, zwłaszcza jeśli nawiązał dobre kontakty na starym szlaku.

Ky szybko odszukała dane w implancie ojca. Furman należał do mniejszości starszych kapitanów, którzy nie urodzili się, ani nie poślubili Vattów. Zasłużył na awans przebiegiem służby: miał drugie miejsce we flocie, jeśli chodziło o punktualność dostaw i doprowadził do dominacji Vattów na swojej poprzedniej trasie, odbierając rynek rywalom. Wszystko wyglądało świetnie. Raporty osobowościowe mąciły jedynie sporadyczne skargi na brak elastyczności.

Do wydarzeń na Sabine. Najwyraźniej nie miał ochoty porzucić lukratywnego szlaku, a potem... Ky uniosła brwi, wchodząc do zastrzeżonego pliku, zawierającego zapis tego, co powiedział jej ojcu oraz reakcji, jakiej się doczekał. Degradacja z trzech plus na jedynekę i przeniesienie na trasę Virnidia — Moskwa — Nexus — Bondeen... Dziwne, że nie odszedł. Może chodziło o emeryturę. Albo naprawdę był lojalny wobec Vattów. Była zdumiona skalą ojcowskiego gniewu.

Żałowałyby każdego innego, ale nie Furmana.

— Rozzłościł mojego ojca — powiedziała. — Chodziło o Sabine, ale to nie ja zaczęłam. Nazwał mnie głupią i pewnie miał rację, lecz nie spodobało się to mojemu tacie.

— Tak przypuszczam — zgodził się Rafe. — Jak myślisz, co stanie się teraz, kiedy nie ma już twojego ojca, by rzucił na szalę swój znaczny autorytet?

— Nie wiem. Furman nie lubi mnie, ale do tej pory powinien już nauczyć się, że nie jest w stanie mnie kontrolować.

— Nie wie, że masz list kaperski, prawda?

— Nie. Ale jeśli słyszał o Osmanie, to może przypuszczać, że tamten tutaj jest, ponieważ to jest okręt Osmana.

I co zrobi?

— Doniesie władzom, że to jednostka piracka. O ile o tym wie. Oczywiście, powiedziałam im prawdę. Gdybyśmy mogli zmienić nadajnik, nie miałabym tych wszystkich problemów...

— I nigdy nie złapalibyśmy tamtego przestępcy na Rosvirein — zauważył Martin.
— Zła reputacja przynosi pewne korzyści.

Rafe rzucił mu kose spojrzenie.

— Faktycznie tak jest. Nie spodziewałem się tylko, że właśnie ty użyjesz tego argumentu.

— Dosyć — przerwała im Ky. W przeciwnym razie sprzeczałiby się przez cały dzień. — Jakie korzyści, waszym zdaniem, wyciągniemy z tego, że Furman uzna *Piękną Kaleen* za okręt Osmana?

— Nie mam pojęcia — przyznał Rafe. — Ale jak dobrze potrząsnąć świętoszkiem, to z kieszeni zawsze wypadną mu jakieś użyteczne informacje. Zobaczmy.

Katrine Lamont zbliżała się szybko; przyznano jej pierwszeństwo, jako znanemu tutaj, nieuzbrojonemu frachtowcowi. Ky żałowała, że nie wiedziała, co Furman powiedział kontroli lotów, ani co oni odpowiedzieli jemu.

W międzyczasie była dosyć zajęta. Komisja Rejestracyjna Konfederacji Moskiewskiej zajęła się jej prośbą o zmianę nazwy i nadajnika identyfikacyjnego okrętu. Zgodzili się, że list kaperski dawał jej prawo do uznania okrętu za przyz i wypełnienia dokumentów właścicielskich. Zrobiła to, a oni przeprowadzili cały proces zmiany właściciela w kilka dni, upierając się jedynie, że jednostka musi być zarejestrowana na nią, a nie Transport Vattów. Korporacja nie mogła posiadać listu kaperskiego, a przyz był własnością kapitana-kapra. Może później przekazać prawo własności Transportowi Vattów, ale jedynie na drodze sprzedaży, nie darowizny. Zgodzili się, że posiadanie okrętu, będącego wcześniej własnością osoby o złej reputacji, było kłopotliwe. Nie postanowili jednak jeszcze, czy przejęcie własności poprzez zdobycie statku dawało nowemu właścicielowi prawo do zmiany jego tożsamości... A jeśli było to zgodne z prawem, to kiedy można było to uczynić. Jak długo powinna trwać zwłoka, umożliwiającą oprotestowanie decyzji komisji?

Kolejną komplikacją była nieustanna presja na sprzedaż Hultaja. Oferowano im na wymianę różne zwierzęta, od ziemskich kotów wszelkich kształtów i rozmiarów po egzotyczne rasy, jak alloe z Tamburynu — przypominające szopy pracze, futrzaki o czarnych maskach i jadowicie zielonych jęzorach. Miały opinię kompletnie pozbawionych zapachu, nie wywołujących alergii pomimo miękkiego futerka, potulnych i wiernych. Wydalały suche bobki i łatwo uczyły się zanoszenia ich do kuwet. Ky odmawiała. Nie przepadała za szczeniakiem, lecz potrzeba opieki nad Hultajem stawiała Toby'ego na równej stopie z innymi. Podczas podróży chłopak rozkwitł, ochoczo podejmując wyzwania związane z silnikami i kontynuacją nauki. Urósł kilka centymetrów i rozwinął mięśnie, ćwicząc na sali gimnastycznej pod

okiem Martina. Nie zamierzała martwić go, odbierając mu psa. Im większy nacisk na nią wywierali, tym bardziej stanowczy opór stawiała.

— Kapitanie Vatta. — Na ekranie pojawiła się ikona zarządcy stacji. Ky przyjęła połączenie i ujrzała poważne oblicze urzędnika.

— Jestem tutaj — odezwała się Ky.

— Z przykrością zawiadamiam, że otrzymałem niepokojącą wiadomość ze statku Transportu Vattów, zmierzającego na tę stację. Jego kapitan...

— Kapitan Furman — dopowiedziała Ky.

— Eee... tak. Kapitan Furman upiera się, że musi być pani oszustką, ponieważ prawdziwa Kylara Vatta nie żyje.

— Co? — Siedząca w zasięgu słuchu obsada mostka odwróciła się i popatrzyła na nią równie wstrząśnięta, jak ona sama.

— Twierdzi, że rodzina Vattów została zaatakowana — co sama nam pani opowiedziała — upiera się jednak, że osoba, której nazwisko i dane identyfikacyjne pani podała, musi być martwa i że pani z pewnością nią nie jest.

— Jestem nią z całą pewnością — potwierdziła z mocą Ky. — Czy przesłał mu pan moje zdjęcie?

— Jeszcze nie — odrzekł zarządca stacji. — Spodziewa się pani, że ją rozpozna?

— Z pewnością powinien — powiedziała Ky. — Odbywałam na jego statku nowicjuszowski lot, a potem... wpadliśmy na siebie w zeszłym roku w systemie Sabine, kiedy ktoś zaatakował ich platformy ansiblowe. Nie mam pojęcia, czemu miałyby uważać, że nie żyję. — Czy powinna wspomnieć, że była to bardziej konfrontacja niż spotkanie? Prawdopodobnie nie.

— Ponieważ należał do spisku? — wymamrotał Rafe tak, żeby nie wychwycił tego mikrofon.

Ky nie chciała nawet o tym myśleć. Furman był świętoszkiem o sztywnym karku, ale to nie robiło z niego zdrajcy.

— Powinien więc panią znać. Widział panią niedawno...

— Tak przypuszczam — powiedziała. — Swój pierwszy lot odbyłam w wieku trzynastu lat, zakładałam jednak, że miał włączony monitor, kiedy rozmawialiśmy ze sobą na Sabine. Nie spotkaliśmy się bezpośrednio; nie dokowaliśmy w tym samym czasie. — Złożoność tamtej sytuacji: dlaczego ona zadokowała, a on nie i czemu nie spotkali się twarzą w twarz, była większa, niż miałyby ochotę w tej chwili wyjaśnić.

— Mówi, że statek, na pokładzie którego pani przebywa, został uprowadzony przez Vattę — renegata — to również pani nam powiedziała — i uważa, że musi pani być córką albo wnuczką Osmana, udającą Kylarę, córkę Gerarda Vatty. Gdyby Kylara Vatta żyła, latałaby statkiem o nazwie *Gary Tobai*, ale jest pewny, że pani — ona — nie żyje.

— Na *Garym* jest moja kuzynka, Stella; powinna tutaj przylecieć lada chwila. Proszę przesłać Furmanowi moje zdjęcie i przekonać się, co powie. Jeżeli nadal będzie utrzymywał, że nie jestem sobą, to skłamię, a moja kuzynka poświadczy na moją korzyść.

— Pani kapitan, nie kwestionuję pani uczciwości, ale... czy tożsamość pani kuzynki będzie można zweryfikować w lepszy sposób, niż pani? Czy kapitan Furman ją rozpozna? — Po czym, po chwili przerwy: — Muszę przypomnieć pani kapitan, że używanie takich epitetów, jak *kłamie* — nawet pod wpływem emocji — łamie nasze przepisy, zamieszczone w książeczce, którą pani otrzymała. Tym razem przymknę na to oko, lecz w przypadku powtórzenia się takiego wykroczenia, zostanie ono zgłoszone i wpłynie na ocenę sądową tej sprawy.

— Przepraszam — wydusiła z siebie Ky, przełykając to, co naprawdę chciała powiedzieć. — Doceniam okazywaną gościowi pobłażliwość i żałuję, że panujące na moim ojczystym świecie standardy dobrego wychowania są takie niskie. — Podejrzewała, że nie pomogłoby jej sprawie, gdyby powiedziała zarządcy stacji, że *to ją* Furman nazwał kłamcą, za co jej ojciec zesłał go tutaj. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było przymusowe odczytanie implantu, zwłaszcza mając tę *rzecz*, którą implant Rafe'a umieścił w jej głowie.

— Rozumiem, kapitanie Vatta — powiedział zarządca łagodnym tonem, jakiego używał w rozmowach z nią wcześniej. — Pani zaś z pewnością rozumie, że musimy ściśle trzymać się naszych przepisów pod groźbą chaosu, jaki mógłby zostać wywołany tak wielkim napływem cudzoziemskich gości do naszego systemu. Prześlę pani zdjęcie kapitanowi Furmanowi i zobaczymy, co powie.

— Proszę informować mnie na bieżąco — powiedziała Ky, starając się utrzymać neutralne brzmienie głosu.

— Oczywiście — zapewnił ją zarządca.

— Chce panią dopaść — oznajmił Lee, jak tylko przerwała połączenie. — Pamiętam...

— Ja również. — Ky zmierzwiła oburącz włosy. — Kiedy po raz pierwszy skontaktował się ze mną, był wściekły jak kopnięte gniazdo os, a jeszcze większa furia ogarnęła go, gdy nie zrobiłam tego, co mi polecił. Ale nie uważałam go za szczególnie mściwego, tylko apodyktycznego i upartego.

— To było przed tym, jak pani ojciec wykopał go z wygodnego i bardzo lukratywnego szlaku i zesłał tutaj — zauważył Lee.

— Tak przypuszczam. Nadal nie mogę uwierzyć, że mógłby skłamać na mój temat. Myślicie, że naprawdę uważa mnie za martwą, a Osman miał córkę... albo wnuczkę... czy kogoś tam? A przy okazji: czy Osman miał dzieci?

— Biorąc pod uwagę, co Quincy opowiadała nam o jego jurności, powinien mieć ich z tuzin — powiedział Rafe. — Czy uznał któreś z nich za swoje, to osobna kwestia, ale Furman może wiedzieć o czymś, o czym nie wiemy my. I byłoby dobrze ustalić, co takiego wie.

— W zapiskach nic nie miał — zastanawiała się Ky. — Przynajmniej ja niczego nie znalazłam...

— Ani ja — dodali unisono Martin i Rafe. — Ale to niewiele znaczy — dodał Rafe. — Wątpię, aby taki typ troszczył się o swoje potomstwo, nawet gdyby wiedział, że je spłodził.

— Jeżeli do tego doszło, to ciekawe, czy o nim wiedzą — powiedziała Ky. — Czy wiedzą, że są spokrewnieni z Vattami. Ze mną.

Rafe uniósł brwi.

— Nie zamyślasz chyba ich poszukiwać, prawda? Twoje plany ratowania Vattów ograniczały się do prawowitych członków rodziny, a nie pomiotu jakiegoś renegata, zgadza się?

— To nie ich wina, że są dziećmi Osmana — powiedziała Ky, czując nagły przypływ opiekuńczości. — Pewnie zgwałcił ich matki i gdzieś je porzucił... To nie w porządku.

Rafe przewrócił oczami, a Martin westchnął, Lee ograniczył się do rozbawionej miny.

— Stella mówiła, że masz kompleks wybawcy — oznajmił Rafe. — Teraz to widzę. Zaiste, dziwne połączenie zabójcy z ratownikiem.

— Nie jestem... — Ky urwała gwałtownie; nawałnica uczuć chwilowo odebrała jej głos. Kolejny sygnał z implantu jej ojca, jak gdyby coś, co powiedziała, otworzyło zabezpieczony plik, którego wcześniej nie zauważyła. Ojciec również podejrzewał, że Osman płodził dzieci, wykorzystując bezbronne kobiety. Martwili się tym razem ze Stavrosem. Przez pierwsze lata próbowali śledzić Osmana i przeszukiwali sierocińce, z własnych kieszeni opłacając badania genetyczne potencjalnych potomków odszczepieńca. Znaleźli czworo i udało się im doprowadzić do adoptowania ich przez zaciejsze rodziny Vattów. Byli pewni, że dzieci było więcej. Zagłębiła się w plik, lecz ojciec wymazał imiona.

Przez chwilę czuła ukłucie lodowatego przerażenia. Może sama była jednym z bękartów Osmana? Czy dlatego czerpała tak wielką przyjemność z zabijania? Może to pchnęło ją ku Siłom Kosmicznym? Wyobrażała sobie ojca z jego poczuciem obowiązku i honoru, postanawiającego przygarnąć jedno z dzieci. Nie przypominała matki...

— Kapitanie... coś nie w porządku?

Wróciła do terażniejszości.

— Alarm implantu — wyjaśniła spokojnie. — Rozmowa o domniemanym potomstwie Osmana uruchomiła pewien plik. Mój ojciec uważał, że tamten miał dzieci.

— I...? — ponaglił ją Rafe.

— I uznał, że odnalazł kilkoro. Zapewnił im adopcje przez dobre rodziny. Nie wiem, jakie. Wymazał nazwiska. — Nie zamierzała wyjawiać Rafe'owi — ani nikomu innemu — jej obaw. Nie była taka, jak Osman. Nie była podłym piratem, ani seksualnym drapieżcą. Nie była wyjęta spod prawa. Nawet, jeśli była jego dzieckiem — w co nie mogła uwierzyć — nie przypominała go. Była córką swego ojca, a jej ojcem był Gerard Avondetta Vatta, szanowany i honorowy czarodziej finansów Transportu Vattów.

Martin gwizdnał.

— Mam nadzieję, że to nie geny czyniły Osmana Osmanem — oznajmił.

— Jestem pewna, że szukano tego czynnika — powiedziała Ky. — Wczesna terapia mogłaby go zmienić. Gdyby dzieci wykazywały jakieś symptomy, zostałyby poddane leczeniu.

— Ale wracając do mojej wypowiedzi — odezwał się Rafe. — Nie możesz myśleć o poszukiwaniach i ratowaniu dzieci Osmana, gdyż masz ważniejsze sprawy. Powinnaś odszukać innych członków rodziny i inne statki.

— Na przykład Furmana — mruknęła Ky. — Musi potwierdzić, że jestem, kim jestem i teraz ja tutaj dowodzę.

— Nie spodoba mu się to — ostrzegł Lee. — Jest starszym kapitanem, pani została awansowana całkiem niedawno.

— Jestem Vattą — dodała Ky.

— Założę się, że jeśli tylko zdoła, podda to w wątpliwość — odparował Lee. — Obie ze Stellą jesteście panie młodsze od niego o dziesiątki lat.

— Crown&Spears posiada genetyczny skan Jo — siostry Stelli. Wykorzystali go do porównania z moim DNA i potwierdzenia mojej tożsamości. — Dopiero teraz sobie o tym przypomniała; poczuła ciepłą falę ulgi. Porównanie jej materiału genetycznego z próbką Jo z pewnością wykaże, że jest najbliższą kuzynką Jo, a nie córką Osmana. Wszak Osman nie był bratem ani jej ojca, ani wujka. — Poza tym, podczas gdy Stella nie przypomina z wyglądu Vatty — wrodziła się w matkę — ja jestem bardzo podobna.

— Osman również, jeśli już o tym mowa — nie poddawał się Lee. — Podobnie zresztą, jak pani ojciec i Stavros. Ciekawe, czy jego dzieci bardziej przypominają Vattów, czy ich matki.

— Ich wygląd nie ma znaczenia — oznajmił wyraźnie zniecierpliwiony tym wszystkim Rafe. Ky była mu za to wdzięczna, odwrócił uwagę od jej reakcji. — Mogą wyglądać jak ktokolwiek, a ty masz w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie.

— Na przykład Furmana — przytaknęła. — Szkoda, że Stella jeszcze nie przyleciała. Rozmowa z nią byłaby dla Furmana łatwiejsza niż ze mną.

Następna rozmowa z zarządcą stacji potwierdziła jej obawy.

— Kapitan Furman twierdzi, że na przesłanym przez nas zdjęciu na pierwszy rzut oka przypomina pani Kylarę Vattę, ale jest pewny, że ona nie żyje, więc musi być pani oszustką.

— Co za... pomyłka — rzuciła Ky, więząc za zaciśniętymi zębami słówko *kanalia*. — Crown&Spears posiada próbkę mojego materiału genetycznego i dokonało już porównania z potwierdzoną próbką mojej kuzynki Jo, córki brata mojego ojca. Czy powiedział, skąd uzyskał tę niepodważalną wiedzę, że jestem martwa?

— Bardzo mi przykro — odparł zarządca stacji. — Instytucje komercyjne, takie jak Crown&Spears, posiadają prywatne zasoby, do których nie mamy dostępu. Obawiam się, że ich potwierdzenie pani tożsamości formalnie nie ma znaczenia. Choć osobiście nie mam powodów, aby im nie wierzyć, przepisy są jasne: musimy ustalić pokrewieństwo na podstawie próbek pozyskanych i przechowywanych oficjalnie. Czy zgodzi się pani na powtórne przekazanie próbki?

— Tak, oczywiście — odrzekła Ky. — W każdej chwili. Ale czy macie jakieś próbki od innych członków mojej rodziny, z którymi porównacie moją?

— Jeszcze nie wiem — przyznał zarządca stacji. — To niezwykła sytuacja w niezwykłych czasach. Odpowiem pani w ciągu kilku godzin. W międzyczasie — i bardzo żałuję, że zmuszony jestem nałożyć takie restrykcje na kogoś, kto do tej pory zachowywał się wobec nas tak przyjaźnie i uczciwie — muszę zażądać, aby pozostała pani na pokładzie swojego statku do przybycia Furmana i wyznaczenia daty rozprawy sądowej. Proszę także o wpuszczenie na pokład jednego z naszych obserwatorów, który upewni się, że nie podejmie pani próby ucieczki.

— Mogę zapytać, dlaczego?

— Bardzo poważnie traktujemy podszywanie się pod kogoś, kapitanie Vatta. Kapitan Furman zasugerował, że zmieniła pani biometrię, aby potwierdzić przybraną tożsamość. Zmiana danych biometrycznych nie jest u nas zakazana i posiadamy kliniki, dokonujące różnego poziomu modyfikacje ludzi, od powierzchownej chirurgii po zmiany w genach. Kiedy jednak zachodzi podejrzenie przybierania cudzej tożsamości, odmawiamy oskarżonej osobie dostępu do tych klinik, dopóki nie zostanie przeprowadzona jej pełna identyfikacja.

— To jest... — *Śmieszne* z trudem można byłoby uznać za grzeczne i taktowne. — ...bardzo rozsądne — wybrnęła Ky. — Czy nie moglibyście jednak w moim przypadku zastosować jakiegoś urządzenia namierzającego? Jestem kupcem; prowadzę interesy. Na moim świecie używano takich urządzeń, żeby ograniczyć swobodę poruszania się kryminalistów.

— Większym problemem jest pani statek. Byliśmy gotowi przyjąć pani wyjaśnienia, jak weszła w jego posiadanie, lecz jednostka ta cieszy się złą sławą. Nie chcemy ponosić odpowiedzialności za wypuszczenie przestępcy. Mógłbym zawnieoskować o wyposażenie pani w urządzenie namierzające — dysponujemy, rzecz jasna, taką technologią — ale musimy uniemożliwić wam niezapowiedziany odlot.

— Rozumiem — powiedziała Ky. — Nie mam nic przeciwko, jak długo wasze działania nie wyrządzą nam szkód, ani nie będziemy ponosić z ich tytułu dodatkowych opłat.

— W takim razie porozmawiam z prawnikiem o alternatywnej metodzie kontrolowania pani aktywności. Oczywiście, członków pani załogi nie dotyczą żadne ograniczenia, poza koniecznością przestrzegania naszych przepisów.

— Dziękuję — powiedziała Ky.

— Może przypadkiem ma pani na pokładzie jakiegoś innego Vattę? Którego DNA moglibyśmy porównać z pani próbką?

— Owszem, lecz nie jest to bliski krewny — odparła Ky. — Młody chłopak, którego statek wysadzono w powietrze na Allray. Moja kuzynka Stella zabrała go ze sobą na Lastway.

— Zna pani dokładny stopień pokrewieństwa?

— Nie, ale mogę się dowiedzieć. Kiedy przybędzie państwa obserwator?

— Jest już w doku. Gdyby była pani tak miła i udzieliła jej pozwolenia na wejście na pokład...

— Natychmiast, panie zarządczo. — Ky rozłączyła się, kręcąc głową na widok min obsady mostka. — Przestańcie. Musimy przestrzegać prawa, przynajmniej na razie. Nie, żebyśmy do tej pory tego nie robili, gdyż inaczej mogłabym powiedzieć, co naprawdę myślę o Furmanie.

— Przy tamtej na pokładzie nadal nie będzie pani mogła — zauważył Martin. — Żadne z nas nie będzie mogło...

— Jeżeli zgodzą się wyposażyć mnie w urządzenie śledzące, może nie zostać tutaj tak długo. Sprawdzę to. Martin, idź i ją wpuść. — Ky wywołała zarządcę stacji. — Jeżeli właściwie rozumiem wasze regulacje, nasz okręt jest wciąż uznawany za część naszej ojczyzny, prawda?

— Tak, kapitanie. A o co chodzi?

— Moja załoga martwi się, że ich normalne zachowanie wobec siebie i swobodny język nie mieszczą się w ramach waszych zasad i mogą zostać ukarani za coś, co powiedzą w obszarze uznawanym przez nich za wolny od tutejszych przepisów.

— Och, nie ma powodów do niepokoju, kapitanie. Jesteśmy świadomi, że załogi statków mają własny język i sposób zachowania, co nie jest naszą sprawą. Interesuje nas to dopiero, kiedy mają do czynienia z naszymi obywatelami na naszym terytorium. Nasi obserwatorzy są bardzo dobrze wyszkoleni i zignorują wszystko, co nie ma związku z ich zadaniem. W tym przypadku zadaniem obserwatorki jest zapobieżenie odlotowi okrętu ze stacji bez mojego pozwolenia oraz zapobieżenie opuszczeniu go przez panią, dopóki nie zostanie potwierdzona pani tożsamość lub nie wyrazimy zgody na zaproponowany nam inny sposób śledzenia pani ruchów. Czy to pani wystarczy?

— Tak, dziękuję — odrzekła Ky.

— W rzeczywistości, jeżeli powie pani coś, co poza statkiem zostałoby potraktowane jako obraźliwe lub rozmawiałaby pani z naszym oficjalnym przedstawicielem, obserwatorka została poinstruowana, aby zignorować to, chyba że uwaga została skierowana bezpośrednio do niej. Oczywiście, nie wolno jej obrażać; wszak jest naszą obywatelką.

— To całkowicie zrozumiałe, panie zarządczo — zapewniła go Ky. — Jeszcze raz dziękuję.

— Ależ doprawdy nie ma za co, kapitanie Vatta.

Kobieta, która kilka chwil później pojawiła się na mostku z Martinem dwa kroki za nią, wyglądała inaczej, niż Ky oczekiwała. Jej pierwszą myślą było: *Co taka piękność robi w policji?* Mogła śmiało rywalizować ze Stellą, tyle że była ciemnowłosa.

— Kapitan Vatta? Jestem Robinette Leary, obserwator pierwszej klasy. Jestem przekonana, że uważa pani wymuszenie mojej obecności na pokładzie za lekko denerwujące.

— Eee... wcale nie — zaplątała się Ky.

Kobieta dźwigała pękatą walizkę.

— Proszę się nie martwić. Nie jest łatwo mnie urazić — ciągnęła Leary. — Nie jestem tutaj po to, żeby sprawiać kłopoty, lecz by im zapobiegać. Do tej pory nie wpłynęły na was żadne skargi, niemniej, ze względu na sposób, w jaki pozyskała pani ten okręt, zmuszeni jesteśmy przedsięwziąć wszelkie środki, aby potwierdzić pani tożsamość.

— Rozumiem — potwierdziła Ky.

— Cieszę się — uśmiechnęła się Leary, a na doskonałych policzkach pojawiły się dołeczki. Rozejrzała się po załodze mostka. Ky przekonała się, że jej spojrzenia działały na mężczyzn — z wyjątkiem Rafe'a, którego głęboko zniesmaczona mina mogła ukrywać taką samą reakcję. — Pragnę zapewnić wszystkich — dodała Leary — że nie będę zwracać uwagi na to, co mówicie między sobą. Nasze zasady dotyczące grzeczności nie mają tutaj zastosowania, chyba że obrazicie mnie celowo.

— Czyli... mogę nazwać go skończonym idiotą — Rafe kiwnął głową w stronę Lee — i nie będzie pani miała nic przeciwko temu?

— Absolutnie nie — odrzekła Leary. — A on?

Lee uśmiechnął się.

— Ze strony Rafe'a to komplement — powiedział. — Nie mam nic przeciwko temu.

— Potraktuję to jako część mojej edukacji, powstrzymam się jednak od uczestnictwa — oznajmiła Leary. — Kapitanie, jako iż moim najważniejszym obowiązkiem jest dopilnowanie, aby ani pani, ani okręt nie opuścił stacji, zacznę od zaplombowania konsoli mostka, której funkcje związane są ze startem. Proszę wskazać mi odpowiednie urządzenia kontrolne.

— Tutaj. — Lee przesunął się, wskazując przyciski odrzucające przewody, zamykające luki i włączy oraz uruchamiające napęd wewnętrzny.

Leary wyciągnęła z walizki plastikowe pokrowce, które naciągnęła na konsolę tak, aby zakryć tylko przyciski wskazane jej przez Lee, po czym zakleiła brzegi jaskrawo pomarańczową taśmą.

— Po oderwaniu taśma zmieni kolor na zielony — wyjaśniła. — I nie przyklei się powtórnie. Zgodnie z naszymi przepisami za naruszenie oficjalnych plomb grożą surowe kary. Jeżeli z dowolnych przyczyn uznacie, że musicie uzyskać dostęp do zabezpieczonych przycisków, musicie najpierw uzyskać zgodę moją lub zarządcy stacji. Do waszego statku zostało przyłączone urządzenie generujące ukierunkowany impuls elektromagnetyczny; usunięcie więcej niż czterech centymetrów taśmy uaktywni je, co może się skończyć trwałym uszkodzeniem waszych obwodów. Może również wyrządzić krzywdę osobom na mostku. Rozumiecie?

— Tak — potwierdził Lee. Obserwatorka rozejrzała się dokoła, czekając aż wszyscy, wliczając w to Ky, przytakną, że zrozumieli.

— Jeżeli na mostku pojawiają się inni członkowie załogi, musicie przekazać im odpowiednie instrukcje.

Ky pokiwała głową. Rozległ się sygnał połączenia ze stacją. Obróciła się do ekranu.

— Kapitanie Vatta, sędzia wyraził zgodę na zastosowanie w pani przypadku urządzenia namierzającego. Czy mogę porozmawiać z Obserwatorką Leary?

— Oczywiście — odrzekła Ky.

Leary wysunęła się naprzód.

— Obserwatorko Leary, po zabezpieczeniu okrętu proszę towarzyszyć kapitanowi Vatta na posterunek, gdzie założą jej urządzenie namierzające.

— Konsola na mostku została zabezpieczona, zarządco. Czy konieczne będzie ustawienie strażnika w doku?

— Nie wydaje mi się, obserwatorco. Kiedy kapitan Vatta zostanie wyposażona w urządzenie, proszę upewnić się, że rozumie wszystkie ograniczenia. Potem nie musi już jej pani towarzyszyć.

— Dziękuję, sir.

— Kapitanie Vatta, sędzia wyraził zgodę na zmianę pierwotnego polecenia tylko ze względu na czas, jaki pozostał do przylotu Furmana oraz pani potrzeby prowadzenia legalnych interesów. Ufam, iż doceni pani ten gest i nie nadużyje go.

— W żadnym razie, panie zarządco — zapewniła Ky. — Jestem wdzięczna za okazane zrozumienie i będę opuszczać okręt tylko wtedy, gdy będą wymagały tego interesy.

Rozdział 15

Zamocowanie urządzenia namierzającego zajęło parę minut, a technik odnosił się do niej z nienaganną uprzejmością. Ky powstrzymała się od wygłoszenia kilku dowcipnych uwag, jakie przyszyły jej do głowy; podejrzewała, że cascadiańska biurokracja nie potraktowałaby takich żartów przychylnie. Następnie Obserwatorka Leary wręczyła jej wydrukowaną listę miejsc, do których nie wolno jej było wchodzić.

— A teraz może pani odejść, a ja nie będę jej więcej niepokoić — zakończyła z uśmiechem.

— Dziękuję — odrzekła Ky, pozostając wierną wymogowi okazywania doskonałej uprzejmości.

Po paru godzinach wróciła na okręt, gdzie otrzymała wiadomość, że ani na stacji, ani w systemie nie mieli oficjalnych źródeł materiału genetycznego Vattów. Agent Biura Śledczego Cascadii wyjaśniał, że do tej pory nie proszono o taką próbkę żadnego członka rodziny Vattów; wcześniej nigdy nie poddawano w wątpliwość ich tożsamości.

— To bardzo kłopotliwe — mówił agent. — Dysponujemy podstawowymi danymi biometrycznymi, odciskami palców, odwzorowaniem siatkówki i tak dalej, ale to przydałoby się tylko przy określeniu, czy ktoś pasuje do opisu konkretnej, znanej osoby. Jak pani wie, dane takie pobierane są od kapitanów zaraz po przylocie. Mamy informacje o Josephine Vatta i paru innych: Ergash Vatta, Melisandzie Vatta, Bromian, Asil. Ale pani nie podaje się za żadną z nich, a my nie mieliśmy powodów, by prosić o próbkę materiału genetycznego.

— Co wobec tego zamierzacie zrobić?

— Najpierw dokładnie przepytamy kapitana Furmana, którego znamy jako prawomocnego pracownika Vattów. Czy pani temu zaprzecza?

— Nie, oczywiście, że nie. O ile nie jest oszustem, to był moim dowódcą. Powinien mnie rozpoznać.

— Mamy jego dane biometryczne, dzięki czemu natychmiast po przylocie określimy, czy to ta sama osoba, z którą mieliśmy do czynienia przedtem. Ma pani jakieś dane identyfikacyjne?

Ky zapytała implant. W danych personalnych miała zarówno informacje biometryczne, jak i wzorzec genetyczny i zdjęcia. zaproponowała przesłanie wszystkich danych.

— Nic z zewnątrz?

— Nie. Skoro jednak wygłaszamy przeciwstawne opinie, to czy będzie pan miał powody wątpić w wiarygodność danych mojego implantu, które potwierdzą jego tożsamość?

— Cóż... nie. W porządku. Najpierw proszę przesłać zdjęcie — z profilu i *en face*, jeśli takie pani ma — a potem dane biometryczne. Może nie będziemy potrzebować danych genetycznych.

— Chwileczkę. — Nie zadzwoniła telefonem czaszkowym, którym nadal posługiwała się niezbyt sprawnie, tylko przesłała pliki poprzez łączność pokładową.

— Dziękuję — powiedział agent. — Zdjęcie pasuje, ale prześlę dane biometryczne do naszego archiwum.

— Jak wyląduje, możecie zapytać go, czy ma moje dane biometryczne — odpowiedziała Ky. — Może je posiadać, gdyż mój ojciec poprosił Furmana o udanie się w moim imieniu na Sabine.

Agent uniósł brwi.

— Nie wydaje się pani w ogóle przejmować tym, że takie dane mogą panią pogrzyźć.

— Jak miałyby mnie pogrzyźć? — zdziwiła się Ky. — Jestem Kylara Vatta i udowodni to każda prawdziwa identyfikacja. Gdyby nie awaria ansibli, moglibyście poprosić Slotter Key o wszelkie dane.

— Ale ansible nie działają — zauważył agent. — Według kapitana Furmana prawdziwa Kylara Vatta przebywała na innym statku, na... eee... *Garym Tobai*...

— Owszem, już to wyjaśniałam — odparła Ky. — Jest pan pewny, że tamten statek jeszcze nie pojawił się w systemie? Spodziewałam się, że Stella poleci bezpośrednio za mną i powinna już tutaj być.

— Jestem całkiem pewny — powiedział agent. — Powiadomię panią, jeśli — kiedy — do tego dojdzie.

— Dziękuję. — Coś w jego tonie ostrzegło Ky. — Nie miałam zamiaru poddawać w wątpliwość pana czujności. Po prostu martwię się o nią. Myślałam, że przyleci przedwczoraj.

Stella została dwa dni dłużej na Sallyonie, robiąc wszystko, co w jej mocy, by ukoić podrażnione uczucia lokalnej administracji.

— Jesteśmy kupcami — powtarzała kolejnym skwaszonym urzędnikom. — Owszem, Ky jest nieco impulsywna, ale Transport Vattów zawsze był i pozostanie przedsiębiorstwem handlowym, a nie organizacją militarną.

— W tych niebezpiecznych czasach zwyczajnie nie możemy sobie pozwolić na tolerowanie osobników gromadzących armię... — To już czwarty przedstawiciel władz, który wezwał ją na dywanik. Stella z trudem panowała nad sobą.

— Rozumiem. Jak może pan zauważyć, nie robię niczego takiego. Handlowałam legalnymi ładunkami... — Designerskie sedesy poszły tutaj za świetną cenę, tak samo specjalne tkaniny.

— Ale zamierza pani polecieć za nią, prawda? Pani następnym portem jest Cascadia, dokąd poleciała tamta. Naszym zdaniem dowodzi to, iż jest z nią pani w zmowie.

Te podejrzenia zaczęły ją męczyć. Miała ochotę wykrzyknąć im: *Nie jestem taka, jak Ky!* Prawdę mówiąc, wcale nie chciała za nią lecieć. Skoro Kylara zeszła na drogę przemocy, nie pomoże Vattom, wspierając ją. Poza tym, nie mogła tutaj nabyć zbyt wielu ładunków pożądanых w Konfederacji Moskiewskiej. Z drugiej strony, bardzo

pragnęła znaleźć się z Ky w małym pomieszczeniu i potrzęsnać nią tak, żeby odzyskała rozum.

— Dysponuję jedynie tym niewielkim statkiem — oznajmiła. — Jak sam pan zauważył, czasy są niebezpieczne. Mam nadzieję przekonać kuzynkę, że jej obowiązkiem jest chronienie mnie i innych statków Vattów, być może eskortując nas w konwoju.

— Nadal uważamy to za podejrzane...

— Uznacie za podejrzane wszystko, co zrobiłam — rzuciła Stella, tracąc wreszcie cierpliwość. — Przestrzegałam wszystkich waszych ograniczeń; zajmowałam się wyłącznie handlem. Wy po prostu chcecie wierzyć, że jestem częścią jakiegoś spisku na olbrzymią skalę. Może spójrzmy na to od drugiej strony. Skąd mam wiedzieć, że wasza wrogość wobec pomysłu sił kosmicznych nie wynika z przymierza z piratami, którzy podbili Bissonet?

Mężczyzna zbladł.

— Jak pani śmie...? — zaczął.

Stella wstała.

— Mogłabym zadać panu to samo pytanie. Być może nie potrafi pan pojąć, że członkowie rodziny mogą nie zgadzać się ze sobą. Ky i ja jesteśmy kuzynkami, nawet nie siostrami, a już z pewnością nie bliźniaczkami. W dzieciństwie nieraz skakałyśmy sobie do oczu. Teraz współpracujemy ze sobą tylko ze względu na zagrożenie dla całej naszej rodziny. Poznał ją pan, a teraz poznał pan mnie. Czy naprawdę podtrzymuje pan, że jesteśmy podobne?

— Przepraszam, kapitanie Vatta — odparł urzędnik. — Nie przypomina pani swej kuzynki ani z wyglądu, ani ze stylu wysławiania się. Pani jest piękna; ona...

— Pospolita jak słup — dokończyła Stella tonem piękności, nie mającej zrozumienia dla pospolitości. Nie usiadła, ale nieco się rozluźniła. — Zawsze taka była. Bądźmy szczerzy, miły panie. Dzieci w rodzinie nie są takie same. Ja zawsze byłam tą śliczną — nie moja zasługa, taka się urodziłam. Moja siostra Jo była mądra, a bracia silni. Matka Ky ciągle radziła się mojej, jak ją ubierać i podkreślać jej urodę, ale choćby nie wiem co, nigdy mi nie dorównała. A to ją bolało, rzecz jasna. Jak każdego. Lubiała uważać, że uroda to wszystko, co mam.

— Czyli zawsze panią nienawidziła? — zapytał urzędnik. Stella poczuła ukłucie winy — opisała typową zazdrośnicę, a o ile wiedziała, Ky nigdy nie czuła do niej zawiści — lecz zignorowała je i kontynuowała przemowę.

— Nie nazwałabym tego nienawiścią. Ale byłyśmy swego rodzaju rywalkami, dopóki się nie poddała. — Kolejne ukłucie winy. — Odróżniła się ode mnie w taki sposób, że zrobiła się szorstka tam, gdzie ja jestem gładka, że tak powiem. Mnie w naturalny sposób przychodzi przewidywanie i unikanie kłopotów oraz współpraca; dla niej naturalne jest frontalne natarcie na problem oraz konflikt. Co nie znaczy, że zawsze się myli. Jeśli jednak można kogoś naprostować, Ky to zrobi.

— Rozumiem. — Przekrzywił głowę. — Czyli... nie zgadza się pani z jej poglądami na wydarzenia na Bissonecie?

— Nie znam dokładnie jej poglądów — odparła — ponieważ nie miałam okazji z nią pomówić. Przeraza mnie inwazja; widziałam, co przytrafiło się mojej rodzinie na ojczyściej planecie. Jeżeli to ten sam nieprzyjaciel, który zaatakował Vattów, to trzeba go powstrzymać, bowiem w przeciwnym razie wszyscy jesteśmy zagrożeni. Ale Ky jako dowódca potężnej, gwiazdnej floty bojowej... to śmieszne.

Wyraźnie się odprężył. — I powie jej to pani?

— Owszem — potwierdziła. — Zamierzam przemówić jej do rozsądku, o ile w ogóle ją dogonię. Myślę, że mnie wysłucha jako najbliższą, żyjącą krewną i starszą kuzynkę, nawet pomimo dawnych niesnasek. — Miała nadzieję, że się nie myliła. Męczyło ją jednak przecucie, że Ky przekroczyła już granicę, poza którą przestała słuchać kogokolwiek i żyła teraz jakimiś dorosłymi fantazjami o potędze i zemście. Być może zatrulo ją coś na okręcie Osmana, a może taki wpływ wywarło na nią samo posiadanie jednostki bojowej. — Vattowie jej potrzebują — ciągnęła. — Potrzebujemy każdego członka rodziny i chcemy, żeby pracowali dla wspólnego dobra, by odbudować nasze interesy.

Potem władze stacji nie robiły jej więcej trudności. Sprzedała resztę ładunku i zapchała statek towarami, które, zdaniem Orema, mogły sprzedać się na Cascadii.

— Raczej nie osiągniemy podobnego zysku, jak tutaj czy na Rosvirein — orzekł. — Niemniej, powinniśmy pokryć koszty. — Po załadowaniu cargo Stella nie należała na priorytetowy odlot. Była już mocno opóźniona wobec Ky, ale uznała, że jej kuzynce nie zaszkodzi, jak się trochę pomartwi. Może uświadomi sobie odpowiedzialność wobec rodziny, zamiast śnić na jawie o kosmicznej flocie.

Kolejne dni lotu w nadprzestrzeni mijały bez wydarzeń. Pomiędzy zajęciami, w trakcie których przenosiła się z jednej sekcji do drugiej, by nauczyć się więcej o działaniu statku, Stella układała sobie przemowy i w kółko znajdowała w nich słabe punkty, do których Ky z pewnością się przyczepi. To było strasznie irytujące. Każdy, kto miał choć krztynę rozumu, musiał przecież dostrzec, że organizowanie sił kosmicznych było zadaniem dla rządów lub wpływowych i doświadczonych dowódców wojskowych, a nie młodej kobiety, która nawet nie ukończyła Akademii. Niemniej, im więcej rozmyślała nad kontrargumentami Ky i próbowała je zbijać, tym lepiej dostrzegała, że zasadnicza idea — powołania prawdziwej, gwiazdnej floty, która mogłaby okiełznać, jeśli nie całkowicie wyeliminować piractwo i zapobiec napaściom na systemy — była słuszna.

Wciągnięci do dyskusji Quincy i Orem zgodzili się z nią.

— Jedyne wyjścia, jakie widzę — jeżeli nie zamierzamy się poddać, co naszym zdaniem nie przyniosłoby niczego dobrego — to zjednoczenie się kupców w zbrojną ligę, która obroniłaby ich przed piratami lub stworzenie floty kosmicznej przez współpracujące ze sobą rządy — podsumował Orem. — Rządy systemów gwiazdnych nigdy nie chciały, żeby kupcy powołali do życia taką siłę bojową. Bali się, że stalibyśmy się dla nich zagrożeniem, kontrolując zasoby i mając możliwość przypuszczenia ataku z przestrzeni. Tak samo nie ucieszyło ich posiadanie uzbrojonych okrętów przez ISC.

— Możliwe — mruknęła Stella — ale nie oznacza to, że właśnie Ky powinna tego dokonać. Jest młodsza ode mnie i nawet nie ukończyła Akademii.

— Ky jest przebiegła — odpowiedziała Quincy. — Owszem, nie skończyła uczelni, ale zabrakło jej raptem paru miesięcy. Nauczyła się większości tego, co powinna. I widziałam ją w działaniu.

— Ja również — rzuciła Stella. — Mimo to, nadal jest Vattą. Musimy odbudować siłę rodziny; to właśnie deklarowała uczynić. Potrzebujemy każdego statku i członka rodziny — oto priorytet, na którym musimy się skupiać. Utrzymywanie, że taka flota jest potrzebna — nawet sugerowanie, z czego powinna się składać — to jedna sprawa. Ale angażowanie w to jednostki Vattów i samodzielne próbowanie powołania jej do życia jest... w najlepszym razie nieodpowiedzialne.

— Może — odparł Orem. — Nie znam jej osobiście i cała moja wiedza pochodzi od pani, Quincy i innych członków załogi, którzy pod nią służyli. Ale odbudowa Vattów wymagać będzie czegoś więcej niż powrotu statków do przewożenia ładunków. Konieczne będzie zabezpieczenie kosmicznych szlaków, uczynienie ich na powrót przyjaznymi dla kupców. Jeżeli uda się jej tego dokonać — jeżeli potrafi wpłynąć na innych, aby to zrobili — byłby to istotny wkład w odrobienie strat przez organizację Vattów.

— Zgadza się — przytaknęła Quincy. — I nie uważam tego za nielojalność wobec Vattów. Myślę, że Vattowie obchodzą ją tak samo, jak ciebie. Ale ona patrzy poza Vattów, na społeczeństwo, w którym Vattowie muszą funkcjonować.

— Tak przypuszczam — zgodziła się Stella. — Jednak nadal nie uważam, że jest odpowiednią osobą, aby organizować taką siłę.

— Wciąż jesteś na nią wściekła za to, że cię zostawiła — rzuciła ze zrozumieniem Quincy.

— Jestem o to na nią zła — przyznała Stella. — No dobrze, rozumiem jej powody na Garth-Lindheimerze. Co by się stało, gdyby nie uprawomocnili przejęcia okrętu przez Vattów? Potrzebowaliśmy kolejnej jednostki. Ale zwyczajnie nie pojmuję sytuacji na Rosvirein. Wiesz, w jakim bagnie tam wylądowaliśmy — gdyby nie doświadczenie Balthazara, mogliśmy wszyscy zginąć. A ona odleciała na chwilę przed tym, zanim zaczęły się kłopoty. Inni zostali — ona też mogła. Co to za dowódca? Jak o nas dba?

— Mówiłam ci, Stello... — zaczęła Quincy.

— Wiem, co mówiłaś. Nadal uważam, że mogła zostać w doku lub znaleźć sposób, żebyśmy się spotkali. Po prostu chcesz widzieć w niej wyłącznie swoją cudowną Ky. — Natychmiast zrobiło jej się wstyd za te słowa. — Znowu zabrzmiało tak, jakby była zazdrosna.

Quincy wzruszyła ramionami.

— Albo zrozumiesz to pewnego dnia, albo nie. Czeka na mnie praca. Proszę wybaczyć, kapitanie. — Skinęła głową Oremowi i wyszła.

Stella westchnęła.

— Przykro mi — mruknęła. — Nie znoszę denerwować Quincy. Naprawdę rozumiem twoje argumenty, Balthazarze, ale nie zgodzę się, że Ky jest właściwą

osobą do wykonania tego zadania... a przynajmniej, jeszcze nie.

— Z całą pewnością nie zamierzam dać się wciągnąć w spór pomiędzy moją pracodawczynią a jej krewną — oznajmił z krzywym uśmiechem. — Mam nadzieję, że zastaniemy ją na Cascadii i zdołacie dojść do porozumienia.

Gary Tobai wynurzył się w normalnej przestrzeni dokładnie tam, gdzie powinien. Stella nabrała zaufania do swej doświadczonej załogi, lecz ten moment wciąż wywoływał u niej napięcie. Prawdę mówiąc, nie lubiła podróży przez kosmos; będzie szczęśliwa, mogąc powrócić na Slotter Key i już tam zostać. Ta myśl przypominała jej o cioci Grace. Lepiej, żeby przywiozła jej zadowolający raport, jeżeli miałyby mieć nadzieję na prowadzenie szczęśliwego życia na planecie.

Jak tylko ożyły skanery, zawołał ją kapitan Orem.

— Madame, w systemie znajdują się dwie zarejestrowane jednostki Vattów: oczekiwana przez nas *Piękna Kaleen* oraz *Katrine Lamont*. Wie pani coś na temat tego drugiego statku?

Stella sprawdziła w implancie. *Katrine Lamont*, przeniesiona na tę trasę po wypadkach na Sabine — *dlaczego?* zdziwiła się — dowiedziona przez kapitana Josiaha Furmana. Znakomite akta do czasu Sabine... Co takiego zrobił? Czy w jakiś sposób była w to zamieszana Ky? Pokłócił się z nią? Czyżby już wtedy była dziwna?

— To jeden z naszych większych statków — powiedziała Oremowi. — Kapitan Furman powinien figurować na liście...

— J. Furman. Zgadza się, madame.

— Obsługuje tę trasę, więc wszystko się zgadza. Cieszę się, widząc inną jednostkę Vattów całą i na swoim szlaku; mamy z kim pracować. — Dawało jej to także okazję do rozmowy z kimś zdrowym na umyśle. Przypomniła sobie, że Furman był kapitanem Ky podczas jej nowicjuszowskiej podróży. Kylara uważała go za trudnego, ale ona sama była trudna w wieku trzynastu lat; jej niechęć do Furmana z pewnością wynikała z młodzieńczego buntu. Taki przykładowy kapitan był z całą pewnością wystarczająco opanowany, by sprawiedliwie traktować córkę swego pracodawcy. Jeżeli Ky narzekała na niego po Sabine, to świadczyło to gorzej o niej niż o nim. Może stanie się sojusznikiem, wspierając jej słowa swym autorytetem. Nie spodoba się to Ky, lecz będzie musiała ich wysłuchać.

Ansible Konfederacji Moskiewskiej działały, zastanawiała się więc, do kogo zadzwonić najpierw: do Ky, czy Furmana? Zwyciężyły więzy rodzinne. Zanim napuści Furmana na Ky, powinna przynajmniej ustalić, czyjej kuzynka odzyskała zdrowe zmysły. Poza tym, czas statku nie został jeszcze zsynchronizowany z czasem lokalnym. Zgodnie z informacją przesyłaną przez tutejszy system, mieli jeszcze przed sobą ponad jedną zmianę.

Telefon czaszkowy Ky zadzwonił i przekazał wiadomość automatyczną: rozpoznano nadajnik *Gary'ego Tobai*. Odetchnęła z ulgą i przesłała krótkie podziękowanie za powiadomienie. Owszem, Stella wynajęła doświadczoną załogę, lecz zbyt wiele rzeczy mogło pójść źle, a ona bała się utracić najbliższą krewną.

Chciała natychmiast do niej zadzwonić, lecz Stella będzie miała pełne ręce roboty. Połączy się z Kontrolą Lotów, a potem z różnymi instytucjami. Zdążą jeszcze porozmawiać, choć żałowała, że *Gary Tobai* nie miał szybszego napędu wewnątrzukładowego.

Po powrocie na okręt czekało na nią następne połączenie.

— W ocenie sprawy pomogłoby, gdyby Obserwatorka Leary mogła być świadkiem pani pierwszego kontaktu z kuzynką — oznajmił agent.

— Dlaczego? — zapytała Ky.

— Jako dowód — odrzekł. — Czy kuzynka rozpozna w pani swoją krewniaczkę. To nie wystarczy, ale będzie przekonujące.

— Może zadzwonić w każdej chwili — zauważyła Ky. — Chce pan, aby Obserwatorka Leary powróciła na pokład?

— Za pani uprzejmym pozwoleniem — powiedział.

Ky zgodziła się, udając wdzięczność, której nie czuła i grzecznym uśmiechem powitała Leary na pokładzie. Mijały zmiany. Wreszcie kontakt został nawiązany.

— Cieszę się, że cię słyszę — powiedziała Ky. — Zaczynałam się martwić. — Nie było sensu mówić, że zamartwiała się od kilku dni.

— U nas wszystko w porządku — odparła Stella. — Co u was?

— Mamy problem — oznajmiła Ky. — W systemie przebywa inny statek Vattów, *Katrine Lamont*...

— Tak, pod kapitanem Furmanem. Nie lubisz go, prawda?

— Nie w tym rzecz, Stello — ucięła Ky. — Twierdzi, że jestem oszustką.

— Co?! — Mina Stelli wyraźnie zdradzała, że nie to spodziewała się usłyszeć.

— Słyszałaś. Myśli, że jestem — nie uwierzysz — córką Osmana, udającą Kylarę Vatta.

— To... to śmieszne. — Stella przymrużyła oczy. — Skąd przyszło mu to do głowy?

— Mówi, że Kylara zginęła podczas napaści na Vattów. Uważa, że Osman coś knuł i wymyślił oszustwo. Tak przynajmniej powiedział zarządcy stacji. A wskutek awarii ansibla Slotter Key i innych nie mogę udowodnić, że jest inaczej.

— Widział cię? Przecież cię zna.

— Owszem i właśnie dlatego niczego nie rozumiem. Nie spotkaliśmy się twarzą w twarz, ale widział aktualne zdjęcie i mimo to upiera się, że jestem podobną do Kylary oszustką. To dziwne... Niezależnie od tego, co sądzi na mój temat, z pewnością wie, kim jestem.

— Powinien — przytaknęła Stella niepewnym tonem, jakby myślała o czymś innym.

— Crown&Spears posiada próbkę genetyczną Jo. Porównali ją z moją, zanim udostępni mi konta firmowe...

— Co robiłaś z kontami firmowymi? — zapytała ostrym tonem Stella.

— Nic, naprawdę. Musiałam uiścić opłaty portowe po przylocie, to wszystko. Oddałam już pieniądze po otrzymaniu zapłaty za dostawę. Mieliśmy ładunek medykamentów.

— Przewoziłaś cargo?

— Oczywiście, że tak, Stello. A co myślałaś?

Kuzynka unikała jej wzroku.

— Ja... zaczynałam się zastanawiać.

— Zastanawiać? Nad czym?

— Ludzie na Sallyonie byli naprawdę wkurzeni twoim planem zorganizowania kosmicznej floty bojowej...

— Ludzie na Sallyonie to idioci — parsknęła Ky. — Bardziej martwią się tym, żeby nie drażnić piratów niż chronieniem siebie i handlu. — Stella z pewnością to rozumiała. Było to przecież oczywiste. — Albo rządy układów planetarnych porozumieją się i powołają prawdziwą flotę kosmiczną, albo uczynimy to my, kupcy, albo poddamy się i pozwolimy piratom przejmować system po systemie i rządzić wszechświatem. Nie podoba mi się taka wizja. Oni zabili nam rodziców.

— To zadanie dla rządów — orzekła Stella. — Nie dla nas. Mamy wystarczająco wiele do zrobienia, żeby pozbierać Vattów. O ile zdołamy.

Nie była to dyskusja, którą Ky chciałaby toczyć na odległość; potrzebowała bezpośredniego spotkania ze Stellą.

— Cieszę się, że już jesteś, Stello. Za ile dni doleczysz do stacji?

— Balthazar mówi, że za szesnaście.

— Balthazar?

— Balthazar Orem, kapitan, którego wynajęłam na Garfh-Lindheimerze. Może pamiętasz, że porzuciłaś mnie tam zdaną na własne siły, tak samo, jak na Rosvirein i Sallyonie... — Śliczna twarzyczka Stelli stwardniała; Ky uświadomiła sobie, że tamta nadal jest na nią zła. Zawsze potrafiła chować urazę, dopóki ta nie umarła ze starości.

— Nie dlatego, że tego chciałam — odparła. — Cieszę się, że znalazłaś godnego zaufania kapitana.

— Miałam mnóstwo szczęścia — powiedziała Stella. — Zgadza się ze mną, że kupcy nie powinni tworzyć własnych sił wojskowych... — Nie były to dokładnie słowa Orema, ale nie szkodzi.

— Rozmawiałaś z nim o moich planach? — zapytała Ky, kładąc leciutki akcent na *moich*. — Znanych ci tylko z pogłosek?

— Biorąc pod uwagę reputację, jaką po sobie zostawiasz, wydawało się to podyktowane dobrze pojętą ostrożnością — oznajmiła Stella. — Nie miałam pojęcia, co zastanę kiedy, a może jeżeli, w końcu cię dogonię.

Ky zdusiła pierwsze trzy odpowiedzi, jakie przyszły jej do głowy. A więc Stella zwierzała się mężczyźnie, który akurat znajdował się pod ręką, nawet jeśli dopiero co go zatrudniła. Ciekawe, jak bardzo był przystojny ten kapitan? Zakładała, że Stella poradziła już sobie z tymi romantycznymi bzdetami, teraz jednak ujrzała w jej pierwszej, źle ulokowanej miłości, rozrzutnym i nie dbającym o nią mężu, Rafie i tym kapitanie kolejne punkty prostej linii, oznaczające że Stella w ogóle się nie zmieniła.

— Czekam z niecierpliwością na twe przybycie — powiedziała w zamian. — Może zdołamy rozwiązać problem identyfikacji mojej osoby i przeprowadzić miłą, długą

pogawędkę o interesach Vattów. — Bez udziału nowego obiektu zainteresowań Stelli, postanowiła w duchu. — A teraz wybacz...

— Zadzwoń jutro — obwieściła Stella. — Nie będę czekała szesnaście dni na rozmowę z tobą. Kto wie, co wymyślisz przez ten czas? Może znowu gdzieś polecisz.

— Nigdzie nie polecę — odparła Ky. — Okręt został zapieczętowany do czasu wyjaśnienia kwestii mojej tożsamości.

— Świetnie — uznała Stella. — W takim razie nie widzę powodów do pośpiechu. Skoro tam utknęłaś, będziesz musiała wysłuchać moich argumentów.

Ekran zgasł. Ky wpatrywała się weń zdezorientowana i rozjuszona zarazem. Stella była na nią zła; to jasne. Częściowo to rozumiała — zostawiła ją, żeby gończyła *Kaleen* przez kilka systemów. Na miejscu Stelli też byłaby wściekła. Ale z pewnością pojmowała, że nie było to działanie umyślne. Stella zachowywała się, jak gdyby Ky przeobraziła się w jakieś monstrum, wręcz nieprzyjaciela Vattów, podczas gdy wszystkie jej działania zmierzały przeciw do zapewnienia im jak największego bezpieczeństwa.

Westchnęła i obróciła się z fotelem, by napotkać wzrok obserwatoria. Neutralna mina Leary nie była w stanie zamaskować bijącego z oczu zainteresowania.

— Rozpoznała panią — oznajmiła.

— Owszem — przytaknęła Ky. — Jak pani z pewnością zauważyła, to była Stella.

— Pani kuzynka, jak sądzę? — upewniła się obserwatorka.

— Tak. Najmłodsza córka brata mojego ojca. Obecnie jedyna żyjąca córka. To materiał genetyczny jej starszej siostry posiada w swoich archiwach Crown&Spears.

— Nie przypomina pani — uznała Leary.

— Nie — zgodziła się Ky. — To piękność naszego pokolenia; więcej odziedziczyła po rodzinie swojej matki, lecz nawet wśród nich jest wyjątkowa. W rodzinie Stamarkosów przeważają blondynki, ale jej matka jest ciemnowłosa — a przynajmniej ma ciemniejsze włosy od Stelli. Jej brat był blondynem, jak również część kuzynów Stamarkosów. Zawsze chciałam wyglądać jak ona; matka zwykła powtarzać mi, że bym obserwowała, jak Stella się ubierała, jak wstawała i siadała.

Obserwatorka przekrzywiła głowę.

— Pani naprawdę świetnie ją zna.

— Powinnam. W dzieciństwie spędzaliśmy ze sobą mnóstwo czasu. Jest raptem kilka lat starsza.

— Chodziłyście razem do szkoły?

— Nie. Rezydencja wujka leżała na kontynencie, w pobliżu posiadłości Stamarkosów. Mój ojciec wolał mieszkać na Corleigh — to wyspa.

— W takim razie...

— Spędzałyśmy razem rodzinne wakacje i wyjazdy — wyjaśniła Ky. — Albo na kontynencie, albo na wyspie. Znała nasz dom równie dobrze, jak ja jej. Znałam nawet ogrodnika, który... — Urwała raptownie. Nie było sprawą tej kobiety, że Stella została „idiotką-Stellą” przez ogrodnika. Uświadomiła sobie ponadto, że słuchali ich Rafe, Hugh i reszta obsady mostka.

— Ogrodnika, który... — ponagliła ją obserwatorka.

Ky wzruszyła ramionami.

— Stare sprawy rodzinne. Chodzi o to, że przebywałyśmy w swoich domach w dzieciństwie i za młodu. Czasami rywalizowałyśmy ze sobą — ona zawsze wygrywała — a czasami sprzymierzałyśmy się, zwłaszcza, kiedy w sadzie jej ojca toczyliśmy udawane wojny pomiędzy domem Vatta a Stamarkos. — Uśmiechnęła się na wspomnienie; ta opowieść nie powinna nadszarpnąć reputacji Stelli. — Stella zawsze była taka doskonała, a jej matka szalała wręcz na punkcie schludności. Pewnego razu chłopcy Stamarkosów wyzwali nas i spędziłyśmy trzy dni na budowie fortu po naszej stronie sadu, podczas gdy oni wznosili podobny po swojej. Potem miałyśmy zdobyć ich flagę, a oni naszą.

— Ile lat wtedy miałyście? — zapytała Leary. Ky sięgnęła pamięcią wstecz.

— Musiałam mieć jakieś dziesięć lat, a Stella około dwunastu — trzynastu. Zwykle zabierała ze sobą ubranie na zmianę i myła się w kanale przed powrotem do domu, ale tym razem... — Urwała, wybuchając śmiechem.

— Nie możesz przerwać w takim momencie — zawołał Rafe. — Chcesz powiedzieć, że nieskazitelna Stella pobrudziła się?

Ky zgromiła go wzrokiem za przerywanie.

— Zawsze się brudziła, tylko zazwyczaj myła się przed pokazaniem matce. Tym razem walka przeniosła się do tej części sadu, skąd nie zebrano jeszcze owoców — co było zabronione. Po prostu zapomnieliśmy w ferworze walki; obrzucaliśmy się grudami ziemi i przejrzałymi owocami. Cóż, nagle znaleźliśmy się w samym środku zbieraczy i jeden z jej braci wpadł na drabinę. Stojący na niej zbieracz omal nie spadł na ziemię. Brygadzysta wściekł się i gonił nas do samego domu. Stella miała włosy w strąkach, brudne od ziemi i owoców, a na sukience purpurowe, czerwone i żółte plamy. Tak samo, jak reszta, ale to przecież była Stella. Myślałam, że ciocia Helen eksploduje. Wujek Stav tylko się śmiał, ale potem kazał nam przeprosić brygadzystę. Kuzynów Stamarkosów odesłali do domu; słyszałam później, że mieli dwudniowy areszt. My też, w dodatku zagoniono nas do pracy. W ciągu dziesięciu dni wybudowali nowy parkan wokół sadów i musiałyśmy chodzić pół mili pieszo, żeby spotkać się ze Stamarkosami i bawić na otwartych polach.

— Jeżeli faktycznie jest pani Kylarą Vattą z jej dzieciństwa, a ona jest Stellą Vattą z pani, to powinna pamiętać tę historię, prawda? — zapytała Leary.

— Tak — odrzekła Ky. Była pewna, że Stella ją pamiętała, choć różniły się w szczegółach. Stella zrzuciła na nią winę za zmuszenie jej do zabawy w sadzie, choć była już na to za duża. Ale Ky coś wiedziała: już wtedy, w wieku dwunastu — trzynastu lat, Stella uwielbiała wymykać się z domu i spotykać ze zbieraczem, który akurat wpadł jej w oko. Ky była wówczas rozdarta pomiędzy chęcią bronienia się przed oskarżeniami Stelli i wypaplania wszystkiego, co wiedziała, a koniecznością dotrzymania złożonej Stelli obietnicy, że dotrzyma jej sekretu. Miała żal za to niesprawiedliwe oskarżenie i rzuciła w nią bransoletkę, którą Stella podarowała jej na początku wakacji. Później martwiła się tym: gdyby wówczas opowiedziała ciocie Helen o flirtach Stelli, może zapobiegłoby to przyszłemu, znacznie poważniejszemu romansowi z ogrodnikiem?

— Zasugeruję zarządcy stacji, żeby ją zapytał — powiedziała obserwatorka.
Po raz pierwszy od wielu lat Ky zastanowiła się, co stało się z tamtą bransoletką.

Stella zagryzła wargi, wbijając wzrok w przygasły ekran. Ky okazała się równie irytująca, jak zawsze. Jak już coś sobie postanowiła, nie było siły, żeby wybić jej to z głowy. Zerknęła na Orema.

— Co pan myśli?

— Pani kuzynka jest bardzo... zdeterminowana — odparł.

— Nie uważa pan chyba, że ma rację?

— Madame, nie do mnie należy osąd. Dyskutowaliśmy o tym wcześniej. Jeżeli ten Gammis Turek faktycznie podbił cały Bissonet, to potrzebował do tego wielkich zasobów. Walka z nim będzie wymagała równie wielkiego potencjału. Niemniej, nie było z jej strony szczególnie taktowne rozmawiać z innymi kapitanami na Sallyonie, nie porozumiewając się uprzednio z ich rządami.

Stella uczepiła się tego słowa.

— Ona w ogóle nie jest taktowna — rzuciła. — Nigdy nie była. Kiedyś rozzłościła się na mnie, jak miała dziewięć czy dziesięć lat. Oskarżyłam ją o wpakowanie mnie w kłopoty — możliwe, że nie do końca słusznie — a ona rzuciła we mnie prezentem, który jej dałam, wyzwała od kłamczuch i nie odzywała się do mnie do końca wakacji. Całe szczęście, że już się kończyły. Próbowałam ją przeprosić, ale zawzięła się. — Z pewnym poczuciem winy Stella przypomniała sobie, że pomimo złości, Ky dotrzymała jej tajemnicy.

— Jednym słowem: porywcza?

— Tak. Niecierpliwa, gwałtowna i przekonana o swojej racji.

— Co zamierza pani teraz zrobić? — zapytał. Spokojny ton koił jej nerwy; wyraźnie uważał, że wiedziała albo wymyśli, jak kontrolować swoją narwaną kuzynkę.

— Zadzwoń do kapitana Furmana — oznajmiła. Była pewna, że Ky uzna to za nielojalność, lecz jak długo nie stawiała Vattów na pierwszym miejscu, to ona była nielojalna i tylko Stella pozostawała wierna rodzinie. Przypominanie Ky o powinnościach wobec rodziny było jej powinnością wobec rodziny i nie miało znaczenia, czy będzie rozmawiać z kimś, kogo Ky nie cierpiała.

Stella nigdy nie spotkała kapitana Furmana, a jej implant zawierał jedynie streszczenie akt personalnych i zdjęcie. Wąska twarz spozierała na nią chłodno, a cienkie wargi były mocno zaciśnięte. Upomniała siebie, że nikt nie wyglądał korzystnie na oficjalnych zdjęciach identyfikacyjnych, niemniej, nie spełniał jej standardów przystojności.

Połączenie odebrała technik łączności, okrągłolica rówieśniczka Stelli.

— Kapitan Vatta? Jaki kapitan Vatta?

— Jestem Stella Vatta — sprecyzowała. — Córka Stavrosa Vatty. Muszę porozmawiać z kapitanem Furmanem.

— Obawiam się, że to niemożliwe — odparła kobieta. — W tej chwili je.

Stella poczuła ukłucie irytacji. Nie w taki sposób powinno odnosić się do córki najwyższego szczebla menedżera Vattów, nawet jeśli już nie żył.

— A ja pełnię funkcję dyrektora Transportu Vattów — oświadczyła. Kobieta wytrzeszczyła oczy. — Jestem pewna, że kapitan Furman zechce ze mną porozmawiać. Natychmiast.

— Och... och... tak. Mmm... Zaraz kogoś pošlę... — Odwróciła się od ekranu i wymamrotała coś, czego Stella nie dosłyszała.

— A skoro już o tym mowa — dodała Stella — to może macie na pokładzie jakiegoś członka rodziny Vattów?

— Ummm... nie sędzę... — Kobieta była wyraźnie wstrząśnięta, lecz z pewnością znała nazwiska załogi. *Katrine* była duża, lecz większość miejsca zabierała przestrzeń ładunkowa. Załoga nie powinna liczyć więcej niż czterdzieści osób; prawdopodobnie mniej.

Stella szybko sprawdziła w implancie. Tak, standardowa załoga dla statku o tych rozmiarach liczyła od trzydziestu czterech do trzydziestu ośmiu marynarzy.

— Proszę to sprawdzić — poleciła.

— Tak jest... eee... kapitanie Vatta. — Kobieta opuściła wzrok, jakby korzystając z czytnika. — Eee... nie, kapitanie Vatta, w tej chwili nie mamy na pokładzie żadnych członków rodziny Vatta.

Niezbyt szczęśliwa okoliczność. Miała nadzieję znaleźć dodatkowych sojuszników celem wywarcia nacisku na Ky. Było to również trochę dziwne, gdyż Vattowie latali na większości statków. Nie wszyscy byli kapitanami; można ich było znaleźć niemal we wszystkich sekcjach, z przewagą tych związanych z cargo. Ponownie przepytала implant. Nie miała co prawda pełnego zestawu dowódczego, który Ky otrzymała od ojca, wgrała sobie jednak najaktualniejszą listę członków rodziny i ich przydziałów. Bardzo dziwne. Na tym statku powinni przebywać Maynard Vatta i Baslin Vatta.

Otworzyła usta, by zapytać o to łącznościowca, gdy oblicze kobiety raptownie zastąpiła twarz kapitana Furmana. Wielce rozzłoszczonego kapitana Furmana.

— W cokolwiek pani gra, to się nie uda, młoda damo! — zawołał, patrząc na coś poniżej ekranu. — Nie powiedzie się pani również próba zastraszenia mojej załogi. Jak tylko wyląduję, pani mistyfikacja legnie w gruzach! — Podniósł wzrok i rumieniec gniewu zastąpiony został przez chorobliwą bladość. — Pani nie jest... powiedzieli mi, że to kapitan Vatta...

— Jestem Stella Vatta — przedstawiła się Stella. — To właśnie powiedziałam pana łącznościowcowi. A pan myślał, że to kto?

Wziął głęboki wdech; na twarz wróciły mu rumieńce.

— Stella... chyba nie córka prezesa Vatty? Nie wiedziałem, że ma pani uprawnienia do dowodzenia statkiem.

Nie odpowiedział na jej pytanie, ale wróci do tego później.

— Tak jest, kapitanie Furman, jestem córką Stavrosa Vatty i pełnię aktualnie funkcję dyrektora zarządzającego Transportem Vattów. — Obserwowała, jak

przyswaja sobie te słowa, a jego oblicze staje się kwaśne, niczym talerz pikli. — A pan komu tak wymyślał?

Zaczerpnął tchu.

— Do stacji cumuje renegat, udający członka rodziny Vattów — odparł. — Jeżeli *jest* pani tym, za kogo się podaje, to wie pani o Osmanie Vatta...

— Owszem — przytaknęła Stella. — Kilka dekad temu mój ojciec i wuj wyrzucili go z rodziny. Ukradł statek...

— Zgadza się. I został piratem. Właśnie ten statek cumuje teraz do Stacji Cascadii. Pewna kobieta podaje się za Kylarę Vattę — gdyby żyła, byłaby chyba pani kuzynką — ale to niemal na pewno jedna z licznych potomstwa Osmana. Nie wiem, gdzie jest sam Osman, lecz jestem pewny, że władze dowiedzą się tego, jak tylko ją aresztują.

— Potomstwo... Osmana?

— Ten człowiek był nałogowcem — oznajmił Furman, lekko podwijając górną wargę. Pomimo wcześniejszego planu pozyskania go dla przemówienia Ky do rozsądku, Stella odkryła, że zdążyła serdecznie go znieubić. — Był seksualnym drapieżnikiem, zostawiającym nieślubne dzieci wszędzie, gdzie tylko się pojawił.

— A pan skąd o tym wie? — zapytała aksamitnym głosem.

— Miałem poszukiwać... eee... sierot, a w razie znalezienia przywozić je pani ojcu. Istniał plan adoptowania ich przez rodziny Vattów. Strata czasu, ale wypełniam obowiązki, nawet jeżeli są śmieszne. A była to druga najzabawniejsza rzecz, jaką musiałem kiedykolwiek zrobić dla Transportu Vattów.

— Znalazł pan jakieś? — zapytała Stella.

— Nie. Wiem, że kilkoro odszukano, ale żadne przeze mnie. Marnotrawstwo czasu — te całe poszukiwania sierot, przybrani rodzice...

Nie dziwiło jej, że żadnego nie odnalazł. Czy ktoś oddałby dziecko temu zgorzkniałemu, kostycznemu mężczyźnie, nawet za cenę obietnicy lepszego domu gdzieś daleko?

— A jakie było to najzabawniejsze zadanie? — zapytała.

Twarz mu pociemniała.

— Wysyłanie mnie na Sabine na pomoc Kylarze Vatta. Nie tylko nie było takiej potrzeby, ale ona jeszcze... odmówiła przyjęcia mojej pomocy. Z całego serca chciałem zabrać ją i załogę na pokład i sprzedać statek na złom, ale ona odleciała, nieposłuszna jak zawsze, a potem oczywiście zginęła — rzucił tonem ocierającym się o satysfakcję.

Rozdział 16

Po plecach Stelli przebiegł lodowaty dreszcz: kosztowało ją sporo wysiłku, by nie okazać nagłego zaniepokojenia.

— Skąd ta pewność, że ona nie żyje? Że ta osoba to oszustka? — Podniosła nieco głos, po czym zaczerpnęła tchu.

— Sama wystawiła się na cel — odrzekł. — Podejrzewam, że ataki na Vattów były zemstą za to, co zrobiła na Sabine. Wie pani, że zabiła tam dwóch ludzi? Własnoręcznie? Doprowadzając przy okazji do śmierci cennego pracownika Vattów? I latała starym, powolnym, nieuzbrojonym statkiem, a teraz ta osoba udająca Kylarę Vattę rezyduje w szybkim, uzbrojonym statku kupieckim, który wedle mego stanu wiedzy należał do renegata Osmana. Jak bardzo jest to prawdopodobne? Przyznaję, że istnieje powierzchowne podobieństwo — obie są młodymi kobietami o ciemnych włosach i raczej śniadej cerze... — Zadarł i opuścił podbródek, jakby chcąc zaprezentować własną, różową karnację i blade oczy. — ...ale nie ma możliwości, żeby Kylara Vatta pokonała Osmana i zdobyła jego okręt. Przecież była tylko... tymczasowym kapitanem.

W głowie Stelli rozdzwonił się alarm. Gdyby tylko nie przebywała na starym statku Ky, czego Furman zdawał się jeszcze nie dostrzegać, ale z pewnością zauważy. Chciała umocnić w nim przekonanie, że mu wierzy, że Ky nie żyje i osoba na pokładzie okrętu Osmana nią nie jest, ponieważ instynkt podpowiadał jej, że Furman wiedział więcej, niż powinien — żaden odnoszący sukcesy kupiec nie mógł być taki głupi. Musiała mu powiedzieć, zanim sam do tego dojdzie i poweźmie wobec niej podejrzenia.

— Kapitanie Furman — powiedziała, wkładając w głos cały swój urok — doceniam pańską troskę, lecz muszę wyznać, iż jestem przekonana, że moja kuzynka żyje... Nie mogę uwierzyć, że nie zauważył pan, na jakim statku przebywam...

— Eee... co?

— To był statek Ky, który przechrzciała na *Gary'ego Tobai*. Poprosiła mnie, żebym go przejęła, kiedy sama przeniosła się na okręt Osmana.

Zbladł.

— Co! Niemożliwe.

— A jednak prawdziwe. Jeśli mi pan nie wierzy, proszę spojrzeć na kody identyfikacyjne Kontroli Lotów.

Opuścił wzrok, po czym wpatrywał się w nią przez moment z opuszczoną szczęką.

— Ale skąd pani... Jest pani z nią w zмовie? Kolejny bękart Osmana?

Prychnęła.

— Raczej nie, kapitanie Furman. Powinien pan wiedzieć lepiej. Z pewnością widział pan moje zdjęcia. Niełatwo podrobić taką twarz.

Zaczerwienił się.

— Eee... nie. Nie przypuszczam, ale... ale ja nic nie rozumiem.

Czy on był skończonym głupcem? Stella poczuła przyływ współczucia dla Ky, zaraz jednak przegnała je precz.

— Ky żyje, kapitanie Furman. Spotkałyśmy się na Stacji Lastway, dokąd zabrała ten statek, a potem razem podróżowałyśmy. Wpadłyśmy... eee... na Osmana...

— Gdzie? — Zmarszczył brwi i wbił w nią przenikliwy wzrok.

— Nie mam pojęcia — odparła. — Ta informacja jest chyba gdzieś w dzienniku, ale nie sprawdzałam jej. — Nie chciała opowiadać całej historii, zwłaszcza nie tu i nie teraz. — Ky naprawdę wylądowała na jego okręcie i to ona cumuje do Stacji Cascadii.

— Jest pani pewna? — zapytał.

— Myśli pan, że nie rozpoznałabym własnej kuzynki?

— Nie widziała jej pani przez jakiś czas, prawda? Niewielkie zmiany... Chcę powiedzieć: skąd pani wie, że osoba, którą spotkała pani na Lastway, naprawdę była pani kuzynką?

— Wyglądało to na rozsądne wyjaśnienie — odrzekła. — Przebywała na właściwym statku...

— Tak, ale... — Skrzywił się, po czym twarz mu pojaśniała. — Załóżmy, że zginęła po odlocie z Sabine i ktoś przejął jej statek, ktoś choć trochę ją przypominający, a potem ten ktoś oszukał panią, zaś spotkanie z okrętem Osmana zostało wcześniej ukartowane. Założę się, że nigdy nie widziała pani Osmana, prawda?

Stella pomyślała, że człowiek przywiązany do ulubionej teorii potrafił przekuć surowe żelazo faktów w naprawdę fantastyczne kształty.

— No cóż, nie — przyznała. W każdym razie nie żywego. — Przypuszczam — dodała, chcąc sprawdzić, czy połknie haczyk — że mogło tak się zdarzyć. Ale z całą pewnością wyglądała na Ky.

— Ma pani raczej małe doświadczenie ze statkami, prawda?

To prawda, choć miała za sobą niemal półroczny pobyt na pokładzie, podczas którego ciężko pracowała. Ale niech sobie myśli, co chce.

— To mój pierwszy przydział na prawdziwy statek.

— Mogę pani pomóc — oświadczył głosem ociekającym fałszywą słodyczą. — Ochronię panią przed tamtą oszustką. Jestem skłonny to uczynić, ale nie zamierzam udawać, że tamta osoba to prawomocna dziedziczka Vattów.

— Rozumiem — mruknęła Stella. Uznała, że nie byłoby mądrze dopytywać się, gdzie podziało się dwóch członków rodziny Vattów, którzy powinni przebywać na pokładzie jego statku. Rodzinny instynkt bił na alarm.

— O ile wiem — ciągnął — jestem jedynym ocalałym starszym kapitanem, więc jeżeli zamierza pani odbudować Transport Vattów, będzie mnie pani potrzebować.

— Głęboko wierzę w to, że potrzebujemy wszystkich naszych statków, kapitanie Furman — oznajmiła Stella.

— Owszem, lecz w większości zostały one zniszczone, prawda? Gdyby udało mi się wywabić tę oszustkę z okrętu Osmana i aresztować w pani imieniu, to byłoby to coś warte, nieprawdaż?

— Nie jestem pewna, czy to konieczne — odparła, wdzięczna za lata praktyki, które pozwoliły jej zachować spokojny ton, pomimo oślepiającego ją białego płomienia wściekłości. Co za człowiek. Myślał sobie, że może uwięzić Vattę, tak? Prawdopodobnie zamierzał doczekać wygaśnięcia kontraktu i ogłosić się nowym szefem firmy Vattów, przynajmniej na tym obszarze. Teraz uznał, że mógł usunąć Ky z jej okrętu i podarować go Stelli, a potem... co? Co najmniej nalegać na zawiązanie spółki. Sądząc po sposobie, w jaki na nią patrzył, mógłby chcieć nawet czegoś więcej.

— No cóż, nie, *Katrine* powinna wystarczyć — odrzekł z uśmiechem, na widok którego Stella nabrała ochoty, żeby walnąć go w twarz. Minie szesnaście dni, zanim znajdzie się wystarczająco blisko... chciała to zrobić teraz. — Niemniej, okręt Osmana byłby wspaniałym uzupełnieniem naszej floty.

— Miło wiedzieć, że tak bardzo utożsamia się pan z Transportem Vattów — powiedziała.

— Oddałem tej firmie całe swoje życie — oznajmił, dosłownie puchnąc z dumy. — Pani i ja moglibyśmy podźwignąć ją z tej katastrofy.

— Z pewnością nie poradziłabym sobie sama — wymruczała. Zerknęła na niego spod opuszczonych rzęs, aż się zakrztusił. Tak. Był równie podatny, jak większość mężczyzn.

— Czyli... będzie pani ze mną współdziałać?

— Mam przewagę nazwiska Vatta — powiedziała.

— Tak, oczywiście. Rozumiem. Spodziewam się także, iż dysponuje pani użyteczną wiedzą, której ja nie posiadam... Konta firmowe i tym podobne.

Jakby miała zamiar podzielić się z nim takimi informacjami. Stella zmusiła się do uśmiechu.

— Owszem, mam trochę danych. Nie chciałabym jednak ujawniać ich za pośrednictwem publicznego łącza. Czemu nie wyląduje pan na stacji? Porozmawiamy, jak tam dolecę.

— Nie próbujemy przejąć okrętu Osmana?

— Nie, nie sędzę. Uważam, że w tej sytuacji nazwisko Vatta może więcej wskórać u władz. Będzie bardziej przekonujące.

— Cóż... — Z wyraźną niechęcią skinął w końcu głową. — W takim razie będę panią informował na bieżąco. Przynajmniej władze nie pozwolą tej oszustce odlecieć.

— O ile faktycznie jest oszustką — dokończyła Stella. — Nadal nie jestem do końca przekonana.

— Ja jestem — oznajmił, jak gdyby to powinno ją przekonać. — Nie mam nawet cienia wątpliwości.

Tylko dlatego, pomyślała Stella, że twój mały rozumek jest wypchany kłamstwami.

— Wobec tego porozmawiamy jutro — powiedziała. — O tej samej porze. — Przerwała połączenie.

— Ten facet to oszust! — zawołała pilotka. — Nie wierzy pani w ani jedno jego słowo, prawda?

Stella spojrzała na nią.

— Czemu tak uważasz?

— Jego oczy... kolory na twarzy zmieniały się jak u kameleona... ton głosu — nie zauważyła pani?

— Daleka jestem — oświadczyła Stella — od wiary w każde słowo kochanego kapitana Furmana. Z drugiej strony, przekonanie drogiego kapitana Furmana o moim pełnym zaufaniu do niego służy moim planom. Proszę nie mącić w głowie temu biedakowi wzbudzaniem jakichkolwiek wątpliwości w tej kwestii.

— Innymi słowy, nie chce pani popsuć przykrywki? — Brwi pilotki powędrowały w górę.

— Coś w tym guście — odrzekła Stella.

Była zdenerwowana. Tyle nadziei wiązała z Furmanem; widziała w nim sojusznika w przekonywaniu Ky o bezsensie zajmowania się flotą kosmiczną. Zakładała, że Furman, jak jej własny kapitan, okaże się statecznym, acz wiernym i godnym zaufania pracownikiem Vattów. Ujrzała kolejną osobę, której nie mogła zaufać, w sytuacji nie pozwalającej na popełnienie najmniejszego błędu. Był zawistny, ambitny i kierujący się wyłącznie własnymi korzyściami. Co więcej — mógł okazać się powiązany z Osmanem i spiskiem.

Nie po raz pierwszy żałowała, że Rafe przebywał na okręcie Ky, a nie z nią. Mógłby rozszyfrować Furmana, dowiadując się o nim więcej, niż tamten wiedział o sobie. Poza tym, był bliżej: po wylądowaniu Furmana na stacji Rafe powinien móc skorzystać ze swych niebagatelnych możliwości. Ale będzie musiała skontaktować się z nim za pośrednictwem Ky. Czy Kylara okaże się chętna do współpracy? Wcale nie była tego pewna.

Przez wszystkie godziny, dzielące ją od następnego połączenia, budząc się i zasypiając, Stella łamała sobie głowę nad Furmanem. Czemu był taki pewny, że Ky nie żyła? Pobożne życzenia? Nigdy się nie lubili. A może wiedział, że była celem zamachów? Czy ktoś powiedziałmu, że nie żyła, a jeśli tak, to kto? Skąd ta jego pewność, że Osman miał dzieci? Znał go?

Czy to możliwe, aby taka była prawda... czy ta Ky jest tylko substytutem prawdziwej Kylary — a jeśli tak, to w jakim celu? Dalszego wyniszczania Vattów? Czegoś innego? Była pewna, że знаła swoją kuzynkę... A mimo to Ky dopuściła się rzeczy, które ją niepokoiły, gdyż nie pasowały do dziewczyny, z którą dorastała.

Rozbudziła się i nie mogła już zasnąć, więc sprawdziła harmonogram wacht i z zadowoleniem odkryła, że Quincy miała dyżur. Staruszka była z Ky od chwili, gdy ta weszła na pokład; będzie wiedziała.

— Oczywiście, że to Ky — oświadczyła Quincy. — Furman to idiota, a to jest najgłupsza teoria, jaką w życiu słyszałam.

— Nie było takiego momentu, kiedy można było kogoś podstawić?

— Jak? — zapytała Quincy. — Akademia Sił Kosmicznych sprawdziła jej tożsamość, kiedy podjęła tam naukę. Weszła na pokład prosto z wahadłowca

Vattów, przylatującego bezpośrednio z domu jej ojca. Przyznaję, że na stacji oddalała się od statku, ale nigdy poza zasięg monitorów.

— Wszystko jedno — mruknęła Stella. — Nie chodzi o to, że ufam Furmanowi — bo nie ufam — lecz nawet głupiec może wiedzieć, że woda spływa w dół zbocza. Co będzie, jeżeli ma rację w tej jednej sprawie?

— Zapytaj ją o coś, co wiecie tylko wy dwie — poradziła Quincy. — Sobowtór może wiedzieć tylko to, co inni.

Stella nie była tego taka pewna. Co mogły wiedzieć tylko ona i Ky? Może istniała jakaś ich wspólna tajemnica z dzieciństwa, lecz nie przychodziło jej do głowy nic, czego nie wiedzieliby krewni i przypadkowo nie wygadali przez te wszystkie lata.

— Potrzebujemy dobrego skanu genetycznego — uznała Stella. — To raz na zawsze ustaliłoby jej tożsamość, niestety, materiał porównawczy znajduje się na Slotter Key.

— Bardziej martwiłabym się tożsamością Furmana — oznajmiła Quincy. — Skąd mamy wiedzieć, że jest tym, za kogo się podaje?

Nie przyszło jej to do głowy. Furman jako idiota lub zdrajca — owszem, ale Furman, który nie był Furmanem?

— Ky jest pewna, że to Furman — odparła, natychmiast zdając sobie sprawę, jaką głupotę palnęła.

Quincy wskazała na sprawę oczywistą.

— Skoro nie jesteś pewna, że to Ky, czemu wierzysz jej słowom odnośnie tożsamości Furmana?

Stella potarła twarz dłońmi.

— Przynajmniej nie trzymają się razem... Nienawidzę czegoś takiego. Dlaczego Ky nie może postępować rozsądnie?

Ky zastanawiała się, czy Stella skontaktuje się za jej plecami z Furmanem. Wyuczono ją podstępności; oczywiście, że to zrobi. Mogła jednak liczyć na jedno: Stella wiedziała, że nie jest oszustką. Może być na nią wściekła, uważać ją za idiotkę, ale nigdy nie pomyśli, że Ky to nie Ky. Może zdoła wybić to Furmanowi z głowy.

Głowiła się, jak ma przebić się przez jego ochronę, skoro od lądowania Furmana dzielił ją tylko jeden dzień. Uważał ją — prawdziwą Kylarę Vattę — za martwą. Czemu tak sądził? Wiedział o atakach na Vattów? Brał w nich udział? Chciała w to wierzyć, wiedziała jednak, że odczuwana od dawna antypatia mogła zniekształcać jej osąd. A może chciał ją zdyskredytować tylko po to, żeby wzmocnić własne roszczenia jako najstarszego kapitana Vattów, by móc reprezentować Vattów i zdobyć dostęp do kont firmowych. Możliwe, że w widocznym upadku imperium Vattów upatrywał szansy na założenie własnego, wykorzystując swój statek i wszystko, co zdołałby zrabować z rachunków.

Mógł też być uczciwy i zwyczajnie się pomylić, upomniało ją sumienie.

— Nie wydaje mi się — powiedziała na głos.

— Co? — Martin wpatrywał się w nią, a ona zdała sobie sprawę, że wygłosiła to zdanie w samym środku posiłku, z widelcem czegoś, czego smaku tak naprawdę

wcale nie zauważyła, w połowie drogi do ust.

— Rozmyślałam o Furmanie — wyjaśniła.

— Motywy — odezwał się Rafe, patrząc z ukosa na Martina. Wolałaby, żeby tego nie robił. Nie mógł odmówić sobie podkreślenia, że był o ułamek dalej niż tamten. Tym razem miał rację, ale nie zamierzała mu tego mówić.

— Rafe — zawołała. Spojrzał na nią. — Ponieważ istnieje szansa, że Furman uważa mnie za martwą, gdyż poinformował go o tym któryś ze współspiskowców, chciałabym, abyś spenetrował jego zabezpieczenia, jak tylko znajdzie się w doku i sprawdził, czy w wewnętrznych plikach nie ma czegoś ciekawego.

— Niewdzięczna robota — uznał Rafe, wydymając wargi. Nie spuszczała z niego wzroku. W końcu wzruszył ramionami. — W porządku. Lecz zajmie to czas, który mógłbym spożytkować w bardziej interesujący sposób...

— Poradzisz sobie — uznała. Odwróciła się do Martina. — Martin, czy uważasz nasze obecne zabezpieczenia za wystarczające, by wpędzić we frustrację wszystko, czym dysponuje Furman?

— Jeżeli jego wiedza dotyczy tego, czego powinna, to jest handlu — tak, madame. Jeśli jest tajnym agentem Turka, to lepiej przestawić zabezpieczenia na podwyższony poziom.

— Zrób to — poleciała Ky. — Zawsze uważałam go za aroganckiego pryka, ale utrzymywanie, że jestem kimś innym... To przerażające.

Zwróciła się do Hugh.

— Obawiam się, że może wycofać z kont Vattów spore sumy — powiedziała. — W przypadku obecności w systemie mojej i Stelli, powinien złożyć podanie do którejś z nas, jako członków rodziny na wysokich stanowiskach. Ale on zaprzecza, że należę do rodziny. A jeśli tak samo postąpi ze Stellą? Mógłby wówczas twierdzić, że jest jedyną osobą, mającą prawo dostępu do tych kont.

— Ma teraz takie upoważnienie? — zapytał Hugh.

— Tak. Starsi kapitanowie muszą mieć dostęp do rachunków firmowych Vattów, zarówno celem wnoszenia depozytów, jak i wypłacania pieniędzy. W normalnych warunkach zwracają się poprzez ansibl finansowy do działu księgowości w siedzibie głównej na Slotter Key.

— Jeśli uznał, że Vattowie zostali zniszczeni — zastanawiał się na głos Hugh — to mógł wpaść na pomysł, że bez trudu wypłaci firmowe pieniądze, za które założyłby własny biznes.

— Potrafię sobie wyobrazić, jak to robi — przytaknęła Ky. — W takim przypadku dyskredytowanie prawowitych spadkobierców, którzy pojawili się w równie niefortunnym momencie, byłoby krokiem wręcz nieuniknionym.

— Zamierza pani odciąć go od kont firmowych Vattów?

— Możliwe. W najgorszym razie chciałabym móc monitorować jego transakcje i ograniczyć wypłaty do naprawdę niezbędnych, typu opłat portowych. — Natychmiast wykonała telefon.

W Crown&Spears znali już Ky i wiedzieli o jej problemie, toteż niezwłocznie połączyli ją z osobistym doradcą.

— Furman już zmańdrzał? — zapytała kobieta.

— Nie — odrzekła Ky. — A do mnie wreszcie dotarło, że możemy mieć problem z kontami.

— *Wiemy*, kim pani jest — oznajmiła kobieta. — Niezależnie od opinii rządu nasze testy wykazały pani bliskie pokrewieństwo z Josephine i tylko to się dla nas liczy.

— Doceniam to — zapewniła Ky. — Jeśli jednak Furman miał nadzieję zagarnąć zawartość tych rachunków dla siebie...

Kobieta uśmiechnęła się do Ky.

— Sporo panią wyprzedzamy, kapitanie. Nie po raz pierwszy ktoś próbuje zdyskredytować prawowitego właściciela konta. Opracowaliśmy procedury. Kapitan Furman otrzyma bardzo ograniczony dostęp do tych kont — żaden, jeśli tak pani uzna.

— Będzie musiał uiścić opłaty portowe — zauważyła Ky.

— Możemy zaakceptować bezpośrednie obciążenie z biura zarządcy stacji — poddała kobieta.

— Czy po przylocie Furman zazwyczaj otwiera osobny rachunek na statek?

— Był tutaj dopiero dwa razy — odparła doradczyni. — Rzućmy okiem. Nie, w obu przypadkach pracował na kontach firmowych. Wpłacił więcej, niż wypłacił. Czy chciałaby pani zapoznać się ze szczegółami?

— Tak, o ile to legalne.

— Jest to jak najbardziej legalne. Jest pani wysokiej rangi przedstawicielką właściciela rachunków, Transportu Vattów. Ma pani prawo zapoznać się ze wszystkim, co dotyczy rachunków firmowych Vattów. Jedną chwilę... — Popatrzyła w dół, a potem w dal. — Już je uzyskałam... W takich przypadkach stanowczo radzimy zgodzić się na dostarczenie danych w postaci wydruku przez naszego posłańca, kapitanie Vatta. Zgadza się pani?

— Oczywiście — odparła Ky. Rozejrzała się dokoła. — Martin... Mógłbyś tutaj podejść? — Zbliżył się na odległość wystarczającą, by uchwycić go urządzenie komunikacyjne. — To jest Gordon Martin, mój szef ochrony. Spotka się z gońcem w doku.

— Znakomicie — powiedziała kobieta. — Dane wyślemy w ciągu godziny. Furman przyleci jutro, na początku pierwszej zmiany. Gdyby mogła pani przekazać nam swoje życzenia odnośnie dostępu do rachunków jeszcze dzisiaj, do połowy trzeciej zmiany...

— Tak zrobię — obiecała Ky. — Po prostu chciałabym najpierw przejrzeć te dane.

Zgodnie z obietnicą w ciągu godziny otrzymała wydruki. Bank zapobiegliwie zaznaczył transakcje Furmana, ułatwiając porównanie jego wydatków z dokonywanymi przez innych kapitanów, korzystających z tego samego konta. Na pierwszy rzut oka nie widać było niczego podejrzanego. Opłaty za przycumowanie, dokowanie, zapasy dla załogi i statku, cła i akcyza, opłaty za start... Kwoty podobne do wydawanych przez innych kapitanów. W obu poprzednich przypadkach sprzedał

ładunek i otrzymał zapłatę w wysokościach zgodnych ze standardowymi przychodami zgłaszanymi przez pozostałych kapitanów.

Skrzywiła się. Nienawidziła takiej mrówczej analizy. Żałowała że w przeglądaniu danych nie mogła zastąpić jej Stella, a przynajmniej pomóc. Lecz niezależnie od zabezpieczeń połączenia, przy transmisji takich danych zawsze istniało jakieś ryzyko. Będzie musiała poczekać... Nie. Może przyda się tu na coś doświadczenie Martina w zarządzaniu zapasami.

— Oczywiście — zawołał, kiedy go poprosiła. — Z przyjemnością nad tym popracuję. Nic oczywistego, powiada pani? Tym lepiej. Będzie ciekawiej. — Ky nie użyłaby akurat tego określenia, cieszyło ją jednak, że Martin tak do tego podchodził. — Jak pani ocenia szanse, że coś znajdzie?

— Nie wiem — odparła Ky. — Może być na wskroś uczciwy i tylko żywić do mnie urazę za to, że mój ojciec przeniósł go na tutejszą trasę. Najwyraźniej nie osiąga tutaj zysków, jakie wykazywał na poprzednim szlaku.

— Nie? — Martin uśmiechnął się. — To bardzo ciekawe, kapitanie.

— Cóż, tutaj jest nowy. Może nie nawiązał jeszcze kontaktów...

— Kontaktów, tak. Zaraz się za to wezmę, kapitanie. Może natknę się na coś, czemu Rafe powinien przyjrzeć się bliżej, gdy już zacznie węszyć. Najdalej za parę godzin będę miał dla pani jakieś informacje.

— Świetnie. — Ky poczuła świerzbący chłód. Crown&Spears zabezpiecza konta Vattów. Leary przekazała swe podejrzenia zarządcy stacji, więc Furman nie będzie już miał na niego takiego wpływu. Stella... W danej chwili Stella stanowiła niewiadomą, lecz z całą pewnością przyleci tutaj i wszystko zrozumie. Czemu więc czuła takie napięcie?

Coś przeoczyła. Coś bardzo ważnego? Tylko co?

Grace siedziała przy oknie w saloniku na piętrze i obserwowała kurtyny deszczu, przesuwane się po zboczu w stronę rzeki. Lato prawie minęło, a częste opady przydawały okolicznym wzgórzom jesiennego wyglądu. Pączkujące ramie okropnie swędziało. Nie mogła go podrapać — był ukryty w sterylnym kapturze, tworzącym nieporęczną zgrubiałość na końcu kikuta. Widziała go w środku — maleńki, czerwony wyrostek, niczym nabiegły krwią pęcherz w wewnętrznym pokrowcu, zapewniającym mu ochronną powłokę i odpowiednią wilgotność. Użyteczna skóra wykształci się dużo później.

MacRobert wyjechał. Domyślała się, że wrócił na Akademię Sił Kosmicznych, by uprzykrzać życie kolejnym kadetom. Prezydent nie żył, tak jak tego chciała. Nie powiedziała MacRobertowi, jak bardzo pragnęła zabić go własnoręcznie, raz jeszcze napawając się chwilą wyjątkowej władzy. Lubiła MacRoberta i wiedziała, że on polubił ją, lecz były tajemnice, którymi nie zamierzała się dzielić, nawet pomimo tego, że nie spodziewała się go więcej zobaczyć.

Po kilku burzliwych dniach i zdumiewającej dla niektórych ilości rezygnacji Zgromadzenie i Rada powróciły do normalniejszego — miała nadzieję, że zdrowszego — zachowania. Nie doszło do następnych ataków. Otrzymała

zapewnienie, że już się nie powtórzą i że rząd — obecny rząd — ponownie uważa Vattów za rodzinę godną ochrony. Różni ministrowie wypowiadali się, używając mocnych określeń: byli przerażeni, zbulwersowani, to nie powinno mieć miejsca, to się więcej nie powtórzy. Mieli nadzieję — każdy z nich to powiedział jako część pożegnania — że powinna odzyskać spokój i wybaczyć tym, którzy własnoręcznie umknęli możliwości wymierzenia im kary.

A ona wpatrywała się w deszcz i wydawało się jej, że widzi twarze zmarłych, jakby wydrukowane na cienkim, szarym jedwabiu... Tych, których znała dobrze, jak Gerry'ego, Stava i ich dzieci oraz tych, których nie znała prawie wcale — mężczyzn i kobiet pracujących w siedzibie firmy, na statkach, w fabrykach i na polach. Tyłu zginęło. Widziała nawet pysk kuca, którego własnoręcznie zabiła z litości. Byli tam wszyscy, w strugach deszczu, niezadowoleni z niej... ponieważ sprawa nie została doprowadzona do końca. Jej zadanie nie zostało jeszcze wykonane.

Odwróciła się, zaciskając usta, gdy ochronna bulwa na ramieniu uderzyła o krzesło, przypominając że kikut mógł nadal boleć bardziej, niż pączkująca kończyzna śwędzieć.

— Grace... wszystko w porządku? — Helen przyszła sprawdzić, co u niej.

— Tak — skłamała.

— Znowu masz zielonkawą skórę wokół ust — zauważyła Helen. Grace spostrzegła, że tamta wyglądała dużo lepiej. Z łatwością uwierzyła następcom zdradzieckiego prezydenta; spała spokojnie i dopisywał jej apetyt. Dzieci całkowicie wróciły do siebie i odzyskały energię. Słyszała, jak tupają na schodach i nawoływały „babcię”.

— Po prostu jestem zmęczona — powiedziała. — Chyba podaruję sobie kolację i wcześniej pójdę spać. — Odepchnęła się zdrową ręką od krzesła i poszła w stronę swojego pokoju, czując zatroskane spojrzenie Helen, niczym dłoń na plecach. Niewłaściwą dłoń.

W jej pokoju panował jeszcze głębszy półmrok i pachniało mokrymi liśćmi i trawą. Grace zadrżała. Mówili jej, że ciało może w nieprzewidywalny sposób reagować na zaszczerpione ramię i wspierające je środki. Uprzedzili, że może czuć zimno lub gorąco, bądź może być zmęczona lub nadaktywna wskutek działania krążących w jej ciele biochemicznych mieszanek, podtrzymujących i przyspieszających rozwój pączka. Wślizgnęła się pod kołdrę w ubraniu, mając nadzieję, że jutrzejsza nieprzewidywalna reakcja pochodząca będzie z drugiego końca skali doznań.

Ocknęła się w ciemnościach, gdy o dach zabębnił rześisty deszcz. Nic jej nie dolegało: nie bolało, nie paliło, ani nie swędziało. Łóżko otaczały ledwie widoczne twarze, wpatrując się w nią intensywnie.

— Przepraszam — wyszeptała bezgłośnie.

Wtem usłyszała jakiś dźwięk. Twarze wtopiły się w mrok. Kroki zbliżały się. To nie Helen. Ani żadne z dzieci. Sięgnęła do stolika nocnego, macając w poszukiwaniu broni, którą wreszcie zwróciła policja, wielokrotnie ostrzegając, że była nielegalna i miała mnóstwo szczęścia, iż nie wysunięto wobec niej oskarżeń. Nie mogła jej

znaleźć; zatoczyła dłonią szerszy łuk i jeden z pierścionków stuknął o szklanę z wodą. Kroki zamarły; wstrzymała oddech.

Ruch powietrza zdradził jej, że drzwi się otworzyły, a cichutki stukot oznaczał ich zamknięcie.

Okłamáli ją, albo pomylili się, co doprawdy nie miało znaczenia. Doszło właśnie do kolejnego ataku, na który nie była gotowa i nie mogła nawet znaleźć broni. Leżała sztywna i zdeterminowana, by nie wydać najmniejszego dźwięku, ani nie poruszyć się.

Wówczas zapaliła się lampka nocna, a na jej ramię skapnęła zimna kropla. Ujrzała MacRoberta w ociekającym deszczem kapturze i z jej bronią w ręku.

— To pan!

— Szszsz. Jesteś bielsza od prześcieradła i cała drżysz. Pozwól, że wydostanę się z tego.

Ku jej niebotycznemu zdumieniu odłożył broń daleko poza jej zasięgiem i zdjął przemoczone ubranie, odsłaniając ciało, jakiego mogłaby oczekiwać.

— Co pan właściwie wyprawia? — Trudno było przekazać szeptem całe oburzenie, jakie odczuwała, lecz zrobiła, co była w stanie.

— Kładę się do łóżka z tobą — odparł MacRobert. — Posuń się. — Wsunął jej rękę pod plecy, ciepłą i silną, po czym przesunął ją na drugą połowę łóżka i wślizgnął się pod kołdrę.

— Jak pan...

— Helen. Uznała, że mnie potrzebujesz. Oczywiście nie wie, że już tutaj jestem.

Zupełnie, jakby ktoś rozpałił w łóżku ognisko — już nie czuła zimna. Jej stopy przestały być lodowate. Światło zgasło. Położył się na plecach z pełnym zadowolenia westchnieniem.

— Mam nadzieję, że pan nie chrapie — rzuciła z oburzeniem, które powinna wszak odczuwać.

— Nie mam pojęcia. Od lat nie było nikogo, kto mógłby mi to powiedzieć. W każdym razie, gdybym chrapał, po prostu walnij mnie w żebra i obudź. — Poczua ugicie się materaca, gdy odwrócił się w jej stronę. — Grace... wiem, na czym polega twój problem.

Zawsze mieli tę samą odpowiedź — rozczarował ją.

— Z pewnością nie jest to brak seksu — oznajmiła.

— Dobrze nieba, oczywiście, że nie! Nie to chciałem powiedzieć.

— A co?

— Chciałaś ujrzeć go martwego. Chciałaś zabić go własnoręcznie. Mam rację? Oślupiała.

— Tak — odparła po chwili. — Chciałam. Chciałam, żeby wiedział, kto to zrobił.

Nie odrzuciło go, jak tego na poły oczekiwała.

— Tak myślałem — powiedział. — Wyglądasz na taką.

— Na jaką?

— Lubisz zabijać. Jesteś przyzwoitym człowiekiem, więc nie nurzasz się w tej przyjemności, kiedy jednak nadarza się okazja, cieszysz się tym. — Przemawiał

spokojnie, jak gdyby opisywał kolejne części broni.

— Nie jesteś tym zaszokowany? — zapytała.

— Nie. I może chciałabyś wiedzieć, że kiedy komendant uświadomił prezydentowi, że sieć wokół niego właśnie się zacisnęła, wyrwało się mu: „Jak to zrobiła?”. Wiedział, choć nie wymienił twego imienia.

Było jej ciepło. Była bezpieczna. Po raz ostatni zasnęła z tak lekkim sercem, zanim zaczęły się kłopoty, a kiedy obudziła się, deszcz ustał i wpadające przez okno promienie wczesnego słońca rozświetlały brązowe oczy MacRoberta.

— Chrapałem? — zapytał.

Rozdział 17

Katrine Lamont podchodzi do lądowania — powiadomił ją zarządca stacji. — Przydzieliliśmy im dok w pobliżu, ale na innej gałęzi.

— Dziękuję — powiedziała *Ky*.

— Kapitan *Furman* pozostaje przekonany, że nie jest pani *Kylarą Vattą*, córką *Gerarda Vatty*, prawowitym pracownikiem Transportu *Vattów*. Jak rozumiemy, pozostaje on w kontakcie ze *Stellą Vattą*, przedstawiającą się jako prezes Transportu *Vattów*. Podważa pani to?

W co grała *Stella*? Nie przedyskutowały jeszcze, jak zorganizują firmę, a przy jednym statku nadmierna formalizacja wydawała się zbędna. Sugerowała jej, że powinna objąć funkcję dyrektora do spraw finansów, ale prezes?

— Czy podważam nawiązanie przez nią łączności z kapitanem *Furmanem*? Skądże. Sama to podpowiadałam.

— Że jest prezesem Transportu *Vattów* — sprecyzował zarządca stacji.

— Nie omawialiśmy jeszcze kwestii naszych stanowisk — odparła *Ky*. — Jej ojciec był prezesem, a mój dyrektorem finansowym. Uważam, że lepiej orientuje się w kwestiach księgowych, ale domówimy to sobie później. A dlaczego?

— Dla naszych celów musimy ustalić starszeństwo pomiędzy wami. Chodzi o sprawy organizacyjne; wiemy już, że biologicznie jest starsza od pani. Która z was rządzi?

Pierwsze pół tuzina odpowiedzi, które przebiegły *Ky* przez głowę, nie nadawały się do wygłoszenia. Miała nadzieję, że jej twarz niczego nie zdradziła.

— Jestem przekonana, że jest to sprawa do wyjaśnienia pomiędzy mną a *Stellą* — oświadczyła. — Za pańskim pozwoleniem, zaraz skontaktuję się z nią. Dziękuję. — Rozłączyła się, nim zdążył odpowiedzieć.

Gary Tobai znajdował się w odległości dziesięciu minut świetlnych, lecz *Ky* nie chciała borykać się z opóźnieniem w komunikacji z prędkością światła; w zamian skorzystała z ansibla.

Stella odebrała. Wyraźnie oczekiwała kogoś innego, gdyż na widok *Ky* natychmiast zmieniła minę. Koło niej stał mężczyzna w mundurze kapitana; to musiał być ten „*Balthazar*”, o którym wspominała.

— Właśnie miałam do ciebie dzwonić — zaczęła *Stella*.

— Właśnie dowiedziałam się od zarządcy stacji, że jesteś prezesem Transportu *Vattów* — zaatakowała gniewnie *Ky*. Była zła.

Stella machnęła ręką.

— Musiałam coś powiedzieć — odparła. — Uznałam, że to zrobi wrażenie. Poza tym...

— Myślałam, że na *Lastway* uzgodniłyśmy odwrócenie ról naszych ojców — powiedziała *Ky*. — Mówiłam o tobie, jako o moim szefie finansów...

— Sobie przypisując tytuł prezesa? — Zaróżowiła się, a oczy jej zabłyśły. — Nie uważasz tego za nieco aroganckie wobec pozostałych przy życiu na *Slotter Key*

starszych członków rodziny Vattów?

— Sama tak zrobiłaś — wytknęła jej Ky. — Nie wydaje mi się to mniej aroganckie.

— Jestem starsza — zauważyła Stella. — A mój ojciec był prezesem...

— Nie chciałbym przeszkadzać — odezwał się Rafe. Ky obróciła się, by na niego spojrzeć. Ustawił się tak, by obejmował go monitor. — Lecz z pewnością możecie podyskutować sobie później. Im dłuższa zwłoka, tym większe będą podejrzenia zarządcy stacji, że z waszymi tożsamościami coś szwankuje.

Stella otworzyła usta, lecz Ky była szybsza.

— Wspólnie — rzuciła prędko. — Obie jesteśmy prezesami, co jest niezbędne w obecnej niebezpiecznej sytuacji. Dzięki temu, nawet zniszczenie jednego statku nie pozbawi firmy jasnej hierarchii służbowej.

— To może się udać — uznała Stella.

— Obie zadzwonimy do zarządcy stacji — postanowiła Ky. — Nie rozłączaj się. Wywołam go i włączę w obwód. — Stella nie okazała entuzjazmu, lecz Ky to nie obchodziło. Nie zamierzała oddać się pod jej rozkazy. Wystukała kod zarządcy, przedstawiła się jego asystentowi i zaraz pojawił się właściwy rozmówca.

— Uznałam, że chciałby pan usłyszeć to od nas obu — zaczęła Ky. — Musi pan zrozumieć, że sytuację komplikuje fakt, iż obie działamy z pokładów statków, jako iż siedziba Vattów została zniszczona, a wiele ansibli uległo awarii.

— Chodzi o to — włączyła się Stella — że na razie obie pełniemy funkcje prezesów. To nasze zabezpieczenie — jeżeli jeden statek zostanie zniszczony, pozostaje drugi. Musiałyśmy działać w różnych systemach, pozbawione łączności w wyniku uszkodzenia ansibli.

— Dwóch prezesów? — zdziwił się zarządca. — Chyba nigdy o czymś takim nie słyszałem.

— Nie na stałe — powiedziała Ky. — Chodzi o kwestie bezpieczeństwa.

— Ale... kto tak naprawdę dowodzi? Kto ma starszeństwo, kiedy obie panie znajdujecie się w tym samym systemie? Zakładam, że nie zawsze zgadzacie się ze sobą...

Stella zachichotała.

— Faktycznie, nie. Lecz w razie potrzeby zamykamy się i wyjaśniamy sobie sytuację. Ky jest lepsza w jednych kwestiach — ma większe doświadczenie w dowodzeniu statkiem i handlu — a ja w innych — bardziej w sprawach organizacyjno-biurowych. Niemniej, jesteśmy po tej samej stronie.

— Rozumiem — mruknął zarządca stacji. — Ale kapitanie Vatta — pani Kylaro Vatta — kiedy powiedziałem pani, że Stella Vatta przedstawia się jako prezes, wyglądała pani na rozzłoszczoną i zaskoczoną.

— Prawdę mówiąc, zakładałam, że w przypadku pobytu w tym samym systemie tego tytułu używać będzie tylko ta z nas, która przyleci pierwsza, żeby uniknąć właśnie takiego zamieszania, jakie spowodowałyśmy tutaj. Lecz nie omówiłyśmy tego wcześniej i nie ustaliłyśmy jednolitego sposobu postępowania. — Ky przybrała nieprzenikniony wyraz twarzy.

— Po prostu nie pomyślałam o tym — dodała Stella z równie obojętną miną. — Przywykłam do używania tego tytułu, ponieważ działaliśmy oddzielnie.

— Rozumiem — powtórzył zarządca. Ky nie była pewna, czy im wierzył. — W takim razie, to pani dowodzi, kapitanie Vatta, skoro jako pierwsza zjawiła się w naszym układzie.

— Tak jest — potwierdziła Ky, nie dając Stelli szansy odpowiedzieć. — Choć uważam Stellę za partnerkę, a nie podwładną.

— Potwierdza to pani? — zarządca zapytał Stellę.

Ta pokiwała głową.

— Absolutnie — oznajmiła. Ky wyczuła w jej tonie wręcz przeciwne znaczenie i miała nadzieję, że ich rozmówca tego nie zauważył.

— Bardzo dobrze — uznał zarządca. — Muszę przypomnieć obu paniom, że pozostaje jeszcze kwestia identyfikacji pani Kylary Vatta, którą kapitan Furman oskarżył o przywłaszczenie tej tożsamości.

— Nie zgadzam się z nim — oświadczyła Stella. — Uważam, że musiał się pomylić. Wolałabym jednak utrzymać go w niepewności co do mojej opinii, ponieważ chciałabym dowiedzieć się, czemu jest taki pewny swego i jakie kierują nim motywy.

— Och. Nie powiedziała mu pani, że jest pewna, iż się myli?

— Wysłuchałam go — odrzekła Stella.

— Sądzi pani, że popełnił jakieś przestępstwo?

— Nie wiem — odparła Stella. — Zaskakuje mnie tylko próba dyskredytowania mojej kuzynki przez osobę, będącą dotąd wzorowym pracownikiem naszej firmy.

— W takim razie nie składa pani na niego skargi?

— Co najwyżej taką, że popełnił błąd.

— Czy ma pani jakiś dowód, oprócz swoich słów, że to jest faktycznie pani kuzynka? Na przykład jakiś materiał genetyczny do porównania?

— Nie. Prócz mojego, oczywiście. Choć mam na pokładzie starszego członka załogi, który świetnie ją zna. Czy jej świadectwo będzie się liczyć?

— Tak, ale nie wystarczy. — Zarządca stacji westchnął. — Pomoże zapewne pani materiał genetyczny, jako iż kapitan Furman nie zakwestionował jeszcze pani tożsamości. Jest pani obecnie ile... czternaście dni lotu od stacji, jak sądzę?

— Tak — potwierdziła Stella.

— Miałem nadzieję na szybsze rozstrzygnięcie — oznajmił zarządca. — Przepraszam — zwrócił się do Ky — że musi pani pozostawać pod obserwacją przez tak długi czas.

Ky wzruszyła ramionami.

— Nie pana wina, a mój statek nie jest taki ciasny, jak Stelli.

— Cieszę się, że tak pani do tego podchodzi — powiedział zarządca. — Proszę wybaczyć; czekają na mnie inne wiadomości.

— Oczywiście — rzuciła Ky. Rozłączył się. Spojrzała na Stellę. — I co?

— Wciąż ma podejrzenia — odparła i westchnęła. — Ky, chciałabym, abys przynajmniej w jednym systemie nie wpadła w kłopoty.

— To nie moja wina — broniła się Ky. — To przez tego idiotę Furmana.
— Furmana nie było na Sallyonie. Ani na Rosvirein, czy w Garth-Lindheimerze.
— Nie obarczysz mnie chyba winą za kłopoty na Garth-Lindheimerze! Jedyne, co tam zrobiłam, to nie zgodziłam się na tracenie czasu i pieniędzy na walkę z ich systemem sądowym.

— Zostawiłaś mnie, żebym posprzątała bałagan po tobie — wytknęła jej Stella. — Ze zbyt małą załogą i bez jasnych wskazówek.

— Nie sądziłam, że chcesz wskazówek — jeśli pamiętasz, sama mówiłaś, że ich nie potrzebujesz. Skoro jesteś prezesem...

Stella spojrzała na nią ostro.

— Owszem, poradziłam sobie. Co nie oznacza, że lubię być tak zostawiana. A potem przyleciałam na Rosvirein, skąd ty zdążyłaś odlecieć, a na stacji pojawiło się ogłoszenie o zaginięciu człowieka. Chcesz mi wmówić, że nie miałaś z tym nic wspólnego?

Ky skrzyżowała w duchu palce i odparła:

— Czemu sądzisz, że jakieś zaginięcie było moją winą?

— Czemu? A kto inny wprowadziłby kogoś takiego — zgodnie z ogłoszeniem był szeregowym pracownikiem, podejrzewanym o współpracę z przestępcami, a nawet piratami. Jesteś łowczynią piratów; czyż nie to właśnie byś zrobiła?

Dokładnie to zrobiła, lecz wyznanie Stelli, że zostawiła przesłuchanie tamtego człowieka Rafe'owi i Martinowi i więzień zmarł, a ona wyrzuciła ciało w kosmos, kiedy znalazła się już w wystarczającej odległości od stacji, doprowadziłoby jedynie do eskalacji konfliktu, jaki wydawał się nieunikniony.

— Przykro mi, że tak uważasz — oznajmiła, starając się mówić spokojnie, a mimo to poważnie.

Stella wyduła wargi, lecz zaraz zacisnęła usta.

— Zmieniłaś się, Ky. Nie jesteś ze mną szczerą, tyle mogę powiedzieć. Po dotarciu na stację czeka nas poważna rozmowa. Chcę znać twoje priorytety.

— Są zawsze takie same — odparła Ky. Poczowała zmęczenie, jakby nagle znalazła się w polu zwiększonej grawitacji. Brak zaufania ze strony Stelli był niesprawiedliwy, tak samo jak kwestionowanie jej motywów i priorytetów. — Chcę przetrwania Vattów i upadku naszych wrogów.

— Ciekawe — mruknęła Stella i rozłączyła się.

Ky osunęła się w fotelu. Myślała, że Stella zapomniała już o złości, którą czuła, gdy pojawiła się w systemie. Poparła ją w rozmowie z zarządcą stacji. Wyraźnie jednak nie była zadowolona.

— Problem? — zagadnął Hugh.

— Stella — odparła Ky. — To chyba stara, rodzinna rywalizacja.

— Z jej punktu widzenia sensowne było przedstawianie się jako prezes...

— Owszem — przyznała Ky. — Potrafię to zrozumieć. Żałuję tylko, że mnie nie uprzedziła. Gdyby nasze wersje pokrywały się... I jeszcze ta sprawa z moimi priorytetami. Zupełnie, jakbym urządziła sobie wakacje...

— Rodziny. — Rafe pokręcił głową. — Nie możesz żyć...

— Jeżeli powiesz: *Nie możesz żyć z nimi, nie możesz żyć bez nich*, będę... — spostrzegła, że obsada mostka obserwuje ich zachowanie — ...bardzo niezadowolona — dokończyła.

— Nie zamierzałem — zapewnił Rafe z rażąco fałszywą, niewinną miną. — Chciałem tylko powiedzieć, że... że...

— Tak?

— Nie możesz żyć z ich oczekiwaniami. Nie na zawsze. — Uśmiechnął się krzywo. — Stella siedziała bardzo blisko tego nowego gościa, zauważyliście?

— Nazywa go swoim kapitanem. Sama też pozostała kapitanem.

— Cóż, jest nim. Technicznie rzecz biorąc.

— Tak przypuszczam. — Ky wyprostowała się. — Czternaście dni do jej przylotu. Chyba pójdę popracować na zewnątrz. Nie chcę zmięknąć.

Stella zdołała zachować nieprzenikniony wyraz twarzy, dopóki nie dotarła do kabiny. Nastawiła dźwiękoszczelne ekrany na pełną moc i dopiero wtedy wyrzuciła z siebie potok przekleństw. Dzięki Rafe'owi mogła tak dosyć długo i to bez powtarzania się; zakończyła: „...głupią, małą *arogantką!*” Pomimo, iż była sama w kabinie, wydało jej się to zbyt słabym zakończeniem.

— Niech cię diabli! — wrzasnęła do ściany. — Zupełnie, jakbym nie była starsza od ciebie. Bardziej doświadczona. To nie ja zraziłam do siebie cały system... A ty masz czelność upokorzyć mnie przed zarządcą stacji. Jestem pewna, że był przy tym Rafe i wszystko chłonał, ciesząc się z rodzinnej sprzeczki. — Cisnęła poduszką w ścianę. Nie pomogło, ale też nie wyrządziło szkód. — Może za czternaście dni nie będę już miała ochoty ukatrupić cię na miejscu — dodała ciszej.

Wtem jej wargi wygięły się bezwiednie i wstrząsnął nią wybuch śmiechu. Nie. To wcale nie było śmieszne, a nawet, jeśli było, nie potrafiła jeszcze tego przyznać.

Miała tyle samo informacji o Furmanie, co Ky, która w dodatku dwukrotnie się z nim zetknęła. Jeżeli ustali przed Kylarą, jaką grę prowadził, odzyska przynajmniej w swoich oczach. Choć nie posiadała danych z implantu jej ojca, dysponowała aktualizacjami otrzymanymi od Grace, w tym finansowymi i personalnymi, doprowadzonymi przynajmniej do momentu zniszczenia siedziby firmy. Przejrzała je.

Furman pracował dla firmy od dwudziestu dziewięciu lat. Podkupiono go od wewnętrzukładowego przewoźnika z innego systemu, kiedy kapitan Vattów zmarł wraz z wieloma innymi podczas epidemii. Szybciej było zatrudnić jego i ponownie uruchomić statek, niż wysłać kogoś innego, by przejął jednostkę. Składał zadowolające raporty i regularnie awansował, aż na pozycję starszego kapitana. Stella zatrzymała się. W jego kartotece osobowej znajdował się symbol, którego nie знаła — typograficzny zawijas bez wyjaśnienia — postawiony w rok po promocji na starszego kapitana. Wzruszyła ramionami i powróciła do lektury.

Furman otrzymywał pochwały i przeniesienia na coraz bardziej lukratywne trasy. Miał najlepsze w firmie wskaźniki terminowości i wcześniejszych dostaw;

otrzymywał rekomendacje i premie. Potem, niespełna rok temu, został wysłany na Sabine, by znaleźć i pomóc Ky. Natychmiast po tym skierowano go na tę trasę, na sam skraj zasięgu działań Vattów.

Stella zatrzymała się ponownie. Coś tu nie grało. Czemu przeniesiono tutaj takiego dobrego, sumiennego i cennego dla firmy pracownika, w dodatku tak szczerze opłacanego? Sam raczej nie poprosiłby o taki transfer — kłóciło się to z osobowością, jaka wyłaniała się z jego akt: ostrożną, lecz ambitną i zdeterminowaną. Musiał coś zrobić, a logika podpowiadała, że była w to zamieszana Ky. Znał ją wcześniej; nie lubiła go. Może niechęć była obustronna? Z pewnością jednak o tym nie wspomniał, nawet jeśli tak było. Był dojrzały, doświadczony i obyty towarzysko, jak przystało na kupca. Taki człowiek nie zaryzykowałby kariery, uskarżając się na córkę pracodawcy. Co mogło się stać? Ky naskarżyła na niego ojcu?

W jej implancie nie było śladu po takim fakcie. Przetrzęsła własną pamięć z tamtego okresu. Podróżowała służbowo; nie wiedziała nawet, że Ky bawiła na Sabine. Potem ansible podjęły działanie, lecz Ky była już z powrotem w podróży. Ojciec nie zdradził jej szczegółów, poza tym, że Ky przebywała tam, została ranna, teraz jednak już wydobrzała, a kryzys został zażegnany. Ani słowa o Furmanie.

Co samo w sobie było dziwne. Zwykle natychmiast przekazywał jej rodzinne plotki. O wyrzuceniu Ky z Akademii dowiedziała się tego samego dnia; mówił jej wszystko, co wiedział lub odkrył o późniejszych podróżach Kylary. Dlatego właśnie napisała tamten list, w odruchu współczucia dla doskonałej córki, zawsze panującej nad sytuacją, która popadła w taką niełaskę. Czemu ojciec nie powiedział jej o posłaniu Furmana, by pomógł Ky, co poszło źle i że Furmana przeniesiono na inny szlak?

Postąpiono tak, aby ochronić Ky? Czyżby Ky narzekała bezpodstawnie, oczerniając Furmana? Faktycznie, potrafił być irytujący — przekonała się o tym — lecz nie wyobrażała sobie, co takiego mógł zrobić, żeby zasłużyć na wyrzucenie go z jednej z najlepszych tras Vattów i zesłanie na inną, możliwie jak najdalszą od kwatery głównej firmy.

Zastanawiała się, czy Ky powiedziała jej prawdę, gdyby ją zapytała. Wtem przypomniała sobie, że na pokładzie była wówczas Quincy.

— Furman był wściekły — powiedziała Quincy, zapytana o tamte wydarzenia. — Jeśli dobrze zrozumiałam, był zły, że ściągnięto go z jego trasy i wysłano na Sabine. Zaczął besztać naszą kapitan, jakby była niegrzecznym dzieckiem, a nie dorosłą kobietą, która bardzo dobrze poradziła sobie w trudnej sytuacji.

— Zbeształ ją... Jesteś pewna, że tak właśnie postąpił, że nie była to tylko interpretacja Ky?

— Jestem pewna — potwierdziła Quincy. — Nie byłam wtedy na mostku i nie słyszałam tego, ale przebywali tam Lee oraz technik łączności Mackensee, którego mieliśmy na pokładzie. Furman rzucił się na nią rozwścieczony do białości, wykrzykując że zniszczyła reputację firmy, że to będzie kosztować miliony i tak dalej, i tak dalej. Chciał, żeby pozwoliła mu sprzedać nasz statek na złom...

— Ten statek?!

— Tak jest, ten statek. Owszem, potrzebowaliśmy napraw, ale, jak widzisz, były one możliwe do wykonania. Ky miała ładunek do przewiezienia na Belintę, gdzie czekało na nią cargo do kolejnych portów, lecz Furman chciał zabrać ją na pokład razem z załogą i przesyłkami.

— Czy to właśnie miała zrobić?

— Nie. Przynajmniej nie według zapieczętowanej wiadomości, jaką jej ojciec przesłał poprzez Furmana. Furman znalazł się tam jedynie po to, by jej pomóc. To był jego pomysł, żeby przejąć dowodzenie i potraktować ją jak idiotkę. Naturalnie, Ky nie zgodziła się na to. Przekazała nam, co chciał zrobić i co ona zamierzała uczynić, dając każdemu z nas możliwość odlecenia z Furmanem.

— Czy poskarżyła się na Furmana ojcu? Czy to dlatego znalazł się tutaj, zamiast obsługiwać Trakt Beulah?

Quincy pokręciła głową.

— Nie mogłaby, nawet gdyby chciała. Pamiętaj, że platformy ansiblowe Sabine wysadzono w powietrze. ISC przysłało ekipy naprawcze, nie zezwalano jednak na żadną łączność prywatną, a my odlecieliśmy stamtąd przed zakończeniem napraw.

— Takie zachowanie zwyczajnie nie pasuje do obrazu Furmana, jaki wyłania się z jego akt personalnych — oznajmiła Stella. — Nie rozumiem...

— Ma swoją reputację — powiedziała Quincy. — Owszem, to dobry kapitan: maniak bezpieczeństwa i efektywności. Doskonała punktualność doręczeń. Lecz wobec swojej załogi był małostkowym tyranem, zwłaszcza dla niższych stopniem marynarzy. Przeważnie chodził nadęty, lecz co jakiś czas wybuchał. Wiesz, że dawno temu zalecał się do dziewczyny Vattów...

— Co?! — Była to ostatnia rzecz, jaką spodziewała się usłyszeć.

— Och, tak. Młody, obiecujący kapitan, błyskawiczne awanse za efektywność. Met... jak jej było na imię? Nie pamiętam. Najstarsza córka Harmon...

— Mellicent — podpowiedziała Stella. — W którym to było?

— Niech pomyślę. Około dwadzieścia lat temu, ale nie jestem pewna. Tak czy owak, poprosił o zgodę na ubieganie się o jej względy — widać, że nie pochodził ze Slotter Key — i jej ojciec wyraził zgodę, uważał jednak, że jego córka mogła już być uczuciowo zaangażowana w kimś innym. Napomknął o tym grzecznie Furmanowi, ten jednak nie zrozumiał przestrogi. Mellicent była typową Vattą: upartą i niecierpliwą. Cechował ją ten typ intensywnej, pełnej energii, mrocznej urody, zupełnie niepodobnej do twojej, lecz pociągającej dla wielu mężczyzn. Furman posyłał jej podarki: kartkę urodzinową, kwiaty, pudełko czekoladek i tak dalej. Wszystko doskonale konwencjonalne i pełne szacunku. Potem zaczął ją zapraszać na spotkania. Poszła z nim na festyn na prowincji, gdzie pochorował się po jednej z przejażdżek. Potem zawsze znajdowała wymówki, lecz on nadal nie rozumiał aluzji.

— Nie wyobrażam sobie Furmana w roli zalotnika — przyznała Stella. — Ambitny, nieprawdaz?

— No, nie wiem — odparła Quincy. — Przecież dziewczęta Vattów muszą wychodzić za mąż poza rodziną, a lojalny, skuteczny i obiecujący kapitan nie jest

takim złym wyborem. Zapraszali ją także inni kapitanowie. Oczywiście, zabierali ją na tańce, podniebne żeglowanie i nurkowanie, a nie prowincjonalne zabawy.

— Czyli nie zachęcała go.

— Nie. Prawdę mówiąc, wyszła za mąż podczas jednej z jego podróży, nawet nie informując go o tym.

Stella sprawdziła w plikach datę ślubu Mellicent. Niemal rok po tamtym tajemniczym znaku w aktach Furmana. Czyżby oznaczał początek daremnych zalotów?

— Skąd to wszystko wiesz? — zapytała.

Quincy prychnęła.

— Tego typu wiadomości rozprzestrzeniają się szybciej niż światło. Pracownicy wznoszący się w rodzinę nie są niczym nowym, niemniej, zawsze stanowi to znakomity materiał na plotki. Poza tym, choć Furman był dobrym kapitanem, nigdy nie cieszył się popularnością.

— Przyczyna jego zgorzknienia... Ciekawe, dlaczego został w firmie. Człowiek z jego kwalifikacjami mógłby znaleźć posadę u każdego pracodawcy.

— Owszem, ale mamy — mieliśmy — jedno z najlepszych stawek w branży. Wiesz, że Vattowie nigdy nie mieli problemów z podkupywaniem pracowników innych firm. Ludzie chcą pracować u Vattów. Chcieli.

— Tak przypuszczam. Zastanawiam się, czy właśnie dlatego wziął się na Ky. Mellicent była ciemnowłosa, Ky też.

— Może. Myślę, że należy do tych wiecznie skwaszonych ludzi, którzy wolą narzekać, niż coś zmienić.

— Ale skoro Ky nie poskarżyła się ojcu, to czemu przenieśli Furmana?

— Domyślam się, że jej ojciec usłyszał od niego coś, co bardzo mu się nie spodobało. Ale nie wiem. To tylko domysły. Nie dowiemy się, jeżeli Furman sam nam nie powie.

— Co jest równie prawdopodobne, jak to, że czas zacznie płynąć wstecz — uznała Stella. Wyglądało na mało realne, żeby Furman został jej sojusznikiem. Jeśli obwiniał Ky za swoje przeniesienie, to może dlatego właśnie próbował ją zdyskredytować, twierdząc, że była oszustką. — Czy wiadomo ci coś o dzieciach Osmana? — zapytała Quincy.

— Dzieciach? Nigdy nie słyszałam. Czemu?

— Te twierdzenia Furmana, że Ky to nie nasza Ky, tylko jedno z dzieci Osmana, której pojawienie się na jego okręcie jest częścią spisku — mało prawdopodobne, żeby Furman wymyślił coś takiego, gdyby wiadomo było, że Osman nie miał dzieci. Nie słyszałaś nigdy pogłosek na ten temat?

— Nic — odparła Quincy. — Osman był seksualnym drapieżcą; wiedział o tym każdy, kto się do niego zbliżył. Nie oznacza to jednak, że miał dzieci, albo że jakies uznał za swoje.

Stella nie wspomniała o informacji, znajdującej się w rodzinnych plikach.

— Skoro ty o niczym takim nie słyszałaś, to ciekawe, skąd Furman o tym wie.

Quincy spojrzała na nią z namysłem.

— To... interesujące pytanie. Zakładając, że istnieją takie dzieci. A nawet, jeśli nie, dlaczego wybrał właśnie takie wyjaśnienie przyczyn podszywania się przez Ky pod kogoś innego?

— Zaczynam zastanawiać się, czy aby Furman nie robił z Osmanem jakichś interesów — rzuciła Stella. — Trakt Beulah... Chyba przyjrzę mu się bliżej.

— Nie sądzisz chyba, że jest w tym cień prawdy...

— Oczywiście, że nie — odrzekła Stella. — Ky jest zbyt denerwująca, by być kimś innym.

Wyznaczony w Podręczniku Transportu Vattów Trakt Beulah był kręgiem o pięciu przystankach, nazwanym od pierwszego systemu po przecięciu z Congrove. Trakt Beulah, Wytchnienie Plantatorów, Arlene, Lądowisko Nadziei, Nowa Jamajka. Jeden punkt pośredni pomiędzy Traktem Beulah a Wytchnieniem Plantatorów, dwa pomiędzy Wytchnieniem Plantatorów a Arlene, znowu dwa pomiędzy Arlene a Lądowiskiem Nadziei i trzy pomiędzy Nową Jamajką a Traktem Beulah. Standardowe czasy przelotów poszczególnych odcinków w porównaniu z raportowanymi przez Furmana były... bardzo interesujące.

Furman pokonywał trasę Trakt Beulah — Wytchnienie Plantatorów, oszczędzając jeden dzień; takie jednodniowe wyprzedzenie wykazywał w 95 procentach przypadków przez ostatnich dziesięć lat standardowych. Dobrze zorganizowane statki mogły tego dokonać, oczywiście po maksymalnym dostrojeniu silników i kosztem nieco wyższego zużycia paliwa, powodowanego szybszym podejściem do punktu skoku i hamowaniem w pobliżu celu. Dodatkowy dzień spędzał w porcie, ściśle trzymając się rozkładów lotów Vattów, by nie podkopać zaufania nadawców ładunków. Czasy na drugim i trzecim odcinku były bardzo dobre, wskazując na znakomite utrzymywanie statku; rzadko uzyskiwał pełny dzień, chyba że mógł liczyć na premię za wcześniejszy przylot. W takim przypadku potrafił zjawić się nawet dwa lub trzy dni przed czasem. Lecz na czwartym odcinku z trzema punktami pośrednimi, z których każdy wymagał hamowania, on zdawał się latać jeszcze szybciej. Na Nową Jamajkę przylatywał przeciętnie cztery dni wcześniej.

Stella wpatrywała się w podręcznik nawigacji, aż rozboleły ją oczy. Wówczas wezwała pilotkę.

— Próbuję zrozumieć, jak statek może lecieć szybciej od oficjalnych czasów podróży dla zielonych tras. Znacznie szybciej.

— To proste. — Pilotka obrzuciła ją wyzywającym spojrzeniem. — Nie używając zielonych tras.

— Słucham?

— Korzysta z żółtych — wyjaśniła pilotka.

— Ale to nielegalne — rzuciła Stella i doczekała się takiego samego spojrzenia, jak przed chwilą.

— Owszem, i niebezpieczne, czym większość ludzi przejmuje się nawet bardziej — zgodziła się pilotka. — Ja nie zrobiłabym tego nawet za premię. O jakich trasach mowa?

Stella pchnęła w jej stronę czytnik.

— Jak mogłabym ustalić, z jakich tras korzystał zamiast tych, po których powinien latać?

— Jeden z pani statków, co? Zobaczmy. Taki kadłub... taki silnik... nie ma mowy, żeby osiągał takie czasy na zielonych trasach.

— Czemu to robi?

— Szybkość popłaca. Szybsza dostawa, premia za wczesny przylot, brak kar za opóźnienia. Głupota, ponieważ wcześniej czy później można wpakować się na coś... Wie pani, nie wszystkie żółte trasy są żółte z tych samych przyczyn.

Stella nie wiedziała.

— Wyjaśnij mi, proszę.

Pilotka wciąż wpatrywała się w czytnik, przebiegając palcami po przyciskach.

— Część punktów skoku jest żółta, ponieważ są niestabilne — chybotają się, zmieniają ogniskową i tak dalej. Inne są zbyt blisko wielkich mas. Można przelecieć jachtem, ale nie olbrzymim frachtowcem. Pewne systemy są niebezpieczne z natury, na przykład jest w nich zbyt wiele gruzu skalnego. Inne mają niestabilne słońca — nie chciałyby pani przelatywać przez nie w chwili erupcji gwiazdy. Jeszcze inne zamieszkane są przez wrogo nastawionych tubylców. Ludzi, którzy nie lubią podróżników, albo lubią ich w niewłaściwy sposób.

— Piraci?

— Możliwe. Pobliskie systemy zgłaszają problemy do Gildii Pilotów, a ta klasyfikuje je jako zielone lub żółte. My, piloci, wolimy raczej przesadzić z ostrożnością, więc prawdopodobnie część żółtych nie jest aż tak niebezpieczna, niemniej, nie będę tego sprawdzać. — Kiwnęła głową w stronę ekranu czytnika. — Aha. Proszę spojrzeć na to.

Liczby nic Stelli nie mówiły, dopóki pilotka nie wyjaśniła ich znaczenia.

— Domyślam się, że używał żółtych przez cały czas.

— Ale drugiego i trzeciego odcinka nie przelatował tak szybko.

— Ponieważ część podróży spędzał przy zatrzymanym zegarze — domyślała się pilotka. — Według mnie spotykał się z kimś przy którymś z tych czterech punktów. Prawdopodobnie przy BV-328, RV-43 lub GV-16, ponieważ leżą one w niezamieszkanym systemach. BV-24 jest zamieszkały — jeżeli spędzaliby tam więcej czasu, niż potrzeba, ktoś mógłby zauważyć.

— Spotykał się z kimś?

— Tak. Nie wiem, kogo pani sprawdza, jeśli jednak jest to pracownik, to radziłabym sprawdzić bilanse. Skaczą powoli, zatrzymują się i spotykają z kimś, może celem wymiany cargo, a może tylko informacji.

— Czy kapitan mógłby robić coś takiego bez wiedzy załogi? Albo pilota?

— Nie, chyba że pilot dostałby po głowie i wylądował w zamkniętej kabinie. Reszta załogi... Nie wiem. Jeżeli wiedzą, że potrzeba sześciu dni lotu w nadprzestrzeni z punktami pośrednimi po drodze i podróż trwa sześć dni z tymi punktami, to mogą się nie zorientować.

Odpowiednik Furmana, pokonujący tę samą trasę w drugą stronę, nigdy nie osiągnął jego czasów. Dlaczego w zarządzie nikt tego nie zauważył? Brakujące ładunki zostałyby wykryte, ale nadawcy nigdy nie wnosili reklamacji na braki w cargo. Czyli prywatne przewozy? Przydziały załogi? To wymagałoby współpracy ze strony marynarzy. Stella wywołała rejestry. Od lat latał z tą samą załogą, w której udział członków rodziny Vattów systematycznie malał.

Oczywiście, kapitanom wolno było samodzielnie dobierać sobie załogę, lecz Vattowie zawsze mieli pierwszeństwo w kolejce do wakatów. U Furmana nie było wakatów. Według rejestrów jedynymi marynarzami, którzy prosili o przeniesienie, chorowali lub przechodzili na emeryturę byli Vattowie.

— Muszę wracać na mostek — odezwała się pilotka. — Proszę wybaczyć...

— Tak, oczywiście, idź — mruknęła Stella. — Dzięki za pomoc — dodała odruchowo; ledwo zauważyła zamykanie się drzwi. Kiedy Furman to zaczął — cokolwiek to było? Czy miało to związek z nieudaną próbą wejścia do rodziny? A może zdradził, zanim zatrudnili go Vattowie? Możliwe też, iż chodziło o coś innego, na przykład zwyczajną chciwość.

Wszystko nabierało okropnego sensu. Rozgniewany i zraniony zniewagą Furman nie uznał nowej trasy za właściwą rekompensatę za Trakt Beulah, nie potrafił jednak, albo nie chciał konfrontacji z pracodawcą. Czy chociaż wiedział, kim był Osman Vatta, kiedy poznał go — Stella zastanawiała się, gdzie i jak — i zaczął spotykać się potajemnie, żeby wymieniać... co? Nic dużego. Coś łatwego i szybkiego do przeniesienia ze statku na statek w pustce systemu, gdzie znajdował się jedynie punkt skoku i — być może — automatyczny ansibl. Coś, co Furman mógł sprzedać podczas nadprogramowych dni na Nowej Jamajce.

Czy Ky — niechciana i nazbyt bystra praktykantka — była na pokładzie podczas jednej z takich podróży?

Przez chwilę Stella rozważała możliwość, że właśnie wtedy Ky została zastąpiona przez córkę Osmana, a sama zabita i porzucona w przestrzeni kosmicznej, lecz było to zbyt absurdalne. Ky, która wróciła z tamtej podróży, była tą samą trudną i nadąsaną nastolatką. Oszustka zostałaby zdemaskowana.

Punktem krytycznym był Furman, jego zdrada i równie zdradziecka załoga oraz zagrożenie, jakie obecnie stanowili dla Vattów, jak również jej niezdolność do działania, dopóki nie dotrze do Stacji Cascadii. Utknęła w kosmosie wiele dni drogi od Ky, która za chwilę stanie twarzą w twarz z Furmanem.

Mówiła sobie, że Furman nie zrobi nic więcej bez pomocy władz Cascadii. Z całą pewnością nie zaatakuje okrętu Ky, ani bezpośrednio jej samej. Będzie musiał poczekać na jej przylot, żeby zarządca stacji pozyskał próbki genetyczne do porównania. Mogła połączyć się z Ky i ostrzec ją, lecz ta żywiła już podejrzenia wobec Furmana i z pewnością zachowa ostrożność. Poza tym, skoro Furman był taki zły, nie powinna ryzykować rozmowy, która mogła zostać przechwycona.

Rozdział 18

Gdy tylko Ky ustaliła, który dok zarządca stacji przydzielił Furmanowi, wysłała w teren Rafe'a i Martina.

— Wiecie, czego potrzebujemy — powiedziała im. — Furman nie zna żadnego z was — nie może — więc ani on, ani jego załoga nie będą na was tak uważać.

— Chyba, że zarządca stacji nas wydał — rzucił Rafe.

— Czemu miałyby to zrobić? — zapytała Ky. — Chce poznać prawdę, tak samo, jak każdy.

Rafe przewrócił oczami.

— Rzecz w tym, kapitanie — włączył się Martin — że jeśli Furman opłaca zarządcę...

— Rozumiem — odparła Ky — ale Furman nie obsługuje tej trasy wystarczająco długo. Był tu tylko dwa razy. Gdyby miał zarządcę stacji w kieszeni, już by mnie aresztowano.

— Może — mruknął Rafe.

Ky nastawiła się na czekanie. Martin wrócił mniej więcej w tym samym czasie, kiedy przycumował Furman, z meldunkiem, że rozmieścił nie rzucające się w oczy czujniki tak, aby mieli oko na wszystko, co działo się w pobliżu statku Furmana.

— Gdzie Rafe?

— Nie wiem, kapitanie. Kilka razy wracał i wychodził z jakimiś pudłami, a ostatni raz wyszedł, kiedy mnie nie było. Powiedział, że będzie w kontakcie.

— Mam nadzieję, że znajdzie coś użytecznego — mruknęła Ky. — Nie mam dowodów mojej tożsamości, których ode mnie wymagają. Jeżeli nie uwierzą Stelli, możemy mieć poważne kłopoty. Po prostu nie rozumiem, dlaczego Furman tak upiera się, że nie jestem tym, kim ewidentnie jestem. Zna mnie. I skąd ta informacja o dzieciach Osmana w moim wieku?

— Chce tego okrętu, unieruchomienia pani, albo i tego, i tego — podsumował Martin.

Ky zastanawiała się przez chwilę.

— Jeżeli chce tego okrętu, to założę się, iż nie po to, aby zwrócić go Vattom... Może chce stworzyć własną flotę?

— Zakładając, że ma złe intencje — powiedział Martin — to *Katrine Lamont i Piękna Kaleen* dałyby mu dwie jednostki, z czego jedną uzbrojoną, co nawet w tych niebezpiecznych czasach zapewniłoby mu dobrą pozycję wyjściową. Gdyby wiedział, jak się za to zabrać, mógłby nawet oferować zbrojną eskortę. Nie musiałby być szczególnie podły, żeby dojść do wniosku, iż po zniszczeniu siedziby Vattów i zabiciu większej części rodziny, jego zobowiązania wobec firmy wygasły.

— Jeśli tak właśnie myślał, to moje pojawienie się musiało być dla niego paskudną niespodzianką — zauważyła Ky. — Vatta spokrewniona ze ścisłym zarządem. W dodatku ja.

— Prawdopodobnie tak było — przytaknął Martin. — W pierwszym odruchu zaprzeczył — ze względu na niskie prawdopodobieństwo. Z tego, co wiedział o pani jako o nowicjusze na jego statku, trudno wyobrazić sobie, by w pani wieku pokonać Osmana. Wiedział, że Osman był renegatem; z pewnością poinformowano o tym starszych kapitanów.

— Tak — potwierdziła Ky. — Takie informacje znajdują się w sekcji zagrożeń socjopolitycznych standardowych instrukcji, jakie otrzymują starsi kapitanowie. Nie było tego w moim pierwotnym implancie, ponieważ byłam dowódcą tymczasowym, a nie dotarły do nas doniesienia o działaniach Osmana na trasie Belinta — Lastway.

— Tak więc — ciągnął Martin — mógł zgadywać, że Osman miał dzieci, jak każdy w tym wieku. Znacznie uprościłoby mu sytuację, gdyby była pani córką Osmana, a nie pani ojca.

Znów to ukłucie strachu. Czy mogła być córką Osmana, adoptowaną przez Gerarda?

— Nie wierzę, że córka Osmana wyglądałaby dokładnie tak, jak ja — oznajmiła. — Przecież widział mnie — na ekranie — na Sabine.

— Oczywiście, to jest inna możliwość — zgodził się Martin. — Doskonale wie, kim pani jest, ale próbuje blefu w nadziei, że nie ma pani możliwości udowodnienia mu, że kłamie. Pojawienie się Stelli musiało być dla niego kolejną komplikacją.

— Okazało się również komplikacją dla mnie — westchnęła Ky. Chciałaby dać upust swojej frustracji w obecności Martina, lecz mimo wszystko Stella należała do rodziny i całkiem możliwe, że była jej najbliższą ocalałą krewną.

Następne połączenie przyszło nie od Stelli, lecz z planety, od specjalistów od rozmnażania psów.

— Mówi Mellowyn Davin z Kliniki Weterynaryjnej Eglin... Nie mieliśmy od państwa więcej informacji o waszym psie. Czy nadal jest pani zainteresowana pobraniem spermy? — Głos był inny niż poprzednio, a kobieta wyglądała — zapłacała za pełne połączenie wideo — na profesjonalistkę w średnim wieku.

— Jesteście zainteresowani zakupem spermy? — zapytała Ky, starając się oderwać od oskarżeń Furmana i skupić na handlu. — Od mojej poprzedniej rozmówczynie usłyszałam, że najważniejsze było dla was, czy nasz pies pochodził od psów skradzionych z waszej planety.

— Najmocniej panią przepraszam — odparła Davin. — To była nasza asystentka. Nie powinna była nawet o tym wspominać. Są ludzie, którzy nadal wierzą, że dawno temu astronauta wprowadzili nasze psy, zapewniam jednak, iż rząd doskonale wie, że to nieprawda. Przepraszam za jej brak ogłady; powinna była natychmiast przełączyć do któregoś z partnerów.

— Rozumiem — powiedziała Ky. — Zakładam, że powie mi pani, czego wymagałby taki zabieg.

— Domyślam się, że nie chciałaby pani przewozić zwierzęcia na planetę — zaczęła Davin. — Wyślemy zespół na stację Cascadii... Przy okazji, wie pani może, czy ten pies był już skutecznym reproduktorem?

— Nie — odrzekła Ky. — Był całkiem młody — weterynarz na Lastway ocenił, że nie miał więcej, niż sto dwadzieścia dni, jedną trzecią standardowego roku. Aktualnie ma trzy czwarte roku standardowego.

— Będziemy musieli sprawdzić, czy pies nie choruje na którąś ze znanych chorób zakaźnych, wykonać skan genetyczny na okoliczność defektów oraz zbadać jakość spermy, aby — jeżeli zwierzę przejdzie pozytywne wszystkie testy — pobrać nasienie. Próby potrważą kilka godzin, ale tylko pobieranie krwi będzie dla psa bolesne. Zakładam, że był szczepiony?

— Tak, na Lastway. Mam zaświadczenie.

— A jaka rasa?

— Tego nie wiem. Pies został wrzucony do puszki na śmieci, skąd uratował go jeden z moich marynarzy.

— Wyrzucony?! Na śmieci?

— Tak. Prawdę mówiąc, zachęcano nas, by weterynarz go uśpił...

— Barbarzyństwo!

— My jednak woleliśmy go zabrać, co również trochę nas kosztowało.

— To był dobry uczynek, kapitanie — odrzekła Davin. — Czyli nie wie pani, jaki to pies?

— Weterynarz na Lastway powiedział nam, że należy do małych terierów — prawdopodobnie to Jack Russell terier — nie był jednak w stanie określić czystości rasy.

— Aha. Mniejsze rasy szybciej dojrzewają niż większe... Proszę powiedzieć, czy pies wykazywał jakieś zachowania seksualne? Nie macie państwo suki, prawda?

— Nie, nie posiadamy samicy... Czy łapanie ludzi za nogę przednimi łapami liczy się jako zachowanie seksualne?

— W rzeczy samej. Wasz pies może być wystarczająco dojrzały, by pobrać od niego spermę, a ponieważ w przypadku naszych terierów przeważa chów wsobny, co wymaga ciągłego majstrowania w genach, możemy mieć nadzieję, iż jest on wystarczająco odmienny, by zapewnić właściwą różnorodność cech. — Davin odchrząknęła. — Jeśli chodzi o koszty... Ponieważ nie wiemy jeszcze, czy pies jest zdrowy, stanowi dobry materiał genetyczny i produkuje zdolne do przeżycia plemniki, oczekujemy zwrotu kosztów przelotu naszego zespołu na stację. Biorąc pod uwagę wszystkie koszty — transport trzech osób, materiały do prób i czas laboratorium — będzie to około dwunastu do czternastu tysięcy. Zapewniam panią, że jeżeli pies okaże się odpowiedni, wydatki te błyskawicznie zwrócą się ze sprzedaży spermy, niemniej, pewne ryzyko musicie państwo podjąć. Możemy też wziąć te koszty na siebie w zamian za udział w zyskach. Niczym nie ryzykujecie, lecz wasz zysk będzie niższy.

— Rozumiem — powiedziała Ky. — Jest pani przygotowana do udzielenia odpowiedzi, ile takie nasienie mogłoby być warte?

— Wolalabym nie — odparła sztywno Davin. — Jednakże w bazie danych istnieją pewne wpisy. Czy możemy spodziewać się szybkiego kontaktu z państwa strony?

— Tak — zapewniła ją Ky. — Jeżeli przekaże pani adresy stron, o których wspominała.

— Oczywiście. — Na dole ekranu pojawiła się lista szukanych haseł i odnośniki.

— Dziękuję.

— Dziękuję za uratowanie psa — pożegnała się Davin.

Zadaniem ustalenia wysokości stawek za psią spermę Ky obarczyła Toby'ego.

— Hultaj jest twoim psem — oznajmiła. — Ty powinieneś to sprawdzić.

— Nie chcę go skrzywdzić — powiedział Toby. — Będzie go bolało?

— Pobiorą próbkę krwi — wyjaśniła Ky. — Sprawdzą, czy nie ma pasożytów i czy jest zdrowy. Zwykle ukłucie igłą, a on był już kłuty.

Toby pokiwał głową. Zabrał się za listę. Ky zostawiła go z tym zadaniem, a sama wywołała zainstalowane przez Martina kamery. Furman przycumował, a jego załoga zaczęła rozładunek. Cargo wyglądało zwyczajnie: standardowe pojemniki ze standardowym oznakowaniem i schludnie naklejonymi etykietami konsygnantów. Nie zobaczyła jeszcze Furmana. Ciekawe, czy spróbuje skontaktować się z nią bezpośrednio.

— Nie wierzę! — zawołał Toby.

— Co?

— Pięć tysięcy kredytów za pojedyncze zapłodnienie? Hultaj to kieszonkowa kopalnia złota. — Uśmiechnął się do niej. Leżący mu na kolanach terier też zdawał się uśmiechać.

— Potrzeba będzie trzech, żeby pokryć koszty przylotu zespołu — odrzekła Ky. — Nadwyżka to dodatkowy dochód dla nas. Ale ile nasienia jest w stanie wyprodukować pies w jego wieku?

— Jeszcze nie wiem — odparł Toby. — Zaraz poszukam.

Ky odwróciła się z powrotem do ekranu. Nie obawiała się, że załoga Furmana wykryje kamery — wszystkie doki były monitorowane i marynarze spodziewali się tego. W tym zakresie przepisy na Cascadii były bardzo liberalne: jeżeli ktoś chciał umieścić własne urządzenia śledzące w miejscu publicznym, mógł to uczynić pod warunkiem otrzymania zezwolenia i dostarczenia certyfikatów, że nie będą one zakłócały funkcjonowania oficjalnych systemów. W przypadku zarejestrowania przestępstwa nagranie przechodziło na własność Cascadii.

Posłała Martina do biura zezwoleń dzień wcześniej, nie wierząc, że pozwolą im na zapluskwienie doków, lecz dokumenty zostały im wydane praktycznie bez żadnych pytań.

Rozładunek wyglądał na bardziej skomplikowany, niż oczekiwała, lecz *Katrine Lamont* była większym statkiem i przewoziła więcej ładunku niż ona kiedykolwiek.

W części doków należącej do stacji zgromadzili się już przedstawiciele konsygnantów, gotowi sprawdzić konosamenty i poświadczyć dostawy. Nadzorca ładunków Furmana — wysoki, łysy mężczyzna z logo Vattów na plecach kombinezonu — dyrygował rozmieszczaniem opuszczających statek kontenerów. W

końcu zatrzymał rozładunek i podszedł do bramy, gdzie czekali wysłannicy konsygnantów.

— Messinam Import? — Doskonale umieszczony mikrofon przesłał jego głos wprost do ucha Ky.

— Tutaj.

— Proszę za mną. — Nadzorca ładunków poprowadził przedstawiciela do kontenerów; ten sprawdził identyfikatory, etykiety i numery przewozowe, po czym skinął głową, potwierdził kciukiem papiery nadzorcy i poszedł do bramy. Nadzorca oddał kopię dokumentów dla celnika Cascadii, a pracownicy Stacji Cascadii załadowali kontenery na pas transmisyjny, który wywiózł je przez otwór w ścianie. Podjadą do obszaru inspekcyjnego, gdzie przedstawiciel konsygnanta i urzędu celnego wspólnie otworzą je i sprawdzą.

Po uporaniu się z pierwszą partią ładunków nadzorca polecił załodze kontynuować wyładunek.

— Czy to nie kapitan? — zapytał Martin. Ky zmniejszyła przybliżenie — starała się odczytać nazwę konsygnanta na jednym z kontenerów — i zauważyła kogoś w mundurze kapitańskim i płaszczu, zmierzającego ku innemu wyjściu z doku. Martin zdążył wycentrować go na swoim ekranie; Ky podeszła i spojrzała mu nad ramieniem.

— Tak, to Furman — potwierdziła.

— Wygląda na rozzłoszczonego — zauważył Martin.

— Jak zwykle — mruknęła Ky. — Ale dokąd on idzie?

— Umieściłem kamerę w następnym obszarze — powiedział Martin. — Przynajmniej zobaczymy, w którym kierunku się wybiera.

Furman wyszedł służą oznaczoną jako wyjście tylko dla załogi. Koniec korytarza blokowało biurko urzędnika celnego i imigracyjnego. Przyglądali się, jak wręcza identyfikator, zostawia odcisk kciuka i poddaje się zeskanowaniu siatkówki. Martin wykorzystał ten krótki moment do wgrania podobizny i danych identyfikacyjnych Furmana do SI swojego systemu bezpieczeństwa, który rozpozna go teraz wszędzie tam, gdzie Martin poumieszczał kamery.

Furman odszedł od biurka, zegnając urzędnika skinieniem głowy i zatrzymał się, by wziąć kierunkowskaz. Nie mieli pojęcia, jaki punkt docelowy wybrał.

— Założę się, że idzie do nas, albo do banku — powiedziała Ky.

— Do banku — odezwał się Rafe z za jej pleców. Podskoczyła; nie usłyszała, jak wchodził, a nikt nic nie powiedział.

— A ty gdzie byłeś? — burknęła, próbując lodowatej pozy.

— Tu i tam. To ciekawe: facet ma zabezpieczenia podobne do tych, jakie znaleźliśmy na okręcie Osmana.

— Dowiedziałeś się już czegoś?

Rafe wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Mam całą infokostkę danych do rozszyfrowania... nie zabrałem się jeszcze za to. — Otworzył dłoń; leżał na niej połyskujący sześcian, tajemniczy i obiecujący.

— Nie będę cię zatrzymywać — rzuciła Ky.

— Chcesz wiedzieć, czy naprawdę idzie do banku? — zapytał Rafe, przerzucając kostkę z ręki do ręki.

— Co zrobiłeś, zapluskwiłeś całą stację? — dopytywał się Martin.

— Nie. Za to przyczepiłem pluskwę jemu, kiedy mijał mnie, podążając za wskazówkami kierunkowskazu. Wpadł prosto na mnie; nie uważał.

Kącik ust Martina wygiął się ku górze.

— Pewnie kryje się za tym jakaś historia, co?

— Historia? — Rafe przekrzywił głowę. — Cóż, tak przypuszczam. Ktoś przypadkowo niósł korytarzem spore naczynie z piwem. Wynosił je z wnętrza pubu do jednego ze stolików na zewnątrz. Niezbyt pewnie; chyba świeżo zatrudniony. Nasz dobry kapitan nie chciał zostać ochlapany; obserwując jednocześnie kelnera z dzbankiem ale i pięcioma szklankami na tacy oraz starając się trzymać wskazówek kierunkowskazu, nie zauważył osoby, kucającej przed wystawką gipsowych figurynek...

— Ciebie — domyśliła się Ky.

— Nie — zaprzeczył Rafe, unosząc brwi. — Ja byłem tym, który wyskoczył z pubu i pomógł mu się podnieść. Podejrzliwy brutal z tego naszego kapitana. Był pewny, że ktoś go okradł, lecz nic takiego nie miało miejsca. Na Cascadii jesteśmy bardzo uczciwi. Ale on musiał się upewnić, klepiąc się po wszystkich kieszeniach. Gdybym chciał go okraść, uczyniłbym to z łatwością... — Spojrzał raptownie na Ky. — Zdajesz sobie sprawę, że nie zrobiłem niczego nielegalnego?

— Jeszcze — dodał Martin, wtórując myślom Ky.

— To wydarzyło się podczas otrzepywania peleryny z kurzu — a jak na człowieka o takim doświadczeniu przystało, jego ubiór był nieskazitelny. Zauważyłem, że twój, kapitanie, okazuje już pewne oznaki zużycia... W trakcie otrzepywania mu płaszcza chyba zgubiłem znacznik.

— Zgubiłeś — powtórzyła Ky, walcząc ze śmiechem.

— Zgubiłem. Pewne zaplątał się w fałdach materiału. Kiedy go wywołałem, przemieszczał się z jego prędkością. Według mojego implantu znajduje się teraz na tym samym korytarzu, co bank... Tak... tak. Idzie do banku.

— Zaskakujące, że nie umieściłeś na nim również mikrofonu — rzuciła Ky. Nie potrafiła przegnać rozbawienia z głosu.

— To *byłoby* nielegalne — odparł Rafe. — Wolę nie łamać prawa tam, gdzie przebywam.

— Doprawdy. — Martin zmierzył go spojrzeniem od góry do dołu.

Rafe w odpowiedzi tylko uniósł brew.

— Masz pozwolenie? — dopytywał się Martin.

— Wyrobiłem sobie własne pozwolenia — odrzekł Rafe. — W ten sposób nie pomiesza się, kto ma zezwolenia na jaką działalność.

— Rozumiem — mruknął Martin.

— Ponieważ kapitan Furman nie jest obywatelem Konfederacji Moskiewskiej, w świetle tutejszego prawa nie muszę z właściwą grzecznością informować go o moim zamiarze śledzenia jego poruszeń...

— Z technicznego punktu widzenia masz rację. Z drugiej strony, spowodowanie jego potknięcia się było działaniem bezpośrednio na jego szkodę, w dodatku w miejscu publicznym. O tym powinieneś być go powiadomić — zauważył Martin. — Mam nadzieję, że nie spostrzegł tego nikt z obecnych.

— Czemu uważasz, że zaaranżowałem jego potknięcie się? — zapytał Rafe.

— Ponieważ powiedziałaś...

— Opisałem łańcuch wydarzeń — odrzekł z doskonałym spokojem Rafe. — Co nie oznacza, że je wywołałem.

— Nie, ale...

— Przestańcie obaj — wtrąciła się Ky.

Jego ukłon był szczytem gracji.

— Kapitanie... — To był Toby. — Mam już analizę kosztów.

Ky oderwała wzrok od Rafe'a i Martina.

— Tak, Toby?

— Wszystko zależy od tego, ilu pobrań mogą dokonać podczas naszego pobytu tutaj: nie wiem, jak długo zostaniemy, ani jak często można pozyskiwać nasienie od Hultaja. Sprawdziłem rynek: możemy bez trudu sprzedać nawet sto dawek inseminacyjnych. Punkt krytyczny następuje po ośmiu: poniżej lepiej zarabiamy, dzieląc się z kliniką, za to powyżej ośmiu lepiej byłoby ich spłacić i zgarnąć cały zysk. Oczywiście, zakładając, że uda się nam dokonać pobrania, za które zapłaci klient. Część z nich pójdzie na to.

— Toby, twoim zdaniem, co byłoby najkorzystniejsze z handlowego punktu widzenia?

Skrzywił się, namyślając.

— Zastanawiałem się nad tym. Jeżeli wynajmiemy ich wyłącznie do przeprowadzenia testów, nie będą zainteresowani utrzymaniem Hultaja w dobrej formie. Jeśli zaprosimy ich do udziału w biznesie, w ich dobrze pojętym interesie będzie dbanie o jego sprawność.

— Jest również kwestia *public relations* — dodała Ky. — Gdyby okazało się, że chcemy jeszcze tutaj handlować i ponownie wykorzystamy Hultaja, będziemy potrzebowali dobrych układów z kliniką weterynaryjną. Nasz zysk będzie niższy, ale wolałabym współpracować z kliniką. A ty?

— Ja?

— To twój pies, Toby. Nie wydaje mi się, aby w firmie istniały precedensy dotyczące tak szczególnej sytuacji, zamierzam więc przejąć dziesięć procent zysku na statek, ale reszta należy do ciebie. Będiesz chciał dokończyć edukację, a nie wiemy przecież, jak się mają sprawy w domu.

Toby wytrzeszczył oczy.

— Ale, kapitanie... to za dużo. Dwa tysiące dwieście za jedno pobranie?

— Zawsze możesz zainwestować w akcje firmy, jak znowu jakieś wypuścimy — powiedziała Ky. — Teraz jednak tak brzmi moja sugestia.

— Tak... tak jest, madame.

— Oddzwonię do kliniki — rzuciła Ky.

Tym razem połączono ją natychmiast.

— Kapitanie Vatta, czy podjęła pani decyzję?

— Tak, dziękuję. Chcemy przyjąć waszą propozycję współpracy i podzielić się zyskiem ze sprzedaży psiego nasienia. Dysponujecie standardowym kontraktem?

— Dziękuję! To cudownie. Tak, mamy standardową umowę, którą natychmiast państwu prześlę. Eee... jak wabi się zwierzę?

— Hultaj — odpowiedziała Ky, ciesząc się, że Toby uparł się przy zmianie imienia z Sikacza.

— Hultaj? To wszystko? Chciałam powiedzieć... większość zwierząt używanych w celach reprodukcyjnych ma... eee...

— Fantazyjne imiona? — podpowiedziała Ky.

— Tak. Może użylibyśmy nazwy hodowlanej, czegoś robiącego... eee... większe wrażenie?

Ky odwróciła się.

— Toby, twój szczeniak potrzebuje bardziej wyszukanego imienia. Wymyśl coś.

— Absurdalny Ratunek Vattów — zasugerował Rafe z sardonicznym uśmiechem.

— Obgryzająca Bzdura Vattów — podsunął Lee.

— Hultaj Gwiazdny Wędrowiec — oznajmił Toby, patrząc gniewnie na starszych mężczyzn.

Ky obróciła się z powrotem do ekranu.

— Może Hultaj Gwiazdny Wędrowiec?

— Dużo lepiej. Takie imię umieścimy w umowie. Zbiorę zespół i wyruszamy... prawdopodobnie jutro.

— Znakomicie — powiedziała Ky i rozłączyła się. Zerknęła na Rafe'a, który przewijał kolumny liczb na czytniku. — Co to?

— To, moja droga pani kapitan, jest zawartość zabezpieczonych plików kapitana Furmana. — Jego ton zaprzeczał znaczeniu słowa *zabezpieczenie*. — Bardzo interesujący człowiek, ten nasz kapitan. Od lat oszukiwał Vattów.

— Furman? Jest taki prosty, że można używać go jako masztu na flagę.

— Raczej nie. — Rafe zmrużył oczy, wpatrując się w przepływające dane, wprowadził komendę i ekran znieruchomiał, wypełniony liczbami, które nic Ky nie mówiły. Rafe'owi najwyraźniej tak. — To suma środków na różnych kontach, których jest jedynym właścicielem pod własnym i innymi nazwiskami.

— Innymi nazwiskami?

— Tak. Ma pół tuzina pseudonimów. Jedno szczególnie interesujące: Olene Vatta.

— Nie ma kogoś takiego — oświadczyła Ky po sprawdzeniu w implancie.

— Możesz tak uważać, lecz na Nowej Jamajce istnieje konto na to nazwisko, a wpływające tam pieniądze pochodzą z dwóch źródeł: od Furmana i innego Vatty o inicjale „O”.

— Osman? — Ky załamał się głos. Wzięła głęboki wdech i siłą woli narzuciła sobie spokój. — Sugerujesz, że Furman prowadził interesy z Osmanem?

— Nie sugeruję. Twierdzę, że tak właśnie było: Furman współpracował z Osmanem. Na razie odkryłem, że pieniądze płynęły w obie strony, ale w większości od Furmana do Osmana Vatty. Z początku myślałem, że Osman szantażował Furmana, teraz jednak sądzę, iż Furman stanowił dla niego przykrywkę, sprzedając to, co Osman mu podsyłał i odsyłając mu pieniądze.

— Co?

— Pomyśl, co znaleźliśmy na tym okręcie. Te wycięte implanty. Infokostki z zawartością implantów. Cenne informacje.

Ky zadrżała na myśl o tej części cargo Osmana. Kojarząc wydobyte z ludzi implanty i pliki z tym, co odkryła w kabinie Osmana, bez trudu wyobraziła sobie, jak „znikali” jego więźniowie.

— Nie wiem tylko — ciągnął Rafe — gdzie dokonywano płatności. Furman podróżował dobrze znaną trasą, wiodącą przez porządne systemy. Zauważono by tam obecność Osmana. Mówiłaś, że Furman cieszył się reputacją punktualnego i szybkiego, nie mam więc pojęcia, jak znajdował czas na spotkania z Osmanem między systemami.

— Może te pliki nam to zdradzą — mruknęła Ky.

— Może. Będę jednak potrzebował pomocy nawigatora. Nie jestem pilotem.

— Szukaj dalej — poleciła Ky. — Z rozkoszą posadzę Furmana na krześle łotra. — Uderzyła ją inna myśl. — Jeśli Furman był w to zamieszany, to miał przecież dostęp do aktualnych rozkładów lotów Vattów... Może to on podał napastnikom pozycje statków i załóg Vattów.

— Myślałem, że uznałaś, iż zrobił to Osman — przypomniał Rafe.

— Ale jeśli współpracowali... czekaj... czekaj... — Oczyma wyobraźni ujrzała przerażającą wizję. — Furman wiedział — dodała. — Współpracował z Osmanem. Powiedział mu o wszystkim, podał rozkłady lotów, sygnały wywoławcze, hasła. A Osman przekazał to swoim sprzymierzeńcom piratom. Tylko Furmana przeniesiono na nową trasę... Założę się, że miał spotkać się z Osmanem tutaj, albo w innym porcie na tym szlaku... Ale punkt spotkania tutaj jest logiczny... Tak blisko Nexusa.

— Furman szpiegował systemy obronne ISC — oznajmił Rafe. — Musiał. Był wściekły za zesłanie tutaj, potem jednak znalazł sposób osiągnięcia jeszcze większych zysków.

— Nie ruszy się pani na krok z tego okrętu, dopóki nie ustalimy, z kim pracuje — oświadczył Martin.

— Zgoda — powiedziała Ky. — Kiedy jednak wyjaśni się ta sprawa z tożsamością...

— Nie wyjaśni się — przerwał jej Martin. — Jest pani dla niego zbyt niebezpieczna. Ma pani okręt Osmana. Furman nie musi wiedzieć o Rafe, żeby przypuszczać, że na pokładzie może znajdować się coś kompromitującego jego osobę.

— Wciąż może tu być — uściślił Rafe. — Nie miałem czasu przejrzeć więcej, niż połowy plików. Skupiłem się na sprawach, które mogły nas zabić...

— Nie mam do ciebie pretensji — powiedział Martin. — Zwracam jedynie uwagę na fakt, że Furmana musi martwić, iż gdzieś na tym okręcie znajdują się dane, które mogą go zdemaskować... A pani, kapitanie, ze wszystkich Vattów najszybciej przysporzy mu kłopotów.

— Ale czemu nas zdradził? — zastanawiała się na głos Ky. — Mamy znakomity system wynagrodzeń; ludzie chcą u nas pracować. Przyszedł do nas z własnej woli...

— Pewnych ludzi nie można zadowolić — stwierdził Rafe. — A może Osman jakoś do niego dotarł, okręcił sobie wokół palca...

Ky zagrzebała się w dane osobowe implantu i z zaskoczeniem odkryła w kartotece Furmana braki, ewidentnie wykasowane informacje. Jedynie ojciec mógł to zrobić — to był jego osobisty implant — chyba, że Grace zdołała wprowadzić w nim zmiany po śmierci Gerarda. Zerknęła na Rafe'a — mógł znać się na implantach, nawet na odzyskiwaniu wykasowanych danych. Ale nie: nie był Vattą, ani nie przysięgał Vattom lojalności. Zbyt wielkie ryzyko. Sama rozpracuje Furmana.

Mijały dni, a obawy Stelli rosły. Wreszcie uznała, że nie może dłużej zwlekać z telefonem do Ky w sprawie Furmana. Ten człowiek był zbyt niebezpieczny. Ta sprawa z Furmanem mogła wręcz zmusić Ky do ponownego skupienia się na rodzinie i interesach, uświadamiając jej, że powinna w pierwszym rzędzie skoncentrować się na ratowaniu Vattów.

Ku jej zaskoczeniu i irytacji, to Rafe odebrał, a nie Ky.

— Stella! Co za wspaniała niespodzianka. Piękna jak zwykle...

— Nie wskoczyłeś jej jeszcze do łóżka, co? — zapytała cierpko.

— Stello, droga Stello, nie mów mi, że jesteś zazdrosna, bo ja jestem tutaj, a ty tam. Ky wspominała, że masz nowego, przystojnego kapitana... Nie wystarczy ci?

Powinna była wiedzieć, że nie należy zaczepiać Rafe'a; zawsze dysponował kontrą bardziej kąśliwą od jej ataku.

— Muszę porozmawiać z Ky — oznajmiła.

— Nasza nieoceniona pani kapitan jest w tej chwili zajęta doskonaleniem fizycznej sprawności z Gordonem Martinem. Sprawności bojowej, spieszę dodać; jestem przekonany, że nic więcej ich nie łączy. Jesteś pewna, że nie mogę pomóc?

— Całkiem pewna — odparła. — *Katrine Lamont* zadokowała, prawda?

— Owszem, a co?

Nie zamierzała powiedzieć mu i pozwolić, by sam wybrał, co z tego przekaze Ky. Nie chciała również rezygnować z chwili triumfu, że tak wiele ustaliła.

— Zawołaj ją, proszę. Naprawdę uważam, że to pilne.

— Bardzo dobrze. Przepraszam na moment. — Zniknął z ekranu, najwidoczniej osobiście pofatygował się po Ky. Stella dostrzegła na mostku Toby'ego z nieodłącznym Hultajem u boku.

— Toby!

Obejrzał się, zauważył ją na wyświetlaczu i podszedł. Urósł, odkąd widziała go ostatnim razem.

— Stella! Cieszę się, że cię widzę. Słyszałaś o Hultaju?

— O Hultaju? Nie, powiedz.

— Nie mają tutaj zbyt wiele psów — wyjaśnił. — Są naprawdę cenne. Otrzymaliśmy propozycję zakupu Hultaja za ponad trzydzieści tysięcy kredytów...

— Chcesz go sprzedać?

— Nie! Nie, nigdy nie sprzedałbym Hultaja. Ale kapitan Ky wymyśliła, żeby wykorzystać go jako reproduktora poprzez sztuczne zapłodnienie i znalazła tę klinikę weterynaryjną, która pobierze nasienie. Daje mi dziewięćdziesiąt procent zysków na moje wykształcenie, jeśli... jeśli coś stało się rodzicom.

— To... bardzo hojne, Toby.

— Też tak pomyślałem. Powiedziałem jej, że to za dużo, ale odparła, że Hultaj to mój pies i to ja powinienem na nim zarabiać. Powiedzieli, że wcale nie będzie go bolało, tylko jedno ukłucie, żeby pobrać krew do badań.

— To wspaniale — uznała Stella. Czyli Ky myślała jednak o rodzinie, przynajmniej w przypadku Toby'ego.

— Początkowo bardzo się martwiłem. Myślałem, że każe mi go sprzedać, bo cena była taka wysoka, ale nie chciała. — Załamał mu się głos. Zaczerwienił się i umilkł.

— Nie szkodzi, Toby — pocieszyła go. — Wszyscy chłopcy to przechodzą.

— Wiem — wychrypiął oktawę niżej niż przedtem. — Rafe mi mówił. Gordon mi mówił. Wszyscy mi to mówią. Mam już tego dosyć.

— Przepraszam, Toby — odezwała się Ky, stając za nim — Uśmiechnął się do niej i ustąpił miejsca. — Cześć, Stello. Sporo się tutaj dzieje...

— Toby mi opowiedział — odrzekła Stella. — Ale mam dla ciebie nowiny. Przyjrzałam się poczynaniom kapitana Furmana i nigdy nie zgadniesz, co robił. On...

— Potajemnie handlował z Osmanem Vattą — dokończyła za nią Ky.

Stella poczuła ukłucie urazy.

— Skąd się dowiedziałaś?

— To nie ja. Rafe wykradł mu pliki z pokładu *Katrine Lamont*. A ty jak na to wpadłaś?

— Na podstawie akt personalnych — odpowiedziała Stella. — I rozmowy z Quincy. A potem prześledziłam Trakt Beulah, sprawdziłam czasy i omówiłam je z naszą pilotką. Moim zdaniem kłopoty zaczęły się od Mellicent.

Mina Ky była odpowiednią gratyfikacją; najwyraźniej nie znała tej części historii.

— Mellicent — powtórzyła w końcu. — Córką Harmon? A co ona ma z tym wspólnego?

— Furman adorował ją wiele lat temu.

Ky uniosła brwi.

— Ambitny, co?

— To samo powiedziałam. Quincy twierdzi, że ożenek z odnoszącym sukcesy kapitanem nie był niczym niezwykłym, a on zdążył już wyrobić sobie dobrą reputację. No cóż, nie powiodło mu się; wyszła za innego, nawet go nie informując. Myślę, że to mogło nim wstrząsnąć i przekonać, że u Vattów zbyt wiele nie osiągnie.

— Nie doszłam jeszcze do tego, jak znajdował czas na handel z Osmanem — powiedziała Ky. — Zawsze przylatywał wcześniej; * najgorszym razie na czas...

— Moja pilotka rozwiązała tę zagadkę. Korzystał z niestandardowych tras, żeby zaoszczędzić na czasie i zdobyć reputację efektywnego.

— Latał *naszym* statkiem żółtymi trasami? — Ky wyglądała jakby ktoś zdzielił ją po głowie. Stella nie spodziewała się, że aż tak bardzo nią to wstrząśnie.

— Tak. Tak twierdzi moja pilotka: nie ma sposobu, żeby tak szybko pokonywał zielone trasy. Uważa, że spotykał się z Osmanem w którymś z niezamieszkanym systemów... Chyba nazwała to transferowymi punktami skoku.

Ky pokiwała głową.

— Sensowne. Nie sprawdziłam jeszcze tych szlaków. Wiemy jednak, że spotykał się z Osmanem regularnie i przesyłali sobie pieniądze. Miał konta na różne nazwiska.

— Masz pojęcie, czym handlował? — zapytała Stella. — Ja niczego nie wymyśliłam.

— Głównie danymi — odrzekła Ky. — Nie miałyśmy okazji o tym porozmawiać, ale na tym okręcie znaleźliśmy poszlaki, świadczące o tym, że Osman brał więźniów i wydobywał od nich... hm... wiedzę. Wszystko, co można było łatwo sprzedać. Rafe wciąż przegląda pliki, szukając szczegółów. Nie zgłosiłam jeszcze tego tutejszemu wymiarowi sprawiedliwości, ponieważ jeszcze nie wszystko uporządkowaliśmy, sądzę jednak, że kapitan Furman może być także odpowiedzialny za powiedzenie Osmanowi, jak zorganizować jednoczesne ataki na Vattów.

Stella poczuła w żołądku bryłę lodu.

— Zabił mojego ojca? Twoich rodziców?

— Nie własnoręcznie, ale umożliwił to. Idę o zakład. — Oblicze Ky było równie ponure, jak Stelli. — A teraz chce ten okręt i prawdopodobnie także twój statek. Myśli, że może założyć własną firmę handlową.

— Jest coś takiego w jego plikach?

— To oczywisty wniosek, wypływający z jego działań. Z jakiego innego powodu miałby próbować mnie zdyskredytować? — Ky potrząsnęła głową. — Nie wywinie się z tego. Dysponując tym, co odkryłaś i co Rafe wydobył z jego plików, powinniśmy móc raz na zawsze poradzić sobie z kapitanem Furmanem.

Rozdział 19

Ky na poły oczekiwała, że Furman przybędzie na jej okręt w trakcie nużących dni dzielących ich od przylotu *Gary'ego Tobai*, lecz nie zrobił tego. Nie zaprotestował przeciwko limitom, jakie nałożyła na używane przez niego konta firmowe. Nawet nie zadzwonił. W zamian wniósł oficjalne oskarżenie przeciwko niej do tutejszych władz. Zostało ono przyjęte i wyznaczono jej datę stawienia się przed sędzią, by mógł odbyć się formalny proces. Martin nadzorował aktywność w doku *Katrine Lamont*, lecz wszystko wyglądało normalnie. Przychodzili agenci spedytorów, oglądali etykiety ładunków, a potem kontenery wędrowały do zautomatyzowanego terminalu towarowego Cascadii, gdzie przeładowywano je na jednostki krótkodystansowe.

Rafe analizował dane pozyskane z plików ze statku Furmana. Wiele z nich było zaszyfrowanych; choć Vattowie mieli własne metody kodowania, Furman używał innych. Zdopingowana odkryciami Stelli o Trakcie Beulah Ky szukała czegoś przypominającego określenie punktu skoku, jak dotąd jednak nic nie znalazła. Za to odkryli kolejne nieprawidłowości w finansach. Furman nigdy nie obracał pieniędzmi Vattów, ani nie defraudował ich w potocznym znaczeniu tego słowa. W każdym porcie miał jednak konta osobiste, często na różne nazwiska.

— Chyba inne banki nie sprawdzają tożsamości tak skrupulatnie, jak Crown&Spears — oceniła Ky. Korzystała z nich, ponieważ tak robiła jej rodzina; niewiele wiedziała o przyczynach wyboru tej, a nie innej instytucji. Furman miał konta w First Travelers, Allsystems Bancorp oraz Genewa Bank & Trust. Tylko jedno z nich założył na własne nazwisko.

— Mógł podać prawdziwą tożsamość i poprosić o otwarcie konta na inne nazwisko — powiedział Rafe. — Według pewnych systemów prawnych jest to jak najbardziej legalne. Wszystkie te trzy banki postępują tak wszędzie, gdzie mogą. Prawdę mówiąc, Allsystems Bancorp to dość szemrana instytucja.

— Ale czy nie potrzebują licencji? Dlaczego jakiś rząd miałby wydać im licencję, skoro są nieuczciwi?

— Nie powiedziałem, że są nieuczciwi. A dlaczego? Rządy również zarabiają na bankowości. Niewielki podatek od przelewów pomaga finansować inwestycje w infrastrukturę.

Kiedy Ky porównała dane z dziennika własnego okrętu z informacjami dostarczonymi przez Stellę, odkryła że w ciągu ostatnich dwunastu lat Osman faktycznie odwiedzał na przemian wszystkie trzy punkty skoku. Co nadal nie dowodziło, że ze sobą współpracowali.

— Potrzebujemy dziennika pokładowego statku Furmana — uznał Rafe. — Ale nie mogę do niego dotrzeć. Przynajmniej, na razie.

Stella przyleciała, zanim Rafe zdążył złamać kody dostępu. Natychmiast przybyła spotkać się z Ky, przyprowadzając ze sobą radcę prawnego rekomendowanego przez

Crown&Spears. Ky liczyła na prywatną rozmowę, która dałaby możliwość zażegnania rodzinnych sporów, lecz doskonale szczęki Stelli były zaciśnięte w sposób sugerujący, że nie było na to szans, przynajmniej do czasu prawnego ustalenia prawdziwości tożsamości Kylary.

— Nie mamy czasu — oznajmiła. — Masz przesłuchanie jutro, na samym początku pierwszej zmiany. — Ky powtórzyła wszystko, co już powiedziała władzom, podniesiona na duchu tym, że przynajmniej Stella nie uważała jej za uzurpatorkę. Sędzia przesłał pytania, na które będzie musiała odpowiedzieć podczas oficjalnego przesłuchania.

Ky nigdy nie była w sądzie na Slotter Key, ani nigdzie indziej. Jej przedstawiciel prawny, zwany tutaj obrońcą, przedstawił jej inną listę: „Zasad zachowania w sądzie”. Część z nich była absolutnie zrozumiała: przemawianie po kolei, nie przerywanie, unikanie nieobyczajnego języka. Reguła wymagająca, aby obrońcy i sędzia nosili wieńce ze świeżych gałązek — sosny w przypadku obrońców i jodły dla sędziego — były równie dziwaczne jak kształt stacji. Proszący — „ci, którzy prosili”, jak wyjaśnił jej obrońca — także musieli założyć zieleń: oskarżyciel przewieszał stulę przez prawe ramię, oskarżony przez lewe. Jeżeli oskarżony wnosił kontroskarżenie, zakładał dwie stule krzyżujące się na piersiach i spięte prostym, zielonym pasem.

— Odpowiednie stule sądowe można wypożyczyć lub kupić — powiedział obrońca. — Ponieważ nie jest pani obywatelką naszego systemu, na pani stulach musi znaleźć się pojedynczy, pomarańczowy pasek o szerokości jednego centymetra, założony tak, żeby znajdował się dokładnie pośrodku stule. Pojawienie się w sądzie z paskiem nie na środku uważane jest za niebywałe chamstwo.

Sala sądowa była wąskim i wysokim pomieszczeniem w kształcie klina. Na podeście wzdłuż ścian i węższego końca stały proste ławy z ciemnego drewna. Po obu stronach w regularnych odstępach umieszczono półkolumny, będące replikami pni o szorstkiej korze. Węższy koniec cały przypominał masywny pień; Ky podniosła wzrok i dostrzegła, że podniesiono tam sufit. Podłoga pokryta była sprężystą, ciemną, wygłuszającą dźwięki wykładziną. Ściany między „drzewami” były ciemnozielone i pokryte subtelnym wzorem, naśladującym listowie w cienistym lesie. Nad głowami mieli kolejny subtelny wzór, tym razem ułożony z jaśniejszych zieleni i złota. Tu i tam rozmieszczono jasne punkty świetlne, dające efekt spaceru po lesie, potęgowany przez zapach sosny z wieńca obrońcy.

Jako oskarżonej i kontroskarżycielce Ky przysługiwała ława po lewej stronie od wejścia, podczas gdy Furman zasiądzie po prawej. Prowadzone przez obrońcę, Ky i Stella wcisnęły się pomiędzy ławę a wąski stolik o ukośnym blacie. W chwili, w której zajęły swoje miejsca, powierzchnia stolika rozbliżyła, wyświetlając numer i nazwę sprawy, nazwisko obrońcy oraz prośbę o przyciśnięcie kciuka celem zweryfikowania tożsamości zasiadających za nim osób. Ky wykonała polecenie.

Drzwi do sali otworzyły się ponownie i pojawił się skwaszony Furman. Miał tylko jedną stulę z właściwie ułożonym paskiem, a jego obrońca — tak samo, jak jej — nosił wieńiec z sośniny. Udali się na swoje miejsca naprzeciwko nich. Ky

obserwowała, jak Furman przyciska kciuk do stolika, zapewne w tym samym celu, co ona.

W wąskim końcu sali otworzyło się ciemne przejście; zabłysło światło. obrońca Ky trącił ją łokciem, a ona szturchnęła Stellę; wszyscy wstali. Sędzia zdawał się wspinać ku wejściu: najpierw zobaczyli wieniec z jodły, przypominający okazałe, ptasie gniazdo, potem twarz, wreszcie całe ciało. Ky poczuła nieopanowaną potrzebę wybuchnięcia śmiechem. Wiedziała, że to efekt odczuwanego zaniepokojenia, więc tylko mocno zacisnęła wargi. Śmiech na sali sądowej był poważną obrazą.

— Tak jak drzewa walczą ze sobą o światło, tak ludzie walczą ze sobą o prawdę, będącą światłem umysłu — rozpoczął uroczyście sędzia. Oblicze pod jodłowym wieńcem było szerokie i ogorzałe, a w kącikach oczu czały się zmarszczki od śmiechu. W posiwiałą brodę wplótł zieloną wstążkę, którą obwiąże werdykt.

— obrońcy! — Ky aż podskoczyła, słysząc ten chrapliwy okrzyk. obrońcy jej i Furmana uklonili się. — Czy nie potraficie doprowadzić waszych klientów do zgody bez niepokojenia Drzewa?

— Nie, Panie Lasu — odparli unisono.

— Proszący! — Ky zrozumiała, że zwracał się teraz bezpośrednio do niej i Furmana. — Czy nie możecie bez zwady dzielić się światłem na podobieństwo drzew?

— Nie, Panie Lasu — odrzekła Ky. Chwilę później Furman powtórzył jej słowa.

— Bardzo dobrze. Siadajcie.

Ławka była twarda. obrońca wyjaśnił jej, że Cascadianie nie aprobowali długich rozpraw, więc ławy pozbawione były poduszek, oparcie i podłokietników. Nie wolno było także opierać się o ściany... w których przebiegały przewody pod napięciem. Łamiącym zakaz groziło porażenie prądem. Ky już ścierpły plecy.

— Proszący Furman utrzymuje, że oskarżona Vatta nie jest Kylarą Vattą, jak przedstawiła się, przylatując do konfederacji Moskiewskiej — rozpoczął sędzia. — Proszący Furman utrzymuje, że osoba ta jest w rzeczywistości innym członkiem rodziny Vattów. Sąd nie widzi powodów, dla których powinno mieć to znaczenie dla Konfederacji Moskiewskiej.

— To śmieszne! — rzucił Furman, wstając z miejsca. Poczerwieniał. obrońca złapał go za ramię i ściągnął w dół.

— Niech proszący usiądzie — powiedział sędzia. — Proszący winien przypomnieć sobie zasady tego sądu oraz Konfederacji, które nie tolerują nieuprzejmości i powstrzymać się od nieuzasadnionych zniewag. — Odchrząknął. — obrońca winien przypomnieć swojemu klientowi, że proszącym nie wolno odzywać się, o ile nie zostaną bezpośrednio zapytani przez sędziego. obrońca proszącego może teraz wyjaśnić, dlaczego dla sądu powinno być ważne, który z członków cudzoziemskiej rodziny przed nim stoi.

— Mój klient prosi sąd o wybaczenie — zaczął obrońca Furmana. — Ja również, za niewystarczające poinstruowanie go co do właściwych procedur i zasad naszej jurysdykcji...

— Sąd przyjmuje te przeprosiny — oznajmił sędzia. — Proszę kontynuować.

— Kapitan Furman twierdzi, że statek o nazwie *Piękna Kaleen* dowodzony był przez niejakiego Osmana Vattę, człowieka powiązanego z rodziną Vattów oraz Transportem Vattów, ale wykluczonego z tejże rodziny za liczne zbrodnie...

— Nie osądzone?

— Jak rozumiem, Panie Lasu, rodzina wolała uniknąć publicznej kompromitacji. W każdym razie, Osman Vatta ukradł statek Vattów i działał jako zwykły pirat. *Piękna Kaleen* jest dobrze znana w innych systemach jako jego statek i otrzymała zakaz wstępu za akty piractwa.

— Co nigdy nie zostało osądzone?

— To uzbrojony okręt, Panie Lasu, a rzeczony Osman był najwyraźniej mistrzem wymykania się pościgom. — obrońca przerwał, jakby czekając na kolejne pytanie, po czym podjął wyjaśnienia. — Kapitan Furman wyposażył mnie w kopie oficjalnych obwieszczeń z innych systemów, stwierdzających, że *Piękna Kaleen* znana tam była jako okręt piracki.

— Rozumiem. Czy kapitan Furman twierdzi, że ta kobieta — sędzia wskazał na Ky — jest Osmanem Vattą?

— Nie, Panie Lasu. Osman Vatta byłby znacznie starszy. Kapitan Furman wierzy, iż jest to córka Osmana Vatty.

— A skąd kapitan Furman wie tak wiele o osobie wyjętej spod prawa? — dociekał sędzia.

— Informacji dostarczył Transport Vattów w poświęconej bezpieczeństwu części informatora dla kapitanów — odrzekł obrońca.

— Były tam informacje o tej kobiecie?

— Nie bezpośrednio, nie. Ale była informacja, że Osman Vatta miał dzieci. Ta kobieta, udająca Kylarę Vattę, córkę Gerarda Vatty, do ostatniej katastrofy dyrektora finansowego Vatta Enterprises — firmy, której częścią jest Transport Vattów — nie może być tą osobą, gdyż kapitan Furman zna osobiście Kylarę Vattę. Odbywała praktykę na jego statku.

— Rozumiem. Teraz wysłucham kontrargumentów obrońcy oskarżonej.

Obrońca Ky powtórzył oświadczenie Kylary o jej tożsamości oraz sposobie, w jaki weszła w posiadanie okrętu Osmana. Obrońca Furmana przedstawił własną wersję wydarzeń.

— Kapitan Furman jest przekonany, że prawdziwa Kylara Vatta, która służyła na jego statku, nie byłaby w stanie zdobyć okrętu Osmana Vatty przestarzałą, wolną i nieuzbrojoną jednostką, jaka została jej przydzielona. Brakowało jej zarówno oręża, jak i doświadczenia...

— Kapitan Vatta przypomina sądowi, że prawie ukończyła Akademię Sił Kosmicznych Slotter Key, zanim zrezygnowała z nauki, by podjąć pracę w rodzinnej firmie, oraz że nabyła efektywne środki obronne, które zostały wykorzystane w starciu...

I tak trwała wymiana zdań pomiędzy obrońcami. Ky bolały plecy.

W końcu sędzia uniósł dłoń.

— Wysłucham teraz proszącego i oskarżoną. Będziecie odpowiadać na pytania zwięźle i na temat. Kapitanie Furman. Usłyszał pan dowody na to, że ta oto kobieta naprawdę jest Kylarą Vattą. Na jakiej podstawie twierdzi pan, że nią nie jest?

— Znam ją — odparł Furman. — Tej tutaj nie.

— Jak dawno temu spotkał ją pan osobiście?

— Od teraz to będzie... około dziesięć lat standardowych.

— W takim razie była wtedy młodą dziewczyną, a teraz jest kobietą. Ludzie zmieniają się przez taki okres czasu.

Furman znowu poczerwieniał.

— To nie jest Ky. Nie może nią być. Ky, którą znałem, była porywczą, kłótniwą i trudną w obyciu osobą wiecznie pakującą się w kłopoty. Nie zaskoczyło mnie, że relegowano ją z Akademii. Nie ma możliwości, żeby pokonała Osmana.

— Co stało się według pana?

— Uważam, że Osman zabił prawdziwą Kylarę i zastąpił ją jedną ze swych córek, wykazującą rodzinne podobieństwo do niej i wyszkoloną w odgrywaniu jej roli.

— Czy oszukałaby własną załogę?

Furman wzruszył ramionami.

— Udało się jej. Proszę jednak zauważyć, że najbardziej doświadczoną część swej załogi — tych, którzy najlepiej znali prawdziwą Kylarę — zostawiła na statku, którym dowodziła poprzednio.

— W tajemnicy przedstawił pan pięć wydarzeń z pobytu Kylary Vatty na pokładzie pańskiego statku, które pana zdaniem prawdziwa Kylara powinna pamiętać. Czy zaświadcza pan, że są to prawdziwe opisy tych wydarzeń?

— Tak — odrzekł Furman.

— Kapitanie Vatta — powiedział sędzia. Furman otworzył usta, jakby chciał coś dodać, lecz obrońca ściągnął go na ławkę. — Czy służyła pani jako nowicjuszka na statku kapitana Furmana?

— Tak — potwierdziła Ky.

— Została pani poproszona o przedłożenie pięciu wydarzeń z okresu swojej służby pod kapitanem Furmanem, które pani zdaniem powinien pamiętać. Czy zaświadcza pani, że są to prawdziwe opisy tych wydarzeń?

— Tak — powtórzyła Ky.

— Bardzo interesujące — oznajmił sędzia — ponieważ nie znajduję wśród nich żadnych punktów wspólnych. Każde z was opisało inne wydarzenia. Możliwe, że w trakcie rocznej podróży doszło do znacznie więcej, niż tylko pięciu pamiętnych wydarzeń oraz że to, co kapitan uznaje za godne zapamiętania nie jest tym samym, co za godne zapamiętania uznaje młoda dziewczyna... lecz jest to rozbieżność, której nie mogę zignorować. Kapitanie Vatta, kapitan Furman został poproszony o przekazanie listy członków załogi podczas pani lotu nowicjuszowskiego. Chciałbym, żeby wymieniła pani tylu marynarzy i ich stanowiska, ile pani pamięta. — Obrońca Ky poruszył się; sędzia kontynuował. — Jestem świadomy, iż kapitan Vatta może nie pamiętać ich wszystkich lub że kapitan Furman dostarczył nieprawidłowe informacje: zobaczymy. Proszę mówić, kapitanie Vatta.

Uzbrojona w implant dowódczy ojca Ky nie musiała przypominać sobie wszystkich nazwisk, lecz części i tak by nie zapomniała.

— Głównym inżynierem był Toron Barclay — zaczęła. — Wielki, kudłaty mężczyzna o rzedniejących, rudych włosach. Wszyscy mu przez nie dokuczali. Jego zastępcą była Elly Prost, wysoka i chuda. Numerem trzecim był Jan Arbeit, znacznie młodszy od nich. — Oskarżano ją o flirtowanie z Janem, ponieważ często grali razem na symulatorach, ale nie była nim zainteresowana. — Praktykanci służyli w różnych działach, lecz ja spędzałam większość czasu w Inżynieryjnym. W ładowni... niech pomyślę. Nadzorcą ładunków był Ganli Zludist, a jego zastępca to Serge Paolin. Nie pamiętam numeru trzeciego... — Z wyjątkiem paru krótkich wizyt nie miała wstępu na mostek; nie pamiętała pilota, nawigatora, ani łącznościowca i tak zeznała, mimo iż implant podpowiadał jej nazwiska.

Uciążliwe wypytywanie trwało.

— Mówi pani, że to pani kuzynka?

— Tak. Jej ojciec i mój ojciec byli braćmi.

— Nie przypomina pani.

— Zgadza się. Moja matka była ciemnowłosa; w rodzinie jej matki było wiele blondynek.

— Stello Vatta. Czy to jest pani kuzynka, Kylara Vatta?

— Tak — potwierdziła Stella. — To ona.

— Czy istnieje możliwość, żeby pani się pomyliła?

— Nie; znam ją od dziecka.

— Świadcstwo jest mylące — orzekł sędzia. — Jak rozumiem, Crown&Spears posiada dowód w postaci materiału genetycznego, że kapitan Kylara Vatta faktycznie jest Vattą i to blisko spokrewnioną z Josephine Vattą — członkinią rodziny o niekwestionowanej dotąd tożsamości. Ta osoba byłaby pani siostrą, Stello Vatta?

— Tak, moją starszą siostrą — odparła Stella.

— W takim razie oczekuję, że badania genetyczne wykażą równie bliskie pokrewieństwo pomiędzy panią a Kylara Vattą. Choć sąd nie może uznać dowodu w postaci próbek z Crown&Spears, gdyż nie ma dowodu, że to faktycznie materiał genetyczny Josephine Vatty, ustalenie bliskiego pokrewieństwa powinno być łatwe. Czy zgadzacie się na przeprowadzenie takiego badania?

— Tak — odrzekły jednocześnie Ky i Stella.

— Dobrze. Zaprosimy tutaj techników.

Technicy włożyli próbki do urządzenia i po paru minutach otrzymali wyniki.

— Osoby te faktycznie są ze sobą spokrewnione — oznajmił jeden z nich sędziemu. — Ale nie blisko. Szansa na to, że naprawdę są kuzynkami, jest bardzo niewielka.

— Co? — wybuchła Stella. — Oczywiście, że jesteśmy kuzynkami.

— Obawiam się, że nie — powiedział technik. — Oto wyniki badań.

— Mówiłem wam! — rzucił Furman.

Obrońca znowu musiał go uspokajać.

— Czy to panią zaskakuje? — sędzia zwrócił się do Stelli.

— Z całą pewnością. Znam Ky przez całe życie, a ona zna mnie. Jesteśmy kuzynkami. Musiała zajść jakaś pomyłka.

— Nie macie innego źródła materiału genetycznego Vattów? — Stella uniosła dłoń. — Tak, Stello Vatta? Może pani mówić.

— Eee... mamy próbkę materiału genetycznego Osmana Vatty — oświadczyła Stella.

— Co? — Ky zakryła usta dłonią i spojrzała przepraszająco na sędziego.

— Zapomniałaś, Ky. Kazałaś mi zachować próbkę tkanki z ciała Osmana w chłodni, pamiętasz?

— Myślałam, że oddałaś ją Mackensee — powiedziała Ky. — Zabrali zwłoki, prawda?

— Tak, ale pomyślałam, że chciałabyś zachować próbkę dla nas, żeby udowodnić, że faktycznie zabiłaś Osmana, a to naprawdę był jego okręt. Tak czy owak, wciąż tam jest.

— Jeżeli ją uznają — bez właściwego przewodu dowodowego — byłaby wielce pomocna — mruknęła Ky. Spojrzała na sędziego. — Jest również z nami chłopiec, nasz daleki krewny.

— Czy występujecie wobec niego *in loco parentis*?

— Tak.

— I zgadzacie się wszyscy dostarczyć stosowne próbki?

— Tak, oczywiście.

— Sąd zarządza krótką przerwę, aby nasz obserwator pozyskał próbkę. Stella Vatta posłuży za przewodnika, zaś kapitan Vatta i kapitan Furman pozostaną tutaj.

„Przynajmniej będziemy mogli wstać i rozprostować kości, zamiast tkwić na tych twardych ławkach” — pomyślała Ky. Ani ona, ani Furman nawet nie próbowali do siebie podejść.

Technicy ponownie umieścili próbki w maszynie, tym razem od trojga dostępnych Vattów, jak również tkankę Osmana. Kolejne, krótkie oczekiwanie. Ky ścisnęło w żołądku.

— Mamy wyniki — oznajmił starszy technik sędziemu. — Istnieje duże prawdopodobieństwo, że wszystkie cztery osoby są ze sobą spokrewnione, choć nie w takim samym stopniu. Próbki: pierwsza, trzecia i czwarta są spokrewnione w dalekim stopniu. Próbka druga jest spokrewniona w dalszym stopniu z próbkami pierwszą i trzecią. Jednakże pomiędzy próbką drugą a czwartą istnieje znacznie bliższe pokrewieństwo: wręcz pierwszego stopnia. Według mojej profesjonalnej opinii dawcy próbki drugiej oraz czwartej to rodzic i dziecko.

— A nazwiska? Które z nich jest ojcem, a które dzieckiem?

— Osman Vatta i Stella Vatta.

Ky wpatrzyła się w Stellę. Choć przyszło jej to do głowy wcześniej, uznała za bardziej prawdopodobne, że to ona była córką Osmana. Ale Stella? Rodzinna piękność córką brutalnego brzydala? Niemożliwe... a jednak coś jej mówiło, że to prawda.

— Nie! — krzyknęła Stella z twarzą pobielającą jak kreda.

— Cisza — zarządził sędzia. — To faktycznie niespodzianka; sądziłem, że oskarżenie brzmiało, iż to *Kylara Vatta* była córką Osmana...

— Może obie są — podsunął obrońca Osmana.

— Nie mogą — zaprzeczył technik. — *Kylara Vatta* i *Stella Vatta* są ze sobą daleko spokrewnione. Gdyby były siostrami, wyniki byłyby oczywiste.

— Nie wiedziała pani o tym? — zapytał sędzia, patrząc na Stellę.

— Nie... to niemożliwe — powtórzyła blada Stella. — Ja... urodziłam się na *Slotter Key*. Pamiętam... nasz dom, dorastanie, rodziców...

— Może została pani adoptowana jako bardzo małe dziecko — domyślał się sędzia. — Być może nie powiedziano pani...

— Ale to jest... — Stella odwróciła się do Ky. — Przecież *wiesz*, Ky. Zawsze tam byłam... zawsze.

— Jest pani starsza — zauważył sędzia. — Nie może wiedzieć z całą pewnością, że to pani prawni rodzice panią poczęli. Jeżeli faktycznie została pani adoptowana...

— Ky, proszę! — Stella wyciągnęła, lecz zaraz cofnęła rękę.

Ky sięgnęła po nią, złapała i ścisnęła.

— Jesteś moją kuzynką, niezależnie od wyników testów — oznajmiła cicho. — Nie martw się, Stello. Poradzimy sobie z tym.

— Cisza — powtórzył bez przekonania sędzia. — Rozumiem, że to wstrząs dla was obu, ale przesłuchanie musi trwać, a odpowiednia oprawa musi zostać zachowana.

— Stello Vatta, choć wypowiadała się pani nieproszona przez sąd, co jest naruszeniem regulaminu, składam to na karb zaskoczenia. Proszę jednak, aby pani milczała, dopóki nie zostanie bezpośrednio zapytana. — Zaczekał, aż kiwnie głową. — Badania wykazały ponad wszelką wątpliwość, że *Kylara Vatta* nie jest dzieckiem Osmana Vatty, w związku z czym wysunięte pod jej adresem oskarżenie zostaje uchylone. Ponieważ nie jest dzieckiem Osmana Vatty, nie ma podstaw uważać, że sfalszowała swoją tożsamość, uznaję więc osobę przedstawiającą się jako *Kylara Vatta* za *Kylarę Vattę* oraz uznaję za prawdziwą przedstawioną przez nią wersję wydarzeń, które doprowadziły do zdobycia okrętu *Piękna Kaleen*, przynajmniej do czasu pojawienia się nowych dowodów w tej sprawie, które by temu przeczyły.

— Nie! — Furman zerwał się na równe nogi z obrońcą wczepionym w ramię. — Nie możesz pan... ona kłamie!

— Kapitanie Furman, jest pan godny pogardy! — Ton sędziego w pełni odpowiadał jego skrzywionej minie. — Wielokrotnie złamał pan zasady zachowania w sądzie i wyczerpał moją cierpliwość. Złamał pan prawo, obrażając kapitan *Kylarę Vattę*...

— Razem to uknuły. Musiało tak być. Córką Osmana zdeprawowała Ky i zaczęły współpracować — jest pan głupcem, jeśli tego nie dostrzega!

— Woźni. — Na polecenie sędziego woźni wystąpili naprzód i otoczyli Furmana. — Pański obrońca poinformuje pana o karze za obrazę sądu, kapitanie Furman. Termin pańskiej rozprawy zostanie wkrótce wyznaczony.

Ky przyglądała się z pełnym niedowierzaniem oszołomieniem, jak woźni krępują i kneblują Furmana, po czym wywlekają go z sali rozpraw. Choć obrońca położył jej uspokajająco dłoń na ramieniu, wcale nie korciło jej, żeby się poruszyć, czy zabrać głos. Po zamknięciu się drzwi za Furmanem i woźnymi sędzia zwrócił się do niej.

— Zgodnie z naszym prawem niewłaściwe zachowanie się proszącego nie dowodzi, że jego oskarżenie jest nieprawdziwe. Ale ewidentnie nie jest pani córką Osmana Vatty, a tak brzmiało oskarżenie kapitana Furmana. Wobec tego nie mam podstaw nie wierzyć, że jest pani tym, za kogo się podaje i że w legalny sposób weszła pani w posiadanie listu kaperskiego Slotter Key oraz zdobyła okręt pirata Osmana Vatty. Rozkazuję, aby natychmiast zdjęto pani urządzenie śledzące, które nakazano pani nosić. W imieniu sądu serdecznie przepraszam za wszelkie niedogodności i kłopot, jaki to pani sprawiło. — Jeden z woźnych podszedł do Ky i dotknął opaski na jej kostce różdżką kontrolną. Bransoleta otworzyła się i spadła na podłogę, skąd woźny podniósł ją, przepraszająco skinąwszy głową. Sędzia kontynuował. — Jeśli chodzi o Stellę Vattę, wasze zeznania wskazują na to, że została adoptowana w bardzo młodym wieku, wobec czego jej tożsamość prawna jest zgodna z tą, którą podaje. Sprawa nie dotyczyła tej kwestii i nie zostały wysunięte przeciwko niej żadne oskarżenia, toteż jeśli pani — Vatta, której tożsamość została potwierdzona ponad wszelką wątpliwość — utrzymuje, iż jest ona pani kuzynką, to kwestia jej tożsamości pozostaje poza zainteresowaniem tego sądu.

Przerwał, by napić się wody.

— Jak rozumiem, przygotowaliście kontroskarżenia wobec kapitana Furmana. Sąd jest gotowy ich wysłuchać. Może jednak wolicie najpierw przedyskutować je z obrońcą, gdyż może lepiej będzie nie wysuwać ich w sytuacji, kiedy Furmana czeka rozprawa za poważną obrazę sądu. — Urwał, skinął głową obrońcy i dodał: — Możecie się naradzić.

Obrońca Ky pochylił się do niej.

— Jeśli chcecie, możemy wnieść wasze oskarżenie, skoro jednak Furman ma zostać stracony za niewłaściwe zachowanie...

— Stracony? — Ky starała się mówić ściszym głosem.

— Za poważną obrazę sądu? Absolutnie. Obraził śmiertelnie zarówno panią, jak i sędziego. Zachowywał się nagannie pomimo ostrzeżeń sędziego i obrońcy.

— Ale... jestem pewna, że nie zrozumiał kar... z pewnością nie chciał nikogo śmiertelnie obrazić...

— Kapitanie Vatta, przebywa tu pani od niedawna. Kapitan Furman odwiedzał Konfederację Moskiewską wcześniej. Miał więcej czasu na zapoznanie się z naszym systemem prawnym, jest również starszy od was, co oznacza, że od jego zachowania oczekuje się więcej. Nie tolerujemy nieuprzejmości u nikogo, a osobom starszym stawiamy wyższe wymagania, jeśli zaś ich nie spełniają, karane są srożej. Czy na waszej rodzinnej planecie jest inaczej?

— Eee... nie — odparła Ky. — Przynajmniej w pewnych kwestiach, lecz nasze standardy zachowania są całkiem odmienne.

— A mimo to ani pani, ani pani kuzynka nikogo nie obraziłyście. Pomimo młodego wieku i braku doświadczenia, żadna z was nie utraciła panowania nad sobą i nikogo nie uraziła. W każdym razie: po usunięciu Furmana jego statek wciąż należy do Transportu Vattów, którym razem zarządzacie i nie będzie potrzeby przerejestrowywania go, abyście mogli nim dowodzić. Musicie jedynie zgłosić do odpowiedniego urzędu, która z was — lub ktoś inny — zostanie kapitanem tamtego statku.

— Rozumiem — mruknęła Ky. — Radzi więc pan, abyśmy nie wносиły oskarżenia, że Furman współpracował z Osmanem Vattą i oszukiwał firmę?

— Sędzia też zasiada na twardej ławce — powiedział obrońca. — Z pewnością doceni zakończenie tej nadzwyczaj wyczerpującej rozprawy. Wierzę, iż wasze dowody nie okażą się potrzebne do skazania kapitana Furmana, możecie jednak przedłożyć je sędziemu na piśmie, gdyż mogą mieć wpływ na sprawę. Niemniej, nie da się nikogo dwukrotnie pozbawić życia.

— Nie ma innej kary, oprócz śmierci? — zapytała Ky. Nie była pewna, czemu chciała ratować Furmanowi życie — zwłaszcza, jeżeli był zamieszany w ataki na jej rodzinę — czuła jednak silną potrzebę interwencji.

— Jest inna możliwość, ale rzadko stosowana ze względu na swój brak humanitaryzmu...

— Bardziej niehumanitarna od egzekucji? — zapytała Stella.

— Och, tak. Jeżeli kogoś zabić, jest po prostu martwy. Dla tych, którzy wierzą w życie pozagrobowe — na przykład ja — taka osoba pozostaje tym, kim była za życia. Jeśli osądzono ją zbyt surowo, otrzyma zadośćuczynienie, jeśli za lekko, doczeka się dodatkowej kary. Ta inna procedura polega na przebudowie osobowości tak, aby nie mogła więcej popełnić zbrodni, za którą została skazana... Lecz osoba taka spędzi resztę życia jako ktoś inny. Życie pozagrobowe to tajemnica; toczą się spory, jak wygląda.

Ky miała ochotę drażnić temat, lecz dyskretne chrząknięcie sędziego dało znać, iż nie był to właściwy moment.

— Zgadzam się nie wnosić w tej chwili własnych oskarżeń pod adresem Furmana.

— Świetnie — odetchnął obrońca i wstał. — Panie Lasu — zaczął — moja klientka zastosuje się do wyroku, ale chce przedstawić dodatkowe informacje w późniejszym terminie. Czy to satysfakcjonujące rozwiązanie?

— Całkowicie — uznał sędzia. — Będę czekał na wszelkie pomocne informacje. — Wstał — pozostali również — po czym odwrócił się i zszedł w głąb wielkiego pnia.

Obrońca Ky wyprowadził ją, Stellę i Toby'ego na zewnątrz, pozostawiając w sali rozpraw techników krzątających się przy urządzeniu.

— To było... bardzo dziwne — podsumowała Ky, idąc korytarzem do drzwi wyjściowych. — Czuję się nieco zagubiona. Czy poszedłby pan ze mną na statek i wyjaśnił to nieco dokładniej?

— Oczywiście — odparł obrońca. — Proszę tylko pamiętać o mojej stawce godzinowej. Gdybyśmy zwyczajnie poszli na obiad — a zbliża się właściwa ku temu

pora — moglibyśmy porozmawiać przy jedzeniu, co kosztowałyby panią jedynie tyle, co posiłek.

— Ja... chcę wrócić na statek — oznajmiła Stella ze łzami w oczach.

Dłoń w uścisku Ky była lodowata.

— Coś się stało, Stello? — zapytała Ky. Natychmiast dotarło do niej, że nie powinna tego mówić, nie mogła jednak się powstrzymać.

Stella zbladła.

— Nie bądź głupia! — warknęła. — Dowiaduję się, że nie jestem tym, za kogo się uważałam, że mój ojciec był renegatem, złodziejem i... i jeszcze gorzej... a ty pytasz się, czy coś się stało?

— Przepraszam — mruknęła Ky. — Myślałam... chciałam powiedzieć...

— Wracam na statek — oświadczyła Stella, wrywając dłoń z uchwytu Ky. — Spakuję się. Możesz zatrzymać sobie wszystko... statki, całą firmę. Są twoje. Wiesz, co robisz; zawsze jesteś taka pewna siebie. — Okręciła się na pięcie i odeszła.

Toby wyglądał na równie wstrząśniętego, co Ky.

— Przepraszam — Ky zwróciła się do obrońcy. — Kryzys w rodzinie. Chodź, Toby. — Pospieszyła za Stellą z Tobym u boku. — Stella! — zawołała. — Stella, zaczekaj... nie odchodź... — Ludzie w korytarzu oglądali się na nich, po czym uprzejmie odwracali głowy.

Stella zwolniła bez oglądania się za siebie. Kiedy Ky zrównała się z nią, miała twarz zalaną łzami i uparcie zaciśnięte usta.

— Stello, proszę — zaczęła Ky. — W świetle prawa jesteś moją kuzynką, poprzez urodzenie lub adopcję. To nie ma znaczenia...

— Dla mnie ma — odparła Stella. — Być córką takiego człowieka... Nic dziwnego, że spałam sobie życie. Mój ojciec — *przybrany* ojciec — powinien wyrzucić mnie wtedy z domu. Nic dziwnego, że nie sądzili, abym coś mogła osiągnąć. — Przyspieszyła. Ky wydłużyła krok, żeby nadążyć. — A potem... to leżenie tam z zawiązanymi oczami, skrupowana i czekająca na... na potwora, który miał przyjść i mnie zabić. Okazuje się, że to był... mój własny ojciec. Prawdziwy ojciec...

Ky nie przychodziło do głowy nic uspokajającego.

— On nie żyje — powiedziała w nadziei, że to pomoże.

— Zabity przez ciebie — dokończyła Stella. — Od razu czuję się lepiej.

— Chrapliwie wciągnęła powietrze. — Pewnie powinnam być wdzięczna. Powinnam być wdzięczna za uratowanie mnie od życia, jakie zgotowały mi Osman...

Było to tak prawdziwe, że Ky nie odważyła się odezwać. Stella wściekła, Stella w napadzie złości — знаła to z dawnych czasów.

— I jestem wdzięczna — ciągnęła ciszej Stella. — Miałam szczęśliwe dzieciństwo. Moi... rodzice, jak o nich myślałam... byli dla mnie dobrzy. — Z powrotem podniosła głos. — Niemniej... powinni byli mi powiedzieć. Powinni mnie ostrzec, że nie jestem prawdziwą siostrą Jo, że różnice, jakie odczuwałam, nie były moją winą. Że powinnam uważać na pewne sprawy.

— Byłaś dzieckiem — zauważyła Ky.

— Nie przez ostatnie dziesięć lat — sprzeciwiła się Stella. — Czy oni w ogóle zamierzali mi o tym powiedzieć? Czy miałam iść przez życie nieświadoma bomby, jaka wisiała nad moją głową?

W normalnych okolicznościach taka niewiedza nie sprawiłaby Stelli najmniejszych kłopotów, pomyślała Ky, lecz jej kuzynka wyraźnie nie była w nastroju, żeby to usłyszeć.

— Niemniej, jesteś Vattą — oznajmiła Ky. — I pracowałeś dla Vattów, odkąd...

— Odkąd ciotka Grace zabrała mnie do siebie — dokończyła Stella. — Ciekawe, czy ta stara wiedźma wiedziała. Niech ją szlag za to, że mi nie powiedziała. Właśnie ona — ze wszystkich ludzi — powinna być mądrzejsza.

— Ale nie powstrzymało cię to przed wykonywaniem swoich zadań — powiedziała Ky. — Nie jesteś złodziejką. Ani morderczynią. Jesteś profesjonalistką o licznych talentach...

— W tym takich, które odziedziczyłam po Osmanie — rzuciła Stella. — Nie, Ky, nie jestem osobą, za jaką siebie uważałam. Nie można na mnie polegać. Już raz to udowodniłam. Mam to w genach. Nie potrzebujesz mnie.

— Owszem, potrzebuję — zaprotestowała Ky.

— Jasne. Dlatego właśnie latałaś od systemu do systemu, nie czekając na mnie... Potrzebujesz mnie tylko jako pozorantkę. Żeby leżeć z torbą na głowie i udawać ciebie, albo latać za tobą na starej krypie, dopóki łaskawie nie zechcesz zwolnić i powiedzieć mi, co mam robić...

Ta nagła zmiana tematu zbiła Ky z pantałyku. O co ci chodzi? — zapytała. — Myślałam, że chodziło o Osmana, który okazał się twym biologicznym ojcem.

— Tak, o to chodzi... Chodziło. — Stella tak szybko minęła grupkę ludzi czekających pod cukiernią, że aż obejrzeli się za nią.

— Zwolnij — powiedziała Ky. — Przepisy stacji...

Stella zatrzymała się tak gwałtownie, że Ky omal na nianie wpadła.

— Ky, możesz sobie pójść... gdzieś... i pozwolić mi wrócić na mój... na statek? Nie potrzebuję niańki.

Świadoma gapiów Ky z trudem zmuszała się do cichego mówienia.

— Stello, podczas pobytu poza statkiem powinnaś mieć obstawę, tak samo, jak ja. Nie wiemy, czy Furman nie kazał komuś nas śledzić, czy ktoś na nas nie poluje. Czy obiecasz mi, że jeśli poślę z tobą Toby'ego, to nie będziesz chodzić sama, ani... ani niczego nie zrobisz, dopóki ze sobą nie porozmawiamy?

— Dobrze — obiecała cicho Stella. — Ale kto będzie chronił ciebie? — Skrzywiła się. — Mogę być bękartem Osmana, lecz nie chcę twojej śmierci.

— To dobrze — uznała Ky. — Myślę — jestem tego pewna — że poradzimy sobie z tym, jeśli tylko usiądziemy i porozmawiamy, ale jeżeli chcesz czasu do namysłu...

— Tak — syknęła Stella przez zaciśnięte zęby.

— W porządku. Toby, upewnij się, proszę, że Stella wróci bezpiecznie do swojego doku.

— Tak jest, kapitanie — odparł Toby. — Nie pozwolę, żeby cokolwiek się jej stało.

Ky patrzyła za nimi, jak odchodzili korytarzem, po czym odwróciła się i zmierzyła wzrokiem tłumek pod cukiernią. Wszyscy odwrócili głowy jak jeden mąż.

Rozdział 20

Ky skorzystała z telefonu czaszkowego w swoim implancie, by połączyć się z *Piękną Kaleen*.

— Furman spieprzył sprawę — oznajmiła Hughowi, który odebrał. — Ale pojawiła się komplikacja.

— Jak zwykle. Co tym razem?

Wahała się przez chwilę, uznała jednak, że wkrótce i tak wszyscy się dowiedzą.

— Wykonali badania genetyczne tkanek Stelli, Toby'ego, moich i Osmana — powiedziała. — Stella jest córką Osmana... Najwidoczniej mój wujek Stavros odszukał ją w sierocińcu i adoptował jako niemowlę.

— Ona jest... O jejku.

— Tak. Nie mów jeszcze pozostałym, jest jej wystarczająco trudno. Na razie pozwoliłam jej wrócić na statek z Tobym.

— Potrzebuje pani eskorty?

— Prawdopodobnie powinnam. — Ky nie chciała czekać, ale było bardzo możliwe, że Furman albo Osman mieli agentów na stacji.

— Z całą pewnością. Proszę zostać tam, gdzie pani jest... czyli właściwie gdzie? Wyślę dwie osoby. Mogą być Gannettowie?

— Pewnie. Zjem lunch w barze „Łuk Tęczy”. Ładnie tutaj pachnie.

— Proszę znaleźć stolik i usiąść...

— ...plecami do ściany, blisko wyjścia. Wiem. — W sprawach bezpieczeństwa Hugh był równie okropny — albo dobry — jak Martin.

Następny telefon wykonała do Quincy na *Garym Tobai*. Stella nie dotarła jeszcze na pokład, więc szybko streściła jej ich odkrycie.

— Cóż, to wiele wyjaśnia — mruknęła staruszka.

— Wcale nie — sprzeciwiła się Ky. — Nie zamieniła się w potwora tylko dlatego, że był nim Osman.

— Nie o to mi chodziło — powiedziała Quincy. — To wyjaśnia, dlaczego nie skierowano jej do pracy na statku, jak niemal każdego z młodych Vattów. Po raz pierwszy opuściła planetę dobrze po dwudziestce, prawda?

— O ile wiem, to tak — zgodziła się Ky. — Rzecz w tym, że jest załamana...

— Naturalnie...

— Powiedziała, że zamierza opuścić Vattów i gdzieś sobie pójść.

— Śmieszne. Nie wolno jej. Chcesz, żebym z nią porozmawiała?

— Niech ona zacznie — doradziła Ky. — Postaraj się powstrzymać ją przed odejściem.

— Znajdę jej zajęcie — obiecała Quincy. — Ale nie powiem nic załodze. W każdym razie, jeszcze nie teraz.

— Słusznie.

Ky zajęła miejsce, które zaaprobowałiby Martin i Hugh, po czym zamówiła lunch. Może da jej to czas na przemyślenie, co zrobić z rewelacjami tego dnia.

Dwóch Gannettów, Arnie i Gus, przyszedli, zanim skończyła jeść. Kiwnęła im głową, a oni usiedli po obu jej stronach, odmawiając poczęstunku.

— Już jedliśmy, madame — powiedział Arnie. — Proszę się nie spieszyć.

— Nie będę — obiecała Ky. Ale nie potrafiła skupić się w zgiełku baru.

Po powrocie na okręt udała się do kajuty i uzbroiła w staromodny pisak i papier, żeby uporządkować myśli. Po aresztowaniu Furmana i skazaniu go na śmierć — powinna coś z tym zrobić, tylko co? — oraz potwierdzeniu jej tożsamości i praw Vatty, miała do dyspozycji trzy jednostki. Ale czy miała trzy załogi? Furman po cichu wyeliminował ze swojej członków rodziny Vattów — czy oznaczało to, że reszta była nielojalna? Z pewnością nie wszyscy... Ale komu mogła zaufać?

Rysowane bezwiednie kropki, kółka i kwadraciki wcale jej nie pomagały. Skoro nie mogła zaufać załodze Furmana, to... Połączyła się z Quincy.

— Gdybyś była kapitanem statku, gdzie źle życzy się Vattom, to którzy członkowie załogi musieliby być w to zaangażowani?

— Co?!

Ky wyjaśniła.

— No cóż... pilot i nawigator, skoro w grę wchodzi zmiany trasy lub niezaplanowane postoje. W przypadku wyładunku lub przyjmowania cargo na pokład — także nadzorca ładunków. Inżynierowie ani Środowisko nie musieliby wiedzieć. Mogliby, ale nie musieli. Domyślałam się, że Furman najpierw usunął wścibskich członków rodziny, a potem wszystkich odznaczających się nadmierną inicjatywą.

— A jaka jest szansa, że ci zaangażowani spróbują uciec statkiem?

— Minimalna — orzekła Quincy. — Choć powinnaś powiadomić zarządcę stacji, żeby nie udzielał im zezwolenia na start. Zrobiłaś to już, prawda?

Jeszcze nie.

— Jeszcze nie, ale zaraz to zrobię. Dziękuję, Quincy. — Zarządca stacji zgodził się aresztować *Katrine Lamont* i wstrzymać dalszy rozładunek.

— Zapewne zechce pani podać nazwisko nowego kapitana — powiedział zarządca.

— Tak, ale jeszcze go nie zatrudniłam — odrzekła Ky. — Muszę sprawdzić w Gildii Kapitańskiej.

Następnym krokiem było udanie się na statek i formalne przejęcie go, zanim załoga dowie się o aresztowaniu Furmana. To mogło wymagać asysty stacyjnych sił porządkowych. Zapytała o to.

— Jeżeli spodziewa się pani kłopotów, mogę podesłać dwójkę funkcjonariuszy — zaproponował zarządca.

— Furman na pewno powiedział załodze, że jestem oszustką — wyjaśniła Ky. — Mogą mi nie uwierzyć, kiedy powiem, że moja tożsamość została dowiedziona przed sądem, a jego aresztowano.

— Och. Rozumiem. Cóż, kiedy pani zamierza się tam udać?

— Natychmiast — oświadczyła Ky. — Przynajmniej, natychmiast wyruszam. Ma pan numer do mnie.

— Tak. Zawiadomię posterunek najbliższej doków.

Ky wezwała Martina i Rafe'a.

— Rafe, chcę, abyś nadzorował cały sprzęt śledzący rozmieszczony wokół *Katrine Lamont*. Jestem pewna, że część załogi siedzi po uszy w matactwach Furmana i bardzo nam pomoże, jeśli ustalimy, którzy to. Wymiana całej załogi mogłaby okazać się trudna, jeśli nie niemożliwa. Martin, potrzebuję tylu naszych uzbrojonych marynarzy, ilu uznasz za stosowne, do pełnienia dwudziestoczworgodzinnej straży na *Katrine*. Zamierzam usunąć z pokładu całą załogę i wpuszczać ich z powrotem małymi grupkami.

— Nie spodoba im się to — uznał Rafe.

— Nie musi. Nie zostawię statku w rękach współników Furmana. Chcę mieć strażników przy silnikach i systemach podtrzymania środowiska. Quincy uważa te sekcje za najmniej podejrzane o współudział, lecz sabotaż w tych miejscach wyrządziłby największe szkody. Zbierz swoją grupę, a ja porozmawiam z obsadą mostka.

W doku *Katrine Lamont* straż trzymał marynarz w kombinezonie Vattów. Wybałuszył oczy na Ky i jej świtę, a jego dłoń powędrowała do komunikatora.

— Jestem kapitan Kylara Vatta — oznajmiła, chociaż musiał to wiedzieć. — Kapitan Furman nie powróci już na ten statek. *Katrine Lamont* zostaje przejęty przez zarząd Transportu Vattów.

— To... pani... powiedział nam, że pani udaje — wypalił mężczyzna.

— Ci dżentelmeni wyjaśnią panu — powiedziała Ky, wskazując na towarzyszących jej dwóch policjantów — że moja tożsamość została udowodniona przed sądem. Jestem Kylara Vatta, córka Gerarda Avondetty Vatty, aktualnie prezes Transportu Vattów.

— Czyli pani... pani chce przejąć statek?

— Zamierzam obsadzić go innym kapitanem, gdyż nie chcę przejmować go osobiście, niemniej, zarządzę natychmiastową inwentaryzację — oświadczyła. Skinęła głową w stronę Martina i wybranej przez niego grupie. — Załoga opuści pod eskortą statek, przeprowadzimy inwentaryzację, a dopiero potem podjęte zostaną decyzje o zmianach w obsadzie stanowisk.

— Ale pani nie może... to jest...

— Nazwisko i stanowisko? — Martin wystąpił naprzód.

Marynarz zbladł i oblizał wargi.

— Uch... Demi Pelagros. Ładowacz trzeciej klasy.

— Bardzo dobrze. Proszę przejść tutaj.

Zgodnie ze wskazówkami, udzielonymi jej po drodze przez Martina, Ky podłączyła się do interkomu statku.

— Cała załoga statku *Katrine Lamont* ma natychmiast stawić się w doku.

Zgodnie z oczekiwaniami pierwsi pojawili się ładowacze w kurtkach z połyskującej siatki z logo Vattów na przedzie i nazwą statku na plecach. Brakowało jednak łysego mężczyzny z naszymi nadzorcami ładunków. Popatrywali niepewnie na Ky, niemniej, zgodnie z instrukcjami, ustawili się rzędem obok Pelagrosa.

Następni zeszli inżynierowie wymieszani z technikami środowiskowymi. I znowu: nie było wśród nich szefów sekcji.

Komunikator zabrzączał; Ky założyła słuchawki.

— Co się dzieje? — zapytał ktoś. — Jakiś problem?

Ky była pewna, że mieli własne systemy podglądu. Grali na zwłokę i tyle.

— Cały personel ma stawić się w doku — powiedziała. — Dowiedcie się, jak przyjdziecie.

— Kim pani jest? Mówi oficer Bender, zastępca kapitana Furmana, kiedy nie ma go na pokładzie. Gdzie jest kapitan?

Ky milczała. Mijały sekundy. We włazie pojawiło się pięć osób: dwie kobiety i trzech mężczyzn, wszyscy w błękitach Vattów z oficerskimi opaskami na ramionach. Jednym z nich był łysy mężczyzna, którego widziała wcześniej na podglądzie. Zachowała nieprzeniknioną minę, gdy przyglądali się jej z trapiu.

— Co się tutaj dzieje? — zapytała kobieta o twardym obliczu. — Jestem Bender. Kim wy, ludzie, jesteście i co robicie w naszym doku? — Omiotła spojrzeniem załogę *Katrine Lamont*. — Co robicie z naszymi ludźmi?

— Pani jest starszym inżynierem? — zapytała Ky.

— Oczywiście, że tak — potwierdziła Bender. — A pani?

— Kylara Vatta — przedstawiła się Ky. — Czy to cała załoga? — Wiedziała, że nie.

— Tak przypuszczam — odrzekła Bender, odwracając na chwilę wzrok. Ky wsunęła różdżkę kontrolną do komunikatora. Do jej implantu natychmiast napłynęła informacja: na pokładzie nadal przebywało troje marynarzy.

— Wejść do środka, Martin — poleciła. — Troje: jedno na mostku, jedno w kajutach załogi.

— Kapitanie, mam dwoje na podglądzie — zameldował jej do ucha Rafe. Martin zerknął na nią; on też otrzymał wiadomość od Rafe'a. — Trzeci unieszkodliwił podgląd w sekcji, w której przebywa. Zaznaczę usterkę na mapie.

— Dobra robota, Rafe — pochwaliła go. Stała i czekała. Chciała jako pierwsza wejść na pokład, lecz Martin przekonał ją, że musi zostać na zewnątrz, pod ochroną policji, dopóki nie zabezpieczą statku.

Niemal trzydzieści minut zajęło odszukanie i wyprowadzenie pod strażą ostatniego marynarza, ukrytego w schowku podobnym do tego, jaki Ky znalazła na okręcie *Osmana*. Ekipa Martina ostrożnie przeszukiwała statek przedział po przedziale za pomocą wszelkich dostępnych urządzeń, a Ky przemówiła do załogi.

— Kapitan Furman twierdził, że nie jestem Kylarą Vattą, co było kłamstwem, gdyż znał mnie osobiście. Co więcej, zdołałam udowodnić tutejszym władzom prawdziwość mej tożsamości. On zaś znieważył sąd i w najbliższych dniach zostanie na niego wydany wyrok. Oczywiście, nie jest już pracownikiem Transportu Vattów.

Przerwała. Większość załogi wyglądała na oszołomioną, lecz szefowie sekcji obrzucali ją gniewnymi spojrzeniami.

— Ci z was, którzy nie posłuchali polecenia opuszczenia statku, sami złożyli rezygnacje. Rzeczy osobiste zostaną usunięte z waszych kabin, a dowody działalności kryminalnej przekazane lokalnym władzom.

— Nie możesz tego zrobić... — Mężczyzna nosił zieloną opaskę Podtrzymania Środowiska. — Mamy swoje prawa...

Ky zmierzyła go wzrokiem.

— Na tej stacji ja jestem Vattą. To mój statek.

— Nieprawda... To statek kapitana... Nie możesz tak zwyczajnie przyjść i... — Rzucił się na nią, sięgając do biodra. Trafiła go w pierś, Martin w głowę. Upadł. Pozostali oficerowie nie drgnęli. Policja przyglądała się obojętnie.

— Jak już mówiłam — podjęła Ky — dowody działalności kryminalnej zostaną zgłoszone lokalnym władzom. Ci, którzy posłuchali polecenia, mogą zostać ponownie zatrudnieni po przejściu procedur weryfikacyjnych. Proszę przesłać zgłoszenia. Kiedy moi ludzie upewnią się, że statek jest bezpieczny, otrzymacie zgodę na odbiór rzeczy osobistych, pojedynczo i pod nadzorem. Czy to jasne?

Pomruk mógł oznaczać *tak jest, madame*.

Ky przekrzywiła głowę.

— Czy to jasne? — ponowiła pytanie.

Tym razem odpowiedź była głośniejsza, z wyjątkiem oficerów.

— Lepiej stąd odejdźcie. Podajcie nazwiska tym dżentelmenom — Ky wskazała na policjantów. — Znajdźcie sobie nocleg. Żaden z was nie wróci na statek przez minimum trzy dni.

Powoli, często oglądając się za siebie, ruszyli ku wyjściu z doków, po kolei pokazując identyfikatory policjantom.

— Na pani miejscu — odezwał się oficer policji — nie zatrudniłbym żadnego z nich. Będzie pani jednak musiała oddać im ich rzeczy osobiste.

— Zaraz po zabezpieczeniu statku — obiecała Ky. — Opróżnimy pomieszczenia załogi i umieścimy ich rzeczy w bezpiecznym miejscu, gdzie będą mieli do nich dostęp. Prawdopodobnie wynajmę na cały dzień pomieszczenie inspekcyjne. Będzie blisko do statku, gdyby ktoś uznał, że coś przeoczono i zostawiono, nie naruszając jednocześnie bezpieczeństwa jednostki.

Pokiwał głową.

— Logiczne i zgodne z prawem naszego systemu.

Cztery godziny później Ky wróciła na okręt. Rafe zameldował jej już przez telefon czaszkowy o swych najważniejszych odkryciach. Wszystkie trzy jednostki były bezpieczne. Ekipa Martina zaczęła wynosić rzeczy poprzedniej załogi do wynajętego przez nią pomieszczenia inspekcyjnego. Ky nie mogła się już doczekać odprężającego kubka gorącej czekolady w kajucie, nim zabierze się za inne problemy, lecz po drodze połączył się z nią obrońca.

— Czy mówiła pani poważnie o chęci podjęcia próby złagodzenia wyroku Furmana?

— Nie chcę być nieuprzejma — odparła Ky — lecz według naszych standardów wyrok śmierci za obrazę sędziego jest raczej surowy.

— Przypuszczam, że cudzoziemcom może tak się wydawać — przyznał obrońca. — Istnieją jednak dowody, że Furman znał nasze prawo: bywał tutaj wcześniej i w

obu przypadkach potwierdzał ich zrozumienie i akceptację, podobnie jak pani. Zgodnie z naszymi doświadczeniami dorośli, którzy do tego stopnia nie potrafią nad sobą panować, powodują szkody innego rodzaju. Jeśli jednak pragnie pani spróbować interweniować, to możliwą alternatywą jest przebudowa osobowości i oddanie takiej osoby do pełnej dyspozycji gwaranta. Jeżeli wystąpi pani z takim wnioskiem, będzie pani musiała zostać gwarantem, a Furman stanie się praktycznie pani sługą.

— Przebudowa osobowości...

— Uważamy to za coś gorszego od śmierci, gdyż zmienia człowieka w kogoś innego i to ubezwłasnowolnionego. Sędzia wspomniał, że była to najbardziej niezwykła sprawa, a pani zachowywała się bardzo dobrze. W związku z tym skłonny jest rozważyć tę opcję na pani wniosek, musiałaby jednak pani wziąć później pełną odpowiedzialność za Furmana.

— Mówi pan, że byłby... kompletnie odmieniony.

— Prześlę pani plik z wyjaśnieniem całego procesu. Furman zademonstrował werbalną i potencjalnie fizyczną przemoc wobec innych, okazał się także nieuczciwy. Cechy te zostałyby wyeliminowane z jego zachowania...

— Rozumiem — bąknęła Ky, choć wcale nie była pewna, czy faktycznie pojmowała, jak to działało. Konstytucja Slotter Key nie zezwalała na grzebanie w osobowości dorosłego człowieka w pełni władz umysłowych.

— Prześlę plik pod koniec zmiany — obiecał obrońca.

Ky odchyliła się w fotelu i już miała wstać, kiedy jednostka łączności ponownie zahuczała. Odebrała, mamrocząc przekleństwa.

— Stella cię potrzebuje — oznajmiła Quincy. — Natychmiast.

— Już idę — odrzekła Ky. Schodząc z mostka, wyjaśniła pokrótce sytuację obsadzie.

— Chcesz, żebym poszedł z tobą? — spytał Rafe.

Ky wzruszyła ramionami.

— Jeśli uważasz, że możesz pomóc. Najpierw jednak chcę z nią porozmawiać w cztery oczy. Może nie chce cię widzieć.

Kapitan Stelli wyniósł się z kajuty, dzięki czemu mogły ze sobą swobodnie porozmawiać. Ky doceniła tę uprzejmość. Znajome pomieszczenie wyglądało teraz na ciasne i ewidentnie zamieszkanego przez kogoś innego. Ktoś — zakładała, że Stella — kazał usunąć poplamioną wykładzinę, zastępując ją superkrowym, szarym tweedem, odnowił też szafki i biurko. Na wieszaku wisiała kapitańska peleryna Orema, a na półce stały jego książki. Wybrał gładką, ciemnoniebieską kapę na łóżko, a jego certyfikat magisterski oprawiony był w dwubarwną, piaskowo-zieloną ramkę zamiast jej zwyczajnej czerni. Stella stała wyprostowana w drugim końcu kajuty. Jej urodę psuły łzy i rzucająca się w oczy rozpacz.

— Stello — odezwała się Ky.

— Wiem, co zamierzasz powiedzieć — oznajmiła Stella. — Chcesz powiedzieć, że wszystko jest w porządku i to nie robi żadnej różnicy. Ale robi.

— Owszem, coś w tym stylu — przyznała Ky. — Choć, oczywiście, robi to różnicę tobie.

— Dlaczego mi nie powiedzieli? — zapytała Stella. — Gdybym wiedziała... To jest nawet w popularnonaukowych artykułach o psychologii. Wszyscy wiedzą, że adoptowanym dzieciom powinno się mówić...

— Tak. Ale wciąż piszą takie rzeczy, bo nie wszyscy rodzice mówią prawdę swym adoptowanym dzieciom. — Ky usiadła na krześle przy biurku. — Usiądź, Stello.

— Na łóżku mojego kapitana... Świetny pomysł, Ky.

Ta wstała.

— Dobrze. Ja usiądę na łóżku. Dzięki temu potrzymam nogi w górze. Za długo tkwiłam w tych paradnych butach.

— Naprawdę doceniam subtelność wypomnienia mi, że pracowałaś przez całe popołudnie, kiedy ja oddawałam się hysterii — dodała Stella, rzucając się na krzesło.

Ky poczuła się o całe dziesiątki lat starsza od kuzynki.

— To brzmi, jakby ktoś tutaj był gotowy skończyć z histerią — zauważyła.

— Nie chcę być gotowa — zaprzeczyła Stella. — To był najgorszy dzień w moim życiu, włączając w to chwilę, gdy dowiedziałam się, że jestem w ciąży z tym łąchmytą, który wykorzystał rodzinne kody, by uciec ze skrzynią rodowych sreber babci. Chyba nadal mogę nazywać ją babcią...

— Tak — potwierdziła Ky. — Przypuszczałabym, że tamte chwile były gorsze, ponieważ miałaś świadomość, że doszło do tego z twojej winy. Tutaj... nie jesteś odpowiedzialna za spermę Osmana, ani za decyzję twoich rodziców, że ci nie powiedzieli.

— Ale jestem... — Stella zadygotała — ...skażona. Tamto było na zewnątrz — nie w moich genach — ale to... Czy tego chcę, czy nie, w każdej mojej komórce jest cząstka niego.

— Oraz cząstka twojej matki, która musiała być prawdziwą pięknoscią — dodała Ky.

— Ky, naprawdę nie mam ochoty, żebyś prawiała mi uprzejmości. Kiedy wszyscy dowiedzą się, że jestem córką Osmana... na nic nie przydam się Vattom. Nikt mi nie zaufa.

— Chcesz się założyć, czy ciotka Grace nie wiedziała? — zapytała Ky. — A przecież ci ufa.

Stella zaczęła coś mówić, ale zamyśliła się. Ky naciskała.

— Wiedziała, że ludzie mogą popełniać błędy i dojść po tym do siebie. Nie widziała w tobie jedynie rodzinnej piękności i najwyraźniej uważała, że byłaś godna zaufania. Ja też tak uważam. Po pierwsze, nie musimy obwieszczać całemu wszechświatowi, że jesteś biologiczną córką Osmana. Z prawnego punktu widzenia jesteś córką swych prawowitych rodziców, Stavrosa i Helen. Po drugie, jeśli nawet ludzie się dowiedzą albo postanowisz im powiedzieć, to jest to jedynie cząstka tego, kim jesteś.

Stella wbiła wzrok w biurko.

— A ty sama robisz wszystko... Ocaliłaś nam życie podczas ataku Osmana, masz Rafe'a...

Ky spojrzała na nią.

— Rafe? Nie mam go. W żadnym sensie. Owszem, podróżował ze mną i owszem, jego znajomość elektroniki jest pożyteczna, ale dla siebie jesteście... nikim.

— Lubi cię — zauważyła Stella.

Ky prychnęła.

— Stello, może faktycznie zaczyna mnie szanować i ostatnimi czasy nie starał się mnie oszukać, nie sądzę jednak, aby był zdolny do polubienia mnie, czy kogokolwiek innego.

— Może. — Stella przeciągnęła dłonią po twarzy. — Muszę wyglądać okropnie. Przepraszam. — Poszła do przyległego odświeżacza. Ky wsłuchiwała się w szum wody i żałowała, że tak bardzo bolały ją stopy. Stella mogła się uspokoić, ale czy zdoła przywyknąć do swej nowej tożsamości?

Osoba, która wynurzyła się z odświeżacza, sprawiała wrażenie opanowanej i kompetentnej.

— W takim razie, co chcesz, żebym robiła, Ky?

Kylara przyglądała się jej przez chwilę, po czym zapytała:

— A czego chcesz? Co możesz wnieść do biznesu?

— Poza umiejętnością sprawiania, że mężczyźni baranieją na mój widok? Jestem dobra w gromadzeniu i analizie danych. Lecz chociaż uczyłam się, nigdy nie zostanę dobrym kapitanem statku.

— I nie ma ku temu powodów — rzekła Ky. — Potrzebujemy kogoś do handlu, kto siedzi w naszej branży. Wiesz o tym więcej ode mnie.

— Poważnie zamyślasz utworzyć międzygwiazdną flotę bojową?

Ky wzruszyła ramionami.

— Ktoś musi. Ta banda piratów dysponuje wystarczającą liczbą okrętów, by napadać na całe systemy. Żaden układ nie odeprze ich w pojedynkę. Albo zjednoczymy się przeciwko nim, albo możemy położyć się i oddać wszystko, czego zapragną.

— Co pachnie gwałtem i grabieżą.

— Słusznie. Część kaprów, w tym jeden ze Slotter Key, zdawali się zgadzać ze mną, lecz rząd Sallyonu wystraszył się. Zakazali rozmów na ten temat, zwłaszcza mnie.

— Wiem, że uważasz to za ważne, Ky — i rozumiem, że tak jest — ale pojęcia nie mam, jak miałyby to korzystnie wpłynąć na interesy Vattów, chyba że nie bezpośrednio. Mamy tylko dwa statki...

— Z jednostką Furmana — trzy.

— Zgadza się. W takim razie trzy, z czego jeden to frachtowiec najwyższej klasy. Znacznie lepiej, niż kiedy miałaś tylko ten jeden statek, lecz nadal nie jest to zbyt wiele, by zakładać przedsiębiorstwo przewozowe.

— Transport Vattów Trading zaczynał z jednym — zauważyła Ky.

— Owszem, ale tamten kapitan nie próbował prowadzić wojny. Nie widzę sposobu, żebyś robiła jedno i drugie.

— Nie mogę — zgodziła się Ky. — Dlatego właśnie musisz zostać naszym prezesem. Robienie afery z używania przez ciebie tego tytułu było głupie. Możemy wynajmować kapitanów i załogi, ale to ktoś z rodziny musi zarządzać firmą... I ty jesteś tym kimś.

— Nie jestem najstarsza — zaprotestowała Stella. — Ciotka Grace...

— Gdyby chciała, objęłaby to stanowisko dawno temu. Naprawdę uważasz, że któryś z naszych ojców mógłby się jej przeciwstawić? Nie. Owszem, są starsi Vattowie, ale większość z nich nie dorównywała ci aktywnością w interesach i wielu z nich nie żyje. Poza tym, nie ma z nimi kontaktu, gdyż utknęli w systemie pozbawionym czynnego ansibla. Nie można zarządzać firmą bez łączności z nią. Zademonstrowałaś już swoje umiejętności rozmowy z bankami, kontrahentami i spedytorami — popatrz na swoje osiągnięcia w tak krótkim czasie — a to jedynie część twojej wiedzy.

— Tak przypuszczam... — mruknęła Stella.

— Oto, co myślę — zaczęła Ky, zrzucając buty i rozcierając obolałe stopy. — Powinnaś założyć nową siedzibę zarządu — tymczasową, gdyż jestem pewna, że przywrócona zostanie łączność ansiblowa — i zostać twarzą Transportu Vattów. Niech dobre załogi latają tym statkiem i *Katrine Lamont* trasami, jakie im wynajdziesz. Zajmij się finansami. Jeżeli znajdziesz inne jednostki Vattów, przejmij je i zagnaj do roboty. Na tym szlaku powinny latać jeszcze dwa frachtowce.

— Ufasz mi...

— Oczywiście, że ci ufam! — Ky pozwoliła, by w jej głosie zabrzmiała część odczuwanej frustracji. — Stello, znam cię, odkąd pamiętam. Nie jesteś Osmanem. Nie jesteś taka, jak Osman. Jak bardzo przypominam swoją matkę?

— Punkt — przyznała Stella. Ky pomyślała, że wyglądała na bardziej skupioną; prawie jak dawna Stella... Jej kuzynka nigdy nie była *tylko* pustogłową latawicą, z wyjątkiem pierwszych lat dorosłości. — A po przywróceniu łączności...

— Jeżeli będzie to bezpieczne, powrócisz na Slotter Key. Porozmawiasz ze starszymi i wyjaśnisz, że przejmujesz stery, ponieważ nadajesz się do tego najlepiej — i że ja tak powiedziałam. Większość z nich nie wie, że łączy cię z Osmanem cokolwiek, choć założę się, iż Grace to wyjątek. Jak również, że poprze ciebie. I już tam jesteś — w narożnym gabinecie z oknami.

— O ile jeszcze kiedyś będziemy mieć własny biurowiec — powiedziała Stella.

— Będziemy — odrzekła Ky z przekonaniem w głosie, którego sama nie czuła. — Ty to sprawisz. — Stella skinęła głową, tym razem z większym zapalem. — W międzyczasie — ciągnęła Ky — ja postaram się dopilnować, by to, co się stało, nie powtórzyło się nigdy więcej — ponieważ odpowiedzialni będą tak samo martwi, jak Osman. Lepiej sobie poradzę z prowadzeniem wojny, jeżeli nie będę musiała jednocześnie zajmować się handlem. A Grace powiedziała, że mam walczyć, tak?

— Zgadza się. — Stella potarła skronie. — W porządku. Wiesz, gdzie powinnam założyć kwaterę główną? W tej chwili żadne miejsce nie wydaje się bezpieczne.

— Żadne nie jest — przytaknęła Ky. — Myślę jednak, że nieprzyjaciel zajęty jest teraz umacnianiem się w Bissonecie. Poszukaj systemu z czynnymi ansiblami i maksymalną ilością połączeń z innymi układami. Leć tam i zabierz Toby'ego — musi wrócić do szkoły. Zatrudnij dobrych ludzi...

— Nie jestem pewna, czy diamenty ciotki Grace wystarczą na to wszystko — zauważyła Stella.

Ky machnęła ręką.

— Mamy tutaj nasze konta; w innych miejscach również. Furman dopiero co dostarczył towar i otrzymał zapłatę; jestem pewna, że lwia część pieniędzy trafiła na konto firmowe w Crown&Spears. Jak tylko Vattowie wrócą do gry, uzyskamy dostęp do innych kont.

— Mogłabym po prostu zostać tutaj.

— Owszem, jeżeli uznasz, że to najlepsze miejsce. Decyzję pozostawiam tobie.

— Dobrze. Choć wolałabym, żebyś została ze mną...

— Stello, wciąż zbyt mało wiem o handlu i zarabianiu, ty zaś raczej nie zrobisz tego, do czego mnie wyszkolono. Chcesz, żeby Rafe rozpracował dla ciebie kwestie związane z bezpieczeństwem?

— Oddałabyś go?

— Nie jest mój — odparła Ky. — Przyprowadziłam go na wypadek, gdybyś go potrzebowała, lecz decyzja należy do ciebie. Każda z nas mogłaby skorzystać z jego usług, może też wrócić do ISC. Ciągłe przypomina mi, że jest lojalny przede wszystkim wobec nich.

Stella zamyśliła się.

— Nie wydaje mi się, żebym go potrzebowała. Może pora, aby wrócił do ISC i odkrył, co tam poszło źle... Choć mógłby przydać się tobie, gdybyś naprawdę powołała do życia tę flotę.

— Nie potrzeba nam kogoś o podzielonej lojalności — uznała Ky. — A myślę, że doszłoby do tego. Logicznie rzecz ujmując, monopol ISC został złamany w momencie, gdy spod kontroli wymknął im się pierwszy ansibl pokładowy, wątpię jednak, aby byli gotowi to przyznać. Co oznacza, że korzystanie przeze mnie z ansibli — a co dopiero mówić o przekazywaniu ich innym — byłoby dla niego trudne do zaakceptowania. W pewnej chwili napięcie mogłoby okazać się zbyt wielkie.

Zanim Ky wróciła na okręt, Stella przygotowała zarys biznesplanu. Utrzyma *Katrine Lamont* na tej samej trasie, gdyż mieli kontrakty ciągnięte. *Gary'ego Tobai* pośle na wyprawę handlową celem odnowienia kontaktów. Spróbuje skontaktować się ze statkami znalezionymi przez Ky, które nie uwierzyły w jej tożsamość i pozbierać rozproszone resztki floty Vattów. Wyszczególniła załogę, którą musiała zatrudnić oraz prawdopodobny bilans zysków i strat na najbliższą połowę roku, załączając ocenę rynków odwiedzonych przez nią w trakcie pogoni za Ky na Cascadię. Była pewna, że *Gary* wygeneruje zysk na samym połączeniu Rosvirein z Cascadią.

— Genialne — uznała Ky, łącząc się ponownie z kuzynką.

— Potrzebuję twojej autoryzacji w Crown&Spears — powiedziała Stella. Nie widać po niej było śladu emocjonalnej nawałnicy, jaka miotła ją kilka godzin temu. — Skontaktowałam się również z tutejszymi władzami szkolnictwa. Chcą, żebyśmy obie ustanowiły nad nim prawną opiekę — jest nieletni — ale szkoły mają świetne, zarówno tutaj, jak i na planecie.

— Stello, jesteś cudem pracy — oznajmiła Ky. — Natychmiast zadzwonię do Crown&Spears. — Zerknęła na chronometr; mieli jeszcze godzinę.

Stella wzruszyła ramionami.

— Wykonuję swoją pracę — powiedziała. — Przejdźmy do budżetu. Ta część może ci się nie spodobać. Ile chcesz na utrzymanie *Pięknej Kaleen* jako okrętu bojowego? Zakładam, że będziesz potrzebować uzbrojenia i innych rzeczy, nie mówiąc już o liście płac. Jak zamierzasz to wszystko sfinansować? Jeżeli będziesz walczyć, a nie handlować, to nie ma sposobu, żebyś utrzymała się samodzielnie.

— Masz rację — odparła Ky. — Nie mam pojęcia, czego będę potrzebowała, ani ile możesz na to przeznaczyć. Wróćmy do tego. Co z zatrudnianiem załogi do *Kat*?

— To moje zadanie — powiedziała Stella. — Nie martw się o to.

— Załoga Furmana...

— Nie byłaby wiarygodna. Rozumiem to. Uwierz mi: wszystkie referencje zostaną sprawdzone. — Po raz pierwszy uśmiechnęła się. — Ky, doceniam, co zrobiłaś, teraz jednak czas ruszać dalej. Będziesz miała czym dowodzić, jak tylko znajdziesz się wśród wrogów.

Ky zamrużyła oczami. Stella miała rację, co wcale nie czyniło tego łatwiejszym do przelknięcia. Czy naprawdę mogła zaufać Stelli, że pozostanie zrównoważoną i rozsądną businesswoman, a nie zamieni się z powrotem w tamtą rozhisteryzowaną Stellę sprzed paru godzin? Musiała — nie miała alternatywy.

— Przepraszam — mruknęła. — Dla mnie to także nowość.

— Wiem — powiedziała Stella, uśmiechając się szerzej. — A najzabawniejsze jest to, że przedtem strasznie się bałam, a teraz myślę tylko o tym, jaka to będzie świetna zabawa. Mnóstwo pracy, ale także... zabawy.

— Zadzwonię do Crown&Spears — zaproponowała Ky. Nie chciała zagłębiać się, co było zabawą, a co nie.

W Crown&Spears panowało pełne zadowolenie z potwierdzenia słuszności dokonanej przez nich weryfikacji tożsamości Ky oraz tego, że postawili na właściwego konia. Byli gotowi spełnić każde życzenie kapitana Vatty odnośnie firmowych i okrętowych rachunków. Oczywiście, Stella Vatta będzie musiała odwiedzić ich celem przeprowadzenia pełnej procedury identyfikacyjnej, lecz córka byłego prezesa z pewnością była właściwą osobą, by przejąć dowodzenie...

— Stella została adoptowana zaraz po narodzinach — poinformowała ich Ky, uprzedzając propozycję porównania DNA Stelli z próbką Jo. — Ale znam ją całe życie i ręczę za nią.

— W porządku, kapitanie Vatta. Po prostu musimy wciągnąć ją na listę, żeby nikt nie mógł podszywać się pod nią. Wie pani, czy figuruje w rejestrach innych oddziałów Crown&Spears?

— Z pewnością na Slotter Key — odparła Ky. — Jako dzieci wszyscy byliśmy zgłoszeni do lokalnego oddziału banku. Nie wiem nic o innych oddziałach, jestem jednak pewna, że Stella wszystko wam przekaze. Ma większe doświadczenie w sprawach administracyjnych ode mnie, za to mniejsze w dowodzeniu statkiem, stanowi więc logiczną kandydatkę na założycielkę tymczasowej siedziby firmy.

— Oczywiście — uśmiechnęła się kobieta na ekranie. — Czyli zostanie tutaj?

— Tego nie jestem pewna — odrzekła Ky. — Spodziewam się, iż sama umówi się z panią. Ja odlatuję. Mam swój okręt.

— Cascadia to świetne miejsce dla zaczynających — oznajmiła kobieta. — Z przyjemnością pomożemy jej w wyborze lokalizacji biura i będziemy świadczyć usługi dodatkowe.

— Jestem pewna, że chętnie skorzysta z państwa pomocy — powiedziała Ky. — Niemniej, decyzja należy do niej. Zgodziłyśmy się, że moje umiejętności najbardziej przydadzą się na pokładzie okrętu.

— Aha. W takim razie, życzę powodzenia, kapitanie.

Następnie Ky zadzwoniła do obrońcy z informacją, że kryzys rodzinny został zażegnany, a Stella będzie od tej pory prezesem Transportu Vattów.

Obrońca przypatrywał się jej z profesjonalnie nieprzeniknioną miną.

— Jeżeli jest pani tego pewna...

— Jestem.

— Czy podjęła pani decyzję w sprawie kapitana Furmana?

Przez ostatnie godziny nawet nie pomyślała o kapitanie Furmanie.

— Zapewniam, że produkty przebudowy tożsamości są niegroźne i posłuszne — ciągnął obrońca. — Nie musi obawiać się pani, że będzie hałaśliwy, choć prawdopodobnie okaże się mniej inteligentny niż teraz i niemal zupełnie pozbawiony własnej inicjatywy.

Przez chwilę napawała się wizją Furmana, jako jej sługi — uległego i pozostającego stale pod jej kontrolą. Mogłaby odpłacić mu za wszystkie krzywdy, jakie jej wyrządził. Zaraz jednak ta sama wizja odrzuciła ją. Stanowiłby ciąglą pokusę dla tej jej części, którą pogardzała. Z drugiej strony, alternatywą była śmierć.

— Czy Stella mogłaby zostać jego strażniczką? — zapytała. Stella nie odczuwałaby podobnych pokus.

— Nie — odrzekł obrońca, kręcąc głową. — Ofertę złożono osobiście pani. Przypominam również, iż taka kara uważana jest tutaj za okrutniejszą.

— Nie chcę być okrutna — powiedziała Ky. — Tyle, że... skazywanie kogoś na śmierć...

— Nie pani wyda wyrok — przypomniał jej obrońca. — My ponosimy odpowiedzialność za osądzenie go.

To ich system prawny, nie jej, przewidywał takie kary. Śmierć albo zniszczenie jego osobowości i przebudowa w kogoś, kto — według jej wyobrażenia — był niewiele więcej, niż biernym niewolnikiem. Czy poddane tej procedurze osoby cierpiały? Które zło było mniejsze? Znów nie udało się jej osiągnąć barwnych kręgów medytacyjnych Szafirowych Cyklan.

— Kiedy musimy odpowiedzieć? — spytała.

— Do jutrzejszej drugiej zmiany. — Obrońca zmarszczył brwi. — Widzę, że bardzo to panią dręczy, kapitanie Vatta. Ewidentnie jest pani osobą etyczną i postrzega tę sytuację jako wybór pomiędzy dwiema złymi opcjami. My widzimy to odmiennie, zgodnie z naszymi prawami. Może poleciłbym pani duchowego doradcę, który lepiej wyjaśniłby nasz punkt widzenia?

— Nie, dziękuję — odrzekła Ky. Wiedziała, że choć decyzja była trudna, odwlekanie jej niczego nie załatwi. Wiedziała, co wolałaby na miejscu Furmana. Ale czy on wolałby to samo? Pozbawił się prawa do wymagania od niej, by zastanawiała się nad jego preferencjami, niemniej, uczyni ten ostatni krok. — Chcę zapytać kapitana Furmana, co sam by wolał. Czy to możliwe?

Obrońca ponownie zmarszczył brwi.

— Jest pilnie strzeżony. Myślę, że mogę zapytać odpowiednie władze. Ale to wysoce nieprzepisowe.

— Jeżeli nie będę mogła zadać mu tego pytania, zdam się na wasz osąd — oznajmiła Ky. — Ja również uważam prowadzenie życia jako ktoś inny za bardziej odrażające od śmierci. Jeśli jednak ustalę jego preferencje w tej kwestii, będę zobligowana do postąpienia zgodnie z nimi.

— Zapytam.

Rozdział 21

Według strażnika więziennego odpowiedź Furmana była zbyt wulgarna, by mógł ją przytoczyć.

— W zasadzie chodziło o to, że prędzej umrze, niż odda się pod pani kuratelę — powiedział oficer. — Twierdzi, że pani rodzina oszukiwała go i okradała, odkąd tylko zaczął u was pracować, lecz biorąc pod uwagę jego zachowanie, odkąd go aresztowaliśmy, nie wierzę w ani jedno słowo.

— Chciał wżenić się w rodzinę — wyjaśniła Ky. — Dziewczyna wyszła za innego, kiedy był w podróży.

— Aha. Ten typ. Cóż, to nie moja sprawa, kapitanie Vatta, ale na pani miejscu wolałbym trzymać zgniłą sałatkę owocową w szafce, niż mieć przy sobie kogoś takiego, nawet po przebudowie tożsamości.

— Dziękuję — powiedziała Ky. — Skontaktuję się z obrońcą.

Słyszając decyzję Ky, obrońca pokiwał z aprobatą głową.

— Bardzo mądrze, kapitanie. Uzyskała pani opinię więźnia. Również zgodnie z naszą tradycją, śmierć jest bardziej miłosierną karą. Nie musi pani martwić się, że będzie cierpiał, z wyjątkiem paru dni oczekiwania, co możemy złagodzić farmakologicznie. Stosowana przez nas metoda egzekucji jest całkowicie humanitarna.

Ky zastanawiała się, czy jakkolwiek śmierć można uważać za całkowicie humanitarną, lecz chwila nie była odpowiednia, by to roztrząsać.

— Dziękuję za pomoc — powiedziała. — Moja kuzynka Stella przejmie funkcję prezesa firmy i mam nadzieję, że może pan polecić kogoś do obsługi prawnej, gdyby postanowiła zostać na Cascadii.

— Oczywiście — zapewnił ją obrońca. — Pomogę z prawdziwą przyjemnością.

Dwa punkty z głowy, pora brać się za pozostałe. Ky przejrzała oczekujące wiadomości. Raport służby reprodukcyjnej psów informował, że Hultaj był nie tylko zdrowy, lecz także bardzo płodny i pierwsze porcje jego spermy zostały sprzedane za oszałamiająco wysoką cenę, znacznie korzystniejszą od pierwotnie ustalonych. Edukacja Toby'ego została zapewniona, niezależnie od szkoły, jaką wynajdzie mu Stella. Wezwała go z pomieszczenia inżynierskiego; Hultaj jak zwykle dreptał za nim, energicznie merdając ogonkiem.

— Dojdzie do pewnych zmian — oznajmiła Ky, gdy usiadł naprzeciwko niej. — Stella przejmuje firmę jako prezes Vattów; wie o robieniu interesów więcej ode mnie. Zostaniesz z nią...

— Lubię statki! — zawołał Toby. — I nie jestem bezużyteczny. Ciężko pracowałem...

— Wiem. Ale musisz dokończyć naukę. Pierwszą podróż masz już za sobą; czas wracać do szkoły. Stella wszystko zorganizuje.

— A co z Hultajem? — Toby sięgnął w dół, by podrapać psa za uszami.

— Zatrzymasz go, rzecz jasna. To twój pies. Jeżeli Stella zostanie tutaj, to na Cascadii jest bardzo cenny; już przyniósł tyle pieniędzy, że wystarczy na opłacenie większości szkół. Przy jego potencji będziesz miał niezłą sumkę na czarną godzinę, kiedy wrócisz do floty.

— Będziemy mieć flotę? — zapytał Toby. Wyglądał strasznie dojrzałe, tylko stopy i ciało nie nabrały jeszcze właściwych proporcji.

— Tak — potwierdziła stanowczo Ky. — Stella odbuduje Transport Vattów, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uczynić przestrzeń z powrotem bezpieczną dla wszystkich kupców.

Toby krzywił się przez chwilę. Hultaj wskoczył mu na kolana i polizał po twarzy. Chłopiec roześmiał się i uśmiechnął do Ky.

— To chyba nie będzie takie złe. Mam na myśli szkołę. Inne dzieciaki. Więcej miejsca...

— Stella zadecyduje, gdzie założy siedzibę — powiedziała Ky. — Jak tylko znajdzie odpowiednie miejsce, bądź gotowy do przeprowadzki.

— Może pewnego dnia wrócę nawet do domu — rzucił Toby. — Jeśli moi rodzice... — Zamilkł.

— Jeśli twoi rodzice żyją — co jest możliwe — będą z ciebie bardzo dumni — rzekła Ky. Będzie jej brakowało radosnej obecności Toby'ego i nawet stukotu pazurów Hultaja o pokład. Ale nie odpowiedzialności za dzieciaka na pokładzie w niebezpiecznych czasach. — Ile czasu potrzebujesz na spakowanie się?

— Niewiele — odrzekł Toby. — Będę gotowy.

Następne w kolejce czekały notatki o przewożonym przez *Kat* cargo — zapytania nabywców i pytania spedytorów o przestrzeń ładunkową na następny lot. Przesłała je na skrzynkę Stelli. Co za ulga, że nie musiała więcej zajmować się tymi sprawami. Następnie, wniosek o nową rejestrację okrętu. Oficjalne potwierdzenie jej tożsamości uprawomocniało jednocześnie przejęcie *Pięknej Kaleen*. Przerejestrowanie zostanie zatwierdzone po uiszczeniu zapłaty. Jaka będzie nowa nazwa?

Rozważała wiele nazw, starych jak okręty wojenne morskich flot pradawnej Ziemi: *Zemsta*, *Zwycięstwo*, *Awangarda*, *Niepokonany*, *Śmiały*, *Pancernik*, *Enterprise*. Gdyby chciała, aby jej okręt uchodził za jednostkę kupiecką z uprawnieniami kaperskimi, powinna nadać mu bardziej pokojową nazwę, skoro jednak zamierzała poświęcić się czysto wojskowej misji... Okręt bojowy powinien mieć bojową nazwę.

Czy użycie przez nią jednej z tych starożytnych nazw byłoby oznaką braku szacunku? Wzruszyła ramionami. Prawdopodobnie każda kosmiczna milicja i flota morska korzystała z najlepszych z nich; oryginalność znaczyła mniej niż efekt, jaki odpowiednia nazwa wywierała na załogę i nieprzyjaciół. Okręt Osmana zasługiwał na dobrą, mocną nazwę. *Zwycięstwo* byłoby zbyt pretensjonalne — głupotą jest ogłaszać wiktoryę przed jej odniesieniem. Za to *Awangarda* — całkiem dobre. Pionier, lider — tym właśnie chciała być. Do tego zmierzała.

W aktualnym rejestrze Cascadii nie figurował statek o takiej nazwie. Wprowadziła ją; chip okrętu zostanie zaprogramowany i dostarczony w ciągu dwudziestu czterech godzin po przekazaniu bardzo wysokiej opłaty. Uruchomiła przelew.

Następnego ranka na tablicy przylotów pokazał się *Dar Sharry*, zmierzający szybko w stronę Cascadii; przycumuje do stacji za trzy dni. Ky spodziewała się, że Argelos przyleci za nią i kontynuowała przygotowania do startu. Na początku drugiej zmiany zadzwoniła Stella z informacją, że znalazła miejsce na biuro i mieszkanie.

— Chcesz, żebym odesłała ci Toby'ego?

— Jeśli jest gotowy. Lepiej przydziel mu ochronę, na wypadek gdyby ktoś miał chrapkę na tego psa.

— Możemy wysłać Hultaja kurierem.

— Dobry pomysł. Uwierzysz, że znalazłam apartament z ogrodem na Zachodniej Piątej? Ci ludzie mają świra na punkcie drzew.

— Zauważyłam — mruknęła Ky.

— Dzięki za załatwienie sprawy w Crown&Spears. Powiadomili już wszystkie oddziały w zasięgu ansibla, będziemy więc mogły w razie potrzeby dokonywać przelewów między nimi. Szkoda, że nie mamy dostępu do kont Furmana.

— Kosztowałyby nas to opłaty prawne — zauważyła Ky. — O ile inne jurysdykcje uznałyby wyrok Cascadii. Ale decyzja należy do ciebie.

— Mam już zręby załogi *Kat* — ciągnęła Stella. — Będzie gotowa do startu za dzień lub dwa. I mamy ładunki.

— Znakomicie — pochwaliła Ky. — Chciałabym umieścić na *Garym Tobai* ansibl pokładowy, a drugi zostawić tobie. Dzięki temu pozostaniemy w kontakcie. Może znajdziesz tutaj kogoś, kto mógłby je produkować, żeby wyposażyć w nie wszystkie statki Vattów. — Choć było to niebezpieczne, gdyby sprawę odkryło ISC.

— Dobry pomysł — zgodziła się Stella. — Dałoby to Transportowi Vattów znaczną przewagę nad konkurencją. Prześlij je; uprzedzę kapitanów, żeby się ich spodziewali. Podeślesz również montażystów?

— Tak — obiecała Ky. — Jest coś jeszcze — w systemie pojawił się okręt ze Slotter Key...

— Widziałam — przytaknęła Stella. — Twój przyjaciel?

— Tak myślę. Muszę porozmawiać z załogą... Uważasz, że powinnam omówić moje plany z władzami Cascadii?

Stella zastanawiała się przez chwilę.

— Prawdę mówiąc, porozmawiałabym z Rafem. Mam wrażenie, że w zależności od kwestii, są albo bardzo wyrozumiali, albo strasznie zasadniczy. Był tutaj wcześniej; może mieć większe wyczucie.

— I tak muszę z nim pogadać — mruknęła Ky.

Rafe wysłuchał jej planów.

— Myślę, że pora, abym cię opuścił — oznajmił, kiedy skończyła.

Choć na poły spodziewała się takiej odpowiedzi, poczuła ukłucie. Przywykła do jego bystrości, zdumiewającej biegłości w sprawach technicznych, nawet umiejętności wyprowadzania jej z równowagi. Czekala, czy powie coś więcej.

— Zakładanie międzygwiazdnych sił kosmicznych to twoja sprawa, nie moja — ciągnął. — Ja muszę wracać do ISC. Nie byłem jeszcze w tutejszym oddziale, a instynkt podpowiada mi, że coś złego dzieje się w siedzibie głównej. Na razie nie chcę się ujawniać.

— Myślałam, że miałeś nie wracać — zauważyła Ky.

— To sytuacja alarmowa — odrzekł Rafe. — Coś jest nie tak — oprócz piratów, jak sądzę — bowiem w przeciwnym razie uruchomiono by znacznie więcej ansibli. Ojciec może nie chcieć, żebym został, raczej jednak nie każe zatrzymać mnie w wejściu, a mam ważne informacje, których nie chcę przekazać w inny sposób. Na przykład o ansiblach pokładowych, do nie używania których nie chcesz się zobowiązać.

Ky pokiwała głową.

— A część twojej załogi odetchnie z ulgą, kiedy odejdziesz — dodał Rafe. — Martin nadal mi nie ufa, choć ceni moje umiejętności. Powiem Stelli, dokąd się udaję. Wrócę, żeby pożegnać się bardziej oficjalnie.

Co rzekłszy, odwrócił się i wyszedł, a Ky powróciła do planowania. Jak miała finansować flotę? Wyposażenie jednego statku kosztowało wystarczająco dużo, a innych... Będzie musiała wciągnąć do współpracy sojuszników, rządy, albo... kogoś. Stella zadzwoniła, że jest gotowa na przyjazd Toby'ego i podała adres apartamentu. Ky odprowadziła go. Po jego wyjeździe okręt wydawał się zbyt cichy, choć wcale nie był hałaśliwym chłopcem. To ten pies, powiedziała sobie. Cieszyła się z pozbycia się go. Śmierdział, a na okręcie było wystarczająco dużo zapachów.

Następnego ranka kończyła zamówienie dla dostawcy okrętowego na racje żywnościowe, gdy w jej drzwiach stanął Rafe, tym razem ubrany w szykowny garnitur, zamiast kombinezonu pokładowego, w jakim chodził przez ostatnie tygodnie.

— Stella boi się ciebie — oznajmił, opierając się o gródź.

— Wątpię — odparła, zaznaczając w zamówieniu opcję KOMPLETNE i wysyłając je. Wzięła się za listę życzeń Gannettów odnośnie dodatkowej amunicji.

— Poważnie — upierał się Rafe. — A ją niełatwo przestraszyć. Na swój sposób, nasza Stella jest całkiem dzielna.

Ky nie miała pojęcia, co na to powiedzieć — nigdy nie mówiła, że Stella nie była odważna — więc dalej przewijała listę zakupów. Na Cascadii nie było czegoś tak dużego, jak MilMart Express na Lastway, mieli jednak dwóch dealerów, którzy posiadali większość pozycji z zapotrzebowania Gannettów. Pytanie tylko, czy było ją na to stać?

— Zastanawiam się, czy ty chociaż wiesz, kim jesteś — ciągnął Rafe lekko kpiącym tonem, który sprawiał, że Ky czerwieniał kark.

— Tak myślę — odparła, nie podnosząc wzroku. — Człowiekiem, młodą kobietą... twoim naturalnym łupem, jak przypuszczam. — Zerknęła na niego.

Przez chwilę, nim maska wróciła na miejsce, Rafe wyglądał na zaskoczonego i przerażonego.

— Źle mnie oceniasz, kapitanie. Moim naturalnym łupem są zadowoleni z siebie głupcy. Młode kobiety... cóż, przynajmniej te, które nie są zadowolonymi z siebie idiotkami... widzą we mnie raczej starszego brata, którego zawsze chciały mieć.

Ky parsknęła śmiechem.

— Ty? Opiekuńczym, starszym bratem?

Rafe skrzywił się.

— Widzę, że mi nie wierzysz i masz do tego prawo. Myśl sobie o mnie, co chcesz. Ale, kapitanie, mówiłem absolutnie poważnie, że przerażasz Stellę i o tobie również. Wiesz, co masz w środku i nie chodzi mi o ansibl czaszkowy.

Ky przeszedł lodowaty dreszcz.

— Jesteś zabójcą, kapitanie. Założę się, o co chcesz, że nie wiedziałaś o tym, dopóki to się nie stało. Że myślałaś o sobie w taki sam sposób, w jaki Stella opisywała mi ciebie kilka lat temu: miła dziewczyna, sumienna, rzetelna, nudna, pracowita i szanowana w rodzinie. — Przekrzywił głowę. — Mam rację i doskonale o tym wiesz. Dobra Ky, przeciwwaga dla głupiej Stelli. — Urwał; Ky milczała. Słyszała, jak serce wali jej w piersi. — A potem zabiłaś po raz pierwszy w życiu. I gdzieś głęboko w środku poczułaś coś, czego nie znałaś wcześniej. Spodobało ci się to.

— Ja... — Ky zacisnęła szczęki. Miał rację; widział to. Czy wszyscy inni też?

— Wiesz, widziałem cię, kiedy wróciłaś po zabiciu Osmana. Do tamtej chwili to radosne uniesienie i determinacja, by zetrzeć się z napastnikami mogły być skutkiem wojskowego szkolenia lub zrodzonej z niewiedzy brawury. Nie byłem pewny. Ale potem — wiedziałem. Ty nie zabiłaś go tak po prostu; ciebie radowało zabicie go.

Zalały ją obrazy: chaotyczny wir tamtej walki... finał, który faktycznie dostarczył jej mnóstwa przyjemności. Poczula wstyd; czuła gorąco na twarzy, gdy Rafe mówił dalej.

— Rzecz w tym, kapitanie, że kiedy dobry człowiek, taki jak ty, odkrywa zakazane, wywołujące poczucie winy przyjemności, musi coś zrobić, żeby przetrwać. Nie jesteś Osmanem i nie chcesz być taka, jak on...

— Może... — Ky zająknęła się, lecz zmusiła do wyrzucenia z siebie reszty: — Może jestem taka, jak on; może tak właśnie zaczął.

— Nie. — W głosie Rafe'a nie było cienia wątpliwości. — Nie jesteś. Jesteś dobrym człowiekiem — przyzwoitym — któremu zdarzyło się czerpać przyjemność z zabijania złych ludzi.

— Żaden dobry człowiek...

— Posłuchaj. Wiem, z czym się borykasz. — Rafe skwapliwie wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. — Nie jesteś pierwsza, która to przeżywa. Masz rację: większości ludzi zabijanie nie bawi. Wymiotują, płaczą...

— Wymiotowałam. Po pierwszym razie.

— Tak jest. Naturalna reakcja fizjologiczna. Jestem pewny, że mówili ci o tym na Akademii.

— Owszem, mówili. — Ky próbowała uspokoić oddech.

— Większość ludzi nie czerpie przyjemności z zabijania. Prawdopodobnie jest to ważna reakcja biologiczna, bo w przeciwnym razie dawno wyniszczylibyśmy rasę ludzką. Lecz niewielki procent odczuwa coś takiego i jest to jak umiejętność wycucia pewnych smaków lub zapachów — umiejętność wrodzona, której nie można sobie wybrać. Rozumiesz?

— Ja... nie mam pojęcia, jak mogłoby do tego dojść. W każdym razie nie na świecie typu Slotter Key. Mamy kontrolę genetyczną; rodzice mogą wybrać pakiety genów...

— Ale geny odpowiedzialne za odczuwanie przyjemności z zabijania nie zostały jeszcze rozpoznane — powiedział Rafe. — Przynajmniej nie na moim świecie, który jest co najmniej równie rozwinięty, jak twój.

— Skąd o tym wiesz?

— A jak myślisz? — Skrzywił się. — Kapitanie, dostrzegam w tobie to samo, co noszę w sobie. — Urwał i zapatrzył się w pustkę. Ky nie poruszyła się, ani nie odezwała. W końcu podjął: — Kiedy miałem dziesięć albo jedenaście lat, ktoś wyłączył alarm w naszym domku letniskowym. Włamali się popołudniu, ukryli i zaczęli, aż dzieci poszły do łóżek. Rodzice wyszli wieczorem. Niańka siedziała na dole i plotkowała z kucharką. — Przerwał i pokręcił głową. — Obudziłem się — do dziś nie wiem, dlaczego. Jakiś hałas, poruszenie powietrza. Nieważne; rozbudziłem się natychmiast i włączyłem światło. — Kolejna przerwa, tym razem dłuższa. Ky rozpoznała tę zamyśloną minę.

— Miał na sobie programowalny kombinezon — opowiadał dalej Rafe. — Czarny zaraz po włączeniu światła, ale już po kilku sekundach uruchomił się ruchomy kamuflaż — jestem pewny, że mieliście takie w wojsku. — Ky milcząco przytaknęła. — Migające i zmieniające się barwy utrudniały śledzenie ruchów. Uwierz mi, że zerwałem się z łóżka w ułamku sekundy. Próbowałem przemknąć koło niego i uciec przez drzwi, ale złapał mnie i zacząłem z nim walczyć. Od siódmego roku życia ćwiczyłem sztuki walki, ale byłem tylko dzieckiem, a on był dorosły. Robiłem, co mogłem, ale pokonałby mnie... gdyby nie to, że kupiłem sobie pamiątkową replikę miecza ze Starej Ziemi, a mój instruktor pokazał mi kilka cięć i pchnięć. Udało mi się zerwać broń z haków i uderzyć napastnika w nadgarstek na tyle mocno, żeby mnie puścił. Oczywiście, miecz był tępy, a nawet, gdyby był ostry, to pewnie i tak nie przebiłby kombinezonu, lecz klinga okazała się wystarczająco twarda, by drugim ciosem zmiażdżyć mu tchawicę. Nawet nie zauważyłem, co zrobiłem — puścił mnie, a ja pobiegłem uruchomić alarm.

— Mmm... — mruknęła Ky, zachęcając go do dalszej opowieści.

— Oczywiście, nie działał. Miałem wtedy dziecięcy implant, lecz wszyscy w rodzinie byli wyposażeni w telefony czaszkowe; nadałem sygnał alarmowy. Pamiętam, że kiedy patrzyłem na leżącego na podłodze napastnika, czułem... triumf. Nie wiedziałem wtedy, czy umarł, czy dopiero konał. Dla mnie liczyło się, że pokonałem dorosłego. Nie bałem się. Byłem za głupi, żeby się bać. Myślałem, że w tej sytuacji zachowałem się bardzo przytomnie i logicznie. Musiałem obronić

siostrę, a czarnych charakterów mogło być więcej. Potrzebowałem lepszej broni. Ojciec trzymał broń myśliwską pod kluczem, a ja nie znałem kodu, lecz w tym momencie kombinezon zabójcy zakończył sekwencję kamuflującą i zobaczyłem, w co był uzbrojony. Zabrałem pistolet — pamiętam, że byłem bardzo ostrożny: znalazłem przełącznik i zabezpieczyłem go — i wyszedłem na korytarz. — Westchnął. — Strzeliłem do pierwszego poruszającego się kształtu, co okazało się słuszne, a potem do drugiego, co już słuszne nie było... To był nasz zwierzak, całkowicie niegroźny. Trzeci napastnik uciekł. Kiedy przyjechali rodzice i zespół ratunkowy — dosłownie w odstępie kilku sekund — zajmowałem prawidłową pozycję do ostrzeliwania drzwi frontowych, a siostrę uzbroiłem w pistolet drugiego włamywacza i kazałem pilnować tylnego wejścia. Wpadła w histerię, bo musiała przejść przez kuchnię, gdzie leżały martwe kucharka i niańka.

Ky nie wiedziała, co powiedzieć; przyglądała się poważnej twarzy Rafe'a, wyobrażając go sobie jako jedenastolatka. Jak musiał się czuć i wyglądać.

— Zabrano mnie do terapeuty, żeby pomóc mi otrząsnąć się z szoku, którego powinienem doznać — ciągnął Rafe. — Jako uczciwy jedenastolatek, którym wtedy byłem, dokładnie opisałem terapeutce moje odczucia. Szybko dowiedziałem się, że nie takich reakcji ode mnie oczekiwano.

— Musiało być ciężko — powiedziała Ky.

Skrzywił się.

— Owszem. Terapeuta przestrzegł rodziców o ryzyku, że zostanę przestępcą i że potrzebuję długotrwałej i intensywnej terapii, najlepiej w odosobnieniu. — Przełknął ślinę. — Siostra bała się mnie. Wszyscy mi to mówili. Widziała, jak zabijam drugiego napastnika; kiedy do niego strzeliłem, niósł ją na ramieniu, związaną i zakneblowaną. Widziała, jak zastrzeliłem naszego zwierzaka. Przyznaję, że uderzyłem ją w twarz, żeby przestała krzyczeć i wzięła się za pilnowanie tylnych drzwi. Wszyscy uznali, że nigdy nie byłem dobrym chłopcem, za jakiego mnie do tej pory uważali i że ukrywałem w sobie potwora.

— Ale ocaliłeś ją i siebie.

— Owszem, lecz jedenastolatek nie powinien być do tego zdolny — odparł Rafe. — Zresztą, nie zamierzali dyskutować z terapeutą i upierać się, że są dumni z zabicia przeze mnie dwóch dorosłych profesjonalistów. Że podobało im się to, co wtedy czułem. — Pokręcił głową ze smutnym uśmiechem. — To wszystko było winą zepsucia mnie przez dobrobyt. Słyszałem, jak ojciec w ten sposób tłumaczył mnie ludziom — matka również, jeśli już o tym mowa. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby skłamać lub że mógłbym wpędzić się w kłopoty, mówiąc prawdę.

— To okropne! — zawołała z oburzeniem Ky. — Powinni widzieć w tobie bohatera.

Wzruszył ramionami.

— Wiesz lepiej. Co pomyślałaby sobie twoja rodzina o sposobie, w jaki zabiłaś Osmana? Czyż wasza religia, o której opowiadała mi Stella, nie nawołuje do wyrzeczenia się przemocy? A propos, radzisz sobie z tym?

— Nie — przyznała Ky. — Nie widzę już w tym najmniejszego sensu.

— Taaa. Ja też nie. Pamiętam zrywanie kwiatów i dekorowanie domowego ołtarzyka, ale po tym wszystkim... Nie wiem nawet, po co. Tak czy owak, po sześciu miesiącach rodzice wysłali mnie do szkoły z internatem dla trudnych chłopców. Terapeuta przekonał ich, że to jedyny sposób na uczynienie ze mnie odpowiedzialnego obywatela. Było to pouczające w sposób, którego nie przewidzieli. Byłem ofiarą własnej naiwności i cierpiałem za coś, czego nigdy nie zrobiłem. Uznałem, że fajniej będzie odpowiadać za coś, co naprawdę zrobiłem, a potem, że jeszcze ciekawiej będzie nie dać się przyłapać. Co, rzecz jasna, potwierdziło słuszność opinii terapeuty. Przez długi czas sam w to wierzyłem. Ten, kogo cieszyła przemoc lub zabijanie, musiał być zły do szpiku kości. Równie dobrze mogłem być zły i cieszyć się tym.

— Czy dlatego rodzina skazała cię na zesłanie?

— Częściowo. Ukończyłem tamtą szkołę wciąż zainteresowany nauką — pomimo ustawicznych kłopotów udawało mi się zdobywać dobre stopnie — lecz na uniwersytecie czyhało zbyt wiele... pokus. Po trzeciej ciąży, tym razem z córką członka Rady, mój ojciec miał dość.

— Nadal tak uważasz? Jak zły, to na zawsze?

— Nie. Ale dochodziłem do tego przez wiele lat i nie chcę, żebyś powtórzyła moje błędy. Ky — kapitanie — jesteś taką samą osobą, jaką byłaś, tyle że z bagażem wiedzy o sobie, którego wcześniej nie miałaś. Obserwuję cię, odkąd wszedłem na pokład; widziałem, jak robisz mnóstwo rzeczy, z waleniem mnie w plecy włącznie. Jesteś bystra i uczciwa — prawdę mówiąc, uczciwsza ode mnie lub Stelli. Jesteś z gruntu porządnym człowiekiem. Ten niewielki dreszcz, który czujesz, kiedy kogoś zabijasz, naprawdę niczego nie zmienia.

— To nie jest... słuszne!

— Zabijanie *niewłaściwych* ludzi nie jest słuszne. Odczuwanie tego, co czujesz, jest po prostu... odczuwaniem. Musisz tylko — tak samo, jak ja — nauczyć się kontrolować to, żeby tobą nie zawładnęło. Łatwiej tak, niż dać się zaklasyfikować na najbliższe dziesięć — piętnaście lat jako potencjalny sadystyczny, seryjny morderca... Tego właśnie chciałbym ci oszczędzić.

— Nie chciałeś zabić tamtego człowieka... tamtego agenta na Lastway — przypomniawszy sobie Ky, składając wreszcie fragmenty układanki w całość.

— Nie. Mógłbym uznać jego śmierć za niezbędną lub że ISC i tak zleciłoby zlikwidowanie go, ale nie chciałem sam go zabijać. Tak jest... zbyt prosto — zostać zabójcą, płatnym lub działającym w imię własnych ideałów. Nie pozwolę, żeby to się powtórzyło.

Co oznaczało, że jednak doszło do powtórki. Ky stłumiła dreszcz.

— Martwiłam się...

— Oczywiście, że tak. Dlatego właśnie możesz przestać się martwić.

— Kiedy dowiedziałam się o śmierci ojca, pomyślałam sobie nawet, że przynajmniej nie dowie się o mnie...

— Mmm. Nie wierzysz zbyttnio w życie pozagrobowe, co?

— Szafirowi Cyklanie wierzą w nieświadomy powrót — wyjaśniła nieco sztywno Ky. — Ale nie jestem pewna, czy wciąż jestem Szafirową Cyklanką. A już z pewnością nie jestem Modulanką.

Machnął ręką.

— Zapomnijmy o teologii. Czy rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie jesteś sadystką. Nigdy nie widziałem, żebyś zrobiła coś okrutnego. Nie lubisz zabijać. Obserwowałem cię, kiedy nieoczekiwanie zmarł tamten szpieg. Jak dotąd, zabijałaś tylko w potrzebie, by ocalić statek i załogę.

Nie zaczniesz zabijać z innych powodów, chyba że sobie na to pozwolisz, a moim zdaniem jest to raczej mało prawdopodobne... Chyba, że uznasz to za nieuniknione.

— Chcesz powiedzieć, że bym nie martwiła się tym uczuciem przyjemności?

— Niedokładnie. Ludzie są ludźmi. Szukamy przyjemności. W obecnej sytuacji możesz często odczuwać pokusę. Musisz przyznać się do tego, przynajmniej przed samą sobą, obserwować i panować nad sobą. Ale zamierzasz toczyć wojnę. Znowu zabijesz — na tym polega wojna. I znowu poczujesz przyjemność, ponieważ tak jesteś zbudowana. Jeśli pozwolisz, by lęk przed tą przyjemnością powstrzymał cię od walki, doprowadzisz do śmierci innych ludzi. A znając ciebie, wpadniesz wtedy w studnię poczucia winy. — Przez chwilę na jego obliczu malowały się smutek i znużenie, zaraz jednak zmusił się do krzywego uśmiechu. — Jeżeli zastanawiasz się właśnie, jak powiedzieć, że nie chcesz być taka, jak ja, to wał śmiało. Wiem o tym i wiem, że taka nie będziesz. Czy to pomoże?

— Tak. — Ky czuła się równie wyżęta, jak on i wściekła na jego rodziców i terapeutę. — Wciąż nie potrafię sobie wyobrazić, jak można było powiedzieć dziecku, że jest skazane na bycie złym, podczas gdy ty uratowałeś siebie i siostrę. Powinni być z ciebie dumni. — Mówiąc to, sama zastanawiała się, czy ojciec byłby dumny z *niej*.

— Zabiłem dwóch dorosłych. — Rafe wzruszył ramionami. — Nie okazałem żalu. Potrafię zrozumieć ich punkt widzenia, choć go nie podzielam. A uczestniczył w tym bardzo drogi i ekskluzywny terapeuta, polecony przez duchowego powiernika mojej rodziny. Dopiero później dowiedziałem się, że hołdował pewnej psychologicznej metodzie, niezbyt cenionej przez resztę wszechświata. Lecz mój ojciec poprosił o najlepszego specjalistę i dostał najdroższego.

— Czy twój ojciec nadal uważa, że jesteś zły?

— Nie jestem pewny. Nie spotkaliśmy się twarzą w twarz od wielu lat, lecz praca, jaką wykonałem dla firmy, chyba złagodziła jego nastawienie. Kiedy ostatni raz rozmawialiśmy przez ansibl, powiedział, że chętnie mnie znowu zobaczy. Nie było to może zaproszenie na bankiet z pieczonym cielakiem, lecz przynajmniej nie było w tym wrogości.

— Czyli... tam właśnie się udajesz?

— Tak. — Rafe odwrócił wzrok, jakby z zakłopotaniem. — Martwię się, że pomimo takiego zamieszania nie nadali sygnału do mojego ansibla czaszkowego. Owszem, do dwustronnego połączenia potrzebne jest zewnętrzne źródło zasilania,

lecz wiedziałbym, że ogłosili alarm. Cascadia jest wystarczająco blisko domu — a ansible działają i tutaj, i tam — więc powinienem mieć jakieś wieści.

— Czekaj, mówiłeś przecież, że ansible pokładowe nie mogą podłączyć się do zwykłej sieci...

— Ale czaszkowe mogą — wyjaśnił Rafe i unióśł brwi. — Prawdę mówiąc, kapitanie, jeśli chciałabyś oszukać ISC na opłatach za ansible, to jest to całkiem proste. Mogę ci pokazać...

— Nieważne — ucięła Ky. — Nie zakładam korzystania z tego urządzenia.

— Dobry dowódca nie lekceważy żadnego źródła przewagi — oświadczył z powagą Rafe. — Ale wracając do mojego planu podróży. Mógłbym zadzwonić do domu, korzystając z łącza komercyjnego, jeśli jednak mamy kłopoty na planecie, zaalarmowałbym czarne charaktery. Zakładając, że mój ojciec jest tym dobrym, spadnę na hieny, zanim zorientują się, kto ich zaatakował. — Uśmiechnął się dziko.

— Kiedy... — Reszta:... *znowu cię zobaczę* utknęła jej w gardle. Po minie sądząc i tak usłyszał.

— Nie wiem — odparł. — Może pewnego dnia, kiedy będziesz się tego najmniej spodziewać, poczujesz zapach limonki i pomyślisz o mnie, a ja tam będę, obierając ją ze skórki. Zapewniam, że z wyłącznym zamiarem doprawienia sobie drinka.

Ky roześmiała się wbrew sobie.

— Rafe, ty zawsze masz jakieś zamiary. Kiedy wyjeżdżasz?

— Dzisiaj. Nadarzył się frachtowiec — niestety, nie Vattów — i kupiłem już bilet. Na jedno z moich podróźnych nazwisk, rzecz jasna. A teraz, jeśli chcesz, pora nauczyć cię paru sztuczek, możliwych dzięki naszej wspólnej umiejętności.

Skinęła głową. Byłoby głupotą lekceważyć przewagę. Wyobrażała sobie, co pomyśli sobie załoga o nich dwojgu, zamkniętych na tak długo w kajucie, ale nie musiała się przed nimi tłumaczyć. Nie była bardziej skłonna od Rafe'a wyjawiać istnienia technologii, która w jeszcze większym stopniu uczyniłaby z niej cel ataków. Dwie godziny później Rafe zakończył lekcję przypominając jej, że nie miała zewnętrznego gniazda, w jakie on sam był wyposażony.

— Możesz korzystać ze swojego — powiedział — ale nie jest ono przystosowane do ładunku potrzebnego ansiblowi. Co ogranicza cię do odbioru i bardzo krótkich transmisji. Zalecam korzystanie wyłącznie w sytuacjach alarmowych.

— Tak zamierzam robić — zapewniła Ky, marszcząc nos. Jej pierwsze doświadczenia z dziwnymi wrażeniami i nieprzyjemnymi zapachami skutecznie odstręczały ją od eksperymentów.

— I nie przerzucaj oprogramowania bezpośrednio z implantu do implantu, jak my to zrobiliśmy, bo przekażesz to komuś innemu.

— Tego również nie zamierzam robić.

— Czy przy okazji zapisało ci kody w implancie? Powinny znajdować się w podkatalogu ISC...

— Tak — potwierdziła Ky.

— Jesteś uczciwa i nie użyłabyś ich do darmowych połączeń, ale w razie potrzeby... Te kody zadziałają poprzez interfejs każdego ansibla. — Przeciągnął się.

— No cóż, idę sobie. Nie przypuszczam, abyś pozwoliła mi okazać szacunek i uczucia, jakie do ciebie żywię...

— Nie — odparła Ky — ale dziękuję, że zapytałeś.

— Jesteś okrutną, pozbawioną serca kobietą — oznajmił. — Lecz pewnego dnia...

— Co mówiąc, wyszedł.

Rozdział 22

Dwa dni później do Stacji Cascadii przycumował *Dar Sharry*, a kapitan Argelos zadzwonił do Ky.

— Musimy porozmawiać. Gdzie możemy się spotkać?

— Mój okręt jest zabezpieczony — odparła Ky. — Ma nową nazwę... *Awangarda*.

— Dobrze. Będę za niecałą godzinę.

Ky zamówiła napoje i wydała dyspozycje ochronie. Poleciała Martinowi wyjść po Argelosa do doku i przyprowadzić go do jej biura.

— Po odlocie pani kuzynki sytuacja na Sallyonie bardzo się pogorszyła — zaczął Argelos, zanim jeszcze usiadł. — Od czasu opuszczenia przez panią systemu, pojawiło się w nim sporo statków z Bissonetu. Frachtowce, prywatne jachty, okręt Agencji Kosmicznej Bissonetu, dwóch kaprów — każdy z wieściami gorszymi od poprzednika. — Argelos osuszył kufel. — Idioci z Sallyonu cały czas powtarzają, że nie chcą kłopotów, ale nieuzbrojone statki kupieckie zaczęły uciekać zaraz po pani i ta sytuacja trwa. Czy Konfederacja Moskiewska wie o pani pomysłach?

— Nie — odparła Ky. — Miałam tutaj inne kłopoty. Były pracownik Vattów okazał się szpiegiem Osmana i próbował podważyć moją tożsamość.

— Aha. Ale widzę, że wyjaśniła pani sprawę.

— Owszem. — Nie zamierzała zagłębiać się w szczegóły. Zostało jej jeszcze kilka spraw do wyprostowania. — Ale chcę im powiedzieć, żeby uniknąć problemów, jakie miałam na Sallyonie.

— Dobrze. Rzecz w tym, że według mnie ma pani rację. Musimy stworzyć kosmiczną flotę. Z raportu Dana jasno wynika — przepraszam, Dan Pertygrew jest kapitanem jednego z kaperskich okrętów Bissonetu, który zdołał uciec, znam go od lat — że piraci mają co najmniej sześćdziesiąt, a może i więcej jednostek. Skanery statków cywilnych w żadnym razie nie zarejestrowały ich wszystkich. Po prostu zalali obronę Bissonetu, który zakładał, że nie zaatakuje go jednocześnie więcej niż cztery do pięciu okrętów. Jak większość systemów.

— Skoro jest kaprem Bissonetu, dlaczego nie walczył? — zapytała Ky.

— Z sześćdziesięcioma okrętami, podczas gdy Bissonet miał w systemie zaledwie dziesięć jednostek? To byłoby samobójstwo. Tak czy owak, Dan zgadza się, że powinniśmy zjednoczyć siły: jak najwięcej kaprów i innych jednostek, które chciałyby się przyłączyć. Powiedziałem mu o pani, co daje nam trzy okręty...

— Rozumiem. Są inni?

— Dan mówi, że jest jeszcze jeden kaper Bissonetu, którego nigdy nie spotkałem; był już blisko punktu skoku, kiedy pojawili się piraci. To ten drugi, który przyleciał — kobieta nazwiskiem Andreson. Jest kaprem od lat i gromadzi siły, by wyzwolić Bissonet. Władze portowe Sallyonu wyrzuciły ją tak samo, jak panią.

— Przyleci tutaj?

— Nie. Zabrała dwa inne statki Bissonetu do systemu o jeden skok od Sallyonu. Mam koordynaty. Twierdzi, że jest zainteresowana rozmową z panią i połączeniem sił z każdym, kto będzie walczył z najeźdźcami. Jej zdaniem kaprzy Slotter Key byłiby cennymi sojusznikami, a pani nazwisko wywarło na niej wrażenie. Zdaje sobie sprawę, że Bissonet sam sobie nie poradzi, przynajmniej nie teraz. — Ponownie napełnił sobie kufel. — Tyle, że spodziewa się, iż to ona będzie dowodzić. Wiem, że ma pani wojskowe wykształcenie. O ile wiem, Bissonet nie zapewnia takiego przeszkolenia swoim kaprom, trudno jest więc określić, na ile faktycznie zna się na prowadzeniu działań bojowych, zwłaszcza na dowodzeniu formacjami okrętów. Mówi, że to potrafi.

— Ktoś jeszcze? — spytała Ky.

— Kapitan Zavala z Klastra Loma Linda, zarejestrowany na Ciudad — odparł Argelos. — Zna człowieka, o którym pani wspominałem, Ortiza. Jest jeszcze okręt z Urgayin, ale tego nie jestem pewny. Urgayin ma złą reputację... oczywiście, tak samo, jak my. Niemniej...

Ky zapytała implant. Vattowie nie latali na Urgayin, a jedyny zapis w implancie głosił: Niebezpieczeństwo: piraci udający kaprów.

— Poleciełi na spotkanie z Andreson?

— O ile wiem, to tak. Andreson zaproponowała miejsce spotkania; wszyscy startowali z Sallyonu w przypadkowych odstępach czasu, by uniknąć podejrzeń ze strony zarządu portu. Ja poleciałem pierwszy, żeby panią odnaleźć i sprawdzić, czy jest pani zainteresowana.

— A pan?

Zanim odpowiedział, opróżnił kufel do połowy.

— Tak... i nie. To znaczy, ma pani rację i jest ze Slotter Key. I jest pani Vattą. To wszystko ma dla mnie znaczenie. Najwyraźniej jednak potrzebujemy więcej statków i ludzi, a po awarii ansibli nie możemy skrzyknąć kaprów Slotter Key. Tyle, że nie jestem pewny tej Andreson. Będzie robić pani trudności.

— Czemu?

— Jak mówiłem, spodziewa się objąć dowództwo i uważa panią za rywalkę.

— Skoro ma większe doświadczenie...

— Jest starsza od pani i ma dłuższy staż jako kapitan i kaper. Ale kiedy zapytałem ją, czy kiedykolwiek dowodziła w starciu większą liczbą jednostek, nabzdyczyła się. Powiedziała, że wie więcej o walce w kosmosie niż jakaś niedowarzona młódka.

Ky ogarnął gniew — z trudem zachowała spokojny ton.

— Nie jestem taka niedowarzona...

— Wiem o tym. Ale jej wiek i doświadczenie... Poza tym utrzymuje, że razem z drugim statkiem zniszczyła dwie jednostki piratów w drodze z Bissonetu. — Przekrzywił głowę. — Będzie pani walczyła z nią o dowodzenie?

— Nie teraz — odrzekła Ky. — Stworzenie sojuszu międzygwiazdowego jest ważniejsze od tego, kto będzie nim dowodził. Przynajmniej porozmawiam z nią. —

Musiała od czegoś zacząć, a pięć jednostek i drażliwy dowódca to więcej niż sam Argelos.

— W takim razie zostanę z panią — oznajmił Argelos. — Im nas więcej, tym większe szanse niż działanie w pojedynkę. Nie chciałbym sam nadziać się na całą piracką flotę. — Pociągnął łyk. — Na Sallyonie wyglądało, jakby miała pani jakiś plan. Czy był to tylko młodzieńczy zapał?

— Plan zależy od środków — odparła Ky. — Muszę mieć jakieś liczby, żeby wypełnić poszczególne pola. Plan dla ośmiu okrętów jest inny niż dla osiemdziesięciu.

— Rozumiem. Niemniej... jakaś ogólna organizacja?

— Stanowczo tak — zapewniła go Ky. — Znam model Sił Kosmicznych Slotter Key. Próbowałam rozszerzyć go na większą ilość układów, ale jestem pewna, że trzeba będzie wprowadzić poprawki. Niemniej, zawsze będziemy potrzebować struktury dowodzenia i zaopatrzenia. Oraz kogoś z doświadczeniem w starciach wielu okrętów.

Uśmiechnął się.

— Miałem nadzieję, że pani to powie. Nie chodzi o to, żebym uważał to za problem Slotter Key, który wymaga rozwiązania na modłę Slotter Key, ale nie chciałbym wylądować w zbieraniu kaprów dowodzonej przez kogoś, za kim przemawia jedynie ilość przyprowadzonych ze sobą jednostek. Poza tym, jakby nie było, działam z upoważnienia Slotter Key.

— Ilu kaprów walczyło zespołowo? — zapytała Ky.

— Niewielu — odparł Argelos. — Parę razy współpracowałem z innym kaprem Slotter Key — organizowaliśmy zasadzki — to wszystko. Sergei Morales z Loma Linda opowiadał mi kiedyś o kilku wspólnych operacjach wszystkich kaprów z tamtego układu, ale było to w barze na Placitas i był wtedy bardziej niż wstawiony.

— Najlepiej byłoby pozyskać dowódcę, który brał już udział w bitwach okrętów — powiedziała Ky. — Dokładniej mówiąc: najemnika. Oni mają doświadczenie.

— Najemnicy nie współpracują z kaprami — przypomniał jej Argelos. — Przynajmniej ci dobrzy.

— To prawda — zgodziła się Ky. — Przynajmniej, niezbyt często. Ale walczą ze sobą nawzajem i wiedzą o działaniach wojennych więcej od nas. Na Akademii poznałam teorię, ale sama nigdy nie dowodziłam.

— Zaraz, zaraz — towarzyszyli pani najemnicy, kiedy przejmowała pani ten okręt, prawda?

— Nie podczas przejmowania go — sprostowała Ky. — Zajęli się sojusznikami Osmana — dwoma pozostałymi okrętami.

— Nie zdobyli tego okrętu dla pani?

— Nie. Ja... eee... zrobiłam to sama.

Spojrzał na nią z zupełnie inną miną.

— Naprawdę? Więc ta gadka o zabiciu Osmana nie była zwykłym przypadkiem? Naprawdę walczyła pani z Osmanem i zabiła go? Samodzielnie?

— Tak — potwierdziła Ky. Napięcie zabarwiło jej głos; z trudem je rozładowała. — To było... bardzo osobiste. Chciał mój statek, chciał zabić mnie. Nie dysponowałam doświadczonymi żołnierzami... Musiałam zrobić to sama. Tak, jak na Sabine. O ile słyszał pan o tym.

— Tylko pogłoski — odrzekł Argelos. — Mam nadzieję, że wybaczy mi pani, iż brałem je za zwykłe plotki. Kobieta w pani wieku... nie wygląda pani...

— Nauka w Akademii — przypomniała mu.

— Tak, ale... proszę o wybaczenie, ale czy pani nie przejęła się tym?

— Oczywiście, że tak! — Ky spojrzała mu w oczy. — Zwymiotowałam i rozplakałam się. Ale trzeba było to zrobić.

Argelos poruszył się na krześle.

— Tak. Cóż. Wygląda pani... tak młodo, a Vattowie nie słyną z żołnierzy. Chyba powinienem był wiedzieć. Kiedy mówiła pani o połączeniu sił kaprów, założyłem... zresztą, nieważne. Najwidoczniej jest pani twardsza, niż na to wygląda. Jak pani widzi organizację?

— Tak — odrzekła Ky, otwierając pliki, nad którymi pracowała. — W pierwszej fazie nie oczekuję szczególnego — o ile jakiegokolwiek — wsparcia ze strony rządów poszczególnych układów. Miałam nadzieję, że będzie inaczej, ale Sallyon pokazał, że większość władz nie odpowie zbyt prędko. Wobec czego sami musimy zadbać o zapasy i wsparcie. Wtedy właśnie zaczęłam zastanawiać się nad wsparciem ze strony doświadczonych najemników.

Przyjrzał się wykresom, a potem jej.

— Pani to naprawdę przemyślała. Powinien to zobaczyć mój doradca z Sił Kosmicznych. Pozwoli mu pani?

— Tylko wówczas, gdy zobowiąże się do zachowania tajemnicy — odparła. — Wciąż zastanawiam się, czy to aby nie on doniósł władzom Sallyonu o naszych dyskusjach o wspólnych operacjach.

— To możliwe — zgodził się Argelos. Ponownie przyjrzał się tabelom. — Widzę, że w części pól brakuje danych.

— Nie znam uzbrojenia piratów. A pan?

— Częściowo tak.

— Dobrze. Pomoże mi pan wypełnić puste miejsca. — Podniosła wzrok i zauważyła niepokój Argelosa. — Mówił pan, że jest ze mną — dodała. — W czym problem?

— W moim doradcy. Uważa, że powinniśmy wracać prosto na Slotter Key.

— Co pan robi, jeżeli doradca się sprzeciwi?

— Nie wiem. Jak mówiłem, jest młody. Nie przeciwstawiłbym się radzie Bermiana — mojego poprzedniego doradcy — ale tego nie jestem taki pewny. Jeżeli wysunie słuszne obiekcje, to... — Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

— Jeżeli nie jest pan ze mną — z nami — nie będę mogła przekazać panu więcej posiadanych przeze mnie informacji — oznajmiła Ky.

Przez dłuższą chwilę w milczeniu mierzył ją wzrokiem. Wreszcie skinął głową.

— Jestem z panią. Przynajmniej, jeśli chodzi o nawiązywanie kontaktu z innymi kaprami i formowanie wspólnych sił bojowych. Uważam, że powinna pani zastanowić się nad współpracą z kaprami Bissonetu. Dan jest godny zaufania — jak mówiłem, znam go od lat. Jeżeli uznamy sprawę za nieopłacalną, zawsze możemy odlecieć.

— Gdzie znajduje się miejsce spotkania?

— To Drogi Corsona; małe miejsce ze stacją naprawczą z dawnych czasów, gdy silniki nadprzestrzenne trzeba było znacznie częściej dostrajać. Obaj byliśmy tam wcześniej. Przyprowdzi ze sobą innych Bissonetczyków, o ile pojawią się na Sallyonie.

— Jak to daleko?

— Również jeden skok stąd. Relatywnie blisko do Sallyonu, Cascadii, Bissonetu i Bernhardta.

— Piraci nie będą chcieli go zająć?

— Możliwe, lecz tamtejsza gospodarka podupadła, odkąd pałeczkę przejęli długodystansowi przewoźnicy. Nie ma czego rabować.

Ky zastanawiała się. Kaprzy Bissonetu byli osobiście zainteresowani pokonaniem piratów i z radością powitają każde wsparcie, lecz z tych samych przyczyn mogą walczyć tylko dla swojej planety, a nie dla wspólnego dobra.

— Polecę tam — oznajmiła. — Proszę opowiedzieć mi więcej o ludziach, których tam spotkamy.

Podczas podróży do Drog Corsona zarządziła częstsze ćwiczenia z bronią. Nie traciła czasu na wynurzanie się z nadprzestrzeni i rozwalanie asteroid, jak czynili podczas poprzedniego lotu, za to do spółki z nowym oficerem uzbrojenia ułożyła scenariusze, zmuszające obsady baterii do ćwiczenia ładowania różnych rodzajów amunicji i reagowania na sytuacje alarmowe. Jessy wykazał się złośliwą kreatywnością w tworzeniu takich zadań. Podczas jednego z obchodów Ky podsłuchiwała komentarze załogi baterii w przedziale serwisowym.

— Ćwiczenia za ćwiczeniami — skarżył się Graydon z baterii numer trzy.

— To lepsze niż bezczynność — odpowiedział mu Jon Gannett.

— Nie mówię, że nie. Ale założę się, że jesteśmy sprawniejsi od każdej z tamtych załóg.

— Musimy być sprawniejsi od piratów — stwierdził Pod Gannett. — Na Cascadii rozmawiałem z pierwszym artylerzystą Argelosa. Mają ćwiczenia co dziesięć dni i to zapowiedziane.

— Nasza kapitan jest mądrzejsza — powiedział Graydon. — Nie mogę powiedzieć, że bym przepadał za zamieszaniem podczas własnej wachty, ale przynajmniej czuję się tutaj jak na prawdziwym okręcie bojowym. Może jest młoda, ale uważam, że wie, co robi.

Ky cofnęła się o dwadzieścia kroków i celowo narobiła hałasu. Kiedy weszła do przedziału, cała piątka pochylała się nad pociskiem, ewidentnie kalibrując komputer celowniczy.

— Dobrze wyszły te ostatnie ćwiczenia — pochwaliła ich. W rzeczywistości o dziesięć procent przekroczyli zadane parametry.

— Dziękujemy, kapitanie — odpowiedział Jon Gannett.

Kilka dni później wynurzyli się w systemie Drogi Corsona. Tutejsze ansible nie działały, a latarnie Kontroli Lotów uruchamiały się jedynie na żądanie przylatujących statków. Do stacji cumowało zaledwie osiem jednostek: trzy zarejestrowane na Bissonecie, jeden z Ciudad, jeden z Urgayin oraz dwa ze Slotter Key i jeden niewielki frachtowiec wewnątrzukładowy. Sama stacja wyglądała na spłowiełe i podupadłe centrum handlowe. Doki naprawcze z olbrzymimi żurawiami i urządzeniami stały puste i nieoświetlone, widoczne jedynie dla skanerów. W niewielkim, jak sama stacja, pasażu handlowym było zbyt wiele pozamykanych stoisk, a za mało przechodniów, z których większość miała skwaszone miny. Nie było tutaj filii Gildii Kapitańskiej ani Crown&Spears, choć nad jednym z zamkniętych miejsc Ky dostrzegła ślad po ich logo z lepszych dni. Całe to miejsce niepokoiło ją. Skanery nie wykryły tajemniczych jednostek w przestrzeni, ale co podtrzymywało tutejszą gospodarkę, jeśli nie nielegalny handel?

Dzięki swoim znajomościom Argelos zorganizował spotkanie w najlepszej lokalnej restauracji. Ky zostawiła ochronę przy wejściu — już wcześniej zobaczyła, że pomieszczenie było puste, z wyjątkiem tych, z którymi przybyła się spotkać, a znacznie bardziej martwili ją przestępcy na zewnątrz.

Troje kapitanów z Bissonetu siedziało po jednej stronie stołu, niczym oficerowie na sądzie wojennym — celowe usadowienie mające ją zastraszyć. Wstali, kiedy Ky się zbliżyła. Wszyscy nosili szare tuniki i niebieskie spodnie wpuszczone w buty z niskimi cholewkami. Wszyscy mieli długie włosy na modłę Bissonetu: kobieta upięte wysoko, a mężczyźni luźno rozpuszczone, przerzucone przez ramię i związane tasiemkami w ojczystych, szaroniebieskich barwach.

Kobieta o orlich rysach twarzy, opisana jej przez Argelosa jako Petrea Andreson, stała pomiędzy dwoma mężczyznami — włosy miała tak jasne, że Ky nie potrafiła określić, czy zaczęły już siwieć, czy nie. Kościstą twarz szpeciła blizna, której nie kazała sobie usunąć. Ky zastanawiała się, dlaczego. Rozpoznała pospolitą twarz Dana Pettygrew, którego widziała podczas wideokonferencji na Sallyonie. Drugiego mężczyznę, Simona Battersea, kapitana najmniejszej z jednostek Bissonetu, wyróżniała filmowa wręcz uroda, gęsta grzywa złocisto rudych włosów, splecionych w luźny warkocz oraz intensywnie ciemne oczy.

— Pani jest kapitanem Kylarą Vattą? — zapytała Andreson, unosząc bladą brew.

— Owszem, jestem Ky Vatta — przytaknęła Ky. Z pewnością rozpoznali ją dzięki zdjęciu, które im wcześniej przesłała.

— Usiądźmy — zaproponowała Andreson. Zajęli miejsca. Ky wślizgnęła się na fotel naprzeciwko nich.

— Przykro mi z powodu pani straty — odezwała się Andreson. — Słyszeliśmy o pani rodzinie.

— Dziękuję — odparła Ky, zaskoczona tymi wyrazami współczucia.

— Jak rozumiem, chce pani sojuszu z nami — kontynuowała Andreson.

— Nawet więcej — odrzekła Ky. Przez głowę przeleciały jej wielokrotnie powtarzane argumenty. — Uważam, że my — kaprzy lojalni wobec naszych rządów — musimy utworzyć kosmiczną flotę, by zwalczyć to nowe zagrożenie...

— Tak, tak — rzuciła Andreson, przerywając jej machnięciem dłoni. — Wszystko to rozumiem. Ale, jak na razie, nie ma żadnej kosmicznej floty, a pani potrzebuje sojuszników, by takową zbudować, prawda?

— Zgadza się. — Argelos mówił, że Andreson jest bezpośrednia i bezczelna. Właśnie to udowodniła.

— Czemu uważa się pani za osobę, która powinna tego dokonać? — zapytała Andreson. — A nie ktoś o, na przykład, udokumentowanym doświadczeniu bojowym?

— Ja to wymyśliłam — odrzekła Ky. — A co do doświadczenia, to brałam udział w paru walkach...

— Parę walk. — Ton Andreson był równie lekceważący, jak jej wcześniejsze machanie ręką. — To lepsze, niż nic, ale nam nie wystarczy, kapitanie Vatta. Wiem, że studiowała pani na Akademii Sił Kosmicznych Slotter Key, nie mam jednak pojęcia, jak dobra jest wasza flota — czy przeszkolenie wojskowe dorównuje temu na Bissonecie — poza tym, nie ukończyła jej pani. Nie mogę powiedzieć, że rodzi to we mnie zaufanie i wątplię, aby zachęciło innych do podążenia za panią.

— Pani propozycja? — zapytała Ky, splatając dłonie. Miała nadzieję, że w oczach nie było widać odczuwanej przez nią złości.

— Pragniemy zaatakować wroga, który napadł na Bissonet. Zgadzam się, że nie zadowolą się tą zdobyczą i musimy połączyć siły, aby ich pokonać, choć obawiam się, że nie wystarczą do tego nawet wszyscy ocalali kaprzy Bissonetu i Slotter Key. Lecz pani, kapitanie Vatta, jest zbyt młoda i niedoświadczona, by utrzymać taki sojusz. Tutaj potrzeba kogoś dojrzałego, z wieloletnim doświadczeniem w dowodzeniu w przestrzeni kosmicznej. Mam nadzieję, że pani to rozumie.

Gdyby doszło do głosowania, Andreson miała za sobą kilka głosów. Zawsze mogła zabrać swoje okręty i polecieć gdzie indziej. Ky spróbowała tonu, łączącego rozsądek ze zdecydowaniem.

— Moim celem jest pokonanie nieprzyjaciela i uczynienie przestrzeni na powrót bezpieczną dla handlu — oświadczyła. — Mam nadzieję, że taki jest cel pozostałych. Andreson odprężyła się lekko.

— To również mój cel, choć dopisałabym uwolnienie Bissonetu z rąk najeźdźców. Ale pochodzi pani z rodziny kupców: jakich korzyści oczekują Vattowie? Nie zamierzam narażać moich okrętów, by pomóc w odbudowie fortuny pani rodu. — Zerknęła szybko na Simona Battersea.

— Mam nadzieję, że Vattowie rozkwitną w bezpiecznym dla handlu otoczeniu, jak każda inna kompania handlowa — odparła Ky. — Obecnie cały handel — i wszystkie legalne rządy — są zagrożone.

— Oto moja propozycja — oznajmiła Andreson. — Pani pomysł z pewnością jest racjonalny, choć nie pani pierwsza na niego wpadła. Ale nie oddam się pod pani komendę, moi kapitanowie także nie. Przywykliśmy do wspólnych działań... —

Pettygrew poruszył się, lecz nic nie powiedział. — Mam niemal trzydziestoletnie doświadczenie w dowodzeniu w kosmosie i choć w tym czasie nie przeprowadzaliśmy żadnych operacji całą flotą, to dowodziłam w starciach między kilkoma jednostkami. Jeżeli chce pani do nas dołączyć, to z radością przyjmę pomoc, ale oczekuję wykonywania rozkazów z taką samą dyscypliną, jaką okazałaby pani waszemu planetarnemu wojsku.

Choć już wcześniej postanowiła zrzec się dowodzenia, Ky poczuła ukłucie. Spodobała się jej bezpośredniość Andreson — pobrzmiewała w niej uczciwość. Kobieta była prawdopodobnie kompetentnym dowódcą. Samo przetrwanie tyle czasu jako kaper o czymś świadczyło. Niemniej... Nie podobała się jej wizja przyjmowania rozkazów od kogoś, kogo niemal nie znała.

— Zakładam, że Argelos zrobi to, co pani postanowi — ciągnęła Andreson. — Jeżeli potrafi pani dowodzić, będzie wykonywał pani rozkazy. Mamy jeszcze dwóch innych, którzy być może do nas dołączą: gościa z Ciudad i Ernsta Muirtagha z Urganin. To dałoby nam siedem okrętów. Wystarczająco dużo do ćwiczenia wspólnych manewrów, poza tym, byłoby już czym się pochwalić i zachęcić innych do dołączenia się.

— Czy zastanawialiście się nad rozmowami z jakąś dobrą kompanią najemniczą? — zapytała Ky. — Mają zasoby, których brakuje naszej siódemce.

— Najemnicy! — prychnęła Andreson. — Gdyby nawet istnieli „dobrzy” najemnicy, pozostawaliby poza naszym zasięgiem finansowym. Chyba, że pani ich opłaci.

— Nie pozwolę żadnemu najemnikowi mówić mi, co mam robić — wtrącił Simon Battersea, energicznie potrząsając głową. — Jestem patriotą, a nie pistoletem do wynajęcia.

— Wystarczy, Simonie — rzuciła Andreson. Znowu to szybkie zerknięcie. — Jestem pewna, że kapitan Vatta myślała o własnych zasobach. Nie uważam jednak, aby byli potrzebni, za to stworzyliby zagrożenie dla naszego bezpieczeństwa. Tych, którzy walczą dla każdego, można łatwo przekupić.

Ky nie potrafiła wyobrazić sobie przekupywania dowódców Mackensee — nie byłoby to łatwe — uświadomiła sobie jednak, że nie przekona Andreson.

— Pani zdaniem, ilu okrętów potrzebujemy? — zapytała w zamian.

— Nie przewiduję, aby latali w większych grupach, chyba że celem zaatakowania kolejnego układu planetarnego — odparła Andreson. — Trzy, cztery, może pięć jednostek. Nie mogą być silni wszędzie, a jak długo nie działają ansible, ich rozproszone siły nie są w stanie komunikować się ze sobą.

— Chyba nie zdaje pani sobie sprawy z tego, że dysponują ansiblami pokładowymi.

— Nie ma czegoś takiego — oznajmiła Andreson.

— Jest — powiedziała Ky. — Znalazłam je na okręcie Osmana. Dzięki nim koordynują ataki.

— Ale... ISC zawsze twierdziło, że to niemożliwe... — Znowu Battersea.

Ky zastanawiała się, jakie relacje łączą go z Andreson.

— ISC twierdziło też, iż niemożliwe jest unieruchomienie ansibli w całym systemie. Mówię wam... Kiedy zdobyłam okręt Osmana, znalazłam je razem z instrukcjami montażu i użytkowania.

— I ma je pani... Ile? — Simon Battersea pochylił się naprzód.

— Co najmniej tyle, żeby wyposażyć taką liczbę okrętów. A oni nie wiedzą, że je mamy.

— Ma pani ich kody? — zapytała Andreson.

— Nie. Impuls elektromagnetyczny, którym wyłączyłam systemy okrętu Osmana... to dość skomplikowane. Kiedy indziej opowiem wam o tej bitwie ... wykasował kody z urządzenia zamontowanego na pokładzie. Zaś do tych niezainstalowanych jeszcze nie wprowadzono kodów. O ile zrozumiałam instrukcję, są one inicjowane z chipu okrętowego i nadają, korzystając z kodów chipów identyfikacyjnych. Nie współdziałają z ansiblami układowymi...

— Skąd pani wie?

— Z instrukcji — odparła Ky. — Sama tego nie rozumiem — może dlatego, że nie mają autoryzacji ISC. — Nie chciała mówić im o Rafie.

— Twierdzi więc pani, że może nam udostępnić natychmiastową łączność między okrętami, niezależną od uszkodzonych ansibli? — Andreson przyglądała się jej z powątpiewaniem.

— Tak. Działającą także w systemach, gdzie nie ma stacji ansiblowych.

— Co chce pani w zamian? Nie żąda pani dowództwa jako ceny za tę możliwość?

Ky pokręciła głową.

— Bardziej zależy mi na osiągnięciu sukcesu, niż na tym, kto dowodzi. To powinno dać nam równe szanse, przynajmniej w zakresie łączności.

Battersea prychnął, lecz Andreson skinęła głową.

— Doceniam to, kapitanie Vatta. Myślę, że źle panią zrozumiałam. Postaram się zasłużyć na pani zaufanie.

— Martwi mnie, że to miejsce nie jest bezpieczne — wyznała Ky.

— Całkiem słusznie. Poważne narady kapitańskie będziemy odbywać na pokładzie mojego okrętu. Pozna tam pani innych kapitanów. — Zerknęła szybko na towarzyszy. — Myślę, że powinniśmy coś zjeść. To zupełnie normalne. Jadaliśmy już tutaj, kapitanie Vatta. Polecam pieczoną rybę. A jeżeli nie lubi pani ryb, to jagnięcinę curry.

Ky wystukała zamówienie, Bissonetczycy również. Oczekując na posiłek, zauważyła:

— Uderzyło mnie, że chcieliście omówić sprawę przed jedzeniem. Na moim świecie rozmowy o interesach prowadzimy po posiłku.

— Och... — Kapitan Andreson uśmiechnęła się lekko. — Na Bissonecie nie chcemy dzielić się pokarmem z tymi, którym nie ufamy, najpierw więc rozmawiamy o interesach. Po wspólnym posiłku odmowa byłaby niemal niemożliwa. Czy wśród pani rodaków dzielenie się jedzeniem nie tworzy wzajemnego zobowiązania?

— Nie do tego stopnia, żeby decydowało to o interesach — odrzekła Ky. Nigdy nie zastanawiała się nad rezultatami biznesowego lunchu. — Zwykle posiłek wprawia

ludzi w lepszy nastrój, to wszystko. — Przypomniała sobie zasady doktryny Szafirowych Cyklan... na przykład o zobowiązaniu gospodarza wobec gościa. Czy można byłoby ją zastosować? Czy tak postępował jej ojciec? Poczowała lekkie ukłucie winy, że nie przywiązywała do tego odpowiedniej wagi. — Według mnie — dodała — nie zakłócanie innym trawienia postrzegane jest jako przejaw grzeczności.

Cała trójka spojrziała na nią z minami, które wprawiły ją w lekki niepokój.

— Przedkładacie trawienie nad etykę w biznesie? — zapytał w końcu Battersea.

— Nie zamiast, lecz jako dodatek — wyjaśniła Ky. Widziała, że ich nie przekonała.

— Simonie — odezwała się Andreson, tym razem nie patrząc na niego.

Wzruszył ramionami. Ky uświadomiła sobie, że przypominał jej nieco Rafe'a, tyle że bez trudnych doświadczeń tamtego.

Napięta cisza trwała aż do podania posiłku.

— Co pani myśli? — zapytał Martin po powrocie Ky na okręt.

— Sama nie wiem — odparła. Próbowwała uporządkować wrażenia, lecz nadal były zagmatwane. — Współdziałali już wcześniej — to zaleta. Z pewnością mają większe doświadczenie ode mnie.

— Tylko czy jest to odpowiednie doświadczenie?

— Nie wiem. — Ky przeczesła włosy rękoma. — Mam nadzieję, ponieważ nie ma szansy, żeby eskadra z Bissonetu zgodziła się na innego dowódcę. Problem w tym, że nie mamy nikogo, kto choćby utrzymywał, że ma doświadczenie w starciach z udziałem wielu jednostek. Moi instruktorzy twierdzili, że różnica pomiędzy starciem jeden na jednego a potyczką niewielkich grup okrętów jest większa niż pomiędzy niewielkimi a dużymi zgrupowaniami, liczonymi w tuzinach jednostek. Nie widzę sposobu, w jaki mogłabym przeciwstawić moją wiedzę teoretyczną jej doświadczeniu praktycznemu, przynajmniej dopóki nie przekonam się, jak organizuje ćwiczenia. Ty możesz tak woleć, lecz reszta kapitanów nie, a ja nie poznałam jeszcze pozostałych. — Kolejny problem: wolałaby spotkać się z innymi przed wspólną naradą, lecz była pewna, że Andreson sprzeciwi się temu. — Jutro rano spotkam się z Andreson — to ich dowódca — na jej okręcie. Dowiem się więcej i poznam pozostałych kapitanów. Po tym spotkaniu zwołam naradę z naszymi oficerami.

— Jakie są pani kryteria, kapitanie?

Kolejny problem. Nie wiedziała, jak ocenić kompetencje kogoś o tyle starszego od niej, kto utrzymywał, że miał doświadczenie, którego jej brakowało.

— To musi mieć sens — powiedziała w końcu. — Gdyby chciała ruszyć do boju bez wspólnych manewrów — nie udałoby się. Chcę poznać plan, po pierwsze ćwiczeń, po drugie ewentualnego starcia.

Andreson miała plan i przedstawiła go. Odlecą z Drog Corsona i po wykonaniu dwóch skoków wynurzą się w niezamieszkałym systemie — poda koordynaty —

gdzie będą ćwiczyć manewrowanie i strzelanie, dopóki nie przekonają jej, że są w stanie razem walczyć.

— Ile to potrwa, pani zdaniem? — zapytał Isak Zavala z Ciudad, kapitan *Dony Florenzii*. Falujące, rude włosy związał czarną wstążką. Siedział sztywno wyprostowany w mundurze z wysokim kołnierzem. Uwagę Ky zwrócił jego formalny ton i specyficzny akcent.

— Nie potrafię powiedzieć, zanim nie ocenię sprawności pańskiego okrętu i obsad uzbrojenia — odrzekła Andreson. — Nie możemy zaatakować bez wspólnych ćwiczeń. — Brzmiało sensownie, lecz coś w jej głosie sugerowało, że uraziło ją pytanie Zavali.

Pytający zacisnął usta, lecz zmilczał. Rękę podniósł Ernst Muirtagh, kapitan *Belcanto* z Urgayin; Andreson skinęła mu głową.

— Chcę wiedzieć, jak będziemy finansować tę operację — oznajmił. — Kto zapłaci za amunicję, paliwo, zapasy? Jeżeli mamy utrzymywać się sami, to musimy poświęcić część czasu na handel... albo zdobywanie soczystych przyzów — dodał z porozumiewawczym uśmiechem.

— Tutaj nie chodzi o zyski — powiedział Zavala. — Tu chodzi o coś więcej...

— Zawsze chodzi o zyski, w taki czy inny sposób — przerwał mu Muirtagh. — A ja z pewnością nie mam tyle pieniędzy, by toczyć wojnę bez wsparcia.

— Panowie — przemówiła Andreson tonem, który natychmiast ich usadził. — To rozsądne pytanie. Mamy nadzieję, że rządy planet, które poczują się zagrożone, wkrótce wesprą nas finansowo, prawdą jest jednak, iż na razie musimy czerpać z własnych kieszeni. Wiem, że jeśli tylko wyzwolimy Bissonet, rząd nas wynagrodzi...

— Nie ma na to szans, jak długo mamy siedem okrętów, prawda? — Muirtagh odchylił się na krześle. — Nie mogę pozwolić sobie na zbyt długie utrzymywanie okrętu obietnicami. Przypuszczam, że to właśnie miał na myśli Zavala, pytając o długość manewrów.

— Wcale nie — zaperzył się Zavala. — Ja tylko...

Muirtagh machnął ręką.

— Nieważne. Rzecz w tym, że jeśli któreś z nas nie jest bardzo bogate — potoczył wzrokiem po twarzach zgromadzonych — musimy mieć jakieś źródło finansowania. Załóżmy, że pokonamy jakąś niewielką grupę piratów — jak będziemy dzielić przyz?

— Są ważniejsze kwestie... — zaczęła Andreson, lecz Muirtagh nie dał jej dokończyć.

— Nie wydaje mi się — oświadczył. — Przynajmniej, jeśli chcemy zachować odpowiednią sprawność. Nie widzę przyczyn, dla których omówienie tego byłoby niewłaściwe i proponuję dzielenie zdobyczy na dziewięć części: po jednej dla każdego, dodatkowa część dla dowódcy, a dziewiąta część dla tego okrętu, który najbardziej wykazał się w walce, co byłoby określane poprzez głosowanie.

Andreson poczerwieniała, lecz słysząc propozycję zaraz się uspokoiła.

— Brzmi rozsądnie — uznała.

— Tak właśnie myślałem, bo to pani jest naszym dowódcą — zauważył z uśmiechem Muirtagh.

— Zostawię mój dodatkowy udział na nieoczekiwane wydatki, dotyczące całej grupy — oznajmiła Andreson. — Tak, jak kapitanowi Zavali, nie chodzi mi o zysk. Podbito moją ojczyznę.

Muirtagh skinął głową.

— Zgadzą się. Gdzie zaczniemy manewry?

— Tutaj. — Andreson przekazała im chip nawigacyjny. — Są na nim koordynaty. Tak się składa, że znam ten system — jest niezamieszkały, nie ma tam ansibli, ani nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę. Dwa skoki stąd. Spotkamy się przy największej planecie — dane są na chipie.

— Kiedy zaczynamy?

— Jak tylko wszyscy tam doleczą — odparła Andreson. — Odlecimy stąd, gdy kapitan Vatta zainstaluje nasz nowy system łączności.

Wszyscy obejrżeli się na Ky.

— Jaki system łączności? — zapytał Zavala.

Ky wolałaby, żeby Andreson powiedziała im dopiero po doleczeniu na miejsce ćwiczeń. Ale faktycznie lepiej było zrobić to tutaj, gdzie będzie znacznie łatwiej przenieść ansible z jej okrętu na ich.

— Ansible pokładowe — wyjaśniła. — Posługują się nimi piraci; miał je Osman. Zaoferowałam się dostarczyć wam po jednej sztuce.

— Ile będą nas kosztować? — zapytał Muirtagh.

— Nic — odrzekła Ky.

— Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje — powiedział Zavala.

— Są rozmiarów małej konsoli skanerów — ciągnęła Ky. — Musicie przygotować dla nich miejsce — sugeruję na lub w pobliżu mostka — oraz zasilanie. Moi inżynierowie mają dokładne wymiary i zainstalują je u was.

Rozdział 23

To wirujący klaster — zauważył Martin, obserwując odczyty skanerów. Ky ustawiła okręt zgodnie z instrukcją, lecz *Dona Florenzia*, zamiast znajdować się dwadzieścia tysięcy kilometrów bezpośrednio przed nią, schowała się za *Kornetem* po prawej. *Dar Sharry* leciał po właściwej stronie formacji, tyle że trzy tysiące kilometrów poza wyznaczonym punktem.

— Niemniej, trafiliśmy w punkt — oznajmiła Ky. — Dobra robota, Lee.

— Jaki jest cel takiej formacji? — zapytał Lee, nie odrywając oczu od konsoli. — Wygląda na idealną do zniszczenia nas wszystkich jednym strzałem. Zakładając, rzecz jasna, że osiągniemy wyznaczone pozycje...

— Pozwala wszystkim ostrzeliwać cel na wprost bez obawy, że trafimy któregoś z naszych — wyjaśniła Ky. — Z wyjątkiem *Damy*, która strzeże naszych pleców.

— Jednym małym laserem?

— I pociskami — uzupełniła Ky. — Może również postawić pole minowe, by nas zasłonić.

— Uważa więc pani, że szyk jest dobry?

Ky wzruszyła ramionami.

— Sama raczej bym go nie wybrała, ale jest dobry do ćwiczeń i manewrowania w formacji. Nie ma co zabierać się za trudniejsze konfiguracje, skoro ludzie nie są w stanie zająć pozycji w tym szyku. Przynajmniej wszyscy jesteśmy zwrócenii w tę samą stronę.

— Och, do licha — mruknął Lee. *Dona Florenzia* musiała zauważyć, że leci za niewłaściwym okrętem i spróbowała szybkiego manewru, zamiast właściwego. Teraz wysuwała się na czoło formacji, zbliżając się do *Awangardy*. — Zamierzam zmienić pozycję, kapitanie.

— Zamelduję kap... admirał Andreson. — Ky uruchomiła ansibl pokładowy. Nie miała na to ochoty. Jak dotąd, Andreson uznawała obranie jej na admirała za dowód swej boskości.

— Łączność *Kwiatu* — odezwał się głos.

— Tutaj kapitan Vatta z *Awangardy* — powiedziała Ky. — *Dona Florenzia* opuściła pozycję i zbliża się do nas. Zamierzam przesunąć *Awangardę*.

— Utrzymać pozycję — nakazała Andreson. — Kazałam *Damie* powrócić na wyznaczone miejsce; ona tylko manewruje.

— Nasze skanery wykazują zagrożenie kolizją.

— Nonsens. Macie tam mnóstwo miejsca, Gdyby była pani bardziej doświadczona...

— Lee, przyspiesz trochę. Tylko tyle, ile potrzebujemy.

— Tak jest, kapitanie.

— *Awangarda* przyspiesza — zameldowała Ky.

— Kazałam pani utrzymać pozycję! — zawołała Andreson. — To poważna niesubordynacja.

— Lepsza od zderzenia — stwierdziła Ky. — Proszę wykreślić kursy na skanerze. Ja to zrobiłam.

— Pani... och. — Skanery pokazywały, że *Dona Florenzia* przeleciałaby dokładnie przez punkt, w którym byłaby Ky. — Mimo to, trzeba było zaczekać na moją zgodę...

— Admirale, cięży na pani wielka odpowiedzialność. Sugeruję, aby kapitanowie obserwowali otoczenie i w razie potrzeby mieli prawo dokonywać niezbędnych korekt. Jak tylko będziemy mogli, zajmiemy wyznaczoną nam pozycję. — Wyobrażała sobie, jak Andreson mruży oczy i podejrzliwie ściąga usta.

— Dużo pani na siebie bierze, kapitanie Vatta — oznajmiła w końcu Andreson. — Ale nie należę do osób, dyskutujących z kimś, kto ma rację, choćby wyrażał ją tak... niestosownie. Wszak pochodzimy z różnych kultur. Może w waszej młodszy tak łatwo przeciwstawiają się starszym.

Wybraliśmy cię, ty kretynko. Dla twoich trzech okrętów, a nie mózgu. Ky wiedziała, że nie może tego powiedzieć.

— Przepraszam, jeśli panią obraziłam, admirale — oznajmiła w zamian. — To fakt, że na Slotter Key robimy pewne rzeczy inaczej. — A jeśli Bissonet broniony był przez ludzi jej pokroju, to nie dziwota, że piraci wybrali go sobie na pierwszy cel.

Mijał szósty dzień ćwiczeń, wykonywanych przez sześć jednostek. Muirtagh nie przyleciał. Andreson była przekonana, że błędnie wyznaczył kurs, lecz Ky martwiła się, iż mógł być wtyczką piratów. W takim przypadku korsarze wiedzieli już, że nie tylko oni dysponowali ansiblami pokładowymi. Andreson skwitowała zagrożenie wzruszeniem ramion.

— Może uznał przedsięwzięcie za zbyt mało zyskowe — skomentowała. — Nie ma podstaw do przypuszczeń, że nas sprzedał.

Nie było również podstaw do uważania, że tego nie zrobił. Argelos powiedział jej, że jego doradca również był tym zaniepokojony, lecz nie na tyle, by spierać się z Andreson.

Manewry trwały do końca dnia. Samo ustawienie okrętów w prostym szyku zabrało wiele godzin, a próby manewrowania całą formacją co i rusz prowadziły do kolejnych wirujących klastrów, jak nazywał je Martin. Kiedy pod koniec dnia Andreson zarządziła telekonferencję z udziałem kapitanów, wszyscy byli źli i gderliwi. Zjadliwa analiza Andreson, choć słuszna, nie poprawiła atmosfery.

Okazało się, że Zavała, którego błędy doprowadziły do pierwszego zamieszania, niezbyt dobrze znał język, będący zdaniem Ky powszechnie używaną mową astronautów, zaś większość jego załogi rozumiała jedynie podstawowe komendy. Pomylił jednostkę, za którą miał lecieć i twierdził, że rozkaz admirała skorygowania pozycji zmusił go do większego przyspieszenia, niż sam zamierzał.

— To śmieszne — rzucił Simon Battersea. Jego *Kornet* zajął trzecią lokatę w ułożonym przez Andreson rankingu najlepiej manewrujących jednostek. Sobie przydzieliła pierwszą pozycję, a Ky drugą. — Rozkazy były doskonale jasne: lecieć za okrętem Vatty...

— Nie było ani słowa o Vatie — zaprzeczył Zavała. Lodowato błękitne oczy błysnęły gniewnie spod ciemnych brwi. — Mam tutaj rozkaz. Mówi on: „ustawić się

w linii za okrętem flagowym i kolejnym okrętem w odległości trzech tysięcy kilometrów". Z mojej pozycji patrząc, to pański okręt znajdował się bezpośrednio za flagowym.

— Nie chodziło o pozycję początkową — oponował Simon. — Co było jasne dla wszystkich innych...

— Simonie — odezwała się Andreson. Usiadł, mocno zaciskając usta. Zdawała się zwracać do Zavali, choć patrząc na ekran, ukazujący wszystkich uczestników konferencji, Ky nie była w stanie stwierdzić, gdzie dokładnie patrzyła. — Przykro mi, kapitanie Zavała, że moje rozkazy były niejasne. Oczywiście, miałam na myśli linię równoległą do naszego kursu. Jak rozumiem, muszę być bardziej precyzyjna. — Uprzejme słowa wypowiedziała tonem zbliżonym do Simona i sugerującym, że Zavała musiał być prawdziwym głupkiem, skoro nie pojął jej intencji. Błada twarz Zavali poczerwieniała.

— Jak rozumiem, przeprowadzona przez pana korekta również była próbą wykonania moich rozkazów, choć zmusiła kapitan Vattę do przyspieszenia i opuszczenia idealnie zajmowanej pozycji. Dołożę starań, aby w przyszłości moje rozkazy były nad wyraz dokładne — obiecała Andreson.

— Dobrze by było — mruknął Zavała. Oblicze utraciło rumieńce, lecz blade linie wokół ust wiele Ky mówiły. Nadal był wściekły.

— Jutro nauczymy się tej formacji — oznajmiła Andreson. Na centralnym oknie pojawiła się grafika. — Może ściślejszy szyk zapobiegnie zamieszaniu.

Ky otworzyła usta i zaraz je zamknęła. Manewry w ścisłym szyku były zalecane przez Siły Kosmiczne dopiero po opanowaniu utrzymywania przez jednostki pozycji w luźniejszych — i bezpieczniejszych — formacjach.

— Chciała pani coś powiedzieć, kapitanie Vatta? — zapytała Andreson.

— Moja załoga skorzystałaby bardziej na ćwiczeniach w luźnej formacji, admirale — odparła Ky.

— Pani załoga spisała się nadzwyczaj dobrze — pochwaliła Andreson. — Nie potrzebujecie ćwiczeń i prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, aby dalsze manewry pomogły pozostałym. Ścisły szyk wymusi dokładną realizację precyzyjnych rozkazów. Przećwiczmy tę formację i to w odstępach jednego kilometra.

Co oznaczało, że okręt, który popełni błąd, prawdopodobnie zderzy się i uszkodzi lub zniszczy inną jednostkę.

— To za blisko — odezwał się Argelos. — Zgodnie z pani wykresami w pewnych momentach znajdowaliśmy się ponad kilometr od wyznaczonej pozycji.

Usta Andreson rozciągnęły się w drapieżnym uśmiechu.

— Wobec czego oczekuję od wszystkich, że będziecie bardziej uważni. Niezdarni nie pokonamy piratów Gammisa Turka, doświadczonych w manewrowaniu okrętami.

— Ale, admirale — przemówił Pettygrew, drugi z kapitanów Bissonetu. — Brakuje nam jeszcze doświadczenia...

— I nie zdobędziemy go bez ćwiczeń — oznajmiła Andreson. — Pochodzi pan z Bissonetu, kapitanie Pettygrew i wie, o jaką stawkę gramy. Nie możemy pozwolić

sobie na niedbałość, nieudolność i niekompetencję w dowodzeniu okrętami.

— Chce pani powiedzieć, że jestem niekompetentny? — zapytał Zavala.

— Chcę powiedzieć, że wszyscy musimy być lepsi — odrzekła Andreson.

— Powiedziała pani, że kapitan Vatta nie potrzebuje ćwiczeń...

— Nie, powiedziałam, że kapitan Vatta nie musi już ćwiczyć manewrów w tej konkretnej formacji.

Ky zerknęła na twarz Zavali — wyraźnie nie był przekonany.

— Nie sądzę, aby było to bezpieczne — powiedział. — Zderzenie nie przyniesie nam nic dobrego.

— W takim razie proszę się nie zderzać — odparowała Andreson. — Wszystko pójdzie dobrze, o ile zachowacie ostrożność.

Następnego dnia manewry znowu zaczęły się źle. Zavala odmówił zbliżenia większego niż pięć kilometrów, a Ky, aż nazbyt świadoma bliskości *Kornetu* z jednej strony i *Fagotu* z drugiej, w pełni go popierała, ale nie miała czasu na śledzenie kłótni, jaka srożyła się na łączach. Kiedy Andreson rozkazała formacji obrócić się wokół dłuższej osi, co było trudną ewolucją, *Kornet* zbliżył się do nich na siedemset metrów, zanim powrócił na pozycję. Do obiadu wszyscy byli wściekli. Zavala oddalił się na tysiąc kilometrów. Pozostali rozlecieli się na czas posiłku, pomimo rozkazu Andreson, by pozostali w szyku.

— Mój pilot potrzebuje przerwy — oznajmił Argelos. — I zanim to pani powie, doskonale wiem, że w trakcie bitwy nie mógłby liczyć na odpoczynek. Mimo to...

— Mój także — poparł go Pettygrew. Ky milczała, lecz kiwnęła głową, kiedy Lee poprosił o zgodę na oddalenie się od najbliższych jednostek.

— To wariatka — oświadczył, odlatując na tysiąc kilometrów od najbliższego okrętu. — Lecąc tak ciasno, bardziej martwilibyśmy się o to, żeby nie zderzyć się z pozostałymi niż o pozycję nieprzyjaciela, dla którego stanowilibyśmy cel o średnicy zaledwie pięciu kilometrów.

— Boi się — odezwał się Martin. — Widziałem już coś takiego. Ten rodzaj złości tak naprawdę maskuje strach. Chciała tego stanowiska, ale właśnie zaczyna sobie uświadamiać, czego to wymaga i dochodzi do wniosku, że tego nie ma.

— Też tak uważasz, Hugh?

— Stanowczo. — Jej zastępca pozostał opanowany przez cały trudny dzień, widziała jednak, że był zaniepokojony. — Wydaje jej się, że jedyną metodą ukrycia tego jest zastraszanie innych. Rzecz w tym, że zaraz straci Zavale.

— Tak sądzisz? — mruknęła Ky. — Na pierwszym spotkaniu był tak entuzjastycznie nastawiony...

— Ciudad jest częścią grupy Loma Linda — odparł Hugh. — Mieliśmy stamtąd paru rekrutów i jednego czy dwóch oficerów. Kultura zupełnie odmienna od Slotter Key. Weźmy panią: jest pani przyzwyczajona do wydawania rozkazów mężczyznom, które ci wykonują i nie jest problemem dla Lee, Martina czy kogokolwiek innego — mężczyzny bądź kobiety — że wydaje je kobieta. Na Ciudad jest inaczej: tam nigdy nie doszli do pełnego równouprawnienia. Zavali jest wystarczająco ciężko słuchać

głównodowodzącej kobiety, a ona jeszcze nie robi nic, by mu to ułatwić. Będę zdziwiony, jeśli zobaczę go tutaj za trzy dni.

— Powinnam z nim porozmawiać? — zapytała Ky.

Hugh pokręcił głową.

— Pani też jest kobietą. Może uważać, że nie jest pani taka zła, lecz nadal jest pani kobietą. Poza tym, problem nie tkwi w pani, tylko w niej.

— Kapitanie, połączenie... od Zaval.

— Tak jest — odpowiedziała Ky i włączyła ekran.

— Kapitan Vatta — powitał ją Zaval. Był spokojny, zauważyła jednak napięcie skóry wokół oczu.

— Kapitan Zaval. Jak mogę panu pomóc?

— Obawiam się, że nie może pani — odparł. — To tamta kobieta... Jest niemożliwa!

Przez głowę przemknęły jej fragmenty wykładów z etykiety wojskowej. Młodszy oficerowie krytykujący starszych za ich plecami — niełojalność... Ale to nie była Akademia Sił Kosmicznych Slotter Key. To było... jeszcze nic. W ogóle nic, jeśli się rozpadnie.

— To nowość dla nas wszystkich, kapitanie — powiedziała.

— Stosuję taryfę ulgową — oznajmił Zaval. — Mówię sobie, że nigdy nie dowodziła takim zgrupowaniem, że działa w olbrzymim stresie. Ale odzywać się do mnie w taki sposób, publicznie nazywać mnie tchórzem — czegoś takiego mężczyzna z mego ludu nie może puścić płazem. To sprawa honoru.

Ky miała wrażenie, że przegapiła coś ważnego.

— Proszę mi wybaczyć — powiedziała. — Miałam takie problemy z utrzymaniem się w tak ciasnym szyku, że nie dosłyszałam wszystkiego, co mówiła.

— Aha. — Ten ton coś oznaczał; gdyby tylko wiedziała, co. — Czyli nie zgadzała się pani z nią?

— Nie, kapitanie Zaval. Przepraszam, byłam rozproszona. Jeśli to coś znaczy — była pewna, że niewiele — to uważam, że zachowywana przez pana odległość była ostrożna i znacznie bezpieczniejsza od manewrów w tak ciasnej formacji.

Spojrzał na nią ostro.

— Ostrożna. Myśli pani, że chodziło mi tylko o bezpieczeństwo?

Powiedziała coś niewłaściwego; próbowała ustalić, co.

— Kapitanie Zaval, *ja* myślałam tylko o bezpieczeństwie. To pan powiedział, nieprawdaż, iż taki zwarty szyk czyni nas podatniejszym na atak?

— To głupota — orzekł Zaval. — Ale nazwała mnie tchórzem i starowinką...

— To było nieuprzejme — uznała Ky.

— Gorzej — powiedział Zaval. — To śmiertelna obraza i muszę bronić swego honoru.

Ky znowu czegoś nie zrozumiała, a obawiała się, że pytanie może jeszcze bardziej rozwścieczyć Zavalę.

— Mówiąc, że musi pan bronić swego honoru, miał pan na myśli...

— Pojedynek, rzecz jasna. Pojedynek honorowy. Nie znacie czegoś takiego?

— Nie na Slotter Key — odparła. — Pojedynek honorowy to jakaś próba? Test? — Bieganie, pomyślała, albo wspinaczka lub nawet walka na pięści, choć brzmiało to dosyć prymitywnie.

Wytrzeszczył oczy.

— Pojedynek honorowy to walka ostrzem i sercem, dopóki nie staną się jednością. — Dźgnął się palcem wskazującym w pierś. Po czym potrząsnął głową i dodał wyraźnie, jak do małego dziecka: — To walka na miecze, kapitanie Vatta, która kończy się śmiercią wyzywającego lub broniącego się.

— Zamierza pan wyzwać Petreę Andreson na pojedynek? — Wbrew sobie, ostatecznie słowa niemal zapisała. Przełknęła *To absurd*, dając sobie czas na rozważenie, ile złego mógłby narobić taki precedens.

— Muszę — oświadczył Zavała. — I chciałbym, aby była pani moją sekundantką. Ona będzie miała sekundanta, który oczywiście stoczy ze mną walkę, ponieważ kobiety nie mogą się pojedynekować.

Poczuła ukłucie irytacji.

— A to dlaczego?

— Pojedynekują się mężczyźni. Walczące kobiety... — Machnął lekceważąco dłonią. — Nie ma w tym honoru. Bez obrazy, kapitanie Vatta, gdyż słyszeliśmy, jak obroniła pani swój statek. To co innego. Kobieta walcząca w obronie rodziny lub domu — lub ich przedłużenia na planetę czy system — jest czymś zupełnie normalnym. Lecz honorowy pojedynek to domena mężczyzn.

— I oczekuje pan, że staniemy z boku i będziemy przyglądać się, jak walczyacie?

— Tak się to odbywa — odrzekł z godnością kogoś, kto zna wszystkie zasady i zamierza ich przestrzegać.

— A jeśli kapitan Andreson nie przyjmie wyzwania?

— Jeżeli jej sekundant nie będzie ze mną walczył, odleczę. Nie zostanę tutaj, żeby wdeptywano mój honor w ziemię. — Zamilkł, po czym podjął. — Na Slotter Key nie macie pojedyneków, ani spraw honorowych?

— Nie mamy pojedyneków — potwierdziła Ky. — Ale mamy swój honor.

— Jak możecie mieć honor, skoro nie okupujecie go krwią? — zapytał Zavała.

Zarejestrowane przez implant obrazy płonącego domu i twarzy martwej matki przesłoniły jej na moment ekran.

— Płacimy krwią — wykrztusiła.

— Mówiono mi, że zabiła pani swojego krewniaka, Osmana — powiedział. — Za uśmiercenie pani rodziców, prawda?

— To nie był pojedynek — powiedziała Ky. — To była zemsta. — Bardzo satysfakcjonująca zemsta, choć wiedziała, że nie powinna tak tego odczuwać.

— Myślę, że nie różnimy się tak bardzo od siebie — odrzekł Zavała. — Czy zostanie pani moją sekundantką? Tylko do pani mogę zwrócić się z taką propozycją.

Ky wahała się.

— Jaka będzie moja odpowiedzialność?

— Pani nie... och. Oczywiście. Po rzuceniu jej wyzwania, pani i jej sekundant przygotowujecie wszystko do pojedynku. Tutaj jest inaczej, ponieważ na moim świecie

nie wyzywamy kobiet, ale wyjaśni jej to pani. Będę potykał się z jej sekundantem w honorowym pojedynku. Ze względu na przebywanie na pokładzie, wybór broni zostanie oczywiście ograniczony do takich, które nie uszkodzą statku. Dlatego wspomniałem o mieczach. — Przemawiał teraz doskonale spokojnie, wyjaśniając praktyczne aspekty pojedynkowania się na śmierć i życie na pokładzie okrętu oraz wyboru broni, jakiego dokona Andresom jednego z trzech typów miecza. — Mam podręcznik, który może pani przeczytać celem poznania właściwych słów...

To było nierealne. Nie miało sensu. We wszechświecie czaił się prawdziwy wróg, a ten tutaj był gotów zabić kogoś lub zginąć samemu tylko dlatego, że poczuł się obrażony? Może zdoła mu to wyperswadować.

— Kapitanie Zavała, choć zgadzam się, że nie miała racji i obraziła pana, to jednak... Znajdujemy się w groźnej sytuacji. Turek i jego piraci próbują przechwycić kolejne systemy i zapanować nad wszystkimi... Czyż nie jest to ważniejsze?

Twarz mu stwardniała.

— Nie ma nic ważniejszego ponad honor. Jak mam walczyć z Turkiem pozbawiony honoru? Czemu moi ludzie mieliby mnie szanować, gdybym pogodził się z obelgą, nie próbując się bronić? — Uśmiechnął się do niej krótko. — Lecz, kapitanie Vatta, takie jest właśnie zadanie sekundanta: sprawdzenie determinacji wyzywającego. Jak mówiłem, przypomina mnie pani bardziej, niżbym kiedykolwiek uznał za możliwe.

— Rozumiem. — Nie rozumiała, nie całkowicie, potrafiła jednak rozpoznać nieprzejednanie. Albo doprowadzi do pojedynku, albo odejdzie. Organizacja pojedynku zajmie trochę czasu i może zdąży ochłonąć lub doczekać się przeprosin ze strony Andreson. Żadne z tych wydarzeń nie było zbyt prawdopodobne, niemniej, nie miała nadziei na nic więcej. — Wobec tego zgadzam się zostać pana sekundantką, choć wolałabym odłożyć tę sprawę.

— To pani powinna być dowódcą — oznajmił Zavała. — Nie pozwoliłaby pani, żeby do tego doszło.

Miał rację, podejrzewała jednak, że dziedzictwo kulturowe Zawali kryło w sobie więcej pułapek, na które mógłby się nadziać każdy dowódca-kobieta.

— Zapewne rozumie pani — ciągnął kapitan — że jeśli nie przyjmie mojego wyzwania, będę zmuszony wycofać się z tego sojuszu.

— Tak — przyznała Ky.

— Doradzam pani, żeby także się wycofała, nie ze względu na to, że została pani moją sekundantką, tylko dlatego, iż ta kobieta doprowadzi do śmierci nas wszystkich, jeżeli dalej będzie postępować w ten sposób. I co wtedy z pani pomysłem?

— Nie mogę wycofać się właśnie dlatego, że to mój pomysł — odparła Ky. Choć wielce prawdopodobne, że Andreson odeśle ją tylko dlatego, że współpracowała z Zawałą. — Muszę współdzielić ryzyko.

— Pani wola. Przekażę wyzwanie Andreson przed zakończeniem przerwy obiadowej.

Ky nie dopisywał potem apetyt, zmusiła się jednak, żeby coś zjeść. Będzie potrzebowała sił na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się tak źle, jak się obawiała.

Nie przewidziała jednak tego, co zrobił Zavala: wywołał wszystkie jednostki, aby każdy usłyszał rzucane przezeń wyzwanie. Zakładała, że uczyni to na osobności, dając Andreson szansę na przeproszenie go. Zamiast tego, używając formalnych zwrotów, będących tłumaczeniem z języka ojczystego, wezwał Andreson do dania mu satysfakcji „krwią śmiertelnika na ubitej ziemi”.

— O czym pan mówi? — zapytała Andreson, sprawiając wrażenie najbardziej rozłoszczonej ze wszystkich.

— O pojedynku, madame, za obelgi, jakimi mnie pani obrzuciła, by udowodnić krwią, czy na nie zasługuję.

— Pojedynek? Nikt już się nie pojedykuje.

— Wręcz przeciwnie, madame...

— Admirale...

— Nie, madame, bynajmniej. W kwestiach honorowych ranga traci znaczenie. Proszę wyznaczyć sekundanta — nalegam, aby był to mężczyzna...

— Słucham?! — Andreson zarumieniła się. — Nie powiedziałam... Nie zamierzam...

— Nie przyjmuje pani wyzwania? W takim razie to pani jest tchórzem!

— Chwileczkę! — wtrącił się Pettygrew z *Fagotu*. — To jest... to jest śmieszne. Mamy prawdziwego nieprzyjaciela...

— Kapitan Vatta również użyła tego argumentu — powiedział Zavala.

— Najpierw rozmawiał pan z nią? — Andreson uczepiła się tej dygresji. — Rozmawialiście o mnie za moimi plecami? To oburzające!

— Poprosiłem ją o zostanie moją sekundantką — wyjaśnił Zavala. — Próbowала wyperswadować mi ten pojedynek, co jest obowiązkiem każdego sekundanta, lecz w końcu się zgodziła.

— Ty zdrajco! — Andreson spiorunowała Ky wzrokiem. — Jak śmiecie spiskować za moimi plecami...

— Wcale nie spiskowałam — zaprotestowała Ky.

— Zgodziła się pani zostać jego sekundantką. Nazwałabym to spiskowaniem.

— Ja nie — oznajmił Pettygrew. — Jeżeli połączył się z nią i poprosił o zostanie jego sekundantką — tak to było, prawda?

— Tak — potwierdzili jednocześnie Ky i Zavala.

— Ale zgodziła się — upierała się Andreson.

— Nie widzę w tym niczego złego — obstawał przy swoim Pettygrew.

— Ani ja — poparł go Argelos. — Znam kapitan Vattę dłużej od was i uważam, że nie kryło się za tym nic, prócz uprzejmości wyświadczonej osobie z innego kręgu kulturowego.

— Cóż, nie zamierzam bić się, niczym jakiś dzikus z leśnej głuszy — oznajmiła Andreson, podwijając górną wargę. — To obrzydliwe.

— Będę twym czempionem. — Battersea wyprostował się. — Nie wypada ci walczyć, admirale, ale jeśli tego właśnie trzeba, żeby przekonać tego... tę osobę... to

chętnie to uczynię.

— Nie ma takiej potrzeby, Simonie... — zaczęła, lecz Ky zaraz jej przerwała.

— Jeżeli to jest pani sekundant, to kapitan Zavała będzie z nim walczył.

— To absurdalne...

— Pozwól mi, proszę — Battersea pochylił się naprzód.

— Czy kiedykolwiek brał pan udział w pojedynku? — zapytała Ky.

— Jakie to ma znaczenie?

— Tylko takie, że kapitan Zavała zamierza walczyć na śmierć i życie. Jeden z was zginie. Jeden z okrętów utraci kapitana i może zostać stracony dla naszej sprawy.

— Och, nie zabije mnie. — Battersea wyglądał na lekko rozbawionego. — Specjalizuję się w różnych rodzajach broni, a przecież będę miał wybór, prawda?

— Owszem: rodzaju miecza.

— Simonie, nie podoba mi się to — oznajmiła Andreson. — To nie jest cywilizowane...

— A teraz obraża pani mój lud! — zawołał Zavała. — Jesteśmy starożytną i czcigodną cywilizacją, która nie praktykuje obrażania innych. To właśnie jest cywilizowane.

— Proszę nie być głupcem, kapitanie Zavała — rzuciła Andreson. — Nie obrażam pańskiego ludu. W każdej kulturze są jakieś wypaczenia. U nas nadal zdarzają się ludzie, którzy pomimo wysiłków rządu pozwalają, by narkotyki wyżarły im mózgi. Pański lud może być cywilizowany w każdy inny sposób, ale rozwiązywanie problemów za pomocą bijatyki...

— Pojedynek to nie bijatyka — odparł Zavała. — Lecz niezależnie od pani opinii, muszę otrzymać odpowiedź. Przyjmuje pani wyzwanie krwi i przysyła sekundanta na pojedynek, czy nie?

— A jeśli nie, ucieknie pan?

— Jeżeli nie podejmie pani wyzwania, uznam panią za tchórze i wypowiem posłuszeństwo.

— Nie może pan nazywać mnie tchórzem tylko dlatego, że nie zaryzykuję życiem... przyjaciela w tak trudnych czasach, jak obecne.

— Mnie nazwała pani tchórzem z błahszego powodu.

— Miałam na myśli...

— Odpowiedź, madame!

— Może pan odejść, jeśli chce. Nie wyrażam zgody na żadne pojedynki.

— Bardzo dobrze. W takim razie wycofuję się z tego sojuszu. Nie oddam załogi pod komendę tchórze i głupca. Jednakże, przez wzgląd na pozostałych kapitanów, daję słowo, że nigdy nikomu nie wyjawię waszej lokalizacji, ani planów.

— Ty!... — Andreson aż zaplula się z wściekłości. — Dobrze się stało — zwróciła się do pozostałych. — Lepiej będzie nie mieć wśród nas tak niepewnej osoby. Mieliście już wystarczająco dużo czasu na posiłek... Wracać na pozycje. Pracy nam trzeba, nie bzdur.

Okręt Zavalali wycofał się na kolejne dziesięć tysięcy kilometrów. Zadzwieczał ansibl pokładowy. Ky uruchomiła go.

— Kapitanie Vatta, przepraszam za wmieszanie panią w coś, co jednak nie miało nic wspólnego z honorem.

— Nie tak pan to planował.

— Nie. Ale powinienem był to przewidzieć. Chciałem zapytać o urządzenie komunikacyjne, które zainstalowała pani na pokładzie mego okrętu. Skoro nie należę już do waszego sojuszu, to przypuszczam, że nie chce pani, abym je dłużej posiadał. Czy mam zdeponować je w najbliższym porcie, informując panią, skąd je odebrać?

Ky wyobraziła sobie ansibl pokładowy walający się w jakimś magazynie do wynajęcia i pospieszenie odpowiedziała:

— Nie! Obawiam się, że mógłby wpaść w niepowołane ręce. Proszę je zatrzymać. Może znów się spotkamy. — Może, jak już Andreson szlag trafi, powróci do sojuszu. Przyszedł jej do głowy pewien pomysł. — A może mógłby pan przedstawić pomysł sojuszu waszemu rządowi i poinformował mnie o ich opinii?

— Znam ich opinię. Nie będą chcieli mieć nic wspólnego z projektem tej kobiety. Powiedziałbym wręcz, że żadnej kobiety, ale zagrożenie jest bardzo realne. Jeśli skuteczne ugrupowanie będzie dowodzone przez honorową kobietę... — Nacisk na *honorową* był słyszalny — ...wówczas mogą to rozważyć. Lecz przez tę kobietę — nigdy. — Wzruszył ramionami. — Za pani pozwoleniem, kapitanie Vatta, zachowam urządzenie komunikacyjne i będę kontaktował się od czasu do czasu, by przekazać informacje, które uznam za użyteczne.

Rozdział 24

Ky wpatrywała się w ekrany skanerów, zaśmiecone kursami z całodniowych manewrów. Analizy Andreson były jak zwykle zjadliwe i tym razem załoga Ky nie uniknęła krytycznych uwag. Lecz nawet teraz, po dwudziestu dniach ćwiczeń, do Andreson nadal nie docierało, że niektóre manewry są trudniejsze od innych, zwłaszcza gdy wykonuje się je w ścisłym szyku. Ky, Argelos, nawet Dan Pettygrew próbowali przemówić jej do rozsądku, ale każdy mijający dzień zdawał się tylko pogarszać sytuację. Nie, nie zmieni harmonogramu szkoleń. Nie, nie będą ćwiczyć strzelania, dopóki nie będzie zadowolona z poziomu ich manewrów w każdym szyku. Nie, nie ustawi w systemie latarni wykrywającej, ani nie zechce rozważyć sugestii, że nieobecność Muirtagha była niepokojąca i zagrażała ich bezpieczeństwu. Ky miała nadzieję, że odejście Zavali zmieni jej podejście, lecz stała się jedynie bardziej rygorystyczna i autokratyczna.

Ky była świadoma, że jej załodze zachowanie Andreson nie podobało się bardziej niż jej samej. Okazywany pierwotnie entuzjazm przeszedł w coś w rodzaju znużonego posłuszeństwa, czego Ky nigdy wcześniej nie doświadczyła i nie była pewna, jak nań reagować. Nikt nie odmawiał wykonywania poleceń, lecz atmosfera na pokładzie była co najmniej chłodna.

Sama utraciła wiarę w umiejętność Andreson dowodzenia zgrupowaniem jednostek, zwłaszcza podczas bitwy, ale jaki miała wybór? Mogła się wycofać, tylko gdzie znajdzie sprzymierzeńców, zwłaszcza po porzuceniu tych? Mogła spróbować przekonać Argelosa do odejścia z nią na poszukiwania innych kaprów Slotter Key, nie miała jednak gwarancji, że jej posłuchają. Gdyby zgłosił się do niej Pettygrew, mogliby spróbować odwołać Andreson w głosowaniu, lecz całe jej wykształcenie buntowało się przeciwko jakiegokolwiek próbie degradacji oficera dowodzącego. Zgodziła się zająć pozycję podwładnego. Do niej należało wykonywanie rozkazów i wspieranie dowódcy.

Czuła frustrację i zmęczenie. Instynkt, który tak dobrze służył jej do tej pory, ostrzegał ją, że Andreson myliła się, Muirtagh ich zdradził, a piraci mogą pojawić się w każdej chwili i to w przeważającej sile. Mimo to uważała, że powinna dawać przykład prawidłowej postawy. Już raz popełniła błąd, upierając się, że trzeba pomóc Osmanowi wbrew radom bardziej doświadczonych dowódców, co mogło kosztować życie całej załogi; nie popełni tego błędu ponownie. Mimo wszystko, Andreson nie była taka zła; sprawiała wrażenie odważnej i gotowej do walki z wrogiem.

Gdy zabłysło światelko ansibla, Ky jęknęła w duchu. Pewnie znowu Andreson z kolejną furą głupich narzekania. Upierała się, by zachowywali zwarty szyk, w którym ansible nie były potrzebne i wystarczyłaby komunikacja laserowa, a mimo to używała ich do niemal każdej narady. Przyjęła połączenie.

— Kapitan Vatta! — Początkowo nie rozpoznała głosu, ani twarzy. Na ekranie pojawiło się nazwisko: Zavala z *Dony Florenzii*.

— Kapitan Zavala? O co chodzi? Skąd pan dzwoni?

— Jestem w systemie, w odległości czterech minut świetlnych od waszych pozycji. Są tutaj również okręty nieprzyjacielskie. Przygotujcie się do walki.

— Co? Kto? Dlaczego pan wrócił? — Zasypując go pytaniami, Ky jednocześnie uruchamiała systemy bojowe okrętu. Dostrzegła obracające się w jej stronę głowy i rozszerzone oczy; kiwnęła potwierdzająco głową.

— Kapitanie, Muirtagh zdradził nas... was. Przechwyciłem wiadomość, z której wynika, że wiedzą, gdzie jesteście oraz że macie ansible pokładowe i że zamierzają was zaatakować. Osiem jednostek w dwóch grupach po cztery okręty. Spodziewam się, że spróbują mnie przechwycić. Zamierzam związać ich walką.

— Sam? Nie może pan...

— Proszę, kapitanie. Nie ma czasu. Honor wymagał, abym was ostrzegł i przybył z pomocą. W przeciwnym razie nie uwierzyłaby mi pani, gdybym informował ją z daleka. Pojawili się w systemie wiele godzin temu, kilka Nowych Standardowych Jednostek Astronomicznych od słońca układu. Stosują mikroskoki, żeby się zbliżyć. Wkrótce ujrzycie ich na skanerach, lecz wtedy będą już na tyle blisko, by zaatakować. Musi pani przekonać *tamtą kobietę* — nawet w takiej chwili powiedział to z pogardą — że należy utworzyć formację obronną albo wycofać się. Są potężnie uzbrojeni, doradzam odwrót.

— Nie przekonam jej do tego — odparła Ky. — Nie posłucha mnie.

— W takim razie pani powinna się wycofać.

— Nie mogę ich porzucić...

— Wiedziałem, że jest pani honorową osobą, kapitanie Vatta. Decyzja powrotu była słuszna. — Odwrócił głowę od ekranu; w tle usłyszała jakieś hałasy. — Przez cztery minuty nie będzie tego widać na waszych skanerach — dodał — ale właśnie rozpoczęliśmy walkę. Prześlę pani wszystkie dane z mojego komputera taktycznego — może wam pomogą.

Ky krew zastygła w żyłach. Nie miał szans. Na ekranie pojawił się ciąg liczb. Przerzuciła je na konsolę Jessy'ego i uruchomiła interkom.

— W systemie pojawił się nieprzyjaciel. Przygotować się do bitwy. To nie są ćwiczenia. Powtarzam: to nie są ćwiczenia. — Obsada mostka wpatrywała się w nią rozszerzonymi oczami, by po chwili powrócić do swoich konsol.

— Bateria Jeden gotowa — zameldował Jon Gannett. — Brak danych celu.

— Szacunkowo za cztery... nie, za trzy i pół minuty — powiedziała Ky. Zawała pozostawił włączoną fonię: słyszała energiczne, spokojne komendy, wydawane w jego ojczystym języku. Choć nie rozumiała słów, domyślała się, co oznaczały. Głosów w tle niemal nie było słychać, ale nie wyczuwało się w nich paniki. Nie próbowała go zagadywać. Zawała przemówił do niej tylko jeden raz.

— Kapitanie Vatta, musi pani także wiedzieć, co usłyszałem w ostatnim porcie. Zdobyli kolejny system. Wiedzą o pani i że zdobyła pani okręt Osmana. Nie może pani dać się zabić, kapitanie Vatta.

— Nie zamierzam na to pozwolić — odrzekła Ky. — Zrobię, co w mojej mocy dla innych.

— Doznaliśmy poważnych uszkodzeń — kontynuował Zavala. — Nie mamy już osłon. Została nam ostatnia salwa... — Biały szum przerwał połączenie.

Ky odwróciła się do wstrząśniętej załogi.

— Musimy powiadomić resztę — oznajmiła i połączyła się z Andreson. Tamta wyłączyła swój ansibl, powinien migać na stanowisku oficera łączności, który mógł jednak mieć przerwę.

W końcu odezwał się:

— Tutaj *Kwiat*. O co chodzi?

— Najeźdźcy w systemie — oznajmiła Ky i zaczęła przekazywać koordynaty, ale przerwał jej.

— Najeźdźcy? Co ma pani na myśli?

— Dawaj pan admirała — mamy nieprzyjaciela w systemie w szacowanej odległości dwóch i pół do czterech minut świetlnych stąd. — Usłyszała pomruk głosów z tamtej jednostki.

— Na skanerach nic nie ma — zauważył oficer łączności.

— Pojawią się. Są blisko i mogą zjawić się na skanerach w każdej chwili.

— Nie spodoba się jej to — powiedział. — Powiedziała, że mamy jej nie przeszkadzać przez najbliższe dwie godziny.

— Mnie też się to nie podoba — odparła ostro Ky. — Proszę ją tutaj sprowadzić.

Kiedy po paru sekundach Andreson pojawiła się na ekranie, wyglądała na rozczochraną i złą. Kosmyki jasnych, mokrych włosów sterczały na wszystkie strony. Brała prysznic?

— O co chodzi, kapitanie Vatta? Uważa pani, że ma lepsze skanery od nas?

Ky podejrzewała, że tak właśnie jest, lecz nie powiedziała tego.

— Nie, admirałe. Właśnie otrzymałam wiadomość od kapitana Zavali. Jest — był — w systemie i zameldował o ośmiu nieprzyjacielskich okrętach...

— Sprowadził ich tutaj! — zawołała Andreson.

— Nie — zaprzeczyła z gniewem Ky. — Dowiedział się w porcie, że piraci poznali naszą lokalizację i zaplanowali atak. Obawiał się, że nie otrzymamy, albo zlekceważymy wiadomość ansiblową. Postanowił wrócić tutaj i dać nam szansę przetrwania.

— To gdzie jest teraz? Nie widzę go na skanerach!

— Opóźnienie skanowania — wyjaśniła Ky. Nie mogła uwierzyć, że Andreson nie domyśliła się tego. — Są na tyle blisko, że zniszczyli okręt Zavali, który znajdował się w odległości czterech i pół minuty świetlnej ode mnie. Mam dane Zavali z bitwy. Przesłał mi je ze swojego komputera taktycznego...

— Jakiej bitwy?

— Tej, w której zginął — warknęła Ky, w której złość brała górę nad rozsądkiem. Chronometr odmierzał sekundy. Do tej pory powinna coś zobaczyć...

— Och. — Choć raz Andreson wyglądała na speszoną. — Jest mi... to wielka szkoda. Ale nie rozumiem...

Na podrasowanym skanerze Osmana pojawiła się zamazana kropka, potem dwie następne, potem trzy, potem jeszcze dwie... Pojawiały się w punkcie skoku w

klasycznej formacji bojowej. Dwie grupy po cztery jednostki, w odległościach odpowiednich, by uniknąć zderzenia z pobliskimi okrętami i skupiające się w ciasny szyk, jakiego wymagała od nich Andreson.

— Są już na moim skanerze. — Ky przesłała Andreson dane o pozycji nieprzyjaciela. — Osiem jednostek. A to Zavalą, skaczący w sam ich środek... — Na ekranie pojawiła się dziewiąta kropka.

— Dlaczego to zrobił? — zapytała Andreson.

Niewłaściwe pytanie w niewłaściwej chwili, lecz może odpowiedź wytrąci Andreson ze stopom.

— Żeby nam pomóc. Jakie są pani rozkazy?

— Ja nie... Nie mogę... Nie tak to planowaliśmy.

„Wojna ma gdzieś plany”, przypomniało się Ky powiedzenie jednego z wykładowców. Wiedział to każdy, kto brał udział w prawdziwej walce. Ky spróbowała analizy.

— Są w systemie. Manewrujemy w pobliżu dużej masy, więc nie możemy wykonać skoku.

— To właśnie chce pani zrobić? — zapytała Andreson. — Uciec? — W jej głosie zabrzmiała pogarda.

— Nie, ale mają przewagę liczebną. Może Zavalą zadał im jakieś straty, a może nie. Nie dowiemy się, dopóki nie obejrzymy bitwy na skanerach, a w tym czasie oni będą znacznie bliżej. Jeżeli będziemy mieli pecha, mogą wynurzyć się z nadprzestrzeni w samym środku naszej formacji.

— W takim razie musimy przyspieszyć i wyrwać się stąd...

— Niekoniecznie. Możemy wykorzystać masę, żeby nas zasłoniła, kiedy się zbliżą... — Korciło ją, żeby wytłumaczyć Andreson całą sekwencję, jaką opracowała z Hugh na wypadek ataku, ale nie była pewna, ile tamta zdoła przyswoić. W międzyczasie jej załoga, korzystając ze wzmocnionego skanera Osmana, rozpracowała uzbrojenie nieprzyjaciela i przesłała dane na jej konsolę. Wyrzutnie pocisków... musiała założyć, że są dobrze zaopatrzone. Broń laserowa — nie była jeszcze w stanie określić, jak jest rozmieszczona, nieprzyjaciel miał jednak dwa razy więcej dział od nich. Oraz przewagę doświadczenia. Nie mieli szans, żeby ich pokonać.

Po oznaczeniu jednostek jako wrogie skaner taktyczny wykreślił ich kursy, wskazując na dane, których nikt nie zauważył wśród śmieci zalegających w tej części systemu. Skaner sytuacji bieżącej podawał, że znajdowali się w odległości czterech minut świetlnych. Czas mijał — jak blisko byli teraz? Przez chwilę zastanawiała się, dlaczego natychmiastowa komunikacja nie doprowadziła do powstania skanerów nadprzestrzennych, które podawałyby aktualne pozycje jednostek w przestrzeni. Teraz jednak nie miała czasu, by to rozważać.

— Uaktywnić uzbrojenie — rozkazała Andreson. — Utrzymać kurs i formację. Och... Wezwanie do wszystkich jednostek... — wydawała polecenia załodze. Głupotą było utrzymywanie obecnego kursu, gdyż robili z siebie łatwy cel.

Na jej skanerze okręt Zavali wciąż poruszał się wśród zmieniających pozycje jednostek nieprzyjaciela. Pogodne, niewielkie gwiazdeczki — zielona i czerwone, niczym spoczywające na jedwabiu klejnociki, przesuwające się po lśniących drucikach wyliczanych kursów. Schludne trajektorie lecących pocisków, nieco cieńsze linie laserów — wszystko eleganckie, jak obwody drukowane. To było beznadziejne: Zawała i jego załoga nie żyli, lecz Ky nie mogła powstrzymać się przed patrzeniem, jak śmiercionośna koronka zaciska się wokół *Dony Florenzii*, która rozpadła się na kawałki, gdy zawiodły jej tarcze.

Pomimo liczebnej przewagi, nieprzyjaciel został zmuszony przez Zawałę do manewrowania. Poświęcenie kapitana dało im minutę lub dwie oraz zaburzyło schludne kleszcze — teraz jedno z ramion dotrze do nich szybciej. Jeden okręt zwolnił — Ky nie wiedziała: celowo, czy wskutek odniesionych uszkodzeń, ale to również mogło im pomóc. Niewielka przewaga, lecz w ich rozpaczliwej sytuacji liczyło się wszystko.

— Musimy się rozproszyć — powiedziała Ky, wypatrując na obliczu Andreson choć śladu zrozumienia. — Jesteśmy zbici w ciasną grupę i stanowimy łatwy cel...

— Możemy osłaniać się nawzajem — zaprotestowała Andreson.

Mogliby, gdyby kiedykolwiek to przećwiczyli. Gdyby rozdzielono między nich zadania defensywne. Gdyby nauczyli się wykonywać uniki całą formacją. Gdyby, gdyby, gdyby.

— Nie możemy — przemówił Argelos. — Ky ma rację: musimy się rozproszyć.

— Nie czas na dyskusję — rzuciła Andreson.

— Słusznie — przytaknął Argelos. — Ja nie dyskutuję, ja się odsuwam.

— Nie może pan...! — Twarz pani admirał wykrzywiła wściekłość lub trwoga. Ky nie była pewna, które z tych uczuć.

— Kapitanie Vatta, jaka jest pani analiza? — zapytał Argelos.

Zaskoczona Ky wpatrywała się w ekran. Potem zerknęła na analizę taktyczną.

— Możemy zwiększyć nasze szanse, przybliżając się do planety i przyspieszając, wykorzystując jej grawitację. Odgradzimy się również masą przynajmniej od jednej grupy. Trzeba rozproszyć się tak, by im utrudnić celowanie, a nam umożliwić strzelanie bez obawy, że trafimy sojusznika. Musimy tylko uważać na mniejsze satelity i pierścienie...

— Proszę przesłać mi dane — zaproponował Argelos.

— Ty tchórze! — zawołała Andreson.

— Ty idiotko — odciął się zimno Argelos. — Nie powinienem był nigdy zgadzać się na przekazanie pani dowodzenia. — Na monitorze ikona jego okrętu powiększyła się o pomarańczowy trójkącik przyspieszenia, gdy oddalił się od formacji, do maksimum wykorzystując możliwości napędu wewnątrzukładowego.

— Kapitanie? — odezwał się Lee z rękoma na konsoli.

— Naprzód! — rozkazała. Dłonie Lee poruszyły się i okręt skoczył przed siebie. W tej samej chwili Ky dostrzegła rozżarzoną linię, przecinającą atmosferę planety poniżej — ślad po strzale z broni laserowej z dużego dystansu, gdy nieprzyjacielskie okręty wynurzyły się po mikroskoku w odległości zaledwie kilku sekund świetlnych

od nich. Chwilę później *Kornet* otoczyła biała poświata po bezpośrednim trafieniu promieniem w tarczę. Ich własne osłony rozbłysły od kontrostrzału. Potem wyszli z zasięgu. Odezwały się baterie *Kwiatu*.

— Bez uszkodzeń — zameldował Hugh. — Nasze tarcze nadal sto procent.

— Bateria Jeden, cel namierzony — odezwał się Jon Gannett. — Zgoda na otwarcie ognia?

— Ognia — nakazała Ky. Okręt zadygotał, gdy pierwsza bateria wyrzutni odpaliła pociski.

— Bateria Dwa, cel namierzony!

— Cel w zasięgu broni laserowej, kapitanie.

— Bateria Dwa — ognia! Lasery: jeden impuls — ognia. — Okręt znów zadrżał, lecz nie nastąpiło żadne przygaszenie świateł, ani inny znak, że tak potężne wyładowanie przysporzyło im jakichkolwiek kłopotów. Pociski *Kwiatu* dotarły do zgrupowania nieprzyjacielskich jednostek. Widzieli, jak rozbijają się o tarcze przeciwnika lub chybiają.

— Kiepscy artylerzyści — orzekł Jessy. — Między innymi, nieprawidłowe opcje fuzji. Lepiej, żeby się stąd zabierali.

W tej samej chwili kilka pocisków uderzyło w nadwątloną tarczę *Kornetu* i połączenie ansiblowe urwało się. *Kwiat* przestał przyspieszać i obrócił się, nakierowując zamocowane na dziobie działa na nieprzyjaciela. Silne wyładowanie trafiło najbliższego pirata, lecz tarcze przeciwnika wytrzymały. *Kwiat* miał tylko jedną baterię dział o bardzo długim czasie ładowania się. Odpalił kolejną salwę pocisków, której celność nie była lepsza od pierwszej. Pociski i promienie tak długo bombardowały *Kornet*, aż jego uzbrojenie eksplodowało, rozpruwając okręt. Teraz ostrzał skoncentrował się na *Kwiecie*.

Ky nie miała czasu martwić się o *Kornet*, gdyż pociski stale wypróbowywały jej tarcze — nie przedarł się żaden, lecz wskaźniki alarmowały, że były blisko.

— Trafiliśmy jednym z pocisków — zameldował Jessy. — W drugi okręt w szyku.

— Ocena uszkodzeń?

— Niemożliwe do oszacowania. Skanery zaczynają wariować. — Faktycznie tak było. Na ekranach nakładały się na siebie kursy jednostek i pocisków oraz ich symbole i wielobarwne wskazania prędkości.

— Jak nisko chce pani zejść? — zapytał nagle Lee.

— Tak nisko, jak się da — odparła Ky. — Zgodnie z wcześniejszym planem. — Procentowały godziny spędzone z Lee, Hugh i strzelcami na dyskusjach, co musieliby zrobić, gdyby zaatakowano ich i przygwoźdzono do wielkiej masy, uniemożliwiającej ucieczkę w nadprzestrzeń. Nie spodziewali się, że wykorzystają wyniki tamtych rozważań, przynajmniej bez wcześniejszego ich sprawdzenia. — Naszą największą szansą jest zmuszenie ich do oblecenia planety i ruszenia za nami w pościg. Im większej prędkości nabierzemy, tym szybciej osiągniemy promień skoku po drugiej stronie, co jest naszą jedyną realną opcją. — Jeśli piraccy kapitanowie okażą się wystarczająco przebiegli, utrzymają okręty w jednej grupie, ale może wierzyli, że trafiła się im łatwa zdobycz.

— Jest z nami *Fagot* — oznajmił Jessy. — Wygląda na to, że *Kwiat* również nareszcie przyspiesza.

Ich tarcza rozbłysła od kolejnej salwy.

— Chcą, żebyśmy uciekli — powiedziała Ky. — Myślą, że szybciej załatwią nas pojedynczo. — Połączyła się z *Fagotem* i *Kwiatem*. — Trzymajcie się nas — powiedziała. — Utrzymujcie odległość dziesięciu klików.

— Nie damy rady — odrzekła Andreson. — Mamy uszkodzenia. Wewnątrzukładowy nie ma pełnej mocy i nie możemy skakać. — Twarz miała zimną i nieprzeniknioną, jak zawsze. — Zabierz ich stąd, Vatta, jeśli zdołasz. Leć szukać lepszych towarzyszy. Zrobiłam, co mogłam, i w najgorszym razie przynajmniej jednego zabiorę ze sobą.

To będzie ostatnia rzecz, jakiej dokona, o ile zdoła. Andreson nigdy nie brakowało odwagi, jedynie umiejętności i tego nieokreślonego instynktu, cechującego dobrego dowódcę.

— Wiem, że zrobiła pani wszystko, co w jej mocy — powiedziała Ky. — Zrobię, co do mnie należy, admirale. — Ten tytuł był jedynym wsparciem, jakiego mogła jej udzielić. *Fagot* zbliżył się, a *Kwiat* został w tyle. Atakowały go trzy okręty.

Gdzie znajdowała się reszta, ci, którzy walczyli z Zawalą? Ponownie utworzyli kleszcze? Ona by tak postąpiła, ale nie wiedziała, jak piraci zwykli prowadzić walkę w przestrzeni.

Ich prędkość rosła jednostajnie, gdy tak nurkowali w studnię grawitacyjną planety, którą wykorzystywali do uzyskania jeszcze większego przyspieszenia. Nieprzyjacielskie pociski wypaliły paliwo, zanim do nich doleciały, a lasery skupiły się na *Kwiecie*.

Okręt Andreson eksplodował tuż przed tym, nim skryli się za krzywizną planety.

— Zaraz będziemy mieć ich na karku — mruknęła Ky — Wyrzucić miny.

— Ile?

— Połowę tego, co mamy. Resztę zachowamy na tych po drugiej stronie.

— To jest... kilkaset...

— Lepiej za dużo niż za mało — stwierdziła Ky. — Jeśli wyjdziemy z tego cało, kupimy sobie nowe, ale jeżeli zginiemy przez skąpstwo... — Zwróciła się do Dana Pettygrew na *Fagocie*: — Nie zostawaj w tyle. Za chwilę pojawi się tam parę zagrożeń.

— Robię, co mogę — odrzekł Pettygrew.

— Vatta, masz jakiś plan? — zapytał Argelos. Na skanerze widać było rozgrzaną do czerwoności broń *Daru Sharry*, która przyspieszała szybciej *od Awangardy*.

— Jesteś z nami? — upewniała się Ky. — Czy postanowiłeś działać w pojedynkę?

— Sam przeciwko ośmiu? Nie. Mój doradca mówi mi, że naszą jedyną szansą jest trzymanie się ciebie, o ile masz jakiś plan. — Chwila ciszy, po czym: — On nie ma.

— Mam pewien pomysł — oznajmiła Ky. — Zostań nieco w tyle i trzymaj się jakies dziesięć klików za mną. Jeśli są cwani, po drugiej stronie planety natkniemy się na ich cztery jednostki. A jeśli dopisze nam szczęście, będzie tylko czterech przeciwko trzem. Uszkodzenia?

— Żadnych — odparł Argelos, a zaraz po nim Pettygrew.

— Świetnie. Przygotujcie się do walki. Strzelajcie, jak tylko namierzycie cel. Stosują kalibrowane mikroskoki, ale powinni przeciąć nasz kurs na wewnątrzukładowym. Może dorwiemy paru z nich. Potem spróbujemy się przebić i osiągnąć promień skoku. Bądźcie gotowi do błyskawicznego zanurzenia. Nie czekajcie na nikogo. Nie lecimy do wyznaczonego punktu skoku, więc po prostu wydstańcie się z zasięgu...

— Nie potrafię wyskalować krótkiego skoku — powiedział Pettygrew.

— Nie szkodzi. Jeśli odskoczysz o kilka godzin świetlnych, uda ci się zlokalizować punkt skoku, zanim nas znowu znajdą. Albo odskocz o jeden rok świetlny. Tak blisko nie ma innej gwiazdy, ani większej masy. Spotkanie... — Dokąd powinni polecieć? Gdzie nie będą się ich spodziewać? — Ciudad — postanowiła. — Opowiemy im o bohaterstwie Zavali.

— Oprócz umiejętności będziemy potrzebować dużo szczęścia — uznał Argelos po jakichś dwóch minutach. — Ale mój doradca twierdzi, że to może się udać.

Jego doradca, który sam nie opracował żadnego planu. Ky nurtowało, kto to był.

— Przy tej prędkości nasze możliwości manewru na wewnątrzukładowym będą niewielkie — przypomniła im. — Lecz każde działanie pomoże nam uniknąć ich laserów, więc polecimy po spirali w otwartej formacji w odległości dziesięciu klików. Pettygrew, czy twój komputer taktyczny poradzi sobie jednocześnie z takim manewrem i celowaniem?

— Tak, madame — odparł Pettygrew. Głos miał bardziej zdecydowany, niemal pewny siebie.

— Mój również — dodał Argelos.

— No to ruszamy. — Przekazała im pozycje startowe i średnicę spirali.

— Jest pierwszy — odezwał się nagle Jessy, gdy skończyli drugi zwój spirali. Pierwsza grupa nieprzyjaciół, trzy lecące równo okręty i jeden odstający od nich, wychynęła zza krzywizny planety. Jeden wpadł na minę i jego tarcze gwałtownie zabłyśły. — I drugi... — Kolejny rozbłysk na ekranie. Ikony nieprzyjacielskich okrętów wyraźnie zwolniły. — Aha. Jeżeli zwolnią z obawy przed minami, będą musieli potem wydatkować więcej mocy na wydstanie się ze studni grawitacyjnej, w której tkwią. Świetnie pomyślane, kapitanie.

— Chcę ich zniszczyć — oznajmiła Ky. Na pewno wpadną na inne miny, które muszą wyrządzić im jakieś szkody...

— Jeden zniszczony! — zawołał Hugh. Ostatnią ikonę otoczyły płomienie i już nie zgasły. Pozostałe dwa okręty jeszcze bardziej zwolniły.

— Najniższy punkt — zameldował Lee. — Zaczynamy wznoszenie...

Ky przez chwilę obserwowała trajektorię. Faktycznie zeszli bardzo nisko między pierścienie, znacznie bliżej drugiego, najmniejszego satelity, niżby chciała. Pettygrew podszedł jeszcze bliżej. Lecz *Fagot* ominie go i wszyscy polecą razem. Ścisnęło ją w żołądku. Wkrótce powinni natknąć się na drugą grupę.

Rozbłyski za nimi wskazywały, że pościg nadziewał się na kolejne miny. Żaden nie był wystarczająco silny, by spowodować uszkodzenia, lecz każda eksplozja

wyczerpywała energię tarcz, poza tym, niemogli sobie pozwolić na ich opuszczenie, co umożliwiłoby ostrzał z laserów. Oddalili się jeszcze bardziej, przestając być natychmiastowym zagrożeniem. Natychmiastowe zagrożenie czaiło się przed nimi — cztery uzbrojone po zęby okręty, niebezpieczne i gotowe zabijać.

Ky czuła tę samą żądzę. Kazała towarzyszom uciekać i sama zamierzała to uczynić, ale... Miała ochotę na porządne zabijanie, co dałoby jej więcej satysfakcji niż wmanewrowanie jakiegoś pirata na minę.

Kiedy na ekranie pojawił się pierwszy wrogi okręt, wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Opóźnienie skanera było nieznaczne, mniejsze niż pół sekundy. Jessy natychmiast uzyskał dane celu i zaatakował. Laser dotknął tarczy nieprzyjaciela — ta rozjarzyła się blaskiem.

— Kontynuować ostrzał — rozkazała Ky.

— Mam go — zapewnił Jessy. — Ale zużywamy energię.

Każdy ułamek sekundy ostrzału lasera uniemożliwiał przeciwnikowi opuszczenie osłon i użycie własnej broni promieniowej, oni zaś zbliżali się do punktu, w którym będą mogli skorzystać z pocisków. Niemniej, ponowne naładowanie baterii będzie wymagało czasu. Miała na karku jeszcze trzech korsarzy. Jak to zrównoważyć?

— Wskaźnik ładowania: trzydzieści procent. — Dziesięć sekund, piętnaście, dwadzieścia, a każda dłużyła się niemiłosiernie. Tarcza przeciwnika jarzyła się coraz intensywniej, by nagle zgasnąć. Chwilę później nastąpił potężny rozbłysk eksplodującego okrętu. Ky uśmiechnęła się do Jessy'ego. — Udane łowy.

— Tarcze w górę — rozkazał Jessy.

Pojawił się drugi okręt, a chwilę później trzeci. Leciały tym samym kursem, co pierwszy, tyle że nieco wyżej w studni grawitacyjnej, i powitały *Awangardę* ogniem zaporowym. Odwzajemniła się tym samym. *Fagot* i *Dar Sharry* otworzyły ogień zgodnie z instrukcjami Ky, poszerzając utworzony przez nią koszyk. Lecąc dokładnie przeciwnymi kursami, minęli się bez incydentów, wystrzelując pociski i podnosząc osłony. Lasery — o ile takowe mieli — milczały. Ky kontrolowała wskaźnik naładowania jej własnego okrętu. Musiała zachować trochę mocy na pozostałe jednostki, czwartego członka tej grupy oraz ocalałych z pierwszej eskadry, którzy po osiągnięciu promienia skoku mogli dopaść ją kalibrowanymi mikroskokami.

Pojawił się czwarty okręt, celowo trzymający się z tyłu i lecący dalej od planety, za to blisko promienia skoku. Odpalone teraz pociski ścigałyby ich i niemal na pewno nie doleciały. Dziobowy laser *Awangardy* był naładowany tylko w sześćdziesięciu ośmiu procentach. Przeliczając to na sekundy pełnej mocy, nie wystarczy do zniszczenia nieprzyjacielskiego okrętu lub opóźnienia jego ataku podczas mijania przez jej grupę. Gdyby wykorzystala moc osłon... niebezpieczne... Tak, mogło skończyć się fatalnie. Paliła ją skóra. Nie czuła strachu, tylko bolesną świadomość obecności na pokładzie innych ludzi, dla których jej błąd był równoznaczny ze śmiercią.

— Losowa pulsacja — rozkazała. — Nie dawajcie im spokoju. Zobaczymy, czy to wystarczy.

Nagle rozjarzyły się tarcze *Fagotu*. Nieprzyjaciel zaatakował najmniejszą jednostkę, choć była lepiej uzbrojona od *Daru Sharry*. Tak samo postąpili, najpierw atakując *Kornet*. Ten sam okręt? Czy taka sama taktyka, podyktowana przez ten sam umysł?

— Pełna moc — poleciała.

Uniósł ostrzegawczo brwi. Pokręciła głową.

— Musimy odwrócić jego uwagę od *Fagotu*. Niech się zbliży.

— Może skończyć się nam moc... — Ich laser uderzył w przeciwnika, którego osłony rozbłysły, po czym ustabilizowały się, a moc promienia spadła o jedną trzecią.

— Wykorzystamy energię tarczy — wyjaśniła Ky. — Opuścić osłony. — Obrzucił ją zaskoczonym spojrzeniem. — Teraz nie mogą ostrzelać nas pociskami — powiedziała. — Poza tym, będzie musiał schować się za tarczą przed naszym ostrzałem.

Skinał głową, zaciskając usta. Laser wbił w nieprzyjaciela z pełną mocą — nie musiał już pulsować synchronicznie z opuszczaniem i unoszeniem osłon. Tarcza wroga urosła na ekranie. Pięć sekund... dziesięć. Ikona *Fagotu* nie wykazywała już ostrzału. Nie trafił ich żaden promień odwetowy, lecz Ky wiedziała, że sytuacja ta będzie trwać tylko tak długo, jak długo zdołają nieprzerwanie ostrzeliwać przeciwnika. Jeśli utracą kontakt lub zawiedzie ich laser, pozostaną bez osłony.

— Co ty wyprawiasz!?! — Głosu Argelosa w żadnym razie nie można było nazwać spokojnym. — Uszkodzili was?

— Nie — odparła Ky. — To ja zadaję uszkodzenia. Nie przerywaj.

— Ale jeśli wy...

— Znam ryzyko — zapewniła go Ky. — W obie strony. Upewnij się, że kołując, nie przetniesz linii promienia. — Nie powinien, chyba że zmienił kurs.

— Ja... och. Tak jest.

Na ekranie widać było, jak osłona nieprzyjaciela zaczyna ostrzegawczo migotać. Wtem ich ikona zazieleniła się, sygnalizując hamowanie. Nim Ky otworzyła usta, by ostrzec Jessy'ego, skorygował ostrzał. Laser nie ześlizgnął się z celu.

— Pozostanie dłużej w zasięgu — zauważył. — Ale ładunek lasera spadł do piętnastu procent.

— Miejmy nadzieję, że tamta grupa nie zostawiła nikogo z tyłu, żeby nas przechwycił — mruknęła Ky.

— Kłopoty za nami — odezwał się nagle Lee. Jeden ze ścigających ich okrętów maksymalnie przyspieszył, nie zważając na miny, a jego laser dźgnął ich w odsłoniętą rufę.

Zanim zdążyli się wstrzelić, *Fagot* zwolnił i zajął pozycję za *Awangardą*. Jego w pełni naładowane tarcze bez problemu przyjęły ostrzał na siebie.

— Chronię wam plecy — potwierdził Pettygrew.

— Dzięki — odparła Ky. — Masz czym w nich rzucić?

Sama z pewnością nie mogła użyć reszty min, skoro miała go za rufą.

— Wyrzucamy, co mamy... Jeśli dopisze nam szczęście...

Ky powróciła do skanera. Utrzymywany przez nią ostrzał laserowy przepalał się przez tarczę nieprzyjaciela. Osłony pirata migotały, lecz jednocześnie wychodził z jej najbardziej efektywnego zasięgu, a rezerwa mocy spadała im już do czterdziestu procent. Wtem jaśniejszy rozbłysk tarcz poprzedził oślepiającą eksplozję. Niemal natychmiast ścigający ich okręt gwałtownie zwolnił, a nie ostrzeliwane tarcze *Fagotu* przygasły.

— To nie był wybuch całego okrętu — zameldował Jessy. — Przypuszczam, że eksplodował napęd wewnątrzukładowy. Na tym kursie i z taką rezerwą mocy nie wydaje mi się, żebyśmy mogli go zniszczyć.

— W takim razie przerwij ostrzał — zarządziła Ky.

Poczuła, jak jej mięśnie rozluźniają się lekko, a jednocześnie spostrzegła, że jest mokra od potu. Miała nadzieję, że najgorsze niebezpieczeństwo minęło, choć umiejętność nieprzyjaciela wykonywania kalibrowanych mikroskoków oznaczała, że któryś z piratów wciąż mógł zaatakować ich grupę, gdyby zdołali tuż przed nimi wycofać się poza promień skoku.

Kazała obsadzie baterii wymienić się i zjeść coś na szybko, załodze mostka również. Połączyła się z pozostałymi dwoma okrętami, by upewnić się, że wiedzieli, co mają dalej robić. Następnie nakazała obsadzie mostka obserwację skanerów, a sama usiadła nad danymi, by przeanalizować, co wydarzyło się od początku do końca starcia.

Potrzebowała więcej czasu, niż oczekiwała, na wykrycie nieznaczących zakłóceń, zdradzających wynurzenie się nieprzyjacielskich jednostek i tych pierwszych godzin ostrożnego podkradania się do nich. Precyzja lotu wskazywała na znaczne doświadczenie w operacjach zespołowych i bojowych oraz doskonałą komunikację. Ky zagryzła dolną wargę, porównując to, co widziała, z tym, czego uczono ją na Akademii. Podstawy taktyki nie zmieniały się od dziesiątków lat, co wynikało z ograniczeń w łączności między okrętami, chyba że szczęśliwie nadarzył się jakiś ansibl lub jednostki przebywały w odległości nie większej niż sekunda świetlna od siebie. Ansible pokładowe całkowicie to zmieniały. Gdyby Zawała nie mógł połączyć się z nią w czasie rzeczywistym, jej sytuacja byłaby znacznie gorsza.

Cztery godziny później osiągnęli minimalny promień skoku. Ku jej pewnemu zaskoczeniu nieprzyjaciel nie ścigał ich na silnikach wewnątrzukładowych. Choć zniszczyli dwie jednostki i poważnie uszkodzili trzecią, wróg nadal miał nad nimi przewagę liczebną i siły ognia. Ky nie opuszczało napięcie, dopóki wszystkie trzy „jej” okręty nie dokonały zanurzenia, wychodząc z nadprzestrzeni w odległości sześciu do dziesięciu godzin świetlnych od lokalnego słońca. Dzięki ansiblom pokładowym bez trudu się odnaleźli.

— Nie lecimy do oznaczonego na mapach punktu skoku — oznajmiła pozostałym. — Wiedzą, gdzie jest i mogliby przygotować tam na nas zasadzkę. Udajemy się tutaj... — Przesłała koordynaty. — Przypadkowy skok nie powinien

niczym grozić, gdyż czas jego trwania to zaledwie czterdzieści trzy godziny. Nie zapomnijcie wynurzyć się z niską prędkością relatywną.

— A wtedy co? — zapytał Argelos.

— A wtedy polecimy na Ciudad. Przekażę wam trasę po wynurzeniu. Skaczcie na mój znak... — Odliczyła i *Awangarda* zanurzyła się w nadprzestrzeń gładko, jak zwykle.

Rozdział 25

Przygotuj okręt do lotu w nadprzestrzeni — Ky poleciała Hugh. — Rozpisz harmonogram wacht i dopilnuj, żeby reszta załogi poszła spać. Ty też. Chcę dostać zestawienie zużytej amunicji, raport o stopniu zużycia lub uszkodzeniach wyrzutni oraz listę zakupów w najbliższym porcie.

— Tak jest, kapitanie — odparł. Wyglądał na wypoczętego i niemal zrelaksowanego, zakładała, że zdrzemnął się podczas lotu do punktu skoku.

— Przekazuję ci mostek — oznajmiła i wstała. Otoczenie zafalowało jej przed oczami. Wściekła się na siebie. To była jej wina, że nie usnęła... Wtem zauważyła, że podtrzymuje ją sztuczne ramię Hugh. — Dzięki — mruknęła.

— Proszę dobrze wypocząć — powiedział cicho. — Teraz jesteśmy bezpieczni.

To zdanie kołatało jej w głowie przez całą drogę do kajuty, gdzie rozebrała się i wzięła prysznic, po czym rzuciła się na koję. Bezpieczni *teraz*. Teraz, kiedy podjęła rozsądną decyzję, ale nie wcześniej, gdy znowu zaufała niewłaściwej osobie. Choć tym razem z innych pobudek, bynajmniej nie dlatego, że czuła do Andreson choćby cień sympatii.

Miała ochotę przewrócić się na drugi bok, nakryć głowę poduszką i nie budzić się, dopóki... dopóki co? Dopóki sytuacja się nie poprawi, dopóki nie powróci przeszłość? Śmieszne. Przeszłość nie wracała. Nic co mogłaby zrobić, nie przywróci życia rodzicom, ani innym zabitym. Nic, co mogłaby zrobić, nie odbuduje rodzinnych domostw, biur, statków. Nie doprowadzi do tego również żadne zaniechanie z jej strony. To było niemożliwe. Cokolwiek zrobi, bądź nie, nie miało to dla nich żadnego znaczenia. Przygniotła ją rozpacz, dusił mrok. Po co próbować? Nikt tego tak naprawdę nie rozumiał. Stella uznała ją za wariatkę, kiedy próbowała powołać do życia międzygwiazdną flotę. Reszta rodziny prawdopodobnie zgodziłaby się z nią, o ile w ogóle przeżyli.

Wydawało jej się, że robi postępy. Triumfem było utrzymanie się przy życiu przez te pierwsze miesiące. Ułożony na Lastway plan porażał rozmachem, lecz wydawał się możliwy do zrealizowania. List kaperski dał jej prawo uzbroić statek... A potem wyobraziła sobie sojusz kaprów, tworzących prawdziwą, kosmiczną flotę. Czy mogło się udać? Może, ale pierwsza próba zakończyła się katastrofą i teraz już nikt jej nie wysłucha. Wróg wiedział o jej istnieniu, uznał ją za niebezpieczną i przekonał się, że wiedziała, kim oni są. Zamiast chronić interesy Vattów, ściągnęła na rodzinę dodatkowe kłopoty.

Zupełnie, jak w dzieciństwie. Jak za każdym razem, gdy usiłowała zrobić coś pożytecznego, a co potem wybuchowało jej w twarz. Tyle, że teraz nie było mowy o połajankach, westchnieniach i przewracaniu oczami — teraz chodziło o ludzkie życie. Nie potrafiła przekonać ich o realności niebezpieczeństwa i tylko dodatkowo pogorszyła sprawę.

— Na ile sposobów można coś spieprzyć? — zapytała sufitu. Odpowiedź nie nadeszła, za to z głębin wspomnień napłynął kpiący głos Rafe'a, oznajmiający jej, iż

nie dotarła jeszcze do kresu popełnianych błędów. Zniechęcająca myśl. Zastanawiała się, co Rafe zrobiłby na jej miejscu, gdzie teraz był i jaki przekręt planował. Przynajmniej nie zaufała *jemu* — no, w niezbyt dużym stopniu. Usnęła, przypominając sobie ich ostatnią rozmowę, a potem śniło jej się, że beszta jego rodziców za takie złe potraktowanie syna.

Slotter Key

Grace Lane Vatta stała w rzędzie członków rodziny Vattów, stłoczonych pod przenośną osłoną nad ziejącym kraterem, gdzie niegdyś wznosiła się kwatera Transportu Vattów. Gruz dawno już wywieziono, piwnice oczyszczono, a popękane fundamenty odsłonięto i naprawiono. Dzisiaj, w strugach lodowatego deszczu, wmurowywali kamień węgielny pod nową budowlę. Nie mogli zaczekać na lepszą pogodę, gdyż zbyt wielu dygnitarzy wpisało sobie tę datę do gęsto zapisanych kalendarzy. Pod drugim daszkiem schronili się dziennikarze, gotowi wyroić się spod niego, jak tylko rozpocznie się ceremonia.

Robotnicy w ociekających deszczem pelerynach umieścili we właściwym miejscu ogromny blok modessarskiego granitu, wpasowując wystające z fundamentów wzmocnione kołki w wydrążone w jego podstawie otwory. Skrzywienie dźwigu ginęło w jednostajnym bębnieniu kropel deszczu o plastikowy daszek. Lśniący w deszczu głaz przypominał barwą burzową chmurę, lecz nazwiska zabitych podczas zamachu lśniły na dwóch wyeksponowanych bokach, wycięte głęboko w kamieniu i wypełnione złotem. Kosztowało to fortunę i byli tacy, co narzekali, lecz Grace pozostała nieugięta, twardsza od tego granitu.

— Martwi zapłacili więcej — ucieła i malkontenci poddali się.

Za rodziną stali dygnitarze: nowy prezydent, nowy gubernator prowincji, nowy burmistrz, nowy komendant Sił Kosmicznych, stary komendant Akademii Sił Kosmicznych, szefowie największych banków... Grace poczuła mrowienie, uznała jednak, że to tylko zawiązek ramienia. Nad ceremonią czuwał MacRobert i ochrona, a ona wiedziała, gdzie znajduje się jej broń.

Kiedy głaz zajął nareszcie swoje miejsce, a murarze sprawdzili wymiary i położenie, robotnicy usunęli liny i cofnęli się. Członkowie rodziny wystąpili naprzód, w deszcz. Reporterzy wysypali się spod dachu, lecz ochrona zapędziła ich tam z powrotem. Zabłyśły światła i głosy ucichły, gdy dzieci Jo podeszły do kamienia węgielnego z butelką wina.

Po jednej stronie stanęła Helen, a po drugiej Grace. Dzieci wyrecytowały wyuczoną formułkę i rozbiły butelkę o twardy granit. Szkło rozprysło się, a wino barwy krwi zmieszało się z deszczem. Grace ogarnęła na moment ta sama czarna wściekłość, co zaraz po ataku. Chwila minęła, ludzie zaczęli rozmawiać i uciekać pod zadaszenie przed nasilającym się deszczem. Dźwig odjechał z nieprzyjemnym klekotem gąsienic. Urzędnicy ze służbowymi parasolami pomagali dygnitarzom dotrzeć do służbowych limuzyn.

Po ceremonii wrócili do miejskiej rezydencji Stamarkosów, gdzie powitał ich obficie zastawiony bufet, biegnący przez całą długość salonu. Grace z obrzydzeniem

przyglądała się dobrze odżywionemu i rozplotkowanemu tłumowi. Jak oni w ogóle mogli obżerać się w takich czasach? Wycofała się do najcichszego kąta sali.

— To miało być radosne przyjęcie — wyszeptał jej do ucha MacRobert. Podał jej kieliszek czegoś bezbarwnego. Pokręciła głową. — Dowód na niezniszczalność Vattów.

— Dowód na poczucie winy u co poniektórych — mruknęła Grace. — Teraz to się do nas łąszą...

— Wariujesz z bezczynności — powiedział. — Ale przeżyjesz tę rekonwalescencję. Obejrzała się na niego.

— Za dużo o mnie wiesz.

— Powinienem. Pójdziemy gdzieś?

— Chcę wiedzieć, gdzie jest i co robi Stella. I Ky.

— Ky — mruknął MacRobert — bez wątpienia sprawa równie wiele kłopotów, jak ty. A przy okazji, słyszałaś, że nasz nowy prezydent planuje zaproponować ci wysokie stanowisko w Obronie?

Grace zamrugwała.

— Naprawdę?

— Tak — potwierdził, przyglądając się jej.

— Chce mnie kontrolować — uznała Grace.

— Cóż, owszem — przyznał MacRobert, szarpiąc się za ucho. — Nie jest szalony i chce mieć cię na widoku. Mimo to...

— Jak wysokie? — zapytała Grace.

— Ojej, czyżbym usłyszał w twym głosie ambicję? Nie mogę mówić o tym tutaj, miejsce nie jest wystarczająco zabezpieczone, a nikt inny cóż, prawie nikt — nie ma takich uprawnień. Nie wiem jak ciebie, ale mnie nie pociąga nic, co widzę na tym stole. Za to herbata w jakimś cichym zakątku...

— Świetny pomysł — zgodziła się Grace. Jej czarny nastrój natychmiast się ulotnił.

— To samo mu powiedziałem — rzucił MacRobert.

Potknęła się, słysząc to, lecz zdążył ująć ją delikatnie za zdrowe ramię.

— Chcesz powiedzieć...? Do licha, Mac, przebiegły z ciebie rybak.

— Wszystko jest kwestią przynęty — oznajmił MacRobert, przeprowadzając ją koło dwóch rozgestykulowanych polityków tak, aby nie narazić zawiązka nowego ramienia.

Ky obudziła się po szesnastu godzinach rozbita i zmaltretowana. Uznała, że musi ukryć to przed załogą.

— Spałam za długo — odpowiedziała na powitanie Hugh. — Ale czuję się dobrze.

— Mam te raporty — oznajmił. — W wielkim skrócie: nie odnieśliśmy żadnych uszkodzeń, nie ma też nadmiernego zużycia baterii, ani rannych. W tych okolicznościach to zupełnie przyzwoity wynik. — Dotarło do niej, że patrzył na nią z podziwem. Wstrząsnęło ją to.

— Jedno wielkie zamieszanie — oceniła. — Mieliśmy szczęście, że przeżyliśmy, a ja okazałam się kretynką, że w ogóle zaciągnęłam się pod rozkazy tamtej kobiety.

Wzruszył ramionami.

— Co się stało, to się nie odstanie. Ona zginęła, a pani wy dostała nas stamtąd żywych. Zabijając przy okazji paru wrogów.

— Zmykaliśmy jak zające — upierała się, mierząc go wzrokiem. Czy to naprawdę była aprobata?

Uśmiechnął się.

— Jak zające z kłami, kapitanie. Nie mieliśmy innego wyjścia. — Przysunął się bliżej. — Głowa do góry. Wiem, co pani czuje — chciała pani lepszego rezultatu. Ale przeżyła pani i będzie jeszcze miała inne okazje.

Jego dobry humor okazał się zaraźliwy. Ky poczuła nawrót pewności siebie.

— Mam taką nadzieję — oświadczyła z mocą.

— Oto właściwy duch. — Zupełnie, jakby był jej ojcem, albo wujkiem.

— Uhm... Czy pamiętałam, żeby powiedzieć innym, jak dobrze sobie poradzili?

— Tak, kapitanie, zrobiła to pani. Zaraz po pierwszym skoku i jeszcze raz później — ale wtedy była już pani nieprzytomna.

— To dobrze. — Czyli udało się jej wywiązać przynajmniej z części obowiązków.

— Na wypadek, gdyby się pani zastanawiała, to pogratulowała pani także kapitanowi Argelosowi i kapitanowi Pettygrew.

— Jeszcze lepiej.

— Sugeruję coś zjeść...

Wrócił jej apetyt. Kiedy ostatnio jadła? Na długo przed pójściem spać.

— Tak — zgodziła się. — Na jaki posiłek pora?

— Na gulasz piracki — rzucił Lee przez ramię. Ktoś parsknął Ky rozejrzała się i stwierdziła, że wszyscy są nadmiernie radośni. Cóż, przeżyli, a w nadprzestrzeni nie dosięgnie ich żaden nieprzyjaciel.

— Pirat smażony — oznajmiła, budząc powszechny śmiech. — Podwójny — dodała.

Do końca wachty obeszła wszystkie przedziały i porozmawiała z każdym, wysyłając wiadomość, że pani kapitan obudziła się czujna, zdrowa i pewna siebie. Wyglądało na to, że wszyscy w to wierzyli, choć sama nie była tego taka pewna. Czy oznaką zdrowia była wiara w to, że po całym szeregu złych decyzji i porażek nadal mogła odnieść zwycięstwo?

Alternatywa wyglądała znacznie gorzej... Jeżeli się wycofa, piraci stracą aktywnego przeciwnika. Nie, choćby nie wiadomo na jakie szaleństwo to wyglądało, musiała próbować dalej, dopóki nie zwycięży lub zginie. Po podjęciu takiej decyzji zaczęła do maksimum wykorzystywać dni lotu w nadprzestrzeni.

Potrzebowali organizacji. Potrzebowali strategii, taktyki, doktryny operacyjnej i logistyki, jak również całej reszty tych wojskowych spraw, które wydawały się takie proste i oczywiste na Akademii, przedstawiane w postaci tekstów, schludnych

diagramów i przejrzystych wyjaśnień. Zwołała wszystkich członków załogi, którzy mieli cokolwiek wspólnego z wojskiem lub marynarką.

— Opowiedzcie mi wszystko, co wiecie o organizacji — poprosiła. — Oczywiście, bez zdradzania tajnych szczegółów. Samą esencję: jak to wszystko było zorganizowane? Kto podejmował decyzje? Kto mógł je odwołać? Próbujemy współpracować z ludźmi z różnych organizacji. Niemniej, funkcje są podobne — chodzi o walkę okrętów w kosmosie. Jeżeli ustalę części wspólne, ułatwię współpracę ludziom znającym różne organizacje...

Po tym wyjaśnieniu biorący się z zaskoczenia pierwszy opór wyparował. Pokazała im wyrysowany przez siebie schemat organizacji, bazujący na Siłach Kosmicznych Slotter Key.

— Ma pani na myśli, że oficera nabywającego zapasy nazywaliśmy oficerem zaopatrzeniowym, a pani nazywa go oficerem do spraw zakupów? — zapytał Jon Gannett.

— Dokładnie — potwierdziła.

Hugh pochylił się nad schematem.

— Cóż, jeżeli usunęłaby pani nazwy stopni, wyglądałoby to bardzo podobnie do naszej organizacji.

Jon Gannett przytaknął.

— Naszej również.

— Czyli stworzenie wspólnego schematu organizacyjnego nie będzie takie trudne, jak myślałam — uznała Ky. Rozejrzała się po zgromadzonych wokół stołu. Wszyscy wpatrywali się w diagram, a po chwili podnieśli głowy, by napotkać jej wzrok. — Następnym krokiem — kontynuowała — będzie opracowanie skutecznej taktyki.

— Może po prostu znowu zrobimy coś głupiego, zaczekamy na ich uderzenie, a wtedy zaskoczmy ich błyskotliwym posunięciem — podsunął Martin.

Nagrodzono go śmiechem.

— Wolałabym, żebyśmy byli błyskotliwi od samego początku — odrzekła Ky. — A mamy tylko parę tygodni, zanim dotrzemy na Ciudad.

— Nie poddaje się pani — oznajmił Jon Gannett.

— Nie poddam się — potwierdziła. Zapanowała pełna zaskoczenia cisza. — A ponieważ pójdzie w złą stronę omal nas nie zabiło...

— Nie pani wina — wtrącił Martin.

— Dołączenie do Andreson, kiedy wiadomo było, że będzie chciała dowodzić, było moją decyzją — przypomniała Ky. — Ale nie odmienię tego, za to mogę postarać się nie popełnić ponownie takiego błędu. Tak więc, wykorzystajmy czas, który mamy, na ustalenie, jak nasze trzy ocalałe okręty mogą przekonać potencjalnych sojuszników do dołączenia do nas. Myślę, że dobra organizacja i analizy taktyczne powinny nam w tym pomóc.

— Tak jest, madame, to powinno nam bardzo pomóc. — Hera Gannett, zwykle cichsza od Jona, tym razem nie dała mu się ubiec.

Pozostali pokiwali głowami.

— A potem — dodała Ky — kiedy już pozyskamy sojuszników i będziemy mieli plan, zapolujemy na tych ścierwojadów i wszystkich ich powystrzelamy. — Uśmiechnęła się do nich, a oni po kolei odpowiedzieli jej uśmiechami.